

— MICHAEL J. —
SULLIVAN

—
EPOKA WOJNY



Michael J. Sullivan

EPOKA WOJNY

Tom trzeci
Legend Pierwszego Imperium

Przełożyła Agnieszka Hałas

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2023

Spis treści

Od Autora
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Posłowie
Słowniczek pojęć i imion
Podziękowania

Tytuł oryginału: *Age of War*

Copyright © 2018 by Michael J. Sullivan
Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja
Korekta: Magdalena Górnicka, Elwira Wyszyńska
Mapa: David Lindroth, Inc.
Ilustracja na okładce: Dominik Broniek
Opracowanie graficzne okładki: Dark Crayon

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
Pl. Konstytucji 5/10
00-657 Warszawa
www.mag.com.pl

ISBN 978-83-67793-70-4
Wydanie II
Warszawa 2023

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Maz.
tel. 227 335 010
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

*Ilustratorem tej serii jest
Marc Simonetti
i to jemu dedykuję niniejszą książkę.
Mówi się, że nie należy oceniać
książki po okładce,
ale kiedy okładki projektuje Marc,
oceniajcie bez wahania.*

Od Autora

Witajcie z powrotem w świecie „Legend Pierwszego Imperium”! Kiedy zaczynałem pisać ten cykl, planowałem stworzyć trylogię opowiadającą o wydarzeniach, które doprowadziły do pierwszego zbrojnego konfliktu pomiędzy ludźmi a elfami. „Epoka wojny” miała być jej ostatnim tomem i prawdopodobnie zauważycie, że liczne elementy intrygi oraz łuki fabularne zostały domknięte. Książka sprawia wrażenie finału. Jednakże kiedy dokończyłem opowieść, zdałem sobie sprawę, że nie doprowadziłem jej wystarczająco daleko. Gdyby cykl kończył się już tutaj, jestem pewien, że byłibyście tego samego zdania.

Problem polegał na tym, że tytuł cyklu brzmiał „Legendy Pierwszego Imperium”. Owszem, przedstawiłem Wam bohaterów, owe legendy, ale nadal nie pokazałem, jak powstawało Imperium. Jeśli czytaliście „Odkrycia Riyrii”, wiecie już, kto wygrał wojnę, ale gdybym zakończył cykl na tym tomie, nie spełniłbym obietnicy. Co więcej, ci, którzy nie czytali cyklu o Riyrii, głowiliby się, jak ostatecznie zakończyła się cała historia.

Ci, którzy czytali „Kroniki Riyrii” (prequelowe przygody Royce’a i Hadriana), wiedzą, że staram się nie ograniczać do opowiadania o wydarzeniach, o których wspominałem gdzie indziej. Szukam sposobów pozwalających nadać tym nowym opowieściom świeżość i uczynić je wartymi czytania. Osiągam ten cel, ujawniając ukryte wcześniej aspekty, a w niektórych przypadkach pokazując, że coś, co czytelnicy przyjmowali za pewnik, tak naprawdę wcale nie miało miejsca lub wydarzenia przebiegły inaczej, niż sądzili. Wykorzystałem tę samą technikę, żeby dotrzeć od zakończenia *Epoki wojny*, do utworzenia Pierwszego Imperium, a dokonałem tego, robiąc coś, czego nie spodziewał się nikt włącznie ze mną. Napisałem trzy dalsze powieści, żeby dostarczyć czytelnikom zamkniętą opowieść, na którą zasługiwali. Efektem są dwie ściśle powiązane ze sobą trylogie pod szyldem jednego cyklu. W praktyce oznacza to, że kolejna książka, *Epoka legend*, podejmie opowieść, ale skupi się na nieco innych aspektach. Nie martwcie się, ten tom rozpocznie się w miejscu,

w którym kończy się *Epoka wojny*, i nadal będziecie towarzyszyć tym samym bohaterom. Po prostu snuta opowieść rozszerzy swój zasięg. Jestem całkiem dumny z rozwiązania, które wymyśliłem, i z tego, jak przekulem potencjalny problem w załączek czegoś ciekawego, ale to już historia do omówienia kiedy indziej, we wstępie do innej książki.

Wracając do *Epoki wojny*, piszę wstępy do swoich powieści między innymi po to, żeby wpuścić czytelników za kulisy, pozwolić im zajrzeć do mojej głowy. Nie jestem aż tak próżny, żeby sądzić, że wielu osobom zależy na takiej wycieczce, ale niektórzy uważają, że to ciekawe. Podawałem już różne informacje dotyczące tej książki oraz całego cyklu, ale nie omawiałem dotąd źródeł, z których czerpałem inspirację, więc porozmawiajmy o tym teraz.

Największy wpływ na kształt „Legend Pierwszego Imperium” miały: książka *W krainie czarnoksiężnika Oza* oraz wyspa zaginionych zabawek z filmu animowanego o Rudolfie, czerwono nosym reniferze. Może już dostrzegacie pewne podobieństwa. Spora część bohaterów mojej opowieści nie byłaby wybierana w pierwszej kolejności do drużyn na lekcjach WF-u. To wyrzutki, osoby niechciane i niepotrzebne. Zepsute zabawki, które z każdym rokiem tracą nadzieję, że kiedykolwiek odnajdą szczęście.

Być może zauważyliście też, że większość głównych postaci w tym cyklu to kobiety. *W krainie czarnoksiężnika Oza* to rzadki przypadek utworu w konwencji fantasy, w którym wszystkie główne, najpotężniejsze role (zarówno te dobre, jak i złe) grają kobiety. Jedną z rzeczy, które zapadły mi w pamięć po lekturze tej książki (i są mi dobrze znane jako mężowi niesamowitej bizneswoman, która na początku swojej kariery pracowała w zdominowanej przez mężczyzn dziedzinie, jaką jest inżynieria), było to, jak kobiety radzą sobie z konfliktami. Protagonisci płci męskiej, nawet moi, mają skłonność do zgrywania bohatera i szarżowania na wroga – często samotnie. Natomiast Dorota Gale z Kansas odniosła sukces dzięki temu, że zebrała drużynę złożoną z osób o podobnym nastawieniu, ale zróżnicowanym pochodzeniu i unikatowych umiejętnościach. Dostrzegłem wartość takiego podejścia i spróbowałem wykorzystać ten motyw. Teraz, kiedy już wyznałem, że bawiłem się, nawiązując do tych dwóch klasycznych utworów, pewnie będziecie wiedzieli, czego wypatrywać, i podejrzewam, że wyłapiecie te dyskretne ukłony. Mam nadzieję, że przyprawią Was o uśmiech.

No dobrze, o czym jeszcze powinienem wspomnieć? Ach, już wiem. Jeśli minęło trochę czasu, odkąd czytaliście poprzednie tomy cyklu, i chcielibyście je sobie odświeżyć, znajdziecie ich streszczenia na stronie internetowej poświęconej „Legendom Pierwszego Imperium”, w dziale materiałów bonusowych: firstempireseries.com/book-recaps. Chcę podkreślić, że ich czytanie nie powinno być konieczne, bo w samych książkach poumieszczałem

drobne retrospekcje na temat najważniejszych wydarzeń. Nie są to obszernie rozprawki, tylko krótkie przypomnienia. Pamiętajcie też, że każda książka zawiera obszerny, wolny od spojlerów słowniczek terminów i imion. Tak więc, jeśli zdążyliście zapomnieć, kim był Konniger, możecie to sprawdzić w słowniczku umieszczonym na końcu niniejszego tomu. Hasło to różni się od swojego odpowiednika zawartego w *Epoce mitu*, bo uwzględnia to, co wydarzyło się w fabule do tej pory, ale nie znajdziecie w nim niczego, co zepsułoby Wam przyjemność z czytania tej książki. Muszę tu zaznaczyć, że jest kilka haseł, które nie pojawią się w słowniczku *Epoki wojny*, na przykład imię Turin. Dlaczego? Ponieważ po prostu nie ma opcji, żeby napisać hasło o Turinie, które nie zawierałoby spojlerów. Jednakże jeśli wyszukacie je w słowniczku do przyszłego wydania *Epoki legend*, przypomnicie sobie, czemu to imię było takie ważne. Krótko mówiąc: jeśli potrzebujecie odświeżyć sobie pamięć, nie wahajcie się przejrzeć słowniczka.

No cóż, sądzę, że już wystarczająco się rozgadałem. Chcę jeszcze tylko podkreślić, że bardzo się cieszę z licznych cudownych maili od czytelników, więc bardzo proszę, przysyłajcie je dalej na adres michael@michaelsullivan-author.com. Jak wielokrotnie powtarzałem, wiadomości od czytelników zawsze są mile widziane – to zaszczyt i przywilej je otrzymywać. Kończąc niniejszą przedmowę, chciałbym Was zaprosić z powrotem do epoki mitów i legend, do czasów, kiedy ludzkość znano jako Rhunów, a elfy uważano za bogów. W tym konkretnym przypadku odwiedzimy razem epokę wojny.

Rozdział pierwszy

Droga do wojny

Większość ludzi uważa, że pierwsza bitwa wojny fhrejsko-ludzkiej rozegrała się wczesną wiosną przy Wielkim Moście, ale tak naprawdę do pierwszego ataku doszło w letni dzień w dahlu Rhen.

Księga Brin

Mistyczka Suri rozmawiała z drzewami, tańczyła, ilekroć słyszała dzwoneczki wietrzne, nienawidziła kąpieli, wyła do księżyca i niedawno zrównała z ziemią potężną górę, w jednej sekundzie niszcząc stulecia karlej kultury. Zrobiła to głównie z żalu, ale częściowo z wściekłości. Pewien karzeł nie wyraził zrozumienia po tym, jak zginęła jej najlepsza przyjaciółka. Powinien był okazać więcej współczucia, ale w dniach, które upłynęły od tamtej pory, Suri stopniowo doszła do wniosku, że mogła się trochę pohamować. Może wystarczyłoby zmienić Gronbacha w żywą pochodnię albo sprawić, by ziemia pochłonęła tego wstrętnego łajdaka. W kluczowej chwili żadna z tych możliwości nie przyszła mistyczce do głowy, a w efekcie ucierpiała cała cywilizacja. To był dla wszystkich wyjątkowo zły dzień.

Teraz, niecały tydzień później, Suri ocknęła się na łące porośniętej salifanem i ostami. Słońce wylaniało się właśnie zza odległych wzgórz. Jego złote promienie przemieniały krople rosy w diamenciki i ujawniały ciężką pracę tysiąca pajaków, które rozsnuły swe sieci pomiędzy źdźbłami trawy. Spędziwszy noc na zewnątrz, Suri też była przemoczona i trochę zmarznięta, ale pocałunek słońca obiecywał, że już za chwilę będzie lepiej. Siedziała wśród rosy, wystawiając twarz do światła, i gapiła się na pola otaczające nadmorski dahl, słuchając cichego buczenia trzmieli, które rozpoczynały swoją poranną pracę. A potem w polu jej widzenia przeleciał motyl i wszystko zniszczył.

Suri się rozpłakała.

Nie zwiesiła głowy. Nadal wystawiając twarz na słońce, pozwoliła, żeby łzy spływały jej po policzkach, obficie kapiąc na trawę, gdzie mieszały się z rosą. Jej drobne ciało dygotało od szlochu. Suri płakała tak długo, aż zabrakło jej łez, ale ból nadal targał jej sercem. Potem już tylko siedziała na łące, garbiąc ramiona, a jej palce odruchowo szukały ciepłego futra, którego tam nie było.

Odkąd powrócili z za morza, większość jej dni rozpoczynała się właśnie tak. Poranki ofiarowały krótkie wytchnienie od bólu, ale wkrótce sobie przypominała, i wtedy rzeczywistość zwała się na nią z hukiem. Wówczas niebo stawało się mniej błękitne, słońce traciło część blasku i nawet kwiaty nie mogły sprawić, by Suri się uśmiechnęła. A teraz musiała dojść do ładu z kolejną stratą. Arion umierała.

– Suri!

Zareagowała z opóźnieniem, bo nie od razu pojęła, że to ją wołają. Gdzieś za jej plecami zaszleściła trawa, rozległy się kroki. Tylko jedna osoba poruszała się tak szybko, a jej przybycie mogło oznaczać tylko jedno.

– Suri! – zawołała ponownie Brin.

Mistyczka nie zadała sobie trudu, by odwrócić głowę. Nie chciała zobaczyć... Nie chciała wiedzieć...

– Obudziła się! – wykrzyknęła tym razem Brin.

Suri odwróciła się gwałtownie.

– Ma otwarte oczy! – Brin biegła, przedzierając się przez wysoką trawę. Rosa moczyła jej spódnicę.

Wszystkie mięśnie w ciele Suri ożyły. Mistyczka zerwała się niczym wystraszona sarna i pognąła w stronę drogi, mijając Brin. Wkrótce dotarła do namiotu, który Roan wzniosła specjalnie dla Fhrejki. Kiedy Suri wpadła do środka, Arion nadal spoczywała na posłaniu, ale jej powieki zatrzepotały. Padera właśnie pomagała Fhrejce usiąść i się napić.

– Po troszku – wychrypiała staruszka. – Wiem, że najchętniej byś chlała jak stary pijak, ale wierz mi, wszystko byś zaraz zwróciła na siebie i co gorsza na mnie. Nawet jeśli tobie by to nie przeszkadzało, mnie i owszem.

Suri przystanęła pod klapą namiotu, wytrzeszczając oczy. Jakaś część jej osoby nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co widzi. Bała się, że to sen, że gdy tylko uwierzy, iluzja się rozwieje, a ból powróci z podwójną siłą. Nie wiedziała, ile jeszcze ciosów będzie w stanie znieść.

– Zdecyduj się, czy wchodzisz, czy wychodzisz! – warknęła Padera.

Oślepią słońcem staruszka, której zapadnięte wargi skrywały bezzębne dziąsła, mrużyła zdrowe oko.

Suri weszła, pozwalając klapie opaść. Kaganek był zgaszony, ale jasne światło słońca przenikało przez tkaninę namiotu. Arion opierała się o ramię Padery. Staruszka pomogła Fhrejce zbliżyć do ust gliniany kubek. Ta popatrzyła zmęczonym wzrokiem ponad jego krawędzią, siorbiąc głośno.

– Już, już, na razie wystarczy – powiedziała Padera. – Poczekajmy minutkę, niech się uleży. Jeśli nie wróci, jeśli nie wybuchniesz mi tu jak gejzer, dam ci więcej.

Kubek został zabrany. Suri czekała.

Głos Arion... Suri potrzebowała go usłyszeć, żeby zyskać pewność, że to prawda.

Fhrejka spróbowała coś powiedzieć, ale nie była w stanie. Przepraszająco wskazała swoje gardło.

Suri spanikowała.

– Co jej jest?!

– Nic – odparła mrukliwie Padera. – No cóż, nic oprócz tego, że spała prawie tydzień bez jedzenia i wody, przez co wyschła prawie tak, jak ten pył, w który omal się nie zmieniała. – Popatrzyła na Fhrejkę ze skonfundowaną miną, lekko kręcąc głową. – Po tym, jak spędziła tyle czasu bez picia, powinna być martwa. Każdy mężczyzna, kobieta, dziecko, królik albo owca pożegnaliby się z tym światem już przed trzema dniami. Ale oczywiście ona jest inna, czyż nie?

Blask słońca znów wdarł się do namiotu, oślepiając wszystkich. Brin stanęła przy wejściu, przytrzymując klapę. Nic nie mówiła, tylko patrzyła.

– Zdecyduj się, czy wchodzisz, czy wychodzisz! – warknęły jednym głosem Suri i Padera.

– Przepraszam. – Brin weszła do środka, pozwalając klapie opaść.

Wszystkie obserwowały Arion. Fhrejka powoli uniosła głowę, zogniskowała wzrok na Suri, uśmiechnęła się i wyciągnęła do niej drżącą dłoń. To wystarczyło. Suri padła na kolana i odkryła, że wciąż jeszcze zostały jej łzy. Wtuliła twarz w szyję Arion.

– Próbowałam, próbowałam, próbowałam... – udało jej się wykrztusić pomiędzy szlochami. – Nie wiedziałam, co robię. Otworzyłam drzwi, a za nimi była mroczna rzeka. Podążyłam nią w stronę jasności. Była wspaniała, ale i straszna. Ja... Ja... próbowałam cię ściągnąć z powrotem, uleczyć, ale... ale...

Poczuła, że dłoń Arion gładzi ją po głowie.

Suri podniosła wzrok.

– Nie... próbowałaś – zdołała wychrypieć Arion głosem szorstkim jak żwir. Potem dodała bezgłośnie, samym ruchem warg: „zrobiłaś to”.

Suri otarła oczy i je zmrużyła.

– Co?

Wysiliwszy się bardziej, Fhrejka zdołała powiedzieć:

– Ocaliłaś... mnie.

Suri dalej się w nią wpatrywała.

– Na pewno?

Arion posłała jej uśmiech.

– Raczej... tak.

* * *

Raithe nie był w stanie usiedzieć w miejscu. Siedzenie w obliczu takiego wariactwa zanadto kojarzyło się z akceptacją. Wodzowie pozostałych klanów, którzy określali siebie zbiorczym mianem Rady Keeniga, zasiadali w znajomo wyglądającym kręgu na dziedzińcu dahlu Tirre. Dostawiono tam cztery krzesła: trzy dla wodzów klanów Gula oraz wielki, ozdobny tron z rzeźbionymi podłokietnikami dla Persefony. Gavin Killian, ojciec licznych synów i nowy przywódca klanu Rhen, zasiadał na jej dawnym miejscu.

Nyphron też nie siedział. Stał i przemawiał. Persefona skinęła głową, kiedy Galantianin zrobił pauzę.

Czy to możliwe, żeby poważnie rozważała jego propozycję?

Oprócz dziesięciu wodzów na naradzie były obecne te osoby co zwykle, z wyjątkiem Brin, która nadal pełniła funkcję Strażniczki Praw z ramienia Persefony. Kiedy Raithe ostatnio widział tę dziewczynę, zmierzała do namiotu Padery, w którym złożono Arion. Niektórzy nazywali go Domem Śmierci, bo Fhrejka od tygodnia nie dawała znaku życia. Z osób niebędących wodzami obecni byli między innymi Moya, nieodłączna Tarcza Persefony uzbrojona w swój słynny łuk; karzeł imieniem Mróz, który zawsze raportował o postępach w wytwarzaniu broni, zastępując Roan; Malcolm, który zwykł się zjawiać na naradach tak po prostu; i Nyphron, który reprezentował Fhrejów. Raithe tak właśnie postrzegał jego rolę: jako głos przedstawiciela małej grupy wojowników. Zważywszy, że sam Raithe reprezentował tylko siebie i Tesha, nie mógł mieć pretensji o udział przywódcy Galantian w naradzie.

Przynajmniej nie powinienem, pomyślał. Ale ja nie rekomenduję pomysłów wziętych z księżycy, które doprowadzą do tego, że wszyscy zginą!

– Musimy zająć Alon Rhist i musimy to zrobić bez zwłoki – powtórzył Nyphron.

Nie pytał ani nie sugerował. Nie udzielał rad ani nie przedstawiał możliwej opcji. Przywódca Fhrejów domagał się zgody.

Raithe zwykle powstrzymywał się od zabierania głosu w trakcie spotkań i uważał, że Nyphron powinien siedzieć cicho z tego samego powodu. Nie

reprezentowali praktycznie nikogo. Ale Dureyaninowi nie spodobała się mina Persefony. Wyraz jej twarzy wskazywał, że wnikliwie rozważyła słowa Nyphrona.

Żaden z pozostałych wodzów nie miał dość odwagi, by rzucić wyzwanie przywódcy Fhrejów, więc Raithe musiał coś powiedzieć. Nie zgodził się zostać keenigiem, bo nie mieli porządnej broni, a Nyphron chciał, by zajęli Alon Rhist, zanim będą mieli czas się przygotować. Persefona przywiozła z Belgreigu sekret wykuwania żelaza, ale potrzebowali czasu, żeby wyposażyć w broń całą armię.

– Twoja lekkomyślność tłumaczy, dlaczego to Persefona została keenigiem, a nie ty – oznajmił głośno Raithe, zwracając się do Nyphrona. Przykuło to powszechną uwagę. – Jesteś Fhrejem. Nie obchodzi cię, ilu z nas, Rhunów, zginie. Interesuje cię tylko zwycięstwo. Ilość krwi, jaką przelejemy, osiągając twój cel, nie ma znaczenia, bo nie będzie to wasza krew. Zaatakowanie Alon Rhist, zanim będziemy należycie wyszkoleni i uzbrojeni, to samobójstwo. Setki, może tysiące z nas zginą na murach tej twierdzy. A później...

– Nikt nie umrze – odrzekł Nyphron pełnym wyższości tonem, sugerującym, że przemawia do imbecyla.

Raithe postąpił w jego stronę.

– Jeśli zaatakujemy jedną z najlepiej ufortyfikowanych twierdz na świecie, mając do dyspozycji armię wieśniaków z motykami, ludzie zginą. Wielu ludzi. –

Odwrócił się do pozostałych wodzów. – Byliście w Alon Rhist, nieprawdaż? –

Wskazał Nyphrona. – Czy nie stacjonuje tam armia fhrejskich wojowników, takich jak on? Szarża na te mury będzie jak walnięcie kijem w ul. Tylko że te pszczoły nie ograniczają się do żądlenia. Obcinają wrogom głowy ostrymi mieczami z brązu, kryjąc się za potężnymi tarczami.

Persefona słuchała go z uwagą.

To już coś, pomyślał.

– Nie proszę nikogo z was, żeby walczył. – Nyphron zwrócił się do Persefony, nie do Raithe'a. – Wasi ludzie nie będą musieli nawet zbliżyć się do Rhistu. Będą pełnić jedynie funkcję dekoracyjną. Jak ozdoba stołu. – Zaczął się przechadzać tam i z powrotem. – Ta forteca to mój dom. Moja własność. Mój ojciec był przywódcą szczepu Instarya, ludu, który ją zamieszkiwał od stuleci. Był głównodowodzącym wszystkich twierdz na zachodzie. To stanowisko zwykle przechodzi z ojca na syna, co czyni mnie panem Rhistu.

– Ale fane... władca waszego ludu... wyznaczył kogoś innego na głównodowodzącego, po tym, jak wasz ojciec rzucił mu wyzwanie. Czyż nie tak, panie? – zapytał Tegan z klanu Warric.

Dziękuję ci, Teganie, pomyślał Raithe. Przynajmniej jedna z obecnych tu osób słucha uważnie.

– To prawda – odrzekł Nyphron. – Ale tamten Fhrej nie cieszy się sympatią mojego szczepu, a Instarya byli źle traktowani już od stuleci. Poddano ich ostracyzmowi i wygnano, choć niczym nie zawinili. Potrzebują przywódcy, który będzie rozumiał ich położenie i naprawi krzywdy, jakich doznali. – Nyphron westchnął. – Naprawdę sądzicie, że to jest pomysł, na który wpadłem dziś rano? Pracuję nad tym planem już od dłuższego czasu. Wiem, jak zająć Alon Rhist. I mogę to zrobić, nie poświęcając ani jednego żołnierza.

– To niemożliwe – odparł Raithe. – Trzeba...

Nyphron przewrócił oczami.

– Pozwólcie mi wyjaśnić, dlaczego musimy działać bez zwłoki. Użyję krótkich zdań i prostego słownictwa. W tej chwili fane zbiera wojsko. Będzie musiał przybyć tu ze swoją armią, żeby nas zaatakować. Jego najlepsi żołnierze rekrutują się ze szczepu Instarya, to moi bracia. I stacjonują w Alon Rhist. Instarya są najlepszymi wojownikami na świecie. Jeśli fane ich straci, nie ma już wojska. Zamierzam mu ukraść jego siły, ale musimy wyruszyć tam szybko. Nie możemy pozwolić, żeby Lothian dotarł do Alon Rhist jako pierwszy. – Nyphron podszedł do Persefony. – Jestem w stanie przejąć cały szczep Instarya od Ervanonu po Merredydd. Równie dobrze mógłbym obciąć Lothianowi obie ręce. Nie będzie komu dla niego walczyć.

– A czy będą gotowi walczyć dla nas? – zapytał Siegel.

Nyphron popatrzył na wodza Gula-Rhunów jak na dziecko.

– Oczywiście, że nie. Fhrejowie nie zabijają Fhrejów, ale jeśli postąpicie tak, jak mówię, mogę was zapewnić, że nie będą też zabijać Rhunów. A pozbawiony szczepu wojowników fane będzie musiał wyszkolić innych żołnierzy. To... – wskazał Raithe'a, nadal nie patrząc na niego – da nam czas, żeby wykuć broń. A jej wykuwanie pójdzie nam sprawniej pod osłoną murów Rhistu. – Nyphron zaczął liczyć na palcach. – W Alon Rhist są narzędzia, budynki, schronienie i żywność. Wszystko, czego potrzebujemy, żeby stworzyć armię zdolną stawić opór, gdy fane przypuści na nas atak, co jest nieuniknione.

– Ale jak mamy zdobyć tę twierdzę? – zapytał Tegan.

– Po prostu zostawcie to mnie.

– Widzisz, i tu właśnie jest problem – powiedział Raithe. – Oczekujesz, że ci zaufamy.

Sfrustrowany Nyphron przetarł ręką twarz.

– Twoje wątpliwości nie mają znaczenia. Rhunowie będą najzupełniej bezpieczni. Nie wymagam, żeby którykolwiek z nich zbliżył się do Rhistu na odległość mniejszą niż ćwierć mili. Ja i moi Galantianie zdobędziemy twierdzę. Chcę tylko, żebyście tam byli.

– Jesteś pewien, że Rhunowie nie będą musieli walczyć? – zapytała Persefona.

– Tak. Chcę, żebyście razem z waszym ludem zebrali się w wąwozie rzeki Bern na płaskowyżu Dureyi. Czy proszę o zbyt wiele?

Persefona popatrzyła na Raithe'a.

– Nie możesz dawać mu posłuchu – powiedział Raithe. – To głupota. Nie zdobędzie fortecy z siedmioosobową drużyną. Albo stracił kontakt z rzeczywistością, albo to pułapka. Przynajmniej poczekajmy do czasu, aż będziemy mieli tysiąc mieczy i tarcz. – Odwrócił się do Mroza. – Jak długo to zajmie?

Karzeł silnym dmuchnięciem rozgarnął wąsy i brodę, żeby móc przemówić.

– Wybraliśmy tuzin dobrych ludzi, którzy ochoczo garną się do nauki, ale wciąż jeszcze mamy problemy z opanowaniem metody i techniki. Chociaż Roan uważnie patrzyła, jak płatnerze wykuwają żelazne ostrze, wygląda na to, że pewne szczegóły mimo wszystko jej umknęły. Wciąż dopracowujemy procedurę, ale jesteśmy już bliscy osiągnięcia celu. Kiedy będziemy mieli spisane wszystkie etapy, wyszkolona przez nas dwunastka zacznie przekazywać swoją wiedzę dalej. Wyszkolą tylu kowali, żeby każda wioska w Rhulynie miała przynajmniej jednego. A potem ci kowale przyjmą uczniów. Kiedy już udoskonalimy procedurę i wyszkolimy ludzi, sama praca nie potrwa aż tak długo. Ale rozkręcenie tego wszystkiego nastęcza trudności. – Potarł podbródek. – Szacuję, że moglibyśmy wyposażyć niedużą armię w ciągu... roku.

– No właśnie – powiedział Raithe. – A w tym czasie możemy wyszkolić ludzi, żeby...

– Za rok będzie już za późno – powiedział Nyphron. – Fane ściągnie wojska na tereny przygraniczne, nim nadejdzie zima. To jest wyścig, a my i tak już zbyt długo zwlekamy. Poza tym w fortecy znajduje się świetnie wyposażona kuźnia, w mieście jest też kilku kowali, którzy mają doskonałe paleniska i narzędzia. Co więcej... – Fhrej popatrzył na Persefonę – gdzie mieszkańcy Rhenu zamierzają spędzić zimę? Tutaj? Czy schronicie się przed lodowatym wiatrem w cieniu tego muru? – Spojrzał na Lipita. – Czy znajdziecie dla nich dość miejsca w mieście?

Oczy Persefony pociemniały.

– Jeśli postąpimy tak, jak mówię, będziemy mogli się obronić, jeśli sprawy przybiorą zły obrót – oznajmił Raithe. – Jeśli on nie zdoła spełnić swoich wygórowanych obietnic...

Nyphron z uśmiechem wszedł mu w słowo.

– A jeśli postąpicie tak, jak ja mówię, wygracie tę wojnę.

Raithe spiorunował go wzrokiem, ale Fhrej nadal nie raczył choćby spojrzeć w jego stronę. Nadal wpatrywał się w Persefonę.

– Jak szybko chciałbyś wyruszyć do Alon Rhist? – spytała.

– Natychmiast – odrzekł Nyphron. – Już zmarnowaliśmy zbyt dużo czasu. – Wskazał dahl, w którym się znajdowali. – Kto wie, co robi fane, podczas gdy my tu siedzimy i dyskutujemy.

– Czułabym się lepiej, dysponując wsparciem kogoś, kto włada Sztuką. – Persefona spojrzała w stronę Raithe'a. – Na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Ale stan Arion nie pozwala na podróżowanie, a Suri nie zgodzi się jej zostawić.

– Nie potrzebujemy Miralyitha, żeby zdobyć Alon Rhist, a nie możemy sobie pozwolić na czekanie – odrzekł Nyphron. – Arion prędzej umrze, niż wyzdrowieje, a ta mała mistyczka nie jest żadną Artystką. Czekanie na śmierć Arion niczego nie zmienia.

Brin wpadła pędem na dziedziniec. Wszyscy odwrócili się w jej stronę. Gnała tak szybko, że musiała się zatrzymać ślizgiem. Uśmiechała się od ucha do ucha.

– Arion się ocknęła!

* * *

Nie byli armią. Bynajmniej.

Ludzkość obrała nową ścieżkę w całkiem dosłownym znaczeniu tego słowa. Suri była pewna, że widywała ulewy, które liczyły sobie mniej kropel, niż było ludzi w tłumie wędrującym na północ. I choć mistyczka nie wiedziała zbyt wiele o sztuce wojennej, zakładała, że nawet najgorzej wyposażone wojsko jest przynajmniej uzbrojone w odróżnieniu od tej cizby. Byli tam pasterze, rolnicy, rymarze, myśliwi, stolarze, rybacy, piwowarzy i handlarze. Większość nie miała żadnej broni. Nieśli worki i kosze. Niechlujnie odziani żołnierze przyszłej armii nie potrafili jeszcze maszerować w szyku. Uskarżali się też na tempo, warunki na drodze i słońce – bądź na jego brak, kiedy padał deszcz. Większość kobiet została w osadach, z wyjątkiem tych z dahlu Rhen, które nie miały dokąd pójść. Te, które nie musiały opiekować się małymi dziećmi, szły obok swoich mężczyzn, niosąc zawiniątka z prowiantem i odzieżą. Wóz, na którym siedziały Suri i Arion, przemieszczał się w tylnej części kolumny. Cała procesja wędrowała drogą biegnącą obok dahlu Rhen – tą samą, którą uprzednio podróżowali w przeciwną stronę. Suri miała wrażenie, że tamtą podróż odbyła w poprzednim życiu.

Arion i Suri jechały wciśnięte pomiędzy beczki, worki, garnki i bele wełny. Wóz kołysał się i podskakiwał na wybojach. Fhrejka oznajmiła, że czuje się wystarczająco silna, żeby podróżować, ale nie była w stanie pokonać pieszo tak długiej trasy. Padera i Gifford, pełniący na postojach funkcję kucharzy oraz

opiekujący się Arion, też jechali na wozie, bo Nyphronowi zależało na tym, by tempo marszu było jak najszybsze.

Suri na ogół wołała iść niż jechać, ale często sprawdzała, jak czuje się Arion, i po południu niekiedy uciniała sobie drzemkę wśród worków. Nikt nie kwestionował jej prawa do tych drzemek. W ogóle mało kto się do niej odzywał.

Krążyły różne pogłoski na temat incydentu, który spowodowała w krainie karłów. Choć Suri zawsze przykuwała zaciekawione spojrzenia, bo była kimś obcym i mistyczką, teraz nie zerkano już na nią z ciekawością i dezaprobatą, tylko z lękiem. Ludzie przyśpieszali kroku, zwalniali albo wręcz skręcali w inną stronę, byle trzymać się od niej na dystans. Ponieważ Persefona, Moya, Roan i karły mieli pełne ręce roboty, z Suri rozmawiali tylko Padera, Gifford i Brin. Wszyscy inni traktowali ją tak, jakby była trująca.

Zawsze lubiłam być sama, pocieszała się. Wolę to. Zbyt wielu ludzi w jednym miejscu to coś nienaturalnego. Tak jest lepiej.

Jednakże nie była sama. Ludzie otaczali Suri, ale nie przynależała do żadnej z ich grup. Była stokrotką wśród żonkili, muchą w kozim mleku, motylem w armii.

Odwróciła się i zobaczyła po lewej stronie drzewa – zbocze, na którym liściasta gęstwina zmieniała się w ciemniejszą iglastą. Mistyczka знаła tę linię lesistego wzgórza, ten zakręt. Zaraz za nim była rzeka, a za kolejnym wzgórzem zobaczą przed sobą ścianę boru – Księżycową Puszcę.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – powiedziała Suri. Spojrzała na słońce. – Dotrzemy tam, nim nastanie południe. Jak się czujesz? – zwróciła się do Arion. – Pójdziemy powoli. Nie ma potrzeby się śpieszyć.

Arion, która siedziała otulona lekką chustą, wyglądała na zaskoczoną.

– Czy zmierzamy w inne miejsce niż pozostali?

– Owszem, do Głogowej Dolinki. Do domu.

– Ale Persefona... Sądziłam, że zmierzamy do Alon Rhist. – Arion miała zdezorientowaną minę.

– To ona tam zmierza. My zmierzamy do domu – odparła Suri. – Pokochasz to miejsce, Arion. Ogród będzie w katastrofalnym stanie, ale zrobię z nim porządek. Nie będziesz musiała nic robić, tylko odpoczywać i nabierać sił. Pójdziemy popływać!

– Suri, zaczyna się wojna – powiedziała Arion.

Suri uważała, że głos Fhrejki odzwierciedla stan jej zdrowia. Nadal był stanowczo zbyt zdyszany i brzmiał głucho.

– Owszem. – Mistyczka zerknęła na mężczyzn, którzy nieśli na ramionach motyki i szpadle. – Ale żyjąc w głębi lasu, nie doświadczymy jej. Będziemy bezpieczne i szczęśliwe. Będzie trochę tak jak kiedyś, z Turą.

Persefona zażyczyła sobie, żeby Suri i Arion wyruszyły do fortecy Fhrejów, ale zdaniem Suri wojna nie jawiła się pociągająco. Mistyczka wymyśliła lepszy plan. We dwie pojedą na wozie z powrotem do Księżycowej Puszczy, a potem pójdą piechotą do Głogowej Dolinki. Arion wciąż była słaba, więc będą wędrowały wolno, z częstymi postojami. Może zajmie im to cały dzień, ale kiedy już tam dotrą, Suri pokaże Arion najpiękniejsze miejsce na świecie: mały wąwóz, gdzie światło słońca jest złocistsze, woda smaczniejsza, a różne gatunki ptaków wyspiewują chórem swe trele. Suri wiedziała, że Arion będzie zachwycona. W tamtym cudownym miejscu Fhrejka powróci do sił, a wtedy...

– Suri? – Arion wpatrywała się w nią. – Jesteś gotowa, żeby ze mną porozmawiać?

Suri odwróciła wzrok, spoglądając na puszcę. Ponad granią wzgórz widziała już miejsce, które uważała za swój dom.

– Czy powiesz mi, co tam się stało? – zapytała Arion.

– Co masz na myśli?

– Ostatnie, co pamiętam, to że tkwiliśmy uwięzieni pod górą. Miałyśmy umowę, ty i ja. Ponieważ tu jestem, muszę przyjąć, że nie dotrzymałaś słowa. Nie sądzisz, że już pora, żebyśmy porozmawiały o tym, co się wydarzyło?

Padera poruszyła się niespokojnie.

– Powinnaś odpoczywać – powiedziała.

Arion zignorowała ją i dalej wpatrywała się w Suri.

Księżycowa Puszcza ukazała się oczom podróżnych w pełnej letniej krasie soczyście zielonych liści. Otaczające ją pola były natomiast jasnozłote z plamkami oranżu, żółci i purpury. Ptaki przelatywały nisko, pszczoły bzyczały, a w górze dryfowały beztrosko puchate białe obłoki.

– Nie powiesz mi, co się stało z Minną?

Na dźwięk tego imienia Suri oderwała spojrzenie od pięknego krajobrazu, ale nie popatrzyła na Fhrejkę i nie wyrzekła ani słowa.

– Suri, nie jestem głupia.

– Nie powiedziałam, że jesteś.

– Dlaczego, Suri? Dlaczego to zrobiłaś?

Suri zwiesiła głowę, krzywiąc usta w wyrazie protestu. Nie chciała o tym rozmawiać, nie teraz. Ani z Arion, ani z nikim innym. Nigdy.

– Kochałaś ją – podjęła Arion.

– Nadal kocham – wyrwało się mistycze.

Słaba, drżąca dłoń dotknęła jej nadgarstka. Długie, delikatne palce Fhrejki pogłaskały go delikatnie.

– Chciałam, żebyś zabiła mnie, nie ją.

– Wiem.

– Suri... Nie mogę z tobą wrócić do twojego domu.

Suri odsunęła się, splotła dłonie na podołku i znów popatrzyła na Księżycową Puszcę. Na zachodzie rozciągało się rozległe morze zieleni. Gdy Suri spoglądała na mijane drzewa, pomyślała, że las wydaje się teraz dziwnie mały. Czy zawsze taki był?

– Ty też nie możesz tam wrócić – podjęła Arion. – Wiesz o tym, prawda? Teraz jesteś motylem, i to w większym stopniu, niż kiedykolwiek przypuszczałam. Dni żywienia się liśćmi dobiegły końca. Teraz to kwiaty cię potrzebują. Twoim domem nie jest już Głogowa Dolinka, tylko niebo. Nie możesz się ukrywać, Suri. Musisz fruwać. Musisz pokazać wszystkim piękno tych skrzydeł.

Suri zmarszczyła brwi i zeszła z jadącego powoli wozu.

– W tej chwili chyba wolę iść piechotą.

Pozwoliła, żeby wóz odjechał, zostawiając ją na tyłach długiej kolumny piechurów. Tu było cicho, panował większy spokój, przyjemnie też było czuć pod stopami znajomą, choć niestety okropnie zdeptaną trawę. Chociaż Suri znalazła się w ogonie pochodu, odkryła, że nie jest sama. Kolejnymi pozostawionymi w miękkiej ziemi przez koła wozu wędrował Raithe. Jego leigh mor był podkasany i zawiązany luźniej niż w zimie. Odślaniał włochate ręce i nogi właściciela, a w myślach Suri pojawiło się słowo „sierść”. Większość mężczyzn tak nosiła swoje płaszcze w ciepłej porze roku. Raithe zerknął w jej stronę, ale nic nie powiedział. Bez słowa podjęli marsz we dwoje.

Szli w milczeniu, aż dotarli do rozstajów, gdzie od gościńca odchodziła droga, która niegdyś wiodła do dahlu Rhen. Suri pomyślała, że ostatnio przysłała w to miejsce z tej samej strony rankiem po tym, jak zginęła Gryna Brunatna. Oboje z Raithe'em zwolnili kroku. Oboje popatrzyli na niepozorną ścieżkę wijącą się wśród wysokich, zbrązowiałych traw. Wiodła do pozostałości zrujnowanych wałów obronnych, strażnicy i studni. Do przeszłości, która okazała się punktem zwrotnym.

– To ciekawe, jak decyzja, żeby pójść w jakimś kierunku zamiast w innym, może zmienić całe twoje życie – stwierdził Raithe, idealnie ujmując w słowa to, o czym rozmyślała mistyczka. – Przypuszczalnie nie powinienem był skręcać na tę drogę.

Jakaś część Suri zgadzała się z nim całym sercem. Gdyby tej wiosny nie udała się do dahlu Rhen, Minna nadal by żyła i obie cieszyłyby się kolejnym spędzaniem wspólnie latem. Oczywiście, gdyby nie udała się do dahlu Rhen, wszyscy pozostali prawdopodobnie byłiby martwi.

Czy złe rzeczy dzieją się również wtedy, kiedy nic o nich nie wiem? – pomyślała.

Westchnęła, zastanawiając się, czy Raithe mówił do niej, czy po prostu rozmawiał sam ze sobą. Nie była też pewna, do kogo sama się zwraca, kiedy powiedziała:

– Najgorzej, że nadal nie wiem, czy było warto.

Popatrzyli na siebie ze zrozumieniem, po czym wznowili marsz. Szli teraz za wozem w większej odległości, zostając z tyłu i pozwalając, żeby świat od nich odpływał.

– Chciałabym teraz zmierzać w stronę domu. – Suri kopnęła kamyk w wysoką trawę.

– A ja chciałbym zmierzać w jakąś inną stronę – odparł Raithe. Zerknął na nią. – Jestem pewien, że miejsce, które nazywasz domem, jest znacznie miłsze niż miejsce, które ja tak nazywałem. – Wskazał jadący z przodu wóz. – Jak się miewa Arion?

– Jest irytująca. – Suri spodziewała się, że Raithe okaże zaskoczenie i spyta, dlaczego. On jednak tylko skinął głową, jakby wszystko rozumiał. – Chciałam, żeby wróciła ze mną do puszczy, do dolinki, gdzie kiedyś mieszkałam. Zdawało mi się, że mogłybyśmy być tam szczęśliwe, ale ona się upiera, że musimy wziąć udział w tej wojnie.

– Brzmi to zdumiewająco podobnie do Persefony.

– Serio?

Raithe kiwnął głową.

– Nie chce mnie słuchać. Ale słucha Nyphrona. Nie ma z tym żadnego problemu. Ruszamy na wojnę z Fhrejami, a komu ona daje posłuch?

– Czyli ty też nie chcesz iść do tego całego Rhistu?

– Wolałbym, żebyśmy wszyscy znaleźli się w twojej dolince. – Otarł pot z czoła i mrużąc oczy, z pełną pretensji miną spojrzał w górę, na palące słońce. – Czy jest tam gdzie pływać?

Suri się uśmiechnęła.

– W czystym jeziorze, z łabędziami.

– Jest co jeść?

– Jest mnóstwo jedzenia.

– Brzmi idealnie.

– Bo tak właśnie jest – odparła z przekonaniem.

– To tam, prawda? – Raithe wskazał przerwę w linii lasu.

– Tak – odparła Suri. – Tym zboczem w górę, potem w lewo i w dolinę. Moglibyśmy tam bez problemu dotrzeć przed zmrokiem. Nikt by się nie zorientował, że nas nie ma.

Oboje popatrzyli na wozy i na długą, wijącą się wężowato kolumnę ludzi otoczoną kłębamii pyłu. Nikt się nie oglądał, a nawet gdyby, z tej odległości i tak

nie było widać, co robią Suri i Raithe. Mogliby się wymknąć niezauważeni i na zawsze przepaść w mrokach niepamięci. Wojna toczyłaby się dalej, ale bez ich udziału.

Czy złe rzeczy dzieją się również wtedy, kiedy nic o nich nie wiem? – pomyślała ponownie Suri.

Oboje przystanęli. Stali nieruchomo pośrodku drogi, słuchając, jak turkot kół cichnie w oddali.

– Co o tym sądzisz? – zapytała Suri.

Raithe westchnął, po czym pokręcił głową.

– Nie możemy ich zostawić. I to chyba głupie, żeby teraz nagle zacząć kierować się rozsądkiem.

– Tak. Masz absolutną rację. Jesteś chyba najmądrzejszym... – Urwała przerażona. Wszystko wydawało się tak znajome, że słowa po prostu wyrwały jej się jak zawsze, zupełnie jakby wędrowała razem z...

Rozpłakała się. Miała wyrzuty sumienia i nienawidziła siebie za to, że tak łatwo zdradziła pamięć Minny.

Raithe stał w milczeniu i czekał, nie osądzając jej.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Zrobiła to bez zastanowienia. Potrzebowała przytulić się do kogoś, a on był obok. Sądziła, że mężczyzna się odsunie, ale nie. Zamiast tego poczuła, że jego ramiona obejmują ją i zamykają w delikatnym uścisku. Raithe nie powiedział ani słowa, a ona wiedziała, że pomiędzy przyjaciółmi tak właśnie powinno to wyglądać.

Rozdział drugi

Przed wrotami z brązu

Alon Rhist było zaledwie jedną z siedmiu fhrejskich fortec rozmieszczonych wzdłuż granicy naszych ziem, ale było czymś więcej niż tylko siedzibą szczepu Instarya oraz grobowcem dawno zmarłego władcy. Alon Rhist wydawało się ucieleśnieniem fhrejskiej potęgi oraz absurdu, jakim było rzucenie jej wyzwania.

Księga Brin

Raithe pomógł Persefonie wspiąć się na ostatnią półkę skalną. Mogłaby tam wejść o własnych siłach – żaden z pozostałych wodzów nie potrzebował pomocy i żadnemu jej nie zaoferowano – ale mimo to ujęła wyciągniętą dłoń Dureyanina. Persefona zawsze uważała, że powinna być miła dla ludzi, dopóki może, bo nie zawsze będzie mogła sobie pozwolić na taki luksus. To w każdym razie sobie wmawiała, ale wiedziała, że gdyby ktokolwiek inny zdobył się na ten gest względem niej, zasygnalizowałaby, że pomoc jest zbędna.

Raithe był odważny, sprawny i przystojny. Nosił swój leigh mor z niedbałą gracją. Kobiety z upodobaniem rozprawiały o młodym Dureyaninie, ale on ignorował ich próby flirtu. A Persefona nie mogła mu ofiarować tego, czego chciał. Nadal czuła się małżonką swego nieżyjącego męża, choć nie potrafiłaby tego ująć w słowa, a nawet zdefiniować w myślach; emocje przemawiały swoim własnym językiem, który nie zawsze dawało się przetłumaczyć na zwykłą mowę.

Raithe nie był ani trochę podobny do jej męża. Reglan, starszy od niej o prawie trzydzieści lat, bardziej przypominał ojca, nauczyciela, przewodnika. W zestawieniu z Raithe'em to Persefona okazywała się tą mądrą, pewną ręką, która mocno trzyma ster, by łódź płynęła prosto. A mimo to chwyt Raithe'a – bezpieczny, ciepły i silny – dodawał jej otuchy. Była keenigiem, przywódczynią

dziesięciu klanów, sprawującą rządy nad milionami poddanych, lecz nadal potrzebowała czegoś więcej. Władza nie mogła zastąpić szacunku, poświęcenie nie mogło zastąpić przyjaźni, a nic nie mogło zastąpić przytulnego ciepła miłości. Owszem, Raithe ją kochał, pragnął jej, i choć nie miała możliwości spełnić jego życzenia – w każdym razie jeszcze nie teraz – pielęgnowała w myślach tę wizję. Dar jego pożądaniami stanowił kolejne z tych niemożliwych do zwerbalizowania, trudnych do kontrolowania uczuć. Namiętność była czymś dzikim i samolubnym, co nie respektowało granic ani zdrowego rozsądku, ale bez niej życie wydawało się pozbawione sensu.

– Jak nazywacie to miejsce? – Rozejrzała się, chłonąc wrażenia, jakie przynosiło stanie ponad równiną na przypominającej kolumnę skale wysokiej na dziesięć sążni.

– Skala Udręki – odparł Raithe.

Wierzchołek kolumny był o wiele za mały, by Persefona czuła się na nim komfortowo ze świadomością, że ze wszystkich stron otacza ją przepaść. Kiwnęła głową.

– Właśnie widzę. No tak.

Przeszła się po ciasnym okręgu, szurając stopami po skale, bo bała się podnosić je wyżej. Strach przed runięciem z wysokości pozostawał irracjonalny, dopóki nie robiła niczego głupiego. Wierzchołek skały był płaski jak stół, ale Persefona nie ufała sobie. Potknięcie nie wchodzi w grę, pomyślała. Chyba że nauczę się latać.

Nigdy nie lubiła dużych wysokości. Jako dziecko wczesnie przestała wspinać się na drzewa i wymigiwała się od pomagania przy kładzeniu strzech, twierdząc, że cierpi na różne radykalnie wyolbrzymione dolegliwości. Stojąc na Skale Udręki i spoglądając w dół, na zebrane klany Rhulynu, które z tej odległości przypominały rojowisko mrówek, poczuła zawrót głowy. Jakim cudem znalazła w sobie dość odwagi, żeby zeskoczyć z tamtego wodospadu w Księżycowej Puszczy? Miała wrażenie, że od tego incydentu upłynęły dziesięciolecia, a nie zaledwie kilka krótkich miesięcy.

Wilki, przypomniała sobie. Tak, wataha ścigających ją wilków stanowiła dobre źródło motywacji.

Persefona obserwowała z podziwem, jak Suri wspina się tak zwinnie, jakby wierzchołek skały znajdował się ledwie pół sążnia nad ziemią. Nie dość, że dziewczyna nie okazywała najmniejszego lęku, to jeszcze sprawiała wrażenie dogłębnie znudzonej.

Z miejsca, gdzie stali, roztaczał się rozległy widok.

– Mieszkałeś gdzieś w tych okolicach? – spytała Persefona, zwracając się do Raithe'a.

Wyciągnął rękę w kierunku północno-wschodnim.

Większą część krainy zwanej Dureyą zajmował pylisty płaskowyż: jedna wielka skalna płyta, z której wystawały ostańce takie jak ten, na którym stali. Spoglądając w stronę wskazaną przez Raithe'a, Persefona wypatrzyła czarny znak na jednolicie żółtawoszarej równinie.

– To była moja wioska, Clempton – powiedział Raithe. – Trzydzieści siedem zabudowań, czterdzieści rodzin, prawie dwustu mieszkańców. – Spoglądał w dal, nie mrugając, twardym, brutalnym wzrokiem.

Persefona była ciekawa, co Dureyanin teraz myśli, a potem wyobraziła sobie, że sama spogląda na ruiny dahlu Rhen.

Położyła dłoń na jego ramieniu. Jej dotyk sprawił, że Raithe oderwał wzrok od horyzontu i posłał jej wymuszony uśmiech.

Wszyscy rhulynscy wodzowie znajdowali się wraz z nią na wierzchołku skały, podczas gdy wodzowie ludu Gula byli tam, gdzie ich wojsko, które zostało strategicznie rozlokowane w kotlinach i wąwozach Dureyi. Nyphron rozstawił ich przedniej nocy, twierdząc, że wie, których miejsc nie widać z wieży Alon Rhist. Persefona była zmuszona powtórzyć jego instrukcje, gdyż Gula-Rhunowie odmówili przyjmowania rozkazów od Fhreja. Ten dziki, brutalny lud przypominał watahę wściekłych zwierząt. Wspaniała sprawa, jeśli akurat tego się potrzebowało, ale w innych okolicznościach można było dostać przez nich szau.

Persefona zmusiła się, żeby ostrożnie i powolutku podejść do krawędzi skały. Chciała przyjrzeć się dokładniej wszystkiemu, co było widać z góry. Górną granicę żółtawego płaskowyżu stanowił stromy, zygzakowaty wąwóz, którego linia widziana z ich perspektywy przypominała wykrzywione usta. Dnem tego kanionu płynęła rzeka Bern, wyznaczająca granicę pomiędzy Rhulynem a ziemiami Fhrejów. Gdzieś u podnóża Skały Udręki brała swój początek ścieżyna podobna do wyrysowanej kredą kreski, która biegła na północ aż do wąwozu i kończyła się przy białych kamiennych schodach wiodących do Wielkiego Mostu. Był on jedynym miejscem w promieniu wielu mil pozwalającym bezpiecznie przeprowić się przez rzekę. Spajał oba brzegi kanionu, fhrejski i ludzki, niczym pojedynczy szew na ziejącej ranie. Po drugiej stronie rzeki wznosiły się miasto i forteca Alon Rhist ze swoją ogromną kopułą oraz niebosięzną wieżą. Twierdzy broniły potężne kamienne mury i niezdojta brama z brązu.

Kiedy Persefona była jeszcze małżonką Reglana, co roku przejeżdżała po tym rzeźbionym kamiennym moście. Za każdym razem czuła przerażenie.

Zapraszano nas, pomyślała, a mimo to się bałam.

– Są przy schodach – oznajmił Tegan.

Wódz klanu Warric wyglądał jak przerośnięty karzeł ze schludną ciemną fryzurą i starannie rozczesaną brodą. Cechowało go sarkastyczne poczucie humoru, miał bystry umysł i był teraz jednym z najbardziej zaufanych doradców Persefony. Wyciągnął rękę i wszyscy, którzy stali na Skale Udręki, spojrzeli w stronę Wielkiego Mostu.

– Nie mogę uwierzyć, że wyraziłaś na to zgodę. – Raithe pokręcił głową, wpatrując się w niebo.

– Nyphron wie, co robi – odrzekła Persefona, starając się mówić z przekonaniem, którego wcale nie czuła. Zdała sobie sprawę, że bezwiednie zaciska pięści. Zmusiła się, by rozewrzeć dłonie i rozluźnić ramiona.

– A jeżeli jest w błędzie? Co, jeśli go zabiją? – spytał Raithe.

– Moi ludzie nie są na to gotowi – oznajmił Harkon. – Większa część klanu Melen dysponuje tylko narzędziami rolniczymi. Nie będziemy w stanie walczyć.

– Jeśli Nyphronowi się nie uda, wycofamy się – odrzekła Persefona. – Już teraz przebywamy w stosunkowo bezpiecznej odległości.

– A Nyphron? – zapytał Harkon. – Jeżeli sprawy przybiorą zły obrót, czy on też się wycofa?

– Nie wydaje mi się, żeby Nyphron i jego Galantianie brali taką możliwość pod uwagę – stwierdził Tegan. – Zakładają, że wygrają w każdym starciu.

– Miejmy nadzieję, że mają powody, by tak sądzić. – Persefona wyprostowała się, bo stale powtarzała sobie w myślach, że nie wolno jej się garbić. Jej matka zawsze krytykowała ją za nieprawidłową postawę. „Nikt nie będzie szanował żony wodza, która garbi się jak troll”. Matka z pewnością nie wyobrażała sobie, że to Persefona pewnego dnia zostanie wodzem, a co dopiero keenigiem, ale należało przypuszczać, że rada pozostaje aktualna.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz – skomentował Krugen.

– Zatem módlmy się, żeby nie nastąpił właśnie teraz.

Nyphron dotrzymał słowa. Nie zażądał, by jakikolwiek człowiek przeszedł przez most wraz z jego drużyną. Armia Persefony była ledwie widoczna z oddali dla Fhrejów gromadzących się po drugiej stronie rzeki Bern. Siły Gula-Rhunów znajdowały się ponad milę dalej, zgrupowane na płaskowyżu. Tak zażyczył sobie Nyphron. Persefona miała szczerą nadzieję, że zgodnie z jego planem jej wojsko będzie mieć dość czasu na ucieczkę, gdyby coś poszło nie tak. Jednakże, jak słusznie zauważył Tegan, Galantianie nie dopuszczali do siebie myśli, że mogą ponieść klęskę. Zgadzała się, że Nyphron prędzej rozważy możliwość, że słońce pewnego dnia nie wzejdzie, niż własną porażkę.

Ze szczytu Skały Udręki Persefona widziała, jak Galantianie podchodzą pod mury Alon Rhist. Grupka Fhrejów wyglądała z tej odległości jak siedem mrówek idących gęsiego. Dotarli do mostu i bez wahania przeszli na drugą stronę.

Chcąc ich lepiej widzieć, Persefona dała krok naprzód, zapominając na tę jedną sekundę, że stoi nad śmiertelnie niebezpieczną przepaścią. Raithe chwycił ją za rękę, bez słowa przypominając zarówno o zagrożeniu, jak i o tym, że leży mu na sercu jej bezpieczeństwo. Kiedy Persefona spojrzała na niego z ukosa, puścił ją z zawstydzoną miną.

Harkon, wódz klanu Melen, z podziwem pokręcił głową.

– Nie znają lęku.

– Wariaci – wymamrotał Krugen, którego interesowały wyłącznie piękne stroje i drzemki. Tych drugich ucinał sobie mnóstwo, chrapiąc tak głośno, że nie dawało się tego przeoczyć.

– Dlaczego nikt nie próbuje ich powstrzymać? – zapytał Lipit.

– Z tego samego powodu, dla którego pośpiech jest niewskazany, kiedy polujesz na króliki – odparł Raithe. – Lepiej mieć pewność, że znalazły się w sidłach, zanim zaciągniesz pętlę.

Dłonie Persefony na nowo zacisnęły się w pięści i – co z pewnością załamałoby jej nieżyjącą matkę – znów upodobniła się posturą do trolla.

– Co to takiego? – Krugen wyciągnął rękę.

– Widzicie to? – zapytał Harkon. – Tam na równinie, po naszej stronie?

– Więcej Fhrejów – powiedział Raithe.

Persefona też ich dostrzegła. Dwa tuziny wojowników w zbrojach z brązu pojawiły się znikąd, odcinając Nyphronowi odwrót.

– Skąd oni się tu wzięli? – zapytał Tegan.

– Szczeliny – wyjaśnił Raithe. – Skały tam w dole są pełne pęknięć i rozpadlin. Można się schować w takiej szczelinie, nakryć kocem w kolorze ziemi, a wróg przejdzie i cię nie zauważy. Robiliśmy to często.

– Czy Nyphron nie powinien sobie zdawać z tego sprawy? – zapytał Krugen.

– Sami widzicie. Nie jest tak sprytny, jak mu się wydaje – podsumował posepnie Raithe tonem kogoś przekonanego, że ma rację. Persefona wiedziała, że głównym obiektem frustracji Dureyanina jest Nyphron, ale czuła, że ona też. Ostatecznie to ona zezwoliła na przeprowadzenie tej akcji. Zimny, wyrażony bez emocji osąd Raithe'a zabolął właśnie dlatego, że to Dureyanin miał rację, a ona nie posłuchała.

– Myślicie, że uwzględnili to w swoich planach? – zapytał błagalnie Alward z Nadaku, tak jakby zgromadzona na skale grupka wodzów miała moc spełniania życzeń.

– Galantianie? – spytał z niedowierzaniem Tegan. – Oni nie planują. Uważają, że nadmiar przezorności kłóci się z duchem przygody. Tak słyszałem.

Alward zmarszczył czoło i zgarbił się, nie zamknąwszy rozdziawionych ust.

Persefona znów dała krok do przodu, a Raithe ponownie chwycił ją za rękę.

O ile za pierwszym razem było to irytujące, za drugim razem Persefona uznała, że przesadził. Zamierzała go skarcić, ale spojrzała w dół i zobaczyła, że stoi pół kroku od krawędzi. Gwałtownie zaczerpnęła tchu i cofnęła się na bezpieczną odległość.

– Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby stracić zarówno ciebie, jak i Galantian w jedno popołudnie – skomentował Raithe.

Stracić ich? Ta wizja, z pozoru tak nieprawdopodobna, skryształizowała się w umyśle Persefony po raz pierwszy. Co, jeśli Galantianie zostaną zabici lub pojmani? Co się z nimi stanie?

I co się stanie z nami?

Persefona popatrzyła w dół na setki ludzi oczekujących pod skałą oraz tysiące zgromadzone dalej. Odwróciła głowę, żeby się upewnić, że Suri nadal czeka obok. Ta dziewczyna zburzyła górę, więc powinna być w stanie ochronić wojsko Persefony przed kilkoma setkami Fhrejów. To dlatego wspięła się na skałę razem z wodzami, posłuszna naleganiom Persefony. Jednakże Persefona tak naprawdę nie miała pojęcia, jak działa magia i co Suri potrafi. A mistyczka przejęła od Arion niechęć do zabijania. Persefona często powtarzała sobie, że to dobrze, ale teraz nie była już taka pewna.

Znów spojrzała na czarną plamę na równinie, wszystko, co pozostało z wioski, gdzie niegdyś mieszkało czterdzieści rodzin. Zadała sobie pytanie, czy to możliwe, że właśnie popełniła swój pierwszy i ostatni błąd jako keenig Dziesięciu Klanów.

* * *

Dzierżąc w prawej dłoni zwiniętą flagę, Nyphron poprowadził swoich Galantian przez Wielki Most w stronę wrót z brązu. Kilkanaście sążni nad wejściem wisiało godło patrona fortecy, nieżyjącego władcy Alona Rhista – dwie skrzyżowane włócznie. Cholernie trudno byłoby je stamtąd usunąć, ale fakt, że Petragar nawet nie próbował tego zrobić, dobitnie ilustrował różnicę pomiędzy obecnym komendantem twierdzy a Nyphronem, czy raczej zaledwie jedną z różnic. Tylko Ferrol wiedział, jak długa okazałaby się ta lista, gdyby ktoś postanowił dokonać porównań i faktycznie ją spisać. Nyphron przypuszczał, że on i Petragar nawet nie żują jedzenia w ten sam sposób. Gdyby ich role były odwrócone, nad wrotami zawisłoby godło Nyphrona. Na razie nie miał takiego, ale już niedługo zamierzał się o nie postarać. Smok albo może lew – coś groźnego, potężnego, godnego szacunku. Wszyscy wielcy przywódcy powinni w jakiś sposób zmienić oblicze świata, a Nyphron zacząłby od wyrzeźbienia swego znaku na tej ścianie.

– Nie powinieneś był wracać – oznajmił Sikar.

Stał na czele oddziału tarczowników zagradzającego drugi koniec mostu. Był w pełnej zbroi, jakby spodziewał się kłopotów. Na jego hełmie pysznił się czerwony pióropusz – znak, że po wygnaniu Galantian Sikarowi udało się awansować.

– Nie mogliśmy wytrzymać na obczyźnie. – Tekchin wyciągnął ramiona i posłał Sikarowi kilka całusów. – Było nam zbyt tęskno za tobą.

Sikar pokręcił głową, marszcząc brwi. Ewidentnie nie był w nastroju do żartów.

– Jesteś durniem, Tekchin. – Przeniósł spojrzenie na Grygora, zatrzymując je na moment na drewnianej skrzynce, którą dźwigał olbrzym, a potem popatrzył na flagę w dłoni Nyphrona. – Poddajecie się czy chcecie pertraktować?

Elysan, starszy wiekiem Fhrej, który niegdyś był bliskim przyjacielem i doradcą Zephyrona, stanął po prawicy Sikara i odpowiedział pierwszy:

– Pertraktować. Słyszałeś kiedyś, żeby Galantianie się poddali?

Sikar nie odrywał wzroku od Nyphrona.

– Wiesz, zwyczaj nakazuje, żeby machać tą flagą, zanim podejdziesz do bramy. Nie żeby to wam coś pomogło. Fane ogłosił was banitami. Już nie chroni was Prawo Ferrola. – Mówił ze straszliwą powagą, a w jego oczach malowało się tak ewidentne poczucie winy, że Nyphron odnotował to jako interesujące.

Tekchin zaśmiał się cicho, splatając ręce na piersi. Nyphron wydał wcześniej rozkaz, żeby żaden z jego podwładnych nie próbował sięgnąć po broń, więc Tekchin zapewne czuł się jak na odwyku.

– I liczysz, że dzięki temu nie będziesz musiał spłacić tych długów hazardowych, które jesteś mi winien?

– To nie żarty! – krzyknął Sikar. – Oni...

Nad ich głowami zahuczały rogi, a wrota się otwały.

– Cicho – powiedział Tekchin. – Idzie twój zwierzchnik. Nie martw się, nic mu nie powiem.

Sikar nie wydawał się zirytowany. Raczej zasmucony. Powoli pokręcił głową i westchnął.

– Spokojnie, Sikarze – powiedział Nyphron. – Wróciłem. Wszystko naprawię.

– Zetną ci głowę. Jesteś tego świadom, prawda?

Nyphron tylko się uśmiechnął.

Z otwartych wrót wymaszerowała kohorta instariańskich wojowników. Nyphron nie musiał odwracać głowy, żeby wiedzieć, że inne oddziały odcięły im odwrót. Domyślał się, że Petragar wysłał im na powitanie całą Pierwszą

Włócznie. Ten pokaz siły był czymś więcej niż komplementem albo dowodem na Petragarowe tchórzostwo. Był dokładnie tym, czego Nyphron potrzebował.

Wojownicy zajęli pozycje po obu stronach mostu, zagradzając przestrzeń przed wrotami, aby umożliwić Galantianom przejście. Jednakże Nyphron nie zamierzał zrobić ani kroku dalej. Zaplanował to spotkanie włącznie z takimi szczegółami, jak kamienny blok, na którym teraz stał, jak również – co istotniejsze – przestrzeń, gdzie zgromadzili się Instarya. Po stuleciach znał na pamięć wszystkie kryjówki oraz strategiczne punkty.

Petragar opuścił fortecę jako ostatni.

Odważny jak zawsze, pomyślał Nyphron.

U boku komendanta twierdzy, kolebiąc się na nogach jak kaczka, kroczył Vertumus, legat władcy. Ten grubas ze szczepu Gwydry jakimś cudem zdołał awansować – albo wypaść z łask – i został przysłany tutaj, do Avrlynu, który Fhrejowie uważali za dzicz. Vertumus towarzyszył Petragarowi, kiedy ten przybył po śmierci ojca Nyphrona, żeby objąć stanowisko komendanta Rhistu. Nyphron wiedział o nim tylko tyle, że Vertumus był współtwórcą planu polegającego na wysłaniu Rapnagara i pozostałych olbrzymów, aby zniszczyli dahl Rhen i zabili Nyphrona, Arion oraz Raithe'a.

Dobrana z nich parka: chłoptaś i jego łasica, pomyślał.

– Nyphronie, synu Zephyrona – odezwał się Vertumus. – Zostałeś...

– Zamknij się – rozkazał Nyphron. – Nie przybyłem z tak daleka po to, żeby słuchać, co masz do powiedzenia.

Petragar wytrzeszczył oczy.

– Nie masz...

– Nie przybyłem też po to, żeby rozmawiać z tobą, ty synu Jędzy Tetlin.

Petragar wydawał się skonfundowany rhuńską obelgą, tonem, jakim Nyphron do niego przemówił, oraz... cóż, wszystkim innym. Taki już był. Podczas gdy gapił się na swoich podkomendnych, próbując zrozumieć, co się dzieje, Nyphron ogarnął wzrokiem twarze swojej licznej rodziny. Znał ich wszystkich.

Ojciec Nyphrona był tyranem, jeśli chodzi o wychowanie syna. Zephyron, pan Rhistu i głównodowodzący wszystkich sił stacjonujących wzdłuż zachodniej granicy, nie zrobił absolutnie nic, żeby uprzywilejować Nyphrona czy zapewnić mu specjalne traktowanie. Jego syn był zmuszony sypiać w koszarach razem z pozostałymi Instarya oraz spożywać posiłki we wspólnej sali jadalnej. Nyphron maszerował w tym samym błocie, walczył i krwawił obok szeregowych żołnierzy. W tamtych czasach prowokowało to jego protesty, teraz jednak, stojąc na Wielkim Moście, w myślach podziękował ojcu. Zaledwie po raz drugi w życiu. Pierwszy raz nastąpił po tym, jak Zephyron raczył zginąć w trakcie Uli Vermar.

– Powróciłem, by przemówić do moich braci. – Gdy tylko wyrzekł te słowa, Grygor postawił skrzynkę na ziemi, a Nyphron wspiął się na nią. – Instarya! – krzyknął z tego zaimprovizowanego podwyższenia, wymachując zrolowaną flagą jak batutą pozwalającą mu dyrygować symfonią oczu. – Władca Alon Rhist powrócił. Przybywam jako wybawca, żeby wyzwolić was spod tyranii idiotów i tchórzy.

– Jak śmiesz?! – wykrzyczał Petragar, Jego głos przeszedł w kompromitująco skrzekliwy wrzask. Idealnie. – Jesteś...

– Już zbyt długo znosimy zniewagi i upokorzenia ze strony fane'a, który nas nie szanuje, nie docenia i nie kocha. – Nyphron bez trudu zagłuszył skrzeczące okrzyki Petragara. Przywódca Galantian był dobrym mówcą: jego głos był donośny, głęboki i dźwięczała w nim pewność siebie.

– Jesteś zdrajcą! – krzyknął Petragar. – I synem zdrajcy!

Nie zaszczycając go spojrzeniem, Nyphron uznał za stosowne zareagować na rzucone oskarżenie, głównie dlatego, że zgrabnie wpisywało się w tok jego przemowy. Nie spodziewał się wsparcia, a już na pewno nie ze strony Petragara, ale nie miał nic przeciwko temu, żeby je przyjąć.

– Mój ojciec oddał życie za swój szczep, w służbie swego ludu, by umożliwić im powrót z wygnania, gdzie tylko my jesteśmy zmuszeni cierpieć w błocie i przelewać krew. Walczymy i ginimy, podczas gdy Miralyithowie, Umalyn, Nilyndd, Eilywin i Gwydry korzystają z owoców naszego poświęcenia. Nawet Asendwayrom wolno powracać za rzekę Nidwalden. Tylko Instarya pozostają wykluczeni z naszej starodawnej ojczyzny. Dlaczego tak jest?

– Ponieważ to fane o tym decyduje, nie ty! – krzyknął Petragar. Jego głos brzmiał piskliwie i słabo.

– Zaiste! – Nyphron zaczynał naprawdę doceniać wkład Petragara w swoje przemówienie. Ten wiotki jak wierzba płacząca Fhrej miał jedną nieoczekiwaną zaletę: sprawiał, że Nyphron wypadał świetnie na jego tle. Nie można było ofiarować synowi Zephyrona lepszego podarunku. – Ponieważ fane zarządził, że choć dźwigamy na barkach największe brzemie, naszą zapłatą będą pogarda i upokorzenie. Ci z was, którzy byli obecni w Estramnadonie i widzieli pojedynki, mogą to potwierdzić. Czy tak postępuje fane, który wie, co to honor, i darzy szacunkiem swój lud? Czy raczej tyran, który umacnia swe rządy, siejąc terror?

– Sikar! – wrzasnął Petragar. – Aresztuj go! Ściągnij go z tej skrzynki!

Sikar się zawahał.

Naprawdę go nienawidzą, pomyślał Nyphron. To może się okazać jeszcze łatwiejsze, niż sądziłem.

– Pozwólcie, że wyjaśnię, w jakim celu przybyłem. – Nadał swemu głosowi delikatniejsze brzmienie i podjął: – Jestem tu, żeby uratować was wszystkich. Alon Rhist to jedyny dom, jaki kiedykolwiek znałem, a Instarya są moją rodziną. Przybyłem, żeby was ocalić.

– To ty potrzebujesz ocalenia – zawarczał Petragar, przepychając się ku Nyphronowi przez szeregi stojących nieruchomo żołnierzy.

– Od wielu lat ostrzegałem, że Rhunowie są w stanie walczyć równie sprawnie jak Fhrejowie. Mało kto mi wierzył. – Skupił wzrok na Sikarze. – Życie udowodniło, że miałem rację, kiedy Shegon zginął w czasie patrolu przy Rozwidleniu.

– Shegon został zamordowany, kiedy leżał nieprzytomny – rzekł Sikar.

– To bez znaczenia. Widziałem na własne oczy, jak rhuński wojownik zabił Gryndala. Zarąbał go perfekcyjnym ciosem w szyję, oddzielając głowę od tułowia. Pamiętacie Gryndala, czyż nie?

Sądząc po minach tłumu, żaden żołnierz nie przyjął tych słów obojętnie. W tym również Sikar, który odwrócił się i popatrzył na Petragara. Nie on jeden.

– Czy to prawda? – zapytał Sikar.

– Ja... Powiedziano mi, że coś...

– Rhun zabił Gryndala, a ty nam nie powiedziałaś?

– I Gryndal nie był wówczas nieprzytomny – podjął Nyphron. – A jeśli to nie wystarczy, wiedzcie, że sam walczyłem z Rhunami, a w Rhenie omal nie zginąłem w starciu z jednym z nich. Uratowało mnie tylko to, że Sebek interweniował w porę.

Spojrzał na Sebeka, a ten skinął głową. Wywołało to jeszcze większe zdziwienie zgromadzonych.

– To znaczy, że straciłeś wprawę – oznajmił Petragar, przepychając się między tarczownikami, żeby stanąć obok Sikara. Krzyknął z frustracją: – Dobądź broni i zabierz ich do duryngonu albo zabij ich na miejscu! Ale zrób to natychmiast, inaczej zostaniesz oskarżony o sprzeciwianie się rozkazom fane'a i stracony razem z Galantianami!

Wściekłe krzyki Petragara sprawiły, że Sikar cofnął się o krok. Skrzywił się z niezadowoleniem, po czym westchnął i sięgnął po broń.

– Lepiej nie próbuj – powiedział Tekchin.

– Zamknij się. – Sikar dobył miecza z takim ociąganiem, jakby brzeszczot ważył więcej niż Grygor. – Czy choć raz nie możesz trzymać języka za zębami?

– Wiem, że trudno w to uwierzyć – podjął Nyphron, zwracając się do Sikara.

– Ale tym razem Tekchin ma rację. Odłóż miecz.

– Nie mogę. – Sikar pokręcił głową. – Nie powinieneś być wracać.

Sikar był dobrym żołnierzem, co oznaczało, że samodzielne myślenie nie zalicza się do jego mocnych stron. Miał silne ręce, gotowe służyć temu, kto pociąga za sznurki, a chwilowo tym kimś był Petragar.

Pora przeciąć ci sznureczki, kukielko, pomyślał Nyphron.

– Zanim rozkażesz moim przyjaciołom nas pozabijać... – Mówił powoli, wyraźnie i głośno, równocześnie rozwijając krwistoczerwoną flagę. – Pozwól, że wam pokażę jeszcze coś, co mogło umknąć waszej uwadze.

– Możesz sobie darować teatralne gesty. Już widzieliśmy tę obdartą bandę Rhunów, z którymi podróżujesz – oznajmił Sikar.

– Widzieliście tylko tych, których uznałem za stosowne wam pokazać – odrzekł Nyphron. – Pozwól, że wam przedstawię tych, którzy dotąd pozostawali w ukryciu.

Wzniósł flagę i pomachał nią nad głową.

Z oddali odpowiedział mu dźwięk rogów.

Nyphron nie odwrócił głowy. Nie musiał. Wszystko, co działo się za jego plecami, znalazło odzwierciedlenie w wytrzeszczonych oczach Fhrejów, którzy stali przed nim. Nawet Sikar rozdziawił usta. Petragar wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć.

– Zamknijcie wrota! Zamknijcie wrota! – wrzasnął.

– Tego też bym nie robił na waszym miejscu. – Tekchin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Choć trudno w to uwierzyć, Tekchin znów ma rację. – Nyphron przestał machać flagą i opuścił ją. – To, co widzicie, to pięć tysięcy zaprawionych w walce, uzbrojonych w dhergijską broń Gula-Rhunów. I zanim pomyślicie, że mury Alon Rhist was ochronią, zważcie, że mamy też Miralyitha.

– Miralyitha? – zapytali jednym głosem Sikar i Petragar, a potem, niczym echo w kawernie, żołnierze również zaczęli powtarzać to słowo.

– Wy ją znacie jako Arion, nauczycielkę księcia.

– Wysłano ją, żeby cię aresztowała – powiedział Petragar.

– Zmieniła zdanie. Nawet ona widzi, że fane postradał rozum.

– A fane wysłał olbrzymów, żeby ją ukarali za błędną ocenę sytuacji.

– To była olbrzymia pomyłka. – Tekchin zachichotał.

Nyphron uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Zaiste, olbrzymy nie wyszły na tym zbyt dobrze. Nie żyją, a Arion współpracuje teraz z nami. Dlatego zamknięcie tych wrót nijak wam nie pomoże. Arion wysadzi je w powietrze albo po prostu zburzy mury.

– Kłamiesz – rzucił Petragar.

Nyphron odwrócił się do Galantian.

– Przysięgnijcie na wasz honor, że mówicie prawdę przed waszymi braćmi oraz lordem Ferrolem. Czy Artystka Arion, niegdyś nauczycielka księcia, przyłączyła się do nas z własnej woli i dopomaga nam w naszych działaniach?

Wszyscy Galantianie odrzekli jednym głosem:

– Przysięgamy na nasz honor, że tak właśnie jest.

– Kłamiecie! – zawył Petragar. – Oni wszyscy kłamią!

Tak zirytowany, że nie był w stanie dłużej zachować milczenia, Elysan odwrócił się do niego.

– To Galantianie.

– I są kłamcami! – Głos Petragara łamał się, przechodząc w pisk.

– Nie waż się tego powtarzać – warknął Sikar przez zaciśnięte zęby.

– Nie będziesz mówił lordowi Petragarowi, co ma robić – odezwał się Vertumus. – To on tutaj dowodzi.

– Tak jest – oznajmił Petragar. – To ja dowodzę. Ci... ci Galantianie są wyjętymi spod prawa heretykami i zdrajcami. Mają zostać sprowadzeni z powrotem do Estramnadonu bądź zabici w przypadku, gdyby stawiali opór. Taka jest wola fane'a. – Odwrócił się do Sikara. – Czyń swoją powinność.

– Wojna zacznie się tutaj – oznajmił Nyphron, też zwracając się do Sikara. – Nie mogę pozwolić, by ta forteca nadal stała, jeśli stanie przeciwko mnie.

– Nie możesz żądać, byśmy zabijali swoich. Nawet jeśli obecny fane jest kiepskim władcą, nadal obowiązuje nas Prawo Ferrola.

– Ależ ja nie proszę, żebyście robili cokolwiek. – Nyphron zaczął zwiijać flagę. – Prawdę mówiąc, chcę, żebyście nie robili absolutnie nic.

To właśnie był klucz, który Nyphron wetknął w zamek i zamierzał zaraz przekreślić. Dostrzegł zaskoczenie w oczach Sikara, jak również – co ważniejsze – ochocze zaciekawienie. Żołnierz znalazł się w pułapce pomiędzy rozkazami a honorem i desperacko poszukiwał jakiegoś wyjścia.

– Nic? Nie rozu...

– Powiedziałem, aresztuj go albo zabij! – warknął Petragar.

Elysan tylko przewrócił oczami.

– Jestem przywódcą szczepu Instarya – rzekł Nyphron do Sikara, ignorując Petragara. – Nie proszę mego ludu o nic, czego sam nie byłbym gotów zrobić. A nie zamierzam łamać Prawa Ferrola. Gdyby było inaczej, naprawdę myślisz, że on by nadal żył? – Nyphron wskazał Petragara zrolowaną flagą. – Wszystko, o co proszę, to żebyście mi nie stawiali na drodze. Po prostu się nie mieszajcie. Jeśli to konieczne, zamelduj władcy, że w obliczu miażdżącej przewagi liczebnej wroga nie mieliście innego wyjścia, jak tylko się poddać, bo w przeciwnym razie moje wojsko wyrznęłoby w pień całą załogę Alon Rhist. Obawiam się, że taka właśnie jest prawda. To dlatego ich sprowadziłem. Rhunowie są tu po to, żeby

dostarczyć usprawiedliwienia dla twoich działań i zniwelować obawy, że te działania mogłyby rzucić jakikolwiek cień na twój honor.

Sikar zmrużył oczy.

– Jaki jest twój plan?

– Przestań dawać mu posłuch! – Petragar bez ostrzeżenia popchnął Sikara.

Każdy, kto choć trochę znał tego drugiego, wiedziałby, że jest to błąd. Kapitan gwardii zamachnął się łokciem i rąbnął Petragara prosto w żuchwę. Komendant twierdzy wrzasnął, zatoczył się i padł. Nie zaszczycając go spojrzeniem, Sikar ponownie zwrócił się do Nyphrona:

– Jak to wszystko widzisz?

– Rhunowie są w stanie totalnej rebelii. Zarówno Gula, jak i Rhulyn. Zjednoczyli się i wybrali keeniga.

– Tak, wiemy – powiedział Elysan, nie patrząc na Galantian, tylko na wzgórze.

– Rhunowie będą bronią, której użyjemy, żeby przemówić władcy do rozsądku – wyjaśnił Nyphron. – Lub też mieczami, którymi strącimy go z tronu.

– Ale to jest... – Sikar miał zboląłą minę. – Nad wyraz niechętnie to mówię, ale Petragar ma rację. To, co robisz, to zdrada stanu.

– A czym jest to, co Miralyithowie zrobili szczepowi Instarya? No? Mój ojciec próbował trzymać się zasad. Był posłuszny prawom i widzieliście, z jakim efektem. Czy sądzisz, że Ferrol, który podarował nam róg, chciał, żeby jeden szczep permanentnie zdominował pozostałe? W takim razie jaki byłby sens istnienia rogu? Miralyithowie nigdy nie zrezygnują z władzy, a kto może liczyć na zwycięstwo w pojedynku z Artystą?

Sikar i Elysan wymienili spojrzenia. Nyphron mógłby przysiąc, że dostrzegł, jak Elysan kiwa głową, choć był to zaledwie minimalny ruch.

– Co wy na to? – zapytał Nyphron. – Odwróćcie się od Ferroła i nauczycie się czcić Miralyithów jako waszych nowych bogów? Czy też zaufacie mnie, członkowi szczepu Instarya wychowanemu, by wam przewodzić? Wychowanemu przez ojca, który oddał życie, żeby ocalić nas przed tymi samozwańczymi bogami?

– Ty kanalio! Znóaa złaaną szczękę! – wybełkotał Petragar.

Dopiero teraz zdołał się dźwignąć na czworaki. Kulił się na ziemi ze łzami w oczach, trzymając się za twarz.

Sikar odwrócił się, ale nawet nie spojrzał na Petragara. Stał przodem do zebranych Instarya i oznajmił:

– Fane rozkazał nam aresztować lub zabić tych Fhrejów. Nyphron prosi, byśmy się wstrzymali. Fane jest naszym władcą, ale Galantianie to nasi bracia.

W tym konflikcie jestem skłonny wziąć stronę moich braci i uznać Nyphrona, syna Zephyrona, za prawowitego pana Rhistu.

– Przychyłam się do tego samego – oznajmił Elysan. – Ale ponieważ jest to działanie wbrew woli fane’a, nie możemy nikomu wydać takiego rozkazu.

Sikar kiwnął głową i cofnął się tak, by droga do mostu i Galantian stanęła otworem.

– Każdy Fhrej, który nie chce sprzeciwić się rozkazom fane’a, może teraz swobodnie dobrać broń i czynić to, co uważa za swą powinność.

Zrobił jeszcze kilka kroków w bok, po czym powiódł wokół wzrokiem, wypatrując żołnierzy, którzy pozostali lojalni wobec fane’a.

Petragar, nadal kurczowo trzymając się za twarz, z wysiłkiem poruszył głową, żeby też się rozejrzeć.

– Zróćcie to! – krzyknął, gdy nikt się nie poruszył. – Aćcie oosłuszni semu ładcy!

Nadal nikt się nie poruszył.

Po kilku minutach bezruchu i ciszy przerywanej tylko desperackimi okrzykami Petragara Sikar skinął głową.

– Niech tak będzie. – Potem odwrócił się do Nyphrona. – Witaj z powrotem, mój panie.

* * *

– Jak sądzicie, co to oznacza? – zapytał Krugen, kiedy większość Galantian oraz obrońców twierdzy zniknęła we wnętrzu fortecy. Tylko Tekchin i Grygor zawrócili i weszli na most.

– Nie zabili ich – powiedział Lipit. – To musi być dobry znak, czyż nie?

Persefona już schodziła wąską, pylistą ścieżyną, zastanawiając się, jak szybko może bezpiecznie się przemieszczać. Chciała czym prędzej wrócić na dół, dowiedzieć się, co zaszło, i zastanawiała się, co ją podkusiło, żeby wspinać się na skałę.

– Co tam się wydarzyło? – Moya była pierwszą osobą, która powitała Persefonę na dole. Jej wielkie oczy wydawały się jeszcze większe niż zazwyczaj. – Walczyli? Czy Suri coś zrobiła?

Suri popatrzyła na nią zaskoczona.

– Odpowiedź na oba pytania brzmi: nie, ale nie wiemy dokładnie, co się wydarzyło. – Persefona pośliznęła się na żwirze, gdy była już prawie na dole. Potknęła się, ale zdołała bezpiecznie zeskoczyć na równy grunt. Znalazła się w grupce Tarcz wodzów. Wojownicy zostali i czekali tutaj po tym, jak Raithe

oznajmił, że nie pomieszczą się wszyscy na wierzchołku skały. – Tekchin i Grygor właśnie wracają. Mam nadzieję, że przynoszą nam dobre wieści.

– Tekchin?

– Tak, Moya. – Persefona przewróciła oczami. – Twój ukochany jest cały i zdrów.

– Tylko zapytałam, pani keenig.

– Nie mów tak do mnie.

– Wszyscy tak mówią.

– Nieprawda.

Persefona przepchnęła się obok Oza i Edgera, zakasała spódnicę i zbiegła po zboczku na skraj drogi. Ujrzała stamtąd dwóch Galantian, którzy zmierzali ku niej energicznym krokiem. Za nimi podążali mężczyźni z klanów Rhen, Tirre i Warric, ciekawi przyniesionych wieści.

– Pani keenig. – Tekchin powitał ją oszczędnym ukłonem.

Persefona zmarszczyła brwi.

– Co tam się wydarzyło?

– Jesteśmy w środku.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Tekchin zamaszystym gestem wskazał Alon Rhist.

– Twoja nowa forteca czeka. Myślę, że okaże się wygodniejsza niżli Wschodnie Grzędawisko.

– Moja forteca?

Tekchin parsknął śmiechem.

– Pani keenig, czy nie patrzyłaś, co się dzieje? Właśnie zdobyłaś Alon Rhist.

Rozdział trzeci

Rhist

Zamieniliśmy ubitą ziemię i z grubsza ociosane kłody na marmur i szkło.

Księga Brin

Podczas poprzednich wizyt w Alon Rhist Persefona trzymała się blisko Reglana, a żadne z nich nie paliło się do błąkania po mieście. Nikt nie przechadzał się bez celu po fhrejskim terytorium, a co dopiero w sercu ich głównej twierdzy, której najwyższa wieża stała się symbolem nieprzerwanego czuwania. W czasie tamtych wizyt procesja wodzów maszerowała pod strażą przez Wielki Most. Mężczyzn prowadzono do sali spotkań, kobiety zaś – te, którym pozwalano przybyć – oczekiwały w pobliskich komnatach. Persefona podziwiała lampy, okna, zasłony i meble. Nie odważyła się choćby wychylić nosa z małego apartamentu. Żadna z kobiet nie zdobyła się na takie zuchwalstwo. Nie zaproponowano im posiłku w południe, a wszyscy Rhunowie spożyli wieczerzę wspólnie.

Podczas drugiej wizyty Persefona odważyła się wspiać po schodach razem z Gelą, którą początkowo uważała za żonę Lipita, i dopiero później dowiedziała się, że to jego kochanka. Dotarły na wyższy poziom budowli, gdzie były okna, i zachwyciły się nieznanym im dotąd widokiem na ogromną kopułę, piękne miasto w dole oraz potężną wieżę, która wznosiła się niewiarygodnie wysoko.

Nikt ich nie zatrzymał, nikt nawet nie spojrzął w ich stronę, ale Persefona i tak śmiertelnie się wtedy bała. Wystarczyło im odwagi tylko na wyjrzenie z jednego okna, ale zachowała w pamięci tamten widok. Później śniła, że spaceruje po wybrukowanych ulicach miasta i zagląda do sklepów pod arkadami. W tych snach nigdy się nie bała. Była niewidzialna i jakimś sposobem miała tego

świadomość. Persefona nigdy nie przypuszczała, że te sny kiedyś staną się rzeczywistością.

W dniu, gdy Nyphron został panem Alon Rhist, poświęcił całe popołudnie na to, żeby osobiście oprowadzić Persefonę po fortecy, która miała stać się jej nowym domem. Dotąd sądziła, że twierdza jest ogromna, ale okazało się, że wcale nie. Majestatyczne fortyfikacje wznosiły się na szczycie góry, co wyglądało tak, jakby wyrastały prosto ze skał. Niżej rozpościerało się miasto zbudowane z jaśniejszego kamienia i drewna. Te mniejsze budynki tworzyły kolejne poziomy na zboczu wzgórza, oplatając się wokół niego jak ogon smoka wokół sterty złota.

– A to jest Mirrelyn. – Nyphron wskazał pozbawione ozdób otwarte drzwi w skupisku trzypiętrowych budynków.

– Kraina Wesołości?

Nyphron uśmiechnął się zaskoczony.

– Bardzo dobrze znasz fhrejski. Mirrelyn to... – Zatrzymał się na środku ulicy i zamyślił. – Nie wiem, czy w Rhulynie macie coś podobnego. To miejsce, do którego udajemy się, żeby pić, śpiewać pieśni i snuć opowieści.

– Robimy to wszystko w naszych strażnicach.

– Mirrelyn ma mniej formalny charakter. To miejsce, gdzie mogą przychodzić zwykli ludzie, żeby się odprężyć i miło spędzić czas. Galantianie i ja przesiedzieliśmy tam niejedną długą noc.

– Te budynki wydają się nieduże. Czemu przesiadujecie w nich, skoro macie tę ogromną kopułę? Mam wrażenie, że mogliby się pod nią zmieścić mieszkańcy całego miasta.

– Verenthenon to nasza sala plemienna, miejsce wieców. Taka mniejsza wersja Airenthenonu. Dowódcy poszczególnych Włóczni spotykają się tam, żeby dyskutować nad różnymi sprawami i doradzać komendantowi Rhistu.

Persefona uśmiechnęła się uprzejmie.

– Rozumiem.

– Nie masz zielonego pojęcia, co właśnie powiedziałem, prawda?

– Powiedziałeś, że ten budynek z kopułą to wasza strażnica, tylko nie pijecie tam.

Nyphron się roześmiał.

– W porządku, to się mniej więcej zgadza.

– Coś takiego nie sprawdziłoby się w Rhulynie – poinformowała go Persefona, gdy ruszyli dalej. – U nas nie można zwołać spotkania bez poczęstunku i napitku. Nikt by nie przyszedł.

Nyphron znów się roześmiał. Ładnie się śmieje, pomyślała Persefona. I życzliwie. Często postrzegała humor i śmiech – pod warunkiem, że nie

szydrczy – jako prezent, którym obdarowujący i obdarowany mogą się cieszyć w równym stopniu. Osoby pozbawione poczucia humoru jawiły się jej jako skąpcy. Znani jej mężczyźni byli w większości zdecydowanie zbyt poważni, co sprawiało, że Nyphron wydawał się promyczkiem światła w ponurym lesie.

Miasto wyglądało zupełnie inaczej niż w jej snach. Na jawie było znacznie mniej nieskazitelne, ale robiło o wiele większe wrażenie. Labirynt krętych uliczek wybrukowanych kamiennymi płytami, ładne łuki mostów, wielopiętrowe, pomalowane na jaskrawe kolory kamienice o wysokich oknach i drzwiach z ciemnego drewna – wszystko to były rzeczy wykraczające poza wyobraźnię Persefony. Jednakże z zaskoczeniem dostrzegła też sterty gnoju, rozbite garnki, pijanych do nieprzytomności Fhrejów śpiących w rynsztoku, nabazgrane na murach sprośne obrazki i smród moczu, który unosił się zwłaszcza w bocznych uliczkach. Jednakże największą różnicą pomiędzy snami a rzeczywistością był fakt, że na jawie mieszkańcy Alon Rhist mogli ją widzieć. Wszyscy się gapili. Ci, którzy czerpali wodę z fontanny, zapomnieli, po co tam przyszli. Stali jak wmurowani, gdy Nyphron i Persefona przechodzili obok. Rozmowy cichły, drzwi się zatrzaśkiwały, śmiechy milkły. Persefona widziała, że na wszystkich twarzach maluje się strach pomieszany z odrazą i niedowierzaniem. Jedna z fhrejskich kobiet wybuchnęła płaczem.

Zdawało się, że Nyphron nie dostrzega tego wszystkiego. Spokojnie szedł dalej, wskazując różne warte uwagi miejsca i widoki. Opowiadał o nich z dumą i zaskakującą werwą.

– Nie będziemy szli tam wyżej. – Wskazał wąską uliczkę, która biegła w górę z boczna i przechodziła pod mostem spajającym dwa trzypiętrowe budynki. – Ale znajduje się tam wspaniała łaźnia.

– Łaźnia?

– Miejsce, gdzie można się kąpać, pocić w parze i integrować towarzysko.

– Te słowa nie wydają mi się w żaden sposób powiązane.

Kolejna salwa ciepło brzmiącego śmiechu. Tego dnia Persefona najwyraźniej była boginią humoru.

– Wierz mi, jest to coś niezwykle przyjemnego. Ogromnie ci się spodoba.

– Nie wątpię – skłamała.

Wrócili już do schodów i skierowali się w dół. Wycieczka dobiegała końca, ale Persefona zamierzała jeszcze zadać Nyphronowi kilka pytań, zanim powrócą do reszty. Kiedy zeszli na pierwszy podest, byli sami, więc postanowiła skorzystać z okazji. Nyphron był wojownikiem; uznała, że doceni bezpośredniość.

– Co teraz?

Zaskoczony Nyphron odwrócił się i spostrzegł, że Persefona została z tyłu.

– Pomyślałem, że mógłbym cię oprowadzić po ufortyfikowanej części. Nie po Spyroku, wspinaczka tam byłaby zbyt mozolna, ale myślę, że...

– Mam na myśli: po tym jak zdobyliśmy Alon Rhist. – Wskazała palcem Nyphrona, a potem siebie. – Co teraz?

– Ty jesteś keenigiem, ty mi powiedz.

– Nie jestem idiotką – odparła. – To dla ciebie ogromne zwycięstwo.

– Dla nas.

Przewróciła oczami.

– Do niczego nie dojdziemy, jeśli nadal będziesz mnie traktował jak dziecko.

Nyphron zmierzył ją spojrzeniem zza przymrużonych powiek. Usta miał rozchyłone; oblizwał wargi, a potem jego język dotknął przednich zębów i znieruchomiał.

– Zaplanowałeś to – podjęła Persefona.

– Oczywiście, że tak. Byłaś obecna, kiedy...

– Nie. Zaplanowałeś to, zanim w ogóle przybyłeś do Rhenu.

Nyphron chciał coś powiedzieć, ale zmilczał. Znów obrzucił ją uważnym, kalkulującym spojrzeniem.

– Planowałeś ten manewr od miesięcy, może od lat, ale nie przewidziałeś, że odegram w nim rolę. Sam spodziewałeś się zostać keenigiem Dziesięciu Klanów.

Nyphron nadal nic nie mówił, ale na jego twarzy – może po raz pierwszy w obecności Persefony – odmalowało się autentyczne zainteresowanie. Chciałaby wierzyć, że dostrzega również szacunek, ale może widziała tylko to, co chciała zobaczyć.

– Kiedy przybyłeś do dahlu Rhen, oznajmiłeś, że zostałeś wyjęty spod prawa, ponieważ nie chciałeś wcielić w życie edyktów fane'a i odmówiłeś niszczenia rhuńskich dahlu. Wyraziłeś oburzenie postawą innych Instarya, którzy zniszczyli Dureyę oraz Nadak, wyrzynając tamtejszych wieśniaków. Nie kupuję tego. Nie pomagasz nam dlatego, że mordowanie niewinnych napawa cię odrazą.

Nyphron nie próbował zaprzeczyć, więc Persefona kontynuowała:

– Nie wiem. Może faktycznie nie lubisz zarzynać kobiet i dzieci. A może zabijanie jest dla ciebie bezrefleksyjnym, wyuczonym odruchem i robisz to z taką samą łatwością, z jaką Padera ukręca łeb kurze. Ale nie zrezygnowałeś ze swego dziedzictwa, nie porzuciłeś tego wszystkiego... – Persefona wskazała miasto – dlatego, że kilka chat uległo spaleni i zabito kilkoro niemowląt. Nie sądzę, byś był zdolny do odczuwania tak ogromnego współczucia, jakiego wymagałby podobny postępek. Szczerze mówiąc, nie interesuje mnie to. Interesują mnie natomiast twoje obecne plany. Jak sobie wyobrażasz dalszy ciąg tej wielkiej przygody?

– A jak sądzisz?

Persefona podeszła do poręczy i spojrzała w dół, na dach domu, na którym urządzono ogródek owocowo-warzywny. Rośliny miewały się całkiem dobrze jak na tak upalne lato.

– Sądzę, że to bezkrwawe zwycięstwo, wkroczenie do fortecy, którą mój lud uważał za niezdobytą, już uczyniło cię bohaterem dziesięciu klanów. Zyskujesz zaufanie i wiernych sojuszników. Jeszcze jeden podobny sukces i niewykluczone, że przestaniesz mnie potrzebować. Może już uważasz, że przestałam być potrzebna. – Obejrzała się. – A te schody są bardzo strome.

– Zaiste – odrzekł Nyphron i ku zaskoczeniu Persefony wyciągnął do niej rękę.

Zagapiła się podejrzliwie na jego dłoń.

Uśmiechnął się, widząc jej wahanie, opuścił rękę i pokiwał głową.

– Jesteś bystrzejsza, niż podejrzewałem, ale zapewne nie ja jeden cię nie doceniłem. Rzecz jasna, mógłbym skłamać, mógłbym ci wmawiać, że się mylisz, i ponownie zapewniać, jak bardzo mi zależy na ocaleniu Rhunów, ale przypuszczam, że bez trudu byś mnie przejrzała. Niełatwo cię okłamać.

– To nieprawda. Ludzie okłamują mnie bez mrugnięcia okiem. Trudne okazuje się tylko sprawienie, żebym uwierzyła. Zatem co ma się teraz wydarzyć? Jakie są twoje plany... względem mnie?

Nyphron przecesał palcami włosy, zatrzymując jedną dłoń na karku.

– No dobrze. Planowałem ci to powiedzieć w bardziej stosownym czasie i miejscu. – Popatrzył na schody i wzruszył ramionami. – Ale ponieważ nalegasz... Miałem nadzieję cię poślubić.

Persefona rozdziawiła usta. Zdobycie głównej twierdzy Fhrejów w ciągu kilku minut bez choćby jednej ofiary śmiertelnej wydawało się niczym w porównaniu z szokiem, jaki ją ogarnął, gdy usłyszała to jedno zdanie.

– Poślubić mnie?

– U was też istnieje ten zwyczaj, prawda? Rhunowie zawierają małżeństwa?

– Owszem, my zawieramy, ale my... – ponownie wskazała palcem Nyphrona, a potem siebie – nie.

– Czemu nie? Nie mów mi, że jakieś rhuńskie prawo zabrania i tego.

Persefona znów otworzyła usta, ale nie zdołała wydobyć z siebie głosu. Liczba możliwych odpowiedzi na zadane pytanie przerosła jej zdolność ujęcia ich w słowa.

– W społeczeństwie Fhrejów większość małżeństw aranżuje się w konkretnym celu. Aby podnieść swój status, zyskać wstęp do określonych kręgów, tworzyć potrzebne sojusze. Rzadko kiedy chodzi o romantyczną więź. Proponuję właśnie coś takiego.

Proponuje! – pomyślała.

– Aby wygrać tę wojnę, musimy połączyć siły. Ja potrzebuję zyskać wiarygodność w oczach klanów. Bez tego nie zechcą dla mnie walczyć. Ty potrzebujesz wsparcia Instarya, a ja mogę ci je zapewnić. Mój autorytet zagwarantuje nam wsparcie wszystkich twierdz w Avrlynie. Nasze małżeństwo pozwoliłoby połączyć te dwie grupy, dotychczas antagonistycznie nastawione względem siebie, w niezwykle skuteczną i przytłaczająco liczną armię. Wasza liczebność, moje rady oraz zasoby... – splótł palce przed sobą – sprawią, że razem staniemy się niczym węzeł spajający dwa sznury, by razem utworzyły linię wystarczająco silną, by utrzymać ciężar świata.

– Albo wystarczająco długą, byśmy mieli na czym się powiesić w razie czego.

– To też. – Nyphron się uśmiechnął. Emanował zdumiewającą aurą potęgi, lecz uśmiech miał ciepły, przyjazny, zachęcający.

Ale czy szczerzy? No cóż, przynajmniej już nie traktował Persefony jak dziecko.

– Nie ma potrzeby, żebyś mi teraz udzielała odpowiedzi. Prawdę mówiąc, wołałbym, żebyś się wstrzymała. Tak jak wspomniałem, to nie jest odpowiednie miejsce ani czas. Urządźmy się tu najpierw, poznajmy się lepiej. Wtedy będziemy mogli wrócić do tematu.

Wrócić do tematu? Jest tak uroczy, że szkoda gadać, pomyślała Persefona.

Jednakże musiała przyznać, że praktyczne podejście Nyphrona ma swoje zalety. Odrzuciła umizgi Raithe'a, bo wynikały z samolubnego pożądanego. Pragnął ją mieć tylko dla siebie; chciał, żeby uciekli i żyli jak w słodkiej bajce, na wzgórzu z widokiem na rzekę Urum. Nie miała wątpliwości, że Raithe ją kocha. Pamiętała, jak wygląda takie zakochanie, jakie to uczucie. Ale miłość była dla młodych, niewinnych i głupich. Persefona nie potrafiła sobie wyobrazić, że miałyby ponownie założyć sobie te klapki na oczy. Miała zadanie do wykonania. To było coś ważniejszego niż jej własne szczęście.

Nie miała żadnych złudzeń co do Nyphrona i wyglądało na to, że on ją postrzega w równie wyprany z emocji sposób. Persefonę niezbyt interesowało ponowne zamążpójście, ale bycie partnerką – równorzędną partnerką – to było coś innego.

Przyjrzała się z namysłem fhrejskiemu lordowi. Był więcej niż atrakcyjny – piękny jak bóg – lecz pomyślała, że wrzasnęłaby, gdyby spróbował ją pocałować. Należeli do różnych ras. Cała ta idea graniczyła z absurdem, ale logika, z którą Nyphron ją wyłożył, była nie do podważenia.

– Chodź – powiedział. – Musimy wracać. Nie chcę, żeby Moya mnie ustrzeliła z tego swojego wielkiego łuku.

– Dziękuję – powiedziała Persefona.

Znieruchomiał zaskoczony.

– Za to, że powiedziałaś mi prawdę – wyjaśniła.

Nyphron znów się uśmiechnął.

Miał ładny uśmiech.

* * *

– Tu kiedyś mieszkałem. – Malcolm wskazał piękny dom o bogato zdobionych drzwiach wyposażonych w klamkę z brązu i dekoracyjną kołatkę w kształcie miecza uderzającego w tarczę.

Raithe nigdy nie widział czegoś podobnego, nie licząc innych domostw, jakie mijali. Ulica była idealnie prosta, wybrukowana kamiennymi płytami, które spasowano tak doskonale, że w szczelinach między nimi nie rósł ani jeden chwast. Ziemię było widać tylko w donicach, w których mieszkańcy Alon Rhist uprawiali warzywa i zioła.

– Mieszkałeś w tym miejscu? – zapytał Tesh.

– To dawny dom Shegona. I Meryl, i ja pracowaliśmy dla niego. Nie potrzebował dwóch służących po tym, jak jego żona odeszła, ale i tak zatrzymał nas obu.

– Mieszkałeś tutaj i postanowiłeś uciec? – Tesh wytrzeszczył oczy. – Czy w środku znajduje się jakaś wymyślna katownia albo coś w tym guście?

– Wnętrze wygląda przepięknie. W zdobieniach powtarza się motyw koniczyny. Współgrają z nim zarówno łuki sklepienia, jak i wiosenne kolory.

Tesh tylko zagapił się na niego.

Malcolm zaśmiał się cicho.

– Nie spędziłem tu zbyt wiele czasu. Służyłem głównie w fortecy.

Obaj popatrzyli w górę, na Spyrok. Tak Malcolm nazywał niewiarygodnie wysoką wieżę strażniczą połączoną ogromnym mostem z budowlą znaną jako Kyp. Kiedy Gifford ujrzał ten widok po raz pierwszy, stwierdził, że wieża wygląda tak, jakby Mari pracowała w ogrodzie i zostawiła tam łopatę wbitą w ziemię. To w każdym razie miał na myśli, ale ponieważ nie potrafił wymówić „r”, powiedział:

– Wygląda tak, jakby Ma-li zostawiła łopatę w ogłodzie.

– To tam cię torturowali? – zapytał Tesh. – W fortecy?

– Nikt mnie tu nie krzywdził.

– Nawet cię nie bili?

– Nie.

– Nie głodzili?

Malcolm pokręcił głową, marszcząc brwi.

– Musieli zrobić coś naprawdę okropnego, skoro postanowiłeś stąd uciec. Znam rodziny, które sprzedałyby swoje pierworodne dziecko, żeby tylko tu zamieszkać.

Tesh znów popatrzył na Raithe'a, który skinął głową. Raithe odbył już z Malcolmem identyczną rozmowę, więc był mniej zaszokowany, ale mimo wszystko rzeczywistość odbiegała od tego, co sobie wyobraził. Zazwyczaj wyobrażenia Raithe'a okazywała się barwniejsza niż to, co miał do zaoferowania realny świat, ale nie tym razem.

Tesh miał lęk w oczach, tak jakby to była ta część snu, w której gonią cię potwory, a drzwi nie chcą się otworzyć. Wyglądał tak, odkąd przeszli przez Wielki Most. Pływał w jeziorze pełnym śmiertelnie groźnych węży i tylko czekał, kiedy któryś go dziabnie. Raithe w pełni go rozumiał. Czuł się podobnie. To byli ich wrogowie – źli bogowie, którzy wyrznęli ich lud, a teraz on i Tesh wędrowali po ulicach fhrejskiego miasta, jakby to miejsce należało do nich. A nie należało. Dziesięć klanów nie zrobiło nic, żeby zasłużyć na tę możliwość. Fhrejowie zaprosili ich tutaj. Pająki robiły to samo z muchami.

– Ile rodzin mieszkało tu z wami? – zapytał Tesh.

– Ani jedna – odparł Malcolm. – Tylko Shegon, ja i Meryl. – Niegdyś niewolnik pokręcił głową z zaintrygowaną miną. – Rośliny mają się dobrze. Ciekaw jestem, kto tu teraz mieszka.

– Co kazało Shegonowi opuścić fortecę? – zapytał Raithe.

– Shegon nigdy nie przebywał w fortecy. Był ze szczepu Asendwayrów, nie należał do Gwardii. Gwardia składa się prawie wyłącznie z przedstawicieli szczepu Instarya.

– Zdawało mi się, że powiedziałaś, że spędziłeś dużo czasu w fortecy.

– Ach tak. – Malcolm kiwnął głową. – Cóż... Miałem wtedy innego pana.

– Sprzedał cię?

– Zmarł.

– Zmarł?

– Kto jak kto, ale ty powinieneś sobie zdawać sprawę, że Fhrejom też się to zdarza.

– Ile miał lat?

Malcolm wzruszył ramionami.

– Piętnaście, może szesnaście.

– Był taki młody?

– Stuleci. Piętnaście czy szesnaście stuleci.

– Ach, w porządku. Zawsze mnie zastanawiało, jak długo oni żyją.

– Nie zmarł ze starości.

– Wypadek? – Raithe popatrzył w górę, na mostki łączące potężną wieżę i kopułę. Nikt nie przeżyłby upadku z takiej wysokości.

– Został zabity w walce.

Raithe nie potrafił sobie wyobrazić, jakie istoty mogą zabijać Fhrejów, oczywiście nie licząc jego samego. Olbrzymy, gobliny, smok? Przypuszczalnie było to coś, o czym nigdy nie słyszał. Kiedy Raithe zobaczył wewnątrz Alon Rhist, uzmysłowił sobie, jak niewiele wie o świecie.

Wszyscy trzej zatrzymali się na miejskim placu niedaleko dużej studni z daszkiem mającym osłaniać tych, którzy z niej korzystali, przed słońcem i deszczem.

– Jak długo im zajęło zbudowanie tego miasta? – zapytał Tesh.

Malcolm wzruszył ramionami.

– Jakieś tysiąc lat.

– Jest niesamowicie piękne.

– Gdzie są mieszkańcy?

– Poukrywali się. – Malcolm zanurzył dłoń w studziennej wodzie i przetarł twarz. – Barbarzyńcy wkroczyli do miasta. Mieszkańcy nie mają pojęcia, co teraz będzie. Ta sytuacja nie ma precedensu, więc zapewne są przerażeni.

– Boją się? – zapytał Tesh. – Elfy boją się... nas?

– Po tym, jak zjawiliśmy się w liczbie kilku tysięcy, a obrońcy Rhistu pozwolili nam wkroczyć do miasta? Owszem. Zawsze mówiono im, że jesteśmy dzicy, niewiele rozumniejsi od zwierząt. Przypuszczam, że w ich przekonaniu przybyliśmy tu, by palić, plądrować i rabować.

– Pola obsiane, trzeba czekać na żniwa – skomentował Raithe. Wspiął się na cembrowinę studni i rozejrzał. Owszem, miasto było piękne, ale trochę zbyt uporządkowane na jego gust. Zbudowali je wojownicy dla wojowników. Brakowało mu tu kwiatów i wijących się ścieżek Rhenu. Na południu, za dachami krytymi dachówką ceglastej barwy, wypatrzył dolinę rzeki. Przy Wielkim Moście rzeka Bern płynęła kanionem. Gdzieś dalej łączyła się z rzeką Urum w miejscu znanym jako Rozwidlenie. To tam Raithe pochował swojego ojca. – Ale Gula pewnie już teraz chętnie by splądrowali to i owo.

– Podejrzewam, że to dlatego Nyphron kazał im zostać tam, gdzie rozbili obóz, to znaczy na terenach należących kiedyś do Dureyi – odparł Malcolm.

– Nie spodoba im się to. Pewnie są rozczarowani, że nie było bitwy. Znam kilku takich, którzy bardzo się cieszyli, że będą mogli zabijać tych, których do niedawna uważali za bogów.

– Nie mogę uwierzyć, że elfy się nas boją – stwierdził Tesh.

– Fhrejowie – poprawił go Raithe. – Ci tutaj są teraz po naszej stronie. W każdym razie tak twierdzi Nyphron.

– Nie wszyscy się boją – zauważył Tesh, wskazując dom, w którym kiedyś mieszkał Malcolm.

Raithe rozpoznał Meryla, towarzysza Malcolma w czasach, gdy ten ostatni służył Fhrejdom. Tamtego tchórza, który odjechał, krzycząc „Morderca, morderca!”. Meryl wyłonił się z tego budynku, który wydawał się zbyt piękny, żeby był prawdziwy. Pozostawiając za sobą otwarte na oścież drzwi, zrobił cztery kroki naprzód. Nadal znajdował się w swoim ogródku za niskim dekoracyjnym murkiem. Spiorunował ich wzrokiem z tej maleńkiej twierdzy.

– Merylu! – Malcolm powitał go życzliwie i podszedł bliżej.

– Morderco! – odkrzyknął Meryl po fhrejsku.

Malcolm przystanął.

– Nie zabiłem...

Wywiązała się między nimi gwałtowna wymiana zdań. Raithe nie zdołał wychwycić wszystkiego, co mówili. Wyłapał tylko słowa: „krwiożerczy”, „kanibalizm” i „potwory”. Nie był nawet pewien, czy dobrze słyszy, bo Meryl mówił z silnym akcentem.

Malcolm próbował uspokoić swego dawnego towarzysza. Tyle Raithe był w stanie wyłapać, nawet nie rozumiejąc słów. Jednakże Meryl nie chciał słuchać. Odkrzykiwał odpowiedzi, coraz bardziej czerwony ze złości. Wkrótce zaczął walić pięścią w murek. Pootwierzały się inne drzwi. Blade twarze zmaterializowały się w oknach, fhrejskie pary pojawiły się na balkonach. Raithe usłyszał, jak na trzecim piętrze budynku, w którym mieścił się chyba sklep kaletnika, jakaś Fhrejka mówi piskliwie: „Proszę, cofnij się, to niebezpieczne”.

Z domów wychodziło coraz więcej Fhrejów. Stawali na gankach, splótszy ramiona na piersi, i przytakiwali z zaciśniętymi ustami.

– Może lepiej chodźmy dalej – powiedział Raithe. – Zawróćmy i odszukajmy Moyę i Tekchina. Albo może Roan potrzebuje pomocy przy wozach. – Pociągnął Malcolma za rękaw.

Były niewolnik niecierpliwie machnął ręką, każąc mu się odsunąć. W tym samym momencie Raithe spostrzegł, że z okna na górnym piętrze domu wygląda ktoś jeszcze, i przypomniał sobie dociekania Malcolma, kto tam teraz mieszka. Zadarł głowę, żeby lepiej się przyjrzeć tej osobie, a wtedy postać wycofała się w cień, pozostawiając tylko trzepoczącą zasłonę w uchylonym oknie.

Trzeba było naprawdę mocno szarpać Malcolma za nadgarstek, żeby zmusić go do odejścia, ale Raithe był od swojego przyjaciela znacznie cięższy, więc w końcu się udało.

– Idiota – warczał pod nosem Malcolm, gdy odchodzili. – Kompletnie zapomniał, kim jest. Wbił sobie do głowy, że bycie niewolnikiem to przywilej. Przywilej! Dacie wiarę? I nie chce nawet przyznać, że sam jest człowiekiem.

Rhunem, jak raczy nas nazywać. Mały, zaciętrzewiony dureń... Zdrajca, oto kim jest.

Malcolm maszerował energicznie, stawiając długie kroki, tak że jego stopy głośno uderzały o bruk.

– Ty też kiedyś nazywałeś nas Rhunami.

– Ale zmądrzałem od tamtego czasu. – Malcolm wycelował palcem w Raithe'a. – O proszę, widzisz: ja jestem otwarty na racjonalne argumenty. Ale on nie. O nie, nie ten szcurek Meryl. On wie wszystko, a w każdym razie tak mu się wydaje. Tyle że nie jest w niczym lepszy od reszty ludzkości. Autentycznie nie wiem, jakim cudem wystarczy mu rozumu na to, żeby ubrać się rano.

Nadal burczał ze złością, ale już ciszej, kiedy minęli mur pokryty prymitywnymi malunkami.

– Czy udało ci się odkryć, kim jest jego nowy pan? – zapytał Raithe.

– Meryl nie ma nowego pana – odparł Malcolm. – Opróżnia teraz nocniki w Kypie i sprząta cele w duryngonie. Nie jest zbyt szczęśliwy z powodu tej zmiany. Obwinia mnie, bo twierdzi, że za moją sprawą jego nieskazitelna reputacja uległa splamieniu. Nie wiem, na co tak utyskuje. Nadal może mieszkać w jednym z najwygodniejszych domostw w mieście i ma cały budynek dla siebie.

– To kto był tam razem z nim?

– Meryl bardzo intensywnie podkreślał, że mieszka sam i że przeze mnie został wyrzutkiem.

– Widziałem kogoś na piętrze.

Malcolm popatrzył na Raithe'a sceptycznie.

– Naprawdę? Czemu Meryl miałby kłamać w takiej kwestii?

Raithe wzruszył ramionami.

– Pogadaj z nim o tym przy następnej okazji, w porządku? Której nie będzie, bo więcej tu nie wrócimy. Nyphron właśnie podarował nam to śliczne miasto. Byłoby głupio, gdyby nas stąd wygnano, zanim zdążymy posmakować cielęciny.

Słyszac to, Malcolm się uśmiechnął.

– Faktycznie mają tu wspaniałą cielęcinę.

Rozdział czwarty

Przemówienie keeniga

Persefona była moją bohaterką. Z dumą mogę powiedzieć, że była też moją przyjaciółką, niemalże drugą matką. Była również keenigiem. Ale ten tytuł wydawał się zaledwie pustym słowem aż do chwili, gdy po raz pierwszy stanęła pod kopułą i usłyszeliśmy grzmot jej głosu.

Księga Brin

To Nyphron zwołał wiec.

Persefona powiedziała mu, że będą musieli usiąść i rozmówić się z przedstawicielami Alon Rhist, jak również przedyskutować plany na przyszłość z pozostałymi wodzami. Sprawowali rządy we fhrejskiej fortecy dopiero od czterech dni, a już pojawiło się widmo rozpadu koalicji. Wielu postrzegało kapitulację Alon Rhist jak dobrą robotę i rozwiązanie problemu. Persefona, Nyphron i wodzowie spotkali się z falą powszechnej aprobaty, ale ludzie mimo wszystko mieli już dość przebywania na północy i pragnęli wrócić do swoich gospodarstw, inwentarza, żon i dzieci. Nie zdawali sobie sprawy z tego, co Persefona musiała im wyjaśnić po tym, jak Nyphron wyjaśnił to jej: to nie był koniec. Nie był to nawet początek. Udało im się jedynie wspiąć na wyżej położony teren w oczekiwaniu na nadchodzącą powódź. Prawdziwa bitwa była dopiero przed nimi.

Persefona wyobrażała sobie, że ten wiec będzie wyglądał podobnie jak zebrania w strażnicy w dahlu Rhen, gdzie tuzin mężczyzn gromadził się przy palenisku, na którym pieczono jagnię. Jedli, bekając, i hałaśliwie domagali się, by przyniesiono więcej trunków. Ona zasiadzie na krześle i będzie przekrzykiwać odgłosy ucztowania. Gdyby to jej powierzono organizację wiecu, Persefona rozkazałaby, żeby przygotowano ognisko i rożen oraz wytoczono

beczkę piwa na niższy dziedziniec, ten pomiędzy wrotami twierdzy a koszarami żołnierzy. Jednakże to nie ona zwołała spotkanie, tylko Nyphron.

Lord Rhistu, przyodziany znacznie bardziej elegancko niż zwykle – w tunikę i błękitną pelerynę oraz złote bransolety na bicepsach i nadgarstkach – wprowadził ją do Verenthenonu. Rzędy krzesel wznosiły się tam koncentrycznie, tworząc jakby wielką misę, dzięki czemu każdy z obecnych mógł bez problemu spoglądać ponad głowami innych. Setki ludzi i Fhrejów czekały na przemówienie Persefony. Nyphron sprowadził ją szerokimi schodami biegnącymi przez środek audytorium na sam dół ogromnej sali. Smugi słonecznego blasku wpadające przez strategicznie rozmieszczone okienka w kopule oświetlały podwyższenie.

Persefona dopiero teraz zrozumiała, dlaczego Nyphron był tak nieugięty, gdy chodzi o porę wiecu. Ona proponowała wieczór, ale on się uparł, że musi to być zaraz po południu.

Kiedy dotarło do niej, że Nyphron prowadzi ją na podwyższenie, zaczęła panikować. Nie była przyzwyczajona do takich wystąpień. Miała doświadczenie w przemawianiu do garstki mężczyzn, których знаła, ale Verenthenon stanowił dla niej zupełną nowość. Co więcej, nie było tutaj krzesła. Persefona dotychczas zawsze miała gdzie zasiąść. Krzesło stanowiło kluczowy symbol jej pozycji, jeszcze ważniejszy niż torkwes. Bez niego traciła pewność siebie, czuła się umniejszona. Zmuszona stać przed tłumem słuchaczy zasiadających wyżej od niej odnosiła wrażenie, że nie jest przywódczynią, tylko przestępczynią doprowadzoną na przesłuchanie.

W pierwszych rzędach audytorium siedzieli wszyscy wodzowie, w tym Gularhunowie, jak również kilku dostojnie wyglądających Fhrejów, których nigdy wcześniej nie widziała. Była tam też Moya z łukiem w ręku. Stała z boku, tuż poza plamą światła. Nie powiedziała ani słowa, gdy Persefona przechodziła obok, ale szok malujący się w jej szeroko otwartych oczach niechybnie zostałby zwerbalizowany jako stek przekleństw, gdyby były z Persefoną same.

Nyphron towarzyszył Persefonie, gdy wspinała się na ostatnie stopnie schodów, ale potem się zatrzymał. On również pozostał w cieniu, dał tylko znak, żeby weszła w smugę białego, gorącego blasku, którego ukośna smuga oświetlała scenę.

Przycisnąwszy rozdygotane ręce do bioder, Persefona pokonała te pięć ostatnich stopni, które dzieliły ją od podwyższenia. Gdy tylko weszła w plamę światła, pod kopułą zagrzmiały oklaski. Ten głośny aplauz wystraszył ją śmiertelnie. Omal się nie cofnęła, ale zmusiła się, żeby oddychać głęboko i wyprostować plecy. Nie mogła teraz przypominać trolla. Poczekała, aż zapadnie cisza, po czym otworzyła usta.

– Jestem Persefona, keenig Dziesięciu Klanów.

Zamilkła oszołomiona. Jej głos zagrział tak donośnie, jakby dźwięczała w nim boska moc, uciszając ostatnie oklaski. A przecież wcale nie przemówiła aż tak głośno. Rozejrzała się zdumiona.

– Kopuła – powiedział ktoś siedzący w drugim rzędzie. To był Malcolm. Wskazał sklepienie sali.

Persefona odruchowo spojrzała w górę, potem uśmiechnęła się, kiwnęła głową i samymi ustami wypowiedziała słowo „dziękuję”. Publiczność w niemal zupełnej ciszy czekała na dalszy ciąg przemówienia. Ten i ów zakaszał, ale dźwięki były tak stłumione, jakby kaszłący znajdowali się w innym pomieszczeniu.

Persefona przełknęła ślinę i zaczęła ponownie:

– Jestem Persefona, keenig Dziesięciu Klanów. Zwołałam ten wiec, aby wyjaśnić kilka spraw oraz wysłuchać waszych skarg czy pytań. – Jej głos nieznacznie zadrżał. Znów zaczerpnęła tchu. – Instarya z Alon Rhist zgodzili się udzielić nam gościny i wsparcia w naszych wysiłkach, żeby obronić się przed agresją ze strony fane’a. Fhrejskie prawo ustanowione przez ich boga, Ferrola, zakazuje im odbierać życie innym Fhrejom. Dlatego też nie przyłączą się aktywnie do naszej walki, ale nie podejmą też żadnych kroków przeciwko nam.

Popatrzyła na siedmiu Fhrejów zasiadających w pierwszym rzędzie. Wszyscy potaknęli.

Uśmiechnęła się i skinęła głową w odpowiedzi.

No to pierwszy krok zrobiony, pomyślała.

– Ostatnio słyszę coraz więcej zapytań o możliwość powrotu do domów. Ludzie mają pola, którymi trzeba się zająć, mają inwentarz, który potrzebuje starań, i wierzcie mi, zależy nam, żebyście robili to wszystko. Armia może walczyć tylko pod warunkiem, że ma co jeść.

Nyphron podsunął jej to zdanie, kiedy przez dwa dni przygotowywała się do swojego wystąpienia. Widząc, z jaką powagą przytakują zarówno Fhrejowie, jak i wodzowie ludu Gula, zrozumiała, dlaczego. Wciąż musiała sobie zapracować na wiarygodność w ich oczach.

– Musicie nadal dbać o swoje gospodarstwa. Choć bardzo bym chciała, żeby to zwycięstwo położyło kres naszym kłopotom, tak nie jest. Pierwszą bitwę w tej wojnie dopiero musimy stoczyć. Teraz, kiedy wkroczyliśmy do jego najważniejszej twierdzy na pograniczu, fane będzie zmuszony działać. Przyśle tu wojsko, żeby nas usunąć. I nie ulega wątpliwości, że będzie to potężna, zdeterminowana armia. Będziemy potrzebowali każdego człowieka, każdego miecza i całej naszej woli walki, żeby stawić jej opór. Ale... – Persefona zrobiła pauzę, pozwalając, by grzmot jej głosu przycichł. – Nie wiemy, kiedy nastanie

ten dzień. Może za tydzień, a może w przyszłym roku, a na razie nie możemy sobie pozwolić na to, żeby pola leżały odłogiem. Dlatego mój plan wygląda następująco. Powiedziano mi, że Alon Rhist dysponuje systemem ognisk sygnałowych, które zapala się od tej fortecy aż po Ervanon, twierdzę wysuniętą najdalej na północ. Chcę, żebyśmy rozbudowali ten system, układając dodatkowe sterty drewna na wschodzie w Dolinie Wzniesionej Włóczni i aż po Tirre na południu. Dzięki temu wielu z was będzie mogło wrócić do domów. Jeśli nasi zwiadowcy zobaczą, że wróg nadchodzi, rozkażę, by rozpalono te ogniska. To będzie znak, że wszyscy sprawni wojownicy mają tu wrócić.

Tym razem potaknięć było mniej, ale nikt nie zaprotestował.

– Niestety nie wszyscy będą mogli teraz odejść, nie wszyscy będą też mogli na długo zostać w domach. Musimy trenować walkę. Nyphron, jego Galantianie oraz wielu jego towarzyszy ze szczepu Instarya zgodzili się nas szkolić w sztuce wojennej.

– Już umiemy walczyć! – krzyknął jeden z Gula-Rhunów, ale jego głos przypominał mysi pisk w porównaniu z głosem Persefony.

– Oni mogą nas nauczyć, jak walczyć lepiej – odrzekła Persefona. – Nauczycie się też posługiwać nową bronią. Moja towarzyszka Roan oraz grupa wyszkolonych przez nią kowali pracują dniem i nocą, żeby wykuć miecze z żelaza: czarodziejskiego metalu, który jest wytrzymalszy niż miedź i brąz. Będzie też nadzorowała wykuwanie pancerzy, tarcz i hełmów.

– A co z łukiem?! – krzyknął ktoś siedzący dalej z tyłu. – Nauczymy się z niego strzelać?

Persefona popatrzyła z uśmiechem na Moyę.

– Owszem. Ale będzie to wymagało sporządzenia setek łuków i tysięcy strzał. To kolejny powód, dlaczego potrzebujemy, żeby część ludzi tu została. Będziemy pracować w zmianach. Wyślę grupy mężczyzn do domów na miesiąc, potem tu wrócą, a inni będą wtedy mogli odejść. Tak dobierzemy grupy, żeby w każdej wiosce stale było kilku mężczyzn zdolnych do uprawiania pól. Wyznaczę też trasy, którymi wozy będą dostarczać do twierdzy zaopatrzenie: żywność, sól, drewno i wełnę.

Więcej potaknięć, mniej założonych rąk.

– Musimy razem pracować nad tym, żeby jak najlepiej się przygotować. Musimy trzymać się ścieżki, na którą wstąpiliśmy. Bezwzględnie musimy ufać sobie nawzajem, a jeśli nam się to uda, wtedy wspólnymi siłami przetrwamy.

To był koniec jej przemówienia, ale wiedział o tym tylko Nyphron, więc zapadła niezręczna cisza. Persefona nie była pewna, co ma zrobić. W przeszłości po prostu siadała wygodniej na krześle i sięgała po kielich albo zaczynała jeść. Jak mam zejść z tej sceny? – pomyślała.

Nyphron poratował ją, zaczynając klaskać. To spowodowało, że publiczność również nagrodziła ją aplauzem. Niestety, jak odnotowała Persefona, te oklaski też nie były zbyt donośne.

Rozdział piąty

Olbrzym i goblina

Niestety, do dziś niewiele wiemy o księciu Mawyndulë. W związku z tym nadal nie potrafię ocenić, czy w ostatecznym rozrachunku był on bohaterem, czy złoczyńcą.

Księga Brin

Nazywał się Sile i nie odstępował fane'a Lothiana na krok. Mawyndulë nie potrafił sobie przypomnieć, jak się nazywa ta druga, płci żeńskiej. Nie żeby potrzebował znać jej imię. Dwoje nowych przybocznych jego ojca pełniło służbę w milczeniu i nie wyglądali na skłonnych do rozmów. Sile był wyjątkowo masywnej budowy. Mawyndulë nazwałby go wręcz groteskowym. Wątpił, czy ten zwalisty strażnik jest w ogóle Fhrejem. Sile miał wielką głowę, szerokie czoło i wystające łuki brwiowe, przez co oczodoły kryły się w cieniu. Jego żuchwa przypominała łopatę, a małżowiny uszne nie miały kształtu łez. Mawyndulë podejrzewał, że Sile może być karłowatym przedstawicielem rasy Grenmorian. Nosił przy sobie topór bitewny! Z pewnością nie był Miralyithem.

– Dziś rano Nanagal zakończył szacowanie szkód – oznajmiła Imaly, zwracając się do fane'a, gdy stali w pięcioro na stopniach wiodących do Airethenonu.

– Jak długo potrwa, zanim będziecie mogli wznowić posiedzenia? – zapytał Lothian.

– Nanagal jest przekonany, że jego ludzie w ciągu miesiąca zdołają przywrócić budowlę do stanu używalności.

– W ciągu miesiąca? Jesteście pewni, że nie lepiej byłoby kazać Miralyithom... – Fane urwał, tracąc pewność siebie, kiedy Imaly zmarszczyła

czoło. Kuratorka, której noga nadal znajdowała się w łupkach, a ręka na temblaku, potrafiła swoją dezaprobatą zbić z tropu każdego, nawet fane'a.

– Wiem, panie, że masz dobre intencje – powiedziała. – Ale zważywszy na okoliczności, sądzę, że mądrze byłoby trzymać się tradycyjnego podziału ról i pozwolić, żeby pracami naprawczymi zajęli się Eilywin. Myślę, że Airethenon jeszcze przez długi czas nie powinien mieć ponownej styczności ze Sztuką.

– Miesiąc – powtórzył Lothian.

Schody i plac w dole nadal nosiły ślady gwałtownego starcia. Na pobliskich murach czerniały plamy spalenizny, a od wschodniej strony brakowało części kamiennych stopni. Rozchlapaną farbę na rynku, tak bardzo przypominającą kałuże krwi, już uprzątnięto. Z rynku zniknęło starożytne drzewo, ale pniak, który pozostał, pachniał świeżymi trocinami. Jeszcze nie naprawiono też posążku jelenia w fontannie, koło której stali fane i jego towarzysze. Ocalały tylko kamienne nogi.

Od buntu Artystów upłynęło kilka tygodni. Dni mijały błyskawicznie, rozmazując się w jedną plamę niepokoju i lęku. Mawyndulë stracił na wadze. Nie on jeden. Imaly też wydawała się chudsza i bledsza, podobnie jak wielu mieszkańców miasta.

– Jesteśmy Fhrejami – powiedziała. – Pracujemy powoli.

– Frustruje mnie to po prostu. – Fane zmarszczył brwi. – Chcę, żeby wreszcie posprzątano ten bałagan. Chcę, żeby cały ten epizod został wymazany z pamięci i zapomniany. Bez tego nie wyjdziemy z impasu.

Kuratorka Aquili posłała mu wymuszony uśmiech.

– Na ile się orientuję, mój panie, właśnie tego boją się ocalali członkowie Aquili oraz reprezentowane przez nich szczepy. Te blizny przypominają Miralyithom, jak niszczycielska może być moc, którą władają. Dlatego Aquila nie chce przedwcześnie grzebać tego trupa.

Ojciec Mawyndulëgo nachmurzył się, ale skinął głową.

– Jak źle wygląda wnętrze?

Zaczął się wspinać po schodach, a pozostali ruszyli za nim, w tym ogromny Sile oraz ta druga – dziewczyna, której imienia książę nadal nie mógł sobie przypomnieć. Była niska i nieładna. Nie tak brzydka, żeby sam jej widok wypalał oczy, nawet nie tak brzydka jak Rhunki, ale na tyle odpychająca, że Mawyndulë nie zadał sobie trudu, by zapamiętać jej imię. Podobno była nadzwyczaj zdolną Artystką. Książę wielokrotnie słyszał, jak mówiono o niej, że jest szybka. Najwyraźniej panna Jak-jej-tam znajdowała się na placu w dniu zamachu i zrobiła coś, jak należy.

– Nie jest tak źle, jak mogłoby być. – Imaly skupiła wzrok na księciu.

Fane też to spostrzegł i zrobił taką minę, jakby zapomniał, że jego syn znajduje się wśród obecnych.

– Ach, prawda.

Mawyndulë poczekał, aż ojciec odwróci wzrok, po czym zmarszczył brwi i nieznacznie pokręcił głową. O pannie Jak-jej-tam mówił cały Estramnadon, ale on, Mawyndulë, który ocalił najważniejszą budowlę w całym mieście i życie większości członków Aquili, zasłużył sobie tylko na tak wylewną pochwałę jak „ach, prawda”.

Odwrócił się i odkrył, że dziewczyna dostrzegła jego reakcję.

Przed tą małą goblina nic się nie ukryje, pomyślał.

– Czy są jakieś wieści z Rhulynu? – zapytała Imaly.

– Jeszcze nie – odrzekł fane, ostrożnie omijając roztrzaskany stopień. – Powiedziano mi, że takie przedsięwzięcia wymagają przygotowań i że Instarya jeszcze nie zabrali się za redukcję liczebności rhuńskich hord. – Zatoczył ręką krąg. – Najwyraźniej ten szczep uznaje za stosowne wcielać moje rozkazy w życie równie prędko i ochoczo, jak szczep Eilywin.

Imaly potaknęła z tym samym stoickim spokojem, który zawsze ją cechował, kiedy przemawiała do Lothiana. Mawyndulë wyobrażał sobie, że Kuratorka w myślach pokazuje władcy rozmaite obsceniczne gesty.

– Słyszałam, że Rhunów jest prawie milion – powiedziała. – Zdaje się, że to bezrozumne, ale niebezpieczne zwierzęta. Może źle się stało, panie, że nie podjąłeś kroków, by zmniejszyć ich liczebność kilka stuleci temu. Teraz ich eksterminacja potrwa długie lata.

– Mój panie! – zawołał ktoś za ich plecami.

Wszyscy się odwrócili i ujrzeni, że Vasek tkwi bez ruchu u stóp schodów. Usta miał rozdziawione i wpatrywał się w jeden punkt. Jedną wzniesioną ręką celowała wyciągniętym palcem w niebo. W swym szarym odzieniu mógłby z powodzeniem udawać nowy posąg.

– Doprawdy, Synne? – odezwał się Lothian. – To zaufany doradca.

– I tylko dlatego żyje, Wasza Wysokość – wyjaśniła goblina.

Synne! – pomyślał Mawyndulë. Tak ma na imię!

– Uwolnij go.

– Jak sobie życzysz, panie.

Vasek potknął się, westchnął i poprawił asykę, nim zaczął się wspinać po schodach.

– Mój panie. – Zerknął niepewnie na Synne. – Przynoszę wieści.

– Jakież?

Vasek spojrział z wahaniem na pozostałych.

– Niedobre, mój panie.

Lothian zmarszczył brwi. Odwrócił się do Imaly i powiedział:

– Dopilnuj, żeby tu posprząтали.

Następnie fane i Vasek zeszli z powrotem po schodach. Sile i Synne, olbrzym i goblinka, postępowali krok w krok za władcą.

Imaly odwróciła się do Mawyndulëgo.

– Jak sądzisz, o co chodzi?

Wzruszył ramionami.

– Prawdopodobnie o nic. Vasek zawsze przejmuje się byle czym, a już zwłaszcza ostatnio.

– I ma po temu konkretne powody, czyż nie? – Imaly poprawiła temblak.

Mawyndulë nie był pewien, czy zrobiła to, żeby zilustrować swoją tezę, czy po prostu dlatego, że było jej niewygodnie. Musiał stale uważać na Imaly. Jej wypowiedzi często zawierały insynuacje, a on nie zawsze rozumiał, o co chodzi. Po części to dlatego rozmowy z nią wydawały mu się tak interesujące. Przypominały małe łamigłówki. Bywało, że po zakończeniu rozmowy wracał do pałacu, rozmyślał o słowach, które padły, i dopiero wówczas docierało do niego, że zrozumiał wszystko na opak.

– Nie wiem. Może. – Mawyndulë nie lubił wyrażać zbyt zdecydowanych opinii. Nienawidził wyjawiać swojego stanowiska, w obawie, że okaże się nie takie, jak trzeba. Jakimś cudem udało mu się wywrzeć pozytywne wrażenie na Kuratorce Aquili, która tak często wywierała wrażenie na innych, i bardzo mu się podobało, że ktoś wreszcie darzy go szacunkiem. Bał się teraz, że może wszystko zniszczyć, kiedy otworzy usta.

– Nie jesteś ciekaw, o co chodzi? – Imaly wskazała głową fane'a, który właśnie przechodził przez plac, kierując się z powrotem do pałacu Talwara, podczas gdy Vasek szeptał mu do ucha.

– Nie bardzo.

– Nadal się na niego gniewasz?

Mawyndulë nie odpowiedział.

Imaly nie przestawała się w niego wpatrywać. Nie zamierzała odpuścić.

– Wziął stronę Vidara – wyjaśnił książę.

Nie dlatego, że uważał, że nie może się wykręcić od udzielenia odpowiedzi. Chciał jej udzielić. Był wściekły i chciał wyrazić swoje oburzenie, nawet gdyby miało to oznaczać, że wyda się przewrażliwiony lub dziecinny.

– Nie sądzisz, że Vidar zasługiwał na jakieś zadośćuczynienie? Omal go nie stracono za coś, czego nie zrobił.

– Mimo wszystko czuję się upokorzony. Ocaliłem całą budowlę i wszystkich, którzy znajdowali się w środku, a w nagrodę zostałem wydalony z Rady.

– Nie zostałeś wydalony.

– Moje miejsce z powrotem zajął Vidar. Na jedno wychodzi.

– Wcale nie, i dobrze o tym wiesz. Poza tym, czy naprawdę chciałbyś znowu mieć Vidara za zwierzchnika? Znowu być młodszym doradcą?

Mawyndulë pokręcił głową. Robiło mu się niedobrze na samą myśl.

– No widzisz. To nie była twoja przyszła kariera, jedynie epizod, który miał cię czegoś nauczyć, i powiedziałabym, że nauczył cię bardzo wiele. Więcej, niż zakładał twój ojciec. Poza tym, zaskarbiłeś sobie wdzięczność Aquili. Nie zapomną twojego bohaterstwa. Większość z nich zawdzięcza ci życie, a kiedy zostaniesz fane'em, odkryjesz, że ich życzliwość jest bezcenna. – Imaly usiadła na schodach, uważając, by nie uderzyć się w rękę.

Siedzenie w tym miejscu nie było niczym niezwykłym. Wielu Fhrejów siadało na stopniach wiodących do Airethenonu, podziwiając widok na plac i rzekę. Niektórzy nawet urządzali pikniki albo wygłaszali wykłady, korzystając z naturalnego amfiteatru. Mawyndulë był po prostu zaskoczony, że Imaly postanowiła usiąść właśnie tutaj. Nie wyglądało to na naturalny odruch. Wchodzenie i schodzenie po tych stopniach sprawiało jej zbyt dużo trudu.

– Jeśli się zastanowić... – podjęła – opuszczenie Aquili jest najlepszą rzeczą, jaka mogła cię spotkać. Tamtego dnia zyskałeś przyjaciół, a teraz nie będziesz już miał okazji ich stracić.

Mawyndulë popatrzył na nią, zdumiony z kilku różnych powodów. Przede wszystkim nie był świadom, że ma jakichkolwiek przyjaciół, może poza samą Imaly, a czuł, że już samo myślenie o niej w takich kategoriach jest oznaką zadufania. Nazajutrz po buncie Miralyithów Mawyndulë ukrył się w swoich komnatach, przerażony możliwością napotkania kogokolwiek, kto przebywał tamtego dnia w Airethenonie. Był przekonany, że wszyscy go nienawidzą. W końcu to on zaprosił tam Makaretę. Po drugie, skoro już miał tych widmowych przyjaciół, czemu ryzykowałby ich utratę, gdyby zachował stanowisko doradcy?

Imaly musiała spostrzec jego minę, bo dodała:

– W tej chwili jesteś bohaterem i wszyscy tak właśnie cię zapamiętają. Ale gdybyś pozostał członkiem Aquili, no cóż... Im bliżej się kogoś zna, tym mniej się go idealizuje. W końcu znalazłbyś się po niewłaściwej stronie w jakimś konflikcie, bo wszystkich nas to spotyka prędzej czy później, i otaczający cię nimb legendy by przygasł. W obecnym układzie Mawyndulë, Wybawca Aquili, na zawsze pozostanie w pamięci wszystkich, nieskazitelny i doskonały. Czego więcej mógłby sobie życzyć przyszły fane'?

Książę uśmiechnął się i usiadł obok niej. Starsza dama jakimś sposobem zawsze potrafiła sprawić, że rzeczywistość wyglądała przyjaźniej.

Mawyndulëmu było przykro z powodu jej złamanej ręki. Widział, jak ostrożnie Imaly podtrzymuje temblak. Wskazał dłonią:

– Mogę to uzdrowić.

Oczy Imaly rozwarły się szerzej i odsunęła się nieznacznie.

– Nie, dziękuję. – Zaczepnęła tchu, odzyskując panowanie nad sobą. – To znaczy... To bardzo miłe z twojej strony, ale... No cóż, jestem staroświecka. Wolę zdać się na siły natury.

– Po prostu się boisz, pani.

Imaly uniosła brwi, po czym zdrową ręką wskazała otaczające ich pozostałości bitwy.

– Zaiste.

– Przecież nie wyzwiałem cię na pojedynek, tylko zaproponowałem, że uzdrowię twoją rękę.

– A ja cię nie skarciłam, po prostu mam świadomość, że działanie na skrót może się źle skończyć.

Oboje popatrzyli w dół, na targowisko. Na razie niewielu sprzedawców zdecydowało się tam wrócić, a stragany tych, którym wystarczyło odwagi, nie cieszyły się dużym zainteresowaniem. Mieszkańcy miasta woleli teraz robić zakupy w kramach wzdłuż Zielonej Alei. Opustoszały w następstwie bitwy plac Florella przypominał miejsce nawiedzane przez duchy.

Spojrzenie Mawyndulëgo odruchowo powędrowało w stronę znajomego punktu, gdzie niegdyś stało stoisko oferujące niezwykle obrazy: melodramatyczne pejzaże terenów pogranicza malowane z wyobraźni, a nie z pamięci.

– Czy już ją znaleźli? – zapytała Imaly.

Mawyndulë nadal spoglądał na pusty plac, gdzie wałyły się trociny i gruzy.

– Nie. Nie wydaje mi się.

– A ty szukałeś?

– Nie.

– Lubieś ją.

– Mnóstwo ludzi ją lubiło. A potem oszalała i próbowała zabić mojego ojca. To trochę zmienia postać rzeczy.

– Ale mimo wszystko chciałbyś ją znów zobaczyć.

– Prawdopodobnie jest martwa. – Wypowiedzenie tych słów okazało się trudniejsze, niż przypuszczał, a gdy już je z siebie wydusił, dwukrotnie przełknął ślinę.

– Nie znaleziono zwłok?

Tym razem popatrzył na Imaly.

– Miralyithowie nie zawsze zostawiają zwłoki.

Spodziewał się, że tą rewelacją onieśmieli Kuratorkę czy wręcz wzbudzi w niej lęk, ale Imaly wydawała się rozbawiona.

– Taki już z ciebie ekspert od magicznych walk?

– Odbyłem podróż do Rhulynu z Gryndalem. Widziałem, jak pojedynkował się z Arion.

To sprawiło, że uśmiech Imaly zniknął jak zdmuchnięty, ale i teraz nie zareagowała onieśmieleniem ani przestraszeniem, na które Mawyndulë zasługiwał. Zamiast tego zatroskała się po macierzyńsku, marszcząc czoło.

– Przeraziło cię to?

Mawyndulë omal nie parsknął śmiechem.

– To było coś niesamowitego. Gryndal był absolutnym mistrzem. Brakuje mi go.

Imaly milczała przez moment, po czym zapytała:

– Jak ci się podoba nowy nauczyciel?

– Co takiego?

– Twój ojciec powiedział mi przed chwilą, że pragnie, abyś wznowił naukę. Myślałam, że już to nastąpiło.

Jej słowa wprawiły Mawyndulëgo w szok.

– Muszę iść. – Wstał.

– Mawyndulë. – Imaly uniosła dłoń, żeby go zatrzymać.

Książę wyciągnął ręce i pomógł jej wstać.

– Dziękuję.

Mawyndulë już miał się odwrócić, ale Kuratorka go przytrzymała.

– Nie. Chciałam powiedzieć, że dziękuję ci za wszystko – powiedziała, a potem nachyliła się i pocałowała go w policzek.

Jeszcze przed miesiącem Mawyndulë wzdrygnąłby się z obrzydzenia. Przed miesiącem wyszorowałby sobie szczotką twarz po tym pocałunku. Ale przed miesiącem nie zasiadał jeszcze w Aquili i nie podtrzymywał murów budowli, podczas gdy wokół niego szalała rebelia. Przed miesiącem nie cieszył się szacunkiem jednej z najwyższych rangą urzędniczek w mieście. Teraz, gdy zbiegał ze schodów, na jego twarzy malował się uśmiech.

* * *

Mawyndulë wpadł jak burza na wschodni balkon pałacu, gdzie jego ojciec, Vasek, Vidar i Taraneh naradzali się na zwołanym naprędce spotkaniu w skwarze słonecznego lata. Dowódca Lwiej Gwardii stał zakłopotany i sztywny, dzierżąc pod pachą hełm, podczas gdy Vasek głądził o czymś monotonnym tonem.

– Właśnie się dowiedziałem, że mam dostać nowego... – Mawyndulë zdążył powiedzieć tylko tyle, zanim niewidzialna siła powaliła go na plecy.

– Synne, to mój syn! – warknął fane, choć zdaniem Mawyndulëgo nie dość stanowczo i z niewystarczającym oburzeniem. – Nie wydaje mi się, żeby przybył mnie zabić.

Mawyndulë leżał pojękując. Posadzki w pałacu Talwara były wyłożone marmurem, a on stłukł sobie biodro i łokieć, upadając.

– Och, wstawaj, chłopcze. Potraktowała cię wiatrem, a nie błyskawicą.

Mawyndulë ociężale dźwignął się na nogi i posłał drwiący uśmiech w stronę Synne, która niczego nie zauważyła. Straciła już zainteresowanie księciem, ignorowała go, jakby był kimś nieistotnym. Gdyby teraz zrewanżował się jej tym samym, spadłaby z balkonu do rzeki Shinara, i to pod warunkiem, że miałyby szczęście. Rozważał zaatakowanie jej, nawet dobrał dźwięki i ruchy, których potrzebował, żeby przyzwać porządne, silne uderzenie wiatru, ale Lothian już i tak mówił podniesionym głosem, a Mawyndulë miał inne, ważniejsze zmartwienie. Mimo wszystko czuł się upokorzony i więcej niż trochę rozgniewany, że powaliła go na podłogę mała, goblinowata siksa, o której nigdy nie słyszał aż do Buntu Szarych Płaszczy. Uważał też, że nie była to sprawiedliwa walka. Nie usłyszał ataku. Ponieważ nic go nie ostrzegło, nie miał czasu na obronę. Teraz uzmysłowił sobie, że nie słyszał też, jak sparaliżowała Vaseka, a przecież stała wtedy tuż za księciem.

Jest szybka, pomyślał Mawyndulë. Szybka i najwyraźniej potrafi działać bezgłośnie. Oto cała tajemnica.

– Zwołajcie wszystkich Shahdich – polecił jego ojciec, zwracając się do Vaseka. – I dajcie znać Kasimerowi, że chcę się z nim widzieć.

– Shahdi? – zapytał Mawyndulë, podchodząc do barierki balkonu naprzeciwko Synne. – Po co zwoływać armię? Mamy Instaryya.

– Alon Rhist zostało zdobyte – oznajmił fane. – Będziemy musieli ponownie sformować Pajęczy Korpus. Zbyt dużo czasu upłynęło, odkąd Miralyithowie ostatnio ruszyli na wojnę.

– Alon Rhist zostało... – Mawyndulë był pewien, że albo się przesłyszał, albo jego ojciec się przejęzyczył.

Czasem to się zdarzało. Starzy ludzie mieli zakurzone umysły, które nie zawsze działały poprawnie. Zapominali, gdzie odłożyli różne rzeczy, mylili imiona osób, do których się zwracali, i choć potrafili sobie przypomnieć ze szczegółami incydent sprzed tysiąca lat, nie pamiętali, co zjedli na śniadanie przed kilkoma godzinami. Raz zdarzyło się, że jego ojciec nazwał go Treya, jakimś cudem pomyliwszy własnego syna ze służącą.

– Wyczyść sobie uszy, chłopcze – warknął Lothian. – Rhunowie otoczyli fortecę i wdarli się do środka.

– Ależ to niemożliwe. To tylko Rhunowie – zaprotestował Mawyndulë.

– Rhunowie pod dowództwem Nyphrona i Arion, jak podejrzewam. – Fane spojrział na Vaseka, a ten kiwnął głową.

– Nie mam jeszcze pełnych informacji. Na razie wiemy, że tysiące Rhunów, zarówno Gula, jak i tych z Rhulynu, nadciągnęły z południa pod Wielki Most. Kilka godzin później Instarya się poddali.

– Instarya się nie poddają – zaprzeczył Mawyndulë. – Są fanatykami w kwestii walki.

– Raz ich odwiedziłeś i już jesteś ekspertem? – Lothian pokręcił głową.

– Nyphron jest synem przywódcy ich szczepu – zauważył Taraneh. – Niewykluczone, że po tylu latach izolacji na pograniczu Instarya bardziej poczuwali się do lojalności względem jednego z nich niż względem twojego ojca.

Drzwi na końcu korytarza otwarły się z hukiem i natychmiast zatrzęsęły z powrotem. Rozległy się okrzyki bólu, a potem niezrozumiałe przekleństwa.

– Mój panie?! – zawołał Haderas.

– Wpuść ich, Synne – rozkazał fane.

Sekundę później drzwi się otworzyły.

Weszli Haderas i Rigarus. Jeden był wysoki, drugi niski i prawie zawsze spędzali czas we dwóch, zazwyczaj pijąc trunki. Żaden nie należał do szczepu Miralyithów, więc Mawyndulë znał tylko ich twarze i imiona.

– Posłałeś po nas, mój panie? – zapytał Haderas. Głos miał stłumiony, bo właśnie rozcierał policzek, w który rąbnęły go drzwi.

– Mamy problem – wyjaśnił fane. – Rozkazałem, aby Instarya wkroczyli do Rhulynu i wyrznęli Rhunów. Zamiast tego Nyphron zdołał ich przeciągnąć na swoją stronę. I zrobił to samo, co w przypadku Szarych Płaszcy: przekonał ich, żeby się zbuntowali przeciwko mnie. Przejął kontrolę nad Alon Rhist.

Obaj Fhrejowie zagapili się na niego pustym wzrokiem, tak jakby zrozumieli tylko co drugie słowo. Ponieważ nie byli Miralyithami, ich reakcja nie zaskoczyła Mawyndulëgo. Uznał, że jego ojciec zapewne będzie musiał narysować im obrazki, by coś pojęli.

– Jakich działań od nas oczekujesz, mój panie? – zapytał Haderas.

– Syn przeciwnika, którego pokonałem w pojedynku, ukradł mi armię. Ma moją fortecę i przypuszczam, że dąży do zemsty. Jak sądzicie, czego mogę chcieć? Ruszamy na wojnę, głupcy! Chcę mieć własną armię. Haderasie, zwołasz Niedźwiedzi Legion i będziesz nim dowodził. Rigarusie, ty zwołasz Wilczy.

Obaj Fhrejowie wydawali się przerażeni.

– Nasi żołnierze nie zdołają stawić czoła wojownikom Instarya – oznajmił Haderas.

– Nie mamy pewności, że Instarya zgodzili się złamać Prawo Ferrola – zauważył Vasek.

– Szare Płaszcz nie miały takich skrupułów – rzucił w odpowiedzi fane, tak gniewnie, że zaskoczyło to nawet Vaseka.

Doradca skinął głową, przyznając władcy rację, lecz dodał:

– Chciałem tylko powiedzieć, że ponieważ są wojownikami, bardzo im zależy na tym, żeby trafić do Alysina. Może sam ten fakt wystarczy, żeby ich powstrzymać.

– To bez znaczenia – odparł fane. – Zamierzam również sformować na nowo Pajęczy Korpus. Jego dowódcą zostanie Kasimer Del. – Poczekał na reakcję Haderasasa i Rigarusasa, a gdy nie zareagowali w żaden sposób, dodał: – Wy i wasze oddziały będziecie głównie od tego, żeby efektywnie wyglądać, służyć wsparciem i sprzątać. Większość brudnej roboty wykona Pajęczy Korpus.

Obaj potaknęli, ale sprawiali wrażenie jeszcze bardziej zbitych z tropu niż wcześniej.

– Trzeba powstrzymać Nyphrona, i to szybko – podjął fane. – Chcę rozprawić się z nim raz na zawsze. Nie będziemy się bawić w półśrodki. Nikomu nie przysługuje zwolnienie z poboru. Na wiosnę chcę mieć dwa tysiące żołnierzy gotowych do wymarszu.

– Dwa tysiące? – Haderas miał zaszokowaną minę.

– Na wiosnę? – powtórzył Taraneh.

– Czy to problem? – zapytał fane.

Taraneh desperacko popatrzył na Vaseka.

– Pozostawiliśmy obronę Eriwanu w rękach Instarya. Po tej stronie rzeki Nidwalden mamy tylko Lwi Korpus i Shaldich. Nawet ich połączone siły trudno nazwać armią z prawdziwego zdarzenia, a szkolenie świeżych rekrutów wymaga czasu.

– Macie czas. Do wiosny.

– Po co nam armia? – zapytał Mawyndulë. – Jesteśmy Miralyithami.

– No i? Co w związku z tym proponowałbyś zrobić, chłopcze? Samą siłą woli sprawić, żeby zniknęli? Dysponujesz taką mocą, hę? – Lothian nie był po prostu rozgniewany, tylko na granicy furii. – Czy potrafisz pstryknięciem palców sprawić, żeby tysiące ludzi, ludzi znajdujących się setki mil stąd, po prostu zniknęły? Czy twój idol, Gryndal, nauczył cię tej cudownej sztuki w trakcie waszej dwutygodniowej wycieczki do Rhulynu? Tej samej, w trakcie której ucięto mu głowę? Dostrzegam pewne wady twojej propozycji!

Mawyndulë był tak zaszokowany reprimendą, że cofnął się o dwa kroki, wpadając na Sile'a. Ojciec jeszcze nigdy nie mówił do niego takim tonem. Rzadko kiedy podnosił głos. Mawyndulë ku własnemu zaskoczeniu wystraszył się, że Lothian może stracić panowanie nad sobą i zrobić coś, czego pożąduje dopiero z opóźnieniem. Jeśli w ogóle.

Fane wyszedł na balkon i oparł się o barierkę. Przez kilka minut spoglądał w dół. Nikt inny się nie poruszył ani nie odezwał. Mawyndulë odniósł wrażenie, że nawet ptaki przestały śpiewać, w obawie, że jeszcze bardziej rozgniewają fane'a.

W końcu Lothian się odwrócił.

– Taraneh.

– Mój panie. – Oficer wyprężył się na baczność.

– Przygotujesz mi nową armię. Członkowie twojego Lwiego Korpusu wyszkolą świeżych rekrutów z Niedźwiedziego i Wilczego Legionu. Przekażesz pani minister Metis, ile broni i wyposażenia potrzebujecie. Poinformuj ją, że to zadanie stanowi teraz absolutny priorytet dla jej szczepu. Na wiosnę chcę mieć dwa tysiące wyszkolonych, w pełni uzbrojonych wojowników gotowych do wymarszu na zachód. Zrozumiano?

– Tak jest, mój panie – odrzekli wszyscy.

– Przy odrobinie szczęścia nie okażą się potrzebni, ale szczęście ostatnio mi nie sprzyja.

Tamci pośpiesznie opuścili komnatę, pragnąc jak najszybciej zabrać się do pracy albo po prostu zejść władcy z oczu. Mawyndulë został sam ze swoim ojcem, Sile'em i Synne. Wolałby, żeby dwójka przybocznych też opuściła pomieszczenie, ale oczywiście nie wchodziło to w grę. Od ataku Szarych Płaszczy nie widział, żeby choć na chwilę zostawili Lothiana samego.

– A ty czemu nadal tu jesteś? Czego chcesz?

Mawyndulë przypomniał sobie informację o nauczycielu, ale to była teraz nieistotna kwestia.

– Też chcę wyruszyć – powiedział bez zastanowienia.

– Wyruszyć? Dokąd?

– Z tobą. Kiedy armia będzie gotowa do wymarszu, obejmiesz dowodzenie, czyż nie?

Fane przymrużył oczy i spojrzał na swojego syna tak, jakby Mawyndulë zmienił kolor albo wyrosła mu druga głowa.

– Tak – potwierdził. – Skąd wiedziałeś?

– Po prostu wydaje się to logiczne. Wysłałeś Arion, ale poniosła klęskę. Wysłałeś Gryndala i mnie i też ponieśliśmy klęskę. Wysłałeś olbrzymy i one też poniosły klęskę. Tym razem chcesz, żeby wszystko poszło, jak trzeba.

Jego ojciec kiwnął głową.

– Chcę wyruszyć.

– Dlaczego?

Mawyndulë już miał odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że chciałby się zemścić za śmierć swojego idola, ale zmienił zdanie. Ojciec najprawdopodobniej stwierdził, że to on powinien być idolem własnego syna, więc Mawyndulë postanowił przyjąć inną taktykę.

– Fhrejowie nieczęsto wyruszają na wojnę. Jeśli mam pewnego dnia zostać fane'em, muszę to zobaczyć i zrozumieć. Kiedy byłeś młody, twoja matka zabrała cię, żebyś zobaczył bitwę pod górą Mador. To dzięki temu teraz wiesz, co robić. Jeśli nie wyruszę z tobą, jeśli przegapię swoją szansę, żeby nabrać doświadczenia na polu bitwy, skąd mam później wiedzieć, jak toczyć własne wojny, kiedy już zostanę władcą?

Ojciec przyglądał mu się uważnie z taką miną, jakby Mawyndulë kompletnie go zaskoczył.

– Godna podziwu postawa. Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że gdybyś tutaj został, a ja poległbym w bitwie, zostałbyś fane'em... najmłodszym w historii... zakładając, że wygrałbyś pojedynek z tym, kto zadałby w róg. Wyruszenie ze mną będzie ryzykowne. Możesz zginąć.

– Nie boję się.

– Właśnie widzę, że nie. Przypuszczalnie jesteś zbyt młody, żeby martwiła cię perspektywa śmierci. W ogóle nie bierzesz pod uwagę takiej możliwości, a jeśli nawet, to pociąga cię wizja bohaterskiego końca, i radowałaby cię świadomość, że historia cię zapamięta. – Lothian zatarł ręce. – Kiedy stajesz się starszy, Mawyndulë, przypomina to wspinanie się na górę. Im wyżej wchodzisz, tym szerszy widok roztacza się przed tobą. Od czasu do czasu się oglądasz. Z dużej wysokości widzisz ścieżki, które zostawiłeś za sobą. Te, którymi wędrowałeś, i te, które nierozsądnie zignorowałeś, a także ślepe zaułki, które ominałeś tylko dzięki szczęśliwym zbiegom okoliczności, a nie dlatego, że kierowała tobą mądrość. Widzisz też innych, którzy podążają za tobą, podejmując te same nieroztropne decyzje. Znajdując się wyżej niż oni, dostrzegasz ich niewłaściwe wybory oraz ścieżki, których nie widzą, bo nie stoją tam, gdzie ty. Mógłbyś do nich wołać, próbować ich ostrzec, ale rzadko kiedy słuchają. Są zbyt zaślepieni przez oczywisty fakt, że ścieżka, którą wędrowałeś, doprowadziła cię tam, gdzie teraz jesteś, a jest to miejsce, w którym oni też pragną się znaleźć.

Lothian popatrzył na niego przenikliwie, jakby oczekiwał odpowiedzi, ale Mawyndulë nie miał pojęcia, co jego ojciec wygaduje. Może nie było to nic sensownego, ostatecznie fane miał zakurzony umysł. Starsi ludzie czasem

rozdądywali się bez celu. Może słuchanie własnego głosu działało na nich uspokajająco.

– Tak, będziesz mógł mi towarzyszyć – oznajmił w końcu fane. Wydawał się rozczarowany. – Ty też wyruszysz na wojnę.

Mawyndulë się uśmiechnął.

– Ale na nic mi się nie przydasz bez porządnego wykształcenia.

Uśmiech księcia znikł.

– Zapisalem cię do Akademii Sztuki.

Gdyby ojciec wyznaczył mu nowego nauczyciela, księżę nie byłby uszczęśliwiony, ale to... To nie wchodziło w grę.

– Do akademii? – powtórzył zdumiony Mawyndulë. – Ale akademia jest dla... Jestem księciem. Publiczna uczelnia to nie miejsce dla mnie.

– Wprost przeciwnie, to idealne miejsce dla ciebie. – Fane postąpił krok w stronę swojego syna. – Potrzebujesz formalnego wykształcenia w Sztuce, a twoje lekcje z nauczycielami nie skończyły się dobrze ani dla ciebie, ani dla nich.

– Ale w akademii? – Mawyndulëgo przerażało, że znów będzie musiał ćwiczyć i uczyć na jeszcze więcej głupich lekcji, tym razem przy świadkach. – Ja, twój syn, miałbym uczyć się Sztuki w szkole? To... To chory pomysł.

– Chory pomysł? Ale wiesz, czym jest akademia, prawda?

Mawyndulë przewrócił oczami.

– Wiem, że to nie miejsce dla syna fane'a.

Lothian tylko się zaśmiał.

– Wiesz, jak doszło do powstania tej uczelni?

Mawyndulë zastanawiał się przez chwilę. To była jedna z tych sytuacji, kiedy czuł, że powinien znać odpowiedź, ale z jakiegoś powodu nie mógł sobie przypomnieć, czy ten konkretny fakt kiedykolwiek obił mu się o uszy. Sądząc po tym, jak zachowywał się jego ojciec, Mawyndulëmu umknęło coś naprawdę istotnego. Dał za wygraną.

– Nie.

Jego ojciec prychnął. Mawyndulë nie potrafił zinterpretować tego prychnięcia. Fane nie wydawał się rozgniewany, ale nie był też uszczęśliwiony. Najwyżej lekko rozbawiony.

– Założył ją Pyridian.

Mawyndulë gapił się na ojca, który odwzajemnił jego spojrzenie tak wyczekująco, że księżę poczuł się zestresowany.

– Och, na oblicze Ferrola! Nie masz pojęcia, o kim mówię, zgadza się?

Mawyndulë powoli pokręcił głową. Nie podobało mu się, że Sile i Synne przysłuchują się tej wymianie zdań. Nie żeby martwiła go obecność Sile'a; ten olbrzym pewnie nawet nie potrafił odróżnić słońca od księżyca. To Synne stanowiła problem. Mawyndulë nie chciał wyjść przed nią na idiotę, a podejrzewał, że właśnie to robi. Ale w sumie co to za różnica, jeśli nie wiedział, kto założył Akademię Sztuki Miralyithów?

– Mawyndulë – podjął fane. – Sztuka to nasz skarb.

Teraz książę uznał, że ojciec po prostu się z niego natrzęsa.

– Wiem, że nasz, ale Fhrejowie...

– Nie! – Lothian uniósł dłoń, nakazując mu zamilknąć. – Nie Fhrejów. Nasz. – Wskazał siebie, a potem Mawyndulëgo. – To nasza rodzina ją wynalazła. Twoja babka była pierwszą osobą, która z niej korzystała. Kiedy uczyła innych, zawsze odbywało się to w cztery oczy lub w małych grupkach. Proces nauczania był powolny i mało efektywny, odbywał się metodą prób i błędów. Nikt nie wpadł na to, żeby go sformalizować, dopóki Pyridian nie uznał, że warto. Wybudował akademię, używając Sztuki, tak samo jak Feneliusa stworzyła Avemparthę. Wykształcił całe pokolenie Fhrejów, nauczył ich przekazywać wiedzę dalej i uczynił ich instruktorami na swojej uczelni. Zarówno Gryndał, jak i Arion byli jego uczniami.

Mawyndulë miał w nosie Zdrajczynię, ale...

– Uczył Gryndała?

– Oczywiście.

– Ee... Nie przypominam sobie, czy kiedyś spotkałem tego Pyridiana?

Fane pokręcił głową.

– Zmarł, zanim przyszedłeś na świat. Prawdę mówiąc, można powiedzieć, że zawdzięczasz swoje istnienie jego śmierci. Właśnie dlatego tak mnie dziwi, że nigdy o nim nie słyszałeś.

Mawyndulë znów zerknął na Synne, przekonany, że ojciec celowo go upokarza.

Fane spostrzegł minę syna i pokręcił głową.

– Wierz mi, twoja niewiedza znacznie gorzej świadczy o mnie niż o tobie. Powinienem był wspomnieć ci o nim wcześniej.

– Dlaczego? Kim on był? – zapytał Mawyndulë.

– Twoim bratem.

Rozdział szósty

Na drugim miejscu

Owej zimy zasiano ziarna. Armia nauczyła się walczyć, kowale wykuwać broń, ludzie nauczyli się, jak to jest mieszkać w murowanym domu zamiast w chacie z polepą, a ja nauczyłam się pisać. Ludzka cywilizacja narodziła się w kamiennych murach, podczas gdy na zewnątrz szalały śnieżyce.

Księga Brin

Okienko w drzwiach na najniższej kondygnacji Kypu otwarło się, ukazując jedynie dwoje oczu i kawałek nosa. Odźwierny jak zwykle oznajmił:

– Mów, z czym przybywasz.

Następnie powtórzył to samo po fhrejsku. Raithe nie miał pojęcia, po co.

– Wróciłem, żeby zobaczyć się z Persefoną.

– Mów, jak się nazywasz i jaką sprawę masz do pani keenig.

– Wiesz, jak się nazywam.

– Odmowa udzielenia odpowiedzi będzie...

– Raithe, i chcę z nią porozmawiać.

– O czym?

– To nie twoja sprawa.

Okienko się zatrzasnęło, ale Raithe nie odszedł. Czekał.

Przemieszkawszy osiem miesięcy w Alon Rhist, czuł się wyobcowany i samotny, mimo że kiedyś nie przypuszczał, że na świecie w ogóle może żyć tylu ludzi, ilu mieszkało w tym mieście. Długo składał swój fatalny nastrój na karb śniegu. Zasy blokowały wąskie uliczki, więząc ludzi w domach i zniechęcając ich do organizowania większych spotkań. Z nadejściem wiosny uświadomił sobie, że wcale nie chodziło o śnieg.

Co gorsza, bez przerwy tutaj marzył. Wychował się w lepiance ogrzewanej płatami suszonego gnoju, a mimo to we wspaniałych, wyłożonych marmurem salach Rhistu zaskakująco doskwierał mu chłód. Ziemia daje życie, pomyślał Raithe. A kamień jest po prostu zimny.

Wystarczyła tylko jedna zima w murach Rhistu, żeby zatęsknił za swoją młodością spędzoną w Dureyi. Po raz pierwszy w ostatnich miesiącach ociepliło się, zrobiło niemal upalnie. Śnieg prawie stopniał, jego resztki uchowały się tylko w cieniu pod mostami lub w ciasnych uliczkach. Powróciły ptaki, na gałęziach nabrzmiewały pączki, kwitły pierwsze kwiaty, a Raithe nie był zadowolony z tego, co działo się w Alon Rhist. Nie czuł się uprawniony do tego, żeby zgłaszać zastrzeżenia, bo nadal był wodzem dla jednej osoby – dwóch, jeśli wliczyć Malcolma, czego nie zamierzał robić. Teraz, kiedy Malcolm znalazł się z powrotem w murach Rhistu, Raithe zaczynał wątpić w lojalność niegdysiejszego niewolnika Fhrejów. Malcolm nie powiedział ani nie zrobił niczego podejrzanego, ale Raithe i tak odnosił wrażenie, że coś się zmieniło w ich relacji. To niedobre przeczucie przejmowało go dreszczem jak nadchodzące przeziębienie.

Chciał się oprzeć o odlane z brązu drzwi, które wiodły do wewnętrznej części fortecy, ale tak się nagrzały w słońcu, że parzyły. Przeszedł z powrotem przez most i przechylił się przez barierkę, patrząc w dół. Wysoko tu jest, pomyślał. Nie miał pojęcia, jak wysoko, ale u jego stóp, w oddali, widniały czerwone dachy wielkości żurawin. Na wschodzie można było stąd sięgnąć wzrokiem aż do skalistych wzgórz za Doliną Wzniesionej Włóczni, gdzie zginęli jego bracia. Na południu Raithe wypatrzył Rozwidlenie, gdzie spoczęły zwłoki jego ojca. Choć jego wioska znajdowała się znacznie bliżej, kopuła zasłaniała tę część panoramy, więc nie widział, gdzie zmarły jego matka i siostra. Miał Clempton dokładnie przed sobą, ale nie mógł go zobaczyć. Śmierć otaczała go ze wszystkich stron z wyjątkiem jednej.

Wrócił do drzwi i ponownie zakołatał w brąz.

Okienko znów się otwarło.

– Tak? – zapytały oczy i nos.

– Nadal czekam.

– Czy byliście umówieni?

– Co? Po prostu bądź łaskaw powiedziec Persefonie, że tu jestem!

– A czemu to takie istotne?

– Bo jesteśmy zaprzyjaźnieni.

– I?

– I co? – zapytał Raithe.

– O to właśnie pytam. Pani keenig jest niezwykle zajęta osobą. Jeśli nie mogę jej poinformować, czego ma dotyczyć wasze spotkanie, nie widzę sensu w informowaniu o nim.

– To nie ma być spotkanie. Chciałbym z nią tylko porozmawiać.

– Rozmowa jest spotkaniem, panie. Czy wasza konwersacja ma dotyczyć spraw związanych z bezpieczeństwem Rhistu? Czy dlatego nie chcesz zdradzać jej tematu? Jeśli tak, mogę zapewnić, że zarząd cytadeli całkowicie mi ufa. Nie powinien, panie, mieć żadnych oporów przed wyjawieniem mi tych informacji.

Raithe nie zrozumiał większości słów w tej wypowiedzi, choć był absolutnie pewien, że odźwierny mówił po rhuńsku.

– Posłuchaj, ja tylko... Chcę ją tylko pozdrowić.

– Jeżeli to wszystko, mogę jej przekazać tę informację. Nie musisz, panie, zajmować cennego czasu pani keenig.

– Chcę też zobaczyć, jak się miewa, w porządku?

– Czyli to mają być zwykłe odwiedziny? O charakterze czysto towarzyskim?

– Tak, powiedzmy.

– Proszę zaczekać.

Okienko znów się zatrzasnęło.

Raithe odsunął się od wściekle nagranych drzwi, zastanawiając się, czy wewnątrz panuje temperatura jak w piecu. To by tłumaczyło przebieg rozmowy. Odźwiernemu usmażyło mózg.

Ponownie wyszedł na most, ale tym razem popatrzył w górę. Kyp był wzniesioną z kamiennych bloków budowlą równie wysoką jak Verenthenon. Miał tylko jedno wejście, a zamiast okien jedynie wąskie otwory strzelnicze pod dachem. To czyniło Kyp oraz obszar znajdujący się za nim najlepiej ufortyfikowaną częścią twierdzy. Każdy, kto chciałby zaatakować tę budowlę, musiałby przebyć Wielki Most, sforsować potężne wrota, niższy dziedziniec, wspiąć się po krętym zjeździe, a potem przebić się przez wąskie uliczki miasta, docierając do fortecy, której strzegły kolejne wrota z brązu i niższy mur. Za nimi znajdował się wyższy dziedziniec, gdzie ulokowano koszary, place ćwiczeń, garbarnię, kuchnię, kuźnię i zagrody dla zwierząt. Strome, wąskie schody wiodły stamtąd w górę, do Verenthenonu. Atakujący żołnierze musieliby się po nich wspiąć, pokonując serię tarasów i balkonów, tylko po to, żeby dotrzeć na biegnący wzdłuż muru długi most wspornikowy, na którym stał teraz Raithe. Ponieważ sławny Spyrok, owa niebosięzna wieża strażnicza z kamienia i szkła, wznosił się po przeciwległej stronie Kypu i wiódł tam kolejny most, było to najbardziej odizolowane miejsce w całym kompleksie Rhistu. Jak dotąd, po niemal ośmiu miesiącach prób, Raithe ani razu nie zdołał dotrzeć dalej niż do

miejsca, w którym teraz stał. Nie udawało mu się dostać do Kypu – za każdym razem odprawiano go sprzed odlanych z brązu drzwi.

Okienko otwarło się ponownie.

– Pani keenig nie może teraz udzielić audiencji.

Zanim Raithe zdążył cokolwiek powiedzieć, okienko się zatrzasnęło, i tym razem zabrzmiał metaliczny stukot zasuwanego rygla.

* * *

Na łące, gdzie trawa była gdzieniegdzie wydeptana do gołej ziemi, cztery tuziny mężczyzn tłukły się nawzajem kijami. Kilku walczyło na metalowe miecze – to byli ci bardziej zaawansowani, którzy szybko się uczyli – ale większość wywijała bronią ćwiczebną z hikory. Raithe wiedział, że ćwiczący radzą sobie coraz lepiej, bo słyszał znacznie więcej trzasku drewna o drewno niż głuchych uderzeń o ciało. Rzadko rozbrzmiewały też przekleństwa czy przeraźliwe krzyki bólu. Tego ranka nad placem ćwiczeń niosło się głównie szybkie staccato blokowanych ciosów, od czasu do czasu przerywane okrzykami satysfakcji.

– Widziałeś się z nią? – spytał Malcolm, zanim Raithe zdążył zejść po schodach.

– Chyba się kąpie.

Malcolm i Suri wygrzewali się w słońcu u podnóża schodów. Oboje rozsiedli się na trawie, z wyciągniętymi nogami. Przypominali dwie wylegające się w upale jaszczurki. Malcolm odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Raithe'a zza przymrużonych powiek.

– Znowu cię odprawiono z kwitkiem? Powiedziałeś im, że jesteś wodzem?

– Wiedzą o tym. – Raithe usiadł w słońcu obok Suri. Przyjemnie było grzać się w słonecznych promieniach, czuć na twarzy ich ciepło.

Nigdy nie wiesz, jak bardzo powinienes coś doceniać, pomyślał, dopóki tego nie stracisz.

– Jesteś pewien?

Raithe kiwnął głową, spoglądając na plac, gdzie najbliższą parą ćwiczących byli rolnik Wedon i jeden z młodszych Gula-Rhunów. Duma nie pozwalała starszym wojownikom z północy szkolić się pod okiem Fhrejów, ale przysyłała swoich chłopców i młodzieńców, którzy po powrocie do domu przypuszczalnie pokazywali innym to, czego się nauczyli. Wszyscy szermierze byli ubrani tylko w przepaski biodrowe, a ich skóra lśniła od potu. Raithe był w stanie poznać, którzy z walczących radzą sobie lepiej, bo do pleców ich oponentów poprzyklejało się więcej źdźbeł trawy.

– On to robi specjalnie – powiedział.

– Kto?

– Nyphron – wyjaśniła Suri.

Leżała z zamkniętymi oczami i dłońmi złożonymi na piersi, jakby była martwa. Malcolm zerknął na nią, a potem ponownie na Raithe'a.

– Nyphron tam był?

– Nie... No, w sumie nie potrafię powiedzieć. Zawsze widuję tylko oczy i nos, więc nie wiem, z kim rozmawiałem, ale jestem pewien, że odprawiono mnie z jego rozkazu. Nie dopuszcza mnie do Persefony, bo stanowią konkurencję.

– Sądysz, że on... Co takiego? Myślisz, że Nyphron żywi do Persefony romantyczne uczucia?

Raithe uśmiechnął się drwiąco.

– To ty mi kiedyś powiedziałeś, że Fhrejowie nie różnią się aż tak bardzo od ludzi. Pamiętasz?

– Nie twierdzę, że to niemożliwe. Zastanawiam się tylko, co każe ci podejrzewać, że się nią zainteresował.

Suri odpowiedziała pierwsza:

– To dlatego, że Nyphron stroszy sierść, ilekroć Raithe podchodzi zbyt blisko.

– Stroszy sierść? – Malcolm się zaśmiał.

– Jak borsuk nad świeżą zdobyczą. Uważa, że musi jej bronić, więc próbuje odstraszyć każdego, kto znajdzie się w pobliżu. – A kiedy Malcolm zaśmiał się ponownie, dorzuciła: – Nie żartowałabym sobie z borsuka. Nie mają za grosz poczucia humoru. Możecie mi wierzyć.

– Ilekroć widuję Persefonę, on jest przy niej. W ogóle nie mam szans porozmawiać z nią na osobności. Siedzą razem podczas wszystkich publicznych posiłków oraz posiedzeń rady.

– Nyphron dokańcza teraz zdania, które ona wypowiada. Zauważyłeś? – zapytała Suri, podnosząc wzrok na Raithe'a i osłaniając oczy od słońca.

Nie zauważył, ale ostatnimi czasy widywał Persefonę naprawdę rzadko. Mało kogo wpuszczano do wnętrza Kypu. Do nielicznych wyjątków zaliczały się kobiety z osobistej świty Persefony, takie jak Moya, Padera i Brin. Suri też mogła tam wejść, bo ona i Arion dzieliły ze sobą jedną z komnat za odlanymi z brązu drzwiami. Natomiast Raithe widywał Persefonę wyłącznie podczas długich, hałaśliwych, obowiązkowych i coraz mniej częstych posiedzeń rady, które odbywały się w Verenthenonie.

– Więzi ją w tej wieży i pilnuje jak smok swojego skarbu.

– Jest po prostu zajęta – odrzekł Malcolm. – Pamiętaj, że jest keenigiem Dziesięciu Klanów. Jeśli doliczyć do tego jeszcze Instarya, w praktyce kontroluje całe pogranicze. Słyszałem, że bez przerwy przyjmuje teraz interesantów. Przez cały dzień i do późna w nocy.

– Co to za interesanci?

– Najróżniejsi. Tutejsi dostojnicy, których nadal niepokoi obecność Rhunów w murach fhrejskiej twierdzy; posłańcy ze wszystkich rhuńskich wiosek, a także fhrejscy dowódcy informujący ją o wszystkim, co się dzieje na pograniczu aż po Ervanon.

– Czym jest Ervanon?

– To forteca podobna do tej, ale położona na północy. Podlegają jej teraz wszystkie pograniczne warownie Instarya, bo cały szczepek uznał Nyphrona za swego przywódcę i prawowitego pana Rhistu, a Nyphron zaakceptował Persefonę w roli keeniga.

Malcolm wskazał fhrejskich instruktorów, którzy krążyli między walczącymi, dzierżąc krótkie kijki i wykrzykując instrukcje, słowa zachęty oraz obelgi.

– Są jeszcze ci tutaj. Persefona zażyczyła sobie, by składali jej raporty ze szkolenia. Poza tym mamy organizatorów dowozu zaopatrzenia i kwatermistrzów, którzy informują o wzroście upraw, strategiach płodozmianu i przewidywanych plonach, jak również Fhrejów odpowiedzialnych za funkcjonowanie Rhistu. Słyszałem, że w studniach zaczyna brakować wody. A do tego wszystkiego Persefona musi też wysłuchiwać skarg, które trafiają do tutejszego sądu, znanego jako Karola.

– Sam miałbym kilka skarg – powiedział Raithe.

Malcolm zerwał długie źdźbło trawy rosnące u podnóża schodów.

– Ale nie dotyczą oficjalnych kwestii. Mam na myśli zażalenia związane z nowymi przepisami albo niesprawiedliwym traktowaniem.

– Jestem niesprawiedliwie traktowany! Przyjaźnię się z Persefoną. Czemu spotykam ją tylko przy oficjalnych okazjach? Kiedyś mogłem po prostu podejść i się z nią zobaczyć.

Malcolm wzruszył ramionami z przepaszającym uśmiechem.

– Czasy się zmieniają.

Suri usiadła i odwróciła się do Raithe'a.

– Już ci mówiłam, że mogę cię tam wprowadzić.

Raithe popatrzył na nią, a mistyczka się uśmiechnęła. Ten uśmiech krył coś więcej niż tylko propozycję, że wejdą do środka razem. Sugerował konsekwencje większego kalibru.

Suri wspominała już o swojej podróży do krainy karłów. Nie wszystko wyjawiała – Raithe widział, że niektóre partie tej opowieści są dla niej zbyt

bolesne. Powściągliwość mistyczki kojarzyła mu się z jego własnym milczeniem na temat rodziny oraz życia w Dureyi. Unikał mówienia o niektórych rzeczach, nawiązywał do nich, ale bez wdawania się w szczegóły – nie z nieufności, tylko dlatego, że nie chciał deptać grobów. Jednak Suri powiedziała dość, żeby Raithe wiedział, że gdyby chciała, mogłaby zamienić Kyp w stertę gruzów albo stopić wrota z brązu, pozostawiając tylko kałużę. To właśnie oznaczał jej uśmiech, a towarzyszące mu łobuzerskie błyski w oczach sugerowały, że świetnie by się przy tym bawiła.

Raithe uśmiechnął się, ale pokręcił głową.

– Gdybym naprawdę potrzebował tam wejść, tobym wszedł. Mróz albo Powódź zdjęliby zawiasy z tych drzwi. Albo mógłbym po prostu poprosić Brin lub Mowę, żeby zorganizowały mi audiencję.

– Mój sposób byłby zabawniejszy. – Suri puściła do niego oko.

– Arion by się nie ucieszyła – przypomniał jej Raithe. – Dobrze o tym wiesz.

– Wstawiłabym wszystko z powrotem – odrzekła mistyczka.

Raithe nie miał pojęcia, co zamierzała wstawić z powrotem. Może drzwi? Znajac Suri i sądząc z jej uśmiechu, równie dobrze mogło chodzić o cały frontowy mur Kypu.

– To czemu tak nie zrobisz? – zapytał Malcolm, zwracając się do Raithe'a. – Czemu nie zorganizujesz sobie audiencji?

– Bo nie zależy mi na audiencji u keeniga. Chciałbym zobaczyć się z Sefą, i... nie chcę się z nią widzieć, jeśli ona tego nie chce. – Raithe podkurczył nogi i westchnął. – Od początku zimy stawałem przed tymi drzwiami kilkadziesiąt razy. Wszyscy o tym wiedzą. Jestem pewien, że dotarło to również do uszu Persefony, a nawet jeśli nie, to dlaczego nigdy nie próbowała mnie odszukać? I nie mówcie mi, że jest zbyt zajęta. Nikt nie bywa aż tak zajęty.

Trzaskanie drewnianych mieczy przycichło, bo większość ćwiczących przestała walczyć. Uwaga wszystkich skupiła się na środku pola, gdzie nie rosła ani odrobina trawy. Dwóch szermierzy właśnie szykowało się do walki.

– Co się dzieje? – zapytał Raithe.

– Tesh i Sebek – odparł Malcolm.

– Znowu?

– Ten dzieciak jest uparty.

Raithe wspiął się z powrotem na schody, żeby móc popatrzeć ponad głowami spoconych mężczyzn, którzy właśnie gromadzili się w kręgu wokół Sebeka i Tesha. Ci dwaj zamierzali walczyć prawdziwą bronią, bez tarcz, i byli rozebrani do pasa tak jak cała reszta. Sebek jak zwykle dzierżył swoje dwa miecze, znane jako Nagon i Tibor. Tesh miał własne, o krótkich klingach wykutych z żelaza przez Roan.

W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy Tesh, który przed zaledwie dwoma miesiącami skończył szesnaście lat, poczynił niewiarygodne postępy w nauce walki. Wkładał w to całą energię. Wychodził przed świtem, wracał na kwaterę późną nocą i zasypiał, gdy tylko jego głowa dotknęła siennika. Co najmniej dwa razy nie dotarł do łóżka – Raithe raz znalazł go śpiącego na podłodze, kiedy indziej przy stole, obok niedojedzonego posiłku. Mnóstwo treningów i obfitość pożywienia przemieniły chudego jak śmierć wypłosza w szczupłego, ale solidnie umięśnionego młodzieńca. Tesh nadal miał nieco patykowaną sylwetkę i należało przypuszczać, że w przyszłości sporo urośnie, ale był już na najlepszej drodze, żeby zrealizować swój cel: zostać mistrzem wszystkich stylów walki, jakimi posługiwali się Galantianie.

– Gotów na kolejne lanie? – Sebek uśmiechnął się od ucha do ucha, kręcąc młynka Tiborem.

Tesh nie odpowiedział. Skulił się lekko, unosząc oba miecze, i ze skupieniem wpatrywał się w oczy Sebeka.

Nikt prócz Tesha nie miał odwagi walczyć z Sebekiem. Ten Fhrej nie uczył, tylko upokarzał. Potrafił też zrobić krzywdę. Wszyscy wiedzieli, że mistrzowskie umiejętności Sebeka pozwalają mu unieszkodliwiać oponentów bez zadawania im ran, ale słabi przeciwnicy tak go irytowali, że kaleczył ich, żeby zademonstrować swe rozczarowanie. Podczas jednego ze starć przerażony wieśniak z Menahanu zaczął płakać, a wtedy Sebek odciął mu mały palec. Po tym incydencie nikt nie chciał już z nim walczyć – nikt oprócz Tesha. Chłopak desperacko pragnął pokonać mistrza. To pragnienie przerodziło się w obsesję.

Dzieciak zachęcił Sebeka do ataku, a Sebek ochoczo spełnił tę prośbę. Jego dwie klingi bardziej przypominały dziesięć, gdy wirowały i cięły powietrze krzyżową sztuką, rozmazując się w błyszczące smugi. Poruszały się zbyt szybko, by ludzkie oko mogło za nimi nadążyć. Kiedy miecze Tesha ścierały się z ostrzami Sebeka, brzmiało to tak, jakby metalowe fale rozbijały się o metalowy brzeg. Leciały iskry. Raithe nigdy nie widział, żeby zderzenia innych kling dawały taki efekt. Nieraz obserwował treningi Galantian, a Vorath i Tekchin często rozstrzygali wzajemne nieporozumienia z bronią w rękę, ale ich starcia nie krzeszały iskier. Ilekroć Tesh walczył z Sebekiem, towarzyszyły temu efekty świetlne.

Chłopak zaczął się cofać. Zawsze tak było. Sebek w natarciu przypominał dziki żywioł, którego nie da się powstrzymać ani stawić mu czoła. Raithe przypominał sobie własne – jedno jedyne – starcie z tym przeciwnikiem. Fhrej na chłodno oszacował jego umiejętności, po czym rozbroił go gołą ręką. Tesh autentycznie starał się wygrać. Udawało mu się parować ataki, których nie miał szans zobaczyć – na oślep zbijał pchnięcia i uchylał się przed cięciami, nim

jeszcze padły. Wyglądało to tak, jakby czytał Fhrejowi w myślach. A Sebek mimo wszystko uprzedzał wszystkie jego manewry, planował tę walkę na trzy posunięcia w przód, wiedząc nie tylko, że Tesh zdoła sparować jego ciosy, ale też, jak sparuje. Opracowywał taktyki mające stanowić odpowiedź na ruchy Tesha, zanim chłopak wymyślił, co zrobi.

Wszystkich czterdziestu ośmiu mężczyzn z zapartym tchem śledziło starcie, które z pewnością stanowiło najbardziej fascynujący pokaz walki, jaki kiedykolwiek dane im było oglądać. Wzdrygali się, wzdychali i krzywili, zawsze po fakcie – po tym, jak kolejny raz omal nie doszło do katastrofy. Nie mieli szans nadażyć za tym, co się działo.

Na Mari, ten dzieciak był naprawdę dobry. Raithe głowił się, jak w ciągu roku można zrobić aż takie postępy. Nie, nie roku, zreflektował się zaraz. Ten dzieciak jest z Dureyi. Walczył przez całe życie.

Przypomniawszy sobie, jak Tesh dobył sztyletu, gdy spotkali się po raz pierwszy, i jak wielokrotnie podcinał mu nogi, gdy ćwiczili walkę na plaży w Tirre. Raithe uważał wtedy, że Tesh jest zabawny. Nie miał pojęcia, do czego ten dzieciak jest zdolny.

Może już wtedy potrafiłby mnie zabić, pomyślał. Bawiłem się z lwiatkiem, a teraz jest większe niż ja.

Nie zobaczył, co dokładnie się stało. Nastąpiło to zbyt szybko. Jednakże usłyszał inny odgłos niż dotąd, „brzdęk” zamiast „dżing”, i jeden z mieczy Tesha wyleciał z dłoni właściciela.

Sebek nie odpuszczał. Zaatakował z niepohamowaną agresją. Tesh nie miał jak zablokować obu jego mieczy, dysponując tylko jednym. Sparował cios pierwszej klingi, ale druga już godziła w jego odsłonięty bok. Sebek zamierzał wyegzekwować zapłatę za tę walkę, raniąc Tesha w klatkę piersiową, zostawiając ślad, którego oponent nigdy nie zapomni.

Jednakże tak się nie stało.

Tesh zbił klingę otwartą dłonią.

Uczył to trzykrotnie, zanim Sebek przerwał walkę i opuścił miecze. Skinął głową.

– Już lepiej – oznajmił.

Tłum mokrych od potu mężczyzn zaczął wiwatować i krzyczeć radośnie. Sebek nie został pokonany – wynik pojedynku nawet nie zbliżył się do remisu. Rozbrojenie Tesha było równoznaczne ze zwycięstwem, a w ciągu całego starcia chłopak nie zdążył wyprowadzić choćby jednego ataku. Jednakże bronił się skutecznie, a dla mężczyzn stojących na placu ćwiczeń już to było zwycięstwem wykraczającym poza ich marzenia.

Sebek podrzucił stopą wytrącony Teshowi miecz i krótkim ciosem własnej klingi posłał go w stronę właściciela. Chłopak złapał młynkującą w powietrzu broń za rękojeść i z rozmachem schował oba miecze do pochew.

– Dobra robota, Techylorze – oznajmił Sebek.

Zupełnie jakby ich pojedynek stanowił wielki finał, trening dobiegł końca, gdy wszyscy rzucili się ku Teshowi, żeby go klepać po plecach.

Raithe odwrócił się do Malcolma.

– Co to znaczy? Jak Sebek nazwał Tesha?

– Techylor? – powtórzył Malcolm. – To znaczy „ktoś o szybkich rękach” czy też po prostu „szybkoreki”.

– Pozamiatane. Nie da się z nim teraz żyć – mruknął z niezadowoleniem Raithe.

Malcolm przytaknął.

– Zapewne, ale powinienes docenić pozytywne strony tej sytuacji. Jeśli nie liczyć Nyphrona, masz najlepszą Tarczę w całym Alon Rhist.

Raithe zmarszczył brwi.

– Najwyraźniej jestem na drugim miejscu po Nyphronie w więcej niż jednej kwestii.

Rozdział siódmy

Sny i koszmary

Zaczęłam pisać, żeby odganiać demony i zachować w pamięci bliskich, których straciłam. Po tylu latach nic się nie zmieniło.

Księga Brin

Wilgotna dłoń zacisnęła się na ustach Brin. Drugie ramię potwora otoczyło jej talię, unieruchamiając ręce. Raow zaczął ją ciągnąć po kamieniach, szepcząc do ucha:

– Spokojnie, nie szarp się. Teraz jesteś moja. Muszę cię tylko zawlec na stertę.

Na stertę!

Brin nie mogła wrzasnąć, nie mogła się poruszyć. Oddychała z trudem. Próbowwała kopać, ale w niczym jej to nie pomogło. Choć skręcało ją z obrzydzenia, chciała ugryźć dłoń zasłaniającą jej usta, ale za nic nie mogła ich otworzyć.

Stwór nadal szeptał upiornie kojącym tonem, jakby zamierzał ją ocalić. Ale tak naprawdę wcale nie przemawiał do niej.

– Tak, wszystko będzie dobrze. Mam cię. Muszę tylko wrócić, wrócić do sterty. Muszę wrócić, żeby wreszcie zjeść i móc ułożyć się do snu.

Poczuła, jak liże ją po policzku.

– Taka słodka twarzączka.

Przebudziła się z łomoczącym sercem. Coś przykrywało jej twarz, utrudniając oddychanie.

Brin sięgnęła w górę i odkryła, że tym czymś jest poduszka. Zrzuciła ją gwałtownie na podłogę.

– Durne ustrojstwo – wyszeptała w ciemności, dygocząc.

Wsparała się na łokciach i przez chwilę oddychała głęboko, by się uspokoić. Raow od dawna nie żył, a ona mieszkała w ślicznym domku przy ulicy Lyonet w Małym Rhenie. Blask księżycy wpadał przez okno, rzucając plamę światła w kształcie równoległoboku na podłogę, ścianę i dwa łóżka. Łóżko Roan znów było puste. Piętro niżej chrapała Padera.

Koszula nocna Brin kleiła się do spoconej skóry. Dziewczyna zadrzała i ciasniej otuliła się kocem.

„To był tylko sen”. Wyobraziła sobie, jak jej matka wypowiada te słowa. „Kładź się z powrotem i śpij”.

Jednakże Brin wiedziała, że jeśli spróbuje ponownie zasnąć, raow wróci. Zawsze wracał. Kiedy zjawiał się w jej snach, tylko światło dzienne mogło go przepędzić. Tym razem udało jej się przetrwać cały tydzień bez jego wizyty. Ale dzisiaj... Przechyliła się przez krawędź łóżka i wskazała palcem zrzuconą poduszkę.

– To twoja wina.

Brin nie była przyzwyczajona do poduszek. Przed przybyciem do Rhistu nigdy nie korzystała z podobnego wynalazku. Wypchany pierzem worek zapadał się pod jej głową i robił wszystko, żeby ją udusić. Westchnęła, zmarszczyła brwi i splotła ręce na piersi. Wiedziała, że nieprędko znów zaśnie. Rano będzie wyczerpana, ale nie było innej rady. Musiała wstać.

Już miała spuścić nogi na podłogę, ale w ostatniej sekundzie podciągnęła je z powrotem. Przekręciła się na brzuch i ostrożnie zwiesiła głowę, żeby zajrzeć pod łóżko. Potem zajrzała pod łóżko Roan. Nic. Zalała ją fala ulgi i wstydu. Ile ty masz lat, co? – pomyślała. Wstała i po omacku odszukała w mroku skórzaną torbę. Sama ją sobie skombinowała. Pojedynczy płąt koziej skóry dawał się zgrabnie zawinąć wokół sterty arkuszy pergaminu i spiąć rzemieniami. Z małego stolika nocnego zgarnęła garść gęsich piór. Brin do niedawna używała przyciętych trzcin maczanych w inkauscie, ale odkryła, że pióra sprawdzają się lepiej. Po tym, jak zaangażowano rzesze ludzi do skubania ptaków i robienia strzał z lotkami, w Alon Rhist walały się sterty niepotrzebnych piór. Miały puste stosiny i zużywały się znacznie wolniej niż kawałki trzcin, a dzięki Moyi Brin zyskała ich całe setki.

Zaniosła pergaminy, inkaust i pióra na biurko stojące przy oknie i położyła je na blacie. Po długiej zimie dysponowała już imponującym stosikiem zapisanych arkuszy. Część z nich zajmowało tłumaczenie – najlepsze, jakie była w stanie wykonać – skopiowanych tabliczek, które udało im się wynieść z komnaty Prastarego w Neithu. Nadal pracowała nad tym przekładem, ale po tym, jak przetłumaczyła dla Roan fragmenty dotyczące metalurgii, zajęła się też

sporządzaniem relacji z niedawnych wydarzeń, żeby je zapisać, dopóki miała wszystko na świeżo w pamięci.

Często tak robiła.

Brin najpierw opisała dorastanie w dahlu Rhen, poświęcając szczególnie dużo miejsca swoim rodzicom. Potem przeskoczyła do wyprawy, którą odbyły do Neithu pod wodzą Persefony. Wzbiła się na wyżyny swoich możliwości literackich, żeby nie zostawić suchej nitki na karle Gronbachu, przedstawiając jego perfidną zdradę jako absolutny szczyt podłości i zła. Następnie przeskoczyła jeszcze dalej i opisała życie w Alon Rhist. Fhrejowie i Rhunowie dogadywali się ze sobą mniej więcej równie dobrze jak ogień i lód, albo jak Gula i Rhulyn. Problematyczna koegzystencja ich wszystkich w jednej fortecy spowodowała kilka grubszych scysji. Ponieważ były ofiary śmiertelne, Persefona postanowiła przeprowadzić segregację rasową, żeby w mieście nie wybuchły zamieszki. Mroźna zimowa pogoda pomogła schłodzić gorące głowy, ale ostatnimi czasy atmosfera znów uległa podgrzaniu dosłownie i w przenośni.

Ponieważ sen nie wchodził w grę, Brin uznała, że dopisze to i owo, ale najpierw postanowiła przeczytać od nowa swój ulubiony fragment: ten, gdzie Gilarabrywn pożarł raowa. Otuliła się kocem, bo noc była lodowata. Właśnie szukała lampy, kiedy usłyszała głosy dobiegające z dołu, z ulicy.

Kto tam gada po nocy, na zimnie? – pomyślała Brin.

Odwróciła się do okna i przechyliła przez parapet.

Ktokolwiek to był, powiedział cicho po rhuńsku:

– Nie! Zabraniam! I dobrze wiesz, że nie powinieneś się tutaj kręcić.

– Jestem głodny! – odparł ktoś ochryłym szeptem, zupełnie jak w jej śnie. Brin zadrzała.

– Coś wykombinuję, tak jak to było z Jadą. Musisz mi zaufać. Czyż nie opiekowałem się tobą w przeszłości? Musisz być cierpliwy.

– Minęło dużo czasu. Jestem zmęczony, potrzebuję snu.

– Mamy umowę! Nadeszła wiosna, już prawie pora działać. Do tego czasu musisz pozostać w ukryciu.

– Czuję ich zapach... Jest ich tylu... Tylu! Wiatr wieje od południa. To jest... Oszaleć można!

– Już niedługo. Obiecuję. Gdy nadejdzie czas, będziesz mógł mordować dla mnie. Ale teraz wracajmy do środka, i nie wychodź więcej, bo zabiją nas obu.

Brin zebrała całą odwagę, otworzyła okno szerzej i wysunęła głowę wystarczająco daleko, żeby popatrzeć w dół. Ujrzała tylko dwa cienie znikające za róg budynku. W mroku swojego pokoju, słabo rozświetlanym przez bladą księżycową poświatę, Brin ciaśniej otuliła się kocem, dygocząc na całym ciele.

* * *

Nazajutrz z samego rana stanęła przed swoim adoptowanym domostwem, spoglądając w górę, na okno sypialni. Dom był jednym z wielu dwukondygnacyjnych budynków mieszkalnych o szachulcowej konstrukcji, których otynkowane na biało ściany były poprzecinane ciemnymi belkami. Nie wyglądał jak własność wojownika. Jego ozdobne drzwi, wzorzyste kafelki, poręcz schodów wyrzeźbiona w kształt gałęzi drzewa oraz rabaty obsadzone wieloletnimi, zaczynającymi właśnie kwitnąć roślinami świadczyły, że poprzedni mieszkaniec cenił to domostwo i dbał o nie. Brin czuła się winna, że tu zamieszkała i w ciągu ośmiu miesięcy nie pokusiła się nawet o przemeblowanie.

Persefona upierała się, że nie są zdobywcami Alon Rhist, tylko sojusznikami. Nyphron używał określenia „wyzwoliciele”. Spora liczba Fhrejów spakowała się i opuściła fortecę. Persefona pozwoliła im na to. Wzgórze Huhana, będące jedną z ładniejszych dzielnic miasta, opustoszało jako pierwsze. Poprzedniej jesieni, kiedy Fhrejowie uciekli z Alon Rhist, Persefona poleciła ocalałym mieszkańcom dahlu Rhen zająć opuszczone budynki, tworząc dzielnicę Rhunów. Ponieważ większość pozostałych klanów miała domy, do których mogli powrócić, Wzgórze Huhana zostało przemianowane na Mały Rhen.

Dom, w którym zamieszkały Padera, Roan i Brin, należał do najładniejszych. Nie był największy ani najbardziej wymyślnie urządzonej, ale zdecydowanie najprzytulniej się w nim mieszkało. Brin nie miała wątpliwości, że to nie przypadek. Persefona zaprosiłaby je, żeby zamieszkały razem z nią w Kypie, ale nie było to praktyczne ani pociągające rozwiązanie. Nikt, nawet Persefona, nie lubił spartańsko urządzonej, zimnej fortecy pełnej budzących onieśmienie wojowników Instarya. W mieście zamieszkiwało więcej Fhrejek, a choć nie darzyły Rhunów szczególną sympatią, nie protestowały przeciwko ich obecności, w każdym razie nie publicznie.

Tej zimy Mały Rhen zaczął wyglądać tak, jak mógłby prezentować się zmieciony z powierzchni ziemi dahl Rhen, gdyby odrodził się w zaświatach, w Alysinie. Przy studni pośrodku okolonego drzewami placu zwykły gromadzić się kobiety takie jak Arlina, piekarczowa Viv i Jesień, których mężowie – jak większość sprawnych fizycznie mężczyzn – podlegali szkoleniu wojskowemu, więc zakwaterowano ich w fortecy. W Małym Rhenie zamieszkali też Gifford, Tressa, Habet oraz Mathias Hagger, który był zbyt stary, żeby móc samodzielnie wspiąć się po schodach prowadzących na ich wzgórze. Padera pierwsza użyła określenia „Mały Rhen”, ale wszyscy mieszkańcy – w tym Brin – szybko je podchwycili. Jednakże tamtego ranka, spoglądając na swój ładny nowy dom, Brin czuła, że w dzielnicy czai się zło.

Tamci stali właśnie tutaj.

Rozejrzała się, próbując określić, w którym dokładnie miejscu dwaj nieznajomi prowadzili rozmowę.

Nie brzmiali jak ludzie, pomyślała.

Wyobraźnia podsuwała jej obraz dwóch raowów, ale to z całą pewnością był efekt dręczących ją wcześniej koszmarów. Poza tym nieznajomi rozmawiali po rhuńsku, nie po fhrejsku.

W pobliżu rogu ulicy, tuż pod jej oknem, znajdowała się rabata. Cztery delikatne roślinki, które wykiełkowały, gdy pogoda się ociepliła, zostały rozdeptane, wgniecione w miękką ziemię. Brin schyliła się, żeby obejrzeć to zagłębienie.

– Zgubiłaś coś? – zapytał ktoś tuż za nią.

Brin poderwała się z bijącym sercem i okręciła na pięcie tak szybko, że omal nie upadła. Czyjaś ręka chwyciła ją za przedramię, pomagając utrzymać się na nogach. Przerazona dziewczyna cofnęła się gwałtownie, z trudem powstrzymując krzyk. Jednakże to nie raow ją pochwycił.

– Oj, przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć – oznajmił młodzieniec. Puścił ją, gdy tylko zyskał pewność, że Brin stoi pewnie na nogach.

– W takim razie nie powinienes się podkradać do ludzi – odparła karcącym tonem. Gdy tylko wypowiedziała te słowa, pożałowała, że padły.

Nie po raz pierwszy widziała tego młodzieńca. Zwróciła już na niego uwagę, kiedy ćwiczył na placu, który codziennie mijała, bo zanosila Roan obiady. Roan pozostawiona bez opieki zapominałaby jeść, więc Padera i Brin dostarczały jej posiłki. Przyszli wojownicy zawsze ćwiczyli na wyższym dziedzińcu przed kuźnią, a ten młodzieniec był tam stale obecny, nawet wtedy, kiedy sypał śnieg albo lał deszcz. W ciepłe dni ściągał koszulę, a Brin dziękowała niebiosom, że jest zbyt skupiony na nauce walki, by spostrzec, że dziewczyna zerka w jego stronę. Jego szczupłe ciało składało się z samych mięśni, ale najbardziej pociągał ją uśmiech. Ilekroć ten chłopak walczył, śmiał się od ucha do ucha, jakby właśnie powalał olbrzyma albo pokonywał smoka. W jego uśmiechu kryła się jakaś cudowna dzikość. Brin wyczuła to samo w Raithe’u, kiedy po raz pierwszy przybył do dahlu Rhen. Żaden z nich nie był rolnikiem, pasterzem ani drwalem.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła tego młodzieńca, pomyślała, że wygląda jakoś znajomo. W Tirre był taki chłopiec, chudy wypłosz, który mieszkał razem z Raithe’em i Malcolmem. Brin zwróciła na niego uwagę tylko dlatego, że wśród uchodźców było niewiele młodzieży w jej wieku, a poza tym był obecny na tych nielicznych zebraniach wodzów, na których pojawiał się Raithe. Jednakże młodzieniec, który teraz zwykł ćwiczyć na placu przed kuźnią, ten sam, który przed momentem chwycił ją za rękę, był masywniej zbudowany, bardziej

barczysty, wyższy. Miał zmierzwiłone, falujące włosy, śliczne ciemne oczy i zaczątki zarostu na policzkach oraz brodzie. Chłopcu, którego widywała w Tirre, za odzienie służyła jakaś wystrzępiona, brudna szmata. Ten młodzieniec miał na sobie tunikę ściągniętą pasem, przy którym wisały dwa miecze.

Coś, co początkowo stanowiło uciążliwy obowiązek, niepostrzeżenie stało się dla niej najbardziej wyczekiwaną częścią dnia. Zaniósłszy Roan jedzenie, Brin za każdym razem zostawała dłużej na podwórzu kuźni, żeby podpatrywać ćwiczących mężczyzn. Codziennie miała nadzieję, że ciemnooki młodzieniec ją zauważy, ale nigdy nie spoglądał w jej stronę. Pokonując długą trasę z powrotem do domu, Brin rozmyślała o dniu, kiedy w końcu uda jej się go poznać. Większość scenariuszy zakładała, że przydarzyło mu się coś pechowego, mógłby na przykład potknąć się i upaść. Wyglądałoby to głupio i poczułby się niezręcznie, ale Brin uśmiechnęłaby się, machnęła ręką i zapewniła go, że takie sytuacje zdarzają się każdemu. Potem młodzieniec zaprosiłby ją na spacer. Podczas przechadzki po jakimś pięknym lesie (nieważne, że w promieniu dwóch dni podróży od Alon Rhist nie było żadnych lasów) opowiedziałaby mu o swojej książce. Mówiłaby też o języku, piśmie i opowieści, którą odkryła na tabliczkach z Neithu, a młody bohater byłby tym wszystkim tak zafascynowany, że zakochałby się w niej. Pobraliby się, wychowali gromadkę dzieci, a na koniec zmarli w swoich objęciach, pomarszczeni i siwowłosi.

Rzeczywistość prezentowała się całkiem inaczej.

– Wcale się nie podkradłem. Ja tylko...

– No, z całą pewnością nie rozgłaszałeś z daleka, że nadchodzisz. – Brin nie wiedziała, co ją podkusiło, żeby tak się odgryźć. Była zdenerwowana, roztrzęsiona, słowa wyrwały jej się same. I zabrzmiały gniewnie.

– No cóż, ja... Ee... – Młodzieniec wyglądał na speszonego, potem spojrzał na dom. – Szukałem Roan, tej kowalki. Słyszałem, że tu mieszka.

– Owszem. – Teraz Brin obrzuciła go podejrzliwym wzrokiem. – A czego od niej chcesz?

– Chcę zamówić u niej zbroję.

– Ach tak – odrzekła głupio Brin.

Po tym, jak uratował ją przed upadkiem, nadal stał blisko. Mogłaby się nachylić i go pocałować. Ta myśl zawisła w jej umyśle, rozpraszając ją okropnie. Brin oprzytomniała, uświadamiając sobie, jak idiotycznie musi wyglądać, gdy tak się na niego gapi, i zamrugała.

– Ee... Roan pracuje w fortecy, w kuźni przy wyższym dziedzińcu. Mieszka tutaj, przynajmniej w założeniu, ale większość czasu spędza tam.

– Tak, wiem – odparły usta, ciemne oczy i rozchełstana tunika. – Ale dopiero co tam byłem i...

– I co?

Wzruszył ramionami.

– Nigdzie jej nie widziałem. Dlatego pomyślałem, że może przyszła tutaj. A potem zobaczyłem, że macasz ziemię na czworakach, więc...

– Nie byłam na czworakach! I z całą pewnością nie macałam!

Uniósł dłonie.

– W porządku. Nie mam zielonego pojęcia, co robiłaś.

– Jeśli musisz wiedzieć, szukałam śladów stóp. – Kolejne zdanie, które Brin zapragnęła cofnąć, gdy tylko je wypowiedziała. Ta rozmowa w niczym nie przypominała konwersacji, które dziewczyna toczyła ze swoim ukochanym w wyobraźni.

Przymrużył oczy.

– Ty... Co takiego?

– Nieważne. Nie ma tutaj Roan.

Młodzieniec zawahał się, po czym skinął głową, odwrócił się i odszedł.

Jesteś taką idiotką! – wrzasnęła w duchu Brin. Zrobiłaś na nim po prostu rewelacyjne wrażenie! Może gdybyś jadła tę ziemię, gdybyś miała jej pełno w ustach, umazaną twarz i...

– Dlaczego szukałaś śladów stóp? – Młodzieniec zatrzymał się, odwrócił i teraz wpatrywał się w nią uważnie.

– Zeszłej nocy usłyszałam, jak pod moim oknem ktoś rozmawiał. I... I zastanawiałam się, kto tam stoi.

– I pomyślałaś, że dowiesz się tego, oglądając ich ślady? – Podniósł stopę i obejrzał ją od spodu. – Potrafisz rozpoznać człowieka tylko po tym?

Brin zmarszczyła brwi. Kpił sobie z niej. Uważa mnie za idiotkę? – pomyślała. Cudownie!

– Nie. – Ogarnęła ją rezygnacja. – Proszę, po prostu idź sobie stąd.

Czuła, że lada chwila może się rozplakać, i zdecydowanie nie chciała, żeby to zobaczył.

Chłopak ponownie się odwrócił, żeby odejść, ale znów przystanął.

– Dobra, musisz mi powiedzieć, inaczej będzie mnie to dręczyło przez cały dzień. Dlaczego szukałaś śladów stóp? W jaki sposób miałyby ci to pomóc odkryć, kim byli ci ludzie?

Nienawidzę mojego życia, pomyślała Brin.

Nic nie odrzekła. Już nie wierzyła, że potrafi powiedzieć coś sensownego, i miała nadzieję, że jeśli będzie milczała, młodzieniec jednak odejdzie. Nie odszedł. Czując się głupio – nie, znacznie gorzej niż głupio – westchnęła.

I tak nie było szans, żebym mu się spodobała. Co ja sobie myślałam? Ja nie... Ubzdurałam sobie nie wiadomo co. Wystarczy na niego spojrzeć!

Obłudnie przystojny, silny, chwacki, i te oczy... Te oczy! A ja? Błady patyk bez figury, sierota, która całymi dniami bazgrze bzdury wyrzuconymi piórami. Nigdy by się mną nie zainteresował. Równie dobrze mogę rozpaść ogień pod tym marzeniem i po prostu pozwolić, żeby spłonęło.

– Ja... Szukałam śladów innych niż ludzkie.

– Czy fhrejskie stopy tak bardzo różnią się od naszych?

– Nie fhrejskich.

Popatrzył na nią skonfundowany.

– Chcesz powiedzieć... Czekać, co masz na myśli? Chodzi ci o psa czy coś w tym guście?

Pokręciła głową.

– Psy nie mówią.

Zagapił się na nią przymrużonymi oczami, przekrzywiwszy głowę.

– W takim razie... Jak sądzisz, jakie stworzenie stało zeszłej nocy pod twoim oknem?

Nie mów tego, pomyślała. Nie mów tego. Nie mów!

Podszedł z powrotem. Minę miał dokładnie taką, jaką miałyby w jej marzeniach, gdyby go oczarowała dowodami swego literackiego mistrzostwa, sprawiając, by się w niej zakochał. Ale to się już nie wydarzy. Westchnęła i dała za wygraną.

– Raow.

Brin, ty idiotko! – jęknęła w duchu. Mówiłam, żebyś mu nie odpowiadała! Idiotka! Idiotka!

Teraz on się roześmieje – nie, najprawdopodobniej zapyta, czym jest raow, a potem nie uwierzy, kiedy Brin mu wyjaśni. Będzie musiała po raz kolejny znieść upokorzenie, relacjonując, jak jeden z tych potworów omal nie odgryzł jej twarzy. Ta historia niechybnie utwierdzi pięknego młodzieńca w przekonaniu, że Brin jest osobą, od której lepiej trzymać się z daleka. Zobaczy ją taką, jaka naprawdę była – zupełnie inną niż w jej własnych fantazjach.

– Naprawdę? – spytał.

Brin nie wiedziała, co odpowiedzieć. Szukała w jego oczach sarkazmu, wypatrywała w uśmiechu oznak drwiny. Nie znalazła ani jednego, ani drugiego. W każdym razie nie zauważyła ich.

– Ty... Ty mi wierzysz?

Skinął głową. Przystąpił z nogi na nogę i nonszalancko oparł dłoń na rękojeści jednego z mieczy. Zrobił to zupełnie mimochodem i wyglądał przy tym tak atrakcyjnie, że Brin aż zaczerpnęła tchu.

– Matka opowiadała mi o raowach. Rodzą się z niepogrzebanych ciał ludzi, którym za życia wyrządzono krzywdę. Zwykle takich, których zdradzono.

Czekaj, ty jesteś Brin, prawda?

– Ty... – Gardło jej się zacisnęło. Przełknęła z trudem, żeby odzyskać głos. – Znasz mnie?

– No... – Zaśmiała się.

– Co? – Jej serce zamarło na moment.

Wskazał dom.

– Powiedziano mi, że mieszkają tutaj Roan, Padera i Brin. Spotkałem już Roan. – Znów się zaśmiała. – Zgaduję, że nie jesteś Paderą.

– Ach... – Brin też się roześmiała. – Nie... Nie, nie jestem Paderą.

– Tak, słyszałem, że ona liczy sobie ze dwieście lat i nie ma ani jednego zęba. Brin potaknęła.

– Jestem Tesh. – Wyciągnął dłoń.

Brin rzadko witała się przez uścisk dłoni. Matka oraz przyjaciele zwykli przytulać ją na powitanie. Niepewnie podała Teshowi rękę, a on przejął inicjatywę. Miał szorstkie dłonie z gładkimi odciskami i mocny, ale kontrolowany chwyt. Nie zgniótł jej dłoni w uścisku, tylko pociągnął ją ku sobie i trzy razy mocno, zdecydowanie potrząsnął, po czym puścił.

– Miło cię poznać – odrzekła, po czym natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy to była właściwa reakcja. Brin najpierw sądziła, że będzie to stosowna odpowiedź, ale kiedy wypowiedziała te słowa, zabrzmiały zbyt formalnie i...

– Dlaczego sądzisz, że stał tutaj raow? – zapytał Tesh, spoglądając na rabatę.

Wzruszyła ramionami. Nie opuściła jeszcze dłoni po przywitaniu i musiała się zmusić, żeby to zrobić. Nadal czuła ciepło jego ręki.

– Trudno to wytłumaczyć. Ale ich rozmowa była...

– W stylu raowów?

– Tak, ale może to nie były dwa raowy. Może tylko jeden był raowem, a drugi... Trudno powiedzieć. Mam tylko pewność, że jeden był raowem.

– Po czym to poznałaś?

– Po głosie. Brzmiał...

Oczy Tesha otwarły się szerzej, gdy coś go olśniło.

– Ty jesteś Brin.

– Już to ustaliliśmy.

– Mam na myśli... Jesteś tą Brin. Roan o tobie wspomniała. Opowiedziała, jak raow cię porwał pod dhergijską górą. Powiedziała, że mało brakowało, a odgryzłby ci twarz.

Wielkie dzięki, Roan. Teraz mam ochotę umrzeć.

– Czy to ten sam? Przylazł tu za tobą? – Tesh rozejrzył się, jakby się spodziewał, że potwór wyskoczy na nich z pobliskiego żywopłotu.

– Nie – odrzekła Brin. – Ten w Neithu został zabity.

– To dlaczego ten tutaj chce cię dopaść? Myślisz, że znał tego drugiego? Chce mnie dopaść? Ta myśl nią wstrząsnęła. Czy to możliwe? Stał pod moim oknem, nieprawdaż?

– Aż do teraz nie sądziłam, że mogło mu chodzić o mnie. Dzięki. Już nigdy nie zasnę.

– Przepraszam. – Sądząc po minie Tesha, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Tylko dodało mu to uroku. – Co takiego powiedział? Co usłyszałaś?

– Raow mówił, że jest głodny, a ten drugi upierał się, że to zbyt niebezpieczne i trzeba poczekać. Obiecał, że zorganizuje raowowi coś do jedzenia. Że coś załatwi.

– Załatwi?

– Tak jak to zrobił z Jada.

– Jada? Kto to taki?

– Nie mam pojęcia.

– I to na pewno nie były dwa raowy?

– Nie wiem. Tylko jeden z nich miał taki głos jak ten, którego słyszałam w Neithu. Ale może nie wszystkie raowy brzmią tak samo.

– A jak brzmiał głos tego tutaj?

– Jak ochrypły, suchy szept.

Tesh nie wyglądał na przekonanego.

– Może to był po prostu przeziębiony staruszek.

Pokręciła głową.

– Chcę tylko powiedzieć... To znaczy... – Znów się rozejrzała. – Co robiłby tutaj raow? Raowy żyją na pustkowiach, gdzie mogą trzymać swoje sterty kości. Śpią na nich. W każdym razie tak mi opowiadała matka. Raowy krążą pomiędzy wioskami, szukając ofiar, bo gdy raz się obudzą, nie mogą ponownie zasnąć, dopóki się nie najedzą i nie dodadzą kolejnego szkieletu do sterty. No więc jak raow mógłby tu mieszkać? Gdzie by trzymał swoją stertę? Ludzie by coś zauważyli.

– No cóż... – odparła Brin, myśląc na głos – może ktoś go ukrywa.

Tesh miał sceptyczną minę.

– Ktoś ukrywa raowa?

– Tak to brzmiało.

– To tak, jakby jagnię ukrywało lwa. Dlaczego raow po prostu nie zjadł tej osoby?

– Nie wiem.

Tesh poskrobał się po głowie i przymrużył oczy.

– Chyba że ta osoba była Fhrejem. Może raowy nie jedzą Fhrejów.

Brin pokręciła głową.

– Rozmawiali po rhuńsku.

Tesh znów miał sceptyczną minę.

Brin wzruszyła ramionami.

– Może to rzeczywiście był tylko przeziębiony staruszek.

Tesh ponownie popatrzył na dom.

– Może mimo wszystko powinnaś zamykać i ryglować okiennice, co?

– Tak – odparła.

Zapadło niezręczne milczenie. W końcu Brin powiedziała:

– No cóż, kiedy spotkam Roan, przekażę, że jej szukałeś.

– W porządku, a ja chyba zajrzę znowu do kuźni.

– Brzmi jak plan – odparła Brin. Była rozdarta wewnętrznie. Z jednej strony nie chciała, żeby odchodził, ale z drugiej czuła, że nie byłaby w stanie znieść kolejnej dawki upokorzenia wywołanego własnym zachowaniem.

Patrzyła, jak młodzieniec odchodzi ulicą i skręca za róg.

Tesh, pomyślała. Niebrzydkie imię. Spodziewała się raczej, że będzie się nazywał Spencer, Stanton albo jakoś podobnie. Wyglądał jak Stanton, albo może...

– Brin!

Odwróciła się i zobaczyła, że Tesh znów pojawił się w jej polu widzenia, machając, żeby do niego podeszła. Podbiegła i razem skęcili za róg. Znajdowała się tam druga rabata, z miększą, bardziej błotnistą ziemią. Tesh wskazał odciski stóp pozostawione przez dwie osoby. Jedna nosiła zwykłe sandały. Druga szła boso, miała u każdej stopy tylko trzy palce... oraz długie, ostre pazury.

Rozdział ósmy

Jędra Tetlin

Myślę, że zbyt łatwo akceptujemy to, co mówią nam bliscy. Rzecz nie w tym, że nasi przyjaciele i rodzina kłamią. Problem polega na tym, że nie znają prawdy.

Księga Brin

Gifford siedział na stołeczku w kącie. Siadał tam, ilekroć odwiedzał Roan. Pod jej kierunkiem w kuźni i warsztacie pracowało więcej niż dwadzieścia osób, kręcący się pod nogami kaleka tylko by im zawadzał. Garncarz obserwował, jak Roan pracuje, i miał nadzieję, że trafi na moment, kiedy dziewczyna zrobi sobie przerwę, żeby zjeść posiłek przygotowany przez Paderę, a przyniesiony na górę przez Brin. Pogoda była tak ładna, że najchętniej przekonałby ją do wyjścia na dziedziniec, żeby zjeść na dworze. Oceniał, że szanse na to są mniej więcej równie duże, jak jego zdolność do prześcignięcia Brin w biegu, ale jeśli Giffordowi czegoś nie brakowało, to właśnie marzeń.

Oparty o ścianę kuźni patrzył, jak Roan kuje rozżarzony kawał metalu, aż iskry sypią się spod młota. Nie uderzała zbyt mocno i musiała często odpoczywać, ale pracowała w niesamowitym skupieniu, wiedząc dokładnie, jaki efekt chce osiągnąć. Ilekroć Roan obrabiała metal, była bardziej stanowcza, zdecydowana i pewna siebie niż Nyphron przemawiający przed radą plemion. Nawet trzy karły bez szemrania przyjmowały od niej rozkazy.

Wytwarzanie żelaznych mieczy okazało się trudniejsze, niż ktokolwiek przypuszczał, w tym sama Roan. Jej pierwsze próby zakończyły się fiaskiem. Obserwowanie tego procesu mocno się różniło od odtwarzania go samodzielnie. Roan lamentowała, że umknęły jej setki szczegółów, bo nie pomyślała, że mogą być istotne: ilość powietrza, tempo poruszania miechem, dokładny moment,

kiedy należy zostawić miecz w palenisku i na jak długo, proporcje węgla i żelaza oraz jak często należy hartować klingę. Zdążyły spaść pierwsze śniegi, zanim Roan zdołała wykuć pierwszy miecz i wyglądał on okropnie: ciężki i tępy.

Gifford liczył, że karły okażą się bardziej pomocne, ale okazało się, że żaden z nich nie ma pojęcia o metalurgii. Jednakże Mróz i Powódź wybudowali w fortecy i w mieście pierwszorzędne kuźnie tudzież warsztaty, przestudiowawszy te, które wznieśli Fhrejowie. Potroili dzięki temu możliwości Alon Rhist w zakresie prac kowalskich i płatnerskich. Wyszkolili też członków poszczególnych klanów, którzy mieli za zadanie wrócić do swoich dahl i zaopatrzyć się w narzędzia. Podczas gdy Mróz i Powódź organizowali infrastrukturę, Deszcz spędził zimę, dowodząc ekipami górników, którzy poszukiwali surowców. Nie minęło wiele czasu, nim do Alon Rhist zaczęły wjeżdżać wozy wyładowane węglem i rudą żelaza. Całe to wsparcie bardzo się przydawało, ale tylko Roan mogła rozgryźć magiczne sekrety metalurgii i tajniki wykuwania mieczy.

Kluczowy przełom nastąpił, gdy Brin skończyła tłumaczyć całość tekstu z tabliczek przywiezionych z Neithu. Gifford był obecny, kiedy czytała fragmenty. Roan siedziała wtedy i słuchała z otwartymi ustami, a potem stwierdziła, że Brin jest geniuszem. Brin roześmiała się i odparła, że kompletnie nie rozumie tych fraz, ale Roan zrozumiała przynajmniej część. Jednakże nawet pomimo domniemanego geniuszu Brin prace nad mieczami nadal toczyły się metodą prób i błędów. Owoce nieudanych prób piętrzyły się całymi stertami, które karły regularnie przetapiały celem ponownego wykorzystania. Nie tylko sama procedura była dla Roan źródłem nieustających frustracji, ale też jej niezdolność do posługiwania się ciężkim młotem. W dużym stopniu udało się ten problem rozwiązać, kiedy Roan sporządziła dla siebie mniejszy i lżejszy, dostosowany do jej możliwości fizycznych.

Ostatnim elementem równania było przeświadczenie Roan, że formuły Prastarego zawierają błąd. Może Brin nie przetłumaczyła ich prawidłowo, a może więzień Agawy postanowił nie wyjawiać niektórych swoich sekretów. W każdym razie Roan upierała się, że stać ją na więcej. Nie usatysfakcjonował jej nawet pierwszy znaczący sukces. Poszukiwała czegoś więcej. Naciskana przez Persefonę musiała opracować procedurę, którą inni mogliby odtwarzać, nawet jeśli nie była tak dobra, jak zdaniem Roan mogłaby być. Gdy nadeszło przesilenie zimowe, ludzie wykuwali już żelazną broń różnej jakości w całym Rhulynie, ale Roan nadal usiłowała rozgryźć sekret, o którego istnieniu – jak się zdawało – wiedziała tylko ona. Gifford widział to w jej twarzy. Jej oczy poszukiwały w pustce odpowiedzi na pytania, których nikt poza nią nie potrafił zadać. Widziała rzeczy, których nikt prócz niej nie potrafił dostrzec, słyszała

muzykę, na którą wszyscy inni byli głusi, i dla Roan żelazo nie było wystarczająco dobre.

Owego wiosennego dnia Gifford siedział w kącie, patrząc, jak Roan wymachuje swoim specjalnym młotem. Przy każdym uderzeniu pracowało całe jej ciało. Choć włosy miała ścięte na krótką, praktyczną długość, nadal wpadały do oczu. Na czubku nosa zawsze wisiała kropelka potu, a w źrenicach płonął ogień gorętszy niż w palenisku. Przypominała opętaną.

Toczy swoją własną wojnę, pomyślał Gifford.

Patrząc na Roan, nie mógł się opędzić od pytania, czy jest szczęśliwa. Wyobrażał sobie, że lubi czuć się przydatna, wiedział też, że kochała pracować, ale Persefona zażądała dziesięciu tysięcy mieczy, hełmów i tarcz z najlepszego metalu. Nie miało znaczenia, że teraz, wiosną, setki płatnerzy w całym Rhulynie pracowały dniem i nocą, żeby wykonać to zadanie. Dla Roan rozkaz Persefony stanowił osobiste wyzwanie, walkę, którą mogła wygrać lub przegrać. Roan była niczym wierny ogar, gotów biec dla swojego pana, aż padnie. Czy śmierć takiego zwierzęcia stanowiła tragedię, czy świadomy wybór?

Roan odłożyła młot i wsunęła rozżarzoną bryłę metalu z powrotem w płomień. Otarła czoło szmatą, która nigdy nie leżała daleko od jej lewej ręki.

– Jesteś głodna, Łoan?

Słyszając swoje imię, podniosła wzrok. Twarz miała zaczerwienioną z wysiłku i od gorąca. Zaskoczona uniosła brwi.

– Kiedy tu przyszedłeś?

– Dziś łano – odparł Gifford.

– Ach – odrzekła Roan, przetrawiając jego odpowiedź. – Nie widziałam, jak wchodziłeś.

Podniósł worek z jedzeniem i potrząsnął nim.

– Błin zadała sobie tłuź, żeby ci to przynieść. Chyba nie chcesz, żeby te dobre rzeczy się zmałnowały?

Roan nienawidziła, kiedy cokolwiek się marnowało.

– Może później – odparła. – Chcę jeszcze trochę popracować, nim nadejdzie południe.

Gifford stłumił śmiech.

– Nie, Łoan. Niedługo będzie noc.

– Noc?

Garncarz potaknął.

Roan wyjrzała przez okno.

– Oj, rzeczywiście. – Popatrzyła na niego przepaszająco. – A ty siedziałeś tu od rana? Tak mi przykro. Byłam strasznie...

Pośpiesznie podniósł dłoń.

– Nie musisz się tłumaczyć. Jesteś zajęta, wiem. Nie szkodzi. Los całej ludzkości zależy od tego, czy machasz młotem. Ale musisz jeść, wiesz?

– Przypuszczam, że... – Obejrzała się na skrzynki z rudą żelaza, która dopiero czekała na przetopienie, a potem na mocno uszczuploną stertę węgla drzewnego.

Na podwórze wjechał wóz z kolejną dostawą surowców. Roan wybiegła na zewnątrz. Gifford usłyszał, jak zawołała:

– Skąd jest to wszystko?

W odpowiedzi padły nazwy wiosek, o których Gifford nigdy nie słyszał. Roan zapewne znała je wszystkie. Przypuszczalnie miała w głowie całą listę i w myślach skreślała z niej kolejne lokalizacje.

– Mnóstwo tarcz, a czemu tak mało mieczy?

Gifford nie dosłyszał odpowiedzi. Głos mężczyzny był niski i nie tak donośny jak głos Roan.

Została na zewnątrz, dopóki nie wyładowano całej przywiezionej broni i wóz nie odjechał. Potem wróciła, wycierając ręce w fartuch. Natychmiast podniosła młot i ruszyła w stronę kowadła.

– Łoan, musisz coś zjeść – powiedział Gifford.

– Wciąż tu jesteś?

– Tak, Łoan. Wciąż tu jestem. A ty nadal musisz coś zjeść. Wiesz... jedzenie. Ono jest jak węgiel, którym palisz w palenisku. Ogień zgaśnie, jeśli przestaniesz do niego dokładać. A tego byśmy nie chcieli, prawda?

Roan posłała mu kpiący uśmiech.

Garncarz znów potrząsnął workiem.

– Ładnie pachnie. To chyba pieczony kułczak.

Roan ponownie osuszyła czoło, wytarła dłonie w skórzany fartuch i podeszła do niego.

– Zjedźmy na zewnątrz – zaproponował Gifford.

– Dlaczego? – Prześwidrowała go badawczym wzrokiem.

Każdy, kto jej nie znał, wziąłby to spojrzenie za podejrzliwe lub oskarżycielskie. Gifford widział w nim jasny blask skupionego umysłu, zdolnego przenikać cienie, które dezorientowały innych. Roan zawsze chciała wiedzieć, dlaczego rzeczy się dzieją.

– Bo chciałbym, żebyś poznała mojego przyjaciela – odparł Gifford. – Polubisz go. Jest milczący, ale miły i tak piękny, że jego oblicze wpłost płomienieje.

Kolejny kpiący uśmieszek.

– Słońce?

Garncarz uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Na zewnątrz jest przyjemnie. Ładna pogoda.

Z desperackim niepokojem młodej matki, której polecono, żeby zostawiła swoje dziecko z nieodpowiedzialnym opiekunem, Roan obejrzała się na bryłę metalu, która nadal jarzyła się w płomieniach. Garncarz zacisnął usta, wyobrażając sobie, że Roan pewnego dnia będzie mieć własne dzieci i spoglądać na nie z identyczną miną. Gifford nie będzie ich ojcem. Nie mógłby nawet być opiekunem. Roan nie powierzyłaby swojego niemowlęcia żalosnemu kalece. Ta myśl spadła na niego jak bolesny cios. Poczł się tak, jakby ktoś rąbnął go w żołądek i zacisnął mu rękę na gardle, dławiąc oddech.

– Co się stało? – zapytała Roan, znów kierując na niego przenikliwe spojrzenie tych swoich oczu, które stanowczo zbyt wiele widziały.

– Nic – zdołał wykrztusić.

– Masz taką minę, jakby coś cię bolało. Dobrze się czujesz?

Przycisnął dłoń do piersi.

– Trochę słońca dobrze mi zrobi.

Gdy wyszli z kuźni na nasłoneczniony dziedziniec, gdzie rozbrzmiewały stęknienia, okrzyki i metaliczny brzęk oręza, bo grupa mężczyzn trenowała walkę, Gifford skarcił się w duchu. Jestem chciwy, pomyślał. Powinienem doceniać, że ona w ogóle się do mnie odzywa. Gdyby Iver nie wyrzucił jej aż takiej krzywdy, nawet nie śniłoby jej się jeść posiłków w moim towarzystwie. Już dawno poślubiłaby jednego z chłopaków Tope'a i mąż nie pozwalałby jej rozmawiać z krzywogębnym goblinem, co babrze się w glinie.

Ta myśl wypływała z dobrych intencji, ale ból, od którego skręcały mu się wnętrzności, nie chciał słuchać. Gifford wiedział, że straci Roan, gdy tylko pojawi się ktoś lepszy, a to mógł być właściwie każdy.

Nie, nie każdy. Nie ja. Ja nie jestem mężczyzną, którego dotyk Roan mogłaby zaakceptować. Mężczyzną, który mógłby ją wziąć w ramiona i pocałować, a ona nie krzyczałaby wówczas z przerażenia.

Ten dzień miał kiedyś nadejść. Gifford wiedział, że tak będzie. Codziennie modlił się, żeby Mari uzdrowiła Roan, pozwoliła jej wieść normalne życie. Wierzył, że to w końcu nastąpi, a wówczas on będzie się radował, nawet jeśli jego serce rozpadnie się na kawałki tego samego dnia, a szczęście – takie, jakie znał – na zawsze opuści jego świat.

– Może tu? – zagadnął, wyszukawszy nasłonecznione miejsce na gęstej trawie, wystarczająco daleko od kuźni, żeby huk młotów nie przeszkadzał im w rozmowie.

– Zaczekaj – rzuciła Roan, po czym odwiązała fartuch. – O tej porze roku jest mokro. – Rozpostarła grubą skórzaną płachtę na trawie, żeby mieli gdzie usiąść.

Gifford się uśmiechnął.

– Co?

Pokręcił głową.

– Nic. Tylko ty.

– Tylko ja co?

Ja tylko cię kocham, to wszystko, pomyślał. Kocham cię każdym oddechem, każdą myślą, każdym uderzeniem serca, ponieważ jesteś kimś więcej niż osobą. Jesteś całym światem – bogatym, barwnym, ekscytującym, fascynującym uniwersum, a ja chcę spędzić całe życie, eksplorując każdą jego puszcę, każde pole i każdy strumień.

– Zawsze myślisz o wszystkim – powiedział.

Roan popatrzyła na skórzany fartuch, na którym siedzieli, i wzruszyła ramionami.

– Po prostu nie chciałam, żebyśmy się zabłócili.

Gifford wysypał zawartość worka.

– Kurze udka! – zawołała Roan z radosnym uśmiechem. – Kocham je! Ja zjem jedno, a ty weź drugie.

– Oba są dla ciebie.

– Nie! Nie! – Pokręciła głową, wgryzając się w pierwsze udko.

– To nie mój obiad. Chciałem tylko popatrzeć, jak ty jesz.

– Też trochę zjedz. To jest smaczne. – Roan otarła tłuszcz z podbródka, potem chwyciła drugie udko i wyciągnęła w jego stronę.

– Dobrze, zjem odłobinę.

– Och, i żółty ser! – oznajmiła Roan, odwijając przysmak ze ściereczki.

Gifford patrzył, jak dziewczyna pochłania obiad precyzyjnymi kęsami, podczas gdy przed nimi grupa żołnierzy ćwiczyła musztrę pod nadzorem warkliwego fhrejskiego oficera. Za nimi z małego komina kuźni wydobywał się czarny dym i ulatywał na wschód wraz z podmuchami wiosennego wiatru. Roan nakłoniła garncarza, żeby poczęstował się pieczoną kurą, zanim dojadła resztę.

– Przyjemnie tu, prawda? – Gifford wsparł się na łokciach. Dotykały ziemi poza fartuchem, więc czuł, jak rękawy nasiąkają mu wilgocią. – Może byśmy robili tak codziennie? Co ty na to?

Roan rozejrzała się, nadal żując, i kiwnęła głową, ale garncarz nie był pewien, na które pytanie odpowiedziała twierdząco.

– Gdybyś chciała, możemy się przejść – zaproponował.

– Nie mogę. – Wskazała kuźnię i przełknęła. – Mam zbyt dużo pracy.

– Sądziłem, że Pełsefona powiedziała, że jest pod wielkim włożeniem tego, ile zdołałaś osiągnąć.

– To nadal za mało.

– Kto tak mówi?

- Ja.
- Ale spytałem tylko...
- Nie mogę – ucięła Roan.

Gifford był rozczarowany, nawet trochę zły. Tak rzadko ją widywał, że zaczynał się osuwać w depresję. Tak właśnie próbował sobie później wytłumaczyć to, co zrobił. Prawdę mówiąc, nie wiedział, co kazało mu wypowiedzieć te słowa. Po prostu mu się wymknęły.

- Jest tak, jakby ten dziad Iweł wciąż żył.

Roan zareagowała tak, jakby walnął ją młotem kowalskim. Zagapiła się na pozostałości posiłku, na worek i własne umazane tłuszczem dłonie.

- Rozmawiałeś z Paderą, tak?

Gifford nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

- Wiele łązy rozmawiałem z tą stałuszką.

Roan zaczęła dygotać.

Giffordowi zamarło serce. Zrobił coś strasznego. Skrzywdził ją, choć nie wiedział jak.

- Co się stało, Łoan?
- Nie wiń jej. To nie... – Roan zaczęła płakać.

Gifford po raz kolejny znienawidził siebie. Nie miał pojęcia, co takiego zrobił, ale nic – nic na świecie – nie było gorsze od skrzywdzenia Roan. Chciał, by poczuła się lepiej, ale nie wiedział, jak do tego doprowadzić, bo nie miał pojęcia, czym zawinił.

- Łoan? Co się dzieje?

Roan zerwała się i pobiegła z powrotem do kuźni, porzucając swój fartuch, Gifforda i przyjazne ciepło słońca.

* * *

Zastał staruszkę w kuchni. Siekała grzyby na zgrabne plasterki, a nad paleniskiem wisiał kociołek z bulgoczącą zawartością.

- A ty czego tu chcesz? – zapytała, gdy Gifford wszedł do pomieszczenia.
- Niedawno jadłem obiad z Łoan – oznajmił złowróbnym tonem garncarz.
- Wątpię, czy było to niedawno. – Padera zsunęła pokrojone grzyby na dłoń, po czym wrzuciła je do kociołka. – Jeśli jadłeś razem z nią, to w kuźni, więc musiało to być parę godzin temu, zważywszy na to, z jak niesamowitą prędkością się przemieszczasz. A może miłość dodała ci skrzydeł.

Gifford zamierzał być uprzejmy. Ostatecznie Padera była starą kobietą. Planował wykazać się współczuciem i podnieść trudny temat w łagodnych

słowach, ale Padera jak zwykle zachowywała się względem niego jak wiedźma, więc Gifford postanowił przejść z miejsca do ponurych konkretów.

– To ty zabiłaś Iweła?

Ta myśl zaświtała mu, gdy wracał piechotą z fortecy. Padera nie myliła się, powrót stamtąd rzeczywiście zajął garncarzowi mnóstwo czasu. Akurat wystarczająco, żeby Gifford mógł się zastanowić, co tak wytrąciło Roan z równowagi. Wyrzuty sumienia. Obwiniała się za śmierć Ivera, bo Padera go zabiła, żeby ją ratować.

Staruszka stała odwrócona plecami do garncarza, a przodem do ognia. Garbiła się jak zwykle, spowita warstwami starej wełnianej odzieży, które kryły jej sylwetkę.

– Czy mówiąc „Iweł” masz na myśli snycerza Ivera?

Gifford zmarszczył brwi. Wiedziała, o kim mówił.

– Tak.

– Czemu sądzisz, że go zabiłam? – Mówiła opanowanym, spokojnym tonem.

Czemu nie jest zaskoczona? – pomyślał. Czemu się nie wścieka? Nie próbuje mnie wyśmiać? Dlaczego nie pyta, czy żartuję?

– Mówiłem już, że niedawno jadłem obiad z Łoan. A na koniec Łoan się łozpłakała.

– Nic dziwnego, skoro jadła w twoim towarzystwie.

– Ty to złobiłaś, czyż nie? – Przykuśtykał do stołu i popatrzył na stertę grzybów, które dopiero czekały na posiekanie. – To był szok dla wszystkich, kiedy Iweł umiał. Zasnął i już się nie obudził. Otłułaś go?

Padera w milczeniu poprawiła pogrzebaczem płonące drwa.

– Gdzie znalazłaś te grzyby? – podjął garncarz. – Nikt z nas nie zna tych okolic, ale ty już wiesz, gdzie łośną grzyby... A niektóre są tłujące.

Padera odwróciła się, mrużąc jedyne widoczne oko.

– Do czego zmierzasz?

– Kiedy się ułodziłaś?

– Kiedy się urodziłaś – poprawiła go.

– Wiesz, że nie umiem tego wymówić.

– Jeśli nie potrafisz mówić, nie powinienes się w ogóle odzywać.

– Ile masz lat? – naciskał.

– Nie wiem. Straciłam rachubę.

– Jasne. Zawsze to mówisz, ilekć ktoś spyta, co?

– A co mój wiek ma tutaj do rzeczy?

– Byłaś najstałsza w całym dahlu Łen.

– I co z tego, kaleki chłopcze? – Jej głos zabrzmiał ostrzej.

– Może wcale nie pochodzisz z Łenu. Może po płostu zjawiałaś się pewnego dnia, a wszyscy, którzy mogliby to pamiętać, nie żyją.

Padera ociężale powlokła się z powrotem do stołu i usiadła przed stertą grzybów.

– A mój mąż Melvin i moi synowie nigdy nie istnieli, tak?

– Może. Nie znałem Melvina, nie znałem synów.

– Bo jesteś tylko dzieckiem.

– Większość dzieci żyje dłużej niż łodzice.

– Nie, wcale nie. – Padera chyba posmutniała, choć ciężko było poznać, jakie emocje malują się na jej sędziwej twarzy. – Większość ludzi nie żyje tak długo jak ja.

– Tak sobie myślę, że może nikt nie żyje tak długo jak ty.

Znów zmierzyła go przenikliwym spojrzeniem.

– Co chcesz przez to powiedzieć, niewydarzony chłopcze?

– Chcę powiedzieć, że może nie tylko wyglądasz i zachowujesz się jak wiedźma.

Ujrzał zmianę w jej twarzy. Drgnienie, grymas – tylko przez mgnienie oka, ale widział to. Trafił ją w czuły punkt.

– Wszyscy znają to imię. Wypowiadają je, przeklinając. To tylko imię, nie bóg, więc można je bezpiecznie wymawiać. Ale co, jeśli to wcale nie jest tylko imię? Co, jeśli wiedźma istnieje naprawdę?

Obwisłe wargi Padery wykrzywiły się w uśmiechu.

– Czyli nie oskarżasz mnie o bycie po prostu wiedźmą? Uważasz, że jestem tą wiedźmą?

– Wszystkie opowieści musiały skądś się wziąć.

– Jakie opowieści?

– No właśnie. Cała Elan zna to imię, ale nikt nie wie, co ono znaczy. Myślę, że ty wiesz.

– Tak... Wiem.

To wyznanie zaskoczyło garncarza. Choć blefował, udając pewnego siebie, w rzeczywistości tylko zgadywał. Przychodząc tu, ucieszył się nawet, że nie ma Brin. Chciał rozmówić się z Paderą w cztery oczy. Gdyby naprawdę wierzył, że jego podejrzenia są słuszne, nie wszedłby samotnie do siedziby wiedźmy. Prawdę mówiąc, może nie był to najlepszy pomysł. Nikt nie wiedział, że Gifford tu jest.

– Czyli Iweł został ołuty? – podjął.

– Tak. – Padera podniosła rękę. – Iver był bardzo, bardzo złym człowiekiem. Nikt nie zdawał sobie z tego sprawy. Nikt oprócz mnie... no i oczywiście Roan. Krzywdził ją, ale już o tym wiesz.

– Cały dahl Łen to wie.

– Nie. Ludzie podejrzewają prawdę, ale nikt nie wie na pewno. Nawet ja nie znam wszystkich szczegółów. – Odchyliła się do tyłu i zmierzyła go jednym okiem. – Wiedziałaś, że on zabił matkę Roan?

– Łoan mi powiedziała, że jej matka zmarła przy porodzie, tak jak moja.

– Jeśli chcesz powiedzieć, że jej matka zmarła przy porodzie, wiedz, że Roan wszystkim to mówi. Myślę, że już prawie sama w to uwierzyła.

W przeszłości przenikliwy wzrok Padery wydawał mu się czymś dziwnym, ale teraz, gdy tak stała przed piętrzącymi się na stole grzybami, Gifford poczuł lęk. Czy mogła rzucić na niego urok samym spojrzeniem?

– Obie były zdane na jego łaskę i niełaskę – podjęła staruszka. – Roan i jej matka Reanna. Obie były niewolnicami i nie miały w nikim oparcia. Wszyscy uważali Ivera za wspaniałego człowieka, filar społeczności, bo był ostrożny, a swoją podłość uzewnętrzniał tylko we własnym domostwie. Ja mieszkałam najbliżej, słyszałam wrzaski i nie wierzyłam jego wyjaśnieniom. Nie mógł mnie oszukać. Znałam wcześniej podobnych mu ludzi. Reanna próbowała uciec. Roan miała wtedy około dziewięciu lat, a Reanna znów zaszła w ciążę. Myślę, że nie chciała mu urodzić kolejnego dziecka. Lub może chodziło o to, że Roan rosła i zaczynała wyglądać coraz bardziej jak kobieta, a Reanna wiedziała, co to oznacza. Opatuliła Roan i planowała uciec z Rhenu. Nie miała pojęcia, dokąd pójść i z czego będą żyły. Reanna była niewolnicą, w tamtym czasie jedyną w Rhenie. Iver kupił ją na licytacji w Dureyi. Była z pochodzenia Gula-Rhunką. Zdobywcą wojenną.

Padera na moment zacisnęła usta, nim podjęła:

– Była własnością Ivera, a on mógł z nią zrobić, co chciał. Reannie nawet przez myśl nie przeszło, że ktokolwiek mógłby jej pomóc. Gdyby przyszła do mnie, sprawy potoczyłyby się inaczej, ale bała się, a ja byłam ostatnią osobą, której zdecydowałyby się zaufać. Jak mówiłam, mieszkałam najbliżej, a Iver był sprytny. Powiedział Reannie, że jestem wiedźmą i prędzej ją zjem, niż jej pomogę.

Posłała Giffordowi długie, oskarżycielskie spojrzenie.

– Iver je doścignął i zatłukł Reannę na śmierć na oczach Roan. Zabrał Roan poza osadę i pozbył się ciała. Kiedy wrócili, Iver opowiedział wszystkim, że Reanna zmarła przy porodzie. Ludzie składali mu kondolencje, ale zachowywał się tak, jakby nic go to nie obchodziło, bo była tylko niewolnicą. Wszyscy myśleli, że wypiera prawdę, że w ten sposób próbuje sobie poradzić z żałobą. Tak nie było.

Gifford wsparł się o stół, próbując zachować spokój. Ona tylko stara się uspić moją czujność, powiedział sobie.

– Czyli napławdę jesteś tą wiedźmą?
– Tą wiedźmą?
– Wiesz, co mam na myśli. – Gifford nie potrafił się zmusić, żeby wymówić to imię, mimo że nie zawierało litery „r”. Nie mógł go wypowiedzieć, stojąc tak blisko niej.

– Pytasz, czy jestem Jędzą Tetlin?

Kiwnął głową.

– A gdybym nią była? Co byś wtedy zrobił?

Nic nie odrzekł. Nie miał pojęcia.

– Rozgłosiłbyś to wszem wobec? Wezwałbyś sąsiadów, żeby mnie przywiązali do sterty opału i spalili?

Gifford nadal milczał. Nigdy nie lubił Padery. Zawsze była okrutna wobec niego, a życzliwa dla wszystkich innych, co bolało bardziej, niż gdyby traktowała wszystkich jednakowo paskudnie. Raz próbowała wyjaśnić, że chodzi o jakąś pokręconą twardą miłość, a te wyjaśnienia przepełniły Gifforda poczuciem winy w związku ze śmiercią jego matki. Uwierzył wtedy Paderze, ale teraz nie wiedział już, co myśleć. Jeśli naprawdę była wiedźmą, to tylko bogowie wiedzieli, do czego dążyła. Mimo wszystko nie chciał jej zabijać. Nie chciał jej nawet zrobić krzywdy. Jeśli miałyby zachować uczciwość względem samego siebie, co dla Gifforda było zwykle bardzo bolesnym doświadczeniem, musiałyby przyznać, że szanuje tę starą kobietę. Nie mógł nawet mieć do niej żalu o to, że zabiła Ivera. Gdyby Gifford wiedział, co się dzieje, sam spróbowałby zabić snycerza.

– No wiesz, tak się robi z wiedźmami. – Padera wróciła do siekania grzybów.

Nie wiedząc, co innego mógłby zrobić czy powiedzieć, Gifford patrzył, jak jej stare ręce operują nożem ze zręcznością płynącą z dziesięcioleci doświadczenia.

– Chcesz się dowiedzieć więcej o Jędzy Tetlin, więc ci opowiem. Nadeszła straszliwa zaraza, epidemia koszarnej choroby – oznajmiła Padera, nie unosząc głowy, skupiona na swojej pracy. – Ludzie marli jak muchy, tysiącami. Wymierały całe wioski. Pewna kobieta odkryła, jak można leczyć tę chorobę. Znała się na leczniczych korzeniach i ziołach, bo nauczyła ją tego matka, która z kolei nauczyła się tego od swojej matki, a tamta od swojej, i tak dalej, aż do czasów, gdy jeszcze mieszkaliśmy za morzem, w Starym Kraju. Ale nie była wodzem, mężczyzną ani nawet matką. Nie piastowała żadnego stanowiska w swojej społeczności i nikt jej nie słuchał. Nikt jej nie zaufał. Nadeszła zaraza i zabiła wszystkich mieszkańców wioski, gdzie mieszkała Tetlin, wszystkich oprócz niej. Kobieta udała się do innych wiosek i próbowała im powiedzieć, jak mogą się uchronić przed śmiercią. Oni też nie posłuchali, a każdą

z odwiedzonych przez nią wiosek wkrótce potem pustoszyła epidemia. Ludzie uznali, że kobieta wcale nie próbuje powstrzymać zarazy, tylko ją sprowadza. Stwierdzili, że jest czarownicą. Dopadli ją i powiesili w puszczy, gdzie próbowała się ukryć.

Padera pokręciła ze smutkiem głową.

– To, mój chłopcze, jest prawdziwa historia Jędzy Tetlin. Nie tak spektakularna jak inne, które bez wątpienia miałeś okazję słyszeć nad kuflami w strażnicy. I oczywiście na tym się nie skończyło, Jędza Tetlin nie była bowiem jedyną kobietą o bystrym umyśle, dysponującą wiedzą i umiejętnościami. Kobiety, które nie chciały się dostosować, nie zachowywały się tak, jak tego od nich oczekiwano, które swoją mądrością czy wiedzą zawstydzaly piastujących wysokie stanowiska, też bywały obwoływane Jędzą Tetlin. A wszyscy wiemy, że Jędza Tetlin to uosobienie zła. W niektórych przypadkach te nieszczęsne kobiety zostawały po prostu wygnane, ale niektóre zabijano, tak jak tamtą nieszczęsną znachorkę Tetlin z małej wioski. Wiele kobiet cierpiało i nadal cierpi, bo śmia wiedzieć więcej niż inni lub robić coś, czego inni nie potrafią. Okazuje się, że Jędza Tetlin jest wszędzie i to ona we wszystkich swoich wcieleniach jest prawdziwą zarazą.

Padera skończyła siekać ostatniego grzyba. Zgarnęła pokrojone kawałki i popatrzyła na garncarza obojgiem oczu.

– Tak więc owszem, Giffordzie, jestem Jedzą Tetlin. Podobnie jak Reanna, Roan, Moya, Brin, Persefona i Suri. I całe mnóstwo innych. Zatem wezwij tłum z pochodniami, żeby mnie zabili, albo zostaw mnie w spokoju. Nie mam czasu słuchać twojej głupiej gadaniny.

* * *

Gifford mieszkał w Domu Beznadziei, na końcu wybrukowanej uliczki, która zaczynała się po drugiej stronie placu, przy którym stało domostwo Roan – to, w którym teoretycznie mieszkała razem z Brin i Paderą, ale rzadko tam bywała. Nazwa „Dom Beznadziei” wzięła się stąd, że zamieszkiwali tam Gifford, Habet, Mathias i Gelston: Kaleka, Powolny, Stary i Pechowiec razem pod jednym dachem. To Gifford ją wymyślił. Wiedział z doświadczenia, że lepiej uprzedzać drwiny, samodzielnie wymyślać obelgi pod własnym adresem, zamiast pozostawiać to innym. Nie dlatego, że sądził, że ludzie wymyślą gorsze, tylko dlatego, że jeśli pozwalał otoczeniu przejmować inicjatywę w tej kwestii, drwiny stawały się po prostu kolejną rzeczą, którą musiał akceptować. Jeśli to Gifford przejmował inicjatywę, ludzie nadal mogli się śmiać, ale przynajmniej śmiali się z jego żartów.

Kiedy zbliżył się do domostwa, odkrył, że na schodkach ganku siedzi Tressa.

Była nieoficjalną członkinią Domu Beznadziei. Nie sypiała tam tylko ze względu na swoją płęć. Pod każdym innym względem idealnie pasowała do czterech stałych mieszkańców. Jej nieoficjalne przezwisko mogłoby brzmieć: Znienawidzona.

– Jak się miewa Gelston? – zapytał Gifford.

Na kolanach Tressy stał ceramiczny dzbanek, który tuliła do piersi. Włosy miała skołtunione, a rękawy sukni przyozdobione brązowymi plamami. Podniosła wzrok z kwaśną miną. Grymas jej warg przypominał nieco usta Padery, tyle że Tressa nie była bezzębna.

– Nie wiem – odparła. Jej głos był teraz ochrypliwy, pasujący do wyglądu. – W niektóre dni mam wrażenie, że jest z nim lepiej, wiesz? Dziad jeden robi wszystko, żebym nabrała nadziei, po czym nazajutrz... – Splunęła pomiędzy swoje stopy. Tressa miała wprawę w płuciu, wychodziło jej to znacznie lepiej niż Giffordowi. Była to jedna z rzeczy, za które ją podziwiał. Gifford miał zwyczaj wynajdować u każdego jakąś cechę, którą mógłby podziwiać. Nie było to szczególnie trudne, zważywszy na to, że zazdrościł bliźnim nawet umiejętności stania prosto.

– Zgaduję, że dzisiaj jest... nazajutrz?

Popatrzyła na niego ponad brzegiem dzbana, krzywiąc się drwiąco.

– Nawet nie wiedział, kim jestem. Gapił się tylko na mnie.

– Sądziłem, że właśnie dlatego pomagasz Gelstonowi. Bo cię nie pamięta.

Skinęła głową, ale było to powolne, smutne skinienie.

– Przychodzę tu dzień w dzień. Karmię go, myję, piorę jego ubrania, wycieram mu tyłek, i rozmawiamy. Rozmawiamy godzinami, on i ja, o takich bzdurach jak czapki, padający śnieg i dlaczego bogowie nas nienawidzą. Czasem Gelston się uśmiecha, kiedy widzi, że nadchodzę, ale wczoraj... – Tressa gwałtownie zaczerpnęła tchu i wstrzymała oddech, zaciskając usta. Pozostała tak przez chwilę, po czym powoli, ostrożnie wypuściła powietrze. – Wczoraj podbiegł i... i... uściskał mnie. – Znów urwała, żeby dwukrotnie przełknąć ślinę. – To był taki prawdziwy, mocny uścisk, ze szczerego serca. Wiesz? – Zerknęła na Gifforda i pokręciła głową. – No dobrze, może nie wiesz, ale to było miłe. Naprawdę miłe. Nie romantyczne, nic z tych rzeczy... Po prostu życzliwość. Ciepłe uczucia. Nikt mnie tak nie przytulał od... – Popatrzyła na niebo i jeszcze kilka razy głęboko wciągnęła powietrze nosem. – A potem dzisiaj... Dzisiaj jest tak, jakby to się nigdy nie wydarzyło. Gelston znów zachowuje się jak obcy człowiek.

Tressa zahaczyła kciukiem o uchwyt dzbanka i przechyliła naczynie do ust.

– Chcesz trochę? – Gdy oderwała się od dzbanka, jej oddech był niewidzialną chmurą woni sfermentowanego żyta.

– Nie, dzięki.

– To pomaga. Wierz mi, to pomaga.

– Dziękuję, ale nie.

Tressa otarła usta. Za jednym zamachem wytarła też oczy, próbując pozbyć się wilgoci z rzęs tak, żeby Gifford tego nie spostrzegł. Udał, że niczego nie zauważył.

– I co, urządziliście sobie ten piknik?

Skinął głową.

Tressa popatrzyła na niego bystro.

– Nie poszło dobrze, co?

– Nie.

– Każdy inny mężczyzna do tej pory już dałby za wygraną.

– Gdybym był każdym innym mężczyzną, nie musiałbym.

Tressa się roześmiała.

– Naprawdę tak myślisz? Myślisz, że to ona z was dwojga jest tą osobą, o którą warto się starać? Roan pasowałaby do nas tu, w Domu Beznadziei. Wiem, że ją kochasz i tak dalej, ale serio, ta dziewczyna ma nie po kolei w głowie. W ogóle nie pozwala ci się dotknąć, prawda? Nikomu nie pozwala. Jak ty to sobie wyobrażasz? To znaczy, nawet jeśli dokonasz cudu i przekonasz Roan, żeby cię poślubiła, co to za małżeństwo, jeśli nie będziesz mógł dotknąć własnej żony? Na Mari, nawet nie możecie się trzymać za ręce, prawda?

– Nie. Łoan załaz zaczyna krzyczeć.

Tressa pokręciła głową i ponownie wyciągnęła rękę z dzbankiem w jego stronę.

– Jesteś pewien?

Pokręcił głową.

– Łoan ma powody.

– Wszyscy mamy powody. – Tressa znów napiła się z dzbanka. – Mari wie, że wszyscy mamy powody.

Rozdział dziewiąty

Garncarz

Bohaterowie to ci, którzy odmawiają krzywdzenia innych i nie pozwalają, by ich samych krzywdzono. Wówczas tego nie dostrzegałam, ale w moim otoczeniu było wielu bohaterów. Myślę, że może tak jest wszędzie na tym świecie.

Księga Brin

Balansując z rozłożonymi szeroko ramionami na barierce balkonu położonego blisko czubka Spyroku, Suri wyobrażała sobie, że frunie. Nie było to zbyt trudne. Świat rozpościerał się pod nią, a wiatr był tak silny, że wyciskał łzy z oczu. Po raz pierwszy w życiu pożałowała, że nie ma dłuższych włosów, bo mogłaby wtedy czuć, jak targają je podmuchy.

– Dobrze się bawisz? – zapytała Arion, ale Suri usłyszała: „Oszalałaś? Zimno mi się robi, kiedy na ciebie patrzę!”.

Często tak było. Suri zawsze odbierała komunikaty od Elan, od drzew, pogody i zwierząt. To, co wcześniej uważała za mistyczny talent, okazało się szeptaniem Sztuki. Intuicja, prekognicja, poczucie bycia jednością ze światem wynikały z jej daru. Umożliwił on rozumienie języka, w którym stworzono świat. Większość ludzi potrafiła usłyszeć komunikaty wypowiedane w tym języku. Zagadkowy powiew grozy poprzedzający tragedię, niewyjaśnione zbiegi okoliczności, poczucie, że coś jest dziełem przeznaczenia – wszystko to były trudne do wychwycenia sygnały wysyłane przez Elan. Nikt nie pozostawał na nie całkowicie głuchy, ale niewielu potrafiło zrozumieć przekaz, a prawie nikt nie był w stanie prowadzić konwersacji.

Choć Tura nie mogła się równać z Suri, z pewnością też miała talent Artystki. Wszyscy prawdziwi mistycy i wróżbici dysponowali przynajmniej zdolnością

słyszania szeptów świata. Niestety Tura żyła i zmarła nieświadoma prawdziwej natury swojego daru. Gdyby poznała prawdę, być może nauczyłaby się skupiać, wyćwiczyłaby swoje wewnętrzne ucho w słuchaniu. Suri spędziła na tym zajęciu całą zimę, a teraz, zamiast po prostu słyszeć głos wiatru, słyszała myśli innych ludzi. A w każdym razie tak jej się zdawało. Arion twierdziła, że Suri po prostu wychwytuje silne emocje na takiej samej zasadzie, na jakiej zwykli śmiertelnicy wyczuwają zmiany temperatury. Dobrze radziła sobie z wrózeniem z kości, ale dzięki swemu talentowi potrafiła też czytać w ludziach.

Na przykład potrafiła poznać, że Arion jest przerażona.

Suri nie widziała w tym żadnego problemu. Była zbyt zajęta fruwaniem. Przechyliła dłonie i poczuła, jak wiatr odbija się od jej złożonych palców jak od skrzydeł. Naprawdę powinnam była urodzić się ptakiem, pomyślała.

– Czy możemy poprzestać?! – zawołała, przekrzykując wiatr.

– Nie. – W pojedynczej sylabie dźwięczało napięcie.

– Miałam na myśli latanie dzięki Sztuce.

– Wiem, co miałaś na myśli, i nie, nie możesz. – Arion dodała ostatnie słowa w pośpiechu, jakby była przekonana, że Suri lada moment spróbuje się sama przekonać.

– A mówiłaś, że wszystko jest możliwe.

– Mówiłam, że można odnieść wrażenie, że wszystko jest możliwe. To iluzja. Nie zrobisz niczego, co jest przeciw naturze. Nie staniesz się niewidzialna ani nie zamienisz się w żabę. Nie jesteś w stanie stworzyć życia, wskrzeszać umarłych ani...

Suri odwróciła głowę, czując się jak sowa śledząca mysz. Było to całkiem przyjemne uczucie.

– Ciebie wskrzesiłam.

– Nie byłam martwa.

– Jesteś pewna?

– Raczej tak.

– I żadnego latania?

– Żadnego latania.

Suri westchnęła i zeskoczyła z bariery. Arion się rozluźniła, a mistyczka wyczuła promieniującą od Fhrejki falę ulgi. Arion wyglądała teraz znacznie lepiej, zdrowiej niż kiedykolwiek, a rana na jej głowie była już tylko białą blizną, która rzucała się w oczy, odkąd Arion znów zaczęła golić głowę.

Artystka znów robiła mnóstwo różnych rzeczy.

Tamtej nocy, siedząc z Paderą i Brin pod daszkiem z wełnianego sukna, Suri dokonała niemożliwego. Otworzyła drzwi pomiędzy ich światem a światem duchów, a potem przeszła na drugą stronę. Wkroczyła do mrocznego królestwa

Phyre, dotarła aż do długiej rzeki, której nurtem podróżowały dusze zmierzające do miejsca swego ostatecznego odpoczynku. W mrocznych wodach tej rzeki Suri odnalazła Arion. Fhrejka szamotała się, walcząc z powoli znoszącym ją prądem. Wszyscy prędzej czy później musieli mu się poddać – zabierał każde żywe stworzenie. Jednakże Suri nadal pozostawała zaczepiona jedną stopą w świecie żywych i wykorzystała to jako kotwicę, linę ratunkową. Chwyła Arion i pociągnęła. Przywróciła w ten sposób Fhrejkę do świata żywych, uzdrawiając ją przy okazji. W powłoce cielesnej Arion ziała dziura – gdy Suri stała tam, po drugiej stronie, widziała to równie wyraźnie jak rozdarcie w kocu oglądanym pod słońce. Zaszyła tę dziurę, zacerowała ją starannie, po czym wepchnęła duszę Arion z powrotem do naprawionego ciała. Kiedy Fhrejka była już bezpieczna, Suri straciła z wyczerpania przytomność. Dopiero później dowiedziała się, jak niewiele brakowało, by sama postradała życie. Żywi nie powinni pływać w owej rzece, w ciemnej wodzie, która niesie umarłych. Gdyby mistyczka zamarudziła tam zbyt długo, zanadto się zmęczyła, nurt wciągnąłby ją i zerwał linę łączącą ją ze światem żywych. Wówczas obie z Arion trafiłyby do Phyre.

Nawet po tym wszystkim Fhrejka nie budziła się jeszcze przez kilka dni. Tamten tydzień był najgorszy w całym życiu Suri. Straciła Minnę i choć wywlekła Arion z samej paszczy Phyre, ta nadal nie otwierała oczu. Gdy w końcu to nastąpiło, Suri pielęgnowała ją tak troskliwie, jak matka zajmująca się nowo narodzonym dzieckiem. Kiedy Arion zaczęła powracać do sił, okazało się, że nie tylko wróciła do życia, ale też odzyskała zdrowie.

Znów mogła korzystać ze Sztuki.

– To bardzo rozczarowujące – podjęła Suri. – Nie mogę się stać niewidzialna. Nie stanę się nieśmiertelna. Nie mogę tworzyć własnych zwierząt. Nie przekonam mięsożerców do zjadania roślin. Nie mogę przearanżować gwiazd ani dodać nowej pory roku, a teraz okazuje się, że nie mogę nawet latać.

Arion wyciągnęła w jej stronę mały ceramiczny kubek, który trzymała w dłoniach. Fhrejka miała słabość do okropnie niesmacznej herbaty, którą wyszukała w sklepiku w mieście. Twierdziła, że pijała ten sam napój w Estramnadonie.

– Ale mogłaś tworzyć wspaniałe migoczące obrazy ze świetlików. – Z jakiegoś powodu ciągle wracała do tego tematu. – To było naprawdę imponujące. Nigdy nie widziałam niczego podobnego. Nadal nie wiem, jakim cudem udawało ci się stworzyć tak realistyczne wizerunki niedźwiedzi i królików z latających światełek.

– Świetlikom niezbyt się to podobało. – Suri opuściła balkon i wróciła do wnętrza wieży, żeby mogły porozmawiać w miejscu osłoniętym od wiatru. – To co się stało? Persefona nadal odmawia posłania wiadomości do fane'a?

Arion podniosła wzrok. Minę miała niewinną jak złodziejka.

– Czemu sądzisz, że coś się stało? Wyczuwasz coś?

– Nie muszę. Dopiero co weszłaś na Spyrok. Nie wspinałabyś się po tylu schodach tylko po to, żeby mi powiedzieć, że nie mogę latać.

Arion się uśmiechnęła.

– Co?

– Po prostu... Tak szybko dojrzewasz. Już myślisz jak Miralyith.

– Czy to dobrze?

Arion skinęła głową, pocierając kubek.

– Myślę, że tak.

– Czyli mam rację? Nie wysłano gołębia z listem?

Arion znów potaknęła.

– Keenig nadal trzyma stronę Nyphrona. Podobnie jak Rapnagar, Instarya tu w Alon Rhist nie kwapią się, by uwierzyć, że ludzka dziewczyna może być Artystką. Utwierdza mnie to w podejrzeniach, że księżę nie powiedział Lothianowi o tobie. Dlatego też Nyphron chce zachować twój talent w tajemnicy. Wierzy, że niewiedza fane'a gwarantuje nam taktyczną przewagę. Twierdzi, że efekt zaskoczenia jest ważniejszy niż ujawnienie, że istniejesz. W tej chwili Lothian wierzy, że ponieważ ja nie złamię Prawa Ferroła, on ma pod swoimi rozkazami jedynych Artystów, którzy są w stanie siać zniszczenie. Nyphron uważa cię za naszą tajną broń.

– A co ty sądzisz?

Arion zapatrzyła się we wnętrze kubka.

Smutek. Zawstydzenie. Suri zinterpretowała te uczucia jako refleksję: „Stara, a głupia”.

– Podejrzewam, że mogłam się wykazać nadmiernym optymizmem, jeśli chodzi o reakcję Lothiana na rhuńskich Artystów. Już nie wierzę, że ta rewelacja może złagodzić jego nastawienie w stosunku do waszego ludu. A teraz, gdy zajęliśmy Alon Rhist, obawiam się, że sprawy zaszły za daleko. Fane nie może po prostu wybaczyć nam i zapomnieć.

– Ale mimo wszystko chcesz, by posłano wiadomość?

Arion potaknęła.

– Wojna jest nieunikniona, ale pewnego dnia, gdy obie strony do syta opiją się krwi, prawda o tobie może dostarczyć pretekstu, by honorowo zakończyć ten konflikt. Okropnie jest myśleć, że tyle ofiar musi zginąć, by ujawnić mądrość, która powinna być oczywista dla każdego.

– Czyli przemienienie mnie w motyla wcale nie ocaliło świata.

Arion miała zakłopotaną minę.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. Może ty byś potrafiła, ale ja nie. Lepiej sobie radzisz z interpretowaniem sygnałów. Wiem tylko, bo Sztuka mi to podpowiada, że jesteś kluczem do ocalenia zarówno twojego, jak i mojego ludu. Sądziłam, że to dlatego, że stanowisz dowód na pokrewieństwo Rhunów z Fhrejami, które uzasadniałoby rozszerzenie Prawa Ferrola na Rhunów. Wydawało się to rozsądne, ale ludzie nie są rozsądni. Mimo wszystko nadal czuję tę cienką nić, która rozciąga się pomiędzy tobą a zawarciem pokoju. Kiedy na ciebie patrzę, wyczuwam nadzieję. Jesteś jak światełko w ciemnościach i codziennie świecisz coraz jaśniej.

Arion znów z namysłem potarła trzymany w dłoniach ceramiczny kubek.

Suri zmrużyła oczy, przypatrując się Fhrejce. Nie o to chodzi, pomyślała. Ona tu przyszła w innym celu. Mistyczka nie potrafiła czytać w myślach Arion, ale istniała inna wskazówka.

– Po co przyniosłaś ten kubek? Po co niosłaś go aż tutaj? Herbata na pewno już wystygła.

Arion podniosła naczynie.

– Tak. Prawdę mówiąc, właśnie dlatego przyszłam.

– Ze względu na herbatę?

Arion pokręciła głową i odstawiła kubek.

– Czy znasz słowo „Cenzlyor”?

Suri myślała przez chwilę.

– Bystro myśli?

– Bystry umysł – poprawiła ją Arion. – Tak nazywała mnie Feneliusa. Ty też masz bystry umysł. Jesteś najbardziej utalentowaną Artystką, jaką kiedykolwiek znałam, a żyję już bardzo długo. Rzecz w tym, że kiedy otrzymałam ten przydomek, liczyłam sobie tysiąc pięćset lat. Dopiero po śmierci Feneliusy uświadomiłam sobie, że byłam jedyną osobą, jakiej go nadała. Przypuszczam, że w jej odczuciu wyróżniałam się w jakiś sposób, a teraz zastanawiam się, czy wiedziała, że to ja cię odnajdę. Pragnęła, żebym została nauczycielką, i oto jestem. Twoją nauczycielką. Sądziłam, że chciała, żebym uczyła księcia, i może faktycznie tak było, ale teraz myślę, że wyczuła istotność mojego życia na takiej samej zasadzie, na jakiej ja wyczuwam istotność twojego. To są strzępki przeczuć, jedne wydają się oczywiste, a innych nie sposób pojąć, bo te wydarzenia jeszcze nie nastąpiły.

Arion podeszła do krawędzi balkonu, wsparła się rękoma o barierkę i popatrzyła na wschód. Teraz, gdy zachodzące słońce świeciło im w plecy, Suri miała wrażenie, że widzą z wieży cały świat. Rzeka Bern była wijącym się puklem włosów u ich stóp, góra Mador garbem w oddali. Dalej widniało morze lasu, które Arion nazywała Szarodrzewem, a za nim rozciągała się kolejna rzeka:

Nidwalden. Suri musiała w tej kwestii uwierzyć Fhrejce, bo sama widziała tam tylko drzewa. A za rzeką Nidwalden, tam, gdzie mistyczka widziała tylko błękitną mgiełkę, leżała ojczyzna Arion.

– Zaledwie tydzień drogi – powiedziała Fhrejka tak cicho, że Suri z trudem ją usłyszała. – Tydzień i wieczność. – Odwróciła się z powrotem do mistyczki. – Nyphron i Persefona chcą, żebyśmy zrekrutowały więcej Artystów, wyszukały więcej bystrych umysłów, więcej takich Cenzlyor jak ja. Przypuszczają, że fane przyśle tu armię Miralyithów: Pajęczy Korpus. To Artyści, którzy są wprawieni w tkaniu wspólnie czarów ofensywnych i obronnych. Wiesz, jak pająki. Rozumiesz?

Suri przewróciła oczami.

– Przed chwilą byłam bystrym umysłem. Co się stało?

– Przepraszam.

– Czyli Persefona chce mieć swój własny Pajęczy Korpus?

– Coś w tym guście. Rozsądnie byłoby mieć więcej niż dwójkę Artystów.

– A skąd ich weźmiemy? Mamy szukać ludzi, którzy wyjątkowo dobrze sobie radzą z rozniecaniem ognia?

– Niestety nie. U większości Artystów talent nie ujawnia się w tak ewidentny sposób jak u ciebie, ale uśpione zdolności zazwyczaj manifestują się jako kreatywność. Miralyithowie często zaczynają jako zwykli artyści: malarze, rzeźbiarze czy nawet utalentowani rzemieślnicy. Im lepsze dzieła tworzy dana osoba, tym bardziej prawdopodobne jest, że to ukryty Artysta. – Arion znów podniosła misternie wykonany kubek. – Czy wiesz, spod czyjej ręki wychodzą te cuda?

* * *

Zanim odszukały domek położony w odległej części rhuńskiej dzielnicy, zapadła noc. Suri od lat zamieszkiwała pod gwiazdami i nigdy nie miała problemów z widzeniem w ciemnościach. Potem przeniosła się do dahlu Rhen, gdzie czuła się oślepiona przez wszechobecne pochodnie i misy z żarem. Tak samo było tutaj, w tym fhrejskim mieście. Miejsce pochodni zajęły lampy zawieszane na drągach, ale efekt był identyczny: przeganiały cienie z jednych miejsc, przez co w innych robiło się ciemniej. Kiedy razem z Arion szły uliczką, Suri uświadomiła sobie, że ten sam problem ma z ludźmi. W odróżnieniu od wszystkich innych żywych stworzeń ludzie nigdy nie czuli się usatysfakcjonowani, jeśli po prostu zamieszkiwali w jakimś miejscu i byli jego częścią. Zawsze chcieli zmieniać różne rzeczy, sprawiając, by miejsca

dostosowały się do nich. Może to dlatego bogowie i duchy wydawali im się tak okrutni. Świat w ten sposób dawał do zrozumienia: „Przestańcie”.

Na końcu wąskiego zaułka stała zwykła drewniana chata, jakby ktoś zreflektował się w ostatniej chwili, że trzeba ją tam zbudować. W niczym nie przypominała sąsiadujących z nią okazałych willi. Mogła wyjściowo być komórką na zapasy, albo może służyła jako kwatera dla służby. Gdy podeszły bliżej, Suri spostrzegła, że na schodkach siedzą dwie osoby: mężczyzna oraz kobieta imieniem Tressa. Nikt jej nie lubił, ale Suri nie wiedziała dlaczego. Nikt nie lubił też pajaków, a mistyczka już dawno dała sobie spokój z próbami zrozumienia, czy w szaleństwie ludzi zamieszkujących warowne osiedla kryje się jakaś logika. Obok Tressy siedział garncarz Gifford, a pomiędzy nimi stał dzbanek.

Gifford i Tressa rozmawiali, ale umilkli, gdy spostrzegli, kto nadchodzi.

Tressa położyła dłoń na dzbanku i przyciągnęła naczynie do siebie.

– A wy czego tu szukacie?

– To on. – Suri wskazała Gifforda.

Brwi garncarza drgnęły gwałtownie.

– Co on zrobił? – spytała Tressa. – Nie musicie się go czepiać. Gifford już i tak jest chodzącym przekleństwem dla samego siebie.

– Nie przyszłyśmy tu, żeby się go czepiać – odrzekła Arion. – Chcemy z nim tylko porozmawiać.

– Porozmawiać, co? – Tressa przyjrzała im się podejrzliwie. – O czym?

Arion podniosła kubek.

– O tym. – Zwróciła się do Gifforda. – Ty go zrobiłeś?

Kiwnął głową.

– I co z tego? – Ton Tressy stanowił werbalny równoważnik agresywnego popchnięcia. – Przeszkadza wam, że kaleka zarabia na życie?

Arion popatrzyła na Tressę.

– Proszę, czy mogłybyśmy porozmawiać z Giffordem na osobności?

– Czy to wam ułatwi rzucenie na niego jakiegoś paskudnego uroku? – zapytała Tressa. – Mam lepszy pomysł. Może byście tak po prostu odeszły? Idźcie sobie z powrotem do waszej pięknej kamiennej fortecy, do waszych jednookich traszek, kociołków i nietoperzych skrzydeł, i zostawcie nas w spokoju. Czy możecie to zrobić? Proszę?

– Znałam całkiem sporo traszek – oznajmiła Suri. – I ani jedna nie była jednooka.

– Jasne, jasne. Założę się, że mówią do ciebie po imieniu, co?

– Oczywiście. Traszki są niesamowicie przyjazne.

Ta odpowiedź zupełnie skonfundowała Tressę. Kobieta spojrzała na Gifforda z taką miną, jakby nie wiedziała, co robić.

– Giffordzie – powiedziała Arion, unosząc kubek. – Sądzę, że ceramika z twojego warsztatu jest wspaniale wykonana. Po prostu zachwycająca. Nigdy nie widziałam niczego podobnego. Ta porcelana jest tak cienka, tak delikatna, że niemal przezroczysta.

– To kwestia gliny, jakiej używam: miękkiej, zwykle białej, a także koła, na którym płacuję, i pieca. Trzeba wypalać w bardzo gorącym piecu.

– No cóż, robisz naprawdę fantastyczne rzeczy. Biegłość w rzemiośle to jedno, ale zdumiewa mnie też twoja kreatywność. Kształt tego kubka, zdobienia przypominające płatki kwiatu, i ten uchwyt, który zawija się na podobieństwo łodyżki.

– Dziękuję.

– Przyszedł aż tutaj, żeby mi prawić komplementy na temat jego naczyń? – zapytała sceptycznie Tressa.

– Poniekąd – odrzekła Arion. – Mam też kilka pytań. Giffordzie, czy potrafisz śpiewać?

– Ha! – Tressa klepnęła się w kolano. – Jak przeziębiona ropucha!

Gifford zmarszczył brwi.

– Tłudno mi mówić. Śpiewanie jest jeszcze tłudniejsze. Moje usta nie zachowują się tak, jak powinny. Zniekształcają dźwięki.

– W porządku, może nie śpiewanie. A nucenie? Czy kiedykolwiek nucisz podczas pracy?

Gifford zamyślił się, po czym potaknął.

– Chyba tak.

Arion popatrzyła na Suri z uśmiechem.

– Może nuci. I co z tego? – zapytała ponuro Tressa. – Czy to przestępstwo nucić? Mnie też się to czasem zdarza.

Arion ją zignorowała.

– Czy kiedykolwiek czułeś z całą pewnością, że spadnie deszcz, choć na niebie nie było ani jednej chmurki, a potem nadeszła ulewa? A może potrafiłeś przewidzieć, czy zima nastanie wcześniej, czy późno?

Gifford wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może.

– Czy kiedykolwiek roznieciłeś ogień, klaszcząc w ręce? – zapytała Suri.

Zarówno garncarz, jak i Tressa wyglądali na zaszokowanych.

– Nie – odrzekł Gifford.

– Wydaje mi się, że pytanie, które Suri próbowała zadać, brzmi tak: czy kiedykolwiek chciałeś, żeby coś się wydarzyło, a potem tak się stało? Czy

zauważyłeś różne szczęśliwe zbiegi okoliczności, takie jak znalezienie kogoś lub czegoś, kiedy naprawdę tego potrzebowałeś, albo deszcz, który zaczyna padać dopiero wtedy, kiedy udało ci się schronić pod dachem?

– Nie wydaje mi się.

Tressa parsknęła śmiechem.

– To... – wskazała Gifforda obiema dłońmi – trudno uznać za owoc szczęśliwego zbiegu okoliczności. – Klepnęła garncarza w ramię. – Taki efekt daje staranne podejmowanie błędnych decyzji przez całe życie po tym, jak pijana banda bogów wpadła w zły humor. – Tressa splunęła, otarła podbródek i pokręciła głową. – Co, wydaje wam się, że on jest jakimś czarodziejem, bo robi ładne kubki?

– Niewykluczone – przytaknęła Arion. – Giffordzie, chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił. Chcę, żebyś pomachał rękami w ten sposób. – Wykonała palcami gest skubania, zamasyście poruszając dłońmi w przód i w tył. – O właśnie. A teraz popatrz na moje ręce i pomyśl: „gorąco”. Wyobraź sobie, że moje dłonie zajmują się ogniem. Że się topią. Że robią się czarne jak węgiel. Skup się. Zamknij oczy, jeśli tego potrzebujesz.

Gifford zagapił się na dłoń Arion, a Suri wystraszyła się, że garncarz może naprawdę podpalić ciało Fhrejki. Zakładała, że jej mistrzyni wie, co robi, ale mimo wszystko Suri była gotowa stłumić nawet najmniejszy płomyk.

Od podróży do Neithu nie miała już najmniejszych problemów z sięganiem po Sztukę. W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy jej szkolenie z Arion dotyczyło głównie techniki. Suri czuła się tak, jakby znów znalazły się w strażnicy, zabawiały się razem pętlami sznurka i uczyły się języka rhuńskiego oraz fhrejskiego. Teraz ich lekcje wyglądały zazwyczaj tak, że Arion demonstrowała standardowy splot, a Suri zaczynała go analizować i często wymyślała, jak można go ulepszyć. Arion zawsze się wtedy uśmiechała, a często zaczynała się śmiać albo kręciła głową i mówiła: „Dlaczego nikt przed tobą o tym nie pomyślał?”. Suri była przekonana, że potrafi uchronić swoją mistrzynię przed wszystkim, co mógłby zrobić Gifford, ale mimo wszystko odczuwała napięcie.

Po śmierci Tury i Minny oraz po tym, jak Persefona została obwołana keenigiem, Suri czuła się nie tylko zdruzgotana, ale też samotna. Zewsząd otaczali ją ludzie, ale nie miała rodziny. Uwięziona w lodowatym, ciemnym Alon Rhist przez całą zimę Suri popadła w tak czarną depresję, że przestała jeść. Raithe i Arion wyciągnęli ją z tego, ale ból z powodu strat był nadal świeży, a to obudziło w mistyczce opiekuńcze odruchy, może silniejsze od zdrowego rozsądku.

Gifford wpatrywał się w dłonie Arion długo i intensywnie. Jego zmarszczone brwi złączyły się w jeden wałek u nasady nosa.

– Auu! – Arion gwałtownie cofnęła rękę. – Dobra, przestań. Przestań!
PRZESTAŃ!

– Czy splawiłem ci ból? – zapytał zdumiony Gifford.

Arion roztarła dłoń.

– Trochę.

Skonfundowana Suri gapiała się na rękę Arion. Niczego nie wyczuła, tymczasem użycie Sztuki byłoby nie do ukrycia.

Tressa popatrzyła spod oka na garncarza i odsunęła się, zabierając swój dzbanek.

– Naprawdę poczułaś ból? – zapytał Gifford. – Samymi myślami łozgrzałem twoją dłoń?

Arion nadal rozcierała rękę.

– Nie było tak źle. Jakbym trzymała nagrzaną słońcem kamień.

– Ale ja... ja... – Gifford popatrzył na Arion, potem na Suri, a w końcu, z jakimś poczuciem winy, na Tressę. Ta spiorunowała go wzrokiem.

– Ludzie wyróżniający się kreatywnością zazwyczaj są zestrojeni z mocą i siłami przyrody. Słyszą szepty świata, które pomagają im obierać właściwy kierunek. Często sądzą, że to nasze własne myśli każą nam skierować się w lewo, albo po prostu coś nam podpowiada, że pójdzie w prawo to zły pomysł. Niektórzy nazywają to intuicją czy przecuciem, a tak naprawdę to świat przemawia w starożytnym języku, który prawie rozumiemy, ale nie do końca. Zwierzęta biegle znają ten język. To dlatego ptaki wiedzą, że jesienią muszą lecieć na południe, wiewiórki gromadzą orzechy na zimę, a niedźwiedzie zapadają w sen, gdy nadchodzi zima. Znają go też drzewa. To stąd wiedzą, kiedy zrzucić liście, a kiedy przebudzić się z głębokiego uśpienia. Wszyscy rozumieją te szepty, bo świat przemawia w naszym ojczystym języku, którym jest mowa stworzenia. To dzięki niej stworzono świat. Stworzono nas. Poznając to, co zwie się Sztuką, uczymy się na nowo mówić w tym języku, sięgać po tę moc i wykorzystywać ją do pożytecznych celów. Nie każdy umie intencjonalnie nawiązać połączenie, a jeszcze mniej osób potrafi manipulować tą mocą wedle woli.

– Ale sądzisz, że ja potłafię?

Arion podniosła dłoń i ponownie ją roztarła.

– Tak – powiedziała. – Sądzę, że potrafisz.

* * *

Suri nie odzywała się, gdy szły z powrotem w stronę placu. Kilka razy zerknęła na Arion, ale nie zadawała pytań. Może to nie była jej sprawa. Zanim

wyszły z rhuńskiej dzielnicy, Arion przystanął.

– Chcesz wiedzieć, czemu skłamałam – powiedziała.

Nie tylko Suri potrafiła czytać w cudzych uczuciach. Mistyczka nie odpowiedziała, ale czekała.

– Ponieważ sądzę, że on naprawdę to potrafi. – Fhrejka wznowiła marsz, kierując się w stronę latarni, która wisiała przy studni. – Większości ludzi po prostu brakuje pewności siebie. Ich wątpliwości niszczą każdą szansę na przebudzenie talentu. Ludzie sądzą, że czynienie magii jest niemożliwe, i zaiste to prawda, bo nawet nie próbują, a jeśli próbują, to bez przekonania, bo w głębi serca wiedzą, że im się nie uda. Czasem utalentowana osoba potrzebuje tylko odrobiny zachęty. Wystarczy, że ktoś, czasem ktokolwiek, w nich uwierzy. Bywa, że strącenie jednego kamyczka zapoczątkowuje lawinę, a historia zna przypadki cudów spowodowanych życzeniowym myśleniem, które ktoś pod wpływem impulsu ujął w słowa.

Były same na placu, gdzie znajdowała się miejska studnia. Niedaleko mieszkały Brin, Padera i kilka innych osób z dahlu Rhen. Nadeszła już wiosna, ale noce nadal były zimne. Suri otuliła się ciasno asyką.

– Gifford będzie rozmyślał o tym, co powiedziałam. Będzie to rozważał w głębi serca, coraz bardziej zaciekawiony. Będzie w nim rosło ziarenko zwątpienia w absolutną pewność tego, co widzi i zna z doświadczenia. A kiedy nikt nie będzie patrzył, nasz garncarz spróbuje sprawić, żeby coś się wydarzyło. Będzie starał się usłyszeć szepty świata. I ponieważ raz powiedziałam, że się udało, będzie próbował jeszcze długo po tym, jak w normalnych warunkach dałby za wygraną. Czasem sama wytrwałość wystarczy.

– Czemu mnie to tak łatwo przychodzi? – zapytała Suri.

– Ludzie są różni. Może cierpiałś w przeszłości.

– Cierpiałam?

Arion przystanął przy studni.

– Kiedy ludzie są szczęśliwi, mogą ogłuchnąć. Nie wiem dlaczego, ale moje obserwacje to potwierdzają. Cierpienie pomaga nam słyszeć. Więcej dostrzegamy, kiedy nas boli. Wyraźniej widzimy piękno i bardziej uderzają nas cierpienia innych. Odkąd sprowadziłaś mnie z powrotem, każdy wschód słońca jest bardziej kolorowy, raduje mnie każdy powiew wiatru. Sądzę, że ludzie, którzy przetrwali tragedię, są nie tyle naznaczeni bliznami, ile oczyszczeni. Nie mają już zapchanych uszu ani zasłoniętych oczu. Kurczą się bariery pomiędzy nimi a światem.

– I sądzisz, że ja cierpiałam w przeszłości?

– Może.

– Ale potrafiłam rozpalać ogień, odkąd byłam mała.

– W takim razie to, co cię spotkało, musiało się wydarzyć, kiedy byłaś dzieckiem. To ma sens. Myślę, że w im młodszy wiek doświadczamy bólu, tym silniej to na nas wpływa. Dlatego właśnie Gifford wydaje mi się prawdopodobnym kandydatem. Wystarczy na niego spojrzeć, żeby wiedzieć, że cierpi już od dawna.

Suri przetrawiała to, gdy szły dalej. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby jako dziecko była nieszczęśliwa. Smutek i ból zawitały do jej życia dopiero wraz ze śmiercią Tury. Wcześniej jej egzystencja zawsze wydawała się cudowna, dzieciństwo było wspaniałym doświadczeniem – w każdym razie te epizody, które pamiętała.

„Kiedy cię znalazłam, płakałaś tak głośno, że aż drzewa drżały” – powiedziała jej pewnego razu Tura.

Suri przypomniła sobie też słowa Persefony wypowiedziane kiedyś w dahlu Rhen: „Niektóre dzieci, te niechciane, czasami pozostawia się w lesie, na łasce bogów”.

Nawet Gifford nie został wyniesiony do puszczy, porzucony jak śmieć, żeby szczęł. Ojciec go kochał, a po jego śmierci Giffordem opiekowała się cała osada, uznając go za swoją własność. Jak gruba mogła być zasłona między światami dla Suri, zdesperowanego niemowlęcia porzuconego w dziczy, które rozpaczliwie pragnęło żyć?

„Płakałaś tak głośno, że aż drzewa drżały”.

Schodziły już z placu, mijając róg uroczego domku, gdzie zgodnie z wiedzą Suri mieszkały teraz Brin i Roan, kiedy mistyczce nagle zrobiło się zimno, tak zimno, że zadygotała.

– Poczulaś to? – zapytała Arion.

– Zimną, paskudną oślizgłość? Jakby ktoś ci wrzucił ryby za koszulę?

Arion potaknęła.

– Myślałam, że to tylko moja wyobraźnia.

– Musisz pamiętać, że twoja wyobraźnia widzi więcej niż cudze oczy. – Arion podeszła do ściany domu. Dotknęła kamiennego muru i przesunęła po nim palcami.

– Co to jest?

– Nie wiem – odparła Arion. – Przypuszczam, że wiadomość.

– Wiadomość?

– Ostrzeżenie. Jakby niedźwiedź nasikał na pień drzewa.

Suri się uśmiechnęła. Wyjaśnienia Arion zazwyczaj bywały niejasne albo bazowały na niezrozumiałych dla mistyczki przykładach. Teraz przynajmniej pojęła, o co chodzi.

– Coś zaznacza swoje terytorium za pomocą Sztuki?

– Może. Albo po prostu zostawia swój zapach. To echo jest silne, inaczej bym go nie zauważyła. Mój wewnętrzny wzrok nie jest szczególnie wyczulony. Z tobą sprawy mają się inaczej. Czy coś tu wychwytyjesz? Ja czuję tylko zimno. Zimno i zagrożenie.

– Coś, co jest bardzo zimne. Jak śmierć, ale jeszcze wilgotne i oślizgłe. I...

– I co?

– Głodne. Wygłodniałe, wyczerpane. Czuję też frustrację.

– Widzisz to coś? Wiesz, co to jest?

Suri pokręciła głową. Wychwytywała tylko odczucia, emocje, które utrzymywały się w otoczeniu jak zapachy.

– Co to znaczy?

Arion wzruszyła ramionami.

– Może wydarzyło się tu coś niedobrego.

– Nie sędzę – odparła Suri, też dotykając ściany domu.

– Co wyczuwasz?

– Nie wydaje mi się, żeby wydarzyło się tutaj coś złego. Myślę, że coś złego dopiero się wydarzy. I nie sędzę, żeby ktoś miał to zrobić. Myślę, że sprawcą będzie coś.

Rozdział dziesiąty

Pan Rhistu

Kyp był ogromną kamienną budowlą pełną komnat, korytarzy i schodów. Tam zamieszkiwali niegdyś władcy Alon Rhist. Na parterze mieściła się Karola, niewielka sala, w której pani keenig wysłuchiwała skarg i ogłaszała wyroki. Persefona zwykła ją nazywać swoją salą tortur. Codziennie odbywały się tam inne męki, ale ofiara była zawsze jedna i ta sama.

Księga Brin

Persefona zdążyła już pojąć, że bycie keenigiem jest równie miłe jak cios pięścią w twarz. Zalety jej pozycji wprost oszołamiały: brak snu, brak prywatności oraz wystawienie na drwiny. Nieważne, jak się starała, ludziom to nie wystarczało, a równocześnie każde jej działanie uznawano za zbyt radykalne. Oskarżano ją o faworyzowanie osób, których w ogóle nie знаła, o to, że wie zbyt dużo lub zbyt mało. Nazywano ją obłąkaną. Niektórzy autentycznie wątpili, czy jest nadal przy zdrowych zmysłach, sugerując, że stres doprowadza ją do szaleństwa. Ilekroć wydała wyrok na czyjąś niekorzyść, wywoływało to komentarze, że „kobiety nie zostały stworzone do dźwigania takiego ciężaru”. Persefona uświadomiła sobie, że ludzie mają bardzo krótką pamięć, jeszcze mniej cierpliwości i zachowują się jak dzieci.

Dobitnie zademonstrował to Erdo, wódz klanu Erling, który stanął przed nią tego dnia w Karoli, żeby prosić o pozwolenie na powrót wraz z całym klanem na ojczyste ziemie, gdzie mogliby pomóc w wiosennych pracach na roli. Persefona rozumiała problem – prośba Erdo była obiektywnie uzasadniona – ale przyjęta strategia wymagała ponoszenia ofiar. Tego dnia padło na klan Erling.

– Przykro mi – oznajmiła, spoglądając w dół. Dołożyła starań, by jej głos zabrzmiał współczująco, ale po tym, jak setki razy przekazała tę samą rozczarowującą informację setkom ludzi, trudno jej było sprawić, żeby to współczucie wydawało się szczere. – Nie możemy sobie teraz pozwolić na utratę tylu ludzi.

– Mój lud wymrze z głodu! – Erdo uderzył ręką w odlaną z brązu barierkę, która oddzielała niższą część sali od podwyższenia. Zabrzmiał głuchy, wibrujący metalicznie dźwięk.

– Klan Erling otrzyma dostawy ziarna z południa. Pomoże im to przetrwać aż do...

– Nie chcemy żadnych zapomóg!

– To nie zapomoga. Potraktujcie to jak zapłatę za trwanie w gotowości.

– To wydanie ludu Gula na łaskę Rhulynu. Ot co! Nakładacie nam pętlę na szyję i twierdzicie, że to smycz.

Erdo zajął miejsce Udgara jako wódz klanu Erling po tym, jak Moya zabiła jego poprzednika w pojedynku, który sprawił, że Persefona została keenigiem. Spodziewała się większego oporu ze strony klanów z północy, ale większość Rhunów uważała sąd bogów za rzecz świętą, a już zwłaszcza Gula-Rhunowie, dla których walka stanowiła tak ważną część życia. Jak dotąd lud Gula honorował jej władzę i nie kwestionował jej decyzji, nawet jeśli ich wodzom nie zawsze udawało się zachować kontrolę nad poddanymi. Tej zimy Persefona musiała rozpatrzyć osiem przypadków morderstw. Większość popełnili Gula-Rhunowie, a ofiarami padły osoby z Rhulynu, ale Rhunowie rhulynscy też nie byli niewiniątkami i mieli na sumieniu paru zabitych. Jeszcze więcej podobnych incydentów wydarzyło się poza twierdzą, na ziemiach zamieszkanym przez oba narody, ilekroć niezbędne były wzajemne interakcje. Persefona pozostawiła tamte sprawy do rozstrzygnięcia starszyźnie i liczyła, że zapadną sprawiedliwe wyroki.

Nie dotarły do niej żadne doniesienia o zabijanych lub zadających śmierć Fhrejach.

Erdo, który niedawno objął stanowisko, okazał się największym krzykaczem spośród wodzów ludu Gula. To nie była jego pierwsza wizyta w Karoli. Większość rhuńskich przywódców zgłaszała swoje obiekcje podczas comiesięcznych posiedzeń rady, które przez to ciągnęły się straszliwie długo. Jednakże Erdo nie był skłonny do cierpliwości.

– Na południu plony lepiej się udają – wyjaśniła Persefona. – Grunty są tam lepsze, lato trwa dłużej, a pola znajdują się dalej od ziem wroga, który mógłby przybyć i spalić zboże. Obiecuję, że zadbam o wasz lud, ale teraz potrzebujemy was tutaj.

– To nie ma sensu – oznajmił Erdo. – Nic nie robimy, tylko siedzimy na tyłkach. Wam jest łatwo, bo macie do dyspozycji ciepłe, wygodne kwatery tu, w mieście. Ja i moi ludzie musimy tkwić na otwartym polu, na zimnie, w przeciekających namiotach. Nie ma potrzeby, żebyśmy tu czekali. Minęły już dwie pory roku. Fhrejowie się nas boją. To całe czekanie nie ma sensu. Użyjcie nas albo odeślijcie do domu!

Persefona spojrzała na Nyphrona, który zasiadał po jej lewej ręce.

Nyphron się pochylił.

– Ile razy się zdarzyło, żeby wojsko z Alon Rhist zaatakowało lud Gula zimą?

Wódz klanu Erling pokręcił głową.

– Nie pamiętam.

– W takim razie pozwolę sobie podpowiedzieć: ani razu. Wojny prowadzi się przy ciepłej pogodzie. Jeśli wyjrzysz na zewnątrz, zobaczysz, że śniegi zniknęły. Wasi wrogowie już wyruszyli w drogę. Dotrą tu niedługo. I na waszym miejscu nie wyczekiwałbym tak niecierpliwie, aż się zjawią. A teraz pora, byśmy wysłuchali następnych oczekujących.

Machnął ręką, odprawiając Gula-Rhuna.

Persefona skrzywiła się z niezadowoleniem.

Erdo spiorunował Nyphrona wzrokiem, zaciskając usta w wąską kreskę. Okręcił się na pięcie i wyszedł ciężkim, gniewnym krokiem.

– Naprawdę nie powinieneś tego robić – wyszeptała Persefona.

Przywódca Fhrejów posłał jej skonfundowane spojrzenie.

– Nie do ciebie należy odprawianie...

– Ach! – Nyphron kiwnął głową. – Masz rację. Przepraszam. – Spojrzał na drugi koniec sali, w stronę drzwi, którymi właśnie wychodził Erdo. – Po prostu... Nie podoba mi się to, jak się do ciebie zwracają. Zwłaszcza ci Gula. Nie okazują żadnego szacunku. Żadnemu Instarya nie śniłoby się zwracać takim tonem do wyżej postawionych.

– Nie? – zapytała Moya. Udało jej się wsaczyć w to jedno słowo całe morze sarkazmu. – Tekchin mówi mi coś innego.

Uśmiechnęła się do Nyphrona.

Moya czuwała na prawo od Persefony. Było tam krzesło, ale Moya zawsze stała oparta o swój łuk z nałożoną cięciwą. Stale narzekała, że ludzi, którzy przychodzili tu wylewać swoje żale, powinno dzielić od Persefony coś więcej niż tylko poręcz z brązu i cztery schodki. Ludzie mający pretensje zazwyczaj nie kryli gniewu.

Jednakże Persefona się nie bała. Moya już udowodniła, że potrafi nałożyć na cięciwę i wystrzelić trzy strzały szybciej, niż mężczyzna jest w stanie

przeskoczyć przez barierkę. Opowieści o jej zadziwiającym zwycięstwie nad Udgarem i coraz bardziej mistrzowskim strzelaniu z łuku uczyniły ją legendą. Większość klanów wyobrażała ją sobie w kategoriach mitycznej heroiny, bo tylko tak potrafili sobie wytłumaczyć fakt, że ktoś tak piękny jest zarazem śmiertelnie niebezpieczny. Nawet Fhrejowie darzyli Moyę... może nie szacunkiem, ale znać było ich ostrożność w obliczu fenomenu, który nie do końca rozumieli. Choć sekret łuku został już udostępniony wszystkim, którzy chcieli się nauczyć posługiwania nową bronią, Moya ćwiczyła codziennie i pozostawała niedoścignioną mistrzynią. A sam jej widok, gdy tak stała w pogotowiu, działał na wyobraźnię bardziej niż dwudziestu uzbrojonych gwardzistów.

Drzwi Karoli się otwarły i wprowadzono Petragara oraz Vertumusa. Moya uśmiechnęła się szeroko na ich widok.

– Jak myślisz, co ci tutaj by powiedzieli na temat szacunku, z jakim Instarya zwracają się do swoich przywódców?

Nyphron skrzywił się złośliwie, gdy dwaj więźniowie zbliżyli się do barierki.

– Nie powiedziałem: przywódców. Powiedziałem: wyżej postawionych.

Karola świetnie się nadawała na miejsce wysłuchiwanie skarg. Znajdowała się na najniższej kondygnacji Kypu i większość mieszkańców Alon Rhist nie miała tam wstępu, co generowało aurę tajemnicy i szacunku. Sala była też wystarczająco nieduża, żeby zapewnić kameralność, ale podzielona, by podkreślać powagę sądu. Nie miała żadnych okien i znajdowały się w niej tylko dwa wejścia: jedno dla petenta, drugie dla sędziów, a posiedzenia odbywały się za zamkniętymi drzwiami. Karola pod pewnymi względami kojarzyła się Persefonie ze strażnicą w dahlu Rhen, ale tu panowała znacznie bardziej formalna i złowróźbna atmosfera. Przyczyniał się do tego zwłaszcza brak okien. O tej porze roku wrota strażnicy stałyby otworem, żeby wpuszczać do wnętrza światło dzienne i wiosenny wiatr. Zamiast tego Persefona musiała tkwić w półmroku rozświetlanym przez drżące płomyki i wysłuchiwać skarg na temat swoich rządów, a jej decyzje prawie zawsze powodowały rozczarowanie.

– Spędziliśmy... – zaczął Petragar po fhrejsku, po czym się zająknął. Spojrzał na Vertumusa, który szepnął mu coś do ucha. – Spędziliśmy w więzieniu prawie osiem miesięcy. Jestem Fhrejem wysokiej rangi, w związku z czym domagam się naszego natychmiastowego uwolnienia.

Wypowiadając swe żądanie, ani razu nie popatrzył na Persefonę. Skupił całą uwagę na Nyphronie.

I choć nie spodobało jej się to, Persefona nie poczuła zdziwienia, kiedy Nyphron odpowiedział w jej imieniu:

– Wysłaliście oddział grenmoriańskich zabójców, żeby mnie zamordowali – oznajmił. – Cieszcie się, że żyjecie. Dziękujcie Ferrolowi, że urodziliście się Fhrejami.

– Miarą cywilizacji jest to, jak traktuje więźniów – rzekł Vertumus, zwracając się do Persefony. Potem on też przemówił do Nyphrona. – Odesłanie nas fane’owi byłoby pierwszym krokiem do zmiany jego nastawienia.

– Nie potrzebujemy zmieniać niczyjego nastawienia – odrzekł Nyphron. – Mieliście już szansę wysłuchać sprawiedliwej debaty. Teraz nasza kolej, żeby wam odplacić za życzliwość.

– Przetrzymując nas tutaj, nic nie zyskacie – oznajmił Petragar. – Stanowimy dla was tylko obciążenie.

– To prawda. – Nyphron odwrócił się do Persefony. – Zgadzam się z Petragarem. Powinnaś natychmiast zlecić ich egzekucję. Nie ma sensu marnować dobrej owsianki na te kreatury.

Obaj zagapili się na Persefonę, wytrzeszczając oczy w przerażeniu.

Jeszcze nigdy nie skazała nikogo na śmierć. Czowała mdłości na samą myśl. Mogłaby to zrobić; bywało, że Reglan wydawał taki rozkaz. Jednakże nigdy nie było to łatwe, a rzadko kiedy wydawało się uzasadnione. Żeby przetrwać, klan potrzebował każdej pary rąk do pracy. Egzekucja stanowiła ostateczność, gdy wszystko inne zawiodło, ale czasem tylko takie rozwiązanie wchodziło w grę. Teraz istniała alternatywa.

– Odprowadźcie ich pod strażą do Wielkiego Mostu – rozkazała, nadal przemawiając w języku Fhrejów. – Zaopatrzcie ich w prowiant i wodę w ilości wystarczającej na podróż do Erivanu, a potem wypuście.

Uśmiechy rozjaśniły twarze obu więźniów, gdy strażnicy wyprowadzali ich z Karoli.

– Postępujesz niemądrze – oznajmił cicho Nyphron, przechodząc z powrotem na rhuński. – I dowodzisz swojej słabości. Ktoś, kto zarządza terytorium, nie może być słaby.

– Ja nie zarządzam terytorium. Prowadzę wojnę.

– Tym bardziej. Musisz być bardziej stanowcza, mniej skłonna do ustępstw.

– Może ty czujesz się bezpiecznie pod własnym dachem, ale ja nie zapomniałam, że mieszkam w domu moich wrogów. Obserwują nas. Nie zwracasz na to uwagi, ale Fhrejowie w mieście gapią się na nas z nienawiścią. Padera szykuje mi jedzenie, bo fhrejscy kucharze odmówili współpracy. Roan i jej płatnerze ciężko harują w kuźni w Alon Rhist, wykuwając dla nas broń i zbroje, ale wasi kowale nie chcą im pomagać. Nie potrafią kuć żelaza i nie chcą się uczyć od Rhunki. Jest tak, jakby ci Fhrejowie, którzy postanowili tu zostać, tylko czekali, aż powinie nam się noga. Czekają, aż damy za wygraną i wrócimy

do domów, a wtedy oni będą mogli wymyć po nas posadzki i powrócić do swego dawnego życia.

– Co to ma wspólnego z...

– Jak dotąd tylko Shegon i Gryndal zginęli z rąk Rhunów, a żaden Fhrej nie postradał życia za naszą sprawą, odkąd zostałam keenigiem. Fhrejowie nas obserwują. Jeśli rozkażę, by stracono dwóch Fhrejów wysokiej rangi, jeśli mieszkańcy Alon Rhist zobaczą, jak dwaj ich współplemieńcy giną zamordowani przez Rhunów, ich tolerancja może się wyczerpać. Wystarczy, że mam już na głowie jedną wojnę. Nie potrzebuję drugiego konfliktu tu, w murach fortecy.

– Posłuch uzyskuje się wzbudzaniem strachu, a nie okazywaniem współczucia. Strach przed fane'em zjednoczył Rhunów i uczynił cię keenigiem. Strach przed keenigiem sprawi, że twój i mój lud pozostaną zjednoczone również wtedy, gdy już nie będą bały się fane'a.

– Nie chcę, żeby mój lud się mnie bał. Nie powinni bać się nikogo. W tym sęk.

– To piękny ideał. Powinnaś go powtarzać publicznie przy każdej okazji.

Persefona zmarszczyła brwi. Nie chciała po raz kolejny dać się wciągnąć w tę samą dyskusję. Głównie dlatego, że zaczynała podejrzewać, że Nyphron może mieć rację.

Promienny fhrejski arystokrata z początku ją przerażał, ale w ciągu ostatniego roku nauczyła się polegać na nim w wielu kwestiach. W przeciwieństwie do wodzów klanów Nyphron oraz pozostali Fhrejowie nie okazywali najmniejszej konsternacji w obliczu faktu, że Persefona dowodzi wojskiem, choć jest kobietą. Wiedziała, że do niedawna przywódczynią ich narodu była fane płci żeńskiej, niejaka Feneliusa, która poprowadziła ich do zwycięstwa nad Dhergami. Zwłaszcza Nyphron okazywał Persefonie mnóstwo wsparcia. Ku własnemu zaskoczeniu czuła się teraz bardziej komfortowo w obecności przedstawiciela innej rasy niż własnego męża i dostawała od niego więcej dowodów akceptacji. Tym trudniej było teraz dawać odpór Nyphronowym radom.

– Ilu więźniów jeszcze trzymacie?

– Zmieniasz temat – powiedział Nyphron.

– Jest keenigiem, wolno jej – oznajmiła Moya, uśmiechając się niewinnie.

Persefona była przekonana, że jej Tarcza jako jedyna potrafi zabijać samym spojrzeniem.

– A dobre Tarcze powinny milczeć – odparł Nyphron.

Przed rokiem taki komentarz przeraziłby je obie. Teraz Persefona zacisnęła zęby w oczekiwaniu na nieuniknioną odpowiedź. Moya miała na wszystko

gotową odpowiedź.

– A Fhrejowie mieli być bogami – odrzekła Tarcza ze wzruszeniem ramion. – Czyż życie nie jest pasmem rozczarowań?

Jęzor Moyi! Persefona w myślach używała już tej frazy jako przekleństwa. Ich trójka spędziła razem prawie całą zimę, planując i organizując. Z początku Persefona była pewna, że Moya stanie się przyczyną śmierci ich obu. Uwielbiała tę dziewczynę, ale Moya miała talent do zmieniania trudnych sytuacji w niemożliwe. Potem, kiedy spadły pierwsze śniegi, do Persefony dotarło, że Nyphron sam się prosi o ataki. Wyglądało na to, że bawią go jej zaczepki. W połowie zimy tych dwoje już regularnie witało się wzgardliwymi obelgami. Moya specjalnie uprosiła Tekchina, żeby nauczył ją fhrejskich wulgaryzmów.

– Ilu więźniów jeszcze trzymacie? – zapytała znów Persefona.

Nyphron jeszcze przez moment wpatrywał się w Moyę, po czym przeniósł spojrzenie na nią.

– Nieco ponad stu.

– Myślałam, że Instarya nigdy nie wykazują niesubordynacji wobec wyżej postawionych. – Moya nie przepuściła okazji, żeby wbić Fhrejowi kolejną szpilkę.

Moya! – pomyślała Persefona.

Na szczęście tym razem Nyphron zignorował zaczepkę.

– Petragar i Vertumus są jedynymi Fhrejami w całym lochu.

– Więzicie tam ludzi? – spytała Persefona.

– Nie – odparł takim tonem, jakby uznał pytanie za idiotyczne.

– Karły?

– Czemu mielibyśmy więzić karły?

– Nie wiem, ale kto inny miałby tam tkwić?

– Wykorzystujemy duryngon głównie do przetrzymywania różnych stworów. Patrole czasem łapią gobliny, welosy albo bankory. Raz trafił się nam nawet aripysk. Przez kilka lat trzymaliśmy też białego niedźwiedzia, którego nazwaliśmy Alpoła na cześć legendarnego grenmoriańskiego śniegowego olbrzyma.

Persefona nie знаła większości słów, jakie padły, ale wyobraziła sobie menażerię pełną mitycznych istot: przerażającą kolekcję koszmarów pod jej stopami.

– Co z nimi robicie?

– Głównie badamy. Poznajemy ich słabe i mocne strony, ich nastawienie, motywację oraz języki, którymi się posługują, jeśli posiadły sztukę mowy.

– Czy już skończyliśmy na dzisiaj? – spytała Moya. Codziennie w południe udzielała stu przyszłym łucznikom lekcji strzelania.

– Na to wygląda. – Persefona dostrzegła, że gwardzista pilnujący wejścia dla petentów kiwa głową i zabiera się do zamykania drzwi.

– W takim razie idę lżyć i upokarzać kwiat męskości z tego miesiąca.

– Jak im idzie? – zapytał Nyphron. Wstał i wszyscy troje ruszyli w stronę wyjścia dla sędziów.

– Bardzo dobrze, ale nie mów im tego. Są częścią grupy, którą uczyłam jesienią, i z przyjemnością stwierdzam, że od tamtej pory ćwiczyli wytrwale.

– Czy któryś się wyróżnia? – Nyphron przytrzymał obu kobietom drzwi, przepuszczając je przodem.

Moya skinęła głową.

– Dzieciak imieniem Tesh jest najlepszy. Uwielbia ze mną rywalizować.

Nyphron pokiwał głową.

– Sebek ma z tym chłopakiem ten sam problem.

– Tesh to urodzony łucznik, bardzo sprawny fizycznie i zmotywowany. Widziałam, jak ćwiczył podczas takich mrozów, przy których skały jęczą. Uszył sobie rękawiczki z odsłoniętymi czubkami palców na prawej dłoni, żeby lepiej czuć cięciwę. I jako jedyny oprócz mnie potrafi trzymać pięć strzał w tej ręce, którą je nakłada. Reszta moich uczniów trzyma strzały w tej samej dłoni co łuk, a to ich spowalnia. Tesh nie strzela wystarczająco celnie i nie ustawia odpowiednio prawej ręki w czasie strzału, ale potrafi wypuścić trzy strzały szybciej, niż jesteś w stanie wypowiedzieć swoje imię.

– Domaga się zbroi. – Nyphron zamknął za nimi drzwi. – Chce się przyzwyczaić do ciężaru pancerza i nauczyć w nim poruszać. Płatnerze mu powtarzają, że przecież wciąż rośnie, ale on i tak ponawia prośby.

– Wiesz, to Dureyanin – zauważyła Moya, gdy weszli do głównej sali Kypu, gdzie dominującymi elementami wystroju były ogromne wrota oraz zwieszające się ze sklepienia wielkie świeczniki. Nie wpadał tam ani jeden promyk słońca. Kyp był fortecą wewnątrz fortecy, jedyne okna tej budowli znajdowały się na wysokości czwartego piętra i były bardzo wąskie. – To wyjaśnia, czemu Raithe uczynił go swoją Tarczą. No cóż, Raithe wykazał się też niesamowitą zdolnością przewidywania. Pewnego dnia ten dzieciak stanie się zabójczym przeciwnikiem.

* * *

Persefona z żelazną konsekwencją raz dziennie wspinała się na wierzchołek Spyroku. Chciała widzieć świat, a stamtąd rozciągał się najlepszy widok. Uwielbiała też możliwość oderwania się na chwilę od obowiązków keeniga. Tu mogła być równie wolna jak jeden z ptaków kołujących wokół wieży: wprawdzie tylko przez godzinę, ale jednak.

Od niedawna Nyphron upierał się, żeby jej towarzyszyć. Początkowo uznała to za irytujące. Zależało jej na tym, żeby chociaż przez ten krótki czas nie mieć towarzystwa. Wspinała się po tysiącu schodów (policzyła je wszystkie przy pięciu różnych okazjach), żeby wyciszyć się w samotności. Nyphron był intruzem. Jednakże jak na nieproszonego gościa okazał się zaskakująco... Uroczy? Może nie było to najodpowiedniejsze słowo, ale Persefona nie potrafiła znaleźć bardziej adekwatnego określenia. Jak inaczej mogła opisać to, jak cierpliwie wspinał się razem z nią, choć poruszała się w zawstydzająco wolnym tempie, i udawał, że też potrzebuje odpoczynków?

Wyszli na balkon na szczycie wieży i popatrzyli na wschód. Przed nimi rozpościerał się cały świat, zalany złotą poświatą, bo za ich plecami zachodziło słońce. Wiał wiatr. Na tej wysokości zawsze wiało. Persefona zacisnęła dłonie na lodowatej kamiennej barierce i wychyliła się, pozwalając, by zimne powiewy chłodziły jej ciało. Po długiej wspinaczce było to przyjemne uczucie. Świat wydawał się taki piękny; z trudem dopuszczała do świadomości, że z tego splendoru maszerowała ku nim śmierć.

– Myślisz, że wkrótce się zacznie? – zapytała Persefona.

– Tak – odrzekł Nyphron. – Podobnie jak my, fane wykorzystał zimę na budowanie nowej armii. Podejrzewam, że już wyruszyli.

– Zatem jak długo to potrwa?

– Mamy czas. Armie, nawet doświadczone, słyną z tego, że przemieszczają się powoli. Wojsko fane'a potrzebuje zaopatrzenia, a gdy już stoczymy bitwę inicjującą naszą kampanię, w pierwszej kolejności spróbujemy im to zaopatrzenie odciąć. Pozbawienie wroga aprowizacji daje podobny efekt jak zatrucie wioskowej studni: wszyscy wynoszą się precz.

– Walczyłeś w wielu bitwach?

Potaknął z uśmiechem sugerującym, że nie chce się przechwalać ich prawdziwą liczbą. Obszedł cały balkon, rozpościerając ręce.

– Tutejsze góry, lasy, rzeki i jaskinie były moim placem zabaw. Dorastając, spenetrowałem tu każde urwisko, każdą przełęcz i każdy cień. A moi towarzysze stali się legendarni. – Popatrzył na purpurowo-złote zarysy najbardziej odległych szczytów i westchnął.

Persefonie wydało się, że dostrzegła w jego oczach smutek, i uzmysłowiła sobie, że Nyphron zapewne wspomina poległych towarzyszy.

– Czy przez lata straciłeś wielu Galantian?

Wydawał się zaskoczony. Pokręcił głową.

– Tylko dwóch.

– Medak i Stryker byli pierwszymi, którzy zginęli? – Zrobiło jej się głupio, że nie pomyślała o tym, by złożyć mu kondolencje z powodu...

– Stryker nie był Galantianinem – odparł i zaśmiał się. – Stryker był goblinem. Jednym z wielu rezydentów duryngonu. Wyciągnąłem go z tej dziury, przypuszczając, że może się przydać.

– A Grygor? Czy on jest Galantianinem?

Nyphron wzruszył ramionami.

– Tak jakby. Wyhaczyliśmy go kilka stuleci temu w Hentlynie podczas waśni klanowej, która...

– Jest aż tak stary?

– Grenmorianie starzeją się jak drzewa. I zachowują się podobnie. Niektórzy zapadają w sen na całe lata, zwłaszcza ci więksi. Furgenrok, władca dominującego klanu Rok, raz ponoć zasnął na tak długo, że nawarstwiła się na nim ziemia, wyrosła trawa i owce pasły się na jego twarzy. Legenda głosi, że pewne jagniątko szarpnęło go za rzesę i wzniesienie znane jako wzgórze Furg, przy czym nikt już nie pamiętał, skąd się wzięła ta nazwa, wstało, by okazać się Furgenrokiem we własnej osobie.

Persefona uśmiechnęła się, wyobrażając sobie, jak góra wstaje, żeby się otrzepać.

– Mój ojciec był przywódcą szczepu Instarya, a więc również panem Alon Rhist i głównodowodzącym wojsk pogranicznych. Oznaczało to, że przysługiwały mi pewne przywileje, choć nie było ich zbyt wiele, bo ojciec generalnie mnie nie faworyzował. Jednakże mogłem osobiście wybrać sobie towarzyszy. Wybrałem ledwie kilku, ale tylko tylu potrzebowałem, bo byli najlepsi. – Wsparł się o barierkę i popatrzył w dal. – Ileż mieliśmy przygód! – Westchnął. – Ale nie mam już pięciuset lat. Kiedyś trzeba dorosnąć, jak sądzę.

Odwrócił się do Persefony, popatrzył jej prosto w oczy i spytał:

– Czy miałaś czas rozważyć propozycję, o której wspomniałem krótko po naszym przybyciu do miasta? Nie chciałbym wywierać nacisku, przyznaję też, że bardzo niewiele wiem na temat rhuńskich obyczajów, gdy chodzi o zawieranie małżeństw. Dlatego przepraszam, jeśli odniosłaś wrażenie, że cię ponaglam.

Znów udało mu się zaskoczyć Persefonę.

– Powrót do tematu po ponad pół roku trudno nazwać ponaglaniami.

– To dobrze – odrzekł Nyphron i zamilkł wyczekująco.

Persefona się speszyła.

– Prawdę mówiąc, nie rozmyślałam zbyt intensywnie o tej propozycji. Prawie codziennie spędzaliśmy czas razem, a ty nigdy... To znaczy... Chyba założyłam, że nie mówiłeś poważnie, lub może zmieniłeś zdanie.

– Bynajmniej. Chciałem jedynie dać ci wystarczająco dużo czasu na przemyślenie propozycji.

Miałam rację, pomyślała. Słowo „uroczy” naprawdę nie jest adekwatnym określeniem.

Tej zimy Persefona bardzo intensywnie rozważała propozycję Nyphrona, do tego stopnia, że konsekwentnie odmawiała spotkania się prywatnie z Raithe'em, choć Dureyanin dziesiątki razy próbował się z nią zobaczyć. W czasie posiedzeń rady, na których obecni byli wszyscy wodzowie, Persefona starannie unikała wchodzenia w interakcje z Raithe'em. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby znaleźć się z nim sam na sam choćby przez sekundę.

W ciągu kilku zimnych miesięcy doszła do wniosku, że Nyphron miał rację. Powiedzieć, że ich mariaż byłby korzystny, to mało. Był niezbędny. Persefona uświadomiła sobie też, że mimo wszystko kocha Raithe'a. Przypuszczałnie od dnia, gdy spotkała go po raz pierwszy. Wówczas romans nie wchodził oczywiście w grę. Zbyt mało czasu upłynęło od śmierci Reglana, a poza tym stanęli w obliczu tylu problemów. Szukałam wymówek, pomyślała teraz. Był za młody, nie wierzył we mnie, nie wierzył w walkę; jego marzenia były dziecinne i samolubne. Ale chociaż Raithe wiedział, że nie ma szans na wygraną, i tak był gotów dla niej walczyć z wojownikiem ludu Gula. I nadal przebywał w Alon Rhist, nadal szkolił mężczyzn w walce. Nie widział jej od miesiący, a mimo to nie odszedł. Kończą mi się wymówki, pomyślała. Rozpaczliwie za nim tęskniła, znacznie bardziej, niż się spodziewała. To dziwne, jak rzadko myślałam o Raithe'u, kiedy tu był – przemknęło jej przez głowę – i jak ważny się stał tylko przez swoją nieobecność. Wcześniej zawsze traktowała rozmyślanie o miłości jak luksus, frywolną przyjemność, teraz jednak musiała się zastanowić. Musiała zdecydować, a konieczność podjęcia decyzji skłoniła ją do porównań. Nyphron przedstawił jej argumenty, które wprawdzie wyglądały rozsądnie, ale wydawały się zimne i puste. Nieobecny Raithe nie mógł niczego powiedzieć na swoją obronę, ale nie mógł też zepsuć coraz silniejszej czułości, z jaką Persefona o nim myślała, rozkwitającej na żyznej glebie starannie wybranych wspomnień, które stawały się tylko coraz piękniejsze w świetle wyrachowanych planów Nyphrona. Wszystkie jej duchowe debaty, wszystkie powody, żeby wybrać Fhreja, wydawały się głupie w obliczu potężnej tęsknoty, która, zamiast słabnąć, jak liczyła Persefona, tylko narastała.

Z początku Persefona była niewiarygodnie zapracowana. Teraz nie ważyła się pozwolić sobie na spotkanie z Raithe'em, a już zwłaszcza w cztery oczy. Ta zima uczyniła ją słabszą. Persefona nie chciała, by do tej decyzji popchnęły ją samolubne pobudki. Takiego wyboru mogłaby dokonać młoda dziewczyna. Ona była dorosłą kobietą i keenigiem. Osobiste szczęście nie mogło stawać na przeszkodzie jej planom.

Popatrzyła na Nyphrona, marszcząc z zafrasowaniem brwi.

– Czy... Czy ty mnie w ogóle lubisz?

Zaskoczony Nyphron cofnął głowę.

– Ja... Czy to ważne?

– Tak myślę, owszem. Nie twierdzę, że musisz być we mnie zakochany. Widziałam, jak wyglądają Fhrejki, i domyślam się, że postrzegasz mnie co najmniej jako brzydką, jeśli nie wręcz groteskową. Ale zdecydowanie uważam, że jeśli małżeństwo ma być trwałe, niezbędna jest przynajmniej jakaś doza wzajemnej sympatii.

Nyphron kiwnął w zamyśleniu głową.

– Sądzę, że mogę uczciwie powiedzieć, że tej zimy przebywanie w twoim towarzystwie sprawiało mi przyjemność.

– Och, no cóż, to... to wspaniale. Mam nadzieję, że to wyznanie nie wymagało od ciebie nadmiernego wysiłku.

Persefona odwróciła się i podeszła do barierki po południowej stronie balkonu. Oparła się ponownie i zapatrzyła niewidzącym wzrokiem na doliny rzek Bern oraz Urum. Zdecydowanie wolałaby stać tutaj sama.

– Sprawiasz wrażenie wytrąconej z równowagi.

– Ja? Nie. Ani trochę.

Nie zamierzała na niego patrzeć. Jego zaskoczony, pełen niezrozumienia wzrok doprowadzał ją do furii.

Dlaczego jestem taka wściekła? – pomyślała.

Nyphron rozmawiał z nią absolutnie szczerze i uczciwie. Zaoferował bardzo rozsądny układ, który przyniesie korzyści prawie wszystkim zainteresowanym. Zgodnie z wiedzą Persefony jeszcze nigdy nie doszło do zawarcia mieszanego, fhrejsko-ludzkiego małżeństwa. Coś takiego znacząco przyczyniłoby się do wyeliminowania błędnych przekonań i pomogłoby sprawić, by te dwie rasy zaczęły się wzajemnie szanować. To była prawdziwa bitwa, prawdziwa wojna, którą należało wygrać.

Zatem czemu ta myśl bolała?

Persefona przypomniła sobie, jak po raz pierwszy wspięła się na wierzchołek Spyroku w towarzystwie Nyphrona. Przypomniła sobie, jak śmiali się razem, kiedy – po tym, jak już udało im się pokonać tysiąc schodów – nie mogli otworzyć drzwi na balkon, bo blokował je nagromadzony po zimie śnieg. Po prostu usiedli tam i siedzieli na najwyższym schodku, przeklinając bogów. Przypomniła sobie, jak Nyphron pożyczył jej swój płaszcz, otulając ją starannie, i jak ją podtrzymał, gdy pośliznęła się na lodzie, i prowadził ją za rękę, gdy przechodzili przez most, zmierzając na posiedzenie rady, na którym Persefona miała wygłosić przemówienie z okazji przesilenia zimowego. Jego

dłoń była wówczas ciepła, jej dotyk był przyjemny; Persefona miała wręcz wrażenie, że...

Myślała... Myślała, że może on...

– Czy potrzebujesz jeszcze więcej czasu do namysłu? – spytał.

– Tak – odrzekła. A potem, przygryzając wargę, wzięła wdech, który nie pomógł jej poczuć się lepiej.

Wiosna miała rzekomo być porą nowych początków czy odnowy. Miłości, radości, odradzającej się przyrody. Ale Persefonie jawiła się teraz jako czas oczekiwania na nadchodzącą śmierć.

Rozdział jedenasty

Potwory w ciemności

Był przystojny, dzielny, silny i miał szesnaście lat. Żadne z nas nie wiedziało, co robimy. Nie robiło nam to różnicy.

Księga Brin

Tesh otarł pot z czoła. Sebek znów go pokonał, ale ledwo. Mało brakowało, a Tesh straciłby przy okazji dłoń. Im lepiej walczył, tym paskudniejszy stawał się jego nauczyciel.

– Nadal zbyt uważnie obserwujesz moje ostrza, Techylorze – powiedział mu Sebek. Nie pocił się, nawet się nie zdyszał. – Moje oczy mówią wszystko, co trzeba.

– Twoje oczy kłamią.

Sebek uśmiechnął się szeroko.

– Zauważyłeś, co?

– Omal nie straciłem przez to dłoni.

Usta Sebeka rozciągnęły się w drwiącym uśmiechu, podczas gdy jego oczy po prostu się śmiały.

– To fakt.

Mimo sukcesów Tesha pozostali adepci sztuk walki unikali Sebeka, który przypuszczalnie tego właśnie chciał. Gdy nie miał kogo uczyć, spędzał całe dni, pijąc w słońcu i wykrzykując przekleństwa pod adresem ćwiczących walkę na miecze, którzy jego zdaniem fatalnie sobie radzili. Z początku lżył ich po rhuńsku, ale kiedy sobie podpił, przechodził na fhrejski. Pod koniec dnia rzucał w nich różnymi przedmiotami.

Sebek bez dwóch zdań był też najlepszym wojownikiem wśród żyjących. Tesh, który trenował już ze wszystkimi Galantianami, nie żywił żadnych

wątpliwości w tej kwestii. Eres nie miał sobie równych w posługiwaniu się włócznią. Tekchin był niepokonany w walce na długie, cienkie klingi. Każdy z wojowników w czymś się specjalizował, ale wszyscy wiedzieli, że gdyby cały świat rzucił się do walki, to Sebek jako jedyny pozostałby na placu boju. Był czymś więcej niż tylko parą krótkich ostrzy, czymś więcej niż twarde mięśnie i perfekcyjna technika. Sebek był urodzonym zabójcą. Lubił widok krwi. Nawet pozostali Galantianie nie próbowali rzucać mu wyzwania.

Tesh robił to regularnie.

Niestrudzenie prześladował Sebeka, domagając się lekcji. Fhrej początkowo naśmiewał się z dzieciaka, któremu zamarzyło się zginąć. Kiedy Tesh nie chciał odpuścić, Sebek udzielił mu lekcji. Tesh stracił trochę krwi, ale przyswoił sobie udzielone nauki. Sebek nie wierzył własnym oczom, kiedy dzieciak wrócił, domagając się powtórki z rozrywki. Po kilku dodatkowych krótkich lekcjach mających upokorzyć Tesha Sebek poczuł się zaintrygowany tym – z jego perspektywy – ogarniętym manią samobójczą dzieciuchem, który uczył się na błędach. Kiedy Tesh po raz pierwszy odbił ostrze gołą ręką, Sebek przestał go nazywać „głupim”. Przestał nawet zwracać się do niego per „dzieciaku”. Tesh nosił teraz nowe imię: Techylor – szybko ręki. Był praktycznie pewien, że Sebek nie zna jego prawdziwego imienia, i mógłby przysiąc, że Fhreja ono nie obchodzi. Tesha też nie obchodziło. Żywił jedno jedyne pragnienie: przyswoić sobie wszystko, czego Sebek mógł go nauczyć. Tesh marzył wyłącznie o tym, żeby być najlepszym.

– On cię tylko próbuje przestraszyć, Techylorze – powiedział Eres.

Leżał na wznak na porośniętym trawą dziedzińcu, zaplótłszy ręce za głowę, wystawiając nagą pierś na słońce. Wszyscy tam byli – wszyscy prócz Nyphrona. Nie tylko adepti miecza z zainteresowaniem obserwowali pojedyński Sebek z Teshem, Galantianie też. Sebek lubił znajdować się w centrum uwagi, więc zazwyczaj uprzedzał wcześniej, że planuje znowu „uczyć Techylora”, a wtedy reszta Galantian zjawiała się w te pędy.

– Ma się czego bać. – Sebek schował dwa ostrza z powrotem do pochew.

– Miejże dla niego litość – powiedział Grygor. Siedział przy ścianie koszar, usiłując zacerować rozdarty rękaw koszuli. – Ten dzieciak spędza tu całe dni i większość nocy.

– Gdybyśmy mieli setkę takich zuchów jak on, moglibyśmy dokonać inwazji na Erivan i mieć wszystko z głowy – odezwał się Sikar.

– Nie jest aż tak dobry – odparł Sebek.

– To najlepszy rhuński wojownik, jakiego kiedykolwiek widziałem – stwierdził Sikar.

Sebek posłał Sikarowi pogardliwe spojrzenie.

– Nie interesuje mnie najlepszy Rhun. Jaki z nich pożytek?

Sikar wstał i otrzepał nogi ze źdźbeł trawy.

– Tak tylko mówię. On jest praktycznie niemowlęciem, trenuje z nami od niecałego roku, a już stał się niebezpieczny. Wyobraź sobie, co by było, gdyby przebywał w Nadaku czy Dureyi, kiedy zostały spalone. – Zrobił pauzę i spojrzał na Tesha. – Ej, czekaj, ty jesteś Dureyaninem, nieprawdaż? Zdawało mi się, że ktoś tak powiedział. Gdzie byłeś, kiedy was zaatakowano? Na polowaniu?

Tesh nie odpowiedział. Zauważył, że na trawie po drugiej stronie dziedzińca siedzi Brin. Wskazał ją z uśmiechem.

– Przepraszam, nie mogę teraz rozmawiać. Mam ważniejsze sprawy. – Po tych słowach wyszczerzył łobuzersko zęby i oddalił się truchtem.

Brin siedziała oparta o słup przed kuźnią, a na kolanach miała tę samą sakwę co poprzednio. Tesh zgarnął z trawy swoją koszulę i ruszył przez dziedziniec. Spodziewał się, że Sebek rzuci coś złośliwego o przywarach kobiet, jakiś obraźliwy przytyk. Ale Sebek nic nie powiedział. Do uszu Tesha dotarły jedynie wesołe zaczepki chłopaków i mężczyzn z jego drużyny. Nie zadał sobie trudu reagowania na nie.

* * *

Tesh uważał, że Brin jest najładniejszą dziewczyną w Alon Rhist. Można by argumentować, że nie jest to wielki komplement, bo w odległości jednego dnia marszu mieszkało niewiele ponad pięćdziesiąt rhuńskich kobiet, w większości albo starych, albo zameźnych. Jednakże na niektórych można było zawiesić oko, na przykład na instruktorce łucznictwa, choć na nią akurat Tesh bał się spoglądać. Przerażała go jeszcze bardziej niż Sebek.

Oprócz Brin jedyną dziewczyną w jego wieku była Nixie, która mieszkała ze swoją matką w pobliżu zagród dla kóz. Była w porządku. Tesh raz próbował do niej zagadać, ale jej matka szybko go zbyła, a później słyszał, jak strofowała córkę. „Nie powinnaś rozmawiać z tym *dureyańskim* chłopakiem”. Ton, jakim wypowiedziała to słowo, sprawiał, że „dureyański” brzmiało jak choroba. Brin była ładniejsza niż Nixie, miłsza i nie miała matki. Nie miała też ojca. Ponieważ Tesh znajdował się w tej samej sytuacji, wyobrażał sobie, że w jakiś sposób ich to łączy – lub może był to znak od bogów, ogromna nieśmiertelna ręka wskazująca tę dziewczynę i szepcząca „wybierz ją”. Tesh zwrócił uwagę na Brin, kiedy jeszcze mieszkał razem z Malcolmem i Raithe'em pod daszkami z wełnianego sukna w Tirre. Tam było więcej dziewcząt, i to ładnych, ale kobiety z Tirre były jak z innej rasy: nosiły sandały oraz sukienki z barwionego lnu.

Brin nie była Dureyanką – była delikatniejsza – ale nie przypominała też damulek z Tirre. Miała długie brązowe włosy i buzię tak słodką jak małe polne zwierzątko o poranku, o wysokich kościach policzkowych i roześmianych oczach. Odkąd się ociepliło, Tesh regularnie widywał ją na dziedzińcu, gdzie odbywały się treningi. Zawsze miała ze sobą torbę. Nawet starsi mężczyźni wypatrywali Brin, a kiedy siedziała na trawie, uczestnicy treningu szturchali się nawzajem i wskazywali palcami najpierw ją, a potem jego. Ten ostrzegawczy gest szerzył się w grupie, aż w końcu wszyscy adepci odsuwali się od Tesha, żeby przypadkiem nie znaleźć się z nim w parze. W obecności Brin miał skłonność do popisywania się swoim kunsztem.

Mało co mogło onieśmielić Tesha, ale udawanie tamtego dnia, że szuka Roan, było czymś najbardziej przerażającym, co zrobił od przybycia do Alon Rhist. Nie poszło mu tak dobrze, jak liczył. Cała ta gadanina o raowach, śladach stóp i nocnych rozmowach nie nadała ich spotkaniu odpowiedniego tonu. Z początku podejrzewał, że Brin go nabiera, ale kiedy wypatrzył za rogiem odcisk pazurzastej stopy, musiał potraktować jej opowieść poważnie. Od tamtej pory miał w zwyczaju spacerować wieczorami wokół domu, w którym mieszkała Brin. Okręzał budynek, a potem siedział ukryty w mroku przy studni, upewniając się, że żaden złowrogi stwór nie grasuje w pobliżu. Stwór nigdy się nie zjawiał, a kiedy Tesh zanadto zmarzł, wracał do koszar. Nie był pewien, czego wypatruje. Nie wiedział, jak wygląda raow, ale jeśli cokolwiek spróbowałoby skrzywdzić Brin, zobaczyłby, na co przydało się jego szkolenie.

Od czasu ich pierwszego spotkania rozmawiał z dziewczyną po każdym treningu. Podczas czterech ostatnich rozmów pozwalała, żeby trzymał ją za rękę. Tym razem liczył, że ją pocałuje. Sama ta myśl przyprawiała go o kołatanie serca. Brin jak zwykle kreśliła czarne znaczki przyciętym gęsim piórem na niewiarygodnie cienkich arkuszach zwierzęcej skóry. Zazwyczaj przerywała to zajęcie na długo przed tym, zanim Tesh do niej dotarł, ale tym razem miała zmarszczone brwi i częściowo wysunięty język. Jeśli wierzyć Moyi i kilku innym osobom, Tesh robił to samo, kiedy przymierzał się do strzału z łuku. Kolejna wspólna cecha. To musiało być fatum... Prawda?

– Cześć po raz drugi – powiedział Tesh, kiedy Brin nie podniosła wzroku.

Wyszkolono go w sztuce wojennej, ale nie w elokwencji. Nauczył się kląć w trzech językach, ale podejrzewał, że nazwanie Brin dziwką po grenmoriańsku lub fhrejsku nie będzie najlepszym pomysłem.

Podniosła wzrok i gwałtownie schowała język. Potem rozdziawiła usta, ale nic nie powiedziała, tylko gapiła się na Tesha.

Na pewno ma mnie dość, pomyślał. Nie życzy sobie, żebym jej przeszkadzał. Pewnie chciałaby, żebym odszedł. „Nie powinnaś rozmawiać z tym dureyańskim

chłopakiem!”.

Wszystkie mięśnie w jego ciele się napięły i zaczął się pocić. Musiał coś powiedzieć. Po raz pierwszy w ciągu sześciu spotkań zapytał:

– Jak się masz?

Brin wpatrywała się w niego jeszcze przez kilka sekund, a potem spuściła wzrok i zagapiła się na własne kolana, jakby zapomniała o leżącej na nich księdze.

– Och... Ja, ee... Pisałam.

– Pisałaś?

– Tak. Jestem Strażniczką Praw dla klanów z Rhulynu i...

– Strażniczką Praw? – powtórzył z niedowierzaniem Tesh, nienawidząc siebie za to, że nie wiedział.

Był zaszokowany, bo zawsze sądził, że tę funkcję pełnią starzy ludzie, tacy jak ta wiedźma Padera. Tak było w Dureyi. Nie potrafił sobie wyobrazić, że tak młoda dziewczyna jak Brin mogłaby być Strażniczką. Cóż, powinien się domyślić, że Brin nie jest po prostu pierwszą lepszą panną. Była sierotą, a mimo to znalazła się w Alon Rhist. Wszystkie pozostałe kobiety, które tu mieszkały, były żonami lub córkami żołnierzy i im usługiwały. Reszta została w domu, w swoich wioskach, żeby zajmować się zwierzętami i dziećmi. Skoro Brin przebywała w Rhiście, musiała być kimś wyjątkowym.

– Myślałam, że wiesz.

Tesh pokręcił głową.

– Mało wiem, ale przypuszczam, że skoro jesteś Strażniczką, to wiesz wszystko.

– Wydaje mi się, że mylisz Strażników z bogami. Znam tylko historię klanów.

– Mimo wszystko to chyba nie jest łatwe, prawda? – Próbował powiedzieć jej komplement, trochę tak, jakby mimochodem sparował cios na odlew gołą ręką w pierwszym starciu. Miał nadzieję, że teraz pójdzie mu lepiej.

– Musiałam wyuczyć się na pamięć wszystkich starych opowieści słowo w słowo od Maeve, naszej poprzedniej Strażniczki.

– Ile czasu ci to zajęło?

– Lata. Zaczęłam jej słuchać, kiedy byłam mała. Mając pięć lat, po raz pierwszy wyrecytowałam „Pieśń o estuarium”. To wtedy Maeve zaczęła mnie szkolić tak na serio, ale kilku rzeczy nie zdążyłam nauczyć się w pełni. Właśnie dlatego zajęłam się tym. – Położyła dłoń na stosiku zapisanych arkuszy. – Próbuję stworzyć trwałą zapis tych wszystkich opowieści, żeby każdy mógł je poznać.

Tesh przykląkł i nachylił się, żeby obejrzeć z bliska pofalowane znaczki nakreślone przez Brin.

– Czy to magia?

Wiedział, że keenig ma na swoich usługach osoby władające czarami i że są to same kobiety.

– Nie. Te znaczki po prostu reprezentują dźwięki, te same, które wypowiadamy, rozmawiając. Jeśli wiesz, który znak oznacza określony dźwięk, możesz je przeczytać.

– Aha – odrzekł Tesh, chociaż nie zrozumiał ani słowa. Nie musiał rozumieć i nie obchodziło go to. Jedyne, czego pragnął, to żeby Brin go nie odganiała. Każde słowo, jakie wypowiadał, było niczym rzut kośćmi, ale i szansa. – A co takiego piszesz?

– Najpierw chciałam, żeby się nazywało „Księga Zapisków Brin”, ale to za długa nazwa. Moya skróciła ją do „Księgi Brin” i myślę, że tak jest chyba w porządku. Ma mniej sensu, ale znacznie łatwiej ją wymówić. To będzie historia całego świata. Od jego zarania aż do teraz.

– Ponieważ jesteś z Rhenu, pewnie powiesz, że to Mari wszystko stworzyła.

– Prawdę mówiąc, nie. Uczynił to Erebus.

Tesh nie był ekspertem od spraw bogów. W Dureyi czczono Mynogany, trzy bóstwa wojny. Wiedział, że klan Nadak czci Bakrakara, jeleniego boga polowań, a ludzie z Rhenu modlą się do Mari. Każdy z klanów miał własnego boga, ale Tesh nigdy nie słyszał o Erebusie.

– Erebus to ojciec wszystkich bogów. I miał czworo dzieci. Ferrola, Drome’a, Mari i Muriel.

– Wiedziałem, że Mari będzie wśród nich – skomentował z uśmiechem Tesh.

Tak naprawdę nie interesowali go bogowie i chętnie zmieniłby temat rozmowy, na przykład pytając, czy Brin nie miałaby ochoty pójść z nim na spacer. Rozmawianie z nią na otwartej przestrzeni, na oczach wszystkich, okropnie go peszyło. Upokorzenia mniej boją, gdy dochodzi do nich podczas spotkań w cztery oczy.

– Dhergowie chętnie mówią o sobie „Belgriklungrejanie”, ale pierwotnie zwano ich „Dromejanami”.

Tesh skinął z uśmiechem głową.

– Zastanawiałem się właśnie, czy...

– Widzisz to? Rozumiesz?

Tesh nie słuchał uważnie jej słów i poczuł się przyłapany. Uśmiechnął się przepaszająco, licząc, że Brin może uznać jego minę za uroczą. Wiedząc, że modli się o zbyt wiele, pokręcił głową.

– Imię „Ferrol” brzmi podobnie do „Fhrej”, a Drome podobnie do „Dromejanin”. Nawet wyraz „Dherg” jest kolejną wariacją na temat tego samego słowa. Mimo że „Dherg” pochodzi od fhrejskiego określenia, które znaczy „plugawy kret”, myślę, że mimo wszystko ma coś wspólnego ze słowem „Dromejanin”. Że jakimś sposobem oba pochodzą od tego samego rdzenia. To by oznaczało, że język fhrejski, belgriklungrejański i nasz mają wspólne pochodzenie. Nie mam pojęcia, jak to możliwe. I jest jeszcze Mari... – Brin popatrzyła wyczekująco na Tesh'a i gestem dała do zrozumienia, że przekazuje mu pałeczkę.

Tesh nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Nie powinienem był jej o nic pytać, pomyślał. Teraz na pewno sądzi, że jestem...

Brin uśmiechnęła się do niego.

Nic się nie stało, pojął z ulgą. To jak początek dowcipu. Brin nie oczekuje, że będę znał odpowiedź.

Dziewczyna była podekscytowana. Naprawdę podekscytowana. Widział to w jej szeroko otwartych, błyszczących oczach. Opowiadała mu o czymś, co uważała za ważne, i Tesh chętnie zareagowałby takim samym entuzjazmem, ale zależało mu tylko na pocałunku.

– W porządku, może to nie jest takie oczywiste – podjęła Brin, kiedy nic nie powiedział. – Nawet Roan nie skojarzyła faktów, ale sam pomysł. Podobieństwo tych słów to nie przypadek. Ferrol jest bogiem Fhrejów, Drome bogiem Dromejan, a Mari boginią ludzi. Tak napisano na tych tabliczkach, które znalazłam w Neithu. „Zrodzeni z Ferrola, zrodzeni z Drome'a i zrodzeni z Mari powędrowali w świat”. Rozumiesz? To my jesteśmy zrodzonymi z Mari, dziećmi Mari, córki Erebusa. Tylko... – Brin uciekła wzrokiem, nagle zafrapowana.

– Tylko co?

– Nic z tego nie ma sensu. To znaczy, dobra, Erebus miał czworo dzieci, ale z kim? Z Elan? Nazywamy ją Wielką Matką Wszechrzeczy, ale co to znaczy? I kim był mąż Mari? A żona Ferrola i żona Drome'a?... Nie wiem nawet, co to znaczy „Drome”. A co z Muriel? Czy miała dzieci? Może to ona stworzyła rośliny i zwierzęta. Nie wiem, ale ktoś musiał to zrobić, prawda? I skąd w ogóle wziął się Erebus? Czy miał rodziców? Przecież chyba musiał? Skąd oni się wzięli? – Westchnęła. – Już myślałam, że mam to wszystko rozpracowane i w większości spisane: ojciec bogów, troje dzieci, które stworzyły ludzi, Fhrejów i Dhergów, ale nie. Oto co uzyskujesz, jeśli porozmawiasz o czymkolwiek z Roan. Zaczyna się dopytywać o wszystko, aż masz ochotę ją zdzielić pięścią w twarz.

Tesh tylko się gapił.

– Masz ochotę się przejść? – zapytała Brin.

– Co? – Zamrugął. – Och... Ach, jasne.

– Świetnie – odparła.

Schowała swoje zapiski do torby i zakorkowała kałamarz.

– Dokąd pójdziemy? – zapytał Tesh.

Chociaż miał wielką ochotę udać się w jakieś zaciszne miejsce, nie zastanawiał się nad tym, dokąd właściwie.

– Najchętniej poszłabym na spacer po lesie, ale tu nie ma lasów. Byłeś już w Verenthenonie?

– Niezbyt długo.

Brin posłała mu uśmiech.

– Oprowadzę cię.

Tesh uśmiechnął się od ucha do ucha.

– To mi się podoba. – Ujął jej dłoń i ruszyli.

* * *

Verenthenon był piękny i Brin miała nadzieję, że zrobi wrażenie na Teshu. Choć nie istniał zakaz wchodzenia do rotundy, odbywały się tam wyłącznie oficjalne spotkania, więc budynek przez większość czasu stał pusty. Brin często tam bywała, bo musiała być obecna podczas wszystkich zebrań, jakie odbywały się pod kopułą. Odkryła też, że dobrze się tam pisze w czasie złej pogody.

– Chodź, chcę ci coś pokazać.

Poprowadziła Tesha schodami w górę, na platformę, z której Persefona i Nyphron zwykli wygłaszać przemówienia. Blask słońca wpadał przez okienka w kopule, ale dzień chylił się już ku wieczorowi, więc podwyższenie nie było oświetlone. Brin zaprowadziła tam Tesha i szepnęła mu na ucho:

– Powiedz coś.

Serce jej łomotało od samej świadomości, że stoi tak blisko niego, niemal muskając go ustami.

– Coś – powiedział Tesh i wytrzeszczył oczy w zdumieniu, bo dźwięk jego głosu był niewiarygodnie donośny. – Jak to zrobiłaś?! – wykrzyknął.

Wypowiedziane głośniejszym głosem słowa odbiły się echem. Tesh odwrócił się, poszukując wzrokiem tego, kto go przedrzeźniał. Potem się uśmiechnął, gdy dotarła do niego prawda.

Brin też się uśmiechnęła.

Sprowadziła go z podwyższenia, okrążyli salę i weszli pomiędzy ławki amfiteatru.

– Tu siedzą wszyscy ważni ludzie, kiedy Nyphron i Persefona do nich przemawiają.

Ponownie ujęła dłoń Tesha i poprowadziła go przez ceramiczną posadzkę do tylnych drzwi.

– Odkryłam, że pod tym miejscem rozciąga się labirynt korytarzy i drzwi. Sprawdziłam prawie wszystkie. Większość stoi otworem, ale niektóre są zamknięte na cztery spusty. Za kilkoma z nich słyszałam dźwięki. Może trzymają tutaj jakieś zwierzęta: kozy albo świnie. Nie widziałam jeszcze żadnych, ale trochę mnie to ciekawi. Chodź, pokażę ci.

* * *

Musieli pochylić głowy, żeby przejść pod łukiem sklepienia. Zeszli po kamiennych schodach i znaleźli się w korytarzu, którego górna część została wymurowana z bloków piaskowca, dolną zaś wydrążono w skale. Prowadził w głąb wzgórza i Tesh poczuł się trochę nieswojo, jakby wchodził do jaskini. Trudno. Był sam na sam z Brin i tylko to się liczyło.

– Dostałeś tę zbroję, na której tak ci zależało? – zapytała Brin.

Zdjęła zamocowaną do ściany pochodnię i poprowadziła go schodami w dół.

– Nie.

– Nie udało ci się znaleźć Roan?

– Och, znalazłem ją. Po prostu... Mówią, że muszę poczekać. Nie jestem pewien czemu.

Doskonale wiedział czemu. Powiedzieli mu, że wyrósłby ze zbroi w ciągu ledwie kilku miesięcy. Jako jedyny był w stanie zmierzyć się z Sebekiem jak równy z równym. Odbyli dwanaście sparringów, a mimo to Tesh był za młody na zbroję. Nie zamierzał tego mówić Brin.

– Schodziłaś tu sama? Nie bałaś się?

Brin wzruszyła ramionami.

– Widziałam już gorsze miejsca. Byłam z Persefoną w Neithu i wierz mi, karły potrafią drążyć naprawdę głęboko. Te podziemia tutaj to jest nic.

– Ach, w porządku – odparł Tesh. – Walczyłyście z raowem, zgadza się? Przypuszczam, że w porównaniu z tamtym zejście tutaj jest jak spacer po rosie.

Brin zbliżyła pochodnię do zwisających zlepionych pajęczyn, żeby je podpalić.

– Można byłoby trochę się bać, ale nie z tobą. Nie z Techylorem, który dwanaście razy walczył z Sebekiem i tylko raz został draśnięty.

Tak, wszystko widziała! – pomyślał z radością.

– Skoro mowa o banii się, czy tamten raow odwiedzał was jeszcze?

– Nie, widziałam go tylko raz, tamtej nocy.

Brin przystanąła u wylotu wąskiego korytarza. Naprzeciwko, za otwartymi drzwiami znajdowało się nieduże pomieszczenie z zasłanym słomą klepiskiem zamiast posadzki. Brin patrzyła tam z taką miną, jakby nad czymś się zastanawiała.

Tesh domyślił się, o co może chodzić – a przynajmniej miał nadzieję, że tak jest. W całym mieście istniało niewiele miejsc, w których dwie osoby mogły przebywać sam na sam.

Minął ją i wszedł do pomieszczenia.

– Jest w porządku. Nie ma tu nic, czego należałoby się obawiać, zobacz.

Brin stała na korytarzu i wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, przygryzając dolną wargę.

Tesh dotknął dłonią muru.

– Kamienie są suche. – Pociągnął nosem. – Nie śmierdzi wilgocią ani pleśnią. Niezłe miejsce. Prawdę mówiąc, tu jest przytulniej niż w naszej chacie w Dureyi.

Brin umieściła pochodnię w uchwycie na zewnątrz i weszła do pomieszczenia, stawiając wyjątkowo drobne kroki.

Gdy do niego podeszła, Tesh odkrył, że brakuje mu powietrza – musiał teraz oddychać dwa razy szybciej. Położył dłonie na biodrach Brin, przyciągając ją do siebie. Spozstrzegł przy tym, że dziewczyna ma taki sam problem z oddychaniem. Jej klatka piersiowa falowała. Tesh nachylił się, przywierając do Brin. Dygotała, on też. Ich usta, których nie dzieliła już nawet szerokość palca, jednocześnie chwyciły powietrze.

Tesh objął dziewczynę, a ona przymknęła oczy. Gdy jego wargi dotknęły jej warg, odchyliła się w tył, unosząc głowę ku niemu.

Tesh jeszcze nigdy nie całował się z dziewczyną. Kiedy poczuł jej usta, przestał myśleć.

Prawie wszyscy instruktorzy walki podkreślali, jakie to ważne, żeby skupić się na bieżącej chwili, nie na przyszłości lub przeszłości. Wbrew pozorom nie było to łatwe. Tak duża część świadomości stale pozostawała skupiona na tym, co się wydarzyło, i antycypowaniu tego, co się wydarzy. Wypierać te myśli było równie trudno jak zapomnieć o własnym istnieniu. Tesh był pewien, że jeszcze nigdy nie udało mu się perfekcyjnie skupić na teraźniejszości – nie wiedział nawet, jakie to uczucie – aż do tego pocałunku. W jednej nieskazitelnej chwili zapomniał o całym świecie. Mógłby tak stać przytulony do Brin przez długie godziny lub dni, zagubiony w zapachu jej skóry, miękkości włosów. W głowie miał tylko jedną myśl: „Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to robię”.

Obojgu zmiękły nogi i osunęli się po ścianie na zasłane słomą klepisko. Jakaś częśćka świadomości Tesha zastanawiała się, jakim cudem nadal udaje mu się oddychać, ale była to myśl równie ulotna jak pajęczyny.

A potem wszystko się zmieniło.

Brin przestała go całować. Cała zeszywniała. Tesh poczuł, jak jej mięśnie się napinają, gdy go odepchnęła.

Co się stało? Co takiego zrobił? Czy pomyślała, że celowo zepchnął ją na podłogę? Czy uznała, że zamierzał...

– Ja nie... – Chciał ją przeproszać, ale urwał, gdy spostrzegł zgrozę malującą się na twarzy Brin. Nie chodziło o niego. Dziewczyna była przerażona, ale zachowywała się tak, jakby w ogóle go tam nie było.

Podeszła do drzwi, wyjęła pochodnię z uchwytu i opuściła ją, by oświetlić klepisko.

– Spójrz – powiedziała.

Gdy wcześniej zsunęli się na klepisko, swoim ciężarem rozgarnęli słomę. Drgający płomień oświetlił znajomy odcisk stopy o trzech szponiastych palcach.

Rozdział dwunasty

Świadek

Alon Rhist był czwartym fane'em, pierwszym ze szczepu Instarya i pierwszym władcą płci męskiej w Erivanie. Objął władzę w trakcie wojny z Dhergami po tym, jak fane Ghika ze szczepu Asendwayrów zginęła w pierwszej bitwie. Przez pięć mrocznych lat walczył z Dhergami, ponosząc klęskę za klęską. Gdy zginął, Rhist jako jedyny fane w historii został pochowany na zachód od rzeki Nidwalden. Forteca nosząca jego imię stała się też jego grobowcem.

Księga Brin

Stopy Suri wzbijały kurz przy każdym kroku. Tutejsza ziemia nie przypominała szarawożółtej gleby w Dureyi. Tamten pył łatwo się podnosił, a wolno osiadał. Zbierał się na jej asyce, zmieniając jej barwę, i tłumił kolory świata. Tutaj kurz był lekki, ale powietrze ciężkie. Nawet wiosenny wiatr nie łagodził uczucia, że coś ją dławi. Nie był w stanie. Przytłaczający smutek, który odczuwała Suri, nie miał związku z pogodą.

Miesiące pracy z Arion otwały niezliczone drzwi, których istnienie Suri wcześniej ignorowała. Wspólnie eksplorowały te nowe korytarze, a z każdym kolejnym odkryciem Suri coraz lepiej rozumiała Sztukę. Wraz ze zrozumieniem przysła świadomość. Im więcej wiedzy Suri przyswajała, tym dobitniej pojmowała, jak mało nadal wie. W przeszłości umykało jej tyle rzeczy, które gwałtownie domagały się jej uwagi. Nie była na nie ślepa, po prostu je ignorowała. Ludzie zawsze tak robili. Byli tak pochłonięci własnymi problemami, że nie dostrzegali kwiatów rosnących przy ścieżce. Tej wiosny Suri ujrzała świat w nowym świetle. Nauczyła się nie tylko patrzeć, ale też widzieć. I nie wszystko, co widziała, było miłe dla oka.

W górze siedem czarnoskrzydłych sępów kołowało na tle szarego nieba, które było zbyt rozległe, zbyt nagie, zbyt puste.

– Jak to możliwe, że tu nie ma drzew? – zapytała Suri, pozwalając, by jej ręce opadły luźno wzdłuż boków. Z asyki wzbił się żółty kurz.

– Tam jest drzewo. – Raithe wskazał starożytny pień, którego martwe od dawna korzenie przypominały dłoń szkieletu wczepioną w stertę głazów.

– To nie jest drzewo.

– Kiedyś było.

Suri rozejrzała się, ogarniając wzrokiem całą płaską jak stół równinę.

– Chcesz powiedzieć, że ludzie wycięli tu wszystkie drzewa?

Raithe pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek było ich szczególnie dużo.

Oboje opuścili Rhist wczesnym rankiem. Nie wynikało to z żadnego planu, nie umówili się wcześniej. Suri ocknęła się ze swędzącymi stopami – to był ten typ niepokoju, który można ukoić jedynie porządnym, uczciwym spacerem po nowym terenie. Zastała Raithe’a stojącego przy moście i spoglądającego w głąb kanionu, na którego dnie huczała wartka rzeka. Suri też przystanąła, żeby rzucić okiem w dół. Nie zamienili ani słowa, nie przywitali się, żadne nawet nie pomachało.

Kiedy Suri ruszyła dalej, Raithe dołączył do niej. Tak zwykle bywało. Raithe przypuszczalnie sądził, że to zbieg okoliczności, ale uzbrojona w swój nowy wzrok Suri wiedziała, że chodzi o coś więcej. W kategoriach Sztuki – Języka Elan – postrzegała tę więź jako złotą nić, która łączyła ją z Raithe’em na takiej samej zasadzie, na jakiej Suri czuła się związana z Arion. To widoczne połączenie oznaczało ważną relację i wyjaśniało, czemu tak często natrafiali na siebie w odpowiednim momencie. Suri sądziła, że gdyby w przeszłości potrafiła dostrzegać takie rzeczy, spostrzegłaby taką samą nić pomiędzy sobą a Maeve. Nie miała pojęcia, jakie jest znaczenie tej więzi, ale wzrok – Arion czasem tak nazywała tę zdolność – działał właśnie w ten sposób. Pokazywał zagadki, wskazówki, kawałki i urywki słabo dosłyszanych rozmów. Suri lubiła tajemnice, ale zbyt często zdarzało się, że te zagadki po rozszyfrowaniu ukazywały smutny obraz.

– Jak mogliście tutaj żyć bez... – Suri pokręciła głową. – Nie chodzi tylko o brak drzew. Tu jest tak niewiele życia. Żadnej zieleni, tylko skały.

– Teraz już wiesz, czemu udaliśmy się za rzekę Bern. Zobacz. – Raithe wyciągnął rękę w kierunku zachodnim, trochę na południe, gdzie w oddali było widać sielski zielony krajobraz. – Fhrejowie nazywają tę krainę „Avrlyn”.

– Zielone wzgórza – przetłumaczyła Suri.

– Tak jest. – Raithe wykonał dłońmi wymowny, tęskny gest. – Kiedy żyłem w mojej wiosce, budziłem się co rano i widziałem ten widok zaraz za rzeką. Spójrz tylko, przecież to prawdziwy raj wznoszący się aż pod chmury. Nam nie wolno było tam przebywać. To była kraina bogów. – Westchnął i nachmurzył się, powracając wzrokiem do kamienistego pustkowia, które ich otaczało. – Mówiono nam, że to jest nasze miejsce, los przeznaczony nam przez niebiosy. To, na co zasługujemy. – Raithe potarł butem powierzchnię skalnej skarpy, na której stał. – W pewnym sensie mieli rację. Ta kraina była taka jak my: sucha, twarda, jałowa, raz zbyt gorąca, kiedy indziej zbyt zimna. Ale... – Spojrzał na nią. – Zastanawiam się, na ile to wynikało z samego zamieszkiwania tutaj? Gdybyśmy żyli tam, gdzie ty, czy bylibyśmy inni?

– To nie miałyby znaczenia – odrzekła Suri. – Bez względu na to, gdzie się rodzisz, świat zawsze prędzej czy później cię dopadnie i wszystko zniszczy.

Raithe wyglądał na zaskoczonego.

Wzruszyła ramionami.

– No dobrze, może nie wszystko, i może nie zniszczy tak do końca, ale nic nie pozostaje takie samo.

Wznowiła marsz wzdłuż krawędzi kanionu, wypatrując, czy nie dałoby się zejść na dół. W czasie zimowych mrozów musieli się ograniczyć do eksplorowania miasta. Czasem Tesh i Malcolm towarzyszyli im podczas tych krótkich wycieczek, ale zazwyczaj Suri i Raithe wędrowali tylko we dwójkę. Już przed kilkoma miesiącami próbowali wyprawić się na drugą stronę rzeki, lecz wichury i śniegi Dureyi zmusiły ich do zawrócenia. Miasto, z jego plątaniną wąskich uliczek, zapewniało osłonę, ale łatwo było tam zabłądzić. Eksplorowanie jego zaułków okazało się akurat wystarczająco ciekawe, żeby Suri nie odeszła od zmysłów. Po miesiącach ciemności i uwięzienia wśród kamiennych murów forteca wydawała się klatką, ale gdy Suri i Raithe wymykali się razem na swoje wyprawy, przez krótki czas byli wolni. Teraz, gdy wreszcie nadeszła wiosna, czuli się jak wypuszczeni z więzienia. Wyszli na zewnątrz, dzień był gorący, a Suri miała ochotę popływać. Musiała tylko wykombinować, jak się dostać na dno kanionu.

– Tu nie ma którędy zejść – powiedział Raithe.

Zmarszczyła brwi.

– Poza tym nie byłoby to przyjemne – ciągnął. – Może na południu, w okolicach Księżycowej Puszczy, latem przyjemnie się pływa w potokach. Tutaj wiosną woda jest niemożliwie zimna. Wiem to z doświadczenia.

Suri nie wyjawiała mu, co planuje. Zanim wspomniała o braku drzew, milczeli przez cały ranek. A mimo to Raithe wiedział. Suri wcześniej tylko raz doświadczyła takiej wzajemnej harmonii, tak głębokiego zgrania, że pytania

i odpowiedzi okazywały się zbędne. Dręczyło ją w związku z tym poczucie winy.

– Gdy podążasz w dół rzeki, możesz zaobserwować, że staje się coraz starsza – powiedziała do Raithe’a, gdy tak stali, spoglądając w głąb stromego, nieprzyjaznego wąwozu. – Tak mi kiedyś powiedziała Tura. Rodzą się jako maleńkie strumyczki, a potem w dzieciństwie i młodości są właśnie takie: z niewyczerpaną energią rozbijają się o nieruchome głązy. Później zwykle spadają. Czasem jest to kilka mniejszych progów, kiedy indziej jeden ogromny wodospad, ale uderzenie o dno odbiera większości rzek chęć do walki. Później łagodnieją i uczą się meandrować wokół skał. Zwalniają tempo, żyją mniej intensywnie. Rozlewają się coraz szerzej i powolnieją, aż w końcu wpadają do morza, stając się jednością z czymś większym.

Raithe zacisnął usta. Oczy mu się zaszklily, a chwilę później otarł łzy. Suri po raz pierwszy poczuła się zbita z tropu.

– Przepraszam – powiedział. – Ja, ee... Po prostu przypominasz mi moją siostrę. Była chyba mniej więcej w twoim wieku i też mówiła takie rzeczy. – Spuścił wzrok. – Rzadko kiedy tęsknię za ludźmi, ale brakuje mi jej. Pamiętam, że w jej towarzystwie często się śmiałem. Potrafiła mnie rozśmieszyć nawet w zimne noce, kiedy nie było co jeść. Nie pamiętam natomiast, kiedy ostatnio się śmiałem. I powiem uczciwie, że przebywając w twoim towarzystwie, miewam poczucie winy, tak jakbym zdradzał jej pamięć. – Przepraszająco machnął ręką. – Wiem, że to brzmi głupio...

– Wcale nie – odrzekła Suri.

– Nie?

– Ty też mi kogoś przypominasz.

– Kogo?

Suri się uśmiechnęła.

– Moją siostrę.

Raithe w pierwszej chwili popatrzył na nią, nie rozumiejąc. Potem twarz mu się rozjaśniła, zaśmiał się i skinął głową.

– To pewnie przez futro. – Przeczesał dłonią włosy. – To co teraz zrobimy? Może jeszcze raz zagramy w „kamienie”?

– Moglibyśmy pożonglować kawałkami skały. Ostatnim razem nie poszło ci najlepiej. Przydałoby się, żebyś poćwiczył. O, a ja mam mój sznurek! Moglibyśmy po prostu posiedzieć na ziemi, o tam, i pokazałabym ci, jak można na cztery ręce...

Suri wskazała niewielką płaską łączkę, jedno z niewielu miejsc porośniętych trawą. Gdy rozmyślała, jak przyjemnie będzie tam usiąść, raptem rąbnęła ją fala rozpaczy.

- Suri? – zapytał Raithe.
- Skały – odparła.
- Skały?
- Sterty skał.
- Nie widzę tu żadnych – powiedział Raithe.
- Czuć tu smutek. Straszliwy smutek i niepowetowaną stratę.
- Taka właśnie jest Dureya.

Suri poczuła, że rozpacz wzbiera w niej jak fala powodzi, grożąc zatopieniem. Powróciło tamto uczucie dławienia, braku powietrza.

- Suri! – wykrzyknął Raithe, gdy osunęła się na kolana i zaczęła szlochać.
- Tu czuć tyle cierpienia! – zawołała.

Raithe podniósł ją i ruszył z powrotem w stronę mostu.

- Myślę, że wystarczy ci już świeżego powietrza na dziś.
- Nie, nie! – zaprotestowała Suri. – Nie chcę jeszcze wracać.

Zaczęła się wyrywać, więc Raithe postawił ją na ziemi. Suri otarła oczy i wzięła głębszy wdech.

- W porządku? – spytał.

– Już lepiej. – Suri odetchnęła jeszcze kilka razy, po czym ruszyła w stronę mostu. Czuła przemożną chęć oddalenia się od tamtej łączki.

- Co się stało?

Pokręciła głową.

- Poczułam coś okropnego.
- Dzięki Sztuce, prawda?

Potaknęła, ale nie była do końca pewna. Tak naprawdę nie wiedziała, co się wydarzyło. Uczucie ją przytłaczające trochę przypominało chłód, który ogarniał ją i Arion, gdy przebywały w mieście. Było jednak znacznie silniejsze – i pochodziło z jej wnętrza. Wydawało się tak przemożne, że aż się zdziwiła...

- Ty tego nie poczułeś? – spytała.
- Co miałbym poczuć?
- Nieważne. Może to była tylko moja wyobraźnia.
- „Musisz pamiętać, że twoja wyobraźnia widzi więcej, niż cudze oczy”.

Suri nie była z tego zadowolona. Nie tym razem. Pragnęła, by to była pomyłka – wmawiała sobie, że na pewno tak jest – ale nie czuła się gotowa, żeby zawrócić i sprawdzić. Woląca, by to pytanie pozostało bez odpowiedzi, bo – podobnie jak w przypadku uczucia, które ogarnęło ją i Arion w mieście – miała wrażenie, że nie wychwytuje echa minionych okropieństw. To coś strasznego, co wyczuła, dopiero miało się wydarzyć.

Pragnąc skryć się przed nieznaną grozą w ciepłym puchu zwykłej, bezmyślnej codzienności, skręciła w stronę uschniętego drzewa.

- Może moglibyśmy posiedzieć tu przez chwilę.
- Jasne – odparł Raithe, ale spostrzegła, że obejrzał się przez ramię. Potem zapytał: – Suri? Czy naprawdę potrafisz... – Urwał.
- Co?
- Czy naprawdę potrafisz przesuwac góry?
- Zmarszczyła brwi.
- Tak, ale to był właściwie wypadek.
- Właściwie wypadek?
- Straciłam panowanie nad sobą.
- Raithe przystanął.
- Przed chwilą też straciłaś panowanie nad sobą. – Podniósł ręce, udając strach. – Czy powinienem się bać?
- Suri uśmiechnęła się i poruszyła dłońmi, jakby zamierzała rzucić na niego czar.
- Bardzo.
- Oooch – odparł Raithe, uśmiechając się od ucha do ucha. – Zamienisz mnie w żabę?
- Nie. – Suri podeszła do pnia. – Żaby są nudne. Czym chciałbyś być?
- Nie wiem. Pewnie czymś, co potrafi fruwać.
- Ja też.

* * *

Nyphron wkroczył do Wysokich Komnat. Większość Instarya określała tę obszerną przestrzeń mieszkalną ulokowaną na siódmym piętrze Kypu jako Sanktuarium. Zgodnie z pierwotnym zamierzeniem miała to być siedziba lorda Rhistu, dlatego na wyposażeniu znalazły się arrasy, rzeźby, mahoniowe meble i złote nocniki. W praktyce siódme piętro miało tylko jednego lokatora i to zaledwie przez krótki czas. Choć nigdy nie ogłoszono tego oficjalnie, luksusowa kwatera – choć pieczołowicie ją sprzątano i utrzymywano w niezmiennym stanie – pozostawała pusta, odkąd fane Rhist postradał życie. Nastąpiło to przed kilkoma tysiącletkami, zanim Nyphron przyszedł na świat. Legenda głosiła, że w komnatach Rhista nie zmieniło się przez ten czas kompletnie nic. Na ozdobnym kamiennym gzymsie w pobliżu ogromnego kominka stał słynny złoty kielich – wierzone, że Rhist odstawił go w tam chwilę przed tym, jak wybiegł na zewnątrz i poniósł śmierć. Nyphron wielokrotnie wchodził do tej komnaty i spoglądał na kielich, zastanawiając się, jaki głupi drobiazg może stać się jego ostatnim czynem, który przyszłe pokolenia będą później wspominały

z nieadekwatną rewerencją. Miał nadzieję, że będzie to coś bardziej efektownego niżli odstawienie kielicha z winem.

– Co cię tak wytrąciło z równowagi, że aż chciałeś pogadać na osobności? – zapytał.

Sebek nie odpowiedział. Zamknął drzwi.

Nyphron splótł ręce na piersi.

– Och, serio, daj już spokój. O co chodzi?

– O Techylora – odparł Sebek bardzo cicho, prawie szeptem.

– Tego dzieciaka? Co z nim?

Sebek śpiesznie obszedł Sanktuarium, otwierając drzwi do bocznych komnat i zaglądając do środka. Nyphron poczekał, aż towarzysz skończy. Sebek zawsze był trochę nadpobudliwy, trochę dziwny, ale najbardziej utalentowani zazwyczaj cechowali się lekką dozą szaleństwa.

Nyphron znał Sebeka od tysiąca lat. Nie powiedziała by, że są przyjaciółmi, ale słowo „przyjaźń” znaczyło różne rzeczy dla różnych ludzi. Szczerze mówiąc, Nyphron nigdy nie znał nikogo, kogo mógłby nazwać przyjacielem – kogoś podobnego do siebie, z kim mógłby się utożsamiać, kto darzyłby go miłością i komu mógłby bez zastrzeżeń ufać. Sebek był raczej jego przeciwieństwem. Ten zimny i zdystansowany Fhrej kochał wyłącznie swoje miecze i zależało mu tylko na byciu tym, kim był – najlepszym zabójcą ze wszystkich. Nie łaknął władzy, awansów, bogactwa, miał jedynie słabość do świeżej krwi. Sebek nie był intelektualistą ani myślicielem. Myśli o wszelkich sprawach niezwiązanych z walką tylko go rozpraszały, zatem należało ich unikać. Sebek, choć równie interesujący jak kawał skały, był niesamowicie sprawnym wojownikiem.

– Co tam? – zapytał Nyphron, siadając na ozdobionej złoceniami sofie o czerwonych poduszkach, podczas gdy Sebek podszedł z powrotem do niego.

– Myślę, że Techylor wie.

– Co wie?

Ktoś zastukał do drzwi, a Sebek sięgnął po swoje miecze.

– Kto tam?! – zawołał Nyphron.

Martwiła go nerwowość Sebeka. Kiedy najlepszy wojownik świata zaczyna sprawdzać drzwi, szeptać tajemnicze ostrzeżenia i sięgać po broń przy najlżejszym szmerze, tylko głupiec pozostałby beztroski.

– Wasz pokorny sługa – padła odpowiedź.

Nyphron popatrzył na Sebeka.

– Czy Malcolm może tu wejść?

Sebek w odpowiedzi po prostu otworzył drzwi.

– Czy ktokolwiek widział, jak wchodzisz po schodach?

– Być może, ale kogóż by to obchodziło?

Malcolm wszedł do komnaty. Nadal nosił wełnianą rhuńską odzież, choć było to absurdalne w obliczu cieplejszej pogody. Miał też równie skonfundowaną minę jak Nyphron.

– Co się dzieje?

Sebek na wszelki wypadek sprawdził korytarz, zanim zamknął drzwi.

– Miałem nadzieję, że ty wiesz – przyznał Nyphron.

– Sebek poprosił, żebym przyszedł tu na górę – odrzekł Malcolm.

Sebek zamknął drzwi.

– Techylor jest z Dureyi.

Malcolm zerknął na Nyphrona ze złośliwym uśmiechem.

– Tak, wiemy. Czy to dla was nowina?

– Był tam.

Nyphron się nachylił.

– Co masz na myśli, mówiąc „tam”?

Sebek odszedł od drzwi. Drewniane deski parkietu zaskrzypiały pod jego ciężarem. Przypuszczalnie wydały taki sam odgłos, gdy przeszedł po nich Alon Rhist, żeby odstawić kielich z winem na kamienny gzyms.

– Ten dzieciak przebywał w jednej z wiosek, które spaliliśmy. Mieszkał tam.

Nyphron pokręcił głową.

– To niemożliwe. Sprawdzaliśmy. Nikt nie przeżył tych napadów. – Ponownie wskazał Sebeka. – Ty... Do ciebie należało dopilnowanie, żeby nie było żadnych świadków.

Sebek zatrzymał się przed miejscem, gdzie stał słynny kielich, obrastający kurzem.

– Najwidoczniej się ukrył.

– Widział was? – zapytał Malcolm, patrząc to na jednego, to na drugiego Fhreja. – To...

– Nie widział nas – odrzekł Nyphron, życząc sobie z całych sił, żeby faktycznie tak było.

Momentami wierzył, że potrafi wpływać na rzeczywistość. Podczas bitew, ale i w innych sytuacjach. Wystarczyły do tego determinacja i siła woli. Jeżeli pragnął czegoś wystarczająco mocno, mógł sprawić, by się ziściło. Często był to ostrzegawczy znak budzącego się magicznego talentu. Ponieważ Nyphron najbardziej na świecie brzydził się Miralyithami, siłą woli starał się oddalić od siebie to niebezpieczeństwo.

– Dlaczego sądzisz, że mógł nas zobaczyć?

– Raithe i Tesh to jedyni Dureyanie, jacy przeżyli – odrzekł Sebek. – Raithe ocalał, bo przebywał wówczas w dziczy razem z Malcolmem, ale Techylor był dzieciakiem. Dlaczego dzieciak miałby znaleźć się sam daleko od domu?

– To wszystko, co masz?

– A kiedy go zapytałem, gdzie był, jak uniknął śmierci, nic nie odrzekł. Uciekł, nie chciał nawet na mnie spojrzeć.

– Do tej pory Tesh już by coś powiedział – oznajmił Nyphron. – Gdyby naprawdę tam był, zobaczyłby, jak zabijamy jego rodzinę, cały jego klan. Gdyby tak było, naprawdę sądzisz, że uczyłby się walczyć pod twoim kierunkiem?

– Pragnie zemsty – odrzekł z namysłem Malcolm. Usiadł na jednym z trzech ozdobnych podnóżków. – Kiedy go poznaliśmy, Tesh chciał, żebyśmy go nazywali „Fhreyhyndia”.

Sebek wytrzeszczył oczy.

– To tłumaczy jego determinację. Uczy się, jak nas zabijać. – Przeszedł wzdłuż komnaty, po czym zawrócił, wbijając spojrzenie w Nyphrona. – Myślę, że zaczniesz od ciebie.

– To wszystko jest... – Nyphron pokręcił głową. Sebek nie posługiwał się mózgiem równie sprawnie jak mieczami. – Czy powiedział o tym komukolwiek? Czy wyjawiał, że nas widział?

– Nie – odrzekł Sebek.

Nyphron przeniósł spojrzenie na Malcolma, który oznajmił:

– Nie patrz na mnie. Do tej pory o niczym nie wiedziałem. Gdyby Tesh miał komukolwiek coś powiedzieć, byłby to Raithe. Obaj są Dureyanami, a Raithe jest jego wodzem.

– Ale czy Tesh mu powiedział?

Malcolm wzruszył ramionami.

– Nie przezywamy razem przez całą dobę. Mieli mnóstwo okazji, żeby pogadać w cztery oczy, beze mnie.

– To kolejny powód, żeby trzymać Raithe’a z dala od Persefony. Gdyby się o tym dowiedziała... – Nyphron złożył dłonie w wieżyczkę i oparł na nich twarz, tak że opuszki palców dotykały nasady nosa.

– Myślisz, że uwierzyłaby mu? – zapytał Malcolm. – Sprawy zaszły już tak daleko. Zyskałeś duże zaufanie i wiarygodność...

– Ona jest człowiekiem – uciął Nyphron. – Ludzie nie myślą racjonalnie.

Malcolm uniósł brwi i przekrzywił głowę.

– Co proszę?

– Wiesz, co mam na myśli. A zresztą ty jesteś praktycznie Fhrejmem.

Malcolm uśmiechnął się ironicznie.

– Pozwolę sobie zinterpretować to jako komplement.

– Nawet jeśli nie powiedział nikomu więcej, Techylor stanowi dla nas zagrożenie – oznajmił z naciskiem Sebek, nadal przechadzając się tam i z powrotem. To był kolejny problem z Sebekiem: musiał stale być w ruchu.

Przemieszczać się, walczyć, zabijać. Największym koszmarem dla tego Fhreja byłoby z pewnością umrzeć i zostać wskrzeszonym przez bogów jako nieruchoma sadzawka. – Ma tylko szesnaście lat. Szesnaście. Kim będzie za kolejne dziesięć lat?

– Ten dzieciak jest aż tak dobry?

Sebek uniósł brwi.

– Jak dobry byłeś w wieku szesnastu lat? Nie tysiąca sześciuset, nie pięćdziesięciu. Szesnastu!

Nyphron w tak młodym wieku nie miał jeszcze w ogóle do czynienia z bronią. Jak to zwykle bywało wśród Instarya, pierwsze stulecie jego życia uznawano za okres dzieciństwa, a pierwszą dekadę za niemowlęstwo – czas nieskrępowanej zabawy i odkrywania świata.

– Z nimi jest inaczej niż z nami.

– To nie zmienia faktu, że w ciągu jednego roku ten dzieciak zdołał osiągnąć taki poziom umiejętności, jaki większość Instarya osiąga po upływie stulecia. Nie nazwałem go Techylorem po to, by mu dodać pewności siebie. W tej chwili jest już wystarczająco dobrze wyszkolony, żeby pokonać w pojedynku większość Fhrejów z Erivanu. A ma zaledwie szesnaście lat.

Nyphron wyraził powątpiewanie:

– Może w ćwiczebnej walce, ale jest duża różnica pomiędzy treningami a prawdziwym starciem. Ten dzieciak się zawaha. Nie ma doświadczenia.

– To Dureyanin – przypomniał im Malcolm. – Tradycja nakazuje im nie mieć skrupułów.

– Mimo wszystko to nie to samo. – Nyphron zagapił się na Sebeka, a ten pokręcił głową.

– Nieważne. Stanowi zagrożenie. Jeśli teraz jest aż tak dobry, a będzie nadal ćwiczył z takim samym zaangażowaniem, to kim się stanie po tym, jak zazna walk na wojnie? Jaki będzie za dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt lat, gdy już przywyknie do zabijania Fhrejów?

– Stary – skwitował Nyphron. – Całkiem możliwe, że martwy. Nie zapominaj, że to Rhun.

– Uczy się szybko, zbyt szybko. Przyswaja sobie wszystko, czego jesteśmy w stanie go nauczyć. I do tego jeszcze łuk! – Sebek przewrócił oczami i gwałtownie podniósł ręce. – Moya próbowała nas przeszkolić. Eres powinien mieć do tego naturalny dryg, ale w porównaniu z Teshem wszyscy inni to niezguły. Ten dzieciak potrafi zrobić wszystko. A teraz chciałby dostać zbroję. Żelazną zbroję.

– Wielu by chciało.

Sebek pokręcił głową.

– Nie rozumiesz? To ostatni element. Kiedy ją dostanie, Techylor będzie gotów. Omal nie zginąłeś, walcząc z Raithe'em, czy nie...

– Nieprawda! – Nyphron spochmurniał. – Kto jak kto, ale ty powinieneś to wiedzieć.

Sebek się uśmiechnął.

– Wiem. Walczyłem z nim tylko po to, żeby się upewnić. Ale mimo wszystko dobrze słyszeć, że sam to potwierdzasz.

Nyphron zerknął na siedzącego na stołku Malcolma, który podniósł na niego wzrok z niemalże filuterną miną.

– Wszyscy musieli uwierzyć, że Rhun może pokonać Fhreja w uczciwej walce. Nawet Galantianie.

– No cóż, a teraz zgadnij, do czego doszło? – Sebek wbił w niego spojrzenie. – Już nie musisz udawać. Jest spora szansa, że za pięć czy dziesięć lat Techylor będzie w stanie cię pokonać w uczciwej walce, ale coś mi mówi, że Techylor nie jest skłonny walczyć uczciwie. – Podszedł do kielicha i wskazał go palcem. – Chcesz wrócić któregoś wieczoru do swojej komnaty i zastać tam zakutego w zbroję Rhuna z dwoma żelaznymi mieczami, który wypadnie na ciebie z mroku, gdy będziesz siedział na nocniku? Może później zostawią ten nocnik na wieczną pamiątkę, żeby ludzie mieli co oglądać w sanktuarium ku twojej czci.

Nyphron spojrział na stojący na gzymsie kielich. Miał zbyt wiele planów, żeby pozwolić, by wszystko to legło w gruzach z powodu jakiegoś owładniętego pragnieniem zemsty młokosa. Rozczarowujące. Jeśli Sebek mówił prawdę, Tesh mógłby zostać pierwszym Galantianinem rhuńskiego pochodzenia. Z opisu brzmiał jak ktoś, kto świetnie pasowałby do drużyny. Może to właśnie był sekret Rhunów. Nie istnieli długo, ale dopóki żyli, płonęli jaśniej.

– Zabij go. – Nyphron westchnął i podniósł wzrok na Sebeka. – Niech to wygląda na wypadek. I niech to będzie godna śmierć. Dzieciak zasługuje przynajmniej na tyle. Nie mogę mieć mu za złe, że chce się zemścić na tych, którzy wyrznęli jego plemię, czyż nie?

Sebek dobył miecza i popatrzył na broń tak, jakby klinga coś mu komunikowała.

– Zrobię to podczas ćwiczebnej walki. Zabiję go i powiem, że Techylor sprawił, że na moment straciłem równowagę. Że był aż tak dobry.

Nyphron skinął głową.

– Ładne epitafium. Stanie się legendą. Rhun, który sprawił, że Sebek się potknął.

– Zasługuje na to. Pewnego dnia może faktycznie zdołałby to zrobić.

Rozdział trzynasty

Avempartha

Avempartha jest dla Fhrejów tym, czym Drumindor dla Dhergów. Dla nas jednak była straszliwym głazem na naszej drodze.

Księga Brin

Feneliusa nazwała kiedyś wieżę Avempartha „kamieniem młyńskim magii”. Tylko ona mogła bezkarnie określać Sztukę mianem „magii”, ale Feneliusie mnóstwo rzeczy uchodziło na sucho. Nosila długie włosy, wybaczyła Dhergom po tym, jak straszliwa wojna dobiegła końca, a poza tym miała w zwyczaju płakać nocami w Ogrodzie, dopóki nie odprowadzono jej pod eskortą z powrotem do pałacu. Nikt nigdy nie widział, żeby piła cokolwiek mocniejszego niż sok jabłkowy, ale ponoć krążyły plotki.

Mawyndulë prawie nie znał swojej babki. Widywał ją tylko w czasie oficjalnych spotkań. Kiedy przyszedł na świat, była już tak stara, że głównie siedziała i się śliniła. Dożyła absurdalnego wieku: trzy tysiące sto dwadzieścia siedem lat. Niektórzy sądzili, że nigdy nie umrze. Prym wśród nich wiódł z pewnością ojciec Mawyndulëgo, który czekał całe wieki na to, żeby zostać fane'em. Mawyndulë wyobrażał sobie, że jego ojciec śnił po nocach o zaduszeniu babki poduszką. Jednakże Lothian nie uczynił tego; wolał znosić upływ lat w cieniu słynnej matki, na której śmierć nikt poza nim nie czekał. Łatwo było zrozumieć, dlaczego: stara fane była pierwszym Miralyithem w historii i wybawicielką ludu Fhrejów.

Mawyndulë nigdy nie zaliczał się do piewców jej chwały. Nie lubił niczego, co stare, a Feneliusa była nieprawdopodobnie wiekowa. Jego niechęć tylko potęgował fakt, że Zdrajczyni – Arion – sławiła pamięć Feneliusy. Niemniej,

książę pamiętał wątpliwości, które go ogarnęły, kiedy po raz pierwszy ujrzał Avemparthę.

Wieża uchodziła powszechnie za najwspanialsze dzieło Miralyithów. Wzniesiono ją bez udziału młotów i dłut. Władając Sztuką, Feneliusa dokonała czegoś, czego nie uczyniłby żaden budowniczy: wzniosła wieżę na skraju wodospadów Parthaloren, pośrodku rzeki Nidwalden. Skały zostały wyciągnięte wysoko w górę, imitując zamrożony w bezruchu rozbryzg wody. Wysoko ponad grzmiącą kaskadą kamienną iglicę wieńczył bukiet rozchodzących się promieniście szpiców o koniuszkach nie grubszych od palca. To była rzeźba wykonana w tej skali, co dzieło stworzenia. Nic, co Mawyndulë kiedykolwiek widział, nie mogło się z nią równać. Ta wieża nie tylko zapierała dech swym pięknem; pokazywała, co można osiągnąć za pomocą Sztuki, jeśli ma się wystarczająco dużo siły, umiejętności i talentu. W całej historii ludu Fhrejów było to dzieło najbliższe boskości: świątynia ku czci Sztuki.

Stworzyła ją Feneliusa.

Zajęło jej to trzy dni.

Kiedy Mawyndulë po raz pierwszy ujrzał Avemparthę, był w stanie myśleć wyłącznie o tamtej starej, pomarszczonej, zaślinionej fane. Jakim cudem ona stworzyła coś takiego? Widząc wieżę po raz drugi, Mawyndulë pomyślał to samo.

Wkraczanie do wieży zawsze przejmowało go przyjemnym dreszczem. Feneliusa uczyniła Avemparthę wzmacniaczem potężnej mocy wodospadów. Wieża kanalizowała tę moc w górę, więc gdy Mawyndulë przekroczył próg budowli, natychmiast poczuł taki przypływ euforii, że dosłownie się zatoczył. Idący obok niego żołnierze, którzy nie byli Miralyithami, popatrzyli na niego dziwnie.

Jakim cudem tego nie czuli?

Rok wcześniej, gdy nocowali w wieży, Gryndał powiedział Mawyndulëmu, że Miralyithowie nie są Fhrejami, tylko nowymi bogami. Dygoczący od najczystszej mocy książę uznał, że nie sposób kwestionować tego stwierdzenia. Mawyndulë był przekonany, że stojąc wewnątrz tych potężnych murów, byłby w stanie stworzyć cały świat na nowo. Tamta wizyta w towarzystwie Gryndała była cudowna, pełna ekscytacji i nadziei na wspaniałą przyszłość.

Nie tak jak teraz.

– Chyba nie zamierzasz zabrać dziecka ze sobą? – zapytał Jerydd, patrząc na Mawyndulëgo tak, jakby książę był plamą na podłodze.

– Pragnął mi towarzyszyć, a ja uznałem, że to doświadczenie może mu się przydać – odrzekł Lothian. – Pewnego dnia może zostanie fane'em. Powinien coś umieć.

Jakże ochoczo stanął w obronie swojego syna! Jak zawsze.

– Byłoby lepiej, gdybyś go zostawił tutaj ze mną. Mógłbym wtedy nauczyć to dziecko czegoś użytecznego.

Mawyndulë wzdrygnął się na myśl, że miałby zostać sam ze starym kelem. Zarządca wieży był tak wiekowy, że lada miesiąc zacznie się ślinić. Nawet nie golił już głowy – jego łysinę otaczał wianuszek siwej szczeciny. Mawyndulë przysiągł w duchu, że popełni samobójstwo, nim osiągnie taki wiek. Istniała jakaś granica tego, co można znieść w życiu.

– Uczęszczał do Akademii Sztuki w Estramnadonie – powiedział Lothian. – Ale uczył się tam tylko przez dwa semestry. Wątpię, czy przyswoił sobie wystarczająco dużo podstawowej wiedzy, żeby choć pojąć twoje lekcje.

– Akademia. – Jerydd wypowiedział to słowo tak, jakby było kiepskim żartem. – Zepsują go. Wszyscy ci mentorzy z ich zasadami i planami lekcji. Ściśle kontrolują uczniów, boją się błędów. Ty i ja uczyliśmy się inaczej. Twoja matka naciskała nas, żebyśmy popełniali błędy. To jedyna skuteczna metoda nauki. Pamiętasz?

Lothian kiwnął głową.

– Może gdy będziemy wracać.

Ta odpowiedź sprawiła, że Mawyndulëmu zjeżyły się włoski na przedramionach. Pomyślał, że w takim razie woli zginąć w walce. Mógłby wtedy za jednym zamachem uniknąć niewoli u Jerydda oraz horroru starości. Wyobraził sobie, że jeśli poniósłby heroiczną śmierć, jej miejsce byłoby otaczane kultem, tak jak te dwa głazy na brzegu rzeki, przy których stała Feneliusa, gdy wznosiła Avemparthę.

Kel Jerydd, fane Lothian, Mawyndulë, Vasek i Taraneh siedzieli w osobistym gabinecie kela na drugim piętrze wieży. Sile i Synne nie zostali zaproszeni, by usiąść. Przypuszczalnie nie było tu wystarczająco dużego krzesła dla Sile'a, Synne zaś nie potrafiła wytrzymać w bezruchu. Ci, którzy rozmawiali na siedząco, popijali wino, ale Mawyndulë nie został poczęstowany, a jego ojciec udawał, że tego nie zauważył. Obrażony o takie potraktowanie książę demonstracyjnie wstał i podszedł do okna. Chociaż nie spodziewał się, by ktokolwiek odczytał jego zachowanie jako protest, on sam wiedział, że tak jest, i to mu wystarczyło.

Na zewnątrz rzeka Nidwalden migotała w świetle księżyca, a fhrejska armia maszerowała przez most spajający jej brzegi. Była to tymczasowa konstrukcja, którą na rozkaz fane'a stworzyli Miralyithowie z Avemparthy. Gdy już całe wojsko znajdzie się na drugim brzegu, most rozwieje się w powietrzu.

– Nie spodziewam się, by ta wojna miała długo potrwać – oznajmił ojciec Mawyndulëgo. – Mamy pod bronią niemal dwa tysiące żołnierzy i prawie

pięćdziesięciu Miralyithów. Gdy już dotrzemy na miejsce, zlikwidowanie buntowników i ponowne przejęcie kontroli nad Alon Rhist nie powinno potrwać dłużej niż jedno popołudnie. Nie zamierzam sobie później zaprzętać głowy likwidacją Rhunów. Zgładzenie ich wszystkich może zająć całe miesiące. Pozostawię to zadanie nowemu komendantowi Rhistu. – Wskazał głową Taraneha, a następnie zwrócił się z powrotem do Jerydda: – Sądzę, że powrócę tu za kilka dni. Wtedy będziesz mógł zatrzymać Mawyndulëgo.

– Wspaniale. Chłopcu dobrze zrobi wydostanie się z tego gniazda żmij, które nazywacie Estramnadonem – oznajmił Jerydd. Następnie nieco głośniejszym głosem dodał: – Słyszałem, żeś się tam wplątał w złe towarzystwo.

Złe towarzystwo. Mawyndulë znów przelotnie ujrzał twarz Makarety pod mostem, w blasku czarodziejskich światełek. Na zawsze zapamięta ją taką. Przypuszczalnie nie żyła. Nie było mu dane poznać jej losu, a niewiedza była trudna do zniesienia. Wspominanie Makarety bolało, choć pragnął, by tak nie było. Wykorzystała go, próbowała zabić jego ojca, zabiła dziesiątki dobrych Fhrejów, lecz Mawyndulë nadal miał w pamięci jej śliczną buzię i pamiętał, jak czuł się w towarzystwie tej dziewczyny. Jej nieskazitelnie perfekcyjny obraz zapisał się w jego pamięci jako najpiękniejsza chwila w życiu: jedyny moment, gdy to życie miało sens. Mawyndulë nie miał nawet okazji jej pocałować. Mimo wszystkich późniejszych wydarzeń nadal fantazjował o tym pocałunku.

Przez kilka sekund nikt nic nie mówił, aż wreszcie do Mawyndulëgo dotarło, że komentarz Jerydda był skierowany do niego. Reszta obecnych czekała, aż książę odpowie. Odwrócił się plecami do okna i ujrzał, że wszyscy wpatrują się w niego. Wlepił spojrzenie w kela. Stary Fhrej wydawał się zdecydowanie zbyt zadowolony z siebie.

– Złe towarzystwo? Być może. Wiem tylko, że zaprosili mnie na spotkanie towarzyskie ludzie, którzy nie byli tak nieuprzejmi, żeby pić i mnie nie poczęstować.

Fane zeszywniał.

– Mawyndulë, bądź łaskaw okazać szacunek kelowi.

– Oczywiście, ojczu. Nie chciałbym urazić tak znamienitego Fhreja. – Nadal świdrował Jerydda wzrokiem. – Słyszałem, żeś się wplątał w złe towarzystwo olbrzymów... Ach, i gratuluję zabicia Arion. To była kapitalna robota.

– Mawyndulë! – wybuchnął jego ojciec.

Jerydd uniósł dłoń, żeby go uspokoić.

– W porządku. Chłopiec jest rozbestwiony. Zrobię z tym porządek. Mawyndulë, możesz sobie być księciem w Talwarze, ale tu jesteś niemowlęciem. Jeśli masz ochotę na sok z winogron, stwórz go. Jesteś Miralyithem, czyż nie?

– Sztuka nie tworzy – odrzekł Mawyndulë.

– Nie? – Jerydd wyciągnął dłonie, wskazując otaczające ich mury. – Zatem co to jest?

– Feneliusa wzniosła je, wyciągając skały z ziemi. Nie stworzyła ich.

– Doprawdy? Dotknij tego muru. Jak sądzisz, co to za skała? Granit? Wapień?

– Nie jestem Eilywinem. Nie znam się na skałach.

– Nie znasz się na mnóstwie rzeczy – odrzekł Jerydd.

Pstryknął palcami i na parapecie zmaterializował się pucharek. Nie był wypełniony winem, lecz truskawkami.

– Proszę – oznajmił kel. – Spróbuj jednej z nich. Są idealne. Prawdziwych nigdy nie udaje się znaleźć, gdy są idealnie dojrzałe. A nawet wówczas zawsze są za duże lub za małe, za kwaśne lub za słodkie. Nie, muszę przyznać, że szczytę się tworzeniem idealnych truskawek.

Oszołomiony Mawyndulë wpatrywał się w pucharek. Nawet Gryndal nigdy niczego nie stworzył.

Księżę bał się dotknąć truskawek, ale był ciekaw, jak smakują. Czy były prawdziwe? Wyciągnął dłoń, wziął jedną z wierzchu i skosztował. Idealna.

Siedzący po przeciwnej stronie komnaty kel Avemparthy zapytał z uśmiechem:

– Nadal sądzisz, że niczego nie potrafię cię nauczyć?

– Nigdy nie powiedziałem...

– Nie musiałeś. Nawet bez pomocy Sztuki łatwo się czyta w twoich myślach. Formalnie jesteś dziedzicem Leśnego Tronu, ale zasiądziesz na nim tylko pod warunkiem, że zwyciężysz w pojedynku. Gdyby ta walka miała się odbyć już dzisiaj... gdyby twój ojciec padł martwy teraz, w tej chwili... jak sądzisz, kto by wygrał? Dziecko, które marudzi, że nie dostało wina, czy stary Fhrej, który potrafi wyczarować z powietrza idealne truskawki? Jeśli chcesz wina, Mawyndulë, lub czegokolwiek innego, musisz sam to sobie stworzyć lub obyc się smakiem. Nie licz na nikogo oprócz siebie.

* * *

Mawyndulë wstał wczesnym rankiem i udał się na jeden z wychodzących na południe balkonów wieży. Gryndal pokazał mu to miejsce, gdy byli tu razem.

Pierwszy Minister obudził wówczas Mawyndulëgo z głębokiego snu. Księżę nie był przyzwyczajony do wstawania wcześniej niż w południe, a pobudka przed świtem jawiła mu się jako skandaliczna niesprawiedliwość, ale Gryndal szeptem nakazał mu podążyć za sobą. Ten szept zaintrygował Mawyndulëgo.

Szeptanie oznaczało sekrety. Może Gryndal zamierzał mu wyjawić coś osobistego. I faktycznie tak uczynił.

Tamtego ranka, zaledwie przed rokiem, Mawyndulë wymknął się na balkon wraz z Gryndalem, żeby obejrzeć wschód słońca nad wodospadem Parthaloren. Smugi światła przenikały przez wodny pył, tworząc wspaniałe, bajecznie kolorowe tęcze. Stojąc na skraju wilgotnego balkonu, Mawyndulë patrzył w zachwycie na świat, który wydawał mu się bardziej magiczny niż kiedykolwiek.

Tego ranka widok prezentował się mniej olśniewająco. Mawyndulë pragnął znów poczuć się jak wtedy, gdy stali tu we dwóch z Gryndalem, podziwiając wspaniałość budzącego się świata. Było to jedno z najpiękniejszych, nieskażonych wspomnień księcia. Jednakże to, co niegdyś przejmowało go radosnym dreszczem, sprawiało teraz, że czuł się zniechęcony, pusty i samotny. Gryndal nie żył. Nawet Avempartha wydawała się przez to mniejsza.

– Pięknie tu, czyż nie?

Mawyndulë odwrócił się gwałtownie i ujrzał pod murowanym łukiem Jerydda. Sędziwy Fhrej miał na sobie gruby płaszcz i przytrzymał jego fałdy kościstymi rękoma pod pomarszczoną szyją.

Co tutaj robił? Po co ktokolwiek miałby przychodzić akurat tu?

Feneliusa słusznie założyła, że ludzie będą chcieli podziwiać wodospady, w związku z czym wyposażyła wieżę w setki balkonów. Mawyndulë, jak przed nim Gryndal, wybrał jeden z wysoko położonych. Jednakże Jerydd odnalazł go bez trudu.

Kel uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Słaba ocena sytuacji.

– Co to niby ma znaczyć?

Mawyndulë przywarł plecami do krótkiej barierki. Czuł się jak w pułapce. Przed nim uśmiechał się złośliwie ten paskudny staruch, a dobiegający z tyłu grzmot spadającej wody budził większy strach, gdy księżę nie patrzył na wodospad. Jerydd, choć wątpy, blokował mu odwrót i wydawał się teraz niebezpieczny.

„Spadł, mój władco. To się czasem zdarza. A obaj wiemy, że twój syn nie był najjaśniejszą gwiazdą na firmamencie”.

„Tak, Mawyndulë dostarczał mi samych rozczarowań. Nie marnujmy już czasu na wspomnianie go. Co powiesz na jeszcze jeden kielich wina i może truskawkę?”.

– Nie było ci dane dojść do biegłości w Sztuce – oznajmił Jerydd. – Gdybyś był jednym z moich uczniów, a wkrótce dołączysz do ich grona, wiedziałbyś, że się zbliżam, nim się zjawiłem.

– Zatem potrafisz też przewidywać przyszłość?

Mawyndulë pomyślał, że kel z rozmysłem blokuje przejście. Żeby opuścić balkon, książę musiałby odepchnąć starca na bok. Musiałby go dotknąć. Mawyndulë nie miał ochoty egzystować w tej samej przestrzeni co Jerydd i zdecydowanie nie zamierzał go dotykać. Przesunął dłońmi wzdłuż wąskiej ścianki balkonu. Może mógłby stąd zejść po murze? Ale powierzchnia skały była jak wypolerowana i nawet na tej wysokości lśniła od wilgoci. Równie dobrze mógłby się opierać o lód.

– Potrafię robić wiele rzeczy. Gryndal też potrafił. Czy wiesz, że był w stanie obserwować wydarzenia rozgrywające się setki mil dalej? Nazywamy to „jasnowidzeniem”. Nawet Feneliusa nie posiadała tej sztuki.

– Wcale mnie to nie dziwi. Gryndal był znacznie lepszy niż...

– Nie waż się kończyć się tego zdania. – Jerydd wyszedł na balkon, unosząc dłoń.

Mawyndulë zamarł, pamiętając, jak Gryndal pstryknięciem palców rozerwał Rhuna na strzępy.

– Gryndal wydawał się dość obiecującym uczniem, miał trochę talentu, lecz zgubiła go jego własna arogancja. Dałem sobie z nim spokój lata temu.

– Dałeś sobie z nim spokój?

– To ja uczyłem go Sztuki.

– Ty uczyłeś Gryndala? Ojciec mówił mi, że Gryndal kształcił się w akademii. Że uczył go mój brat.

Jerydd się uśmiechnął.

– W skali całego życia będziesz miał wielu nauczycieli, Mawyndulë. Tak było i z Gryndalem. Istotnie uczęszczał do Akademii Sztuki, lecz podobnie jak w twoim przypadku zaproponowałem, by został moim uczniem. Ponieważ był mądrzejszy od ciebie, z wdzięcznością przyjął moją propozycję. A po tym, jak dałem za wygraną, znalazł sobie innego mentora.

– Kto to był?

– Ta sama osoba, która uczyła Feneliuse.

Mawyndulë nieufnie przymrużył oczy. Nikt nie uczył Feneliusy. To ona wynalazła Sztukę. Tak mówił mu ojciec. Kel po prostu się chełpił, próbował pozować na ważnego.

Jerydd pokręcił głową.

– Za bardzo przypominasz Gryndala. Widzę, jaki wpływ wywarł na ciebie, ale nie pojmuję, w jakim celu. Chciał cię do czegoś wykorzystać, ale do czego?

– Gryndal był moim nauczycielem.

Kel zaśmiał się w odpowiedzi.

– Gryndala nie interesowało uczenie kogokolwiek. Miał tylko jeden cel i była nim władza. To dlatego przybył do mnie w poszukiwaniu wiedzy i dlatego opuścił mnie, gdy we własnym pojęciu znalazł lepszego nauczyciela. Jego celem zawsze była władza i z jakiegoś powodu uważał, że jesteś dlań częścią tej ścieżki. Nie rozumiem tylko, dlaczego. – Westchnął. – To bez znaczenia. Ten Fhrej już nie żyje. Spłonął w ogniu własnej arogancji, a jego plany przepadły razem z nim. Moim zadaniem będzie zaś naprawienie ciebie. W normalnych warunkach nie zwracałbym sobie tym głowy. – Lekceważąco machnął dłonią w stronę Mawyndulëgo. – Marny z ciebie materiał, ale jesteś księciem, dzięki czemu masz przynajmniej w teorii szansę na zdobycie tronu. Choć twoją jedyną zasługą jest pochodzenie, będziesz miał szansę zostać fane'em, zatem muszę przynajmniej spróbować zrobić z ciebie porządnego Fhreja. Jestem to winien Ferrolowi oraz naszemu ludowi.

– Nie jestem wybrakowany.

– Ależ jesteś, i to pod wieloma względami. Na szczęście masz jeszcze setki lat na to, żeby nadrobić stracony czas.

– I zamierzasz mnie uczyć?

Jerydd się uśmiechnął.

– Sądzisz, że pobieranie nauk ode mnie będzie nudne? Mnóstwo drętwych ćwiczeń, takich jak te, które zadawano ci w szkole? Co powiesz na to, żebyśmy zaczęli naszą pierwszą lekcję już teraz?

Mawyndulë wyczuł w tej sugestii zawołowaną groźbę. „Pierwsza lekcja: ja wyrzucę cię przez ten balkon, a ty naucz się latać!”.

– Przykro mi, mój ojciec powiedział, że dziś rano wyruszamy. Śpieszy mu się, żeby zabić paru ludzi, a ja będę mógł na to patrzeć.

Jerydd skinął głową, a jego sędziwe, pomarszczone usta rozciągnęły się w szerszym uśmiechu.

– Co powiesz na to, żeby zrobić coś więcej aniżeli patrzeć? Twój ojciec powiedział mi, że nienawidzisz swojej byłej nauczycielki. Powstrzymała cię przed wymierzeniem sprawiedliwości po śmierci Gryndala. Pragniesz ukarać ją za to, czyż nie?

– Jest zdrajczynią. Powinna umrzeć. Tak mówi prawo.

– Tak, tak, prawo, oczywiście. Ale czy miałbyś ochotę zostać tym, który je wyegzekwuje? Tym, który wykona na niej wyrok?

Mawyndulë zagapił się na starca. Jasny płaszcz Jerydda łopotał w podmuchach wiatru, który potargał też pasma siwych włosów kela.

– Co powiedziałeś?

– Zeszłego wieczoru powiedziałeś prawdę. Nie udało mi się wypełnić rozkazu twojego ojca i zabić Arion. Nie popełnię dwukrotnie tego samego błędu,

ale jestem trochę za stary na długie podróże. – Wskazał wznoszącą się za ich plecami wieżę. – Jak sam czujesz, to jest niezwykle potężne źródło mocy. Z tego miejsca mógłbym zaatakować Alon Rhist, gdybym chciał.

– Poprzednio to nie podziałało na Arion.

– Zgadza się, nie podziałało. Istnieją ograniczenia. Avempartha pozwala mi widzieć, słyszeć i posługiwać się Sztuką na wielkie odległości, ale nie jestem w stanie robić tego wszystkiego naraz. Potrafiłem odszukać Arion, ale potem musiałem zerwać kontakt i zaatakować na oślep. Ponowne zlokalizowanie jej było trudne, gdy już pojęła, co się dzieje. Gdybym miał kogoś tam, na miejscu, w centrum wydarzeń, kto mógłby mi posyłać wiadomości i nakierowywać moje ataki, mógłbym łatwo pokonać Arion. Potrzebuję tylko kogoś, kto by ze mną współpracował... Kogoś takiego jak ty.

– Jak mógłbym pomóc?

– I tu właśnie dochodzimy do tematu lekcji. Do tego okropieństwa, jakim jest nauczanie.

– Nie mam czasu się u...

– Gryndal potrafił widzieć na wielkie odległości, ja zaś umiem przemawiać z dystansu wielu mil. Mogę cię w tej chwili nauczyć, jak mnie słyszeć, a później będę mógł kontynuować kształcenie cię, gdy będziesz podróżował w stronę Alon Rhist. Kiedy już tam dotrzesz, będziesz mógł mi pomóc unieszkodliwić Arion. Dzięki tobie zdołam naprawić mój błąd, ty zaś zyskasz okazję, żeby się zemścić. Potem, gdy już tu wrócisz, pokażę ci inne rzeczy, które powinien umieć fane. Rzeczy, które uczynią cię niepokonanym na Arenie Carfreign.

Mawyndulë bez chwili zastanowienia kiwnął głową.

– Piękny wschód słońca, czyż nie? – zapytał Jerydd.

Mawyndulë ku własnemu zaskoczeniu musiał się zgodzić.

Rozdział czternasty

Dom z kości

To zdumiewające, jak często życie dostarcza nam złych doświadczeń pospołu z dobrymi, miesza triumfy z poniżeniem, doprawia szczęście smutkiem, a radość krzykami, które dręczą człowieka przez resztę życia, uniemożliwiając mu zaśnięcie w izbie wyposażonej w okno. A może było tak tylko w moim przypadku?

Księga Brin

Chociaż było przepiękne wiosenne popołudnie, Brin co chwila oglądała się nerwowo przez ramię, gdy szła przez most wspornikowy łączący Verenthenon i Kyp. Wspomnienie chwili, gdy tamta wilgotna dłoń zasłoniła jej usta, nadal przyprawiało ją o dreszcze.

„Spokojnie. Nie szarp się”.

Brin musiała komuś powiedzieć.

Gdyby mogła, udałaby się do matki. Potrzebowała usłyszeć, że wszystko się ułoży, i otrzymać krzepiący uścisk. Jej matka zawsze była w tym dobra. Niestety była też martwa.

„Mam cię”.

Brin załomotała do drzwi Kypu.

Okienko się otworzyło.

– Potrzebuję zobaczyć się z Persefoną – oznajmiła.

Drzwi się otwarły. Znano ją tu. Była Strażniczką Praw i z rozkazu keeniga mogła wchodzić, gdzie chciała.

– Persefona jest na najwyższym piętrze – oznajmił Elysan, wskazując kciukiem sufit.

Zamknął i zaryglował za dziewczyną odlane z brązu odrzwia, odcinając dopływ dziennego światła.

Brin powinna poczuć się bezpieczniejsza za tymi solidnymi, strzeżonymi drzwiami. Tak się jednak nie stało.

„Muszę cię tylko zawlec na stertę”.

– Brin!

Persefona, cała w uśmiechach, odwróciła się, gdy dziewczyna wetknęła głowę do sali spotkań. Keenig siedziała przy jednym z czterech stołów, wokół których zgromadzili się wodzowie i Fhrejowie, wszyscy z poważnymi minami. To nie było spotkanie rady, bo te odbywały się w Verenthenonie. Jednakże Persefona wyglądała na sfrustrowaną. Zanim Brin zdążyła się odezwać, keenig już wstała i ruszyła w jej stronę.

– Nie chcę przerywać, ja tylko...

Persefona uniosła dłoń, żeby ją uciszyć. Obejrzała się na tych, którzy pozostali w komnacie, i oznajmiła:

– Wybaczcie, muszę was na chwilę przeprosić. Lipicie, kontynuuj. Wrócę za kilka minut.

Z tymi słowy złapała Brin za rękę i wyciągnęła dziewczynę na korytarz.

Zamknęła drzwi, gwałtownie oparła się plecami o mur, zacisnęła zęby, po czym zaczęła walić głową w ścianę.

– Sefo! – wykrzyknęła Brin. – Przepraszam, nie chciałam...

Persefona znów uciszyła ją gestem.

– To nie twoja wina. Wierz mi, mam ochotę cię ucałować za to, żeś mnie stamtąd wyciągnęła. Nienawidzę, kiedy tamci się kłócą. Gula sądzi, że próbuję zniewolić ich klany, czyniąc ich zależnymi od dostaw żywności z Rhulynu, a rhulyńscy wodzowie są przerażeni, bo ich zmuszam, żeby uprawiali ziemię, podczas gdy Gula-Rhunowie ćwiczą się w walce. Nasi ludzie są przekonani, że Gula nas zdradza. I z każdym dniem dociera do mnie więcej raportów o incydentach, kłótniach i konfliktach pomiędzy Fhrejami a Rhunami.

Brin się uśmiechnęła.

– Cieszę się, że mnie to ominęło. Ostatnimi czasy wszystkie wasze zebrania wyglądają tak samo. Nie bardzo jest sens o nich pisać. Nawet posiedzenia rady są teraz w podobnym stylu.

Persefona zaczerpnęła głęboko tchu, żeby się uspokoić.

– Raithe wiedział, co robi, gdy odrzucił tę robotę. – Odepchnęła się od ściany. – Widujesz go kiedykolwiek? Mam na myśli Raithe'a?

Brin popatrzyła na nią skonsternowana.

– A nie siedzi tam, w komnacie?

– Nie. Dyskutujemy dzisiaj głównie o skargach klanów, a on praktycznie nie ma ani klanu, ani skarg. Już nawet nie pojawia się na większości spotkań rady. Ale nie o to mi chodziło. Miałam na myśli bardziej nieformalne okoliczności. Niezwiązane ze sprawami urzędowymi. Zdarza wam się rozmawiać?

– Czasami.

– Czy Raithe dobrze się miewa?

– Chyba tak.

– Czym się teraz zajmuje?

– Nie wiem. – Brin wzruszyła ramionami. – Chyba głównie uczy młodych walki na dziedzińcu. To tam najczęściej go widuję. On i Suri często chadzają też na spacer. Żadne z nich nie przepada za miastem. Czemu po prostu nie zapytasz go wprost, czym się zajmuje?

– Byłam ciekawa, to wszystko. – Persefona się uśmiechnęła. – Nieważne. Chciałaś czegoś czy po prostu przysłałaś tu, żeby mnie ocalić przed zwariowaniem?

Brin się zawahała, przygryzając wargę.

W spojrzeniu Persefony pojawił się niepokój.

– Co się dzieje? Co się stało?

– Myślę, że mamy tu raowa.

* * *

– Raow? – zapytał Raithe. – W Alon Rhist?

Tesh kiwnął głową.

Stali między potężnymi wieżami, na blankach ponad główną bramą, skąd roztaczał się niezrównany widok na Wielki Most i rozciągający się dalej płaskowyż Dureyi. Tesh wiedział, że zastanie Raithe'a właśnie tutaj. Blanki były jednym z niewielu miejsc, skąd mogli zobaczyć swoją ojczyznę bez konieczności wspinania się po kilkuset schodach na wysokie mury. Wiedział też, że Raithe lubi stąd podziwiać zachody słońca. Może kiedy wódz klanu Dureya patrzył na krainę, z której pochodził, przypominało mu to, jak daleko zawędrował, choć sama fizyczna odległość wcale nie była tak wielka. Raithe dobył miecza i przecierał klingę natłuszczoną szmatą. Roan nakazała wszystkim, żeby tak robili od czasu do czasu. Powiedziała, że w przeciwnym wypadku metal może się zepsuć, prawie jak surowe mięso. Raithe co rusz natłuszczał swoją broń. Dbał o nią tak, jakby był matką, a ten miecz noworodkiem.

W odróżnieniu od mieczy wszystkich pozostałych wojowników broń Raithe'a nie była dziełem Roan ani żadnego z licznych wyszkolonych przez nią płatnerzy. Czyszczony przezeń miecz wykuły karły. Persefona przywiozła go

z Neithu. Była to doskonała broń, dodatkowo opromieniona wyjątkową sławą. Wielu wierzyło, że wyryte na niej znaki mają czarodziejską moc. Powiadano, że ten miecz zniszczył górę, uczynił Persefonę keenigiem i zabił smoka.

– Raowy nie żyją w miastach, a już z całą pewnością nie w twierdzach – odrzekł Raithe.

– Brin jest przekonana, że to raow – naciskał Tesh. – Powinna się znać. Mówi, że już go słyszała którejs nocy, a ja widziałem w pobliżu jej domu odcisk pazurzastej stopy, i potem jeszcze jeden, kiedy byliśmy w tym labiryncie korytarzy i pomieszczeń pod Verenthenonem.

– Czekaj, co? Ty i Brin? Na Mari, co wyście robili tam na dole?

Tesh w zakłopotaniu przestąpił z nogi na nogę. Nie tyle próbował uniknąć odpowiedzi, ile zastanawiał się, jak powinna ona brzmieć. Nie chciał wyznać, że to wcale nie był jego pomysł i że to Brin zaprowadziła go do lochów.

Raithe zmarszczył brwi.

– Tesh, ona ma tylko czternaście lat!

– Czternaście? Nieprawda! Skończyła szesnaście... Miała urodziny parę miesięcy temu.

– A ty?

– Ja też mam szesnaście.

Raithe przewrócił oczami.

– Wiem, ile masz lat, ale gdzie jest twój dom? Gdzie twoje stada, twoje zboże, twoje futra, twoje pola, twoje pułapki na zwierzyne? Jak zamierzasz o nią zadbać? Jak planujesz wykarmić dziecko?

– Dziecko? Od kiedy dzieci biorą się z całowania?

Raithe się uśmiechnął.

– Nieważne. To o co chodzi z tym raowem?

Tesh patrzył, jak jego wódz ostrożnie wsuwa czarodziejską klingę do znacznie mniej imponującej pochwy.

– Sądzymy, że ktoś go ukrywa. Zajmuje się nim.

– Trzyma go jak oswojone zwierzę?

– Pewnie tak.

– Nikt nie hoduje raowów. Po co?

* * *

– Usłyszałam, jak dwóch ludzi rozmawia pod moim oknem – powiedziała Brin. – Jeden z nich był człowiekiem, a drugi raowem. Teraz wiem to już na pewno. Rozpoznałam go po głosie. – Wpatrywała się w przyjaciółkę tak długo, aż zyskała pewność, że Persefona rozumie. To był kolejny powód, który kazał

Brin z nią porozmawiać: Persefona nie potrzebowała szczegółowych wyjaśnień.
– Rozmyślałam o tym. Pamiętam, że człowiek powiedział coś o umowie, którą zawarli.

– O umowie?

Brin kiwnęła głową.

– Myślę, że ten człowiek ukrywał raowa i jakoś go karmił. Wspomniał o kimś imieniem Jada. Sądzę, że mógł zwabić Jadę do raowa.

Persefona już kręciła głową.

– Czemu ktokolwiek miałby trzymać takiego stwora? Jak?

– Pod Verenthenonem jest mnóstwo małych pomieszczeń. W jednym z nich widziałam odcisk stopy. To była stopa raowa.

– Mówią na to „duryngon” – powiedziała Persefona. – To więzienie. Wydaje mi się, że teraz stoi puste, ale Nyphron wspomniał, że wykorzystywali te cele do przetrzymywania różnych stworzeń, które badali. Nie powinnaś tam schodzić.

– Wierz mi, więcej nie zejść. Ale co, jeśli siedział tam raow i ktoś go wypuścił?

Persefona oparła potylicę o ścianę, przesuwając językiem po przednich zębach.

– Kto miałby zrobić coś takiego? I po co?

– Nie wiem, ale sądzę, że był to Rhun.

– Jakim sposobem Rhun miałby zyskać dostęp do raowa zamkniętego w duryngonie? To musiałyby być Fhrej. Tylko oni znają tamto miejsce i mają do niego dostęp.

Brin pokręciła głową.

– Ja znalazłam duryngon. Może ktoś inny też tam dotarł. Tamtej nocy, kiedy słyszałam głosy pod moim oknem, rozmowa toczyła się po rhuńsku.

– Nyphron zna rhuński. Jak wielu Fhrejów.

– Ale Fhrejowie nie rozmawiają po rhuńsku między sobą. Poza tym niewykluczone, że raowy mówią tylko po rhuńsku. Jak ten, który mnie złapał. A ten ktoś, kto rozmawiał z raowem, nie brzmiał jak Fhrej. Brzmiał jak człowiek.

Persefona zmarszczyła brwi ze sceptyczną miną.

– Nadal miewasz koszmary, prawda?

– To nie tak. Wiem, jak to brzmi...

– Brin, minęło niewiele czasu. Nadal budzę się po nocach zlaną potem, a to nie mnie porwał ten stwór.

– Mówię prawdę.

– W porządku, założmy, że masz rację. Skąd Rhun mógłby się dowiedzieć, że pod Verenthenonem siedzi uwięziony raow? I co kazałoby mu ukrywać takiego

stwora?

* * *

– Pamiętasz tamten dom w mieście pierwszego dnia po naszym przybyciu? – zapytał Raithe, gdy skręcili koło beczki z deszczówką na półpiętrze, schodząc po schodach. – Ten, w którym kiedyś mieszkał Malcolm?

– Ten, gdzie Malcolm wdał się w kłótnię z tamtym smętnym typem? – odparł Tesh.

Raithe potaknął, schodząc na trzecie półpiętro. Praktycznie zbiegali po schodach, ale ponieważ obaj mieli zdarte podeszwy butów, słychać było tylko, jak pochwy z mieczami obijają im się o biodra. Opuściwszy blanki, zmierzali do kuchni polowej rozstawionej na dziedzińcu, gdzie odbywały się treningi. Żadnej dyskusji, żadnego komentarza. Obaj po prostu ruszyli z miejsca, gdy tylko złowili woń dymu i mięsa opiekanego na wielkim rożnie. Perspektywa posiłku zawsze działała wabiąco.

– Tak. Meryl twierdził, że mieszka tam samotnie, ale w oknie na piętrze mignął mi ktoś jeszcze.

– Chyba pamiętam, że o tym wspominałeś, ale ja nikogo nie widziałem. – Teshowi zaburczało w brzuchu. Umierał z głodu. Godzinami ćwiczył podciąganie się na pierścieniach, biegał przez tory przeszkód oraz uczestniczył w sparringach, a potem łowił zapach jedzenia i zaczynała mu ciec ślinka.

– Tam, na górze, zdecydowanie znajdowała się jeszcze jedna para oczu. I ten ktoś cofnął się, gdy tylko go dostrzegłem.

– Co? Myślisz, że to mógł być raow?

Raithe wzruszył ramionami.

– Dlaczego Meryl twierdził, że mieszka sam?

– Może to była kobieta? Może Fhrejka?

– Też mi to przyszło do głowy, ale czemu miałby ukrywać coś takiego? Co go obchodzi, co sobie pomyślimy? I czy Malcolm nie wspomniał, że Meryl kłamie? Gryzło mnie to od tamtej pory. Czemu Meryl miałby kłamać?

* * *

Kiedy Brin opuściła Persefonę, było dla niej oczywiste, że pani keenig jej nie wierzy. W przeciwnym razie Persefona podjęłaby jakieś działania. Zamiast tego uparła się, że Brin ma zostać i zjeść z nią posiłek. Spokój Persefony kazał przypuszczać, że jej zdaniem dziewczynie po prostu przyśnił się zły sen.

Chociaż frustrowało ją bycie ignorowaną, Brin musiała przyznać, że faktycznie powinna coś zjeść. W czasie posiłku Persefona zadawała mnóstwo pytań na losowo wybrane nieistotne tematy, z których żaden nie miał nic wspólnego z raowami, niebezpieczeństwami czy bezsennymi nocami. Rozmawiały o tym, że Roan zaharowuje się w kuźni, próbując stworzyć doskonały metal. O tym, że karły służą jej teraz niczym wierni niewolnicy. I o ozdobnej tkaninie, nad którą pracowała obecnie Padera, złożonej z kwadratów, na których zostały wyhaftowane obrazki przedstawiające wydarzenia z poprzedniego roku, w tym walkę z Balgargarathem. To Brin wpadła na pomysł, żeby przedstawić opowieść na obrazkach, ale uznała, że niestosownie byłoby się tym chwalić.

Rozmawiały też długo o „Księżce Brin”. Brin napisała już trzydzieści stron o tym, jak powstał bogowie, jak Ferrol, Drome i Mari stworzyli Fhrejów, karły i ludzi, a także o tym, jak narodził się Zły zwany Uberlinem, co z jakiegoś powodu sprawiło, że dzieci Erebusa zwróciły się przeciwko swojemu ojcu i go zaatakowały. Ta część opowieści była niejasna. Niektóre słowa okazywały się trudne do interpretacji przez swoją wieloznaczność; co więcej, zapiski Prastarego były miejscami niełatwe do odcyfrowania. Historia bogów stanowiła pierwszą oficjalnie ukończoną część „Księgi Brin”, nie licząc przepisu na cudowny metal, który Brin spisała specjalnie dla Roan. Zapisane karty spoczywały teraz bezpiecznie w szufladzie, schowane w pokrowcu z owczej skóry. Brin opowiedziała Persefonie, że zamierza w ten sam sposób pisać całą księgę. Planowała kończyć poszczególne części, a później przechowywać je oddzielnie, żeby nie ryzykować, że całe dzieło jej życia ulegnie zniszczeniu w jakimś katastrofalnym wypadku. W którymś momencie – gdy całość już zostanie ukończona – Brin stworzy kopie, z których każda będzie pojedynczym wielkim, oprawionym tomem.

Zanim posiłek dobiegł końca, dziewczyna prawie już zapomniała o raowie. Domyślała się, że Persefona zatrzymała ją właśnie w tym celu. Gdyby raow był tylko nocnym koszmarem, Brin poczułaby się lepiej dzięki poczęstunkowi oraz bez troskłej rozmowie. Tak się jednak nie stało. Raow był prawdziwy, a kiedy Brin opuściła Kyp, słońce stało już nisko na niebie. Na widok wydłużających się cieni znów ogarnął ją niepokój.

Uzmysłowiła sobie, że nie zdąży wrócić do domu przed zmrokiem.

Doszła właśnie do schodów prowadzących w dół, do miasta, kiedy usłyszała okrzyk.

– Hej! Brin!

Okręciła się na pięcie i ujrzała, że Tesh zbiega po kamiennych schodach wiodących do fortecy, przeskakując w pośpiechu po trzy, cztery stopnie.

Przystanąła i czekała, przyciskając torbę do piersi i zaciskając zęby, żeby powstrzymać cisnący się na wargi uśmiech. Tesh ją lubił!

– Odprowadzę cię do domu, dobrze? – Był zdyszany po biegu, klatka piersiowa mu falowała. Odgarnął włosy z oczu i otarł pot z czoła. Zachodzące słońce oświetliło jego twarz, uwydatniając nierówne zaczątki zarostu na podbródku, policzkach i górnej wardze.

Na Mari, jesteś piękny, pomyślała Brin.

– Boisz się, że coś mogłoby mi się stać?

– Trochę, tak.

Brin żartowała, flirtowała. Nie spodziewała się, że Tesh potwierdzi. Nie zjawił się, żeby ją oczarować, tylko żeby chronić. Ta troskliwość dobrze o nim świadczyła, ale sprawiła, że dziewczyna poczuła strach.

– Naprawdę? Co powiedział Raithe?

– Nie uważa, żeśmy powariowali. Co więcej, przypomniał mi o człowieku imieniem Meryl, który mieszka w mieście, na Wzgórzu Yolandy. Ten Meryl twierdzi, że mieszka sam, ale Raithe pamięta, że widział kogoś w oknie jego domu.

– I sądzicie, że ten Meryl ukrywa raowa?

– Nie jesteśmy pewni. W sumie wiemy tylko, że kłamie. No i ukrywa kogoś. Raithe zamierza jutro porozmawiać z Malcolmem, bo Malcolm mieszkał kiedyś z Merylem. A co powiedziała Persefona?

– Chyba mi nie uwierzyła. Uważa, że po prostu przyśnił mi się koszmar. Ale dowiedziałam się, czym są te małe pomieszczenia. To tak zwany duryngon. Więzienie. Persefona mówi, że Galantianie trzymali w tych celach stworzenia, które badali, więc może mieli tam raowa.

– Nadal nie rozumiem, jak ktoś zdołał ujarzmić raowa.

– Czyli ty też już przestałeś mi wierzyć? – Brin była więcej niż sfrustrowana tym, że wszyscy...

– Tego nie powiedziałem. Wierzę ci. Po prostu zastanawiam się, jak ktoś tego dokonał.

– Aha – powiedziała cicho.

– Wiesz, matka mi opowiadała, że raowy to potwory, które potrafią wymordować całą wioskę, a kości zabitych gromadzą w ogromnych stertach. Gdyby ktoś miał trzymać raowa w domu... to byłoby tak, jakby mysz trzymała kota, pojmujesz? To nie ma sensu.

– W trakcie rozmowy słyszałam, jak człowiek... jeśli chcesz, możesz go nazwać myszą... wspomniał o jakiejś umowie.

– W jaki sposób mysz miałaby zawrzeć umowę z kotem, i to głodnym? Sądzisz, że ten człowiek dysponuje jakąś czarodziejską bronią? Może ma

naszyjnik, który mu pozwala kontrolować raowa?

Zaintrygowana Brin spojrzała na Tesh, po czym pokręciła głową.

– Skąd ci przyszło do głowy... nieważne. Nie, nie sądzę, by istniał czarodziejski naszyjnik czy medalion. Ale jeśli ten raow siedział w więzieniu, to jak się wydostał? Może został wypuszczony. Może to wtedy zawarli umowę. Wiesz, ja zrobię coś dla ciebie, a ty zrobisz dla mnie coś innego?

– Czyli co, mysz uwolniła kota, uzyskawszy wcześniej obietnicę, że kot jej nie zje?

– No cóż, to też, ale mysz chciałaby czegoś więcej. W końcu wystarczyłoby zostawić kota w duryngonie. Mysz chciałaby w nagrodę jeszcze czegoś.

– Czego na przykład?

– Czegoś, na co raow by się zgodził. Czegoś, co tak czy inaczej chętnie by zrobił.

– Jak pozabijanie mnóstwa myszy?

– Tamtej nocy, kiedy podsłuchałam ich rozmowę, jeden z nich powiedział coś o czekaniu, aż nadejdzie wiosna. Nyphron sądzi, że Fhrejowie zaatakują wiosną. To może być nie tylko zbieg okoliczności.

– Już jest wiosna – odparł Tesh. – Wiesz o tym?

Schodzili stromą ulicą wyłożoną kocimi łbami, mijając dziesiątki budynków, gdzie w izbach paliły się świece, a zasłony w oknach były zaciągnięte. Wewnątrz przebywali Fhrejowie, a Brin zastanawiała się, czy niektórzy wyglądają właśnie na dwór, patrząc na przechodzących. Co porabiali tam w środku? I co myśleli na temat tych wszystkich Rhunów, którzy teraz chodzili sobie swobodnie po ulicach?

– Powiedziałaś, że ten cały Meryl mieszka na Wzgórzu Yolandy?

Tesh potaknął.

– Czyli to Fhrej?

– Prawdę mówiąc, nie. To człowiek. Był niewolnikiem jak Malcolm. Zdaje się, że po śmierci Shegona odziedziczył jego dom.

– Aha – odrzekła Brin, po czym westchnęła.

– Co się stało?

– No cóż, gdyby Meryl był Fhrejem, rozumiałabym, dlaczego chce wypuścić raowa, żeby ten pożarł wszystkich ludzi akurat wtedy, kiedy nadciągnie fhrejska armia. Świetny plan: owszem, przerażający i nieopisanie perfidny, ale całkiem niegłupi. Tylko że niewolnik będący człowiekiem nie miałby powodu, by zrobić coś podobnego. Meryl jest po naszej stronie.

– Nie byłbym tego taki pewien – odrzekł Tesh. – Wydaje mi się, że odpowiadało mu bycie niewolnikiem. Malcolm mówił, że Meryl czuje się jednym z nich. A podczas gdy większość fhrejskich lojalistów, w każdym razie

tych niebędących Instarya, spakowała się i wyjechała za rzekę Nidwalden zaraz po naszym przybyciu tutaj, niewolnik będący człowiekiem nie miałby takiej możliwości, niezależnie od tego, jak bardzo pragnąłby stać się Fhrejem.

– Serio? – Brin przygryzła wargę. – Czy tylko mi się zdaje, czy też wszystko nabiera sensu?

– Co masz na myśli?

– Myślę, że Meryl naprawdę mógł planować wypuszczenie raowa. Ale jak mam przekonać Persefonę, by mi uwierzyła?

– Potrzebujemy dowodów – odparł Tesh. – Wiem, w którym domu mieszka Meryl. Pójdę i rozejrzę się tam. Teraz.

– Chcesz powiedzieć, że pójdziemy razem.

Tesh popatrzył na nią z powagą.

– Nie. Chcę powiedzieć, że ja pójdę. Jeżeli masz rację, Brin, to może być naprawdę niebezpieczne.

Potaknęła ze zmarszczonymi brwiami.

– Wiem o tym jeszcze lepiej od ciebie, wierz mi. Właśnie dlatego nie mogę cię puścić samego. – Popatrzyła na dwa miecze na jego biodrach i przypomniała sobie walki ćwiczebne na dziedzińcu. – Jak myślisz? Byłbyś w stanie pokonać raowa? Może powinniśmy...

Tesh wyprostował się i położył dłonie na głowicach mieczy.

– Walczę tymi ostrzami lepiej niż ktokolwiek z wyjątkiem Sebeka. Poradzę sobie z pojedynczym raowem.

– To w czym problem?

Tesh ustąpił.

– W porządku. Chodźmy odwiedzić imć pana Meryla. Sprawdzimy, czy faktycznie ma gościa.

* * *

Brin, która nie знаła tej dzielnicy miasta, podążyła za Teshem. Patrzyła, jak chłopak więcej niż raz przystaje i rozgląda się niepewnie. Ulice w mieście Rhist tworzyły chaotyczny labirynt, a gęsta zabudowa układała się w piętra, tak że Tesh często spoglądał z góry na ulicę, na którą chciał się dostać, ale nie wiedział, którędy można tam zejść. Brin już zaczynała się martwić, że nie uda im się odnaleźć poszukiwanego miejsca, kiedy nagle Tesh przystanął.

– To tutaj – oznajmił, wskazując dom, którego kołatka miała kształt miecza i tarczy.

– Mijaliśmy ten budynek już dwa razy – powiedziała Brin.

– Tak, ale z drugiej strony – wyjaśnił Tesh.

Zdaniem Brin nie było to zadowalające wytłumaczenie.

Teraz już we wszystkich okolicznych domach paliły się światła. Dom Meryla jeszcze bardziej rzucał się w oczy przez ich brak.

– Myślisz, że jest pusty? Opuszczony? – zapytała Brin.

Tesh wskazał stojące pod oknami donice.

– Nie. Ktoś podlewa te kwiaty.

– To czemu jest tu tak ciemno?

– Wydaje mi się, że okna są zasłonięte kocami – odparł Tesh.

– Fhrejowie nazywają te tkaniny zasłonami – wyjaśniła Brin. – W domu, w którym mieszkam, też wiszą takie. Są ładne, ale nie blokują całego światła. Gdyby wewnątrz stały zapalone lampy, byłoby je widać. Może w środku nikogo nie ma?

– Możliwe, ale wątpię, żeby Meryl zabierał tego stwora na spacer. Pewnie po prostu woli trzymać go w ciemności. Czy raowy potrzebują światła?

– Nie wydaje mi się. Ten, który mnie porwał, nie potrzebował. Raczej bez problemu widział w ciemności. – Brin znów popatrzyła na miecze Tesha. – Te ostrza mogą okazać się mniej przydatne, gdy będziesz ślepy.

Tesh uśmiechnął się do niej łobuzersko.

– Myślę, że mogłabyś się zdziwić.

Te słowa powinny ją podnieść na duchu, i faktycznie tak się stało – mniej lub bardziej – ale Brin nadal pamiętała, jak tamta dłoń nakryła jej twarz: silna, zimna i wilgotna. Długie kościste palce zacisnęły się na jej policzkach, aż dziewczyna poczuła, jak czubki ostrych pazurów wbijają się w skórę.

– Serio? Jesteś aż tak dobry?

– Wystarczająco dobry, żeby martwić się tylko o ciebie.

Na jej policzkach rozkwitł kolejny ciepły rumieniec. Cieszyła się, że jest ciemno.

– To jaki mamy plan? – zapytał Tesh.

– Może na początek zapukamy?

Tesh uniósł brwi.

– Nic tak nie dodaje przewagi w walce jak element zaskoczenia.

– To nie jest walka. Myślę, że powinniśmy w pierwszej kolejności porozmawiać z tym całym Merylem. Wystraszyć go. Może wręcz zażądać, żeby nam pozwolił przeszukać swój dom. Jeśli odmówi, albo zrobi coś podejrzanego, będziemy mogli wrócić do cytadeli i powiedzieć Persefonie.

Tesh wzruszył ramionami.

– W porządku, zrobimy to po twojemu.

Zapukał do drzwi wejściowych.

Z pewnej odległości dolatywały ciche głosy rozmawiających na ulicy, niewidocznych w mroku Fhrejów. Brin pomyślała, że to ciekawe, do jakiego stopnia dźwięki niosą się w nocy – znacznie bardziej niż za dnia. Jej lud mieszkał tutaj w cudzych domach, a rzadko zdarzało jej się widywać – czy choćby słyszeć – rdzennych mieszkańców tego miasta. Fhrejowie potrafili skutecznie się ukrywać. Wychodzili po zmierzchu, gdy ulice zdążyły już opustoszeć. Brin od jakiegoś czasu nie miała wątpliwości, że Fhrejowie widzą w ciemności lepiej niż ludzie. Z pewnością byli szybsi i zwinniejsi. Czasem zdarzało jej się dostrzec jednego z nich kątem oka, ale zanim zdążyła się odwrócić, znikał niby cień. Kojarzyli jej się z duchami, z widmami, których głosy słyszeć w mroku. Wyobrażała sobie, że przychodzą późną nocą do rhuńskiej dzielnicy i gromadzą się na zewnątrz, żeby narzekać na Rhunów, którzy wszystko tutaj niszczą. Sama wizja Fhrejów wychodzących po ciemku na dwór sprawiała, że jawili się dziewczynie jako niewiele lepsi od raowów.

Stojąc na pogrążonej w mroku ulicy w zamieszkaney przez Fhrejów części miasta, Brin wiedziała, że nie powinno jej tu być.

Czy ja oszalałam? – pomyślała. Może i tak.

Upłynęło prawie dziewięć miesięcy, odkąd została porwana, a mimo to nadal prześladowały ją koszmary. Raow zdołał ją złamać, choć nie nabił jej nawet jednego siniaka. Jako dziewczynka Brin bała się ciemności, więc matka pozwalała jej zasypiać przy świetle zapalonego kaganka, chociaż był to kosztowny sposób radzenia sobie z dziecięcym lękiem. Brin w końcu zmusiła się, żeby go przewyciężyć: leżała nieruchomo na posłaniu, dygocząc, wychwytyjąc każde skrzypnięcie i każdy podmuch wiatru, czekając... nie wiedziała, na co właściwie. Kolejnego ranka poczuła się wolna. Miała nadzieję, że z raowem będzie podobnie. Że zaciśnie zęby, stawi potworowi czoło i wreszcie uwolni się od strachu przed nim. Mimo wszystko nie odważyłaby się przyjść tutaj samotnie. Może jestem szalona, pomyślała, ale jeszcze nie zwariowałam do reszty. Rozmawiając z Teshem udawała, że nie wie, jakie są jego możliwości. Przez całą zimę obserwowała, jak trenował. Wiedziała, że jest piekielnie sprawnym wojownikiem. Nie mogłaby sobie wymarzyć lepszego obrońcy. A mimo to...

Żeby pokonać tamtego pierwszego raowa, potrzebny był smok, pomyślała. A dokładniej, Gilarabrywn.

Nikt nie zareagował na pukanie. Tesh zastukał ponownie. Znów czekali. Nic. Brin westchnęła.

– Pewnie będziemy musieli tu wrócić o...

– Powinnaś tu zaczekać – przerwał jej Tesh.

– Zaczekać? Jak to zaczekać?

– Tak będzie bezpieczniej. – Tesh podniósł zasuwę i kładąc dłoń na rękojeści miecza, otworzył drzwi.

– Nie możesz tam wejść!

– Nikogo nie ma w domu.

– Wiem. I właśnie dlatego nie możesz tam wejść!

Tesh posłał jej zafrapowane spojrzenie.

– Ten stwór pewnie cię słyszy.

Te słowa sprawiły, że Brin zamilkła i ukryła twarz w dłoniach.

Raowy kochają twarze.

Tesh przekroczył próg, znikając w mroku, a ona została przed drzwiami, dygocząc z przerażenia.

Gapiła się w ciemność we wnętrzu domostwa, która przywodziła na myśl jaskinię, tunel prowadzący w straszną otchłań. Tesh wkroczył do leża potwora, a Brin czekała. I czekała.

Miała wrażenie, że stoi tak już od miesiąca, może dwóch, i przez cały ten czas nie drgnęła ani razu, nie zaczerpnęła tchu. Mogłaby się założyć o cały plon pszenicy po żniwach, że jej serce zamarło, przestało bić. Trwała w bezruchu, gapiąc się w mroczną pustkę i nasłuchując. Tesh poruszał się cicho i zwinnie niczym Fhrej, ale mimo to do uszu Brin docierały dźwięki. Ledwie słyszalny szelest, potem skrzypnięcie deski.

Więcej czekania.

I już żadnych dźwięków.

Ta cisza to dobry znak, pomyślała. Gdyby został zaatakowany, usłyszałabym odgłosy walki... Ale... Co, jeśli ten stwór pochwycił go od tyłu? Raowy mają w tym wprawę. Może trzyma go w tej chwili, a ta okropna łapa zakrywa mu usta, uniemożliwiając wydanie dźwięku?

Jej serce jednak biło. Jak mogła przeoczyć to gorączkowe łomotanie w piersi?

Nie mogę tu tak po prostu czekać!

Chciała przestąpić próg, ale zamarła, gdy wewnątrz domostwa pojawiło się światelko. Sunęło w stronę drzwi. Sekundę później Brin zobaczyła, że to Tesh. Niósł pojedynczą świecę w małym miedzianym lichtarzyku.

– Wszędzie jest pusto – oznajmił.

– Serio?

Potaknął.

– Czy... Czy byłeś też na górze?

Uśmiechnął się krzywo.

– Oczywiście, że byłem na górze.

– Znalazłeś tam... no... cokolwiek niezwykłego?

Skinął palcem, żeby ruszyła za nim, po czym wprowadził ją do środka.

– Jeśli niczego nie znalazłeś, nie szkodzi. Nie muszę patrzeć, wierzę ci na słowo.

– Nie, myślę, że powinnaś sama to obejrzeć. Wierz mi, nic nam nie grozi. Nikogo tutaj nie ma. Ani Meryla, ani raowa.

Odwaga, którą Brin czuła wcześniej, teraz błyskawicznie wyparowała, gdy do dziewczyny dotarło, że twarzy Tesha nic nie zagraża. Nie chciała wchodzić do tego domostwa, które niemalże krzyczało do niej, żeby trzymała się z daleka. Byli tutaj intruzami, było ciemno i... unosił się zapaszek. Brin nie miała pojęcia, co tak zalatuje, ale nie była to przyjemna woń.

– Naprawdę nie ma potrzeby.

Tesh był po drugiej stronie drzwi, już prawie zniknął w mroku, kiedy dała za wygraną i pobiegła za nim.

Domostwo pod wieloma względami przypominało budynek, w którym Brin teraz mieszkała, aczkolwiek nie sprawiało równie przyjemnego wrażenia. Było urządzone bardziej po męsku: mniej koronek, więcej butów. Obok drzwi stało pięć par skózanego obuwia z cholewami. Nie było żadnych malowanych wzorów na ścianach, waz ani kobierców. Wnętrze prezentowało się ascetycznie. Żadnych dekoracji, żadnych roślin. Tylko jeden szczegół przykuł wzrok Brin: w kącie naprzeciwko kominka stała piękna harfa wykonana z rzeźbionego, polakierowanego drewna. Prawdziwe dzieło sztuki.

Tesh poprowadził ją prosto ku schodom. Tu zapach był silniejszy. Nieświeży. Przywodził na myśl gnijące mięso. Tesh nie próbował ciągnąć jej za rękę ani zachęcać. Stał i czekał, obserwując ją ze współczuciem. Pewnie sądził, że jest okropnie tchórzliwa. On sam bez wahania krążył po całym domostwie. Czemu Brin była taka przerażona?

A której części zdania „zjadają ludzkie twarze” nie rozumiesz? – pomyślała.

Tesh twierdził, że dom jest pusty, ale może raowy – podobnie jak Fhrejowie – po prostu umieją się świetnie maskować.

Brin zacisnęła pięści oraz zęby i wspięła się po schodach w ślad za Teshem. Gdy dotarli na piętro, Tesh uniósł wysoko świecę, żeby dziewczyna mogła się rozejrzeć.

Całe piętro zajmowała jedna wielka sterta kości.

Długie, krótkie, grube, cienkie – jedne białe, inne pożółkłe. Było ich mnóstwo. Ogromny stos. Brin puściła poręcz i ruszyła naprzód, ostrożnie stawiając stopy na pustych fragmentach podłogi.

Czyli tak to wygląda, pomyślała jak w transie.

Stała pośrodku sterty przytłoczona tym widokiem. Każda z tych kości była kiedyś częścią ludzkiego ciała. Brin widziała obojczyki i piszczele, talerze kości

biodrowych przypominające pióra wioseł, zebra i czaszki.

Ilu ludzi zabił ten stwór? Ile dziewcząt podobnych do niej schwytał? Ile krzyczało, gdy pożerał ich twarze?

Potem uzmysłowiła sobie, że kości nie są spiętrzone byle jak. Wszystkie kości ramienne były zebrane w jednym miejscu i ułożone w jednakowy sposób, podobnie jak kości przedramion, ud i podudzi, a także stóp i palców. Każdą z nich pieczołowicie ułożono tak, by razem tworzyły jakiś pokręcony wzór, którego częścią był również pierścień z czaszek ułożonych twarzami na zewnątrz, tak że przypominały niemych strażników.

To jego łoże, pomyślała Brin. Te czaszki strzegą go, gdy śpi.

– Brin? – odezwał się Tesh.

Ledwie go usłyszała. Stała jak przymurowana.

– Wszystko w porządku?

Nie miała pojęcia, co odrzec. Płakała, szlochała, łzy ciekły jej po policzkach.

– Ja... – zaczęła.

A potem spostrzegła chustę.

Światło świeczki Tesha ujawniło leżący na podłodze kłęb wełnianej tkaniny w barwach klanu Rhen: zieleni, czerni, błękit. Brin natychmiast rozpoznała dzieło rąk swojej matki. Podniosła chustę.

– To należy do Sefy.

Tesh z kolei podniósł migotliwy błękitno-żółty płaszcz.

– A to do Nyphrona.

– Meryl ukradł obie te rzeczy.

– Po co?

Brin wytrzeszczyła oczy.

– Meryl nie wypuści raowa, żeby ten pozabijał mnóstwo ludzi. Chce go napuścić na konkretne osoby. Chodź! Musimy się śpieszyć. – Zawróciła, żeby zbiec po schodach. – Wiem, czemu raowa tu nie ma, i wiem, gdzie teraz jest.

Rozdział piętnasty

Przez wąskie okno

Większość ludzi lubi okna, ja jednak sędzę, że przypominają oczy – oczy bez duszy, zapraszające do wnętrza stwory, przed którymi rygluje się drzwi. Owszem, zapewne jestem odosobniona w tym odczuciu... lecz podziela je Persefona.

Księga Brin

Persefona siedziała w ciszy swojej sypialni, obracając w palcach srebrny pierścień, który nosiła na łańcuszku na szyi – pierścień Reglana. Próbowwała sobie przypomnieć, kto jej go oddał. Konniger miał go na palcu, kiedy zginął. Ktoś musiał przynieść Persefonie pierścień po pogrzebie, ale nie pamiętała, kto to był. Może Tope albo Wedon... Nie, to była Tressa. Persefona skinęła głową gwiazdom za otwartym oknem naprzeciwko jej łóżka.

Tak, to była Tressa.

Zgodnie ze zwyczajem oddała pierścień nieżyjącego wodza.

Jak mogłam o tym zapomnieć? – pomyślała Persefona.

Oczy Tressy były wówczas pełne łez, na policzkach lśniły wilgotne smugi. Straciła męża – Persefona wiedziała, jakie to uczucie.

Persefona wcześniej okłamała wszystkich, mówiąc, że Konniger zginął, walcząc z niedźwiedzią. Nie było potrzeby szkalować zmarłych ani zawstydząć żyjących. Jednakże i tak pojawiły się plotki. W dahlu zawsze plotkowano. Persefona nie miała pojęcia, od kogo Tressa dowiedziała się prawdy albo kto jej powiedział. Może sama Tressa nie potrafiła uwierzyć, że jej mążonek zginął męczeńską śmiercią, i zaczęła zadawać pytania.

Tressa знаła prawdę, a mimo to odniosła pierścień. Była sekutnicą, ale nie tchórzem.

Ten srebrny pierścień, który zdobił dłoń męża Persefony przez ponad dwadzieścia lat, był wszystkim, co jej pozostało z dawnego życia. Srebro częściowo poczerniało. Reglan spłodził córkę z Maeve, a później zarządził, żeby wyniesiono niemowlę do lasu i pozostawiono tam na pewną śmierć. Mężczyzna, którego Persefona kochała bezwarunkowo przez dwadzieścia lat i któremu ufała, nie tylko ją oszukał. Zachował się jak potwór – zabił dziecko, a w każdym razie tak uważał. Trudno było dojść do ładu z tą świadomością. Nie sposób oczyścić takiej plamy.

Persefona zsunęła pierścień z łańcuszka i uniosła go w migotliwym blasku stojącej na stoliku świeczki. Minął rok. Okres żałoby dobiegł końca.

– Wiem, że mnie kochałeś – powiedziała do srebrnego krążka. – Ja też nadal cię kocham bez względu na to, co zrobiłeś. Nie potrafię przestać. Nie mogę cofnąć tego, co było. I... – Przełknęła z trudem. – I tęsknię za tobą. Tak strasznie tęsknię. Nadal pamiętam, jak pachniałeś, wiesz o tym?

Łza spłynęła po policzku Persefony. Pozwoliła jej spaść.

– Tworzyliśmy świetny duet, ty i ja. – Przygryzła wargę. – I to głupie, o jakich rzeczach wciąż rozmyślam: o tym, jak zwykłeś postukiwać stopą w trakcie zebrań klanu albo o tym, jak zabawnie się śmiałeś. Czasami mam wrażenie, że w tłumie ludzi słyszę twój śmiech. Rozglądałam się wtedy, ale ciebie nigdy tam nie ma. – Dygocząc, zaczerpnęła tchu. – Wszystko się zmieniło.

Była sama w komnacie położonej na jednym z wyższych pięter Kypu. Otaczały ją grube na kilka stóp mury z obrobionego przez Fhrejów kamienia. Sypialnia miała tylko jedno wąskie okno, które nie wychodziło na Rhist. Drzwi były zamknięte. Nikt nie mógł usłyszeć, co dzieje się wewnątrz. Mimo to wypowiedanie słów przychodziło Persefonie z trudem. Potrzebowała je usłyszeć, potrzebowała wyrzec je na głos, żeby stały się prawdą. I może Reglan naprawdę jej słuchał. Miała nadzieję, że tak jest, bo potrzebowała się wytłumaczyć.

– Wszystko się zmieniło, odkąd cię nie ma. Rozumiesz, prawda? Zawsze byłeś taki praktyczny, a teraz to ja jestem keenigiem. Tak, czy potrafisz w to uwierzyć? Ja keenigiem. – Zaśmiała się cicho, ze smutkiem. – Mam powinności. Obowiązki. Ty mnie tego nauczyłeś.

Pozwoliła, żeby pierścień zsunął się do wnętrza jej dłoni, i zacisnęła na nim palce. Zamknęła oczy, z których pociekło więcej łez.

– Wybaczam ci – wyszeptała, ale w jej sercu te słowa rozbrzmiały znacznie głośniej. – Wybaczam ci, ukochany. Mam nadzieję, że ty też będziesz potrafił mi wybaczyć. – Wyciągnęła rękę, rozwarła palce i pozwoliła, by pierścień spadł. Usłyszała, jak stuknął o posadzkę i gdzieś się potoczył. – Żegnaj, Reglanie.

Zapłakała, kryjąc twarz w dłoniach. Zdawało jej się, że płacze bardzo długo. W końcu otarła twarz i wzięła głęboki wdech. Czuła się wyczerpana, wszystkie

mięśnie miała obolałe i słabe jak tuż po walce. Czuła się też pusta w środku i samotna. Tak strasznie samotna.

Siedziała z zamkniętymi oczami i odchyloną do tyłu głową, słuchając własnego oddechu.

Potem otworzyła oczy – i wrzasnęła.

* * *

Brin słyszeła z tego, że szybko biega, ale nie trenowała codziennie przez prawie rok tak jak Tesh. Gdy dotarli do drugiej bramy, musiała zwolnić do marszu, łapiąc z trudem oddech. To tam Tesh wreszcie zdołał ją dogonić.

– Biegnij... dalej... – Machnęła na niego ręką.

Tesh nie marnował powietrza na odpowiedź. Nie był już w stanie biec, ale stać go było na trucht.

– Tuż... za... tobą... – usłyszał głos Brin, gdy ją mijał.

Na jej twarzy nadal malowało się przerażenie.

Tesh w pierwszej chwili nie rozumiał, co oznaczają tamte dwie sztuki odzieży. Czyli Meryl był złodziejem. Kogo to obchodziło, skoro trzymał w swoim domu potwora? Brin nie marnowała czasu na wyjaśnienia, tylko ruszyła pędem. Tesh w końcu pojął wszystko, kiedy dotarli do schodów prowadzących do pierwszej bramy, gdzie stała psiarnia, w której Asendwayrowie trzymali psy myśliwskie. Meryl zamierzał użyć swojego zwierzątka, żeby zamordować przywódców rebelii. Ale Persefona przebywała teraz w Kypie, w niezdobytej cytadeli. Nawet Raithe nie mógł tam wejść bez zaproszenia.

A czy mógł dokonać tego raow?

Zimowe noce w Dureyi były długie i mroczne. Starsi wieśniacy snuli wówczas opowieści, rodzice opowiadali dzieciom baśnie. Dureyańskie bajędy nigdy nie były przyjemne; miały budzić trwogę i ostrzegać. Legenda o raowie nie stanowiła wyjątku:

*Ciemną nocą się podkrada,
By szponami zadać cios,
A kości swych ofiar składa
W ogromny, straszliwy stos.*

*Gdy poluje, gnany głodem,
Z mieczy, włóczy sobie kpi.
Dzisiaj porwał dziewczę młode
I w kryjówce teraz śpi.*

*Dzielny łowco, co z toporem
Podążyłeś kusić los,
Trop prowadził lasem, borem,
Wędrowałeś całą noc.*

*Biada, biada, choć już dnieje,
A drogę do domu znasz;
Raow cicho się zaśmieje,
Pożerając twoją twarz.*

Tesh pędem minął Verenthenon, pokonał wznoszące się spiralnie schody wzdłuż wewnętrznego muru i wypadł na długi kamienny most. Jeszcze jeden, ostatni sprint – i znalazł się u wrót Kypu.

– Otwierać! – Załomotał do drzwi. Zgiął się wpół, opierając dłonie na kolanach i łapiąc głębokie hausty upragnionego powietrza. – Potrzebuję... zobaczyć się... z panią keenig.

Okienko w drzwiach otwarło się i wyjrzała przez nie para oczu.

– Za późno. Wróc rano.

– Nie mogę... To pilne.

– Kim jesteś?

– Tesh z klanu Dureya.

– Dureya, co? Spróbuj wrócić jutro.

– Nie rozumiecie. Muszę rozmawiać z keenigiem.

– Pani keenig już udała się na spoczynek.

– Nie obchodzi mnie to! To ważne!

– Czy to Raithe cię przysyła?

– Raithe? Nie.

– To czemu potrzebujesz audiencji u pani keenig?

– Ponieważ...

– Techylorze! – Tesh usłyszał za sobą znajomy głos.

Odwrócił się i zobaczył, jak z Verenthenonu wychodzi Sebek. Fhrej ruszył ku niemu przez wąski most.

– Sebek! – krzyknął z ulgą Tesh

– Zdawało mi się, że widziałem, jak tu wbiegasz. Miałem nadzieję, że zdążę cię złapać niżej, ale przemknąłeś obok mnie.

Sebek miał na sobie napierśnik oraz naramienniki. Jego zbroja z brązu była robiona na specjalne zamówienie: mniejsza, cieńsza i lżejsza niż w przypadku pozostałych Galantian. Mimo to rzadko zakładał pancerz do ćwiczebnych walk. Zawsze narzekał, że metal mocno się nagrzewa w słońcu.

– Tak. Słuchaj, musisz mi pomóc.

– Właśnie zamierzam.

Tesh posłał mu zaskoczone spojrzenie. Czyżby Brin już rozmawiała z Sebekiem? Mądra dziewczyna. Wskazał kciukiem wrota. Umieszczone w nich okienko już zdążyło się zamknąć.

– Ten dureń nie chce mnie wpuścić.

Sebek podszedł, szybko dobywając Grzmotu i Błyskawicy.

Tesh w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi. Czyżby Fhrej zamierzał rzucić się z mieczami na wrota? W jaki sposób to miałyby pomóc?

– Co ty robisz?

Fhrej się uśmiechnął.

– Czas na kolejną lekcję.

– Lekcję? Czy Brin ci nie mówiła? Musimy...

– Musisz się bronić.

Sebek pokonał resztę dzielącej ich odległości i zaatakował.

Tesh uchylił się przed ciosem pchany czystym instynktem i zawirował na pięcie tylko dzięki wyuczonym odruchom. Potem dobył obu swych żelaznych mieczy.

– To nie pora na lekcje!

Sebek uśmiechnął się szeroko.

– Zadyszałeś się, co? To chyba był długi bieg. Nie możesz oczekiwać, że wrogowie wyświadczą ci tę uprzejmość, żeby atakować tylko wtedy, gdy jesteś przygotowany. Czasem zaskakują cię w takich miejscach, z których nie ma jak się wycofać.

Zaatakował ponownie, a Tesh spostrzegł, że to natarcie wygląda inaczej niż zwykle. Przypuszczalnie nikt inny nie zauważyłby różnicy, ale po tylu starciach Tesh znał już techniki Sebeka na pamięć. To było coś innego. Ten atak był bardziej agresywny, bardziej frontalny... I szybszy.

Tesh odbił ciosy, dziękując Roan i bogom za broń wykutą z żelaza. Klinga z dowolnego innego materiału złamałaby się jak drewno. Impet uderzeń, które niemal wytrąciły mu miecze z rąk, odczuł aż w kościach. W przeszłości takie natarcie zawsze pozbawiłoby go broni, ale zdążył się nauczyć nowego chwytu oraz nowego sposobu zbijania ostrza przeciwnika, dzięki czemu mógł teraz kontynuować walkę.

Ujrzał zaskoczoną minę Sebeka i wykorzystał ten moment, by kontratakować oraz krzyknąć:

– Przestań! Musimy ratować...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo Sebek ponownie na niego natarł.

Zamachnął się z całej siły. Nigdy tak nie robiono. Wszyscy uczyli się nie zadawać w ćwiczebnej walce potencjalnie śmiertelnych ciosów. Należało je wyprowadzać tak, żeby partner, który ciut spóźni się z kontrą, nie zginął. Sebek właśnie łamał tę zasadę. Jeśli Tesh nie zdoła sparować jego cięć, Błyskawica rozetnie go na dwoje. Co więcej, Sebek zmniejszył dystans i nacierał z bliska, żeby włożyć w ciosy jeszcze większą siłę.

Co on wyprawia? Chce mnie zabić?

Tesh nie przejął się tym zbyt. W odróżnieniu od pozostałych instruktorów Sebek nie cackał się z uczniami. Wprost przeciwnie, nie szczędził im presji. Słyszał z tego, że zdarza mu się zadawać rany w czasie ćwiczeń, i podczas każdej walki z Teshem podnosił mu poprzeczkę. Teraz po prostu podniósł ją jeszcze wyżej. Tesh mógłby poczuć się dumny, że Fhrej nie okazuje mu litości – ucieszyłby się, biorąc to za przejaw szacunku, gdyby nie jeden szczegół: Sebek się nie uśmiechał. Zazwyczaj uśmiech nie znikał z jego twarzy w czasie starć. Ten Fhrej uwielbiał walczyć, a im zacieklejsza stawała się walka, tym bardziej się cieszył. Czasem zdarzało mu się wręcz zaśmiać z uciechy. Ten pojedynek rozwijał się nad wyraz ekscytująco, ale tym razem Sebek się nie śmiał, nie szczerzył radośnie zębów, nie uśmiechnął się ani razu. Minę miał... udręczoną.

Błyszczące ostrze podskoczyło, gdy Tesh sparował kolejne cięcie.

Sebek zawirował. Drugie ostrze zadźwięczało ogłuszająco, zderzając się z mieczem Tesha. Błyskawica, a potem Grzmot. Sebek nie musiał nikomu wyjaśniać, skąd wzięły się te nazwy. Ich pochodzenie znał każdy, kto choć raz się z nim starł.

Błysk! Huk! Natarcia następowały coraz szybciej – cios i odpowiedź – a Tesh był zmęczony po biegu. Treningi uczyniły go wytrzymałym, ale nie aż tak. Oddychał z trudem, a Sebek nie dawał mu czasu na złapanie tchu.

– Co wy wyprawiacie? – Chłopak usłyszał głos Brin. – Przestańcie!

Znajdowała się za Sebekiem. Fhrej natychmiast się cofnął i odwrócił, żeby stanąć z nią twarzą w twarz.

– Zejdź nam z drogi! – Brin stała na moście.

Jedno z ostrzy Sebeka pozostawało zwrócone ku Teshowi. Drugi miecz, dzierzony w wyciągniętej w przód ręce, celował prosto w Brin.

Przez ułamek sekundy Tesh był pewien, że w powietrzu wisi śmierć. Czuł jej zapach, czuł, że Sebek dosłownie dyszy pragnieniem zadania jej. Fhrej dźgnie Brin w samo serce – czystym, prostym pchnięciem niewymagającym od niego zmiany pozycji, dzięki czemu bez trudu sparuje ewentualny cios Tesha. To było oczywiste, tak jasne jak słońce. Tesh potrafił przewidzieć dalszy ciąg walki na trzy ruchy do przodu i już widział tę krwawą, pełną grozy scenę. Jak każde dzikie zwierzę, Fhrej już za moment ujawni swą prawdziwą naturę.

A potem ta chwila minęła.

Tym razem po błysku nie nastąpił cios, Grzmot nie poszedł w ślady Błyskawicy. Sebek rozluźnił ramiona, stając w neutralnej pozycji.

Brin przebiegła obok Fhreja, odpychając go, aż oparł się plecami o kamienny mur.

Sebek nie drgnął. Patrzył za nią, potem obejrzał się na Tesha. Nadal bez uśmiechu.

Brin dopadła do wrót i z całej siły załomotała pięściami w odlane z brązu odrzwia.

– Otwierać!

Okienko się otwarło.

– Kto... Brin?

– Jeśli w ciągu dwóch sekund nie otworzysz tych przeklętych przez Jędzę Tetlin drzwi...

I wtedy usłyszeli wrzask.

* * *

Persefona wrzasnęła, patrząc, jak stwór przeciska się między prętami w oknie. Chudy jak śmierć, o długich, kościstych kończynach i czarnych, tłustych włosach sięgających podłogi. Patrząc na to monstrum, gapiąc się na nie, Persefona nadal nie rozumiała, jakim cudem raow może się zmieścić w tak wąskim otworze. Pomyślała, że myszy też potrafią się rozplaszczyc, żeby precisnąć się przez szparę. Ale to nie była mysz. Persefona widziała już wcześniej takiego stwora, więc zaczęła się cofać w zgrozie, aż wpadła tyłem na łóżko.

Muszę uciekać!

Okręciła się na pięcie i pognąła do wyjścia. Chwyciła zasuwę, uniosła ją i popchnęła drzwi. Te uchyliły się, ale uderzyły o coś i nie chciały się otworzyć.

– Ratunku! – wrzasnęła Persefona przez szparę.

– Nikt nie przyjdzie – odrzekł raow.

Jego głos przywodził na myśl trzask łamanych kości i syk węży. Stwór nadal przeciskał się przez okno, dosłownie wlewając się do komnaty – jego ciało okazało się miękką, pozbawioną kości masą zamkniętą w luźnym worku ze skóry.

– Nie uciekniesz – wyszeptał.

– Pomocy! Niech ktoś tu przyjdzie! Ktokolwiek! Otwórzcie te cholerne drzwi! – krzyknęła ponownie Persefona. Rzuciła się całym ciałem na drzwi, aż zabolalo ją ramię.

– Nie ma dokąd uciec, nie ma gdzie się skryć – zanucił drwiąco raow.

Jego głowa i ramiona już znajdowały się w komnacie. Usiłował właśnie precyzyjnie przycisnąć biodra przez otwór, skręcając się i odpychając rękami od muru.

Jeśli zdoła się precyzyjnie przycisnąć cały, już po mnie, pomyślała Persefona.

Żałowała, że nie ma w ręku wykutego przez karły miecza, który niegdyś nosiła. Musiała się zadowolić odlanym z brązu, długim na dwie stopy czteroramiennym kandelabrem.

Usłyszała w głowie głos Moyi. „Podnieś miecz. Wsuń przed siebie lewą stopę, a kiedy ten stwór ruszy na ciebie, zrób krok w przód prawą, biorąc zamach”.

Znajdujący się na przeciwległym krańcu komnaty raow uśmiechnął się szeroko, demonstrując nierówne zębiska. Ślinił się łakomie, z jego ust zwisały długie lśniące pasma. Czerwone ślepia jarzyły się z ekscytacji, gdy wbijał w nią spojrzenie.

– Tak. Tak. Cóż za piękna, soczysta twarzyczka.

Persefona zaszarżowała z kandelabrem. Rąbnęła stwora prosto w łeb, ale zamiast usłyszeć satysfakcjonujący trzask, odniosła wrażenie, że walnęła worek piasku. Nie zdążyła zamierzyć się ponownie. Szponiaste łapy chlasnęły na odlew z prędkością atakujących węży. Persefona nie poczuła bólu, tylko pieczenie. Mimo woli powiedziała „Auu!”, co było dość absurdalne, zważywszy na to, ile krwi polało się z rany.

Cofnęła się. Kandelabr wypadł z jej dłoni. Nie puściła go, a w każdym razie nie zamierzała, ale usłyszała brzęk, gdy metal uderzył o posadzkę. Persefona też upadła. Kolana same się pod nią załamały. W jednej chwili stała, a w następnej już siedziała oparta plecami o łóżko. Chwyliła się za brzuch, w którym rozlewał się tępy, lecz narastający ból. Chciała wstać, lecz jej nogi odmawiały posłuszeństwa. Uświadomiła sobie coś jeszcze – jej koszula nocna kleiła się do skóry.

Czemu wszystko było takie mokre?

Koszula nocna zwisała w strzępach. Lniane płótno straciło białą barwę.

Persefona chciała wrzasnąć raz jeszcze, ale zabrakło jej powietrza. Chciała wstać i pobiec do drzwi, ale jej nogi kategorycznie odmówiły współpracy, tylko poruszały się niemrawo w śliskiej kałuży, która utworzyła się wokół ciała. Keenig mogła jedynie siedzieć i patrzeć, jak raow z uporem precyzyjnie przyciska się przez wąskie okienko. Długa, koścista ręka wyciągnęła się w stronę Persefony, chwytając powietrze szponami. Próbuje dotrzeć jej twarzy.

– Taka miękka, taka słodka, cóż za głód. Nie ruszaj się. Już czuję twój smak.

* * *

Dotarłszy na czwarte piętro, Tesh ujrzał, że przejście blokują dwie włócznie. Mogłyby przypadkowo osunąć się do takiej pozycji, gdyby istniał jakiś możliwy do uzasadnienia powód, który kazał komuś je zostawić w korytarzu. Stały pod kątem, a ich ostrza wbijały się w drewniane drzwi komnaty pani keenig, uniemożliwiając otwarcie ich od wewnątrz.

Tesh gnał przodem, a Brin zaraz za nim. Sebek – który nie mógł wiedzieć, jak ważny jest ten wyścig – dotarł na miejsce jako trzeci, tuż za nimi. Z dołu nadbiegali też inni. Tesh usłyszał tupot co najmniej tuzina ludzi, ale byli oni daleko na dole i musieli dopiero wspiąć się po schodach.

Bez wysiłku przeciął drzewca obu włóczni, odblokowując drzwi.

– Zostań z tyłu! – krzyknął do Brin, po czym otworzył je z rozmachem.

Keenig Persefona siedziała skulona obok swojego łóżka. A przez okno przeciskał się upiorny stwór o czerwonych ślepiach, szponiastych łapach i czarnych włosach.

Raow.

Poczwara zdążyła przedostać się przez wąski otwór mniej więcej do połowy – jej biodra i nogi nadal znajdowały się po drugiej stronie, a jedna wyciągnięta dłoń prawie dosięgnęła pani keenig. Raow podniósł wzrok, najpierw na Tesha, a potem wytrzeszczył oczy na widok Sebeka. Zawarczał, zasyczał, po raz ostatni zamachnął się na Persefonę i, chybiwszy, zaczął się wycofywać.

Zdumiony Tesh wytrzeszczył oczy. Kiedyś obserwował, jak wąż połyka mysz w całości. To niemożliwe, pomyślał, patrząc, jak raow wysuwa się z powrotem przez okienko. Zupełnie jakby nie miał kości.

Sebek nie wydawał się w najmniejszym stopniu skonfundowany. Bez wahania rzucił się w stronę okna, dobywając Błyskawicy i Grzmotu. Raow zadygotał i szarpnął się rozpaczliwie, pragnąc uciec czym prędzej.

Za późno, pomyślał Tesh.

Stwór tkwił w pułapce, unieruchomiony niczym zając we wnykach, a Sebek miał go dopaść lada moment.

Tesh spodziewał się, że raow poniesie szybką śmierć. Błyskawica i Grzmot były już blisko, poczwara zaś nie wyglądała na dużą ani szczególnie silną. Najbardziej przypominała pomarszczoną, zgarbioną staruszkę.

Sebek wyprowadził najprostsze pchnięcie. Tesh postąpiłby tak samo na jego miejscu. Nie było potrzeby kombinować. Jednakże ku zaskoczeniu chłopaka raow zbił klingę miecza gołą ręką. Jego długie pazury upiornie zazgrzytały w zetknięciu z ostrzem z brązu. Szybko jak żmija zaatakował drugą dłoń, zmuszając Sebeka do zablokowania ciosu.

A potem było po wszystkim. Raow ze stęknieniem przecisnął się do końca przez kratę w oknie i spadł, znikając im z oczu.

Sebek zagapił się na puste okno.

– *Culina brideeth!* – krzyknął i z gniewem uderzył dłonią o kamienny mur. Potem odwrócił się i spojrzał na Persefonę. – Ona jest ranna.

Tesh nie potrzebował Sebeka, żeby to wiedzieć. Brin też nie.

– Och, łaskawa Mari! – krzyknęła.

Tupot było już słycać na schodach, a parę sekund później do komnaty wpadła Moya z łukiem w pogotowiu i strzałą na cięciwie.

– Co się stało? Słyszeliśmy... – Ujrawszy Persefonę, zamarła i upuściła łuk. – Leć po Paderę! – krzyknęła do Brin.

Dziewczyna zakryła usta rozdygotaną dłonią i cofnęła się, wytrzeszczając oczy w zgrozie.

– Moya? – wyjąkała błagalnym tonem. – Moya, ona...

– Leć po Paderę. Ale już!

Brin zamruwała, potaknęła, po czym wypadła na zewnątrz.

– Mamy uzdrowiciela tu, w Rhiście – oznajmił spokojnie Sebek. – Jest dobry.

– Ściągnij go!

Sebek pośpiesznie opuścił sypialnię. Został tylko Tesh, który patrzył, jak Moya klęka obok Persefony i przyciska dłonie do krwawiącej obficie rany. Szeroko rozwarte oczy pani keenig gapily się w pustkę. Miała otwarte usta, ale nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. Była zlaną krwią, która zbierała się w fałdach koszuli nocnej. Oddychała – to był dobry znak. Ale chyba jedyny.

Moya otoczyła panią keenig ramieniem, podtrzymując jej głowę, żeby nie opadała w bok.

– Moya? – wyszeptała Persefona. Jej oczy odnalazły twarz Tarczy, a na ustach pojawił się słaby uśmiech.

– Jestem tu. Za późno, niech to szlag, ale jestem. – Moya ujęła oburącz głowę Persefony, patrząc jej głęboko w oczy. Tesh zastanawiał się, czy zrobiła to, żeby pani keenig lepiej ją widziała, czy żeby uniemożliwić jej patrzenie na rozchłapaną wszędzie krew.

– Jestem ranna – poinformowała Persefona.

– Wiem... Wiem. Ja... Przepraszam, że mnie tu nie było. Powiedziano mi... Ktoś powiedział, że wzywasz mnie na dół. Nawet nie wiedziałam, że udałaś się na spoczynek.

– Jestem ranna, Moya. Chyba poważnie. – Głowa Persefony kołysała się w górę i w dół, bo ciałem pani keenig wstrząsał dygot.

– Wszystko... – Moya głośno przełknęła ślinę. – Wszystko będzie dobrze. Wyzdrowiejesz, zrozumiano? Zajmiemy się tobą.

– Ty płaczesz – powiedziała pani keenig.

– Naprawdę? – zapytała Moya. – Przepraszam.

– Moya... – podjęła Persefona. – Ja chyba...

– Zamknij się! – wrzasnęła Moya tak głośno i gwałtownie, że wszyscy obecni w komnacie podskoczyli. Wszyscy oprócz Persefony. – Wszystko będzie dobrze! Wzdrowiejesz! Słyszysz mnie? – Przygarnęła do siebie głowę pani keenig i ucałowała jej włosy. – Nie waż się nawet myśleć, że mogłoby być inaczej. Nie waż się... Niech to szlag, jesteś silna. Przeżyłaś morze, poprowadziłaś nas do zwycięstwa w walce z Balgargarathem, zatłukłaś niedźwiedzicę nędzną małą tarczą! Przetrawasz to!

– Krwawię.

– Nie obchodzi mnie to!

Do komnaty wbiegło więcej strażników, zarówno Fhrejów, jak i ludzi. Wszyscy mieli poważne, zatroskane miny.

Tesh przesunął się bliżej okna, żeby zejść im z drogi. Zbliżył głowę do otworu, który okazał się zbyt wąski, żeby stwór mógł swobodnie przezeń przejść. Popatrzył w dół. Odległość od ziemi była spora.

Co, jeśli ten stwór nie spadł? Co, jeśli nie był martwy? Czy właśnie wracał do domu Meryla?

Z zewnątrz dobiegł donośny dźwięk dzwonu. Tesh nigdy wcześniej go nie słyszał. Domyślił się, że to jakiś alarm. Najwyraźniej wieści o ataku się rozeszły.

Do sypialni wkroczył nieznany Teshowi Fhrej, który, o dziwo, wyglądał staro: miał posiwiałe, przerzedzone nad czołem włosy i kilka zmarszczek. Ile lat musiał sobie liczyć, żeby tak wyglądać?

Szorstko rzucił jakiś rozkaz po fhrejsku, po czym przeszedł na rhuński.

– Połóżcie ją na łóżku. – Miał ze sobą torbę, którą położył obok pacjentki. – Co my tu mamy? Głębokie rany szarpane, a do tego...

– Co? – zapytała Moya.

Uzdrowiciel zaczął grzebać w torbie.

– Potrzebuję wody i potrzebuję, żeby ktoś szybciotko zdjął z niej tę koszulę.

– Dylonie, przynieś wody – poleciała Moya jednemu z Fhrejów, a sama zaczęła rozwiązywać troczki koszuli pani keenig. Potem spostrzegła stojącego przy oknie Tesha. – Tesh, wyjdź! I wy, reszta, też! Stańcie na straży przed drzwiami. Nie potrzebujemy publiczności.

Tesh opuścił komnatę.

Na zewnątrz, w korytarzu, tłoczyło się jeszcze więcej ludzi. Nie znał większości twarzy.

Co, jeśli ten stwór nie zginął? Jeśli nadal żył i był głodny, czy naprawdę po prostu by stąd uciekł? W domu Meryla leżały chusta... i płaszcz.

Tesh pognął w górę po schodach, przeskakując po trzy stopnie, aż dotarł na najwyższe piętro, gdzie znajdowała się prywatna kwatery Nyphrona. Tekchin pokazał kiedyś chłopakowi, którędy tam się idzie, ale Tesh nigdy nie był w środku. Nie czekał, nie zawahał się, nie zapukał. Po prostu odsunął zasuwę i wszedł do środka. Przywódcy Galantian tam nie było. W komnacie nie było też łóżka, jedynie stoły, krzesła, kominek oraz stojak z bronią. Nyphron miał mnóstwo broni. Również na ścianach wisiły tarcze, miecze, włócznie i hełmy. Żaden Dureyanin nie uwierzyłby, że można posiadać tyle bogactwa, a Nyphron dekorował nim ściany! Było tu też jeszcze dwoje drzwi, zatem łóżko musiało się znajdować w którejś z pozostałych komnat.

– Co ty tu robisz? – zapytał Nyphron.

Tesh odwrócił się gwałtownie i ujrzał, że fhrejski lord dopiero co wszedł z korytarza. Miał na sobie jedynie luźną szatę oraz sandały i wydawał się bardziej zirytowany niż zaskoczony. Ponadto sprawiał wrażenie kogoś, kto się śpieszy.

– Przysłali cię wartownicy strzegący głównej bramy? Ilu ich jest?

– Chyba tylko jeden.

– Jeden? – Nyphron popatrzył na Tesha tak, jakby chłopak był niespełna rozumu. – Jak to jeden? Na widok jednego nie uderzyliby w dzwon.

– W dzwon? Nie?

Nyphron odepchnął go i ruszył w stronę komnaty po prawej. Potem przystanął i popatrzył na Tesha.

– Skąd nadchodzą?

– Nadchodzą? Kto? – zapytał zdumiony Tesh.

Nyphron zagapił się na niego z niedowierzaniem.

– Czemu tu jesteś, skoro nic nie wiesz?

Spojrzenie przywódcy Galantian powędrowało ku mieczom Tesha.

Wnętrze komnaty za plecami Nyphrona tonęło w mroku. Docierające z salonu światło świec wyławiało z ciemności sam róg łóżka. Tesh ujrzał tam ruch. Dobył mieczy i rzucił się do ataku.

– Co ty... – Nyphron, z typowym dla Fhrejów refleksem, błyskawicznie umknął w bok.

Tesh wpadł do sypialni, kopniakiem otwierając drzwi na całą szerokość.

Był tam raow – zamarł zaskoczony, gdy padło na niego światło. Zasyczał i zamachnął się oburącz. Był szybszy niż Sebek, a teraz nic nie ograniczało jego ruchów.

– Zejdź mi z drogi – wysyczał. – Chcę tego, który pachnie ostem i kłamstwami.

Stwórz ponownie zamachnął się na Tesha.

Chłopak uniósł obie klingi, żeby nie dosięgły go szpony, ale siła ciosu odrzuciła go na ścianę.

Stwór natarł na Nyphrona. Przywódca Galantian, w nocnej szacie i sandałach, stracił równowagę. Tesh mu współczuł. Nikt, kto liczy sobie więcej niż siedem lat, nie spodziewa się zastać raowa w swojej sypialni.

Tesh miał niewiele opcji i choć czuł, że to głupia decyzja, zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała. Rzucił mieczem w stwora. Tej techniki oczywiście nie uczono na dziedzińcu. Klinga rąbnęła raowa w plecy pod takim kątem, że ostrze nie mogło go zranić, ale sama siła uderzenia wystarczyła, by odwrócić jego uwagę. Zaledwie na ułamek sekundy, ale dla Fhreja było to mnóstwo czasu. Nyphron odskoczył do tyłu. Uciekł z komnaty na korytarz, lecz wygłodniały raow ruszył za nim.

– Ty! – Głos stwora stał się piskliwy z entuzjazmu. – Tak, ty; ty i ten drugi! Wydostałem się, znów jestem wolny. Tak! I głodny. Zanim legnę dziś na spoczynek, czeka mnie uczta! Bankiet!

Tesh podążył za nimi. Zaraz za drzwiami komnaty Nyphron przywarował w pozycji zapaśnika, zerkając nerwowo na raowa, który rozcapierzył szpony, śliniąc się łakomie.

– Cóż za słodka twarz.

Potem zamarł, patrząc w stronę schodów.

Tesh stanął na progu komnaty akurat w chwili, gdy pojawił się Sebek z pełną determinacją miną. Dzierżył dwa obnażone miecze.

– Sebek, to ten... – powiedział Nyphron.

– Wiem, wiem – odparł Sebek.

Nyphron wycofał się, gdy Sebek stanął obok niego. Raow skupił uwagę na przeciwniku uzbrojonym w dwa ostrza.

– Przydałaby się klatka – skomentował Sebek.

– Zaiste, złowienie tego stwora wydawało się dobrym pomysłem przed laty, teraz mniej – przyznał Nyphron. – Ale kluczowe pytanie brzmi... Czy dasz sobie z nim radę?

Sebek nie odpowiedział od razu.

– Nie sędzę – oznajmił raow.

Tesh po raz pierwszy ujrzał starcie, w którym to nie Sebek zaatakował pierwszy. Uczynił to raow. Walka była nieludzko szybka i brutalna: ostrza przeciwko szponom, cięcia i błyskawiczne pchnięcia. Sebek zdołał zranić stwora, lecz ten sieknął go pazurami po udzie, tak że Fhrej stęknął z bólu. Tesh jeszcze nigdy nie widział, by Sebek ucierpiał w walce. Rana sprawiła, że Fhrej poruszał się mniej sprawnie, stał się wolniejszy, słabszy. Do chłopaka dotarło, że najsprawniejszy wojownik świata za chwilę przegra. Tesh miał jeszcze swój

drugi miecz, więc rozważał ruszenie z pomocą. Potem spostrzegł coś dziwnego. Raow zmienił tor natarcia, żeby nie zbliżać się do jednej z lamp oliwnych.

„Ciemną nocą się podkrada... Z mieczy, włóczy sobie kpi”.

Może tę opowieść powtarzano od pokoleń z konkretnego powodu, niekoniecznie po to, żeby nakłonić dzieci do trzymania się blisko domu.

Raow zaatakował i ponownie zdołał trafić Sebeka, tym razem w pierś. Szpony zerwały napierśnik Fhreja, tak że metalowa płyta zwisała bezużytecznie niczym złamane skrzydło drapieżnego ptaka. Kolejny szybki cios przeszył Sebeka trzema ostrymi jak sztylety szponami. Fhrej zatoczył się i opadł na jedno kolano. Ale raow nie chciał go zabijać.

Ma umowę z Merylem, pomyślał Tesh, i o dziwo, zamierza jej dotrzymać.

Raow odwrócił się, by zabić Nyphrona.

Podskoczywszy, Tesh ściągnął zamocowaną na ścianie lampę – wypełnione olejem gliniane naczynie z dziobkiem, z którego wystawał płonący knot. Lampa spadła na posadzkę i roztrzaskała się, rozbryzgując swoją zawartość. Ta zaczęła się palić, ale tylko niewielka jej część ochlapała raowa. Większość jedynie utworzyła kałużę wokół stóp stwora. Olej palił się dość niemrawo, więc – jak zobaczył z frustracją Tesh – ognia było za mało, by stanowił realne zagrożenie. Każdy zdołałby zdeptać płomień lub po prostu je ominąć. Zamiast tego raow wrzasnął ze zgrozą. Jego wytrzeszczone ślepia wypełniała panika. Rzucił się do ucieczki – w niewłaściwą stronę. Wpadł prosto na Sebeka. Błyskawica wbiła się w pierś stwora tak, że czubek głowni przeszedł na wylot. Fhrej wsparł się na rękojeści miecza, po czym na wroga spadł Grzmot: okrężne cięcie z szerokiego zamachu ścięło raowowi głowę. Ta wylądowała na posadzce, odbiła się i potoczyła w stronę schodów, gdzie spadła na pierwszy stopień, potem na drugi i trzeci. Spadała dalej, odbijając się od kolejnych stopni, podczas gdy Nyphron, Tesh i Sebek stali wokół kałuży płonącego oleju, wsłuchani w oddalające się *bum, bum, bum*.

W gęstniejącej chmurze czarnego dymu Sebek upuścił oba miecze i opadł na czworaki.

– Tesh, ściągnij tu Anyvala. – Nyphron podszedł do towarzysza i pomógł mu odsunąć się od ognia.

– Kogo?

– To nasz uzdrowiciel. Znajdziesz go na dole, na...

– Dobra. Wiem, gdzie on urzęduje. Byłeś dzisiaj drugim celem.

Tesh pobiegł ku schodom. Uginały się pod nim nogi. Szkolenie pomogło, ale nic nie mogło się równać z wyzwaniem, jakie stanowiła prawdziwa walka o życie.

– Drugim? – Głos Nyphrona osadził chłopaka w miejscu. – Tesh, przybiegłeś tu, na górę, bo sądziłeś, że ten stwór zamierza mnie zabić?

Skinął głową.

– Uratowałeś mi życie?

Tesh nie miał pewności, czy to było pytanie, czy nie.

– Tak.

Nyphron wyglądał na zafrapowanego.

– Idź już! Sprowadź Anyvala.

Tesh zbiegł po schodach. Nyphron zawołał jeszcze za nim:

– Potem obudź wszystkich w Rhiście! Tamten dzwon, który słyszałeś, to sygnał z wartowni przy głównej bramie. To znaczy, że nadeszli. Nadciągnęła armia fane'a. Zaczęła się wojna.

Rozdział szesnasty

Rozpalić ogień

Kiedy ludzie odkrywają, że uczestniczyłam w bitwie przy Wielkim Moście, uważają, że jestem bohaterką, bo myślą tak o wszystkich, którzy tam byli. Taka jest natura mitów. Jednakże w rzeczywistości podczas całej bitwy miałam tylko jedno zadanie. Jedno! I poniosłam porażkę. No, może nie porażkę, ale nikt nie mógłby rzec, że to, co się wydarzyło, było sukcesem.

Księga Brin

Podobnie jak większość ludzi w Alon Rhist, Raithe nie miał pojęcia, co oznacza bicie dzwonu, odgadł jednak, że nic dobrego. Doświadczenie mówiło mu, że odgłosy sygnalizujące nieoczekiwany komunikat, takie jak dźwięk rogów i bębnow, nigdy nie niosą dobrych wieści. Ponadto był Dureyaninem. Od urodzenia miał wdrukowane, że wszystko, co nowe – a już zwłaszcza głośne – stanowi zagrożenie. Raithe jako pierwszy wbiegł na blanki nad główną bramą twierdzy, bo już tam zmierzał, kiedy dzwon się rozdzwonił. Szedł odszukać Malcolma, żeby pogadać z nim o Merylu, ale kiedy go nie znalazł, postanowił odprawić swój codzienny rytuał. Co wieczór po zakończeniu treningu wspinał się na blanki, żeby popatrzeć na rozciągającą się na drugim brzegu rzeki krainę, gdzie się urodził. Zazwyczaj po prostu opierał się o mur, gapił się w przestrzeń i zadawał pytanie: dlaczego? Nie oczekiwał odpowiedzi, ale czuł, że należy o to pytać w imieniu wszystkich tych, którzy już nie mogli tego zrobić. Fakt, że Raithe jako jedyny opłakiwał wymordowanie klanu, który niegdyś tak desperacko pragnął opuścić, był czymś jeszcze gorszym niż ironia losu; przyprawiał go o mdłości.

Raithe dotarł na blanki jako pierwszy, ale zdecydowanie nie ostatni. Dźwięki dzwonu zwabiły tam dziesiątki ludzi zapytujących, co się dzieje. Znalazłszy się na szczycie muru, nikt już nie zadawał pytań. Wszyscy widzieli światła.

Raithe przypomniał sobie, jak stał na wale otaczającym dahl Tirre i patrzył na zebrane na wzgórzach rzesze Gula-Rhunów. Wszystkie te ogniska stanowiły przerażający widok – przypominały mnóstwo migoczących żółtych gwiazd. Teraz było inaczej, ale zdaniem Raithe'a ta różnica nie wróżyła dobrze. Za Wielkim Mostem płonęło mniej światła niż w Tirre, ale układały się w schludne, proste rzędy w równych odstępach. Raithe nie był ekspertem w dziedzinie wojskowości, ale odgadł, że taka precyzja to niedobry znak.

– Tak myślałem, że cię tu znajdę. – Malcolm przepchnął się przez gęstniejący na blankach tłum. – Jest ich mniej niż poprzednio, co?

– Czy to wszyscy? – zapytał stojący na lewo od Raithe'a rolnik Wedon.

Spędził zimę w twierdzy, stając się pierwszym włócznikiem Wedonem z drugiej kohorty Legionu Rhuńskiego, ale Raithe nadal widział w nim tego uprawiającego żyto i pszenicę gospodarza, którego niegdyś poznał w dahu Rhen. To samo dotyczyło Tope'a Wyżynnika i jego trzech synów. Wszyscy czterej mieli walczyć na pierwszej linii jako członkowie pierwszego rzędu pierwszej kohorty. Piwowar Bergin i garbarz Riggles również zostali włócznikami, ale mieli walczyć bardziej z tyłu. Piekarz Bruce i Filson, który wyrabiał kaganki, należeli do specjalnego pomocniczego oddziału łuczników, którym dowodziła Moya. Wszyscy zebrali się dookoła, żeby po raz pierwszy popatrzeć na wrogów, o których tyle słyszeli.

– Jak myślicie, ilu ich tam jest? – zapytał Bergin.

– Nie wiem, może dwa tysiące? – odparł Tope.

– Roan?! – zawołał Engleton do kogoś stojącego dalej w rzędzie gapiów.

Kobieta w skórzanym fartuchu stała, patrząc w dal tak jak wszyscy. Czy kiedykolwiek przestawała tak wytrzeszczać oczy?

– Czy moje naramienniki są już gotowe?

– Prawie – odrzekła Roan.

Raithe mógłby odpowiedzieć za nią. Przez ostatnie sześć miesięcy „prawie” było niemalże jedynym słowem, jakie wypowiadała Roan. Nawet jeśli jeszcze nie zaczęła nad czymś pracować, nawet jeśli pytanie było pierwszym sygnałem, jaki otrzymała, że coś jest potrzebne lub pożądane, jej odpowiedź zawsze brzmiała: „prawie”.

– Myślicie, że zaatakują jeszcze dzisiaj? – zapytał Grevious.

Stolarz z Menahanu był jedną z ostatnich osób, jakie dotarły na blanki, ale zjawiał się w pełnym rynsztunku, pod bronią: napierśnik i naramienniki, żelazny hełm, skórzany strój, tarcza i włócznia.

Ujrzawszy Greivousa, Bergin wyraźnie się zaniepokoił.

– Czy powinniśmy się uzbroić?

Greivous wzruszył ramionami.

– To z przezorności. Nie chciałem potem się śpieszyć w ostatniej chwili.

– Czy powinniśmy sformować oddziały? Ktoś wie? – zapytał Heath Coswall.

– Wedonie, ty jesteś pierwszym włóczęgiem. Co powinniśmy zrobić?

– Nie wiem.

– Dopiero co tu dotarli – odrzekł Raithe. – Wątpię, żeby planowali nocny atak po całym dniu maszerowania. Ale jutrzejszy dzień pewnie zacznie się o wczesnej porze.

– Będziemy na nich czekać czy zaatakujemy pierwsi? Ktoś wie? – zapytał Kurt, jeden z synów Tope'a. Był mniej więcej rówieśnikiem Tesha.

Raithe się rozejrzył. Był dostatecznie wysoki, żeby patrzeć ponad głowami większości obecnych. Tesh nie zjawił się na blankach. Pewnie znów zaszyli się gdzieś z Brin. Dzieciak wybrał sobie kiepski czas, żeby się zakochać.

Heath wychylił się nad krawędzią muru, próbując lepiej się przyjrzeć.

– Wolałbym, żeby zaatakowali już dziś. Sprzykrzyło mi się czekanie.

– Miejmy nadzieję, że oni są innego zdania – skwitował Raithe. – Może zebrało się ich tam ledwie parę tysięcy, ale my mamy tutaj jeszcze mniej żołnierzy.

Podniósł wzrok na Spyrok, ale zobaczył tylko ciemność.

Dlaczego Persefona nie kazała rozpaść ogniska sygnałowego?

* * *

Persefona wiedziała, że albo jest martwa, albo śni. Ponieważ nie miała żadnego doświadczenia w byciu martwą, uznała, że to jednak sen. Pierwszym sygnałem był fakt, że obok niej siedział Reglan. Znajdowali się na podwyższeniu w strażnicy dahlu Rhen, ale siedzieli na niewłaściwych krzesłach: on na Drugim, ona zaś na Pierwszym.

– Nadchodzą złe czasy, Sefo – oznajmił jej martwy małżonek. Wyglądał na zamyślonego. Poznawała to po tym, że siedział pochylony, splótszy dłonie, jak to miał w zwyczaju, ilekroć wydarzyło się coś okropnego. – Bardzo złe czasy. Musisz się przygotować, dziewczyno.

Spostrzegła na jego dłoni srebrny pierścień.

– Gniewasz się na mnie?

Popatrzył w dół na obrączkę z metalu, uśmiechnął się cierpko i pokręcił głową.

– Jestem zaskoczony, że nosiłaś go tak długo.

Persefona usłyszała ryk i odwróciła głowę.

– Nie patrz tam! – krzyknął Reglan.

– Co to?

– Wiesz, co to.

Nie wiedziała, ale miała poczucie, że powinna. Niepokojący dźwięk miał w sobie coś znajomego i budził w Persefonie potężne, sprzeczne uczucia: ogromną nadzieję oraz niezmierny smutek.

– Nie wiem. Powiedz mi.

– Nie mogę – odrzekł Reglan. – Jestem zaskoczony, że w ogóle mogę z tobą rozmawiać. Zazwyczaj to działa tylko w jedną stronę: obserwuję i słucham, ale gdy mówię, ty nie słyszysz. Musisz być bardzo bliska śmierci. Bariery między światami stają się wówczas znacznie cieńsze. Mimo wszystko nie mogę ci powiedzieć tego, czego nie wiem. – Zakołysał się na Drugim Krześle i potarł podłokietniki dłońmi, które wyglądały jak dawniej. – Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek siedział na tym krześle.

Znów ten ryk. Persefona wzdrygnęła się, słysząc go, ale tym razem nie odwróciła głowy.

– Twój czas się kończy, ukochana. To nadchodzi.

– Co nadchodzi?

Reglan tylko się uśmiechnął.

– Zawsze zbyt ciężko pracowałaś. Stawiałaś potrzeby innych wyżej niż własne. Nigdy nie nauczyłaś się samolubstwa. To właśnie jest twój problem. Czasem trzeba być samolubną, bo w innym wypadku dzieją się złe rzeczy.

– Na przykład jakie?

Wskazał palcem kierunek, z którego dobiegał ryk.

– Reglanie, powiedz mi. Co to jest?

– Już ci mówiłem, że nie wiem. Ale ty wiesz. Nie chcesz tego zobaczyć, ale zobaczysz. A gdy tak się stanie, pamiętaj: prawda leży w oczach. Oczy są oknami, a w tamtych oczach ujrzysz to samo.

** * **

Persefona ocknęła się z uczuciem, że jej brzuch płonie. Nie było to wielkie ognisko, raczej mnóstwo tańczących płomyków, które parzyły skórę. Sen, który jej się przyśnił, pozostawił ją zdezorientowaną; potrzebowała długiej chwili, by sobie uświadomić, że leży we własnym łóżku w Alon Rhist. Padera była pierwszą osobą, której twarz Persefona ujrzała po przebudzeniu, a to oznaczało, że o włos uniknęła śmierci. Nic mniej poważnego nie zmusiłoby Padery do przybycia z miasta na czwartą kondygnację Kypu.

– Witaj z powrotem, kochanie – oznajmiła staruszka, której zwiędłe wargi i przymrużone oczy Persefona tak dobrze znała.

– Auu – jęknęła.

– Ja myślę. – Padera potaknęła, wykrzywiając usta w czymś na kształt uśmiechu.

– Zbudziłaś się! – Moya wykrzyknęła to takim tonem, jakby Persefona właśnie dokonała wielkiego czynu. – Dzięki niech będą Mari, Drome’owi i Ferrolowi!

– Woliałaś nikogo nie pominąć, co? – Padera zaśmiała się życzliwie.

Na lewo od niej, przy stoliku, którego wcześniej w tym miejscu nie było, nieznany Persefonie Fhrej właśnie sprzątał zakrwawione szmaty. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się jej widzieć Fhreja o posiwiałych włosach. Była tam też Brin – uzbrojona w szczotkę i wiadro szorowała podłogę przed oknem. Wszyscy uśmiechali się do Persefony.

– Teraz już wszystko będzie dobrze – oznajmił stary Fhrej.

Persefona próbowała usiąść. Bez powodzenia. Ostre igły bólu przeszyły jej tułów.

– Nie ruszaj się! – skarciła ją Padera.

– Dopiero co cię pozszywaliśmy – oznajmił Fhrej znacznie bardziej współczującym tonem. – Nie psuj efektu naszej ciężkiej pracy.

Persefona ujrzała, że jego dłonie, przedramiona i koszula są w wielu miejscach pobrudzone zasychającą krwią.

– Bardzo ze mną źle? – Była przykryta po szyję i bała się zaglądać pod spód. – Ten stwór mnie poranił, prawda? Pamiętam to.

Staruszka kiwnęła głową.

– Trzy głębokie cięcia rozpruły ci brzuch, ale głównie mięśnie i skórę. Miałaś szczęście.

– Nie czuję się jak ktoś, kto miał szczęście.

– Straciłaś przytomność, nim zaczęliśmy cię zszywać. Wierz mi, miałaś szczęście.

Persefona nigdy nie uległa żadnemu poważniejszemu wypadkowi. Nawet w dzieciństwie nie przytrafiło jej się nic gorszego niż otarcie czy siniak. Lubiła myśleć, że unika obrażeń, bo jest sprytniejsza od bliźnich, ale mimo woli zastanawiała się też, czy ta ostrożność przypadkiem nie uczyniła jej życia mniej ciekawym. A teraz było inaczej. Przebywała samotnie w sypialni i coś ją zaatakowało.

– Co się stało? – Popatrzyła po kolei na obecnych, po czym zatrzymała spojrzenie na Brin. – To był ten twój raow, czyż nie?

Dziewczyna również skinęła głową.

– Jak się tutaj dostał?
– Przypuszczamy, że wspiął się po murze.
– Czy on... Czy on uciekł? Niezbyt dobrze pamiętam, co się działo po ataku.
– Tesh, Nyphron i Sebek go zabili. Nadal nie wiadomo, gdzie podział się Meryl.

Meryl? Persefona nie wiedziała, o kogo chodzi, ale postanowiła się nie dopytywać.

– Mam dobrą wiadomość – oznajmiła Brin z radosnym, choć nie całkiem szczerym uśmiechem, unosząc dłoń. – Znalazłam pierścień Reglana. Leżał tu, na podłodze.

– Przepraszam, że ci nie uwierzyłam, Brin – powiedziała Persefona.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niej smutno.

– Czy ktoś jeszcze jest ranny?

– Ach, no cóż, tak. Sebek – odrzekła Moya. – Wygląda na to, że on też przeżyje. Nie oberwał nawet w połowie tak mocno jak ty. Zamierzamy przenieść cię na wszelki wypadek na górę, do sanktuarium.

– Na wypadek czego? Raow nie żyje. Same powiedziałyście, że zginął. Czy jest ich więcej? – Persefona znów popatrzyła na Brin, spodziewając się, że dziewczyna odpowie: „Jasne. Są ich całe setki”.

– Teraz wszystko jest możliwe – odrzekła Moya. – Chcę, żebyś leżała w dobrze zabezpieczonej komnacie. Takiej, gdzie nie ma żadnych cholernych okien. Sanktuarium będzie najbezpieczniejsze. Fhrejowie trochę protestowali. – Moya zerknęła w stronę uzdrowiciela, który właśnie mył ręce w miednicy. Nawet nie podniósł wzroku. – Ale Nyphron mnie poparł. Za kilka godzin przeniesiemy cię na górę.

– Co masz na myśli, mówiąc, że teraz wszystko jest możliwe? – Persefona powiodła wzrokiem po twarzach zebranych. – Dlaczego teraz?

– Sefo... – zaczęła Moya z bardzo poważną, wręcz nieco wystraszoną miną. – Przybyła armia fane’a.

– Co? Kiedy? – Persefona spróbowała usiąść i znów przypłaciła to cierpieniem.

Zacisnęła zęby, płytko wciągając powietrze. Naprawdę nie była w stanie się ruszyć. Jej głowa ani ręce nie ucierpiały, ale każda próba poruszenia nogami wymagała zaangażowania mięśni brzucha – nie żeby Persefona tak naprawdę chciała cokolwiek robić. Była niewiarygodnie słaba. Musiała walczyć ze sobą, żeby nie zamknąć oczu.

Moya ujęła jej dłoń.

– Spokojnie. Na razie nie atakują. Dopiero co tu dotarli. Przed godziną, może dwiema.

– Czy ktoś rozpalił ognisko sygnałowe? Czy... – Persefona odwróciła się, żeby spojrzeć w okno, i w jej tułów znów wbiły się rozpalone sztylety. Cholera jasna, pomyślała, tylko odwracam głowę! Wiedziała, że to nieprawda, ale frustracja była niemal równie dokuczliwa jak ból. – Brin, czy na szczycie Spyroku płonie ogień?

– Sygnał! – Moya otworzyła szerzej oczy.

Brin wyjrzała przez okno i zaprzeczyła ruchem głowy.

– Hem stoi na warcie. Dlaczego nie rozpalił stosu?

– Potrzebuje rozkazu. – Moya pokręciła głową. – Hem widzi tylko pochodnie i ogniska. Nie wie, co to za wojsko. Przecież z jego perspektywy to równie dobrze mogą być nasze oddziały na ćwiczeniach. Nyphron był zajęty przy Sebeku, a ja...

– Poślijcie posłańca na szczyt Spyroku – rozkazała Persefona. – Niech przekaże Hemowi, że poleciłam rozpalić ognisko sygnałowe. Musimy ściągnąć plemiona z powrotem. Musimy wezwać wszystkich, żeby wracali czym prędzej.

– Nikt nie biega szybciej niż ja. – Brin zerwała się na równe nogi. – Ja to zrobię.

Wyminęła łóżko i wypadła z komnaty.

– Ilu ich jest? – zapytała Persefona.

– Nie wiem, ale niezbyt wielu. Jest ich znacznie mniej niż Gula-Rhunów. – Moya zerknęła w stronę drzwi. – Inni chcą się z tobą zobaczyć, jeśli masz siłę. Masz?

Nie miała. Persefonie z trudem przychodziło nawet oddychanie. Najchętniej poszłaby spać. Miała ochotę spać aż do końca świata i jeszcze trochę dłużej. Skądinąd niewiele brakowało, żeby to marzenie się spełniło.

– Poproś ich tutaj.

* * *

Brin zawsze była szybka. Mogła prześcignąć każdego w dahlu Rhen, nawet Hory'ego Killiana, chociaż był od niej starszy o dwa lata. Ale teraz Hory był martwy. Zginął za sprawą tych samych olbrzymów, które zabiły rodziców Brin. Wbiegając po schodach na Spyrok zastanawiała się, czy Fhrejowie przyprowadzili ze sobą więcej olbrzymów. Do tej pory tylko raz była na szczycie Spyroku i ta pojedyncza wspinaczka doprawdy wystarczyła. Dopóki człowiek nie dotarł na sam wierzchołek, trzeba było się wdrapywać niekończącą się spiralą stopni, a wieża prawie nie miała okien. Tym razem Brin zdołała wbiec na czwarte piętro, nim musiała zwolnić kroku. Gdy dotarła na siódme, opuściły ją

resztki tego entuzjazmu, z którym rozpoczynała bieg. Energiczny tupot zmienił się w ciężkie, powolne kroki.

Wyglądało na to, że Persefona wróci do zdrowia. Tak twierdził fhrejski uzdrowiciel i tak powiedziała Padera. Brin nie bardzo im dowierzała, dopóki Sefa nie otworzyła oczu. Odkąd zginęli rodzice dziewczyny, podchodziła sceptycznie do nadziei. Padera podsumowała to stwierdzeniem, że Brin dorasta. Brin zawsze sądziła, że dorastanie oznacza przystojnego męża, własne domostwo, brak konieczności chodzenia spać o ustalonej porze oraz prawo głosu na zebraniach klanu. Jednakże z czasem dotarło do niej, że dorastanie oznacza też smutek, ból i wyrzuty sumienia. Dopiero po wspięciu się na ósme piętro uzmysłowiła sobie, że ona i Tesh uratowali Persefonie życie. Na twarzy Brin pojawił się uśmiech i towarzyszył jej przez dwa kolejne piętra.

Na dziesiątym znajdowało się maleńkie okienko. Brin przystanąła przy nim, żeby złapać oddech i wyjrzeć na wschód. Na równinie po drugiej stronie Wielkiego Mostu migotały światełka ułożone w równe kwadraty. Dziewczyna nie zobaczyła żadnych olbrzymów, ale było za ciemno, żeby wypatrzeć cokolwiek oprócz tych świateł.

Oczekiwanie przeciągało się tak długo, że Brin pozwoliła sobie uwierzyć, że może Fhrejowie nigdy nie nadciągną, że może wojna już dobiegła końca. Optymizm znów doprowadził ją do rozczarowania, niczym przyjaciel z dzieciństwa, który składa mnóstwo obietnic, a później ich nie dotrzymuje. Śmierć, strach, krew... Jedynym jasnym punktem w tym wszystkim był Tesh. Stanowił jedyną dobrą rzecz, jaka wynikła z wejścia Brin w dorosłość. Choć nie odpowiadał w pełni jej wyobrażeniom o tym, jaki powinien być ukochany, o którym śniła, odkryła, że lubi prawdziwego Tesha jeszcze bardziej. Zdawało się, że Tesh również darzy ją sympatią, ale Brin nie była o tym przekonana. Owszem, skwapliwie ją pocałował, ale nie była tak naiwna, żeby sądzić, że pocałunek oznacza od razu miłość.

„Może jednak oznacza”, szepnął optymizm, ale pesymizm od razu stwierdził: „Może Teshowi było po prostu tęskno do jakiegokolwiek dziewczyny. Nie ma ich tu wiele do wyboru”.

Brin przypomniała sobie dotyk jego dłoni na karku. Samo myślenie o tym sprawiało, że przeszywał ją przyjemny dreszcz.

Gdzie Tesh teraz był?

Przypuszczała, że obaj z Raithe'em szykowali się do walki. O świcie – lub może dopiero kolejnego ranka – odbędzie się bitwa. Tesh ruszy do walki razem z pozostałymi. Owszem, był fantastycznym wojownikiem, ale żadna dawka optymizmu nie mogła przekonać Brin, że techniczna biegłość ma jakiegokolwiek znaczenie na polu bitwy. Dziewczyna nie wiedziała, co pocnie, jeżeli Tesh

zginie. Tak naprawdę znała go dopiero od kilku dni, ale uświadomiła sobie, że rozmyśla o nim zaraz po przebudzeniu i tuż przed zaśnięciem. Teraz pojęła, co Persefona musiała czuć, kiedy zginął Reglan. I chociaż nie cierpiała Tressy tak samo jak wszyscy inni, Tressa również straciła męża; taki ból zasługiwał na współczucie bez względu na to, jak okropnym człowiekiem okazał się następca Reglana.

Wierzchołek Spyroku był wyłożony kamiennymi płytami i pozbawiony zadaszania. Wznosiła się tam sterta kłód wielkości dwupiętrowego budynku, ułożona w kadzi, którą należało napęlić olejem. Hem, członek klanu Melen, był niskim łysiejącym mężczyzną o pulchnych palcach i smutnych oczach. Dopiero co rozpoczął wartę, ale już opatulił się ciasno kocem. Stał przy balustradzie, spoglądając na wschód. Podskoczył, gdy usłyszał za sobą Brin.

– Czy to... – Wskazał widoczne w dole światła. Wiatr rozwiewał jego rzadkie włosy. – Czy to Fhrejowie?

Wyczerpana długą wspinaczką Brin zaczerpnęła tchu i poleciała:

– Zapal stos!

Rozdział siedemnasty

Sygnal

Nadal mam poczucie, że to ja zawiniłam, chociaż wiem, że to głupie. Ale, jak wspomniałam, miałam tylko to jedno zadanie.

Księga Brin

Na szczycie Spyroku zapłonął ogień.

Mawyndulë przebywał akurat obok namiotu swego ojca. Grupa rzemieślników ze szczepu Eilywin wciąż jeszcze pracowicie wbijała kołki w ziemię drewnianymi młotkami. Od swojej pierwszej wizyty tutaj Mawyndulë wspominał wielką wieżę Alon Rhist jako podobną do wielkiej włóczni celującej prosto w niebo. Teraz czubek tej włóczni rozjarzył się płomieniem.

– Czy to znaczy, że nas zobaczyli? – spytał ojca.

Fane Lothian właśnie obserwował wznoszenie swego tymczasowego domostwa i stanowiska dowodzenia. Rozbity w pełni namiot miał być kolistym, purpurowym, monstualnie wielkim okropieństwem wspartym na czterometrowych żerdziach. Lothian odwrócił się i popatrzył w stronę fortecy, mrużąc oczy. Potem bez słowa pomaszerował przez obóz.

Mawyndulë ruszył w ślad za ojcem, za którym jak cienie podążali nieodłączni Sile i Synne. Milczące bliźniaki, między którymi nie było ani odrobiny podobieństwa – olbrzym i goblina – nie odstępowały Lothiana na krok. Co się stało z tym światem, skoro nawet fane potrzebował przybocznych, którzy będą go bez przerwy strzec?

Szli tak we czwórkę, wymijając namioty i ogniska, przy których szykowano pożywienie. Mawyndulë nie miał pojęcia, czemu jeszcze nie zaserwowano kolacji. Przypomniawszy sobie sztuczkę Jerydda z truskawkami i poprzysiągł sobie, że ją opanuje.

Gorsze od głodu były tylko obolałe i wyczerpane długą konną jazdą mięśnie. Tego dnia pokonali znaczną odległość, bo fane nalegał na pośpiech. Pragnął jak najszybciej zakończyć sprawę. Wszyscy Miralyithowie jechali konno, a Mawyndulë nie miał wątpliwości, że dostał mu się najbardziej narowisty wierzchowiec. Zwierzak nie chciał słuchać poleceń, więc księżę przez większość trasy szarpał wodze i kopał go w boki. W południe naszła go myśl, że chyba już prościej byłoby wędrować piechotą.

Fane dotarł do namiotu Kasimera, który z jakiegoś względu skończono rozstawiać wcześniej niż namiot samego władcy. Lothian krzyknął, żeby dowódca Pajęczego Korpusu wyszedł na zewnątrz.

– Mój panie? – rzucił pytająco Kasimer. Miał na sobie ciemne szaty i hełm Pajaków, którego dotąd nie zdjął.

Fane wskazał czubek strzelistej wieży. Teraz, gdy płonął tam ogień, przypominała Mawyndulëmu świecę. Jego ojciec najwyraźniej miał to samo skojarzenie, bo rozkazał:

– Zdmuchnijcie płomień.

– Mój panie?

– To sygnał. Zgaście go natychmiast!

– Tak, mój panie.

Kasimer skrzyknął swoich podwładnych. Pajęczy Korpus został wyćwiczony w rzucaniu czarów grupowo. Nie było to łatwe. Miralyithów cechował daleko posunięty indywidualizm. Artyści chętnie się spotykali, żeby dyskutować, ale wspólne projekty stanowiły raczej domenę szczepów Nilyndd i Eilywin, których przedstawiciele musieli pracować zespołowo, żeby dokonać czegokolwiek wartego uwagi. Sztuka była czymś osobistym, a Artyści rzadko potrzebowali pomocy, by uzewnętrznić swoje marzenia. Ich urzeczywistnianie zawsze w jakimś stopniu równało się wyrażaniu siebie, a tłumienie instynktownego, swobodnego działania przychodziło z trudnością. Podporządkowywanie się cudzym poleceniom było wbrew intuicji i wymagało miesięcy żmudnych ćwiczeń, ale przynosiło oczywiste korzyści. Podobnie jak tuzin wioślarzy, którzy siłą swoich mięśni napędzają statek, grupa pajaków mogła tkąć większe, mocniejsze sieci. W tym przypadku zespół Miralyithów był w stanie zgasić ogromny ogień z takiej odległości, że żaden Artysta nie dokonałby tego samodzielnie.

Mawyndulë patrzył, jak zbierają się pośpiesznie, tworząc krąg wokół Kasimera, który był przywódcą Pajaków. Wszyscy pozostali mieli zasilać go mocą.

Mógłbym zdmuchnąć tę świecę sam jeden, pomyślał Mawyndulë.

No, nie dosłownie sam, ale bez pomocy Pająków lub kogokolwiek innego z obozu. Pajaki wspomagały Kasimera, Mawyndulë zaś dysponował bezpośrednim połączeniem z Avemparthą. Jerydd czekał w pogotowiu. Ilekroć Mawyndulë zapragnął, mógł skontaktować się z kelem i zyskać dostęp do ogromnego źródła mocy, jakim była wieża Feneliusy. Jerydd nauczył księcia tej techniki, nim młodzieniec opuścił Avemparthę, a później ćwiczyli ją codziennie. Kiedy oddziały Lothiana dotarły do Wielkiego Mostu, Mawyndulë potrafił już słuchać i śledzić wszystko, co Jerydd mówił przez cały dzień. Kel wiedział, że książę się przysłuchuje, więc snuł długie wywody o tym, jak powstawała Pieśń Torsońska, i o zastosowaniach Frazy Flezjantyckiej. Arion zwykła zanudzać młodzieńca tymi dwoma tematami. Mawyndulë zawsze puszczał jej gadaninę mimo uszu. Wykłady Jerydda były znacznie ciekawsze. Mawyndulë z wielką przyjemnością słuchał jego głosu w swojej głowie, a jeszcze bardziej cieszyła go świadomość, że nikt więcej nie słyszy tych rozmów. Był pewien, że żaden z Pająków – nawet Kasimer – nie potrafi podsłuchiwać na nieograniczoną odległość.

Po ustanowieniu połączenia wystarczyło już tylko, by książę zachowywał skupienie, a to nie było trudne, jeśli tylko jego wierzchołek się nie potykał. Mawyndulë musiał też słuchać z uwagą; nie mógł sobie pozwalać na rozmyślenia o niebieskich migdałach. W ciągu tych kilku dni, których potrzeba było, żeby pokonać dystans od rzeki Nidwalden przez Szarodrzew i równinę do Alon Rhist, książę nauczył się więcej niż przez trzy lata z Arion.

– Życzysz sobie, panie, żebyśmy go tylko zgasili? – zapytał Kasimer.

– Zgaście go tak, żeby nie dało się go rozpałić na nowo – odrzekł fane.

Kasimer odwrócił się twarzą w stronę wieży. Otaczający go członkowie Pajęczego Korpusu zaczęli mamrotać chórem, poruszając dłońmi i rękoma w idealnej synchronizacji. Obserwując ich doskonale zestrojone ruchy, Mawyndulë pomyślał, że wyglądają niepokojąco, niczym prawdziwy pajak – naprawdę olbrzymi. Potem Kasimer wykonał rękoma taki ruch, jakby rąbał drewno, a dłońmi, jakby coś rozkrawał. Milę dalej światło na czubku wieży rozbłysło jaśniej, a potem zgasło.

* * *

Wierzchołek Spyroku eksplodował.

Brin zaczęła już schodzić z powrotem. Wyczerpana biegiem na górę nie śpieszyła się zbyt, więc znajdowała się zaledwie pięć pięter poniżej tarasu obserwacyjnego, kiedy niewidzialna siła zerwała cały czubek wieży. Brin wrzasnęła, gdy z góry posypały się gruz i pył. Zwinęła się w kłębek na schodach,

osłaniając rękoma głowę i płacząc. Zginęłaby na miejscu, gdyby nie to, że większość kamieni, szkła i belek poleciała na zachód.

Przez chwilę trwała tak, skulona, obejmując się ramionami i dygocząc. Przerazona i ogłupiała nie wiedziała, co robić. Potem, w nagłym przypiływie odwagi, podjęła decyzję i zerwała się do biegu. Pognała schodami w dół, przeskakując po kilka stopni i starając się nie stracić przy tym życia (choć kilka razy niewiele brakowało). Nadal osłaniała rękami głowę, w obawie, że coś może na nią spaść lub że kolejna eksplozja za chwilę rozsadzi całą wieżę. Kilka minut później była już na dole i biegła z powrotem do Kypu.

– Co się stało? – zapytało kilka osób, gdy Brin przebiegała obok.

Nie przystanęła. Potem dogonił ją Tekchin. Złapał dziewczynę oburącz i przyciągnął do siebie.

– Puść mnie! – wrzasnęła, szamocząc się w jego uścisku. Nie wiedziała, czemu. Teraz nie była już nawet pewna, dokąd właściwie biegnie.

Fhrej trzymał ją mocno.

– Uspokój się. Nie panikuj. Jesteś bezpieczna.

Przestała się szarpać, bo zabrakło jej sił. Nogi załamały się pod nią i upadła.

* * *

Persefona usłyszała i poczuła eksplozję. Wybuch wstrząsnął całym Kypem. Łoże Persefony zakołysało się, zasłony w oknie zafalowały. Znajdujący się w jej sypialni ludzie i Fhrejowie musieli przytrzymać się ścian i komód, których szuflady zagrzechotały. Tegan i jego Tarcza – wojownik imieniem Oz – dobyli mieczy, rozglądając się w poszukiwaniu wroga. Nyphron, który stał przy oknie – Persefona już nazywała je w myślach „oknem raowa” – podniósł wzrok.

– Co się stało? – spytała.

– Miralyithowie rozwalili czubek Spyroku – oznajmił tak rzeczowo, że Persefona w pierwszej chwili wzięła jego słowa za żart. – Nie chcę, żebyśmy wysyłali sygnały.

– Och, łaskawa Mari, Brin! – rzuciła Persefona.

Spiorunowała wzrokiem Moyę i po raz kolejny spróbowała wstać, ale znów przyplącała to cierpieniem. Tym razem przeszył ją tak dotkliwy ból, że z jej ust wyrwał się jęk.

– Więcej tak nie rób – skarciła ją Padera, marszcząc z irytacją czoło, tak jakby rany Persefony miały jeszcze jakieś znaczenie.

Moya wybiegła z komnaty. Wszyscy obecni z wyjątkiem Padery i Nyphrona poszli w jej ślady. Padera zajęła się sprawdzaniem, czy Persefona nie zrobiła sobie krzywdy, a odziany w wygodną szatę Nyphron nadal wyglądał przez okno.

Persefona leżała na wznak ze wzrokiem wbitym w sufit. Nienawidziła czuć się bezsilna. Chciała wybiec z komnaty, sprawdzić, co dzieje się z Brin, ocenić skalę zniszczeń. Jednakże wiedziała, że nawet jeśli zdoła dźwignąć się na nogi, natychmiast upadnie. Gnębiły ją zawroty głowy. Nawet palce wydawały się ciężkie. Jak mogła skutecznie pełnić obowiązki keeniga, leżąc bez sił?

– Czy zobaczono sygnał? Czy wiadomość dotarła? – zapytała. – Czy stos w Perdif zapłonął?

Nyphron pokręcił głową.

– Wątpię. Stos na Spyroku płonął tylko przez kilka minut. Wątpię, czy ktokolwiek w Perdif prowadzi stale obserwację. A nawet gdyby bez przerwy wypatrywali sygnału, pewnie uznaliby, że to była pomyłka, test albo przywidzenie. Przecież w innym wypadku ogień nie zgasłby tak błyskawicznie. Ale pójdę sprawdzić.

Wygłosiwszy tę niezmiernie podnoszącą na duchu opinię, wyszedł z komnaty, pozostawiając Persefonę pod opieką Padery. Staruszka zamoczyła ręcznik w miednicy, a następnie przetarła nim twarz Persefony, która pociała się, nawet leżąc bez ruchu.

– Czym jest Perdif? – zapytała Padera.

– To mała wioska pasterska położona wysoko w Dolinie Wzniesionej Włóczni. Ogień rozpalony na tamtejszym wzgórzu to znak dla klanów Gula i Nadak. Zgodnie z umową ludzie z Perdif mają rozpalic swoje ognisko sygnałowe, kiedy zobaczą nasze. Alarm zostanie następnie przekazany do wszystkich klanów Gula i Rhulynu, ognisko za ogniskiem. To sygnał dla wojowników, że mają tu szybko wrócić.

– A jeśli w Perdif nie zobaczyli sygnału?

– Będziemy zdani tylko na siebie, z niewystarczającymi siłami, by podjąć walkę.

Nyphron wrócił. Kręcił głową.

– W Perdif nie płonie ogień.

– Rozpalcie stos na nowo – rozkazała Persefona. – Powiedz...

– Nie da rady. Tamci nie ograniczyli się do zgaszenia ognia. Zmiotli cały wierzchołek Spyroku. A nawet gdybyśmy jakimś cudem rozpalili ogień na nowo, po prostu zgasiliby go ponownie. Dałabyś im tylko nowy cel.

Zmiotli wierzchołek Spyroku? Tej ogromnej wieży? Jakim sposobem? A skoro potrafią dokonać czegoś takiego, jak mamy przetrwać starcie z nimi?

Persefona poczuła, że jej ciało zapada się głębiej w siennik. Musieli wysłać sygnał do Perdif. Musieli. Odesłała wszystkich wojowników do domów w przekonaniu, że będzie mogła ich szybko ściągnąć z powrotem, jeśli Fhrejowie zaatakują. Ten pomysł wydawał się tak prosty – zbyt prosty, żeby nie

zadziałać. Persefona wciąż jeszcze pamiętała, jak gratulowała sobie, że nań wpadła.

– Jakim sposobem armia fane'a dotarła tu niepostrzeżenie? Nasi zwiadowcy...

– Nasi zwiadowcy byli Rhunami – odrzekł Nyphron. – Przypuszczam, że wszyscy leżą martwi, zabici przez swoich fhrejskich odpowiedników.

Nie tak miało być. To niesprawiedliwe! Persefona miała plan, i to dobry. A teraz nie mogła nawet wstać z łóżka – wszystko przez jednego durnego raowa!

– Czekaj! – rzuciła. – A co z Arion? Czy ona nie mogłaby przekazać sygnału?

– Już po nią posła... – Nyphron się uśmiechnął, gdy Arion i Suri zastukały we framugę.

– Rozumiem, że fane tu przybył? – zapytała Arion.

Przecierała oczy i wyglądała na zasną. Suri była czujna, ale ona zawsze lubiła przesiadywać po nocach. Mistyczka zagapiła się na Persefonę. Zerknęła w stronę okna i spochmurniała.

Ona wie, pomyślała Persefona. Nikt jej nie powiedział, a ona i tak wie, co się wydarzyło.

Persefona przez całą zimę obserwowała, jak Suri rozkwita. Najbardziej zaskakująca zmiana nastąpiła wraz z pierwszymi opadami śniegu, kiedy wbrew wszelkim oczekiwaniom Arion zdołała przekonać Suri, żeby ta zamieniła swoją starą, brudną odzież i wełnianą pelerynę na asykę. Odmieniło to dziewczynę nie do poznania. Niegdysiejsza dzika mistyczka z lasu, która poświęcała swojemu wyglądowni nie więcej uwagi niż przeciętny jeź, przemieniła się w łabędzia. Nie podporządkowała się całkowicie fhrejskiej mistrzyni; Arion chciała ogolić Suri głowę, ale dziewczyna kategorycznie odmówiła. W ramach kompromisu zgodziła się regularnie brać kąpiel, co bardzo pozytywnie wpłynęło na jej urodę. Jediną pamiątką po jej poprzedniej tożsamości pozostawały tatuaże, ale nawet one wyglądały teraz inaczej. Kiedy Suri miała na sobie formalną szatę Miralyithów, dziwaczne wzory na twarzy sprawiały, że otaczała ją aura tajemniczości i sekretnej wiedzy.

– Fane zgasił nasz sygnał – oznajmił Nyphron.

Arion podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

– Oczywiście, że to zrobił. Chcesz powiedzieć, że nie spodziewaliście się tego?

Nyphron zmarszczył brwi.

– Sygnał był moim pomysłem – powiedziała Persefona.

– Ale ty nie jesteś doświadczonym dowódcą wojsk. Nyphron powinien był wiedzieć, że tak się stanie, i ostrzec cię zawczasu.

– Moje doświadczenie ogranicza się do działań przeciwko zwykłym adwersarzom. Nie jestem przyzwyczajony do walk magicznych. Poza tym wystarczyłoby, żeby ten stos płonął tylko przez krótki czas.

Persefona nigdy dotąd nie widziała, żeby Nyphron się usprawiedliwił. Wytrącili go z równowagi, pomyślała. Zastanawia się teraz, o czym jeszcze nie pomyślał w porę.

– Oto twoja pierwsza lekcja. – Arion zwróciła się ku Persefonie. – Chcesz, żebym rozpałała nowe ognisko – oznajmiła.

Nie było to pytanie, tylko potwierdzenie na głos czegoś, co nie zostało powiedziane. Zarówno Arion, jak i Suri zwykły robić to mimochodem, przyprowadzając rozmówców o lekki dreszcz.

Persefona kiedyś zapytała Suri, czy dziewczyna uczy się czytać ludziom w myślach. Mistyczka pokręciła wówczas głową i odrzekła: „Uczę się czytać w myślach świata”.

– Co o tym sądzisz, Suri? – zapytała Arion.

To również miała w zwyczaju. Ilekroć pytano ją o radę, zawsze kazała Suri odpowiadać pierwszej. Mistyczka namyślała się przez moment. Podeszła do okna i wyjrzała, po czym odwróciła się do obecnych i pokręciła głową.

– Dlaczego? – zapytała Arion.

– To bezcelowe i niebezpieczne.

Arion uśmiechnęła się do swojej uczennicy, po czym zwróciła się do Nyphrona i Persefony.

– Jerydd, czy ktokolwiek teraz dowodzi Pająkami, obserwuje nas. Wypatruje dwóch rzeczy: rozpalonego na nowo ognia, który będą w stanie bez trudu zgasić, i mnie. Teraz mnie nie widzą. Może nawet nie wiedzą, że tu jestem. Ale jeśli użyję Sztuki, dowiedzą się o mojej obecności. – Zerknęła na Nyphrona. – Stracie cenny element zaskoczenia, gdy zmienią plany, żeby uwzględnić mój udział w bitwie, lub po prostu przypuszczą kolejny atak, żeby zrobić ze mną to samo, co z tamtą wieżą. Szczerze? Sądzę, że mają nadzieję, że spróbuję.

Nyphron przytaknął z pełną napięcia miną, zatopiony w myślach.

– I to samo dotyczy Suri? – spytała Persefona.

– W jeszcze większym stopniu. To ona jest waszą prawdziwą tajną bronią.

– Czyli nie będzie sygnału – podsumowała Persefona.

– Czy nie możemy po prostu wysłać kogoś do Perdif? – spytała Padera.

– Perdif leży czterdzieści mil stąd – odrzekł Nyphron. – To dwa dni podróży. Potem dwa kolejne, żeby oddziały zdążyły tu dotrzeć. Jestem optymistą, ale nawet ja nie przypuszczam, żeby fane planował tak długo zwlekać z atakiem.

– Naraspur – powiedziała Arion.

Persefona uznała, że to jakieś nieznanne jej fhrejskie słowo, ale po spojrzeniu Nyphrona poznała, że był równie zdezorientowany jak ona.

– Naraspur to klacz, na której tu przyjechałam. Zostawiłam ją Petragarowi. Jeśli Naraspur nadal tu jest, ktoś mógłby pojechać...

– W Alon Rhist jest tuzin koni – oznajmił Nyphron, po czym zaczął kręcić głową. – Ale ponieważ Rhist to forteca, zbudowano ją tak, żeby trudno było wkroczyć tutaj z wojskiem. Naturalne urwisko chroni zarówno cytadelę, jak i położone niżej miasto, mamy też tylko jedną, dobrze strzeżoną bramę. Żeby stąd uciec, jeździec musiałby przejechać przez Wielki Most. Po prostu nie ma innej drogi, którą mógłby przebyć koń, a po drugiej stronie mostu obozuje armia fane'a. Nasz posłaniec musiałby przejechać przez obóz tysiąca Fhrejów.

Arion zmarszczyła brwi.

– A Pajaki zabijają każdego, kto opuści fortecę. Zwłaszcza konno. Z tego samego powodu, z którego zniszczyli wieżę.

– Nie mogę żądać, by moi ludzie wyruszyli na samobójczą misję. Nie wtedy, gdy... – Nyphron popatrzył na Persefonę. – Jak dotąd reszta szczepu Instarya nie ma udziału w moich zbrodniach. Jeśli przegramy, istnieje szansa, że fane ukarze tylko mnie, ich zaś ułaskawi.

– A człowiek? – zapytała Padera. Chwilę wcześniej wrzuciła ręcznik z powrotem do miednicy, poświęcając całą uwagę toczącej się rozmowie. – Czy nie można by wysłać Rhuna?

Nyphron odpowiedział, zwracając się do Persefony zamiast do Padery.

– Rhun miałby znacznie mniejsze szanse. Członkowie armii fane'a mogliby wzdragać się przed zabiciem innego Fhreja, ale nie zawahaliby się zlikwidować Rhuna. A poza tym żaden żyjący na tym świecie Rhun nie potrafi jeździć konno. – Zdawało się, że zamierzał kontynuować, ale umilkł.

– Co? – zapytała Persefona.

Nyphron miał zażenowaną minę.

– Ze wstydem muszę powiedzieć, że my, Fhrejowie, nie stronimy od taniej rozrywki. Bywało, że Rhunów przemocą sadzano na końskim grzbiecie. Nigdy nie kończyło się to dobrze. Żadnemu Rhunowi nie udało się utrzymać na koniu, a co dopiero jechać.

– Nigdy? – zapytała Padera, ale ton jej głosu brzmiał dziwnie, tak jakby to była dobra wiadomość.

– Przykro mi. Nie chcę być niegrzeczny, ale ludzie po prostu nie są wystarczająco zręczni.

– On mówi prawdę – powiedziała Arion. – Jazda konna nie jest łatwa. Prawdę mówiąc, jest niebezpieczna.

– Przejechanie przez obóz tysiąca Fhrejów, z których część to Miralyithowie, byłoby niemożliwe niezależnie od tego, kim byłby jeździec – doprecyzował Nyphron.

– To byłby wyścig, czyż nie? – zapytała Padera. – Wyścig, którego stawką byłby los całego naszego ludu.

Nyphron z westchnieniem oparł się o ścianę.

– To byłoby samobójstwo, ot co.

– Ale jeśli ktoś zdołałby tego dokonać... Jeśli ktoś zdołałby przejechać przez most i przedostać się przez obóz armii... – Padera zerknęła w stronę Persefony, lecz nie na nią. Zdawało się, że jedyne widoczne oko staruszki spogląda w pustkę, poszukując tam nie wiadomo czego.

– To byłby cud – powiedział Nyphron.

– Tak, ale gdyby ktoś zdołał tego dokonać, czy przyniosłoby to skutek?

– Gdyby komuś się to udało i gdyby utrzymał dobre tempo jazdy, mógłby dotrzeć do Perdif w czasie krótszym niż dzień. Może wręcz pół dnia, chociaż koń mógłby tego nie przeżyć, a zresztą uczciwie rzekłszy, już prędzej podziela myślenie życzeniowe. Ale jeśli chcecie poszukać kandydatów gotowych podjąć próbę...

– Nie – stwierdziła Persefona. – Nie zażądam od nikogo, żeby wyruszył na pewną śmierć.

– Oczywiście – powiedziała Padera. – Próba przejechania konno przez ten obóz to coś, co mógłby rozważać tylko głupiec, który nie ma nic do stracenia.

– A my nie jesteśmy aż tak zdesperowani – skwitowała Persefona. – Wciąż jeszcze mamy mury, niemal dorównujemy liczebnie wojsku fane'a i dysponujemy naszą tajną bronią. – Popatrzyła na Arion i Suri.

Do komnaty wróciła Moya.

– Dobre wieści – oznajmiła, po czym wprowadziła do środka Brin.

Persefona uśmiechnęła się, widząc, że dziewczyna jest cała i zdrowa. Miała przeczucie, że odtąd będzie miała niewiele powodów do uśmiechu.

* * *

– To powinno ich obudzić. – Fane siedział na ozdobnym krześle, które ustawiono pośrodku pylistej równiny. Tuzin Fhrejów zdeptał wcześniej żółtą trawę wokół władcy, żeby nie rozpraszały go falujące na wietrze kłosa. Zadowolony Lothian uśmiechał się pod nosem. Wyciągnął stopy przed siebie i splótł ramiona na piersi. – A dzisiejszego wieczoru ciężko im będzie zasnąć. Rankiem dokończymy dzieła.

Członkowie Pajęczego Korpusu nadal mamrotali i skandowali, Kasimer zaś wykonywał palcami płynne ruchy w kierunku wieży po drugiej stronie przepaści.

– Nie dała znaku życia? – zapytał fane.

– Arion nie jest głupia – odrzekł Kasimer.

– Zwróciła się przeciwko swojemu władcy, stając po stronie bandy barbarzyńców – stwierdził Mawyndulë. – Uniemożliwiła mi wymierzenie sprawiedliwości mordercy Gryndala. Jak byś to zaklasyfikował? Jako mądrość?

Kącik ust Lothiana drgnął w uśmiešku i Mawyndulë odniósł wrażenie, że w oczach swojego ojca dostrzegł, zaledwie przez moment, przeblysłk... czegoś. Dumy?

Ładnie powiedziane, oznajmił Jerydd wewnątrz głowy księcia, który omal nie podskoczył. Dotąd zawsze to Mawyndulë inicjował ich konwersacje, otwierając połączenie. W efekcie sądził, że tylko on może je nawiązać. Świadomość, że kel może podsłuchiwać wszystkie jego rozmowy, wytrąciła księcia z równowagi. Ale Kasimer miał dobre intencje. Powinien był powiedzieć, że nie należy lekceważyć Arion. Że jest niebezpieczna i przebiegła – bo z całą pewnością tak jest. Zarobiłeś punkty u swojego ojca, ale lepiej, żebyś miał Kasimera po swojej stronie niż przeciwko sobie. Daj mu do zrozumienia, że nie chcesz konfliktu, i wyciągnij rękę do zgody.

Mawyndulë namyślał się przez chwilę, po czym rzekł:

– Myślę, że chciałeś powiedzieć, że nie należy lekceważyć Arion, i uważam, że to nad wyraz słuszna rada.

Te słowa sprawiły, że fane popatrzył nań zupełnie inaczej, z zaskoczeniem, a towarzyszył temu uśmiech.

– Tak, dokładnie to miałem na myśli – odrzekł Kasimer. Potem również zmierzył Mawyndulëgo wzrokiem i skinął mu głową.

Mawyndulë jeszcze nigdy nie był świadkiem takiego gestu. Pochyleniu głowy towarzyszyło poważne spojrzenie i ksiązę uzmysłowił sobie, że był to wyraz szacunku, a może wręcz podziękowanie, tak jak lekki ukłon, którym szermierze żegnali się po treningu.

I co, to nie było zbyt trudne, prawda? Jako fane będziesz potrzebował u swojego boku takich ludzi jak Kasimer.

Mawyndulë powstrzymał się, by nie kiwnąć głową.

A teraz naprawdę powinieneś się przespać. Jutrzejszy dzień będzie ważny i rozpocznie się wcześnie.

W normalnych warunkach Mawyndulë zirytowałby się, że każą mu iść spać, ale sprawy miały się inaczej, kiedy mówił to głos w jego głowie. Ksiązę wiedział, że to Jerydd, który właśnie siedział w swoim gabinecie w wieży Avempartha i przypuszczalnie popijał wino z nogami wspartymi na biurku,

podobnie jak zwykł to czynić Lothian. Jednakże gdy te słowa rozbrzmiewały wewnątrz głowy Mawyndulëgo, miał wrażenie, że słyszy po prostu swoje własne myśli. Co więcej, Jerydd stanowił sekret, a po co mieć sekret, jeśli nie po to, żeby czerpać zeń korzyści?

Prześpij się, a jutro zabijemy Arion.

Rozdział osiemnasty

Początek wyścigu

Jeżeli życie czegoś mnie nauczyło, to tego, że ludzie potrafią nas zaskakiwać. Ale gdy to nastąpi, lub chwilę później, uzmysławiasz sobie, że tak naprawdę nie wydarzyło się nic zaskakującego. To nie oni stanowili problem, tylko ty.

Księga Brin

Pierwsza myśl, jaka pojawiła się w głowie Gifforda, gdy Padera zbudziła go potrząśnięciem, brzmiała: Jędza Tetlin naprawdę istnieje. I próbuje mnie zabić!

– Obudź się, ty leniwy głupcze! – wyszeptała staruszka w ciemnościach, które panowały w Domu Beznadziei.

– Nie jestem leniwy. Jest środek nocy! – zaprotestował Gifford przyciszonym głosem, próbując nie zbudzić Habeta, Mathiasa i Gelstona. W odróżnieniu od nowego domostwa Brin, gdzie znajdowały się oddzielne izby, w Domu Beznadziei wszyscy mieszkali w jednym wspólnym pomieszczeniu. – Czemu...

– Już czas – oznajmiła Padera, puszczając go.

Gifford leżał bez ruchu, patrząc na nią. Z mroku dobiegało chrapanie pozostałych.

– Czas na co?

– Na twój wyścig.

Gifford usiadł, przecierając zalepione od snu oczy. Starej wiedźmie brakowało piątej klepki.

Tym razem autentycznie wyglądała na szaloną. W blasku księżyca wpadającym przez jedno okno Padera była blada, miała włosy w nieładzie i dzikie spojrzenie. Gifford jeszcze nigdy nie widział jej tak poruszonej, tak pełnej napięcia. Wystraszyło go to.

– Pora, żeby spełniło się twoje przeznaczenie, chłopcze. Pobiegniesz szybciej niż jakikolwiek człowiek przed tobą.

– Chyba postładałaś łozum, stałucho.

– I wygrasz ten wyścig, bo ofiaruję ci czarodziejskie nogi.

Czarodziejskie nogi? Ona naprawdę jest Jędzą Tetlin!

Padera złapała go za koszulę przy szyi i szarpnięciem wywindowała do góry. Była znacznie silniejsza, niż przypuszczał.

– Piłaś?

– Teraz wszystko nabrało sensu – wymamrotała Padera bardziej do siebie niż do garncarza, ciągnąc go w stronę drzwi. Trzymała go za nadgarstek, ale Gifford podejrzewał, że gdyby próbował stawiać opór, złapałaby go za ucho. – Musiałeś urodzić się kaleką, musiałeś cierpieć; musiałeś obywać się bez żadnej rzeczy, dla której warto byłoby żyć. Niepotrzebnie wątpiłam. Byłam taka głupia! Tura miała rację. Od początku miała rację.

– Dokąd się wybierasz, Giff? – wymamrotał zaspany Habet.

– Ocali ludzkość – odrzekła Padera.

– W porządku. – Habet przewrócił się na drugi bok i zasnął z powrotem.

– Czy mogę najpieńw włożyć buty?

– Nie będą ci potrzebne. – Staruszka zachichotała. Tak bardzo przypominała czarownicę, że Gifford się wzdrygnął.

Jędza Tetlin w końcu po mnie przyszła, pomyślał.

– Musimy się pośpieszyć. Musimy zobaczyć się z Roan.

– Zobaczyć się z Łoan? Czemu nie powiedziałaś tak od razu?

Wyglądali okropnie, kuśtykając razem pogrążonymi w mroku ulicami miasta, niczym para goblinów na przechadzce. Było zimno, nocny chłód wgrzyzał się w kości; Gifford przeklął najpierw Paderę, a potem siebie za to, że nie poświęcił chwili, by zabrać buty i narzucić coś na grzbiet. Gdy opuścili dzielnicę Rhunów, spostrzegł, że z dystansu obserwuje ich kilkoro Fhrejów. Staruszka i kaleka – to z pewnością było coś nowego dla ich idealnych oczu.

Potwory. Wprowadzili się do domów, które wcześniej należały do tych Fhrejów, zajęli ich miasto i chodzili po jego ulicach. Widzisz, kochanie, to dlatego mama zabroniła ci wychodzić samotnie na dwór. Widzisz ich? Widzisz, jacy są wstrętni?

Tak naprawdę ani razu nie usłyszał, żeby Fhrejowie powiedzieli choćby słowo, gdy ich mijał. Gifford po prostu zawsze wyobrażał sobie, że ludzie mówią o nim takie rzeczy. Zazwyczaj miał rację.

Czy to też było częścią magii? Czy jakimś cudem słyszał cudze myśli?

Nadal nie był pewien, czy potrafi uwierzyć w to wszystko, co mu powiedziała Arion – że urodził się z magicznym talentem, że potrafi władać

kosmiczną mocą. Gifford, który od urodzenia stanowił obiekt drwin i okrutnych żartów, nie był łatwowierny, ale kilka szczegółów kazało mu się zastanawiać. Dlaczego Arion, wysoko postawiona Fhrejka, z którą nigdy wcześniej nie rozmawiał, miałyby do niego przyjść tylko po to, żeby go okłamać? Niewiele wiedział zarówno o niej, jak i o Suri, ale raczej nie sprawiały wrażenia osób, które dla zabawy i własnej uciechy wprowadzają innych w błąd. Persefona ufała im obu, a Gifford zawsze szanował opinię pani Keenig.

Zatem dlaczego Arion to zrobiła?

Po ich odejściu próbował siłą woli zagotować wodę, podpalać gałązki. Nic nawet się nie rozgrzało. Był przekonany, że Arion go okłamała, nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego. Ta nierozwiązywalna zagadka, ta dziwna wątpliwość sprawiała, że wrota prawdopodobieństwa pozostawały uchylone – zaledwie odrobinę, ale to wystarczyło, by Gifford zaczynał się zastanawiać od nowa, ilekroć w jego otoczeniu wydarzało się coś niezwykłego.

Dla człowieka, który ma tak niewiele, nadzieja przypomina beczkę piwa. Przejściowo łagodzi ból, staje się podporą, ale przy okazji niszczy te nieliczne pozytywy, które człowiekowi udało się mimo wszystko wycisnąć z życia. Gifford lubił myśleć, że jest kimś szczególnym. Pragnął wierzyć, że bogowie działali według swojego planu i całe cierpienie, jakie musiał znosić, miało swój cel. Jednakże nie potrafił przyjąć, że prawda faktycznie tak wygląda. To były mrzonki – ten rodzaj snu, który łatwo przemienia się w koszmar.

Zostali zatrzymani przy niższej bramie przez dwóch fhrejskich strażników, którzy nigdy wcześniej nie strzegli tych wrót.

– Jestem osobistą uzdrowicielką Keenig Persefony, a to mój wnuk, który mi pomaga – oznajmiła Padera.

– W czym ci pomaga? – zapytał jeden z żołnierzy, mierząc Gifforda sceptycznym spojrzeniem.

Gifford uśmiechnął się do niego. Słyszał podobne słowa setki razy. „Jaki może być pożytek z takiego kaleki?”.

– To prawda – oznajmił drugi strażnik. – To ta rhuńska uzdrowicielka, Padera, nieprawdaż? Była wcześniej w Kypie, zaraz po zamachu na panią Keenig.

Dokonano zamachu na Persefonę? Gifford zagapił się na strażników, ale żaden z żołnierzy już nie patrzył na dwójkę Rhunów.

– Co się tam wydarzyło? – zapytał pierwszy strażnik.

– Raow ją wypatroszył – odrzekł drugi.

– Co?! – wykrzyknął Gifford, zaskakując wszystkich.

– Nic jej nie będzie. – Padera ponownie schwyciła go za ramię. – Ale muszę iść do kuźni, zobaczyć się z Roan. Wziąć od niej więcej igieł. Czy możemy

przejsć? – zapytała, zwracając się do Fhrejów.

– Jasne, idźcie.

Padera szarpnięciem zmusiła Gifforda, by podążył za nią.

– Idź, nie przystawaj. I tak ruszasz się strasznie wolno, a czasu jest niewiele.

Mamy jeszcze tyle do zrobienia.

– A co łąbimy? – zapytał Gifford, kuśtykając za Paderą w górę zbocza.

– Łoan i ja zamierzamy zrobić z ciebie bohatera.

A myślałem, że to ja niby mam być czarodziejem!

Wkroczyli do kuźni. Gifford nie zdziwił się, widząc, że nawet o tej późnej godzinie Roan bez wytchnienia wali młotem w kowadło. Zaszokowało go natomiast, że towarzyszą jej Mróz, Powódź i Deszcz. Wszystkie trzy karły uwijały się w straszliwym pośpiechu.

Gdy Gifford wkroczył do kuźni, obecni zamarli na chwilę, gapiąc się na niego. Na wszystkich twarzach dostrzegł ten sam okropny wyraz współczucia. Roan wyglądała tak, jakby miała się rozplakać lada moment.

– W porządku, czy ktoś mógłby mi powiedzieć, co się dzieje?

– Przybyła armia elfów – oznajmiła Padera, podczas gdy Mróz podbiegł do Gifforda z kawałkiem sznurka, żeby zmierzyć szerokość jego ramion. – Setki Fhrejów rozbiły obóz po drugiej stronie Wielkiego Mostu. Może jest ich jeszcze więcej, w ciemności trudno poznać. Przypuszczalnie zaatakują o świcie.

– Och, łaskawa Małi! Mówisz poważnie?

– Trzydzieści trzy cale! – krzyknął Mróz.

– Trzydzieści trzy – powtórzył Powódź.

– Co więcej... – podjęła staruszka – ognisko sygnałowe, które miało dać znać naszej armii, że muszą przyjść nam z pomocą, zostało zdmuchnięte za pomocą elfiej magii.

Mróz podniósł rękę Gifforda i zmierzył sznurkiem odległość od pachy do biodra.

– Piętnaście.

– Piętnaście – powtórzył jak echo Powódź.

– Wszyscy tkwimy tu w pułapce i z pewnością zostaniemy wybici do nogi, jeżeli ognisko sygnałowe w Perdif nie zapłonie.

Mróz otoczył sznurkiem talię Gifforda.

– Dwadzieścia dziewięć.

– Dwadzieścia dziewięć? Poważnie? Jesteś pewien? – zapytał Powódź.

– Nie każdy jest taki gruby jak ty! Tak, dwadzieścia dziewięć!

– Perdif leży czterdzieści mil stąd – oznajmiła Padera. – Ktoś musi tam pognać i sprawić, by ognisko zapłonęło najpóźniej jutro w południe. Inaczej zginą wszyscy w Alon Rhist, a potem cała ludzkość.

– I chcesz, żebym ja... Nie dotę do Peldif do południa. To akułat dość czasu, żebym dokuśtykał o własnych siłach do Domu Beznadziei. Od biedy.

– Oto ona. – Gifford okręcił się na pięcie i ujrzał, że do kuźni wchodzi Malcolm, przyjaciel Raithe'a. Prowadził pięknego białego konia. – Nawet nie zapytali, do czego jest mi potrzebna. Instarya nie przepadają za końmi. Generalnie Fhrejowie wolą stąpać po ziemi na własnych nogach.

Gifford widywał już konie, ale nigdy z tak bliska. Czasem pojawiały się wraz z jeleniami na łąkach w pobliżu dahlu Rhen. Zdarzało się, że polowano na nie, by zdobyć mięso, tak jak na jelenie.

– Jej imię brzmi Naraspur – wyjaśnił Malcolm, głaszcząc pysk zwierzęcia. Klacz parsknęła i tupnęła kopytem, które niepokojąco głośno łupnęło o kamienną posadzkę.

Jest ogromna, pomyślał garncarz.

– Pojedziesz na niej, Giffordzie – oznajmiła Padera z takim zachwytem, jakby już tego dokonał.

Gifford znów popatrzył w górę na potężne zwierzę.

– Nie. Nie ma mowy.

– Na grzbiecie tego zwierzęcia pognasz szybciej niż jakikolwiek człowiek w dziejach.

– Jak mam z niej nie spaść?

– Musisz trzymać się grzywy – odrzekł Malcolm. – Nachyl się, głowa nisko, i po prostu trzymaj się jak najmocniej.

– Bogowie nie bez przyczyny obdarzyli cię silnymi rękoma – oznajmiła Padera.

– Jak mam nakazać koniowi, żeby biegł tam, gdzie ja chcę?

– Za pomocą tego. – Malcolm podszedł do garncarza, trzymając kawałek metalu, do którego były przymocowane rzemyki ze sprzączkami. – To tak zwane ogłowie z wędzidłem. Trzeba je wsunąć koniowi między zęby, żeby znalazło się w tylnej części pyska, a potem zapiąć sprzączkę z tyłu za łbem. Te długie rzemienie pozwolą ci skręcać. Będzie podążała tam, dokąd skierujesz jej głowę.

Malcolm nałożył koniowi ogłowie, Roan zaś pośpieszyła z powrotem do stołu roboczego, chwytając garście pakuł.

– Spokojnie – stwierdziła Padera. – Koń jest najmniejszym z twoich zmartwień.

Mróz gestem nakazał Giffordowi się pochylić, tak jakby chciał mu wyjawic jakiś sekret, po czym przyłożył sznurek do głowy garncarza.

– Czternaście i pół.

– Czternaście i pół – powtórzył Powódź.

– Czemu oni to łobią? – zapytał Gifford.

– Najtrudniej będzie ci przedostać się przez armię elfów – wyjaśniła Padera.
– Musisz przejechać przez Wielki Most i przez sam środek ich obozu. Będą wiedzieli, że próbujesz przewieźć wiadomość, i będą próbowali cię powstrzymać, tak jak zniszczyli Spyrok.

– Zabiją mnie.

– Spróbują. – Wyraz twarzy Padery mógł być uśmiechem. – Absolutnie wszyscy są przekonani, że to, co próbujesz zrobić, to samobójstwo. I dlatego właśnie ty powinieneś to zrobić. Nie pojmujesz? To idealne rozwiązanie. Nie masz nic do stracenia.

– Życie. Mogę stłać życie.

– Tak jak powiedziałam: nic do stracenia.

Gifford nie znalazł na to odpowiedzi. Wiedział, że powinien coś odrzec, ale zabrakło mu słów.

– Nie miej takiej nieszczęśliwej miny – podjęła Padera, uśmiechając się szeroko i świdrując go spojrzeniem jedyne go widocznego oka. – Nie posyłam cię na śmierć. Nie zginiesz. Wiem to. Twoja matka też wiedziała. A teraz popatrz, Roan ma dla ciebie prezent.

Gifford podniósł wzrok i zobaczył, że Roan oraz karły niosą mu zbroję. Była srebrzysta i migotała niczym powierzchnia jeziora w słońcu. Ujrzał w wypolerowanej powierzchni odbicie własnej twarzy.

– Zrobiłam ją z żelaza – oznajmiła Roan. – Tylko że to nie jest żelazo. To nowy metal, coś, nad czym ostatnio pracowałam. Sporządziłam go, dodając inną ilość sproszkowanego węgla, żeby powstała lepsza mieszanka. Metal jest twardszy, lżejszy, zahartowany. I wypolerowałam go. Sądzę, że im gładza powierzchnia, tym większe szanse, że ostrza będą się od niej odbijać.

Mróz, Powódź i Deszcz pokiwali głowami.

Malcolm podszedł i podniósł dwie duże, połączone rzemieniami płyty, żeby przełożyć pancerz przez głowę Gifforda. Jedna płyta zakryła pierś garmcarza, druga jego plecy, rzemienie zaś znalazły się na ramionach. Potem Malcolm i Roan założyli mu naramienniki i pozapinali sprzączki.

– A najlepsze jest to... – Roan podniosła pasujący do tego wszystkiego hełm i odwróciła go, pokazując rząd wyrytych symboli – że cała zbroja jest pokryta runami Orinfar. Innymi słowy, nie tylko miecze będą się od niej odbijać. Magia też powinna.

Padera uśmiechnęła się tak szeroko, że jej oczy zmieniły się w wąziutkie szparki.

– Matka będzie z ciebie dumna, chłopcze.

* * *

Roan miała trudności z zapięciem Giffordowi hełmu. Musiała zrobić w rzemieniu kolejną dziurkę, bo nie doszacowała rozmiarów głowy garncarza. Próbował obrócić to w żart, ale Roan, która zawsze traktowała wszystko zbyt serio, teraz zachowywała niemalże grobową powagę. Nie chciała spojrzeć Giffordowi w oczy, tylko założyła mu hełm z ceremonialnym namaszczeniem, zupełnie jakby był wodzem plemienia – albo zwierzęciem ofiarnym.

– Niech to szlag! – zakląła i znów ściągnęła hełm. – Nadal za mało. Powiedzieliście, że czternaście i pół cała. Wychodzi czternaście i trzy czwarte.

– Łoan?

– Aha? – odrzekła, odwracając się z powrotem do stołu i odczepiając sprzączkę od rzemienia.

– Chcę ci coś powiedzieć.

Przez ostatnią godzinę Padera nie dała mu ani chwili wytchnienia, ale teraz, gdy karły malowały runy Orinfar na ciele białego wierzchowca, a Roan wykonywała ostatnie poprawki przy zbroi, Gifford mógł się wreszcie zastanowić. Ani przez moment nie przeszło mu przez myśl, żeby odmówić. Staruszka miała rację. Musiał wyruszyć. Przejedzie przez ten most – nie dla ludzkości, nawet nie dla swojej matki, ale po to, żeby ocalić Roan. Zdążył już pięciokrotnie podziękować Mari nawet za tę skromną szansę, żeby cokolwiek zrobić. Przez całe życie obserwował, jak inni się bawią, biegają, walczą, zawierają małżeństwa, wychowują dzieci, budują domy, polują, uprawiają ziemię, hodują owce i tańczą. Gifford potrafił tylko wytwarzać ceramikę i głupio wyglądać. W razie nagłego wypadku nie mógł nawet pobiec po pomoc. Zawsze stanowił obciążenie, dodatkową gębę, którą trzeba było wykarmić owocami cudzej pracy. Jego wyroby garncarskie stanowiły próbę spłacenia długu wobec społeczności, dlatego tak bardzo się starał, żeby były jak najlepsze, ale tak naprawdę nikt ich nie potrzebował. Gifford nigdy nie był nikomu potrzebny.

Zginę.

Ta myśl nie powodowała bólu ani strachu. Była tylko ciężka, trzeźwiąca – niczym świadomość końca epoki. Gifford zamiast przerażenia odczuwał nostalgię, co było dziwne, bo przecież miał niewiele dobrych wspomnień. Ale te, którymi dysponował – wszystkie co do jednego – dotyczyły Roan.

– Łoan – zaczął. – Wiem, jak to było z Iwelem. Wiem, że Padeła go zabiła, żeby cię ocalić.

Może to był zły moment na poruszanie tego tematu, ale Giffordowi brakowało czasu. Wiedział, że Roan obwiniła się w związku ze śmiercią Ivera. Miała wyrzuty sumienia przez to, co Padera zrobiła, żeby ją ratować. Garncarz

chciał jej pomóc zrozumieć, że to nie była jej wina. To będzie jego ostatni dar dla niej, ostatnia amfora.

Roan upuściła hełm na ziemię. Brzęknął głośno i potoczył się kawałek, zatrzymując się przy jej stopie.

Gifford czekał.

Odwróciła się powoli, otwierając szeroko oczy, ale tym razem popatrzyła prosto na niego. Kochał te oczy – okna do świata pełnego cudów, o których nikomu jeszcze się nie śniło.

– Ja... Wiem, że to nieodpowiednia chwila, żeby... – zaczął, po czym urwał i zaczerpnął tchu, żeby się skupić. – Pewnie już cię nie zobaczę, więc chciałem tylko, żebyś wiedziała, że...

– Padera nie zabiła Ivera – wyjąkała słabo Roan. – Ja to zrobiłam.

Te słowa wylały się z niej na jednym oddechu. Upadły pomiędzy nimi tak samo jak hełm – z metalicznym brzękiem.

Gifford zagapił się na dziewczynę.

– Ty go zabiłaś? Jak to ty...

Roan spuściła wzrok. Może w poszukiwaniu hełmu; garncarz nie potrafił poznać.

– Łoan?

Podniosła wzrok, słysząc swoje imię. Chciała cofnąć wypowiedziane słowa. Gifford widział to po jej zmarszczonym czole i skrzywionych kwaśno ustach.

– Powiedz mi, Roan – poleciła Padera, głaszcząc klacz po nosie.

Roan zerknęła na staruszkę, po czym znów popatrzyła na garncarza i leżący na ziemi hełm.

– Rośliny – powiedziała. – Pewne rośliny i kamienie. Trzeba je rozgnieść. – Wykonała dłońmi taki ruch, jakby tłukła coś w mózdzierzu. – Karmiłam tym później myszy, które trzymałam w klatce. Po niektórych mieszankach tylko chorowały. Po innych... – Wbiła wzrok we własne stopy. – Musiałam się upewnić, że to podziela na coś większego, dlatego podałam moją miksturę jednej z owiec Gelstona. Wymieszałam ją z karmą. Nazajutrz rano owca leżała martwa z pianą na pysku.

Gifford nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Gelston przeklinał bogów, ale to byłam ja. – Roan schyliła się, żeby podnieść hełm. – Iver zabił moją matkę. Zatłukł ją na śmierć. Patrzyłam na to. Chciał, żebym wszystko widziała, żebym zapamiętała. I tak się stało.

– Nie musisz się przede mną usprawiedliwiać – powiedział Gifford. – Szczerze, gdybym wiedział, sam bym go zabił. Myślę, że każdy mieszkaniec dahlu postąpiłby tak samo.

Roan uniosła wzrok. Oczy miała pełne łez.

– Ale byłam jego niewolnicą. Jego własnością. Miał prawo...

– Nie, nie miał. Nikt nie ma prawa łobić takich rzeczy. Chcą tylko, żebyś tak myślała. Wierz mi, Łoan, ja to wiem.

– Ale byłam jego własnością. Ja i moja matka.

– Jak to?

– Ponieważ kupił moją matkę.

– Jak?

– Zapłacił człowiekowi z Dureyi drewnem i zbożem.

– A jakim sposobem tamten typ stał się czyimkolwiek właścicielem?

– Moja matka była z ludu Gula. Pojmano ją w bitwie. Jej męża zabito, a ją wzięto do niewoli.

– I czy tak powinno być? Czy to dobrze, że ją pojmano? Zabito jej męża? Uczyniono z niej niewolnicę? Czy to było dobre, Łoan? A co ty złościłaś? Jeśli jakiś mężczyzna miał prawo zabić męża, a z jego żony złobić niewolnicę, to czemu dziecko tej samej kobiety nie ma prawa zabić człowieka, żeby odzyskać wolność? Człowiek, który wziął kobietę do niewoli, nie miał prawa tego złobić. Złobił to, bo mógł. A ty mogłaś się uwolnić, Łoan. Mogłaś i miałaś prawo.

– Zabiłam człowieka. Jestem morderczynią.

– Zabiłaś potwoła. Jesteś bo-ha-teł-ką.

– Skąd wiesz? Po czym potrafisz poznać? Mnóstwo ludzi płakało na jego pogrzebie. Widziałam to. Patrzyłam, jak jego sąsiedzi, a moi przyjaciele płaczą nad jego grobem. To ja spowodowałam tyle bólu. To byłam ja. Iver zawsze powtarzał, że jestem przekleństwem dla wszystkich, którym na mnie zależy. I tym właśnie jestem: parszywym przekleństwem, i zasługuję na wszystko, co mnie spotyka. – Zaczęła płakać.

– To nieprawda.

– Prawda! – wykrzyknęła tak głośno, że obejrzały się nie tylko karły, ale nawet Naraspur. – Tobie na mnie zależy. Prawda? Ty... Ty mnie kochasz, zgadza się? Zgadza się?

Gifford poczuł się tak, jakby Roan sięgnęła w głąb jego klatki piersiowej, ujęła serce i macała je palcami. Stał sztywny i bezradny pod jej pełnym łez spojrzeniem. Powoli skinął głową.

– Bałdziej niż cokolwiek innego na świecie.

– No widzisz – odrzekła. – I zobacz, na co ci przyszło. Teraz czeka cię... Czeka cię... – Zaciśnęła zęby i otarła oczy. – Jestem przekleństwem.

Gifford zaczął podnosić ręce. Desperacko pragnął objąć dziewczynę, przygarnąć ją do siebie, przytulić mocno. Wiedział, że być może widzi Roan po raz ostatni. Chciał móc ją przynajmniej pocałować na pożegnanie. Ujrzał, jak się wzdrygnęła, i zrezygnował.

– Mam tu prowiant – oznajmiła Tressa, wbiegając do kuźni ze skórzaną sakwą i bukłakiem wina.

– Optymistka z ciebie – skomentował Powódź, malując na ciele klaczy ostatnie runy i dmuchając na nie, żeby wyschły.

Tressa wzruszyła ramionami.

– Temu chłopakowi musi się w końcu coś udać. Nie może być tak, że przez całe życie będą go spotykać same nieszczęścia, czyż nie?

Trzy karły wymieniły spojrzenia. Ewidentnie ich nie przekonała.

– Pora ruszać, Giffordzie – oznajmiła Padera.

Podeszła do garncarza, dzierżąc miecz i pochwę. Roan otarła oczy i pociągnęła nosem. Chwyciła broń i podała Giffordowi.

– To też dla ciebie zrobiłam.

Gifford popatrzył na najwspanialszy miecz, jaki kiedykolwiek widział. Klinga lśniła tak samo jak zbroja.

– Nie łożumiem. Jak... Jakim sposobem wykonałaś to wszystko tak szybko?

– Nie szybko – odrzekła Roan. – Ten miecz, ta zbroja... To miał być prezent. Padera powiedziała, że pewnego dnia będziesz potrzebował tego wszystkiego. Poza tym ja nie potrafię robić pięknych waz. To nie jest amfora z obrazkiem, ale... To najlepszy wyrób, jaki kiedykolwiek wykonałam. Wlałam w to całą duszę. Ta zbroja jest lekka i wytrzymała niż jakakolwiek inna, a miecz jest ostrzejszy od brzytwy i lśni w słońcu tak jasno, że aż oślepia.

– Ona nie żartuje – dodał Mróz. – To najwspanialsza broń, jaką kiedykolwiek widziałem.

Powódź skinął głową.

Gifford po raz pierwszy widział, żeby ci dwaj zgadzali się w jakiejś kwestii.

Garncarz wziął broń od Roan i zdziwił się, że miecz jest taki lekki.

– Zdajecie sobie wszyscy sprawę, że nie potłafię się tym posługiwać?

– A ty zdajesz sobie sprawę, że liczą się intencje? – Padera ujęła pas z mieczem i zapięła go Giffordowi wokół bioder. – Pora ruszać, Giffordzie.

Karły ustawiły już skrzynki obok konia, żeby garncarz mógł się wspiąć na grzbiet wierzchowca. Malcolm stanął przy głowie Naraspur, głaszcząc ją po pysku i szyi, uspokajając klacz szeptaniem. Gifford ostrożnie przełożył zdrową nogę nad grzbietem klaczy. Czuł, jak zwierzę oddycha pod nim, sprawiając, że jego uda poruszały się z każdym wdechem. Dłonie Gifforda dygotały, gdy Malcolm wręczył mu wodze.

– Zwiąż ich końce ze sobą, żeby ci nie wypadły – poinstruował były niewolnik. – Giffordzie, Naraspur to mądra klacz. Wyczuwa twój strach. I budzi on jej niepokój. Będzie próbowała cię zrzucić. Dlatego nie bój się.

– Jak mam się nie bać?

Malcolm się uśmiechnął.

– Za chwilę będziesz musiał przejechać przez obóz Fhrejów, naszych wrogów, którzy będą cię atakowali mieczami, włóczniami i magią. Czy w tej sytuacji naprawdę sądzisz, że powinieneś się bać upadku z końskiego grzbietu? Naraspur to dobry koń, dzielny koń. Pomoże ci, jeśli tylko jej pozwolisz. Trzymaj się mocno. Zaufaj jej. Zaufaj jej, a ona zaufa tobie.

Gifford legł płasko na końskim grzbiecie, trzymając się mocno grzywy i rzemieni ogłowia. Wysłuchał instrukcji Malcolma, jak dojechać do Perdif. Kiedy już potrafił wyrecytować te wskazówki z pamięci bez zająknięcia, Malcolm uśmiechnął się, klepnął go w nogę i oznajmił:

– Poradzisz sobie. A teraz pamiętaj: trzymaj się cieni i mgły. O tej porze roku zawsze ścieli się mgła. I jedź bez postojów. Gdy tylko znajdziesz się po drugiej stronie mostu, podążaj na północ wzdłuż brzegu rzeki Bern. A potem, kiedy ujrzysz słońce, jedź ku niemu.

– Powodzenia, Giffordzie – powiedziała Tressa. – I... – Zawahała się, pociągnęła nosem. – Dzięki, że byłeś mi przyjacielem, kiedy nikt inny nim nie był.

– Twoja matka jest z ciebie dumna, chłopcze – oznajmiła Padera. Jej głos nadal był tak szorstki, że stolarz mógłby nim wygładzać drewno. Wykrzywiła usta, a jej oczy niemal zniknęły w tym gnieździe zmarszczek, które niektórzy nazywali twarzą. – Źle cię oceniłam, przyznaję. Przepraszam. Jedź i zostań bohaterem. Twój rodzice zawsze wiedzieli, że nim będziesz.

Roan wręczyła garncarzowi hełm, a on go założył i poczuł, że skórzana wyściółka idealnie pasuje do czoła.

– Giffordzie, ja... – Roan się zająknęła. – Ja...

– Pozwól, żebym sam sobie dopowiedział, co leży na zachód od tego zdania, dobrze?

Malcolm ujął wodze i poprowadził konia. Gdy znaleźli się poza kuźnią, były niewolnik posłał Giffordowi ostatni uśmiech, po czym zacmokał. Naraspur pobiegła kłusem.

* * *

Nie było łatwo utrzymać się na końskim grzbiecie. Gifford podskakiwał i obijał się boleśnie o kręgosłup zwierzęcia. Trudno było wysiedzieć w takiej pozycji, a co gorsza, to najzwyczajniej w świecie bolało. Nie podłożono niczego miękkiego tam, gdzie najbardziej tego potrzebował. Trząsł się na koniu jak worek, nie spadając tylko dlatego, że potrafił się naprawdę mocno trzymać. Jedynym pozytywnym aspektem sytuacji był fakt, że garncarz przestał się bać

swojego wierzchowca. Ponieważ siedział już na niej od jakiegoś czasu, oswoił się z samą ideą jechania na zwierzęciu. Mimo to dwukrotnie omal nie spadł, kiedy wskutek ciągłego podrzucania i obijania przesunął się zanadto w jedną stronę. Co więcej, Gifford wiedział, że koń nie porusza się z największą możliwą prędkością. Jeszcze nie.

Co będzie, kiedy klacz zerwie się do galopu? Jak szybko potrafi gnać? Czy ręce Gifforda okażą się wystarczająco silne? Co, jeśli po prostu z niej spadnie? A jeśli klacz nie jest szybka...

Miał nadzieję, że okaże się bardzo szybka.

Złowił mnóstwo dziwnych spojrzeń, którymi obdarzali go ludzie mijani na dziedzińcu i później na ulicach miasta, gdy jechał w dół, pokonując kolejne poziomy. Jednakże nikt nie odezwał się do garncarza ani słowem, dopóki Gifford nie dotarł do głównej bramy.

– A ty dokąd się wybierasz? – zapytał jeden z wartowników.

– Do Pełdif. Mam sprowadzić pomoc.

Strażnik – Fhrej w pełnej zbroi i hełmie z pękiem piór – popatrzył na garncarza z drwiącym uśmiechem.

– Czy to żart?

Gifford zaprzeczył ruchem głowy.

– Fhlejowie zdmuchnęli ognisko sygnałowe. Nie ma jak go łożpalić na nowo.

Strażnik przyjrzał mu się zmrużonymi oczami, po czym wskazał kciukiem bramę.

– Tam, na zewnątrz, czeka wroga armia. Nie masz szans. Zabiją cię.

– Mówisz to tak, jakby to było coś złego. – Podczas gdy zafrapowany żołnierz rozważał jego słowa, garncarz dorzucił: – Otwórz błamę.

Strażnik wzruszył ramionami.

– To będzie twój pogrzeb.

Tak, zgadza się. To mój pogrzeb.

Gifford spędził całe swoje dotychczasowe życie, egzystując samotnie w ubogiej lepiance. Codziennie grzebał w ziemi w poszukiwaniu gliny, z której okazjonalnie wyrabiał garnki i kubki. Mili ludzie ignorowali go, unikali kontaktów z nim, tak jakby jego krzywe plecy, bezwładna noga i martwa twarz były chorobą, którą można się zarazić. Inni – nie tak mili – wyzywali go i poniżali. Nawet ci nieliczni bardzo mili ludzie, których ważył się nazywać przyjaciółmi, mimo wszystko sprawiali, że czuł się beużyteczny. Nie czynili tego umyślnie. Sądził, że kiedy chwalą jego wyroby garncarskie, sprawiają mu przyjemność. „Spójrzcie, co kaleka zdołał zrobić!”. Może nie taki komunikat chcieli przekazać, ale on zawsze słyszał właśnie to. Był przeklęty. Potępiony na wieki. Bogowie go nienawidzili i nie miał absolutnie żadnych wątpliwości, że

przez resztę życia będzie grzebał się w pyłe i brudzie, aż pewnego dnia umrze przysypany gliną. Tylko na to mógł liczyć, to było najlepsze, co może go czekać, i wiedział też, że powinien być za to wdzięczny. Gdyby był synem kogokolwiek innego, a nie Arii, zostałby porzucony w lesie jako niemowlę. Zamiast tego żył.

Gdy brama się otworzyła, Gifford – przyodziały w lśniącą zbroję, z błyszczącym mieczem przy boku, siedzący na pięknym białym koniu – popatrzył na stojące za Wielkim Mostem ogromne słupy, na których powiewały sztandary szczepu Instarya. Za nimi ujrzał ogniska w obozie ogromnej armii – tej armii, której zamierzał samotnie rzucić wyzwanie... żeby chronić damę swego serca.

Jestem bohaterem, pomyślał. Jak w opowieściach i starych pieśniach. Ja – Gifford Kaleka – znany również jako dziecko trolli, ale nie dzisiaj. Dzisiaj jestem wojownikiem, który wyjeżdża przez wspaniałą bramę, żeby walczyć z bogami.

Uśmiechnął się na tę myśl.

Strażnik spostrzegł jego uśmiech.

– Naprawdę pragniesz umrzeć, czyż nie? – Zagapił się na Gifforda.

– Nie, ale wszyscy ludzie muszą umrzeć tak czy siak, a czy potłafisz sobie wyoblązić piękniejszą śmieć?

Strażnik zmierzył go spojrzeniem z ukosa, przygryzając dolną wargę.

– Na pewno nie jesteś Instarya?

Gifford pokręcił głową.

– Nie. Tylko synem dzielnej kobiety.

– No cóż, przynajmniej będziesz miał przewagę wynikającą z zaskoczenia – powiedział żołnierz. – Tamci z pewnością nie spodziewają się kogoś takiego jak ty.

Gifford zwrócił się ku niemu.

– Jak masz na imię?

– Plymerath, ale przyjaciele nazywają mnie Plym. – Żołnierz popatrzył na obóz wrogów, a potem znów podniósł wzrok na Gifforda. – Powiedz, naprawdę zamierzasz tamtędy przejechać, żeby ściągnąć pomoc?

– Naprawdę.

Żołnierz przełożył włócznię do lewej ręki, a prawą dłoń wyciągnął w górę.

– W takim razie możesz mi mówić Plym.

Gifford nachylił się i uściskał jego rękę.

– Dzięki, Plym.

Popędził Naraspur.

– Powodzenia – rzekł Plym. – Mam nadzieję, że ci się uda. Ale wiesz co? Nawet jeżeli nie, opowiem wszystkim o wojowniku w lśniacej zbroi, który

wyjechał z Alon Rhist na białym koniu, żeby stawić czoło przeznaczeniu. Jakże mógłbym milczeć? I nawet jeśli ta opowieść przepadnie razem z nami, przez krótki czas będziesz bohaterem.

Gifford obejrzał się, czekając na złośliwy komentarz, werbalny odpowiednik pożegnalnego kopniaka. Na „jesteś w porządku... jak na kalekę”, ewentualnie „jesteś dzielny... jak na Rhuna”. Zamiast tego ujrzał, jak Plym w milczeniu zamyka bramę.

Gifford został sam. Zmierzał w stronę mostu spajającego przepaściste brzegi rzeki Bern, odziany w czarodziejską zbroję, z czarodziejskim mieczem, na grzbiecie czarodziejskiego konia.

Doprawdy nie spodziewałem się, że to właśnie będę dzisiaj robił.

Naraspur wkroczyła na most, donośnie stukocząc kopytami po bruku. Dopóki szła stępą, utrzymanie się na jej grzbiecie nie nastrecało problemów. Gifford się wyprostował. Nie było wiatru, panowała niesamowita cisza. Dolatujący z głębi kanionu, stłumiony przez odległość grzmot siklaw na rzece Bern brzmiał jak mruczenie kota. Wiatr niósł z dołu wodny pył, Gifford czuł na twarzy wilgoć. Na grzywie Naraspur połyskiwały kropelki. Nad jego głową migotały gwiazdy, a okrągły księżyc zalewał świat bladą poświatą.

Twoja matka była wyjątkowa, powiedziała mu Padera, i ty też podobno masz być wyjątkowy. Nauczyłam cię walczyć. Walczyć w takich sytuacjach, kiedy każda z otaczających cię osób wolałaby odejść. Nauczyłam cię dążyć do niemożliwego, bo to właśnie będzie twoim zadaniem. Będziesz musiał dokonać czegoś niepojętego, Giffordzie. Pewnego dnia będziesz musiał pobiec szybciej i dalej niż ktokolwiek przed tobą, bo tylko to zdoła ocalić nasz lud. To dlatego twoja matka umarła, i nie pozwolę, by jej śmierć poszła na marne.

Nigdy nie poznał swojej matki. Żałował, że nie było mu to dane. Sądząc z opowieści, Aria była dobrą osobą. Dzielną. Pragnął być taki sam.

– Musimy jechać bałdzo szybko – wyszeptał do Naraspur. – Łozumiesz? Będę się trzymał z całej siły, więc ty będziesz musiała decydować, którędy biec. Ale musimy się kielować w tamtą stronę. – Wskazał brzeg rzeki, gdzie gromadziła się poranna mgła, tak jak zapowiedział Malcolm. – Słuchasz mnie, pławda? Mówię to tylko dlatego, że jeśli podążymy gdziekolwiek indziej niż wzdłuż tego brzegu, oboje zginiemy. Nie chcesz tego, pławda? Czy ty w ogóle łozumiesz łhuński?

W obozie nie dostrzegął żadnego ruchu. Z ognisk pozostał jedynie migoczący żar i nikt przy nich nie siedział. Większość wojska spała pod otwartymi niebem lub w namiotach. Gifford przyciskał bosc stopy do końskich boków, a gdy dotarł na drugą stronę mostu, legł płasko na grzbiecie Naraspur i ponownie otoczył jej

szyję ramionami. Teraz, gdy już nadeszła ta chwila i musiał stawić czoło przeznaczeniu, odczuwał mdłości. Bał się.

Naprawdę nie chcę umierać.

Znów pomyślał o Roan, wyobraził ją sobie w kuźni, do której wdziera się rozszalały Fhrej. Wróg jej nie zabije. Czemu miałby? Roan nie będzie walczyć. Skuli się w kącie. Wróg porwie ją i uczyni swoją... niewolnicą.

Gifford zacisnął zęby.

– Biegnij – polecił Naraspur i trącił ją piętami.

Podziękował losowi za to, że ma silne ręce, gdy klacz gwałtownie ruszyła z miejsca. Kolejne uderzenie piętami poderwało ją ze znajomego, lecz okropnego kłusu w galop. Gifford trzymał się mocno rękoma i nogami. Galop był lepszy niż kłus – nie trzęsło tak strasznie – ale prędkość jazdy przerażała.

Naraspur przebyła most, ale nadal zmierzała na wschód – w ogóle go nie posłuchała! Musiał ją zmusić do skrętu. Ryzykując straszliwy w skutkach upadek, Gifford podniósł lewą rękę, ujął wodze i ściągnął łeb wierzchowca w stronę brzegu rzeki, by skierować Naraspur na północ.

Skręcaj!

Klacz z niechęcią w końcu podporządkowała się poleceniu i opuściła drogę. Chwilę później wpadli do obozu elfów, galopując pomiędzy namiotami i tłącymi się ogniskami. Gifford się nie rozglądał. Nie miało to sensu. Trzymał głowę nisko, kurczowo trzymając się szyi Naraspur. Usłyszał okrzyki i dźwięk rogu. Coś w nich trafiło. Coś gorącego. Ujrzał jaskrawy rozbłysk i ogarnęła ich fala duszącego ciepła. Nie było żadnego bólu, tylko taki odgłos, jakby chmara ptaków zerwała się do lotu. Chociaż chwilę wcześniej Gifford był przekonany, że Naraspur już biegnie z maksymalną prędkością, teraz dotarło do niego, jak srodze się mylił. Przeskoczywszy nad jakimś śpiącym Fhrejem, klacz zaczęła gnać w takim tempie, że garncarz ledwie był w stanie w to uwierzyć. Rytmiczny łomot jej kopyt zamienił się w grzmot, gdy przeszła w wyciskający łyż z oczu cwał.

Po pierwszym wstrząsie Gifford odkrył, że wcale nie jest tak trudno utrzymać się na końskim grzbiecie. Przemierzali się z niewiarygodną prędkością, ale nie było podrzucania ani obijania się, tylko jednostajna praca mięśni i szum wiatru w uszach. Mimo to Gifford w absolutnej panice trzymał się kurczowo szyi Naraspur. Pędzili zbyt szybko, by mógł dostrzec w dole trawę, kamienie czy ziemię; wszystko stało się jedną rozmazaną smugą jasnych i ciemnych plam. Gifford przemierzał się tak szybko, że równie dobrze mógłby frunąć.

„Pewnego dnia będziesz musiał pobiec szybciej i dalej niż ktokolwiek przed tobą”.

Wokół niego rozkwitły dwa kolejne ogniste rozbłyski, sprawiając tylko, że Naraspur jeszcze przyśpieszyła. Garncarz słyszał, jak klacz parska, ciężko oddycha. Strach przed ogniem nie pozwalał jej zwolnić. Nie mogła skrócić w lewo, bo tamtędy biegł kanion, a zagrożenie z prawej wymuszało bieg na północ.

Rozległo się więcej okrzyków i Gifford raptem poczuł niewiarygodne zimno. Wokół nich próbował skryzalizować się lód, lecz stopniał równie szybko, jak się pojawił. Potem zaszumił wiatr, wzbijając pył i obalając pobliskie namioty. Nadbiegali nawet zwykli żołnierze, lecz zbyt wolno, by złapać spanikowaną Naraspur, która doskonale rozumiała, jaka jest stawka.

W powietrzu zaświstały włócznie. Gifford sądził, że przy tej prędkości nie grozi mu trafienie – tyle że to nie byli ludzie. Fhrejowie rzucali nieprawdopodobnie celnie. O dziwo, to ocaliło zarówno garncarza, jak i jego wierzchowca. Niecelny rzut mógłby zabić Naraspur, ale spośród pięciu żołnierzy, którzy próbowali rzucać, wszyscy celowali w Gifforda i wszyscy go trafili. Cztery włócznie odbiły się od jego pleców, a jeden oszczep uderzył go w głowę. Hełm ocalił garncarza od śmierci, lecz Gifford nadal kurczowo obejmował rękoma szyję Naraspur.

Krzyki ucichły, gdy obóz został z tyłu. Klacz gnała teraz prosto przed siebie, a po jakimś czasie stopniowo zaczęła zwalniać. Wkrótce przeszła w kłus, a potem szła stępą.

Gifford otworzył oczy i podniósł wzrok.

Znajdował się na polu skąpanym w świetle wschodzącego słońca. I był sam.

Obejrzał się nad końskim zadem. W zasięgu wzroku nie widział elfiego obozu. Udało mu się przejechać na drugą stronę.

Ha! Przeżyłem!

Potem przeklął własną głupotę.

– Musimy biec dalej! – krzyknął do Naraspur, która ciężko dyszała. – Może nie aż tak szybko, ale nie możemy stawać.

Pozwolił klaczy odpoczywać przez kilka minut, a potem skierował jej łeb w stronę wschodzącego słońca i ponownie uderzył ją piętami. W jasnym świetle poranka pogalopowali przez wyżynę w stronę Doliny Wzniesionej Włóczni i wioski Perdif.

Rozdział dziewiętnasty

Dobycie mieczy

Tyle razy słyszałam, że wojna to rzecz szczytna i potrzebna, i że stanowi odpowiedź na wiele problemów. Jednakże wiem z doświadczenia, że kiedy dochodzi do wojny, to pokój staje się rzeczą szczytną i potrzebną, nie ma bowiem na świecie większego problemu niż wojna.

Księga Brin

Malcolm wkroczył do sypialni Nyphrona, gdy lord Rhistu siedział na nocniku.

– Musimy porozmawiać – oznajmił niewolnik.

Zupełnie jakby miał prawo żądać rozmowy. Więcej, Nyphron wychwycił w jego głosie ponagląjący ton.

Malcolm okazał się bardziej użyteczny, aniżeli Nyphron się spodziewał, lecz Rhun traktował ich relację stanowczo zbyt bez troski. Od samego początku była wątpliwym pajączkiem, ale w ciągu kilku ostatnich miesięcy uległa osłabieniu. Malcolm już spełnił swoją rolę, lecz najwyraźniej nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Zaiste, musimy – odrzekł Nyphron.

Wstał z nocnika i wkroczył do salonu. Tam ujrzał, że Malcolm rozsiadł się wygodnie na wyściełanym krześle przy kominku, wyciągając nogi. Z ramionami splecionymi na piersi spoglądał surowo na Nyphrona. Stanowczo zbyt długo tolerowałem jego zachowanie, pomyślał lord Rhistu. Dasz niewolnikowi buty, to będzie po tobie deptał.

– Zaczniemy od tego, że nie wolno ci wchodzić bez zaproszenia do moich komnat. Wypada wspomnieć przy okazji, że obecnie nie masz w ogóle wstępu do Kypu. Jesteś...

– Chcę, żebyś polecił Arion i Suri, żeby ukryły łuczników – poinformował go Malcolm.

– Co?

– Rozkaż, żeby ukryły przed armią fane'a fakt istnienia Moyi i jej oddziału. Potem rozkaż Moyi, żeby jej łucznicy skupili się na ostrzeliwaniu Pajęczego Korpusu.

Nyphron był w pierwszej chwili zbyt zdumiony, żeby odpowiedzieć, więc tylko stał i gapił się z niedowierzaniem. Ten mały Rhun wydawał mu rozkazy – rozkazy dotyczące wojska!

– Nie będziesz mi rozkazywał, niewolniku.

Malcolm bezczelnie przewrócił oczami. Autentycznie wyglądał na zirytowanego.

Zepsułem go, pomyślał Nyphron. Pozwoliłem mu nabrać zbyt wiele pewności siebie. Pozwoliłem, żeby zbyt długo oddychał swobodnie, rozdymając swoje małe rhuńskie płuca i nabierając apetytu na rzeczy, które są poza jego zasięgiem. Czemu nie dostrzegłem tego wcześniej? Być może zdołałbym jakoś temu przeciwdziałać, ale teraz...

– Już to przerabialiśmy. – Malcolm wskazał swoją szyję, na której obecnie nie było obroży. – Nie jestem twoim niewolnikiem. A jeśli sięgniesz pamięcią wstecz, nawet twój ojciec, który teoretycznie miał prawo mnie tak traktować, nie czynił tego.

To bezduszne lekceważenie, ten brak szacunku – to było zbyt wiele.

– Już nie jesteśmy w Rhulynie. Znajdujemy się w Alon Rhist, a tutaj jak najbardziej jesteś moją własnością. – Nyphron odczuł szok, gdy Malcolm zareagował na tę deklarację uśmiechem, jakby go ubawiła. Lord Rhistu również uśmiechnął się drwiąco. – Czy powiedziałem coś zabawnego?

– Być może zapomniałeś, że Alon Rhist nie znajduje się obecnie pod kontrolą Fhrejów. W tej twierdzy mój lud już przejął władzę nad twoim, więc na twoim miejscu nie używałbym pochopnie takich pojęć jak „niewolnictwo” i „własność”, nie wnikałbym też w to, kto lub co należy do kogo. Możesz nagle odkryć, że znajdujesz się w tej dyskusji na niewłaściwej pozycji.

Zaskoczenie, które przerodziło się najpierw w litość, a później w irytację, ustąpiło miejsca gniewowi.

– A ty znajdziesz się na niewłaściwym końcu mojego miecza.

Malcolm jedynie zmierzył go wzrokiem pełnym politowania.

Nyphron, który nigdy wcześniej nie był adresatem takich spojrzeń – a już zwłaszcza ze strony Rhuna – zamilkł na moment. Intuicja podpowiadała mu, że nie mógł się aż tak mylić w ocenie sytuacji. Coś tu było nie tak. Bardzo nie tak. Kiedy wróg dysponował licznymi oddziałami, a mimo to wycofywał się szybko

pod natarciem, Nyphron wiedział, że należy się spodziewać pułapki. Kiedy jakiś wojownik nadmiernie ryzykował, było jasne, że trzeba wypatrywać asa w rękawie: ukrytego sztyletu lub przyczajonego współnika. Malcolm był zbyt zrelaksowany, zbyt pewny siebie.

– Ja nie żartuję, Nyphronie – podjął Malcolm zaskakująco surowym tonem. – Musisz to zrobić, i to natychmiast, zanim tamci się zorientują.

Nyphron z groźną miną postąpił krok w jego stronę. Większość ludzi – ba, większość Fhrejów – cofnęłyby się lękliwie. Malcolm nawet nie drgnął.

Co mnie ominęło?

Malujące się na twarzy Malcolma politowanie ustąpiło miejsca irytacji.

– Wiem, że uważasz mnie za zwykłego niewolnika. To zrozumiałe, skoro dorastałeś w domostwie, gdzie odgrywałem taką rolę. Wiem też, że masz ego wielkości góry Mador, ale będziesz musiał je odłożyć na bok i robić, co każę. Jeżeli chcesz zostać władcą ludu Fhrejów, słuchaj mnie. Nie po to tak ciężko pracowałem przez tyle długich lat, żebyś teraz wszystko zaprzepaścił tylko dlatego, że postrzegasz mnie jak istotę niższą.

– Jesteś istotą niższą. Dużo, dużo niższą.

– Dobrze, w porządku. Jestem istotą niższą. A teraz, proszę, idź i rozkaż Arion, żeby skryła łuczników za mgłą.

Nyphron czuł w skroniach pulsowanie krwi. Rzadko kiedy wpadał w aż taki gniew, kiedy nie miał miecza w ręku. Mimo to zdołał się opanować. Każde włókno jego jestestwa szeptało, że pozory mylą. Działo się tu coś niewyjaśnionego. Odkrycie, że na wyciągnięcie ręki kryła się tak gigantyczna niespodzianka, było do tego stopnia szokujące, że niemal wzbudziło w nim strach. Nyphron nie odczuwał strachu od stuleci. Był nieco wytrącony z równowagi, kiedy Gryndał rozerwał Strykera na strzępy, i przyznawał w duchu – ale tylko sam przed sobą – że odczuwał spory niepokój wtedy w Arwalu, kiedy zostali otoczeni, a Tekchin omal nie zginął, ale nie nazwałby tego strachem. Nyphron bał się jedynie tego, co nieznanego, a Malcolm właśnie okazał się czymś, co mogło pochodzić z Krainy Koszmarów. Przede wszystkim mówił prawdę: ojciec Nyphrona nigdy nie traktował Malcolma jak niewolnika. Jediną pracą, jaką Malcolm kiedykolwiek wykonywał, było nalewanie wina podczas uczt i spotkań. Do Nyphrona dopiero teraz dotarło, że była to idealna przykrywka dla kogoś, kto pragnie podsłuchiwać rozmawiających przy stole. Odkąd pamiętał, Zephyron zawsze traktował Malcolma jak...

Zaraz, zaraz. Odkąd pamiętam?

Nyphron sięgnął pamięcią wstecz i ze zdumieniem uzmysłowił sobie, że nie wie, kiedy dokładnie Malcolm przybył do Alon Rhist. Nyphron spędził większą część swojego życia na wyprawach wojennych. Nie miał pojęcia, kiedy po raz

pierwszy spostrzegł, że jego ojciec ma nowego niewolnika. Tak naprawdę zdał sobie sprawę z istnienia Malcolma dopiero wtedy, kiedy po raz pierwszy wymyślił plan polegający na tym, że Rhun ma zabić Shegona. Nyphron potrzebował osoby, której ewentualna śmierć nie będzie stanowiła problemu, a dopiero co odziedziczył cały majątek swojego ojca: jego służbę, konie i niewolników. Wybrał jednego, o imieniu Malcolm.

Ale Malcolm pojawił się w Alon Rhist znacznie wcześniej. To nie ulegało wątpliwości. Tylko kiedy dokładnie? Czy to było przed tamtą ciężką zimą? Tak, na pewno wcześniej. Czy przed tym, jak Tekchin dorobił się swojej blizny? Nyphron był tego prawie pewien. Sięgał pamięcią do coraz dawniejszych czasów.

Nie, to niemożliwe. To musiał być inny niewolnik. Nie było innej opcji. Rhunowie nie żyją tak długo.

Obserwujący go Malcolm łagodnie, współczująco zmarszczył czoło – matka mogłaby posłać takie spojrzenie synkowi, który się przewrócił i zdarł skórę z kolana.

– Nyphronie, chcę, żebyś odniósł sukces. Chcę, żebyś nie tylko został władcą Fhrejów, ale też objął władzę nad całym światem. Możesz zapoczątkować nową epokę i zbudować cywilizację, która zlikwiduje podziały pomiędzy rasami. Mogę ci w tym pomóc, ale musisz słuchać moich rad.

– Ile ty masz lat? – zapytał Nyphron.

Malcolm tylko się uśmiechnął.

– Dopiero zaczynasz wiązać ze sobą fakty, czyż nie? To niezbyt dobrze wróży twoim szansom na mądre rządy, nieprawdaż? Twój ojciec od razu domyślił się prawdy, ale cóż, twój ojciec byłby lepszym władcą. – Malcolm klepnął się dłońmi w uda i westchnął. – Jednakże on też mnie nie słuchał. Oczywiście nie słuchał właśnie z powodu tych cech charakteru, które sprawiały, że byłby lepszym władcą. Nie wyobrażasz sobie, jakie to frustrujące. Ty z kolei jesteś rozpieszczony jak dziadowski bicz. Po prostu chcesz i nie obchodzi cię, kto będzie musiał cierpieć, żebyś ty miał to, czego zapragnąłeś. W twojej naturze nie leży dostrzeganie osób, które uważasz za istoty niższe, takich jak, nie przymierzając, ja. – Malcolm zrobił pauzę i popatrzył w górę, jakby dostrzegł na suficie coś ciekawego. Nyphron też podniósł wzrok, ale nic tam nie było. Potem Malcolm podjął: – Nawiasem mówiąc, to właśnie będzie przyczyną twojej śmierci. Ta głęboka ślepotą przypieczętuje twoją zgubę, i nawet moja przepowiednia nic w tej kwestii nie zmieni, bo zapomnisz, że ci to powiedziałem. Masz zdecydowanie zbyt ugruntowane przyzwyczajenia i jesteś o wiele zbyt zadufany w sobie. Ale tak to już bywa. Jak na ironię tak zwani „dobrzy ludzie” nie zawsze są w stanie zrobić to, co konieczne, bo często

konieczne są złe czyny, a oni nie byliby „dobrymi ludźmi”, gdyby czynili zło, czyż nie?

Teraz Nyphron odczuwał już prawdziwy niepokój i zastanawiał się, czy nie powinien jednak pójść po miecz. Malcolm nie był ani Rhunem, ani Fhrejem. Cały problem tkwił w tym, że Nyphron nie miał pojęcia, czym Malcolm jest. Jakimś cudem ta... osoba... skutecznie mydliła wszystkim oczy, być może przez stulecia. Nie, nie wszystkim. Ojciec Nyphrona wiedział – musiał wiedzieć – i to dlatego traktował Malcolma inaczej niż pozostałych niewolników, ale nigdy nikomu nie wyjawiał tej tajemnicy. Nie powiedział swojemu synowi. Czemu?

– Dlaczego ojciec nie powiedział mi o tobie?

– A o czym miałby ci powiedzieć?

Malcolm złożył razem czubki palców. Był to zdecydowanie złowieszczy gest; kojarzył się Nyphronowi z Miralyithami. Czy tak wyglądało rozwiązanie zagadki? Czy Malcolm był Miralyithem i tylko udawał Rhuna? Nyphron słyszał o takich rzeczach. Malcolm mógł być szpiegiem przysłanym przez fane’a... Tylko że przebywał w murach Rhistu od zbyt dawna. Musiałaby go przysłać Feneliusa, a ona była martwa. I czemu szpieg miałby zabijać Shegona oraz wzniecić rebelię Rhunów przeciwko władzy Leśnego Tronu?

– Dlaczego ojciec nie ostrzegł mnie, że tak naprawdę nie jesteś Rhunem i że wcale nie byłeś jego niewolnikiem?

– Czyli wreszcie mamy tę kwestię z głowy. To dobrze. – Malcolm z aprobatą skinął głową. – Autentycznie nie mam pojęcia, czemu ojciec cię nie wtajemniczył. Prawdę mówiąc, sądziłem, że ci powiedział, i może to zrobił, tylko że puściłeś jego słowa mimo uszu. Zdarza ci się tak robić, wiesz?

– Kim ty jesteś i jak to się stało, że służyłeś mojemu ojcu?

Malcolm westchnął.

– Ta lista pytań będzie musiała poczekać. Już i tak zmarnowałam tu zbyt dużo czasu. Słońce wschodzi, a ty musisz stanąć do bitwy, pierwszej prawdziwej bitwy w bardzo długiej wojnie. A pierwszy krok to rozkazać Arion, żeby spowiła łuczników mgłą. Powiedz jej i Suri, żeby w ogóle nie próbowały podejmować działań przeciwko Pajęczemu Korpusowi. Tamci wyśledzą ją natychmiast, jeżeli spróbuje. Ale Miralyithowie nie są w stanie się obronić przed czymś, czego się nie spodziewają, a Pajęczy Korpus nigdy dotąd nie widział strzał. Wyślij do walki pierwszy legion pod dowództwem Raithe’a i...

– Mamy fortecę. Nie ma sensu posyłać żołnierzy na zewnątrz, dopóki chronią ich mury.

– A widziałeś, jak teraz wygląda czubek Spyroku? – zapytał Malcolm. – Te mury nie stanowią żadnej ochrony przed Pajęczym Korpusem. Jak już mówiłem, poślij Raithe’a na zewnątrz z jego włócznikami i rozkaż, żeby Moya ruszyła za

nimi z oddziałem łuczników. Niech włócznie prą naprzód, aż łucznicy znajdą się w zasięgu, a potem niech zasypią strzałami Miralyithów. Zrób to, a wówczas zyskacie szansę, żeby dożyć kolejnego wschodu słońca.

Malcolm wstał, sprawiając, że Nyphron cofnął się o kolejny krok. Były, a tak naprawdę nigdy-nie-niewolnik ruszył ku drzwiom, po czym przystanął z dłonią na zasuwie.

– Słyszałem, że Tesh ocalił ci życie.

Nyphron pokiwał głową.

– Nadal planujesz zabić tego dzieciaka?

– Ja... Nie wiem. – Nyphron zmrużył oczy, patrząc na Malcolma. Dotarło do niego, że eksniewolnik nie poruszył tego tematu ot tak, bez powodu. Zaczynał rozumieć, że Malcolm przypuszczalnie nigdy o niczym nie wspomina bez powodu. – A co twoim zdaniem powinienem zrobić?

Malcolm uśmiechnął się do niego. To był zupełnie inny uśmiech niż wcześniej. Nie smutny, nie pełen politowania, nie obłudny ani złowieszczy. To był wyraz szczerego, nieskrywanego zadowolenia.

– Wreszcie zaczynasz rozumieć.

* * *

Członkowie Pierwszej Włóchni stali na dziedzińcu przed główną bramą: pięciuset ludzi, ramię przy ramieniu. Słabe światło poranka ukazywało ponure, pełne niepokoju twarze. Raithe chodził tam i z powrotem pomiędzy szeregami, sprawdzając stan opancerzenia. Od czterech miesięcy raz w tygodniu ćwiczyli ustawianie się w szyku w pełnym rynsztunku, a mimo to wielu żołnierzy nadal nie potrafiło prawidłowo zapiąć sprzączek napierśników i hełmów. Byli zdenerwowani, przestraszeni i nie potrafili się skupić, a Raithe nie miał im tego za złe. Rolnicy, pasterze, drwale – tego dnia wszyscy mieli się stać wojownikami, kładąc swoje życie na szali. Dureyanom przychodziło to łatwiej, bo ich życie i tak nigdy nie było wiele warte. Ale ci ludzie zostawili swoje żony, dzieci, domy i ziemie. Wszyscy mu ufali. Był Zabójcą Bogów. Patrząc na ich twarze, Raithe pomyślał, że więcej niż połowa tych ludzi nie dożyje zachodu słońca. Może nie uda się to żadnemu z nich.

Raithe rozkazał, żeby członkowie Pierwszej Włóchni stawili się w pełnym rynsztunku przy głównej bramie tuż przed świtem. Malcolm obudził go, gdy było jeszcze zupełnie ciemno, przekazując rozkaz. Ale kiedy Nyphron w końcu zszedł na dziedziniec, wydawał się zaskoczony, że już tam czekają, i z nieznanym Raithe'owi powodów posłał Malcolmowi spojrzenie, które wydawało się podejrzliwe. Chwilę później zjawiała się Moya ze swoimi

łucznicami. Zebrali się w tylnej części dziedzińca, gdzie stały kukły służące do ćwiczeń. Jak na to, ilu ludzi zgromadziło się tu na małej przestrzeni, panowała niepokojąca cisza. Kilka ptaków ćwierkało wesoło, co tego ranka wydawało się wyjątkowo nie na miejscu.

– Wiem, że się denerwujecie. – Nyphron wspiął się na Skałę Przemówień, jak nazywano podobny do uniesionego kciuka głąz, który który sterczał u północnego krańca niższego dziedzińca. Lord Rhistu przemawiał głośno, pewnym siebie tonem. – Niektórych z was, pewnie całkiem wielu, dopada paniczny strach. Nie martwcie się. To normalne. Wszyscy przez to przechodzą, ale wierzcie mi, to mija. Po prostu pamiętajcie, czego uczyliście się na treningach, a wszystko będzie dobrze.

Powiedział jedyny z tu obecnych, który nie będzie walczyć, pomyślał Raithe.

Nie obchodziło go, że bóg Nyphrona zakazuje Fhrejom zabijać Fhrejów. Nie potrafił przyjmować rozkazów od kogoś, kto nie zamierzał osobiście poprowadzić oddziałów w bój.

– Dowódcy włóczników? – Nyphron gestem dał znać, żeby podeszli.

Chociaż do poszczególnych Włóczni należeli członkowie różnych klanów, każdym z oddziałów dowodził jeden z wodzów. W ciągu miesięcy wojownicy się wymieniali, bo niektórzy udawali się do domów, żeby zająć się rodzinami i pracą na roli. To samo dotyczyło wodzów. W tym miesiącu Tegan z Warric i Harkon z Melenu mieli wątpliwe szczęście być akurat na służbie, podobnie jak Raithe i Alward, którzy nie mieli domów, więc przez cały czas przebywali w twierdzy.

– Trzecia Włócznia. – Nyphron popatrzył na Tegana z Warric, rysując patykiem na ziemi uproszczony schemat. – Po przejściu przez most skręćcie w lewo. Spróbujecie sformować szyk, o tu, i walczyć, jak długo się da. Druga Włócznia... – odwrócił się do Harkona z Melenu – zrobi to samo, tylko skręćcie w prawo i sformujecie szyk tutaj. – Nakreślił kreskę w pyle. – Pamiętajcie, żeby wasi ludzie przez cały czas trzymali się blisko siebie i walczyli w trzech szeregach, jeden za drugim. Raithe, ty poprowadzisz Pierwszą Włócznię prosto naprzód.

– Szczęściarz ze mnie.

– Moya, wy podążycie za Pierwszą Włócznią. Na równinie znajduje się wzniesienie, pagórek, który...

– Wilcza Głowa – wszedł mu w słowo Raithe.

– Tak jest, Wilcza Głowa. To tam umieszczą Pajęczy Korpus. – Nyphron wskazał Raithe'a. – Twoim zadaniem będzie podejść dostatecznie blisko do Wilczej Głowy, żeby Moya i jej łucznicy mogli spuścić na to wzniesienie deszcz śmierci. – Odwrócił się do Moyi. – Nie potrafię wyrazić słowami, jak istotna rola

wam przypadła. Wszyscy Miralyithowie będą zebrani w jednym miejscu, co ułatwi wam zadanie, ale jeśli nie zdołacie ich pozabijać... No cóż, wówczas wojna zakończy się praktycznie od razu. – Nyphron wskazał blanki. – Będę wywieszał flagi na murze. Czarna oznacza: formuj szyk. Zielona to rozkaz do ataku. Niebieska oznacza, że osiągnęliśmy przewagę i macie kontynuować natarcie. Czerwona to sygnał do odwrotu, ale pamiętajcie, żeby cofać się w szyku. Nie pozwólcie ludziom rzucić się do ucieczki. Musicie maszerować z powrotem w takiej samej formacji, w jakiej wymaszerowaliście, inaczej zginie jeszcze więcej ludzi. Jakies pytania?

– Gdzie jest Persefona? – zapytał Raithe. – Dlaczego nie zeszła tu do nas, żeby wydać rozkazy? Jest keenigiem. To jej zadanie, nie twoje.

Nyphron na moment wbił spojrzenie w narysowaną na ziemi mapkę. Wziął głęboki wdech.

– Keenig Persefona została zaatakowana zeszłej nocy.

Rozległo się kilka okrzyków zaskoczenia, ale najgłośniej krzyknął Raithe. Przepchnął się obok Alwarda i Tegana, żeby stanąć twarzą w twarz z lordem Rhistu.

– Przez kogo?!

– Przez raowa. Stwór przedostał się do jej komnaty i mógłby ją zabić, gdyby nie Sebek i Tesh.

Raithe odwrócił się, żeby spiorunować wzrokiem Tesha, który stał w tłumie żołnierzy i wyglądał na udręczonego poczuciem winy.

– Czemuś mi nie powiedział?

– Spałeś – odrzekł chłopak. – I było już po wszystkim, a dzisiaj miała się odbyć ta wielka bitwa i...

– Persefona została ranna, ale wróci do zdrowia – zapewnił wszystkich Nyphron.

Raithe kipiał złością. Odwrócił się gwałtownie z powrotem do Nyphrona.

– Czyli co, raow może sobie wejść do Kypu, a ja nie?

– Przecież nie pytał o pozwolenie, a ten incydent tylko potwierdza, że konieczne są nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, czyż nie?

To obłudne spojrzenie, kłamstwo wypowiedziane prosto w twarz. Raithe nigdy nie pałał taką chęcią zabicia kogoś, jak teraz Nyphrona. Tu nie chodziło o żadne środki bezpieczeństwa. Pozostali wodzowie ubiegali się o audiencję u pani keenig i ich prośby odnosiły skutek. To tylko Raithe za każdym razem spotykał się z odmową. A w zasadzie nawet nie z odmową – nic równie oczywistego – po prostu stale słyszał „później”, co w praktyce oznaczało „nigdy”. Od miesięcy był przekonany, że Persefona nie chce się z nim widzieć. Tak mu powtarzano i był na tyle głupi, żeby w to wierzyć. Teraz, patrząc na

Nyphrona, nabrał pewności, że Persefona stała się więźniem w Kypie. Nyphron uczynił ją swoją kukielką i uniemożliwił jej zobaczenie się z Raithe'em.

Albo może wręcz nie kukielką. Może nie było żadnego raowa. Co mogło powstrzymać Nyphrona przed zabiciem pani keenig i utrzymaniem, że przekazuje wszystkim jej rozkazy? Może Persefona już nie żyła.

Raithe postąpił krok naprzód, piorunując Nyphrona wzrokiem.

– Po tej bitwie zamierzam się z nią zobaczyć, czy ci się to podoba, czy nie. Jeśli zaryglujecie wrota Kypu, poproszę Suri, żeby roztopiła ten tetliński brąz. Rozumiesz?

– Wszyscy walczymy po tej samej stronie – oznajmił Nyphron. – Wszyscy jesteśmy sojusznikami.

– Wątpię. Nie jestem pewien, czy w ogóle masz świadomość, co oznacza słowo „sojusznicy”.

– Nie jestem twoim wrogiem, Raithe. – Nyphron wypowiedział te słowa ze spokojem, który wyraźnie był obliczony na budowanie zaufania. – Elfy znajdują się za tymi murami.

Raithe przymrużył oczy. Jedna bitwa naraz.

* * *

Tekchin odnalazł Moyę w pobliżu głównej bramy.

– Pójdę z tobą – oznajmił.

Moya podskoczyła. Tekchin miał dziwną skłonność do tego, żeby podkradać się do niej niezauważenie.

– Nie, nie pójdziesz. Słabo sobie radzisz z łukiem.

Moya właśnie napełniała kołczan strzałami, które ułożono w stos przy zewnętrznym murze obronnym. W ciągu zaledwie kilku miesięcy Roan dokonała cudów. W twierdzy zgromadzono tysiące, może wręcz dziesiątki tysięcy opatrzonych lotkami strzał, z których każda – dzięki pracowitości samej Roan oraz mnóstwa wyszkolonych przez nią kowali – kończyła się metalowym grotem. Podobnie jak w przypadku łuków, pancerzy i mieczy, Roan pokazała innym wypracowane przez siebie metody, a oni następnie pracowali dzień w dzień, dokładając kolejne strzały do stosu. Łuk Moyi, ochrzczonej przez nią imieniem Audrey na pamiątkę jej nieboszczki matki (bo podobnie jak ona reagował dynamicznie na wzrost napięcia), został sporządzony przez samą Roan z drewna dębu Megda. Wielu wierzyło, że drzewie w nim czarodziejska moc. Jak inaczej wytłumaczyć to, że Moya – kobieta – tak dobrze sobie radziła z bronią?

– Nie potrzebuję łuku. Będę twoją Tarczą – oznajmił Tekchin.

– Tarcze nie mają Tarcz. Jeśli chcesz być Tarczą, zastąp mnie przy boku Persefony. Ona potrzebuje kogoś, kto by ją chronił, a ja nie mogę być w dwóch miejscach równocześnie.

– Ale Persefona nie jest tobą.

Moya znieruchomiała, dzierżąc w ręku garść strzał, po czym się odwróciła.

– A co to ma znaczyć?

– Wiesz, co to znaczy.

Wrzuciła strzały do kołczana i przewiesiła go przez ramię.

– Nie, nie wiem. Oświeć mnie.

Zmarszczył brwi.

– Byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdyby coś ci się stało.

Moya uśmiechnęła się kpiąco.

– No jasne. Ale nie martw się, przyszła wiosna, więc nawet bez mojego towarzystwa nie będziesz marzył po nocach. I jestem pewna, że mnóstwo fhrejskich dziewcząt...

– Nie chcę ich. Chcę ciebie.

– Dlaczego? – zapytała i popatrzyła Tekchinowi prosto w oczy, rzucając mu wyzwanie.

– Bo żywię do ciebie uczucia. Jesteś dla mnie ważna.

– To za mało. – Zawiesiła sobie na szyi mały bukłak z wodą i odwróciła się do swoich łuczników. – Filson! – krzyknęła. – Upewnij się, że wszyscy mają wodę!

– Czego ode mnie oczekujesz? – zapytał sfrustrowany Tekchin. – Co mam powiedzieć?

Nie chciała być okrutna. Dobrze wiedziała, co Tekchin czuje. Nie była tylko pewna, czy on sam to wie.

– Nie chcę, żebyś cokolwiek mówił. Chcę tylko wiedzieć, czy ty chcesz mi cokolwiek powiedzieć?

– Jeśli powiem to teraz, będzie wymuszone.

– Właśnie widzę.

– Zatem pozwól, że po prostu powiem to.

Tekchin otoczył ramieniem jej talię, przyciągając Moyę do siebie, i pocałował ją namiętnie. Gdy w końcu ją puścił, brakowało jej powietrza.

Oszołomiona Moya zaczerpnęła tchu. Skinęła głową.

– Trafnie to ująłeś.

* * *

Tesh dołączył przy bramie do Raithe'a i reszty mężczyzn, niosąc bukłak wody i swoje dwa miecze. Nie odróżniał się wzrostem od reszty oddziału – był wręcz wyższy od niektórych wojowników. Szesnaście lat oznaczało, że prawie wszyscy uważali go już za dorosłego mężczyznę, ale w oczach Raithe'a nadal był dzieciakiem.

- Ty nie idziesz – oznajmił Raithe, poprawiając przypięty do pasa nóż.
- Jak to? – Chłopak był kłębkim energii, prawie podskakiwał w miejscu.
- Tak to. Nie idziesz. Zostajesz tutaj.
- Jestem żołnierzem w Pierwszej Włóczni i jestem twoją Tarczą.
- I nie idziesz.

Tesh rozdziawił usta, marszcząc z niedowierzaniem czoło.

- Dlaczego?

Raithe postukał w swój hełm oraz napierśnik.

- Bo nie masz pancerza.

Tesh popatrzył na ustawionych w szereg członków oddziału – pozostałych włóczników – tak, jakby oczekiwał, że przemówią w jego obronie. Żaden nie odezwał się słowem. Nawet nie patrzyli w jego stronę.

– Ale Roan nie chciała niczego dla mnie przygotować. Powiedziała, że trzeba poczekać, aż przestanę rosnąć.

- Nikt, kto nie dysponuje opancerzeniem, nie może ruszyć do bitwy.

Tesh znów popatrzył na swoich towarzyszy broni, oczekując wsparcia. Nie doczekawszy się, zwrócił się ku murom fortecy, jakby w niemej prośbie o zrozumienie.

- Ale to głupie.
- To nie jest głupie. I nie możesz z nami iść.
- Łucznicy Moyi nie mają pancerzy.
- Arion i Suri ukryją ich przed Miralyithami.

Raithe wybrał sobie włócznię ze stojaka. Nie miał ulubionej. Nie przywiązywał się do włóczni tak, jak do mieczy. Te bronie różniły się tak, jak koty od psów. Ludzie preferowali albo jedno, albo drugie. Raithe lubił psy, miecze, piwo i samotność. Miłośnicy włóczni byli dziwni. Malcolm lubił włócznie, a Raithe nigdy nie potrafił dojść, co kryje się w jego głowie.

– Jak możesz tak mówić? – wybuchnął Tesh. Gwałtownie rozłożył ręce i wskazał mężczyzn, od których przed chwilą oczekiwał wsparcia. – Ćwiczyłem więcej niż którykolwiek z nich! Jestem lepszy niż oni wszyscy razem wzięci. – Postąpił krok w stronę Raithe'a, piorunując go wzrokiem. – Jestem lepszym wojownikiem niż ty!

Raithe pokiwał głową.

- Możliwe.

– Nie możesz mi tego zrobić.

– Już zrobiłem.

– Mam prawo walczyć.

Raithe oparł drzewce świeżo wybranej włóczni o ziemię i zmierzył Tesha wzrokiem.

– Jestem twoim wodzem i twoim dowódcą. Zrobisz, co mówię.

Tesh zgrzytnął zębami, wytrzeszczając oczy, i najpierw zawarczał, a potem zawył, jakby w przeraźliwym bólu.

– Dlaczego?! – wrzasnął tak, że aż załamał mu się głos. – Nie potrzebuję pancerza. Widziałeś, jak walczę. Nikt mnie nawet nie draśnie.

– Nie muszą. Myślisz, że zagrażają nam jedynie miecze i włócznie? Gdyby tak było, mielibyśmy dużo łatwiejsze zadanie. – Raithe zdjął hełm i pokazał Teshowi wyryte wewnątrz runy. – Potrzebujemy ochrony nie tylko przed ostrzami. Nie było cię w dahlu Rhen. Nie widziałeś, co tamci potrafią zdziałać pstryknięciem palców. Jeśli wyjdiesz na zewnątrz bez ochrony, będziesz bezbronny i legniesz martwy na długo, nim znajdziemy się w zasięgu tych ostrzy, których się nie boisz.

– To niesprawiedliwe!

– Gratulacje, właśnie dotarła do ciebie treść dzisiejszej lekcji. – Raithe z powrotem założył hełm. – Życie nie jest sprawiedliwe. I nie przejmuj się, jeśli tym razem nie zdołasz jej przyswoić. Czekają cię liczne powtórki.

Piękne błękitne niebo zaczynało ciemnieć. Cień padł na dziedziniec, bo w górze zaczynały gromadzić się dziwne chmury. Raithe już znał ten widok, podobnie jak wszyscy, którzy przeżyli zagładę dahlu Rhen.

– Kryj się! – krzyknął do Tesha. – Pierwsza Włócznia! Naprzód marsz! – Pobiegnij w stronę wrót. – Otwierać bramę!

Rozdział dwudziesty

Bitwa przy Wielkim Moście

Bitwę przy Wielkim Moście opiewają pieśni i opowieści. Osnuto ją legendą o mitycznych herosach i łotrach, uczyniono ją alegorią prawdy i odwagi, symbolem, który lud niesie na sztandarach. Należy jednak pamiętać, że bitwa przy Wielkim Moście zyskała nazwę i sławę wiele miesięcy po tym, jak dobiegła końca, a jej legendę wykreowali ludzie, którzy tam nie walczyli. Nie twierdzę, że nie było tam bohaterów ani że nie był to czas odwagi. Jednakże ich imiona brzmiały inaczej, niż wszyscy sądzą, o prawdzie zapomniano, a lekcje, których udzielił nam tamten dzień, musimy dopiero sobie przyswoić.

Księga Brin

Każda z dwu bliźniaczych wież, które strzegły głównej bramy Alon Rhist, była znacznie mniejsza od Spyroku. Południową zwano pieszczotliwie Rzeczną Wieżą. Północna nosiła mniej pochlebne miano Zmarzłej Wieży, była bowiem wystawiona na wiatry wiejące z północy, a nie posiadała paleniska, które by ją ogrzewało. Na dolnej kondygnacji stało kilka stołów, przy których żołnierze zwykli grać w kości i pić, ale w izdebce na poddaszu nie było nawet na czym usiąść. Suri i Arion musiały stać na wyposażonym w ozdobną balustradę balkonie, wystawione na wiatr i, sądząc po wyglądzie chmur, mający spaść już wkrótce deszcz.

- Pajęczy Korpus? – zapytała Suri, wskazując niebo.
 - Rozgrzewka przed spektaklem, który zacznie się już wkrótce.
 - Nic z tym nie robimy?
- Arion pokręciła głową.

– Zgodnie z tym, co powiedział Nyphron, nie robimy nic poza osłanianiem łuczników.

– Ale... – Suri podniosła wzrok. Czuła gęstniejącą moc, która owiewała jej twarz niczym wiatr. – Tamci zniszczą twierdzę.

– Może nie.

Suri odwróciła się i popatrzyła na fortecę. Przekrzywiła głowę, żeby objąć wzrokiem pozostałości zrujnowanego Spyroku, który wyglądał teraz jak złamany palec z poszarpanym czubkiem. W tamtym ataku zginęła tylko jedna osoba. Większość gruzów została zdmuchnięta poza mury fortecy i posypała się w dół skalistego zbocza.

– Tam nie było żadnych run – powiedziała Arion.

– Tutaj też ich nie ma. – Suri zatoczyła ręką krąg, wskazując ściany izdebki służącej jako taras obserwacyjny.

Nie było tu niczego poza drewnianą podłogą i klapą służącą jako wejście. W kącie leżała pusta beczka otoczona przewróconymi kubkami, z których jeden był rozbity. Nieznani sprawcy uznali za stosowne wyryć różne znaki na deskach podłogi, a nawet na murze, ale były to obsceniczne rysunki, a nie runy.

– Gdyby tu były, nie mogłybyśmy wykonać powierzonego nam zadania, czyż nie?

– I mamy tylko ukrywać łuczników?

– Prawdę mówiąc, ja się tym zajmę – odrzekła Arion. – Ty będziesz jedynie patrzeć.

Zdezorientowana Suri przymrużyła oczy.

– Skoro Pajaki mogą łączyć siły, to czemu my nie?

– Mogłybyśmy. Po prostu nie chcę tego robić.

Suri poczuła ukłucie żalu spowodowanego odrzuceniem.

– Nie miej takiej smutnej miny – podjęła Arion, marszcząc brwi. Ujęła dłoń Suri i ścisnęła lekko. – Po prostu nie chcę, żeby dowiedzieli się o tobie.

Suri lubiła ciepło jej palców. Przypomniała sobie ze smutkiem, ile czasu upłynęło, odkąd mogła cieszyć się bliskością Minny. Niewiele rzeczy na świecie sprawiało jej taką przyjemność jak wtulanie twarzy w gęste białe futro, żeby usłyszeć bijące głębiej serce. Dotyk – fizyczna bliskość – był ważniejszy, niż się wydawało, ale nigdy nie uzmysławiamy sobie znaczenia takich rzeczy, dopóki ich nie stracimy.

Ponownie spojrzała na niebo i przypomniała sobie błyskawice rażące puszcę, więc spytała:

– Nie powinniśmy zejść piętro niżej? Tu jesteśmy chyba ciut za bardzo na widoku.

– To nie powinno stanowić problemu. Ukrycie łuczników będzie wymagało minimalnej ilości mocy. Tamci będą ją wsysali w tak ogromnych dawkach, że się nie zorientują.

– Kiedy ty stałaś obok Megdy, nie robiłaś nic.

– To prawda, ale wówczas nie spodziewałam się ataku. Teraz ty będziesz czuć. – Arion uśmiechnęła się i przekornie poruszyła bezwłosymi brwiami.

Dziwne, że fhrejska Artystka była w tak dobrym nastroju, zważywszy na to, co miało się wydarzyć. Suri wyczuła między nimi wyszarzenie aury, jakby niewidzialny mur. Widziała Arion oczami, lecz nie wyczuwała jej Sztukę. Fhrejka osłaniała się przed sługami fane'a, co było logicznym środkiem ostrożności, ale blokowała też Suri. Nawet jeśli to drugie było nieuniknioną konsekwencją pierwszego, Suri podejrzewała, że te wesołe oczy i przekorny uśmiech to tak naprawdę kolejna maska, za którą Arion skryła swoje prawdziwe uczucia.

– Ja będę czuć? – zapytała Suri.

– Zorientujesz się, jeśli tamci wezmą mnie na cel. Wyczujesz to. Kiedy skupią na nas uwagę, poczujesz, jak jeżą ci się włoski na karku. Trudno to przeoczyć, wierz mi. Gdy tylko poczujesz coś takiego, osłoń nas. Po prostu postaw tarczę, tak jak cię uczyłam. Utrzymuj twardą blokadę, to powinno wystarczyć do chwili, gdy będę mogła ci pomóc. A jeśli zajdzie taka konieczność, zawsze możemy zbiec po schodach do zabezpieczonej izby na dole. – Miała na myśli izbę u podstawy wieży, którą okalały runy Orinfar. Suri nie lubiła tam wchodzić, bo czuła się wówczas jak podczas nurkowania w wodzie. Nie wyczuwała świata wokół siebie, dopóki nie wspięła się powyżej piętra chronionego przez runy. – A jeśli poczujesz, że twoja tarcza słabnie, od razu biegnij na dół, zrozumiano? Nie czekaj na mnie.

– A czemu miałabym na ciebie czekać? – Suri uśmiechnęła się łobuzersko. Ona również potrafiła mistrzowsko udawać beztroskę.

Podeszła na krawędź muru i popatrzyła w dół. Brama była otwarta, pierwsi żołnierze zaczęli wysypywać się na most.

– A co z mostem? Nie zniszczą go?

– Jak mieliby się wówczas tutaj dostać?

Suri myślała przez chwilę.

– A jeśli nie chcą się tu dostawać? Co, jeśli po prostu chcą, żebyśmy wszyscy byli martwi?

Jej słowa sprawiły, że Arion znieruchomiała. Sprawiała wrażenie zbitej z tropu, po czym odrzekła:

– Miejmy nadzieję, że tak nie jest.

* * *

Słońce wschodziło, gdy Raithe wyprowadził członków Pierwszej Włóczni na zewnątrz przez wrota z brązu i powiodł ich przez Wielki Most. Ten poranek nie różnił się od innych poranków, a jeśli już, to był lepszy. Detale, które Raithe na ogół ignorował, dopraszały się teraz o jego uwagę: jaskrawe, złote światło słońca, błyszczące na wszystkich kropelki rosy, błękit czystego nieba, ciepłe i pachnące powietrze. Wszystkie te drobiazgi mówiły mu „żegnaj”.

Raithe maszerował na czele swojego oddziału, jak przystało na porządnego wodza. Pierwszy cel, pierwszy trup – bycie wodzem oznaczało przywileje, ale i ryzyko. Raithe nigdy nie miał okazji pomieszkać w strażnicy ani uczestniczyć w uctach – władał klanem złożonym z jednej osoby, może dwóch (nadal nie wiedział, czy powinien wliczać Malcolma) – ale z wątpliwego przywileju, jakim jest maszerowanie do boju na samym przedzie, korzystał często, w każdym razie odkąd przybył do dahlu Rhen.

Nieznacznie schylił głowę, żeby krawędź hełmu osłoniła jego oczy przed palącym słońcem. Roan dbała nawet o takie szczegóły. Na lewym ramieniu miał dhergijską tarczę pokrytą runami, które umieszczano na wszystkich nowych żelaznych tarczach. Niektórzy z wojowników dodatkowo zdobili je malunkami. Ci mniej utalentowani ograniczali się do wymalowania wielkiego znaku „X” lub „T”; bardziej ambitni malowali lwy lub smoki. Wedon, Pierwszy Włócznie w oddziale, namalował tarczę strzelniczą; stwierdził, że woli, by wrogowie strzelali do tarczy niż do niego. Raithe nie pomalował swojej. Podobała mu się jej błyszcząca powierzchnia.

Byłby skłonny się założyć, że nie dotrze żywy na drugą stronę mostu, ale miał wrażenie, że bogowie doceniają poetykę absurdu. Raithe, ten cichy syn Herkimera, który obiecał siostrze i matce, że będzie inny niż jego ojciec, polegnie w bitwie na równinach Dureyi mniej niż dzień drogi piechotą od miejsca, gdzie się urodził. Nie osiągnąwszy niczego, nie dokonawszy niczego, co robiłoby komuś jakąś różnicę. Nie mógłby ponieść większej porażki. Mimo to maszerował żwawo. Raithe, któremu walka nigdy dotąd nie sprawiała przyjemności, tym razem nie mógł się doczekać bitwy. Od miesięcy wzbierała w nim eksplozja. Frustracja spowodowana wiecznie zamkniętymi drzwiami sprawiała, że przypominał napiętą cięciwę. Gdyby nie przybyła armia fane’a, celem tego gniewu stałby się Nyphron. A teraz przy odrobinie szczęścia Raithe zginie i nareszcie będzie wolny.

Bez przeszkód dotarli na drugą stronę mostu. Ciemniejące niebo stanowiło jedyny znak, że elfy ich dostrzegły. Wczesny ranek upodobił się do pory zmierzchu. Gdy schodzili z mostu, Raithe ujrzał przed sobą armię fane’a:

niezliczone rzędy namiotów rozstawionych w idealne kwadraty. Z przodu stały szeregi żołnierzy w lśniących pancerzach z brązu. Dwa tysiące piechoty: mur włóczni i tarcz.

– Ich szereg jest za długi – powiedział Wedon do Raithe’a. – Za długi, żebyśmy my mogli ustawić się w trzech. Zajądą nas z boków. Oskrzydlą nas z łatwością.

Raithe z podziwem odnotował, że niegdyjszy rolnik nauczył się myśleć jak żołnierz.

– Ale nie stoją w zwartym szyku. Spójrz tam. – Wskazał włócznie wzniesienie, na którym zebrała się grupa Fhrejów. – To Wilcza Głowa. To nasz cel. Nie przyszliśmy tu, żeby wygrać, musimy tylko przebić się wystarczająco blisko tego wzgórza, żeby łucznicy Moyi mogli je ostrzelać. Nasze trzy szeregi zapewnią nam wystarczający impet w natarciu, żebyśmy mogli tam dojść.

– A nasze skrzydła?

– Rozkaż zwinąć końce.

– A jeśli nas otoczą? Jak wtedy przeprowadzimy odwrót?

Co każe ci myśleć, że kiedykolwiek mieliśmy szansę wrócić żywi? – pomyślał Raithe.

Wedon brzmiał jak żołnierz, ale nim nie był – jeszcze nie – i z pewnością nie był Dureyaninem. Tylko niepoprawny optymista mógł zakładać, że przeżyje bitwę.

„Przyjmij, że na pewno zostaniesz ranny, że zginiesz. Zaakceptuj to, a wówczas odkryjesz, że jesteś wolny”. To była jedna z wielu idiotycznych rzeczy, które niegdyś powtarzał mu ojciec, i które teraz z każdym dniem brzmiały mniej głupio.

– Uformujemy pełny czworobok, jeśli zajdzie taka konieczność.

– Z taktycznego punktu widzenia to niezbyt rozsądne, ale... – Malcolm posłał Wedonowi obłąkańczy uśmiech. – To znacznie zmniejsza prawdopodobieństwo, że ktokolwiek wyłamie się z szyku, próbując uciekać.

– Myślałby kto, że coś już powinno się wydarzyć – oznajmił Tope, zadzierając głowę, żeby gapić się na chmury.

– Czekają, aż wszyscy opuścimy twierdzę – powiedział Raithe. – Próbują nas zwabić jak najdalej od naszej bezpiecznej kryjówki. Pewnie nie posiadają się z radości, że nie tkwimy już pod osłoną murów.

Dotarli na krawędź zbocza. Raithe wydał rozkaz zmiany szyku z marszowego na bitewny i kolumna jego ludzi rozłożyła się jak wachlarz. Każdy z żołnierzy zajął ustalone wcześniej miejsce w trzech szeregach stojących jeden za drugim. Raithe stanął pośrodku, mając po prawej stronie Wedona, po lewej zaś Malcolma. Tope Wyżynniki i Gavin Killian stanęli ramię przy ramieniu, mając

tuż przy sobie swoich najstarszych synów. Ich młodszy synowie stali w drugim szeregu, podobnie jak chłopcy Wedona, Bruce Piekarczyk, Gilroy oraz szwagier Konnigera. Bergin i Heath Coswall znajdowali się z tyłu, w trzecim szeregu. Ich tarcze błyszczały jaskrawo w świetle poranka. W hełmach, dzierżąc włócznie oparte drzewcami o ziemię, naprawdę wyglądali jak armia.

Za nimi nadeszły kolumny prowadzone przez Tegana, który skręcił w prawo, i Harkona, który skręcił w lewo. Obie zmieniły szyk tak samo jak oddział Raithe'a. Wedon trafnie ocenił sytuację: linia utworzona przez elfich żołnierzy była znacznie dłuższa. Jako ostatnia nadeszła Moya ze swoimi łucznikami, którzy ustawili się za oddziałem Raithe'a. Gdy już wszyscy zajęli pozycje, świat znieruchomiał. Nie dotyczyło to tylko nieba.

Wszyscy czekali na ruch Raithe'a. Nawet elfy. To do niego należał decydujący gest – on miał wydać rozkaz rozpoczynający zbrojne starcie, w którym zginą setki wojowników. Odczuwając ciężar tej kluczowej chwili, Raithe obejrzał się na fortecę. Miejsce czarnej flagi zajęła zielona. Teraz wszystko zależało od niego.

Raithe pomyślał o ojcu.

Może źle oceniał tego człowieka. Ponieważ Herkimer uczestniczył w tylu bitwach w Dolinie Wzniesionej Włóczni, Raithe zawsze uważał, że jego ojciec i bracia to zabójcy, którzy tęsknią za widokiem krwi. On sam robił, co mógł, żeby nie upodobnić się do nich, a teraz stał na czele oddziału żołnierzy, w pierwszym szeregu, i lada moment miał ruszyć do bitwy, która rozpocznie wojnę. Może ojciec też nie chciał walczyć w żadnej ze swoich bitew. Może on też zawsze marzył tylko o kawałku ziemi wśród łąk, gdzie jego rodzina mogłaby wieść spokojne życie. Wojna miała to do siebie, że łatwo zniewalała człowieka, który miał talent do walki. Herkimer dobrze sobie radził w bitwach i, podobnie jak Raithe, dzięki temu talentowi dotarł w miejsce, do którego wcale nie dążył. Teraz do Raithe'a dotarło, że jego ojciec wiele razy stał w takiej samej pozycji: pośrodku szeregu żołnierzy, naprzeciwko muru wrogich włóczni. W tej krótkiej chwili, wznosząc ramię, Raithe poczuł... może nie przypływ miłości, ale... zrozumienie. I to zrozumienie pozwoliło mu wybaczyć. A kiedy opuścił rękę, oficjalnie rozpoczęła się wojna.

Chwilę później ugodziła go błyskawica.

* * *

Kiedy rąbnęły pierwsze pioruny, Moya podskoczyła i wrzasnęła, nie dbając o swoją godność dowódczyni. Zygzaki błyskawic spadały z nieba wśród oślepiających rozbłysków, przy akompaniamencie grzmotów, od których

dygotały kości. Na jej oczach pioruny uderzały w kolejnych wojowników, jaskrawo podświetlając ich sylwetki w półmroku, jaki zapadł z powodu ciemnych chmur. Raithe został trafiony jako pierwszy i Moya poczuła, jak zamiera jej serce, gdy pojęła, że jest martwy. Nie należało liczyć, że powtórzy się szczęście Gelstona – o ile można to było nazwać szczęściem. Kiedy po oślepiającym błysku odzyskała wzrok, spodziewała się ujrzeć zwęglone zwłoki wśród rzadkiej trawy. Zamiast tego ujrzała cud.

Raithe nawet nie zwolnił kroku.

Szedł dalej, jakby nic się nie stało, a reszta armii podążała za nim. Rozejrzawszy się, Moya zobaczyła, że wszyscy, których ugodziły pioruny, nadal trzymali się na nogach. Elfy też to spostrzegły i wkrótce z nieba posypały się kule ognia, eksplodując pomiędzy szeregami ludzi. Żołnierze zawahali się, niektórzy uchylali się odruchowo, ale płomienie nie czyniły im krzywdy.

Te runy!

Odziana tylko w skórzaną tunikę Moya poczuła się przerażająco naga. Ani ona, ani jej łucznicy nie mieli na sobie metalowych pancerzy ani niczego innego z wyrytymi runami. Nikt się nie spodziewał, że pomaszerują do bitwy. Później, rozpatrując to wszystko z perspektywy czasu, Moya doszła do wniosku, że nikt na dobrą sprawę nie wiedział, co z nimi zrobić. Nigdy dotąd nie wykorzystywano łuczników w walce. Pierwotna idea zakładała, że jej oddział pozostanie pod osłoną murów i będą ostrzeliwać atakujących z góry. Nyphron w ostatniej chwili wpadł na pomysł, żeby ich wysłać w ślad za włóczykami, rozkazując, żeby zaatakowali Miralyithów. Już samo przebywanie poza twierdzą było wystarczająco problematyczne, ale poinformował też, że nie mogą mieć na sobie run. Plan zakładał, że Arion i Suri mają ich ukryć, a to nie byłoby możliwe, gdyby runy chroniły łuczników przed Sztuką. Nyphron zapewniał, że będą bezpieczni, ale Moya odkryła teraz, że trudno jej uwierzyć w te zapewnienia. Na szczęście straszliwy świetlny pokaz skupił się na pierwszych liniach wojska i ani jeden piorun nie trafił w jej łuczników. Huczały grzmoty, a deszcz jaskrawych błyskawic sypał się na ludzi Raithe'a, Tegana i Harkona, gdy ci maszerowali naprzód przez otwartą przestrzeń. Jednakże wszyscy, którzy dzierżyli łuki, widzieli nad sobą milczące niebo.

Potem pojawił się ogień. Ogromne fale płomieni zalały pierwsze szeregi. Żar był taki, że Moya czuła, jak piecze ją skóra. Płomienie zgasły, gdy Raithe i jego ludzie z pierwszego szeregu znaleźli się w bliskiej odległości od wroga. Potem Moya usłyszała nowy odgłos: przeraźliwy szcęk metalu o metal, gdy ludzie starli się z elfami.

– Nie powinniśmy strzelać? – zapytał Engleton.

- Dostaliśmy rozkaz: czekać aż do chwili, gdy będziemy mogli ostrzelać tamto wzgórze – odrzekła Moya.
- Ale moglibyśmy...
- Czekamy.

* * *

Cisnąwszy włóczniami we wroga, Raithe i reszta żołnierzy z pierwszego szeregu kontynuowali walkę mieczami i tarczami. Raithe z ogromną radością przekonał się, że większa mobilność oraz szybkość elfów wcale nie dają przewagi w takim boju. Siła, odwaga oraz czysty impet ruchu pozwalały jego ludziom posuwać się naprzód. Okazało się, że w tych trzech prostych kwestiach przeciętny człowiek przewyższa przeciętnego Fhreja. Raithe widział w pięknych, lazurowych oczach wrogów strach przed śmiercią. Nie uważał, by źle to o nich świadczyło. Ludzie mieli do stracenia zaledwie kilka tuzinów żalostnych lat pełnych brudu, potu i zimna, podczas gdy w przypadku elfów stawką były tysiąclecia przyjemnego życia.

Tylko nieliczne spośród ciśniętych włóczni zadały poważne obrażenia. Fhrejowie byli zbyt zwinni. To nie Raithe zabił pierwszego wroga. Uczynił to Malcolm, który śmiertelnie dźgnął zbliżającego się z naprzeciwka Fhreja włócznią zwaną Narsirabad. Choć w twierdzy wykuwano tyle żelaznych ostrzy, Malcolm nadal używał starej włóczni zabranej ze strażnicy dahlu Rhen. Kilka sekund później Raithe zabił swojego oponenta, podobnie jak Wedon, i obaj natarli do przodu, wysuwając tarcze i czyniąc użytek z dłuższych, silniejszych nóg.

Mimo tylu treningów i pracy nad techniką na polu bitwy nie było finezji. Żołnierze walczący w zwartym szyku zadawali przeciwnikom obrażenia na dwa sposoby: waląc ich tarczą lub dźgając mieczem. Raithe czuł wysiłek w mięśniach wszystkich kończyn, bo musiał walczyć na ugiętych nogach, żeby mieć siłę przeciw do przodu, obalając Fhrejów. Odkrył, że Fhrej, który stracił równowagę, to martwy Fhrej.

Bryzgała krew. Ludzie stękali i wrzeszczeli. Fhrejowie też.

„Niektórzy uważają, że Fhrejowie, Dhergowie i Rhunowie są ze sobą spokrewnieni”. Wróciły do niego słowa Malcolma wypowiedziane dawno temu, w innym życiu. Wówczas Raithe nie uwierzył towarzyszkowi, ale walka na śmierć i życie – prosta, totalna i desperacka – sprawiła, że zmienił zdanie w bardzo wielu kwestiach.

„Tak naprawdę dopiero w walce poznajesz, co człowiek jest wart” – powtarzał mu często ojciec. „Ludzie uchodzący za odważnych ujawniają swe

tchórzostwo, a cisi i skromni wykazują się bohaterstwem. Prawda wychodzi na jaw wśród krwi”. Fhrejowie nie różnili się od ludzi. To olśnienie wstrząsnęło Raithe’em w trakcie walki. Wiedział, że odkrył coś ważnego, dotknął jakiejś głębi, ale miał też świadomość, że nie wie, czego dokładnie dotyczy to odkrycie, a już wkrótce realia pola bitwy sprawiły, że przestał myśleć o abstrakcyjnych ideach – musiał się skupić na tym, żeby przeżyć.

Wyczerpany i niemal całkowicie oślepiiony, bo pot i krew zalewały mu oczy, Raithe zarządził wymianę szeregów. Pierwszy szereg cofnął się, a jego miejsce zajął drugi, wkraczając do walki z nowym wigorem i prąc do przodu z nagłą agresją. Trzeci szereg ruszył naprzód jeszcze sprawniej niż na treningach, pozwalając, by Raithe i jego ludzie znaleźli się na tyłach. Tam mogli już otrzeć twarze, zaczerpnąć głęboko tchu i napić się wody z przewieszonych przez ramię bukłaków. Rozejrzawszy się, Raithe odkrył, że Malcolm nadal stoi obok niego, lecz Wedona nie było. Brakowało też Hansona, najstarszego z Killianowych synów. Stary Killian z zaniepokojoną miną przepatrywał szeregi.

W pewnej odległości za nimi postępowała Moya wraz z resztą łuczników.

Tak jak przepowiedział Wedon, Fhrejowie próbowali oskrzydlić ludzi, ale Tegan i Harkon zwrócili swoje oddziały w stronę napastników i ze wszystkich sił starali się ich powstrzymać. Szło im świetnie. Wyglądało na to, że wręcz posuwają się naprzód. Gdy Raithe patrzył, jak niewielkie siły ludzi przedzierają się przez szeregi elfów, w jego głowie wezbrała szalona nadzieja, że może jednak uda im się przetrwać. Mieli impet. Wygrywali. Jeśli przeciwnik pójdzie w rozsypkę, być może zwycięstwo w tej bitwie przesądzi o losach całej wojny.

A potem nadeszły olbrzymy.

* * *

Moya poczuła, że ziemia trzęsie się od ciężkich kroków. Potężne wstrząsy zwróciły uwagę wszystkich. Olbrzymy nadciągnęły zza armii Fhrejów: te same masywne, poruszające się ociężałe potwory, które zaatakowały dahl Rhen. Te były naprawdę wielkie, sięgające głowami na wysokość trzeciego czy czwartego piętra, z pięściami jak młyńskie koła. Dzierżyły ogromne kamienne topory i młoty, którymi zaczęły czynić ogromne wyłomy w szeregach ludzi. Ciało wylatywały w powietrze. Fruwały nie tylko hełmy, ale i oderwane kończyny. Napór atakujących został zahamowany; olbrzymy powstrzymały go niczym falochron.

Moya popatrzyła w stronę Wilczej Głowy. Wyraźnie widziała odsłonięty wierzchołek jałowego, pozbawionego roślinności wzniesienia: szarą, nagą skałę. Rozstawieni tam w koncentrycznych kręgach Fhrejowie otaczali jednego, który

stał pośrodku i wymachiwał rękami niczym dyrygent w orkiestrze. Sylwetki pozostałych poruszały się i wiły w idealnej synchronizacji, gdy odprawiali jakiś wyćwiczony wcześniej rytuał. Nie waliły już pioruny, deszcz ognia też dobiegł końca. Moya nie potrafiła sobie wyobrazić, co tamci robią, ale była też przekonana, że pozostawienie im wolnej ręki to bardzo zły pomysł. Nadal znajdowali się zbyt daleko – nawet dla Audrey, niezależnie od tego, jak mocno Moya napięłaby cięciwę. Raithe obejrzał się na nią. Wiedziała, co sobie teraz myślał.

„Możliwe, że nie damy rady podejść bliżej. Powiedz mi, że to wystarczy”.

Nie wystarczyło. Pokręciła głową.

Raithe zmarszczył czoło i zgarbił ramiona, ale pokiwał głową.

Właśnie wtedy Moya ujrzała, jak jeden z olbrzymów skręca w ich stronę. Kohorta Raithe’a napierała najmocniej, wbiła się najgłębiej w armię Fhrejów, stanowiąc największe zagrożenie dla wrogów. W nagrodę przywabili największego olbrzyma. Ogromny jak stare drzewo potwór zaszarżował prosto na środek ich linii.

Raithe posłał Moyi jeszcze jedno, ostatnie spojrzenie – pełne smutku – i krzyknął:

– Pierwszy szereg naprzód!

Potem przepchnął się między walczącymi, by ponownie zająć miejsce z przodu.

* * *

Olbrzym – odziany w połatane szmaty, obdarzony krzaczastą brodą i cienkimi, uśmiechniętymi drwiąco ustami – zmiatał ludzi, jakby byli kurzem na podłodze. Jedyne pocieszenie stanowiła jego szybkość, a raczej jej brak. Raithe wiedział, że potrzeba sporo czasu, żeby wprawić taki ciężar w ruch. Ilekroć olbrzym wykonywał zamach, cios spadał dopiero po kilku uderzeniach serca.

Ojciec Raithe’a nauczył go wielu rzeczy, ale walka z wymachującą młotem górą nigdy nie figurowała na liście. Galantianie również pominęli tę lekcję. Nie miał zbyt wielu opcji. Jedyne, co mógł zrobić, to zaatakować stopy stwora. Wybierając moment między jednym a drugim ciosem, Raithe rzucił się biegiem i pchnął mieczem prosto w dół. Sztych wbił się w stopę olbrzyma tuż za dużym palcem.

Ciała Grenmorian nie były twardsze od ludzkich – wprost przeciwnie, bo zawierały mniej kości w proporcji do tkanek miękkich – więc żelazna klinga weszła głęboko. Olbrzym zawył i szarpnął się, co z racji jego powolności wyglądało tak, że w ospałym tempie podniósł tę stopę, na której chwilę

wcześniej spoczywał ciężar jego ciała. Przyniosło to dwojaki skutek. Ponieważ Raithe nie zamierzał wypuszczać miecza z rąk, tylko wczepił się z całej siły w rękojeść, klinga została pociągnięta w dół, a jej krawędzie były ostre jak brzytwy. Odciąłby stworowi duży palec, gdyby nie to, że nie zdołał przeciąć kości. Mimo wszystko rana spowodowała, że olbrzym się potknął, co było jednocześnie dobre i złe. Góra się zatoczyła – wyglądało na to, że stwór już wyjściowo miał kiepskie wyczucie równowagi. Przez chwilę chybotął się w przód i w tył. Unieruchomieni w boju na śmierć i życie ludzie i ich elfi wrogowie nie mieli żadnej możliwości umknięcia przed stopami wielkości łóżek. Tuziny walczących – o ile nie więcej – zginęły, gdy monstrum dreptało w miejscu: rozdeptane klejnoty, unicestwiane z chrupotem niczym kryształki lodu.

Szyk się załamał. Ludzie i elfy opuszczali w panice pozycje, żeby zachować życie. Walka przerodziła się w chaos – precyzyjnie obliczone pchnięcia zmieniły się w dzikie wymachiwanie bronią na oślep. Olbrzym nadal się chwiały, przechylając się najpierw ku ludziom, potem w stronę Fhrejów. Każdy z walczących musiał zadawać i parować ciosy, jednym okiem śledząc ruchy przeciwnika, a drugim rozchybotaną górę. Raithe jako jedyny zaszarżował na olbrzyma, próbując odczytać częstotliwość, z jaką ten przenosił wagę z jednej nogi na drugą. Antycypując, w którym miejscu opadnie potężna stopa, pobiegł w tamtą stronę. Prawdopodobieństwo, że zostanie rozdeptany, równało się temu, że stopa wyląduje obok niego – nie sposób było tego przewidzieć. Takie kuszenie losu, ryzykowanie życia, żeby być może zwyciężyć w walce, było w jego przypadku wyuczoną taktyką. Większość ludzi nie podjęłaby takiego ryzyka. Ta gotowość stanowiła siłę Dureyan, jej brak zaś – słabość Fhrejów. Ryzyko było tajemnym składnikiem w walce; strachliwość oznaczała śmierć. Inna sprawa, że ryzyko też nierzadko oznaczało śmierć. Śmierć nie dyskryminowała nikogo.

Stopa olbrzyma opadła na tyle blisko, że Raithe wyczuł podmuch powietrza. Rzucając się naprzód, oburącz chlasnął ostrzem wielkie ścięgno biegnące pionowo w górę od pięty. Było tak grube jak solidna lina, ale on dzierżył w dłoni coś znacznie lepszego niż włócznia z kamiennym ostrzem. Ta sama żelazna klinga, która swego czasu złamała w Tirre miecz z brązu, ponownie spełniła swoje zadanie. Olbrzym zawył niczym wiatr w mroźną zimową noc – jego mrozący krew w żyłach głos poniósł się daleko. Pozbawione podpory ogromne drzewo runęło. Mogło być lepiej, ale mogło być i gorzej. Olbrzym zwałił się w poprzek walczących szeregów, przygniatając zarówno ludzi, jak i Fhrejów. Dwunastu wojowników zginęło na miejscu. Tuziny się rozpierchły.

– Formuj szyk! – krzyknął Raithe.

Wedon jakimś cudem objawił się znikąd. Wraz z Malcolmem odszukali Raithe'a i powitali go uderzeniami ramienia o ramię. Obaj byli zadyszani i złani krwią. Raithe nie miał pojęcia czyją.

– Trzymaj się tuż za nami, Moya! – wykrzyknął. – Dzierżyć tarcze! – ryknął do swoich ludzi, po czym popędził ich biegiem naprzód.

Albo nam się uda, albo zginiemy!

Fhrejowie pośpiesznie usiłowali się bronić, tarcze zderzały się z tarczami. Ludzie byli silniejsi i sprzyjał im impet natarcia, ale elfom sprzyjało nachylenie terenu. Gdy zorientowano się, że pełen rozpędu atak może rozpołować formację Fhrejów, rozległ się dźwięk rogów. Raithe ujrzał, jak olbrzymy odwracają głowy i niezgrabnie ruszają w stronę jego oddziału.

Nareszcie, pomyślał z dziwną ulgą. To tutaj umrzemy. Grenmoriańska horda biegła truchtem w ich stronę – jego nagroda za sukces w boju.

Potem Raithe usłyszał za plecami głos Moyi:

– Tyle wystarczy.

* * *

Musieli strzelać pod górę, co stanowiło znaczące utrudnienie. Wiał też wiatr, ale nie była to trąba powietrzna. Gdyby Fhrejowie mieli świadomość, co się szykuje, zapewne przywołaliby huragan. Oczywiście gdyby Fhrejowie mieli świadomość, co się szykuje, Moya i jej łucznicy zostaliby spopieleni magicznym ogniem. Zamiast tego nad płaskowyżem wiał najzwyklejszy wiosenny zefir, a Moya wiedziała, jak wziąć na niego poprawkę.

– Miercie na prawo od wzgórza! – zawołała, przekrzykując szczęk oręża i okrzyki walczących. – Nie patrzcie, jak lecą strzały. Strzelać, brać następną i celować!

Przyłożyła strzałę do rzeźbionego łączyska Audrey, dopasowując wyżłobiony koniuszek drzewca do cięciwy.

– Napiąć mocno, mierzyć wysoko! – krzyknęła.

Pięćdziesięciu łuczników rozstawionych w pięciu szeregach uniosło łuki i napięło cięciwy. Moya usłyszała skrzypienie drewna – gniewny warkot mściwych drzew.

– Puść! – wrzasnęła.

Pół setki strzał o żelaznych grotach pofrunęło ze świstem.

– Nałóż! – krzyknęła natychmiast Moya, już z następną strzałą na cięciwie. – Mierz! Puść!

Druga salwa świsnęła w powietrzu, zanim pierwsza sięgnęła celu. Z daleka, pod zachmurzonym niebem, chmary strzał wyglądały jak ciemny deszcz

spadający na Wilczą Głowę, gdzie ustawieni w krąg Fhrejowie nadal wili się i skandowali. Moya, która stała za daleko, żeby ich usłyszeć wśród bitewnego zgiełku, patrzyła, jak kolejne sylwetki w długich szatach osuwają się na ziemię. Ci, którzy uniknęli trafienia, zdezorientowani podnosili wzrok tylko po to, by ujrzeć kolejną ulewę strzał.

Wilcza Głowa stała się pozbawioną życia skałą.

Spełniwszy wyznaczone zadanie, Moya się rozejrzała. Dwa olbrzymy właśnie zaszarżowały na ludzi Raithe'a. Parły naprzód niczym rozwścieczone łosie, ale były wielokrotnie większe. Ten po lewej dzierżył dwa kamienne młoty. Ten z prawej miał na głowie coś, co wyglądało jak olbrzymi metalowy kocioł.

– Olbrzymy! – krzyknęła Moya i zwróciła się ku stworom, napinając łuk.

Pięćdziesięciu łuczników poszło w jej ślady.

– Napnij! Puść!

Tym razem ulewa strzał nie musiała lecieć daleko. Niemal wszystkie trafiły w cel. Olbrzym po lewej padł, jakby zderzył się ze ścianą.

Drugi stwór dotarł do walczących ludzi i przedarł się przez pierwszy szereg, by wkroczyć w głąb formacji, obalając wielkim młotem wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. Na oczach Moyi Wedon i Raithe zostali zmieceni na bok. Zderzyli się z Malcolmem i wszyscy trzej legli na ziemi.

Następni w kolejce byli chłopcy Killiana oraz młodsi synowie Wedona i Tope'a, którzy próbowali dźgać olbrzymia w łydki, ale nic to nie dało. Stwór zaszarżował na łuczników, przedzierając się przez kolejne szeregi wojska, jakby brodził w morskich falach.

– Napnij! – krzyknęła Moya i usłyszała krzepiące skrzypienie drewna. Nie musiała wskazywać celu; wszyscy widzieli nad sobą ogromne cielsko napastnika. – Puść!

Cały oddział zwolnił cięciwy niemal w jednym momencie. Pięćdziesiąt strzał poleciało w powietrze.

Ta wypuszczona przez Moyę przeszła prawe oko olbrzymia. Inne przebiły jego gardło, usta i pierś. Martwy, nim jeszcze upadł, gigant runął na ziemię i znieruchomiał ledwie parę jardów od Moyi. Jego ogromny hełm wielkości fhrejskiej wanny podskoczył i potoczył się po ziemi, nieruchomiejąc przy nogach łuczniczki.

Moya oparła stopę o jego krawędź, szykując się, by posłać kolejną salwę w stronę Pajęczego Korpusu, ale na Wilczej Głowie nie pojawiły się żadne nowe cele.

Bitewny szyk oddziałów obu stron był już tylko wspomnieniem. Walka przerodziła się w chaotyczne zmagania: ludzie walczyli w pojedynkę z elfami, wojska obu stron się wymieszały. W starciach między pojedynczymi

wojownikami to elfy miały przewagę. Na oczach Moyi coraz więcej ludzkich trupów zaścielało trawę.

Obejrzawszy się na mury Alon Rhist, Moya ujrzała czerwone flagi.

– Odwrót! – krzyknęła. – Brać rannych i wracać do fortecy!

Bergin uniósł głowę, słysząc jej okrzyk, po czym wrzasnął:

– Trzeci szereg, formuj szyk! Osłaniać odwrót!

Wojownicy spróbowali na nowo sformować szeregi. Bergin, do niedawna specjalista od warzenia kiepskiego piwa, mężnie krzyczał do otaczających go ludzi, by zwarli szyk, ale bitwa osiągnęła już taki punkt, że działania taktyczne straciły sens. Teraz, gdy oddziały były w rozsypce, rozproszone po całym polu, czekała je pewna śmierć. Elfy musiały tylko wykorzystać swoją przewagę.

Nie uczyniły tego.

Moya patrzyła w oszołomieniu, jak Fhrejowie pozwalają wrogom ująć z opresji. Było im równie śpieszno do tego, żeby przerwać walkę i się wycofać. Od strony namiotów na płaskowyżu dobiegał dźwięk rogu. Od jak dawna? Moya nie miała pojęcia, ale elfy się wycofywały, a w stronę ludzi nie zmierzał już żaden nowy olbrzym. Zabrawszy swoich rannych i poległych, siły Alon Rhist również wycofały się z pobojuwiska. Moya dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak zmieniło się pole bitwy. Cała równina, wcześniej brudnożółta – wyschnięta na słońcu trawa odsłaniała połacie gołej ziemi – była teraz szkarłatna. Stojące wysoko słońce pośrodku bezchmurnego nieba oświetlało krzepnącą wszędzie krew.

Już południe? Ale przecież dopiero co był ranek? Nadal musi być ranek. Jestem mokra od rosy!

Moya popatrzyła w dół i odkryła, że to nie rosa. Dopiero teraz z pełną siłą uderzyły ją wspomnienia z bitwy. Widziała, jak giną ludzie, widziała krew, ale wszystko to nabrało realności dopiero teraz, gdy ucichł szczeł oręża, wrzaski ustąpiły miejsca jękom, a ona mogła się skupić na tyle, żeby rozpoznać tę cikliwą woń, którą czuła. Gdy tak stała w gorącym słońcu na usłanym trupami polu, ogarnęły ją mdłości. Ręce zaczęły jej się trząść, a nogi osłabły, ale Moya zdołała się opanować i podjąć marsz. Skupiła się na moście, na tym, żeby znaleźć się po drugiej stronie rzeki, i na wielkich brązowych wrotach fortecy Alon Rhist.

Pierwszy dzień bitwy przy Wielkim Moście dobiegł końca.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Pobojowisko

Nazwaliśmy to zwycięstwem tylko na takiej zasadzie, na jakiej miskę cienkiej zupy późną zimą zwykliśmy nazywać ucztą.

Księga Brin

Mawyndulë obserwował bitwę, towarzysząc swojemu ojcu. Obaj stali przed namiotem fane'a, gdzie ustawiono krzesła oraz stoły, na których znalazły się misy świeżych jagód, ser, wino i chleb. Wszyscy oczekiwali, że będzie to w zasadzie ucztą z rozrywkami: pokaz, który ucieszy fane'a.

Gdy nadeszło południe, stoły leżały przewrócone, a jagody walały się na ziemi.

– Co się stało? – zapytał Lothian z takim spokojem, że budziło to lęk.

Przed nim stał jeden z członków Pajęczego Korpusu, Miralyith w średnim wieku, dzierżąc w dłoni patyk. Mawyndulë nie znał imienia tego Fhreja. Biała asyka Miralyitha była z jednej strony zbryzgana czerwienią, jakby obok niego wybuchł ogromny bukłak z winem. Tylko kolor się nie zgadzał: za mało purpury, za dużo szkarłatu.

– My nie... – Miralyith się zająknął, uniósł rękę i otarł twarz, pozostawiając na czole smugę krwi. – Nie jesteśmy pewni. Wszystko... Wszystko było, jak trzeba, to znaczy... Sprawy układały się zgodnie z planem. A potem nagle wszystko się posypało. Tak samo jak wtedy, kiedy pojawił się tamten jeździec. Pioruny nie zabijały, a ogień nie... Nic nie działało! – Rozpaczliwie zaczerpnął tchu i tą samą ręką przeczesał włosy, zostawiając na nich kolejną czerwoną smugę.

Po prostu przestań dotykać twarzy! – pomyślał, krzywiąc się, Mawyndulë. Muszę na ciebie patrzeć!

– Nie mogliśmy tego zrozumieć – podjął okrwawiony Pająk. – A potem wszyscy po prostu padli martwi. Pamiętam, że usłyszałem... coś jakby gwizd, świst powietrza, a w następnej chwili wszyscy poupadali na ziemię. Nie, chyba nie wszyscy. Niektórzy próbowali uciekać, tylko nie wiedzieliśmy dokąd. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. To nie była Sztuka. Nic nie wyczuliśmy, zupełnie nic. A w następnej sekundzie zobaczyłem, jak z nieba spadają te małe włócznie. Na moich oczach jedna z nich przebiła czaszkę Kasimera. – Zademonstrował długi, prosty patyk mający z jednego końca ptasie pióra, z drugiego zaś metalowy grot. – Pozabijała nas ta oto broń.

Ojciec Mawyndulëgo nie dotknął dziwnego patyka. Wpatrywał się weń z obrzydzeniem.

– Ilu? Ilu Pająków wciąż żyje?

– Pięcioro, ale Lym może nie przeżyć. Jedna z tych małych włócznie przeszła mu pierś na wylot.

– Tamci wiedzieli dokładnie, czym nas ugodzić – oznajmił Taraneh.

Wódz Lwów popatrzył z nachmurzoną miną na pobojewisko, z którego właśnie ściągnano trupy.

– Pewnie, że wiedzieli – warknął fane. – Ich natarciem dowodził ten instariański rebeliant pospołu z Arion. Co z nią? Udało wam się ją zabić?

Pająk pokręcił głową.

– Szukaliśmy, zarzucaliśmy sieci, ale nic nie znaleźliśmy. Wygląda na to, że Arion nie brała udziału w bitwie.

Pewnie była zbyt przerażona, pomyślał Mawyndulë. Teraz, gdy przybył fane, zaszyła się w fortecy, dygocząc ze strachu. Tak to już było z nauczycielami: wymądrzali się, kiedy uznawali za stosowne nakrzyczeć na ucznia, ale w rzeczywistym świecie sprawy wyglądały inaczej. Arion potrafiła tylko żonglować, splatać wzory ze sznurka i karcić uczniów za rozmyślanie o niebieskich migdałach. Wpadła w kłopoty i świetnie o tym wiedziała.

Wyplłyn na zbyt głębokie wody, a pomogę ściągnąć cię na dno.

Mawyndulë gapił się na patyk w dłoni Pajaka. Nie ten, który zabił Kasimera. Drewno było czyste, tylko do czubka metalowego grotu przyłgnęło trochę ziemi. Małeńki oszczep, cienki i niepozorny. Książę mógłby go bez trudu przełamać na pół, a mimo to te pociski zdziesiątkowały Pajęczy Korpus w ciągu paru sekund. Mawyndulë mimo woli czuł się wstrząśnięty. Śmierć pozostawała dla niego nową koncepcją, a śmierć Miralyithów szczególnie wyprowadzała go z równowagi.

Jakie to byłoby uczucie, gdyby jeden z tych pocisków przebił mi czaszkę?

Z drugiej strony Mawyndulë nie znał osobiście nikogo z zabitych. Widział ich twarze, słyszał, jak rozmawiają między sobą, ale – podobnie jak w domu, w Talwarze – Mawyndulë praktycznie nie integrował się z innymi. Prawdę mówiąc, lepiej sobie radził z żonglowaniem niż z zawieraniem przyjaźni. Kilka lat wcześniej – po tym, jak bezskutecznie próbował zainteresować jednego z młodszych strażników grą w „węże i jastrzębie” – doszedł do wniosku, że właściwie nie powinien mieć przyjaciół. Lepiej, żeby dziedzic Leśnego Tronu nie posiadał bliskich znajomości – nie będzie wówczas nikogo faworyzował. Mawyndulë postrzegał to w kategoriach poświęcenia dla dobra swojego ludu. Izolacja była jego darem. Historia z Makaretą tylko utwierdziła go w tym przekonaniu. A odkąd Jerydd zaczął przemawiać w jego głowie, książę aktywnie unikał innych, żeby móc odpowiadać kelowi bez ryzyka, że zostanie uznany za obłąkanego. Odzywał się tylko do własnego ojca i do Treyi. Pomny swej pierwszej podróży, Mawyndulë nalegał, żeby tym razem w drodze towarzyszyła mu służąca. Nie bawiło go własnoręczne szykowanie sobie posiłków.

Arion brała w tym udział. Nie ma możliwości, by zdołali tyle zdziałać bez niej. Głos Jerydda znów zaskoczył Mawyndulëgo, choć książę okazał to jedynie lekkim wzdrygnięciem.

– Coś nie tak? – zapytał jego ojciec.

– Nie, tylko... No cóż, to niepokojące.

Ojciec pokiwał głową, spoglądając na malutki oszczep w dłoni Pająka.

Nie musisz trzymać w sekrecie tego, że rozmawiamy. Twojego ojca może wręcz ucieszyć informacja, że władasz mocą Avemparthy, zwłaszcza teraz, gdy większość jego Pajaków nie żyje.

– Powalili tą bronią również olbrzymy – podjął Taraneh. – Myślę, że mogliby zabijać naszych żołnierzy z jeszcze większą łatwością, i to z takiego dystansu, że nasze wojsko nie mogłoby zrobić nic poza słuženiem jako cel. Sądzę, że gdy spróbujemy zaatakować fortecę, tamci staną na blankach i zasypią tymi pociskami każdego, kto się zbliży. Sam bym tak zrobił.

– Jakim sposobem zdołali zablokować Sztukę? – zapytał fane. – Dlaczego pioruny i ogień nie wyrządzały im krzywdy?

Rozumiem. Podoba ci się ten sekret. Lubisz być kimś wyjątkowym.

– Przynieście władcy rhuński hełm! – zawołał Taraneh.

Jeden z żołnierzy z Niedźwiedziego Legionu podbiegł z zakrwawionym hełmem w rękach.

– Pokaż wnętrze.

Niedźwiedź obrócił hełm. Mawyndulë spodziewał się ujrzeć krwawą miazgę, ale wnętrze było czyste. Z hełmu zwisał skórzany pasek ze sprzączką, a od

wewnętrznej strony była przymocowana niciana siatka, ale pod nią widniały wyryte znaki.

– Widzicie te runy?

– To dhergijskie symbole – powiedział Lothian. – Krążyły pogłoski, że Dhergowie odkryli sposób na zablokowanie Sztuki, coś znanego jako Orinfar. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co to takiego. Wiedzieliśmy tylko, że ich małe podziemne schronienia są odporne na nasze ataki.

– To może być właśnie to.

– Dhergowie, Instarya, nauczyciele magii... Czy wszyscy pomagają tym Rhunom? Jak daleko sięga ten sojusz?

– Rhunowie ewidentnie nie są tak ograniczeni umysłowo, jak wszyscy sądzili. Ta wojna wydaje się dobrze zaplanowana. Myślę, że może tu się kryć prawdziwe niebezpieczeństwo, mój panie.

Lothian wziął patyk od Pająka.

– Tak, stanowią niebezpieczeństwo. To oczywiste.

– Nie, mój panie. Miałem na myśli... – Taraneh się zawahał. – Myślę, że istnieje ryzyko, że możemy przegrać tę wojnę.

Przegrać. To jedno słowo zawisło w nagłej ciszy. Ci, którzy wcześniej nie patrzyli na rozmawiających – służący sprzątający rozsypane jagody, Miralyith z Pajęczego Korpusu usiłujący wycierać z siebie krew asyką, nawet Synne i Sile, którzy nadal towarzyszyli władcy – znieruchomieli i zagapili się najpierw na Taraneha, a potem na Lothiana.

Fane prychnął wzgardliwie.

– To zaledwie pierwszy dzień. W czasach mojej matki bitwy ciągnęły się tygodniami, czasem miesiącami.

– Nie chcę twierdzić, że moim zdaniem na pewno przegramy. Nie twierdzą nawet, że jest to coś więcej niż odległe ryzyko, ale biorąc pod uwagę to, cośmy dziś widzieli, przegrana już nie wydaje mi się tak kompletną niemożliwością jak wcześniej. I pragnę zasugerować daleko posuniętą ostrożność, choć wcześniej nie widziałem takiej potrzeby.

– Dziś zostaliśmy zaskoczeni – powiedział ojciec Mawyndulëgo. – Jutro pójdzie nam lepiej. Istnieją sposoby na zneutralizowanie Orinfaru.

Nam też jutro pójdzie lepiej – zapewnił Mawyndulëgo Jerydd. Gdy już Arion będzie martwa, wszystko stanie się łatwiejsze. Jutro ruszymy na łowy.

Lewa ręka Raithe'a była złamana, a tarcza zmieniła się w kawał zgniecionej blachy. Malcolm, który przetrwał bitwę bez szwanku, pomógł mu wrócić do fortecy, po czym obaj osunęli się na ziemię na niższym dziedzińcu. Dziko spragniony, poobijany i posiniaczony Raithe był zaskoczony, gdy dotarło do

niego, że słyszy wiwaty. Wszędzie wokół nich – na dziedzińcu, na blankach, a także w oknach budynków – ludzie krzyczeli radośnie, pohukiwali, ściskali się nawzajem i radośnie komentowali powrót zakrwawionego, wymęczonego wojska.

– Co się dzieje? – zapytał. – Myślałem, żeśmy przegrali.

– Może nie – odrzekł Malcolm. – Ostatecznie żyjemy.

– Chyba mocno oberwałeś – powiedział Tesh, podbiegając z wiadrem wody i kubkiem.

Raithe pożałował wszystkich nieprzyjemnych rzeczy, jakie kiedykolwiek powiedział temu chłopcu. Dzieciak wiedział dokładnie, co jest potrzebne. Raithe ochlapał twarz zdrową ręką, rozkoszując się chłodną wodą. Westchnął, zastanawiając się, czy nie powinien po prostu wylać sobie całej zawartości wiadra na głowę. Być może zrobiłby tak, gdyby miał dwie sprawne ręce. Zamiast tego wziął kubek i się napił.

– Wszystko widziałeś, czy tak?

– Stałem na blankach razem z resztą ludzi.

– Przypuszczam, że ty wykonałbyś unik albo zrobiłbyś jakieś fantastyczne salto do tyłu, albo jakimś sposobem zablokowałbyś ten cios.

Tesh zastanawiał się przez moment.

– Nie jestem pewien, czy istnieje jakiś sposób, żeby zablokować cios młotem wielkim jak chałupa.

Dzieciak uśmiechał się od ucha do ucha. Raithe potrzebował chwili, by to zrozumieć. Jest ze mnie dumny, olśniło go – dumny i pełen ulgi! Raithe nigdy wcześniej nie widział u nikogo takiej reakcji, a już zwłaszcza nie w oczach swojego ojca. Po raz pierwszy złowił przebłysk tego, ile znaczy dla Tesha. Dzieciak, któremu pozwolił grać się przy swoim ognisku pod daszkiem z wełny, ten dziki zwierzak, którego oswoił, rzucając mu kości, przywiązał się doń bardziej, niż Raithe kiedykolwiek byłby skłonny przypuszczać.

– Toś się załatwił, co? – Padera przykuśtykała z przewieszoną przez ramię torbą. – Piękne złamanie, winszuję. – Postawiła torbę na ziemi i wyciągnęła z niej deszczułki oraz paski podartego płótna. Uśmiechnęła się przy tym.

– Czemu wszyscy tak się cieszą? – zapytał Raithe. – Czy elfy odeszły?

Staruszka pokręciła głową.

– Nie zginęliście.

Malcolm i Raithe wymienili spojrzenia.

– To nie wydaje się warte wiwatów – odrzekł Raithe, usiłując oprzeć się plecami o kamienny mur w pobliżu schodów.

Tesh parsknął śmiechem. Był w takiej euforii, jakby się upił. Gdy tylko ta myśl pojawiła się w głowie Raithe'a, natychmiast zapragnął piwa.

Miłościwa Mari, spieniony kufel byłby cudem z niebios.

Padera wskazała główną bramę, przez którą nadal wchodzili, a raczej wlekli się umęczeni, zakrwawieni wojownicy.

– To było dopiero pierwsze starcie. Pierwsza walka ludzi z Fhrejami w dziejach świata. Nikt nie wiedział, co się wydarzy.

Tesh kiwał z emfazą głową.

– Nawet sam Nyphron, a stał zaraz przy mnie na blankach, powiedział: „Ta bitwa zadecyduje o wszystkim”. Nawet on nie wiedział.

– Poszło wam wspaniale – oznajmiła Padera, badając rękę Raithe’a, obmacując ją energiczniej tu i ówdzie. – Spuściliście im cięgi jak się patrzy. – Nacisnęła złamaną kość. – No i proszę. Nie jest źle, naprawdę nie jest źle. – Wyprostowała jego rękę i wsunęła deszczułkę pod spód. – Załatwiliście Miralyithów zgodnie z planem i udowodniliście, że ludzie potrafią walczyć. Nyphron twierdzi, że Fhrejowie zaczęli się bać... a w każdym razie powinni. Jesteście bohaterami.

– Czyli wszyscy ich Miralyithowie są martwi?

Tesh pokręcił głową.

– Nie wszyscy. Ale mnóstwo. Sądźmy, żeśmy ich wyłączyli z dalszej walki.

– Nadal mają olbrzymy – powiedział Raithe i stęknął, bo Padera właśnie nastawiała mu złamaną kość przy użyciu deszczulek.

– Zabiliście trzy! – Przykucnięty Tesh aż podskakiwał na kolanach. Potem spochmurniał.

Oczy Raithe’a łzawiły z bólu i szarpał się lekko w uchwycie staruszki, ale mimo wszystko spostrzegł zmienioną minę chłopaka.

– Co?

– Gilroy i Bergin opowiadali, ilu zabiłeś. Mówili, że elfy nie są przyzwyczajone do widoku śmierci. I że może to będzie już koniec. Że tamci teraz odejdą. Że wojna się skończy.

– A ty jesteś rozczarowany, bo nie miałeś okazji stanąć do walki?

Tesh wzruszył ramionami.

– Ja po prostu... Tak cholernie ciężko pracowałem.

Padera owinęła deszczułki sznurkiem, zawiązując go ciasno, i prychnęła z dezaprobatą w stronę Tesha.

– Człowiek, który zbudował dach, nie powinien narzekać, kiedy nie pada deszcz. Bogowie mogą się obrazić i zesłać powódź.

Na dziedzińcu zajmowano się innymi wojownikami. Leżeli wyczerpani na trawie lub siedzieli bez ruchu, wyglądając na oszołomionych. Niektórzy płakali, inni gapili się w przestrzeń. Kilku się śmiało, ale nie był to dobry śmiech. Garstka wciąż jeszcze kręciła się tu i tam, ściskając w rękach broń i poruszając

się tak szybko, jakby chcieli dotrzeć w konkretne miejsce. Ale tylko krążyli naokoło ze zdezorientowanymi minami.

– Gdzie Wedon? – zapytał Raithe.

Tesh unikał jego wzroku.

– Cios, który o ciebie tylko zawadził i złamał ci tę rękę, trafił prosto w Wedona – powiedziała Padera.

Raithe znów się rozejrzał, ale nigdzie nie wypatrzył niegdysiejszego rolnika.

– Składają ciała poległych niżej, przed główną bramą – wyjaśnił Tesh.

Oprócz trzech synów Wedon miał też córkę imieniem Thea. Raithe rozmawiał z nią tylko raz, jeszcze w dahlu Rhen. Pamiętał, że nosiła warkocze, była chuda jak patyk i wysoka na swój wiek. Zginęła przed rokiem podczas ataku olbrzymów na dahl Rhen. To dlatego Wedon przestał być rolnikiem i stał się żołnierzem.

Dopiero co z nim rozmawiałem, pomyślał Raithe. Jakim sposobem świat może zmieniać się tak szybko?

Padera zmajstrowała temblak i zawiesiła mu na szyi. Gdy związywała rogi płótna, Raithe spostrzegł stojącą opodal Roan. Miała na sobie swój ciężki fartuch kowalski z poplamionej, osmalonej tu i ówdzie skóry. Jej twarz wyglądała niewiele lepiej – policzki były umazane sadzą. Kowalka stała z rękoma splecionymi na brzuchu, kurczowo ściskając dłońmi łokcie, i wpatrywała się w przestrzeń zmartwionym wzrokiem.

Pokręciła głową. Potem odeszła bez słowa.

Raithe powędrował za nią spojrzeniem.

– Martwi się o Gifforda – powiedziała Padera.

– O Gifforda? Czemu? Gdzie on jest?

– Jedna Mari wie, a podejrzewam, że nawet ona może nie być pewna.

Raithe poczuł się zafrapowany.

– Jak daleko może zawędrować kaleka?

Padera uśmiechnęła się w odpowiedzi.

– Myślę, że to jest pytanie stulecia.

Rozdział dwudziesty drugi

Stos w Perdif

Szczerze wierzę, że trudy czynią ludzi lepszymi. Ból – o ile nas nie złamie – dostarcza siły, która rodzi się ze świadomości, że cierpienie można przetrwać i przezwyciężyć. A nie znam nikogo, kto wycierpiałby w życiu więcej niż Gifford.

Księga Brin

Nikogo tam nie było. Tylko stos na wzgórzu.

Gifford rychło odkrył, dlaczego. Gdy dotarł na grzbiet wzniesienia, ujrzał w dole wioskę Perdif, a raczej to, co z niej zostało: zgliszcza pięciu chat okalających studnię. Policzył też mieszkańców – nietrudne zadanie, bo było ich jedynie dwanaścioro. Dwanaście trupów. Ciała leżały rozrzucone wokół – mężczyźni, kobiety, dzieci i dwa psy. Zwłoki były poskręcane i rozpostarte w dziwnych pozach. Nie dostrzegł przy nich żadnej broni.

Gifford zsunął się z pokrytego pianą grzbietu Naraspur. Nie potrafił normalnie zejść. Ziemia była tak twarda, na jaką wyglądała, więc leżał na niej przez chwilę, czekając, aż ból minie. Klacz zostawiła go i powoli, ze znużeniem odeszła. Po długim biegu z pewnością dręczyło ją pragnienie. Może zwęszyła wodę. Gifford dźwignął się na nogi, zaczerpnął tchu i zawołał. Odczekał chwilę, wyteżając wzrok i nasłuchując, po czym zawołał ponownie. Nikt mu nie odpowiedział.

Ciszę mąciły jedynie podmuchy ostrego, suchego wiatru, który wiał bez ustanku, oraz łopot skrzydeł. Sępy lądowały kolejno i przefruwały z trzepotem od jednego ciała do drugiego.

Słońce stało wysoko, a Gifford miał nadzieję, że minuty nie zrobią większej różnicy, bo nie miał pojęcia, jak rozpałić ognisko sygnałowe. Wyposażono go na drogę w zapas prowiantu i wody, ofiarowano mu magiczną zbroję i cudowny miecz, ale nie dano nic, co mogłoby wyprodukować płomień. Przypuszczał, że w tej zniszczonej suszą krainie potrzeba byłoby niewiele, ale on nie miał nic. Nikt nie spodziewał się, że Fhrejowie mogli odwiedzić Perdif jako pierwsi.

W większości wioski znajdowały się misy na żar. W co najmniej jednej z nich stale podtrzymywano ogień, którego rozniecanie było kłopotliwe i zajmowało czas. Gifford już zdążył się zorientować, że w Dureyi misa z żarem stanowiłaby nieosiągalny luksus. W promieniu nie wiadomo ilu mil nie rosły żadne drzewa. Nawet naszykowany stos prawie nie zawierał drewna; były to głównie owcze odchody.

Czy one w ogóle będą się palić?

Persefona przypuszczalnie rozkazała, by ubiegłej jesieni ułożono tu stos porąbanych kłód, ale kto mógłby się oprzeć pokusie, jaką stanowiła ogromna sterta drewna na wzgórzu zaraz za wioską, gdy szykowała się mroźna zima?

Gifford pokuśtykał w stronę stosu najszybciej, jak potrafił, czyli w praktyce dość wolno, bo nie miał swojego kostura. W końcu poddał się i resztę dystansu pokonał na czworakach. W ambitnie szerokim kręgu kamieni pozostały tylko trzy kłody oraz kilka placków wysuszonego łajna. Nie było tego dość na ognisko sygnałowe. Od biedy najwyżej na takie, które rozpała się, obozując w dziczy.

Gifford legł na wznak, pozwalając, żeby jego ciało odpoczęło. Bolały go ręce i nogi, ale żył. Dokonał niemożliwego. Wyrwał się z Alon Rhist i na grzbiecie konia przebył całą Dureyę w czasie krótszym niż dzień. Tylko co teraz?

Usiadł.

Co zrobiłaby Roan?

Wymyśliłaby coś genialnego – coś, co pozwoliłoby wykorzystać moc gorącego wiatru. Patrząc na naszykowany opał, Gifford skonstatował, że nie ma do dyspozycji niczego na rozpałkę. Nawet dwóch patyków na krzyż! Pełzając wokół kręgu, znalazł mnóstwo kamieni. Widział kiedyś, jak Habet krzesił iskry, uderzając kamieniem o kamień, więc spróbował zrobić to samo, ale żaden ze znalezionych tutaj skalnych odłamków nie dawał analogicznego efektu.

Nie powinienem był zsiadać z konia, pomyślał Gifford.

Mógł pojechać dalej. Może gdzieś w pobliżu znajdowała się inna wioska, w której do dyspozycji byłby porządny łuk ogniowy i coś na rozpałkę, albo podtrzymywany stale płomień, z którego dałoby się skorzystać. Szukając czegokolwiek, Gifford uzmysłowił sobie, że nigdzie nie widać Naraspur; klacz postanowiła się oddalić.

Jak długo mogło jeszcze przetrwać Alon Rhist? A Roan?

Zaiste, wielki ze mnie bohater. Przybyłem tak daleko i poniosę porażkę, bo nie potrafię...

Gifford skupił wzrok na małej stercie kłód i suszonego łąjna.

Co takiego powiedziała mu Arion? Coś o trzymaniu rozgrzanego na słońcu kamienia, i...

„Ludzie wyróżniający się kreatywnością zazwyczaj są zestrojeni z mocą i siłami przyrody. Słyszą szepty świata, które pomagają im obierać właściwy kierunek”.

Gifford gapił się na stosik opału. Nie widział nadziei, że zdoła rozpalić ogień, chyba że...

„Giffordzie, chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił. Chcę, żebyś pomachał rękami w ten sposób”.

Od tamtej pory wielokrotnie próbował powtarzać ten gest, ale bez skutku. Wszystkie próby kończyły się fiaskiem, ale przecież nigdy nie potrzebował, żeby się udało.

„Czy kiedykolwiek chciałeś, żeby coś się wydarzyło, a potem tak się stało?”.

Gifford nigdy w życiu niczego nie pragnął tak, jak tego, żeby teraz rozpalić ogień.

„Wyobraź sobie, że moje dłonie robią się czarne jak węgiel”.

Zagapił się na opał i zaczerpnął tchu. Uniósłszy ręce, wykonał tamten zamaszty gest skubania.

„Skup się. Zamknij oczy, jeśli tego potrzebujesz”.

Uczynił to. Zamknął oczy i wyobraził sobie, że opał zajmuje się ogniem: głośne „wuff”, a potem fala gorąca, trzaskanie suchego drewna i płomienie – mnóstwo płomieni.

Otworzył oczy.

Nic.

Trzy kłody i stosik wyschniętego łąjna trwały niezmienione. Nawet nie dymiły.

Arion skłamała. Gifford nie wiedział, czemu to zrobiła, ale skłamała. Ona i mistyczka...

Ta zbroja! Jest pokryta runami!

Gifford zdarł i rzucił na ziemię hełm. Odszukawszy sprzączki, pozbył się reszty daru Roan. Ponownie się skupił i tym razem w jego umyśle ukształtował się pomysł.

„Kłaśnij w dłonie”.

Ta myśl pojawiła się nieproszona. Czy to było wspomnienie? Coś, co powiedziała mistyczka? Gifford nie był pewien. Może powiedziała – nie potrafił tego odtworzyć. Wiedział tylko, że ta myśl pojawiła się w jego głowie,

zaskakująco klarowna i przepełniona pewnością. Ogarnięty strachem i ekscytacją już wiedział, że to zadziała. Poznał rozwiązanie łamigłówek i – jak to często bywa – było ono oczywiste.

„Często sądzymy, że to nasze własne myśli każą nam skierować się w lewo, albo po prostu coś nam podpowiada, że pójście w prawo to zły pomysł. Niektórzy nazywają to intuicją czy przeczuciem, a tak naprawdę to świat przemawia w starożytnym języku, który prawie rozumiemy, ale nie do końca”.

Ciepły wicher dał mu prosto w twarz.

Roan wykorzystałaby ten wiatr, pomyślał znów Gifford.

Powiódł spojrzaniem wzdłuż horyzontu. Ukląkł na tym pustkowiu, na pagórku pośrodku bezkresnej równiny.

„Poznając to, co zwie się Sztuką, uczymy się na nowo mówić w naszym ojczystym języku, sięgać po tę moc i wykorzystywać ją do pożytecznych celów”.

Był sam. Nikt nie mógł go zobaczyć ani usłyszeć. Gifford ponownie zamknął oczy i tym razem zaczął nucić. Wiatr zerwał się znowu i zmierzwił mu włosy, delikatny jak pocałunek. Garncarz podniósł ręce i rozcapierzył palce, wystawiając je na ruch powietrza.

Nic się nie wydarzyło – nic magicznego, tylko...

Glina. To skojarzenie pojawiło się znikąd, jak wcześniej myśl o klaskaniu. Nie wiedział, czy pochodziło z zewnątrz, czy z jego wnętrza, ale efekt był potężny. Kolejny kawałek układanki wskoczył na miejsce i Gifford zaczął widzieć szerszy obraz. Powietrze – powietrze było gliną. To uczucie, kiedy przepływało między jego palcami, to, jak się przesunęło i przemieszczało. Tak właśnie kształtował swoje kubki i wazy. On tworzył w ten sposób.

Żołądek Gifforda aż podskoczył z ekscytacji. Garncarz zdołał dostrzec coś, czego wcześniej nie było, coś prawdziwego; wypatrzył powiązanie. To nie było na niby. Olśnienie dotyczyło czegoś autentycznego. Fhrejka i mistyczka go nie okłamały. Wpadł na trop czegoś, i rzeczywiście odnalazł to wewnątrz siebie.

Glina. Wiatr, powietrze, słońce, ziemia – wszystko to było gliną, którą mógł kształtować.

Sięgnął umysłem w przestrzeń i namacał wiatr niczym plastyczną masę. Jego palce wyczuły coś jeszcze – coś silnego, ciepłego i leżącego głęboko. Wyciągnął to coś tak, jak często wyciągał glinę, zgniatając ją i zmuszając, by poddała się jego woli. Obracając się pod jego palcami, rozrobiony z wodą ił zamieniał się w cudowne dzieła sztuki. I to właśnie musiał teraz zrobić – czynić sztukę.

Zacisnął pięści, czując wzbierające gorąco. Powietrze wirowało coraz szybciej, wicherząc mu włosy, smagając go podmuchami, miotając drobne kamyczki. Ale kiedy Gifford otworzył oczy, sterta opału nadal wyglądała tak samo. Nie było ognia, żaru ani dymu.

Porażka. Kolejna z długiej, długiej serii.

Gifford zgarbił ramiona.

Tyle że tym razem ta porażka... Pomyślał o Roan, która mogła zostać zabita lub ponownie trafić do niewoli. Zapłakał, szlochając głośno i żałośnie. Jaką różnicę robiła światu albo bogom skamłająca rozpacz kaleki?

Kłaśnij.

Owładnięty wściekłością i żalem Gifford nadal zaciskał kurczowo pięści. Nienawidził siebie, świata, bogów, sępów, wioski, a w szczególności tej okropnej sterty łajna, przed którą klęczał.

– Kocham cię, Łoan. – Zalany łzami wypowiedział te słowa niczym modlitwę. Potem rozłożył ręce i z całej siły klasnął w dłonie.

Stos nie zapłonął.

Większa część wioski Perdif eksplodowała.

Rozdział dwudziesty trzeci

Wewnątrz Kypu

Niektóre chwile widzimy jasno, na przykład chwile narodzin i śmierci. Wiemy, że są ważne i dlaczego. Inne podkradają się do nas niepostrzeżenie: są niewidzialne, gdy nadchodzą, lecz ich waga staje się bezlitośnie oczywista, gdy patrzymy wstecz.

Księga Brin

Słońce już zachodziło, kiedy Raithe załomotał we wrota Kypu. Tym razem nie był sam. Moya i Malcolm stali obok niego, kiedy okienko się otworzyło. Ta sama para oczu kolejno omiotła każdą z twarzy. Oczy miały nieszczęśliwy wyraz.

– Otwieraj, Por – rozkazała Moya.

Oczy zmierzyły Raithe'a.

– Ja, ee...

– Ty, ee, otworzysz te drzwi – oznajmiła Moya. – Inaczej przestrelę ci czaszkę.

Oczy zamrugały. Okienko się zatrzasnęło, a potem wielkie odrzwia z brązu zaczęły się otwierać.

Porik był zaskakująco drobnym Fhrejem o jasnoblond włosach, który najwyraźniej mieszkał w usytuowanej zaraz obok izdebce pełnej brudnych talerzy, pustych kubków oraz trocin. Dwadzieścia lub trzydzieści wyrzeźbionych z drewna zwierzątek zdobiło półki i stoły. Porik z mieszanką strachu i złości patrzył, jak Raithe wkracza do Kypu.

– Będzie dobrze – zapewnił go Malcolm. – Raithe ma złamaną rękę. To znacząco utrudnia uduszenie kogoś gołymi rękami.

– Utrudnia – odrzekł Raithe. – Ale nie uniemożliwia.

Porik wytrzeszczył oczy i uniósł drżącą dłoń do gardła. Raithe może zareagowałby na to uśmiechem, gdyby nie był w tak parszywym nastroju. Nie miał nic do samego Porika. Fhrej tylko wykonywał swoją pracę. Ktoś najwyraźniej powiedział mu, żeby Dureyanina wpuszczać do Kypu tylko na oficjalne zebrania wodzów. Raithe poprosił o pomoc Moyę, zamiast zwrócić się do Suri i Arion. Suri, która najwyraźniej żywiła do Nyphrona podobne uczucia jak on, z radością powitałaby szansę na odrobinę rozrywki, ale Raithe nie chciał powodować aż takich kłopotów, nie rozeznawszy się wcześniej w sytuacji. Moya stanowiła oczywisty wybór. Była Tarczą keeniga, więc nikt nie mógł jej powstrzymać przed odeskortowaniem Raithe’a. A gdyby Nyphron mimo wszystko próbował, wówczas być może Raithe porozmawia z Suri.

Moya poprowadziła go schodami w górę.

– Uwaga, drugi stopień się kruszy. Ja go zazwyczaj po prostu przeskakuję.

Moya zaprzeczyła, jakoby Nyphron podejmował jakieś kroki, żeby podstępnie uniemożliwić Raithe’owi zobaczenie się z Persefoną, ale powiedziała też, że nie ma pojęcia, czemu pani keenig miałyby odmawiać mu audiencji. W normalnych warunkach Moya przed wpuszczeniem Raithe’a pewnie zapytałaby najpierw Persefonę o pozwolenie, ale tego dnia nic nie przebiegało normalnie. Rozpoczęła się wojna, Raithe ucierpiał w bitwie, a poprzedniej nocy Persefona omal nie zginęła. Było niewiele czasu, więc wystarczyło, że Raithe dodał: „Jak byś się czuła, gdybyś się dowiedziała, że Tekchin jest ranny, omal nie zginął, a tobie nie pozwalają się z nim zobaczyć?”. Te słowa momentalnie odniosły skutek.

Wspięli się siedem piętér w górę, aż Raithe uzmysłowił sobie, że dotarli na najwyższą kondygnację Kypu. Kyp był równie ascetyczny w formie i zimny jak reszta fortecy i niezbyt dobrze nadawał się na miejsce zamieszkania. O ile Alon Rhist jako całość emanowało majestatem i elegancją, to ten budynek był jeszcze zimniejszy i bardziej pozbawiony życia niż Dureya. Nawet jeśli w Dureyi wiecznie brakowało żywności i bezustannie smagał ją wiatr, plemię Raithe’a miało pieśni, tańce i dziecięcy śmiech. Wewnątrz Kypu panowała cisza, w której ich kroki rozbrzmiewały echem.

– Umieściliśmy ją w Sanktuarium – wyjaśniła Moya. – Kiedyś były to prywatne komnaty Alona Rhista, tego gościa, którego imieniem nazwano fortecę. Był jedynym fane’em ze szczepu Instarya, więc darzą go tutaj czcią. Rządził przez zaledwie pięć lat, zanim zginął w jakimś zbrojnym starciu. Zachowali jego komnaty w niezmiennym stanie. – Przystanęła i obejrzała się.

– Lepiej niczego tam nie dotykaj. Fhrejowie są trochę przewrażliwieni na punkcie takich rzeczy.

Jeśli odkryję, że źle ją traktują, posunę się do czegoś więcej niż dotykanie rzeczy, pomyślał Raithe.

Odkryli, że przed drzwiami komnaty trzymają wartę znajome twarze. Grygor, Eres i Tekchin uśmiechnęli się na widok nadchodzących. Grali właśnie w grę o nazwie „kamienie”, a przed Tekchinem leżał największy stosik.

– To ciebie prosiłam, żebyś strzegł jej drzwi – powiedziała Moya z lekkim wyrzutem, zwracając się do Tekchina.

Fhrej wzruszył ramionami.

– Łatwo się nudzę. Nie potrafię rzeźbić w drewnie jak Porik. Gdybym musiał tkwić tu sam jeden, pewnie zacząłbym sobie obgryzać czubki palców albo co.

– Każda zmiana w twoim wyglądzie byłaby na lepsze – skomentował Grygor.

– Dzięki. – Moya powiedziała to z emfazą, zwracając się do nich wszystkich, a potem nachyliła się i pocałowała Tekchina. – Jesteś wspaniały.

Zawstydzony Tekchin odwrócił się do Raithe’a, wskazał jego rękę i zapytał:

– Draśnięcie, co?

– Wdałem się w sprzeczkę z pewnym olbrzymem – odrzekł Raithe, zerkając na Grygora, którego głowa niemal dotykała wysokiego sufitu.

– To zwierzęta – odrzekł Grygor. – Nie można im ufać. Nie utrzymają niczego w sekrecie i są gotowi odgryźć głowę Rhunowi tylko po to, żeby coś udowodnić.

Eres i Tekchin pokiwali głowami, co kazało Raithe’owi zadać sobie pytanie – nie po raz pierwszy – czy Galantianie przypadkiem nie żartują.

Moya otworzyła drzwi i Raithe wszedł do środka. Sam.

Sanktuarium było kompleksem komnat ozdobionych tapiseriami przedstawiającymi bitwy oraz posągami półnagich, muskularnych Fhrejów, dzierżących włócznie lub oszczepy. Krzesła z ciemnego drewna o wyściełanych siedziskach obitych czerwoną tkaniną, złote wazy oraz kandelabry potęgowały wrażenie przepychu. Raithe jeszcze nigdy nie oglądał tylu bogactw w jednym miejscu. Świadomość, że tylko rzeka oddziela ten splendor od lepianki, w której on sam przyszedł na świat, przyprawiła go o szok. Czy jakikolwiek Dureyanin kiedykolwiek podejrzewał, że tak jest? Czy w ogóle wiedzieli, że takie rzeczy są możliwe?

Jeżeli wygramy wojnę, pomyślał, jak mamy powrócić do życia pędzonego w brudzie? Co się z nami stanie, jeśli zwyciężymy? Co się stanie ze światem?

A jednak ta komnata, choć tak bogato urządzona, wydawała się pozbawiona życia. Wszystko było takie czyste, tak nienagannie urządzone. To nie było

domostwo żywych ludzi. To miejsce przypominało grobowiec. Raithe'owi nie spodobało się, że umieszczono Persefonę właśnie tutaj.

Stąpił ostrożnie po dywanach, czując się jak intruz. Drzwi do kolejnej komnaty otwały się i wyszła stamtąd Brin. Uśmiechnęła się i wskazała na Raithe'a trzymaną w ręku szczotką do włosów.

– Masz szczęście. Właśnie się obudziła. – Wskazała drzwi. – Zaczekam na zewnątrz.

Stojąc pośrodku Sanktuarium, Raithe patrzył, jak Brin wychodzi. Potem ponownie obejrzał się na drzwi.

Dlaczego tak się denerwuję? To tylko Persefona.

Sięgnął do zasuw, ale się zawahał. Przez moment miał ochotę się odwrócić i po prostu odejść.

Może to błąd, że tu przyszedłem. Skoro Moya mówi, że z Persefoną wszystko dobrze, to znaczy, że tak jest. Gdyby miała kłopoty, Brin by coś powiedziała; Padera by coś powiedziała; Moya by coś zrobiła. One też kochają Persefonę. Jestem głupi.

Raithe wiedział, że Nyphron nie więzi Persefony. Był tego świadom od samego początku. Po prostu nie chciał dopuścić do siebie prawdy. Nadal nie przyjmował jej do wiadomości. Odwrócił się, żeby wyjść.

– Raithe? – usłyszał jej głos. – Raithe?

Za późno.

Powoli otworzył drzwi i zajrzał do komnaty.

Persefona leżała na olbrzymim łożu z baldachimem, na którym pyszniły się haftowane koce oraz poduszki z lśniącej tkaniny. Pomieszczenie nie miało okna; światło dawały jedynie trzy lampy oliwne, które napełniały powietrze smrodem spalenizny. Unosiły się tu też inne zapachy – nieprzyjemne i nieznanne.

– Wydawało mi się, że słyszałam, jak Brin z kimś rozmawia.

– Ona, ee... Brin właśnie wyszła.

– Wejdz – zaprosiła Persefona.

Wyglądała pięknie – w każdym razie jej twarz. Resztę ciała spowijały pledy. Wiedząc, że zaatakował ją raow, Raithe martwił się, co zobaczy. Okazało się, że Persefona jest blada, ale poza tym w dobrym stanie.

Wszedł powoli, omiatając wzrokiem otoczenie. Na kilku stołach walały się miseczki i szklanki, a także moździerze i słoiki wypełnione proszkami – to było źródło części dziwnych zapachów. Raithe ostrożnie podszedł do łoża i stanął przy jego brzegu.

– Słyszałem o ataku. Wszystko dobrze?

– Będzie. – Wykonała gest naśladujący atak szponami na swój brzuch. – Jestem tak głęboko poraniona, że praktycznie nie mogę się ruszać, więc muszę tu

tkwić, podczas gdy wszyscy inni walczą. Strasznie mi z tym źle. Formalnie jestem keenigiem i oczywiście nie zakładałam, że będę dowodzić w boju jak Reglan, ale sądziłam, że będzie mi dane przynajmniej widzieć, jak atakujecie.

– Myślę, że twoje zadanie polegało na ściągnięciu nas tutaj. Żeby dać nam tę szansę. Teraz to my musimy odnieść sukces.

Przeniosła spojrzenie na jego rękę i skrzywiła się współczująco.

– Było strasznie?

– Myślę, że zależy, kogo zapytasz. Wszyscy, którzy nas obserwowali, twierdzą, że poszło wspaniale. – Zmarszczył brwi. – Wedon zginął, podobnie jak Kurt, najmłodszy syn Tope'a, i Hanson Killian. – Spozrzegł, jak jej twarz zmienia się na dźwięk tych imion, i natychmiast przerwał. – I kilku innych, tylko nie wiem, jak się nazywali – skłamał. – Ale mogło być dużo gorzej. – Czując wyrzuty sumienia z powodu niesłusznych podejrzeń, które żywił wobec Nyphrona, dodał: – Mówię to z niechęcią, ale plan Nyphrona, żeby umieścić te runy na pancerzach oraz rozkazać łucznikom Moyi zaatakować Miralyithów był... genialny.

– Dlaczego mówisz to z niechęcią?

Podszedł bliżej, trzema wyciągniętymi palcami dotknął leżących na łożu pledów.

– Ponieważ Nyphron jest moim rywalem.

– Rywalem?

– A nie jest?

Nie odpowiedziała. Jej oczy szukały czegoś na narzucie – może właściwych słów.

– Wbiłem sobie w głowę, że to przez niego nie jestem wpuszczany do Kypu i nie mogę się z tobą zobaczyć. Że wydał rozkazy, by trzymać mnie z dala od ciebie. Ale nie zrobił tego, prawda?

– Nie, nie zrobił.

Persefona spróbowała się dźwignąć do pozycji siedzącej i wzdrygnęła się z bólu.

– Ostrożnie – powiedział Raithe.

Pokręciła głową i lekceważąco machnęła dłonią, chociaż było widać, że oddycha z trudem.

– Nic mi nie jest. Już dobrze.

– Jesteś pewna?

– Tak. – Wyglądało na to, że ból przycichł, a Persefona sprawiała przede wszystkim wrażenie zawstydzonej. – Mówiłeś, że próbowałeś się ze mną zobaczyć?

– Tak. Z początku przychodziłem prawie codziennie, a potem, kiedy nadeszła zima, coraz rzadziej. Chyba dotarło do mnie, co chcesz mi powiedzieć. Zawsze słyszałem, że jesteś zbyt zajęta. Wierzyłem w to, bo potrzebowałem wierzyć.

Nic nie odrzekła. Unikała jego wzroku.

– Kochasz go?

– To skomplikowane. On... – Wyraźnie miała problem z wypowiedzianiem słów. Wyglądziła narzutę. – Poprosił mnie o rękę.

Raithe nie odpowiedział. Nie był w stanie. Sparalizował go strach. Kiedy był małym chłopcem, Didan pewnego razu podkraść się doń od tyłu i przyłożył mu sztylet do gardła, szepcząc: „Nie ruszaj się”. Teraz, stojąc przy łożu Persefony, Raithe czuł się dokładnie tak samo, gdy te słowa zawisły w przestrzeni pomiędzy nimi. Gdy raz padły, nie można już było ich zbyć machnięciem ręki. Czekał; czekał, aż Persefona powie, że odmówiła Nyphronowi. Czekał, aż ona wyśmieje ten pomysł. Nie wyśmiała. Nie powiedziała nic więcej i milczenie przeciągało się aż do chwili, gdy Raithe nie mógł tego dłużej znieść.

– Spałaś z nim?

Gwałtownie uniosła głowę.

– Nie! To nie tak.

– A jak?

– Nie wydaje mi się, żebyś miał prawo wnikać w moje życie osobiste.

Te słowa zaboląły. Nie powiedziałyby tego rok wcześniej, kiedy Konniger chciał ją zabić. Wtedy z radością powitała Raithe’a, błagała go, by został, chciała, by był częścią jej życia osobistego. Kiedy poprosił ją o rękę, powiedziała, że wspomnienie nieżyjącego małżonka uniemożliwia jej ponowne wyjście za mąż.

Musiała zobaczyć jego minę i przynajmniej w części odczytać ją prawidłowo.

– Raithe, posłuchaj. Jestem teraz keenigiem i muszę myśleć o tym, co będzie najlepsze dla klanów. A ty miałaś rację. Nyphron jest geniuszem.

Po co ja to powiedziałem? Zaiste, jest geniuszem. Tak ci zawrócił w głowie, że teraz tańczysz, jak ci zagra.

– Dał nam szansę na przetrwanie – podjęła. – On i ja zbudowaliśmy sojusz pomiędzy Rhunami a szczepem Instarya. Razem możemy...

– Spóźniłem się, prawda? – Dobiła go fraza „on i ja”. Persefona i Nyphron stanowili teraz zgrany duet.

Raithe odwrócił wzrok. Jego spojrzenie powędrowało ku lśniącom prześcieradłom, omiotło wielkie łoże – wystarczająco duże dla dwóch osób.

Czy Nyphron odwiedza ją tu, gdy zapadnie zmrok, czy może już z nią zamieszkał? Czy sypia tutaj każdej nocy? Która strona łoża jest jego?

– Mówię tylko, że bez Nyphrona nie mamy szans na zwycięstwo. On wie, jak z nimi walczyć, oraz powstrzymuje Instaryę od...

– Już podjęłaś decyzję. Poślubisz go.

Nie odpowiedziała.

– Poślubisz, prawda?

Odwróciła wzrok, nie chcąc patrzeć mu w oczy.

– Tak będzie najlepiej. Dla wszystkich.

Nawet Didan finalnie nie poderżnął mu gardła.

Nie, to nie było poderżnięcie gardła, tylko cios w samo serce.

Raithe stał bez ruchu, czując, jak ból wbija się pomiędzy jego żebra niczym celne – naprawdę celne – pchnięcie włócznią.

Spóźniłem się. Myślałem po prostu, że ona...

Z wysiłkiem zaczerpnął tchu.

– Persefono, czy ty kiedykolwiek mnie kochałaś?

Zobaczył, że zeszywniała. Dłonie miała splecione na podołku, a głowę podpartą poduszkami. Przypuszczalnie to Brin je podłożyła oraz wyszczotkowała Persefonie włosy przed wizytą Raithe'a, żeby pani keenig wyglądała jak najpiękniej podczas egzekucji. Naprawdę miała lojalne przyjaciółki. Moya przyprowadziła go tutaj, a Brin przytrzymała drzwi, gdy wchodził.

– Raithe, tu nie chodzi o miłość. Musisz zdawać sobie z tego sprawę. – Jej ton stał się pełen troski. – Gdybym odmówiła, gdybyśmy utracili wsparcie Nyphrona...

– Mnie odmówiłaś. Czy odszedłem? Czy zwróciłem się przeciwko tobie?

– On nie jest tobą, i to nie to samo.

– A w czym tkwi różnica?

– Ty byłeś samolubny. Chciałeś, żebym z tobą uciekła do jakiejś mitycznej krainy, gdzie wiecznie świeci słońce i nikomu niczego nie brakuje. Poprosiłeś mnie, żebym porzuciła moją rodzinę. Nyphron chce mi pomóc ich ocalić.

– Samolubny? Mnie nazywasz samolubnym? Porzuciłem to marzenie. Zostałem. Zostałem, chociaż wiedziałem, że jestem głupcem. Mówisz, że Nyphron chce ocalić twój lud. Ale kto zgłosił się na ochotnika do pojedynku z keenigiem klanu Gula? A dlaczego zrobiłem coś tak głupiego? Dla siebie? Nie, ale mogę ci powiedzieć jedno: to właśnie robi Nyphron. To on jest samolubny, nie ja. Nie widziałem go tam na polu bitwy. – Słowa Raithe'a były pełne żalu i gorzkości. Nie chciał, żeby tak brzmiały, ale nie mógł się powstrzymać. – To ja omal nie zginąłem, kiedy potężny olbrzym rąbnął nas młotem. Wtedy właśnie zginął Wedon. To ja byłem tam na zewnątrz i walczyłem, żeby ochronić twoją rodzinę. A gdzie był Nyphron?

– On nie może...

– Mógłby. Po prostu nie chce. – Raithe podniósł głos. – Chciałem, żebyś odeszła ze mną, bo nie sądziłem, że mamy jakiegokolwiek szansę w walce przeciwko Fhrejom, i dlatego, że wiem, jak wygląda wojna. Żyłem wśród mężczyzn, którzy trudnili się wojowaniem. Widziałem, co ona robi z ludźmi, którzy walczą rok po roku, a także z tymi, którzy pozostają w domach. I może częściowo byłem w błędzie, może faktycznie możemy zwyciężyć. Ale miałem rację co do skutków wojny... A mimo to zostałem. I wiem jeszcze jedno. Wiem, że cię kocham. Nyphron cię nie kocha, ale ja tak. I sądziłem... Sądziłem, że ty też mnie kochałaś.

Wpatrywała się w niego z twardą miną.

Jak kamień, pomyślał. Ma kamienną twarz: zimną i nieruchomą. Idealna pani keenig.

– Kochałaś? Kochasz?

– Nie – odparła w końcu.

Zapadła cisza.

W walce można było się przyzwyczaić do dźwięku oręża. Szczęk metalu następował w określonym rytmie, tworzył coś w rodzaju muzyki. Pojedynek przybierał formę specyficznego duetu, w którym każda ze stron odgrywała swoją partię aż do chwili, gdy za którymś razem atakującemu udawało się przebić przez gardę przeciwnika. Wtedy muzyka się urywała i zawsze zapadała niespodziewana cisza, która wydawała się głośna, bo wypełniało ją oczekiwanie na cios, który nie padł. Raithe stał teraz w tej ciszy. Jego garda została przebita, sztych Persefony ugodził go śmiertelnie. W jej oczach Raithe ujrzał szok, strach i wyrzuty sumienia – emocje, które często widywał na twarzach swoich uczniów, kiedy udało im się z sukcesem wykonać technikę i trafić go podczas ćwiczebnej walki.

– To bez znaczenia – powiedział cicho. – Nawet to jest bez znaczenia. Nie zmienia tego, co ja czuję. Nie twierdzę, że się na tym znam, ale wiem, że miłość tak nie działa.

Dłonie Persefony zacisnęły się na pledach. Otworzyła usta, ale Raithe nie chciał już słuchać tego, co miała do powiedzenia, a sam jeszcze nie skończył. Zasłużyła na to, żeby usłyszeć wszystko; w każdym razie ta Persefona, którą znał, lub sądził, że zna, zasługiwała na to. Tak właśnie się czuł – nie jak odrzucony przez nią, ale tak, jakby kobieta, którą kochał, zmarła. Ewidentnie nastąpiło to już jakiś czas temu, ale dopiero teraz został o tym powiadomiony. Ponieważ nie zaproszono go na pogrzeb, Raithe postanowił wygłosić pean.

– Kochałem cię od samego początku. Może już od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem cię w lesie, a już na pewno po tym, jak przemówiłaś do mnie

jak do człowieka, chociaż wiedziałaś, że jestem Dureyaninem. Nieważne, że nie potrafisz mnie pokochać; czy to dlatego, że nadal miłujesz wspomnienie Reglana, czy dlatego, że chcesz poślubić Nyphrona. Nic z tego nie ma znaczenia, bo... – Głos mu zadrżał. – Bo nawet teraz... Nawet teraz...

Głos załamał mu się tak, jak pękł ojcowski miecz. Pozostały bezużyteczne szczątki, tylko tym razem nikt nie pośpieszył na ratunek, bo w pobliżu nie było Malcolma. Raithe obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Chociaż od tak dawna pragnął zobaczyć się z Persefoną, w tej chwili chciał tylko jak najszybciej wyjść.

– Raithe! – zawołała, ale on się nie zatrzymał.

Minął grupkę oczekujących w korytarzu. Dlaczego musiało tu być tylu świadków?

– Raithe?! – zawołała Brin. – Co się stało?!

Skierował się w stronę schodów, ocierając łzy.

Niektórzy nie mają szans wygrać z losem, pomyślał. To bez znaczenia, czy postępujesz, jak należy. Jeśli bogowie cię nienawidzą, nie zdobędziesz szczęścia, a nadzieja jest tylko kolejną torturą.

Rozdział dwudziesty czwarty

O świcie

Autentycznie nie wiem, co się wydarzyło tamtego ranka. Wie to tylko jedna osoba, a nigdy nie miałam odwagi jej zapytać.

Księga Brin

Mawyndulë, Mawyndulë!

Otworzył oczy i ujrzał pogrążony w mroku świat.

Napięta płachta z grubej tkaniny podrygiwała na wietrze. Chwilę zajęło mu przypomnienie sobie, gdzie przebywa: w namiocie na skraju pola bitwy. Ogarnęła go depresja. Tej nocy śnił o Makarecie. Wypatrzył ją w tłumie na ulicach Estramnadonu i bezskutecznie usiłował dogonić, a potem się obudził. Teraz leżał samotnie w ciemnościach, nasłuchując wiatru, i znów rozmyślał o niej.

Nikt nie wiedział, co się stało z Makaretą – a może wiedzieli i celowo mu nie mówili. Podejrzewał, że może trzymali ją pod kluczem w tej samej celi, w której niegdyś więziono Vidara. A może oddano ją Vidarowi, żeby mu wynagrodzić niezasłużoną karę więzienia. Choć Mawyndulë nienawidził Makarety za to, co zrobiła, pomyślał, że zabije starszego doradcę, jeśli ten ją skrzywdził. Dlatego właśnie ksiązę sądził, że być może kocha Makaretę, i może dlatego wszyscy go okłamywali w sprawie miejsca, w którym aktualnie przebywała.

Podmuch nieśmiertelnego wiatru sprawił, że linki namiotu naprężyły się z głuchym odgłosem.

Mam nadzieję, że paliki zostały wbite głęboko, pomyślał Mawyndulë.

Leżał opatulony wełnianymi kocami, które przykrywała niedźwiedzia skóra. Wystawała spod nich tylko jego głowa i miał wrażenie, że nos mu zdrętwiał. Odgłosy wiatru jeszcze wszystko pogarszały. Książę wprawdzie tego nie czuł, ale wycie wichru zapowiadało przeraźliwe zimno.

Mawyndulë, odpowiedz mi.

Mawyndulë się wzdrygnął. Do tej pory sądził, że przyjemnie jest podsłuchiwać rozmowy prowadzone przez Jerydda oraz pozwalać, by kel zabawiał go opowieściami podczas długiej konnej jazdy. Jednakże kiedy Jerydd wpakował się nieproszony do umysłu księcia w mroku przed świtem, Mawyndulë poczuł, że brutalnie naruszono jego granice. Wiedział wprawdzie, że Jerydd nie słyszy jego myśli, ale i tak nie czuł się już bezpiecznie nawet wewnątrz własnej głowy.

Rozważał możliwość zareagowania milczeniem. Mógłby nawet udać, że chrapie. Rozmyślał właśnie o tym, jakie to byłoby irytujące, kiedy Jerydd przemówił ponownie.

Wiem, że mnie słyszysz. Wiem, że się zbudziłeś. Godzinami słuchałem, jak oddychasz przez sen. Potrafię wychwycić różnicę.

– Owszem, spałem – potwierdził książę.

Pośpisz sobie jutro. Musimy się brać do pracy.

Mawyndulë ziewnął, przetarł oczy, po czym zaczął jęczeć. Miał w zwyczaju robić to często i był przekonany, że niegłośnie, głucho jęki ułatwiają radzenie sobie z życiem.

– Do jakiej pracy?

Liczył, że nie będą to kolejne lekcje. Miał ich serdecznie dosyć. W akademii zmuszano go do powtarzania w nieskończoność nudnych zadań, które sprawiały, że zastanawiał się, czy rzucenie się z balkonu w Talwarze byłoby bardzo bolesne, czy też może lepiej byłoby po prostu umrzeć nagle.

Zabijemy Arion.

Głowa Mawyndulëgo uniosła się z poduszki.

– Jak? Pająki wczoraj próbowały tego dokonać. Nie mogą jej znaleźć. Ukryła się.

Nie zdoła się ukryć przed mocą Avemparthy.

Mawyndulë dzwignął się z posłania, pozwalając, żeby koce się zsunęły, i postawił boscie stopy na ziemi. Zapomniawszy, że namiot nie ma podłogi, wzdrygnął się, czując, jak żdźbła trawy kłują go w podeszwy i laskoczą gołe łydki.

Sądziłem, że Pająki pod wodzą Kasimera poradzą sobie z tym zadaniem, ale ona jest sprytna. Powinienem był to przewidzieć. Czy wiedziałeś, że Feneliusa nazywała ją „Cenzlyor”?

– Czego ode mnie oczekujesz?

Mawyndulë znów przetarł oczy, po czym powiódł dłonią po ogolonej głowie. Wzdrygnął się, czując pod palcami odrastającą szczecinę. Nienawidził włosów. Nie rozumiał, czemu Ferrol pozwolił, by Miralyithowie je mieli. Im dłuższe rosły, tym brudniejszy się czuł, tak jakby zainfekował go świat Rhunów.

Miej świadomość, że nie będzie to wolne od ryzyka.

– Nie obchodzi mnie to. Chcę, żeby zginęła.

To dobrze. W takim razie potrzebuję, żebyś udał się w miejsce, z którego będziesz widział fortecę. Oddal się od obozu i wszystkich, którzy tam przebywają, a zwłaszcza od pozostałych Miralyithów. Wyszukaj dobre, odosobnione miejsce, skąd będzie się roztaczał doskonały widok na całą fortecę, a potem daj mi znać.

– Teraz? Jest środek nocy.

Już prawie ranek, i tak, teraz, w tej chwili. Chciałem to załatwić parę godzin temu, ale sypiasz twardo niczym stary pijak. Musimy przeprowadzić poszukiwania, a to będzie tym łatwiejsze, im mniej bodźców będzie nas rozpraszać. Cisza zwiększa skuteczność polowania. Zatem wstań i...

– Dobrze, już dobrze. Wstaję. Tu nie jest tak jak w twojej wieży, wiesz? Jestem w okropnym namiocie. Tu jest ciemno. Jest zimno. I dmie wiatr, który nie odpuszcza nawet na chwilę.

Strasznie jęczysz. Przypuszczam, że ponieważ jesteś rozpieszczonym dzieckiem władcy, nikt nie waży się powiedzieć ci tego na głos. A powinni.

– Rzeczywiście jestem synem władcy, więc dlaczego ty odważyłeś się mi to powiedzieć?

Ponieważ wiem, że twój ojciec podzielałby moje zdanie.

– Treya! – zawołał książę.

Chwilę później do namiotu weszła jego zaspana pokojówka, przecierając twarz i mrugając. Treya nie była specjalnie urodziwa. Przez większość czasu Mawyndulë nie poświęcał jej uwagi. Była stałym elementem w jego życiu, tak jak buty albo złote rybki, które hodował – zawsze pozostawała gdzieś w tle, ale na co dzień jej nie zauważał. Jednakże nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział Treyę świeżo wywleczoną z posłania. Zawsze wstawiała znacznie wcześniej niż on, a przynajmniej takie odnosił wrażenie. Po raz pierwszy, odkąd był dzieckiem, zobaczył ją potarganą. Włosy, które zawsze nosiła zwinięte na czubku głowy i skryte pod chustą, miała teraz rozpuszczone. Mawyndulë z zaskoczeniem odkrył, że są jasnobrązowe. Zaskoczyło go, że Treya w ogóle ma włosy. To odkrycie nie przydało jej urody w jego oczach. Mawyndulë nie uważał, by włosy wyglądały atrakcyjnie na kimkolwiek, a fryzura Treyi stanowiła w tej chwili obraz nędzy i rozpacz – splątane pasma sterczały na wszystkie strony.

– Moje sandały i płaszcz. Przynieś je i nalej wody do miednicy.

Do namiotu przedostawało się akurat wystarczająco dużo światła gwiazd, żeby Treya nie musiała działać po omacku.

– Czy mam przygotować ci posiłek, panie?

Mawyndulë pokręcił głową. O tak wczesnej porze jego żołądek nie był jeszcze gotowy na przyjęcie pożywienia. Włożywszy sandały i płaszcz, chciał ochlapać twarz wodą, ale zawartość miednicy była zimna jak lód, więc zadowolił się zanurzeniem w niej palców, żeby przetrzeć oczy.

– Wybierasz się na zewnątrz, panie? – zapytała Treya.

– Tak.

– Czy mam pójść z tobą?

Mawyndulë się zawahał, ale zaprzeczył ruchem głowy. Będzie lepiej, jeśli wykona swoje zadanie sam. Poza tym nie był już w stanie patrzeć na jej włosy choćby przez minutę dłużej. Chociaż próbował omijać je spojrzeniem, co chwila widział je kątem oka. Podskakiwały i kiwały się niczym przymocowana do jej głowy upiorna marionetka.

Odchylił kłapę namiotu, żeby spełnić polecenie Jerydda oraz uciec przed Treya. Nie zdawał sobie sprawy, jaki zaduch panował w środku, dopóki nie znalazł się na świeżym powietrzu. Świat na zewnątrz był wilgotny, pełen chłodu i rozbrzmiewał głosami świerszczy oraz żab. Naokoło wznosiły się inne namioty. Porozpalane przed nimi ogniska dawno przygasły do mrugającego żaru.

Wyszedłszy i pozwoliwszy, żeby kłapa opadła z powrotem, Mawyndulë nie wiedział, w którą stronę powinien się udać.

– Latryny są tam, mój książę. – Żołnierz pełniący wartę wskazał południe.

– Yy... Dziękuję.

Mawyndulë nie wiedział, po co to odrzekł oraz dlaczego się odwrócił i ruszył we wskazanym kierunku, ani dlaczego czuł, że powinien zachować swoją eskapadę w sekrecie. Nie robił nic złego, ale miał wrażenie, że owszem, jak najbardziej. Realizował tajną misję, instruowany przez głos we własnej głowie. Niektórzy mogliby to nazwać szaleństwem. Uwaga! Nadchodzi obłąkany książę!

Zanurkował w mrok i skręcił na południe, mijając dwóch kolejnych wartowników, którzy tylko skinęli mu z szacunkiem głowami. Szedł szybko, uważając, by się nie potknąć. Odkrył, że zimno bardzo skutecznie mobilizuje do pośpiechu. Minał latryny i podążył dalej w dół zbocza, opuszczając teren obozu, po czym skręcił na zachód, w kierunku Alon Rhist. W świetle gwiazd widział całkiem dobrze, więc rychło wypatrzył sterczącą z płaskowyzu samotną skałę. Kształtem trochę przypominała zakrzywiony palec. Wyglądało na to, że po jednej stronie na jej wierzchołek wspina się wąska ścieżka.

Gdzie teraz jesteś? Co robisz? – dopytywał się Jerydd.

– Właśnie jem śniadanie z rodziną niedźwiedzi. Są babeczki z marmoladą oraz herbata cynamonowa. Wiesz, niedźwiedzie świetnie radzą sobie w kuchni.

Nie kpij. To poważne przedsięwzięcie.

– Wspinam się na skałę, z której będę miał dobry widok na fortecę. Tego chciałeś, czyż nie?

Znajdujesz się poza obozem?

– Tak, jakieś dwieście, może trzysta jardów dalej.

To dobrze. Daj mi znać, kiedy znajdziesz dogodne miejsce. Ciche miejsce.

Ścieżka okazała się niebezpieczna, eksponowana. Mawyndulë już żałował, że zdecydował się nią pójść. Była wąska, z pionową przepaścią po jednej stronie, a ścianą urwiska po drugiej, i musiał się nią piąć, przytrzymując się obiema rękami. Kiedy dotarł na szczyt skały, nie odczuwał już zimna. Był spocony jak mysz.

– W porządku, jestem na górze.

Masz dobry widok na Alon Rhist?

Mawyndulë popatrzył na zachód, mrużąc oczy. Wspiął się tylko na wysokość mniej więcej sześćdziesięciu stóp, ale miał wrażenie, że roztacza się stamtąd nieskończony widok. W dole było widać cały obóz Fhrejów: rozmieszczone ze schludną precyzją namioty, pomiędzy którymi tu i tam żarzyły się czerwono-pozostałości ognisk.

– Tak. Forteca jest po drugiej stronie kanionu. Mury, wielka kopuła, potężna wieża... No, teraz już nie tak wysoka jak wcześniej, bo straciła wierzchołek.

Usiądź sobie tak, żeby było ci wygodnie. Wyprostuj plecy, skrzyżuj nogi i skup się na Alon Rhist. Postaraj się nie rozpraszać. Skup uwagę na fortecy.

– W porządku.

I postaraj się nie krzyczeć.

– Krzyczeć? Czemu miałbym...

Mawyndulë szarpnął się, gdy poczuł potężne uderzenie mocy. Nie krzyknął. Nie był w stanie. Jedyńm dźwiękiem, jaki zdołał z siebie wydać, był zdławiony pisk, gdy jego umysł i ciało załapała niepowstrzymana siła wieży Avempartha. Miał wrażenie, że napływ mocy zaraz go zatopi. Wszystkie mięśnie zareagowały skurczem, jakby go oblano beczką lodowatej wody.

Zdołał westchnąć słabo, gdy forteca pomknęła ku niemu. W jednej sekundzie już stał przed ogromnymi wrotami z brązu. Były tak blisko, że mógłby ich dotknąć. Potem przefrunął przez nie. Chwilę później znalazł się na dziedzińcu, gdzie stali lub przechadzali się żołnierze – zarówno Rhunowie, jak i Fhrejowie. Mawyndulë nie potrzebował wspinać się po schodach, po prostu pofrunął w górę na drugi, wyżej położony dziedziniec i przeleciał przez koszary, gdzie ludzie właśnie się budzili, ubierali i jedli przy długich stołach lub trzymając miski na

kolanach. Dotarł do wielkiej kopuły i wzniósł się na balkon, z którego można było zajrzeć do położonej niżej ogromnej sali wypełnionej sztukami paradnej broni. Był tam już wcześniej, kiedy odwiedził Alon Rhist razem z Gryndalem. Potem niewidzialna siła porwała go w powietrze – i przefrunął ponad mostem prowadzącym do solidnej kamiennej wieży zbudowanej tuż przed zdekapitowanym Spyrokiem. To był Kyp, forteca wewnątrz forticy. Już zapalano tam lampy. Ludzie się ubierali. Twierdza budziła się do życia, a Mawyndulë poczuł, że kręci mu się w głowie. Znów wzleciał w powietrze i pofrunął, tym razem ku bliżej położonej części Rhistu. Gwałtowne, losowe zmiany kierunku zaczynały go przyprawiać o mdłości, gdy frunął przez liczne komnaty i korytarze, skręcając ostro to w lewo, to w prawo, poszukując...

Znieruchomiał.

* * *

Suri wręczyła Arion kubek parującej herbaty. Siedziały we dwie na szczycie Zmarzłej Wieży. Teraz, gdy Spyrok został zniszczony, to miejsce dawało Suri najlepszą namiastkę przebywania na otwartej przestrzeni. Jedyłą namiastką czegoś w rodzaju poczucia wolności. Zawsze nienawidziła murów, a ostatnimi czasy tkwiła uwięziona za wieloma.

Inna sprawa, że nikt tak naprawdę nie mógł jej powstrzymać. Arion mogłaby podjąć walkę, ale Suri podejrzewała, że gdyby naprawdę chciała się stąd wydostać, to nawet fhrejska mistrzyni nie zdołałaby jej powstrzymać. Mistyczka zdążyła się już przekonać, że niewiele jest rzeczy, których nie potrafi zrobić, jeśli bardzo jej zależy. Ostatni miesiąc jej szkolenia pod okiem Arion polegał nie na odkrywaniu tego, co mogła zrobić, ani na uczeniu się, jak to robić, ale na ustalaniu, co wykracza poza zakres jej umiejętności. Tych rzeczy było niewiele. Zaliczało się do nich frutowanie w powietrzu, a także wskrzeszanie zmarłych – w każdym razie od momentu, gdy wkroczyli do krainy odmiennego światła, do królestwa Phyre. Kolejną niemożliwą rzeczą było tworzenie rozumiane dosłownie: stwarzanie czegoś z niczego. Wszystko to było poza zasięgiem Sztuki... no, w zasadzie. Nic tak naprawdę nie wykraczało całkowicie poza skalę możliwości, jakie dawała Sztuka. Była wszystkim – była tą wspólną nicią, która biegła przez całe dzieło stworzenia, czyniąc je jednością. Wszystko stanowiło część Sztuki, ale niektóre rzeczy, takie jak tworzenie z niczego i wskrzeszanie zmarłych, były tak skomplikowane – wymagały sięgania do tak głębokich strun – że żaden fhrejski ani rhuński Artysta raczej nie zdołałby opanować tych splotów ani kontrolować niezbędnej do tego mocy. To była już domena bogów. Wedle wiedzy Suri największym osiągnięciem śmiertelników w dziedzinie

Sztuki pozostawało stworzenie Balargaratha oraz Gilarabrywna. Nawet te istoty nie były prawdziwe, to znaczy obdarzone życiem. Każda z nich stanowiła emanację mocy spętanej sztucznymi więzami, lecz istniała niezależnie od Artysty: była ożywionym, samowystarczalnym, myślącym bytem, który przypuszczalnie mógł nadal istnieć nawet po śmierci Artysty, który go stworzył. Patrząc z tej perspektywy, osiągnięcia Suri potwierdzały, że mogła być najpotężniejszą Artystką na świecie; przewyższał ją jedynie ten, kto stworzył Balgargaratha. Ten, kto tego dokonał, musiał być najsilniejszym Artystą wszech czasów, tylko nieco słabszym od bogów.

Mimo swej nienawiści do murów Suri pozostawała w fortecy. Zgodziła się zostać na prośbę Arion, która obawiała się, że jeśli mistyczka odejdzie, wydarzy się coś złego. Suri nie potrafiła wyczuć ani wyobrazić sobie, co mogłoby to być. Spędziła całe swe dotychczasowe życie w dziczy, wśród morderczo niebezpiecznych niedźwiedzi i watah głodnych wilków, i to zanim jeszcze nauczyła się zmieniać bieg rzek oraz rozkazywać niebu, by zesłało deszcz. Rozumiała też, że Arion nie chce być sama. Suri znalazła sobie bratnią duszę w osobie drugiego odmienca, jakim był Raithe, ale tu i teraz była wszystkim dla Arion. W ciągu jednego krótkiego roku Artystka stała się dla Suri mentorką, zastępczą matką, potrzebującym jej opieki dzieckiem oraz najlepszą przyjaciółką. Chociaż Fhrejka zdążyła już całkowicie odzyskać sprawność, Suri nadal martwiła się jej zdrowiem i nie była pewna, czy Arion powinna posługiwać się Sztuką – nie ze względu na jakieś utrzymujące się objawy, tylko dlatego, że na jej głowie nadal widniała blizna. Niewielki biały półksiężyc już zawsze będzie przypominał, jak niewiele dzieliło Arion od śmierci.

– To czego mam dzisiaj nie robić? – zapytała Suri, gdy tak spoglądały na budzący się do życia świat znad kubków parującej herbaty.

To była kolejna cudowna cecha Arion: ona też wstawała wczesnym rankiem i lubiła mówić słońcu „dzień dobry”.

– Tego samego co wczoraj. Chyba że wydarzy się coś niezwykłego.

Suri popatrzyła w dół, na obóz Fhrejów, coraz lepiej widoczny w świetle poranka.

– Wczoraj miotali pioruny i kule ognia. Co nazwałabyś niezwykłym?

– Wczoraj jeszcze nie wiedzieli o runach – odrzekła Arion. – Teraz zmieniają taktykę. Spróbuję temu przeciwdziałać. Z tego co mówił Nyphron, przeżyło niewielu Pająków. Myślę, że będę w stanie poradzić sobie z tymi, którzy ocaleli. Nie chcę się przechwalać, ale teraz, gdy Gryndał nie żyje, myślę, że tylko kel Jerydd oraz fane we własnej osobie mogliby mnie pokonać.

– Jesteś Cenzlyor.

– Zgadza się. – Arion upiła łyczek herbaty. – A ty jesteś Cenzlyor wśród Rhunów... yy, ludzi. Przepraszam.

– Co to dokładnie znaczy?

– Kiedy pierwsza osoba, jaka nauczyła się władać Sztuką, nadaje ci przydomek „Bystry Umysł”, implikuje to, że jesteś najlepszym Artystą na świecie. – Arion wzruszyła ramionami. – Szczerze mówiąc, to chyba było po prostu czułe przezwisko, którym obdarzyła mnie Feneliusa i które nie odnosiło się w żaden sposób do moich umiejętności, ale i tak budziło podziw mnóstwa osób.

Suri patrzyła na Arion, która stanęła przy murze i postawiła na nim swój kubek, nadal przytrzymując go obiema dłońmi. Intensywnie błękitne oczy spoglądały na horyzont, jakby Fhrejka dostrzegła tam coś ciekawego. Suri już знаła to spojrzenie.

– Nie wydaje mi się, żeby to było tylko czułe przezwisko – odrzekła.

– Och, serio? Nigdy nie spotkałaś fane Feneliusy, ale potrafisz mi powiedzieć, co myślała?

Suri kiwnęła głową.

– Nie potrzebuję jej znać. Znam ciebie. I widzę to samo, co ona.

– Naprawdę? W porządku, zatem co znaczy ten przydomek?

– „Bystry Umysł”.

Arion się uśmiechnęła.

– No tak, jasne, jeśli rozumieć go dosłownie. Ale to nie oznacza, że jestem najlepszą Artystką. Jak wspomniałam, Lothian jest potężniejszy, podobnie jak kel. Nawet Gryndal...

– Gryndal był potworem.

Arion ani nie pokiwała, ani nie pokręciła głową.

– A gdyby Raithe go nie zabił, byłabym martwa. Ale pozostaje pytanie, czemu Feneliusa uznała za stosowne tak mnie nazwać? Ewidentnie nie dlatego, że byłam najlepszą Artystką.

Suri posłała jej zafrapowane spojrzenie.

– To nie ma nic wspólnego z byciem Artystą. W ogóle nie odnosiła się do twojej biegłości w Sztuce. Opisała ciebie. Ja widzę to samo. Bardzo przypominasz Turę. I Megdę też. Myślę, że Feneliusa przezwiała cię „Cenzlyor”, bo uważała, że jesteś mądra. To dlatego chciała, żebyś uczyła księcia. Nie po to, żeby wpoić mu sztukę magii, ale żeby wpoić mu mądrość.

Arion zagapiła się na Suri w zdumieniu. Potem na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Coś mi się zdaje, że nie jestem tu jedyną mądrą osobą. Wiesz co? Naprawdę jesteś Cenz... – Nagle popatrzyła z niepokojem na wschód. –

Mawyndulë?

Suri poczuła, jak jeżą jej się włoski na karku. Chciała uaktywnić czar tarczy, ale zanim zdążyła to zrobić, Arion odepchnęła ją w tył z niewiarygodną siłą. Suri potknęła się i spadła ze schodów, boleśnie objając sobie łokcie. Stoczyła się kilkanaście stopni w dół, nim znieruchomiała.

– Co to... – zaczęła mówić, i w tej samej chwili oślepił ją jaskrawy rozbłysk, a cała górna część wieży eksplodowała.

Suri poczuła żar i usłyszała skwierczenie. To nie był ogień ani uderzenie pioruna. To była pierwotna, naga siła, skoncentrowana i niszczyielska. Kamienie rozpadły się na proch, drewno zajęło się ogniem. Zniknęła cała najwyższa kondygnacja wieży, w tym izba, w której przed momentem piły herbatę, a Suri kuliła się teraz na schodach. Przez sekundę obawiała się najgorszego, a potem spostrzegła Arion. Fhrejka leżała bezwładnie na trzech stopniach. Miała otwarte oczy, ale się nie poruszała.

Nie ruszała się!

Suri wiedziała, że powinna czym prędzej biec na dół, by skryć się w pomieszczeniu chronionym przez runy, ale dotarło do niej, że Arion chyba nie oddycha. Była...

Suri popatrzyła w dół z miejsca, które teraz było nowym szczytem wieży. Sztuka generowała echa, tak jak łabędź zostawia za sobą smugę na gładkiej tafli wody. Tak ogromny wybuch pozostawił wyraźną ścieżkę. Trop prowadził do Skały Udręki. Targana smutkiem i wściekłością Suri podniosła dłoń i wypowiedziała jedno jedyne słowo. Nie było owocem lekcji ani rozmyślań. To nawet nie było słowo, które znała. Zadziałała instynktownie, bez zastanowienia. Jak w Neithu.

Moc, pomyślała. I rąbnęła.

Wybuch rozerwał Skałę Udręki.

Suri odniosła wrażenie, że przez moment słyszała krzyk lub wrzask. Nie uszami. Doleciał do niej tym samym torem co atak, który rozwalił wieżę.

Czekała.

Nic.

Sięgnęła umysłem w przestrzeń, po omacku poszukując źródła mocy. Wytropienie kogoś tak potężnego powinno być łatwe. Nie było. Źródło już uległo rozproszeniu – lub ten, kto dokonał ataku, był martwy. Walka dobiegła końca.

Z przeciwległego brzegu Wielkiego Mostu doleciał dźwięk rogów. Rozpoczął się drugi dzień bitwy, ale Suri to nie obchodziło. Podbiegła do Arion, która nadal leżała tam, gdzie upadła.

– Arion!

Żadnego ruchu czy choćby drgnienia. Brak oddechu.

– Nie!

Suri zaczęła śpiewać, zanim dotarła do Arion. Tym razem wiedziała, czego oczekiwać. Kopniakiem otworzyła drzwi prowadzące do świata duchów i wskoczyła. Zanurkowała z głową w tamtej straszliwej rzece, ciemnej i zimnej. Płynęła w poszukiwaniu Arion, wykrzykując jej imię.

Arion! Arion! Jestem tu! Ocalę cię. Trzymaj się, błagam! Już idę!

Wykrzyczane słowa trafiały w pustkę.

Arion zniknęła.

Rzeka była pusta. Nic nie mąciło ciemnej wody.

Przyjaciółkę Suri już porwał czarny nurt.

* * *

Mawyndulë omal się nie zabił, zbiegając z tego, co pozostało ze skały. Ścieżka trawersująca ścianę urwiska nie nadawała się do tego, by nią biegać, a co dopiero gnać w panice. Teraz w dodatku zaścielał ją rumosz. Książę poślizgnął się trzykrotnie, nim zdołał dotrzeć na dół, i stłukł sobie kolano tak boleśnie, że w oczach stanęły mu łzy. Pędził na oślep w duszącej chmurze kurzu pozostałej po eksplozji, która – jak się zdawało – wyrwała dziurę w osnowie świata.

– Co to było?! – krzyknął Mawyndulë, gdy już znalazł się na płaskim terenie. Nie był wprawnym biegaczem, więc dyszał ciężko, czując kłucie w płucach. Serce waliło mu jak młotem, ale nie przystawał. Wiedział, że musi znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. – Myślałem, żeśmy ją zabili!

Milczenie.

– Jerydd? Jerydd, odpowiedz mi!

Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

Którego słowa nie zrozumiałeś?

– Zachowujesz się tak, jakbyś pozjadał wszystkie rozumy, a tymczasem omal nie zginąłem tam, na górze.

Mówiłem ci o możliwym ryzyku.

– Ale zabiliśmy ją. Widziałem, jak umiera.

Tak. Jest martwa.

– Czy naszykowała jakąś pułapkę? Jakiś czar obronny, który uaktywnił się, gdy zginęła?

Nie. Nie ma takiej możliwości.

– Więc co się stało?

Arion nie była sama. Towarzyszyła jej jeszcze jedna osoba.

– Jakaś Rhunka. Nie mogła...

Raptem Mawyndulë przypomniał sobie śmierć Gryndala. To, jak Arion stanęła w obronie Rhunki i rzekła: „Suri posługuje się Sztuką”.

Czego nie mogła? Czemu zamilkłeś? O czym rozmyślasz?

– Ta Rhunka – powiedział Mawyndulë. – Ta Rhunka włada Sztuką.

To niemożliwe.

– Widziałem ją już wcześniej, kiedy towarzyszyłem Gryndalowi. Oparła się jego zaklęciu milczenia. Ma talent.

Talent to jedno; jakiś zasób wrodzonych zdolności to jedno, ale przed chwilą omal nie rąbnęła w nas taka dawka pierwotnej mocy, że zastanawiałem się, czy Avempartha nie ma przypadkiem siostry!

– Ja omal nie zostałem trafiony. Nie my, ja! Omal nie zginąłem!

Żyjesz. Już po wszystkim. Przestań histeryzować.

– Histeryzować? Którego słowa w zdaniu „omal nie zginąłem” nie rozumiesz?

Jesteś na wojnie, nie na herbatce u cioci, i sam chciałeś tu przybyć.

– Jestem księciem, a nie pospolitym żołnierzem.

Dziwnym trafem śmierć nie rozróżnia rang. To każe się zastanawiać nad wartością takich przywilejów, czyż nie?

– Ja tu nadal biegnę... a w każdym razie bardzo szybko idę... żeby wydostać się ze strefy zagrożenia życia. Czy możesz trzymać się tematu? Co to oznacza, jeśli mam rację i ten wybuch spowodowała Rhunka?

Nastąpiła bardzo długa pauza. Potem – akurat w chwili, gdy Mawyndulë wkroczył z powrotem w obręb obozu, mijając zewnętrzny pierścień wart – usłyszał w głowie głos Jerydda.

Jeśli tak, to Taraneh ma więcej racji, niż sam przypuszcza.

Rozdział dwudziesty piąty

Sztuka wojenna

Najlepsze podsumowanie tamtego dnia, na jakie mnie stać, to że na moich oczach nastąpił wówczas koniec świata, ale miałam dość czasu, żeby zrobić notatki – tak bowiem właśnie było.

Księga Brin

W kuźni znajdowała się prycza, był tam dostęp do wody i wystarczająco dużo narzędzi, żeby wykonać dowolne zadanie. Pracowało się tu lepiej niż w chacie Roan w dahlu Rhen. W kuźni było więcej miejsca, wygodne stanowisko robocze, kowadło, koryto, stał też stół roboczy z mnóstwem poręcznych przyborów. Nie było za to duchów. Roan szczególnie ceniła sobie to ostatnie. Noga Ivera nigdy tutaj nie powstała i nic w Alon Rhist nie przypominało jej o dawnym panu. Mimo to Roan nadal nie sypiała na pryczy. To posłanie służyło głównie do tego, żeby stwarzać pozory – ugięła się przed naleganiami Gifforda i karłów. Nigdy nie kładła się tam świadomie. Pracowała do upadłego, po czym zapadała w sen tam, gdzie akurat legła. Na szczęście jak dotąd nie zdarzyło jej się zasnąć przy kowadle. Zawsze budziła się na pryczy. To karły ją tam kładły, twierdząc, że im zawadza. Kilka razy nawet im uwierzyła. Potem dotarło do niej, że zawsze budzi się starannie przykryta kocem i bez butów.

Cała ich czwórka – ludzie mówili o nich „panna kowal z ekipą”, „dama i trzy karły”, a najczęściej po prostu „ona i oni” – zżyła się ze sobą. Wszyscy byli wściekle pracowici, skupieni na swoich obowiązkach i raczej małomówni, ale to nie znaczyło, że nie rozumieli się nawzajem. Komunikowali się zazwyczaj mruknięciami lub gestami. Wskazujący ruch głową oznaczał „dosyp węgla”,

a skinienie „dmij”. Karły sypiały równie rzadko jak Roan – nie dlatego, że nie lubiły spać, ale dlatego, że jeśli ona pracowała, to oni też.

Praca była niewiarygodnie ciężka i pochłaniała ich bez reszty, ale nawet to nie wystarczyło. W przeszłości Roan musiała wypychać z pamięci jedynie Ivera, a bezustanna harówka zazwyczaj wystarczyła, żeby osiągnąć ten cel. Teraz od dłuższego czasu nie myślała o starym snycerzu, ale nie z powodu zapracowania. Roan od dwóch dni nawet nie dotknęła młota, któremu nadała miano Łomotnik Ciężki i przysięgała, że stylisko już idealnie dopasowało się do jej dłoni. Odkąd Gifford opuścił twierdzę, ani razu nie dołożyła węgla do paleniska ani nie wypolerowała gotowego wyrobu. Głównie siedziała w kącie, trzymając w ręku kostur, który garncarz tu zostawił. Dużą część tych dwóch dób spędziła, płacząc, a przez resztę czasu szarpała się za włosy, obgryzała paznokcie lub po prostu kiwała się w miejscu.

Roan spędziła większą część swojego życia, dygocząc ze strachu. Przerazenie w pewnym sensie stało się dla niej źródłem oparcia. Nie nazwałaby go przyjacielem, ale z pewnością było wiernym towarzyszem. Wraz ze śmiercią Ivera wszystko się zmieniło. Teraz trwała wojna, ale dla Roan wojna była równie bezosobowa i odległa jak obawa przed klęską głodu czy chorobami. Takie kwestie wydawały się nieistotne, gdy tkwiła uwięziona w chacie z ogromnym mężczyzną, dla którego tortury stanowiły źródło rozrywki. Po jego śmierci poczuła się tak, jakby pozbawiono ją połowy życia. Jakaś jej część zniknęła bezpowrotnie, a pustkę po tym strachu wypełniło poczucie winy.

Zabiła Ivera. Jej umysł nie akceptował żadnych prób usprawiedliwiania tego czynu, bez względu na to, po jakie argumenty usiłowała sięgać. Z tego ziarna wykiełkowały myśli, że z pewnością to ona dopomogła mu stać się tym, czym był. Iver nigdy nie wykazywał się okrucieństwem w stosunku do innych. Pozostali mieszkańcy dahlu go uwielbiali. Czyli winą musiała leżeć po stronie Roan. To ona prowokowała drzemiące w jego wnętrzu zło. A skoro działała tak na Ivera, mogła tak działać i na innych.

„Staniesz się przekleństwem każdego, komu zaczniesz na tobie zależeć. Oto czym jesteś, Roan. Tak właśnie. Przekleństwem. I zasługujesz na to, co z tobą zrobię...”.

Potem, gdy już zaczynała myśleć, że może jednak będzie w stanie żyć dalej bez ściskającego za gardło niepokoju, który sprawiał, że miała ochotę walić Łomotnikiem na oślep aż do utraty przytomności, strach powrócił. Jednak tym razem w innej postaci.

Stojąc na blankach, patrzyła, jak Gifford przejeżdża przez most i obóz Fhrejów. Modliła się do wszystkich bogów, jacy istnieli – a także do kilku, których sama wymyśliła – żeby go ochronili. A potem zniknął w oddali. Chociaż

codzienny strach przed fizycznym bólem zapamiętała jako koszmar, zamartwianie się o Gifforda było jeszcze gorsze. W przypadku Ivera mogła podejmować czynności zaradcze. Nie zawsze zachowywał się przewidywalnie, ale przez większość czasu Roan potrafiła unikać prawdziwych kłopotów. Wiedziała, że musi utrzymywać porządek w chacie, wiedziała też, których przedmiotów nie wolno jej ruszać; wiedziała, że nie może się odzywać niepytana, ale musi szybko zjawiać się na zawołanie; i że nigdy, przenigdy nie wolno jej zasłaniać się przed ciosami, bo wtedy Iver tylko zbije ją mocniej. A kiedy spał, mogła się odprężyć i oddychać swobodnie. Teraz nie mogła zrobić kompletnie nic, żeby pomóc Giffordowi, i nie było ani chwili wytchnienia, żadnej ulgi od przytłaczającego strachu, że może garncarz już nie żyje, a jeśli tak...

Jeden plus jeden równa się dwa, dwa plus dwa równa się cztery, cztery plus cztery równa się osiem...

Nie przestawała liczyć. Liczby odwracały jej uwagę, pozwalały skupić myśli na czymś bezpiecznym. Ilekroć się rozpraszała, zaczynała poszukiwać rozwiązania problemu. Nękał ją dylemat, w jaki sposób powinna zakończyć swoje życie. Miała do dyspozycji ogromną gamę możliwości i wybranie optymalnego rozwiązania nie było tak łatwe, jak mogłoby się wydawać. Jednakże Roan nie miała wątpliwości, że jeśli w czymkolwiek jest dobra, to w rozwiązywaniu problemów. Wymyśliła już tuzin doskonałych metod. Najlepsza byłaby trucizna, nawet jeśli nie udało jej się jeszcze opracować optymalnej receptury. Musiała tylko...

Osiem plus osiem równa się szesnaście, szesnaście plus szesnaście równa się trzydzieści dwa, trzydzieści dwa plus trzydzieści dwa równa się...

Kuźnią targnął wstrząs, wzbijając pył. Wszystkie trzy karły zamarły z młotami w rękach, patrząc na siebie. Chwilę później budynek zadygotał od drugiego wstrząsu, a Roan i jej trzej towarzysze wybiegli na dziedziniec w samą porę, by ujrzeć, jak część Zmarzłej Wieży wali się w gruzy.

Ogromne kamienne bloki, ścięte pod kątem, po prostu osunęły się i spadły – w większości poza zewnętrzny mur twierdzy, ale kilka zważyło się z hukiem na dziedziniec i potoczyło po ubitej ziemi. Jeden z trzaskiem przebił dach drewni, wyrzucając w powietrze stertę porąbanych drew.

Na zewnątrz wybiegł tłum mieszkańców, wszyscy w nocnych koszulach. Ich widok w pierwszej chwili przyprawił Roan o konfuzję, dopóki nie dotarło do niej, że jest bardzo wcześnie. Niebo rozjaśniała zaledwie zapowiedź nadchodzącego świtu.

– Co się dzieje? – zapytał ktoś.

Nikt nie odpowiedział.

Roan odgadła, że to była magia. Widziała to już wcześniej i doszła do wniosku, że czary funkcjonują na innych zasadach aniżeli liny, wielokrążki i koła. Zaczynała się zastanawiać, czy magia nie rządzi się po prostu odmiennym zestawem metod. Ludzie sądzili, że wykonane przez Roan łuki i strzały są magiczne. Może ilekroć nie rozumieli, jak coś działa, nazywali to magią. Może gdyby Roan zaczęła ją studiować, odkryłaby, jak działają czary i jak można ujarzmić tę moc w praktyczny, wykalkulowany sposób. Jakież to byłoby cudowne, gdyby każdy mógł jednym przesunięciem dźwigni oświetlić domostwo magicznym światłem.

– Roan! – wykrzyknęła Padera. Przykuśtykała bliżej, wskazując uszkodzoną wieżę. – Bierz swoją torbę i chodź ze mną. Ale już!

Roan sięgnęła po niedużą torbę, którą – zainspirowana swoim pomysłem z kieszeniami – naszykowała i przechowywała pod ręką, żeby w razie konieczności nie musieć w panice szukać przyborów potrzebnych do udzielenia pomocy komuś lub sobie. Wewnątrz znajdowały się: igła i nici, sznurek, linka, krótki, ale solidny patyk, sól, czyste płótno pocięte na paski oraz kwadraty, maleńka bryłka czystego srebra, kora wierzbowa, noże jej własnego wyrobu o rękojeściach okręconych sznurkiem, mały młotek – ten nazywał się Łomotnik Lekki – kubek oraz niewielka piła. Roan chwyciła ten spoczywający w kącie kuźni niezbędnik i pobiegła za Paderą.

– Arion i Suri były na wieży – oznajmiła staruszka, gdy śpieszyły przez dziedziniec.

Przed Zmarzłą Wieżą stała mała grupka mężczyzn zaglądających do środka przez uchylone drzwi. Roan i Padera przepchnęły się obok nich. Potem Padera zatrzymała się i skrzywiła na widok stromych schodów.

– Ty idź, ja poczekam tutaj.

Roan wspięła się po strzaskanych pozostałościach spiralnych schodów. Rychło natrafiła na leżące obok siebie bezwładne ciała Suri i Arion.

– Arion?! Suri?! – krzyknęła stojąca u podnóża schodów Padera. – Nie żyją?!

– No, wyglądają... źle – odrzekła Roan. Przysunęła się bliżej i nachyliła nad leżącymi. – Suri wciąż oddycha. Arion nie. Tak, Arion jest... Arion jest... – Nie chciała tego mówić na głos.

– A co z Suri?

Roan potrząsnęła mistyczkę za ramię.

– Suri? – Dziewczyna nie zareagowała. – Nie widać żadnych ran, ale się nie budzi.

– Niech ją szlag – zaklęła staruszka. – Znów tego próbowała.

– Czego próbowała?

Roan już nie słuchała Padery. Gapiła się na Arion, która leżała na wznak w nienaturalnej pozycji. Jej oczy pozostały otwarte i wpatrywały się w niebo widoczne tam, gdzie jeszcze niedawno znajdował się wierzchołek wieży. Fhrejka liczyła sobie tysiące lat, była łyśa i była bezsprzecznie najpiękniejszą istotą, jaką Roan kiedykolwiek widziała. Nawet po śmierci, w tej niezgrabnej pozycji. Roan wyciągnęła rękę i zamknęła oczy Arion. Tak było lepiej. Teraz Fhrejka wyglądała jak pogrążona we śnie.

– Wy tam! – krzyknęła Padera rwącym się głosem. – Wejdźcie na górę i znieście je na dół. Zanieście je do kuźni.

– Czy to bezpieczne? – zapytał ktoś.

– Bezpieczniejsze niż niezrobienie tego, co mówię! No już, włączcie tam obaj!

Roan rozpoznała dwóch mężczyzn, którzy wspięli się po schodach. Nazywali się chyba Glen i Hobart lub Hubert. Byli z klanu Menahan, poznała to od razu po płaszczach tkanych w charakterystyczny, soczyście niebiesko-zielono-żółty wzór. Podeszli do dwóch Artystek. Mieli przerażone miny.

– Po prostu ją podnieście! Nie ugryzie was! – krzyknęła z dołu Padera, jakby ich widziała.

Dwaj mężczyźni popatrzyli błagalnie na Roan w poszukiwaniu otuchy lub przynajmniej współczucia.

Skinęła głową, nie wiedząc, czy jej aprobatą coś tu pomoże.

Zarówno Suri, jak i Arion były drobnej budowy, więc dwaj mężczyźni znieśli je po schodach bez najmniejszego problemu, trzymając je jak niemowlęta, z głowami przy piersi. Kiedy opuścili wieżę i szli przez dziedziniec w stronę kuźni, dzwony znów się rozdzwoniły. Zaczynał się drugi dzień wojny.

* * *

Persefona po raz kolejny przeklęła swój poraniony brzuch, łóżko, raowa i wszystko inne, co przyszło jej na myśl, gdy usiłowała usiąść i przypłaciła to cierpieniem. Kłujący ból przeszył ją od jelit aż po palce u nóg.

– Nie wiemy, co dokładnie się stało – oznajmił młodzieniec. Miał na imię Aland i był żołnierzem w Trzeciej Włóczni, gdzie służyli członkowie klanu Melen pod dowództwem Harkona. Ponieważ był młody, niski i chudy, uczyniono go posłańcem i stał się dla Persefony oficjalnym głosem tej wojny. – Doniesiono mi o rozbłyskach w pobliżu północnej wieży, o eksplozjach i...

– I co?

– Wierzchołek wieży został rozerwany, zburzony, tak jak w przypadku Spyroku.

– Ilu jest rannych? Ilu zabitych?

– Yy... Wydaje mi się, że dwie osoby. Jedna Fhrejka i jedna rhuńska dziewczyna.

Persefona, Moya i Brin popatrzyły na siebie.

– No dobrze, i co z nimi? Są ranne czy martwe? Chcesz powiedzieć, że Suri i Arion są... Żyją?

– Nie znam ich imion, ale jedna nie żyje, a drugiej nie można obudzić.

W oczach Brin już wzbierały łzy, Moya zaś stała bez ruchu, zaciskając zęby.

– Coś jeszcze? – zapytała Persefona, zwracając się do młodzieńca, który stał na baczność w nogach jej łóżka.

– Tylko jedno: żołnierze zgromadzili się przed wrotami, a łucznikom rozkazano udać się na mury. Lord Nyphron postanowił, że nie wyśle ich dziś do bitwy.

– A fhrejska armia?

– Ustawiła się w szyku po tamtej stronie mostu, ale jeszcze nie ruszyli do ataku.

– W porządku. Zdobądź dla mnie więcej informacji o dwóch osobach, które ucierpiały w północnej wieży.

Młodzieniec ruszył do drzwi, po czym przystanął.

– Czy życzysz sobie, pani, żebym powiedział lordowi Nyphronowi, że chcesz się z nim widzieć?

– Nyphronowi? – Persefona pokręciła głową. – Nie.

Brin przeszła przez komnatę. Nadal trzymała kubek z wodą, o którego przyniesienie poprosiła ją Persefona, zanim wszedł Aland. Dłonie Brin drżały, wprawiając zawartość kubka w falowanie.

– Suri i Arion? – Popatrzyła na naczynie. Persefona wzięła je od niej. – Jak sądzisz, co się stało?

Persefona pokręciła głową. Seria bolesnych prób i błędów nauczyła ją, żeby nie wzruszać ramionami.

– Powinam iść – oznajmiła Moya.

Persefona skinęła głową.

– Przyślę znowu kogoś do pilnowania drzwi.

– W porządku.

Moya zawahała się, patrząc na nią.

– To się nie kończy. To się po prostu nie kończy, prawda? – Potem piękna, wielkooka kobieta z łukiem zwanym Audrey opuściła komnatę.

* * *

– Ty ją zabiłeś? – zapytał po raz drugi fane.

Mawyndulë potaknął, rozczarowany, że ojciec położył taki nacisk na słowo „ty”.

– Jesteś pewien? Skąd to wiesz?

– Widziałem ją.

– Widziałeś ją? – Ojciec nadal znajdował się w swoim namiocie. Stał w blasku trzech kandelabrow, a dwaj służący nakładali mu zbroję. Słońce wschodziło, ale było zbyt słabe i wznosiło się zbyt powoli, żeby oświetlić wnętrze namiotu. – Jak mogłeś ją widzieć?

Powiedz mu prawdę. Nie uwierz w kłamstwo, a prędzej czy później i tak odkryje, jak było.

– Pomógł mi kel Jerydd. Wykorzystuje moc Avemparthy.

Od początku bitwy Synne stale wypatrywała możliwych zagrożeń, ale teraz znieruchomiała, gapiąc się na księcia. Nawet służący przerwali swoje działania, żeby spojrzeć na niego. Lothian uniósł brwi.

– Zanim stamtąd odjechalismy, nauczył mnie, jak z nim rozmawiać na odległość.

– Pozostajesz w kontakcie z Jeryddem? – zapytał ojciec.

– Tak.

Fane nadal wpatrywał się w Mawyndulëgo, próbując przetrwać te informacje. Potem zaczął się przechadzać po namiocie, pogrążony w głębokim namyśle. Służący podążali za nim, usiłując dokończyć swoje zadanie. Sile, który znalazł się niechcący na drodze fane’a, musiał się cofnąć, wciskając swoje masywne cielsko w ścianę namiotu. Jeszcze krok, a mógłby doprowadzić do zawalenia się całej konstrukcji.

– Czyli ta eksplozja to był Jerydd, który skanalizował moc Avemparthy za twoim pośrednictwem?

Mawyndulë kiwnął głową, po czym dodał szybko:

– Tak, i omal nie zginąłem.

Ojciec nadal przechadzał się w kółko, a służący podążali jego śladem. Nie dał żadnego znaku, że usłyszał słowa syna. Potem przystanął.

– Zapytaj Jerydda, czy może zrobić więcej.

Mogę zrobić wszystko, czego mój fane sobie zażyczy.

– Tak, może – odrzekł Mawyndulë.

– To dobrze. Doskonale. Chodź ze mną. – Fane wyszedł z namiotu.

Oficerowie oddziału Shahdich – żołnierzy z Erivanu – zebrali się wokół fragmentu odsłoniętej skały, gdzie płonęło niewielkie ognisko. Wszyscy mieli na sobie pełne zbroje z brązu, a także błękitne płaszcze oraz hełmy przyozdobione pękami końskiego włosia zafarbowanymi na barwy poszczególnych regimentów. Jedni byli wysocy, inni niscy, większość w zaawansowanym wieku.

– Panie! – krzyknęli wszyscy, stając na baczność, gdy fane podszedł bliżej, i robiąc miejsce przy ogniu dla jego świty.

Kilku zerknęło w stronę Synne. Większość została jej przedstawiona w tradycyjny sposób. W efekcie wszyscy pilnowali się, by w obecności fane'a nie wykonywać żadnych gwałtownych ruchów.

– Zbierzcie wojsko, ale nie ruszajcie do ataku – rozkazał ojciec Mawyndulëgo. – Dzisiaj podejmiemy do sprawy nieco inaczej.

Powiedz mu o tej drugiej, o Rhunce.

– Tamci mają jeszcze jedną Artystkę, która wciąż żyje – oznajmił Mawyndulë.

Fane popatrzył na niego, zbity z tropu. Mawyndulëmu podobało się, że ojciec wreszcie słucha jego wypowiedzi, słucha z autentycznym zainteresowaniem, ale miał wrażenie, że Lothianowi bardziej zależy na tym, żeby słyszeć słowa Jerydda niż własnego syna.

– W Alon Rhist przebywa rhuńska Artystka.

Ojciec miał zaintrygowaną minę.

– Powiedziałeś: Rhunka?

– Sądzymy, że jest nieprawdopodobnie silna. – Przezornie użył słowa „my”, wiedząc, że ojciec zignoruje jakiegokolwiek jego własne spekulacje.

Wcale nie jest aż tak silna. Po prostu mnie zaskoczyła. Teraz, kiedy już wiem o jej istnieniu, to zmienia postać rzeczy.

– Rhunka? Jak to możliwe?

Mawyndulë wzruszył ramionami w imieniu własnym oraz kela.

– Czy Jerydd sądzi, że jest w stanie ją pokonać?

Żaden problem.

Mawyndulë pokiwał głową.

– No dobrze. – Fane zaczął własnoręcznie dopinać sprzączki mocujące jego napierśnik. – Powiedz Jeryddowi, żeby rozgrzał wieżę. Wyrzadzimy dzisiaj trochę szkód.

* * *

Moya dotarła na blanki ponad główną bramą twierdzy. Stali tam jej łucznicy, a pomiędzy nimi Tesh.

– Czy powinieneś tutaj być? – zapytała.

– Raithe nie powiedział, że nie mogę.

– Nie spytałeś go.

– Tego nie wiesz – odrzekł dzieciak, poprawiając przewieszony przez plecy kołczan ze strzałami.

Miał ich dwadzieścia, może dwadzieścia pięć – okazały bukiet białych, czarnych i szarych lotek. Pozostali łucznicy dysponowali podobną liczbą strzał. Moya przypomniała sobie, jak walczyła z demonem, mając tylko sześć, i to wyposażonych w kamienne groty. Teraz wszystkie groty były z żelaza, a każda strzała miała na drugim końcu trzy lotki, tak rozmieszczone, żeby nadawać jej idealny tor lotu. I nikt nie wiedział, skąd w zasadzie wzięło się słowo „strzała”. Może pewnego dnia się dowiedzą, jeśli ktoś z nich nauczy się czytać zapiski Brin.

Po drugiej stronie mostu widziała fhrejską armię. Ależ mają idealnie proste szeregi, pomyślała.

– Nie strzelać bez rozkazu! – zawołała. Komendę natychmiast przekazano dalej, by wszyscy usłyszeli. – Czekaście na mój sygnał.

– Co u Brin? – zapytał Tesh.

– Wiesz, gdybyś nie stał tutaj ze mną, mógłbyś pójść na górę do Kypu i sam ją zapytać.

– Ale wtedy nie mógłbym zabijać elfów.

Moya ujęła łuk, nałożyła cięciwę, po czym zerknęła z ukosa na chłopaka.

– Nienawidzisz ich, prawda?

– A ty nie? Wymordowali moją rodzinę, całą moją wioskę, cały klan. Chcę tylko się odwdziaczyć.

– Wiesz, mieszkamy tu pospołu z nimi. Ja nawet... tak jakby jestem z jednym z nich. – Nie wiedziała, jak inaczej to ująć. – Ale nie powtarzaj tego. Nawet jemu.

– Z Tekchinem?

– Tak, z tym brzydalem. – Sprawdziła, czy cięciwa prawidłowo się napina. – Nie wszyscy są źli.

Złowiła spojrzenie Tesha, które nie miało nic wspólnego ze wzrokiem dziecka. Zbyt zimne, zbyt twarde, zbyt bezlitosne. Całkowicie pozbawione niewinności.

– Daj spokój, nawet ty musisz się z tym zgadzać w jakimś stopniu. Uratowałeś życie Nyphronowi.

Znów to spojrzenie. Tesh przetaił twarz, z powrotem przybierając neutralną minę. Nic nie odrzekł, ale w jego oczach Moya spostrzegła coś, co starał się ukryć, coś mrocznego – straszliwy, bezlitosny głód, który nigdy nie powinien pojawić się na twarzy mężczyzny, a co dopiero chłopca. Na sekundę Tesh skojarzył się Moyi z raowem. Mieli ten sam wygłodniały wzrok. Moya po raz pierwszy poczuła strach przed tym podrostkiem, którego nauczyła zabijać z daleka.

Wciąż wpatrywała się w niego, kiedy świat zaczął się trząść.

* * *

Suri leżała na pryczy okryta kocem po szyję. Padera nasłuchiwała bicia jej serca, a na palenisku gotował się odwar z wierzbowej kory. Początkowo w kuźni znajdowały się tylko Roan i Padera. Mróz, Powódź i Deszcz czekali na zewnątrz, razem z resztą tłumu, ale wrócili do środka, kiedy Roan poprosiła ich o dokładanie do ognia. Wraz z nimi weszła Tressa. To ona przyniosła w wiadrze wodę potrzebną do zagotowania odwaru.

Roan dorastała trzy domy od Tressy. Jej najwcześniejszym wspomnieniem związanym z tą kobietą były wesołe biesiady odbywające się w domostwie Tressy; w każdym razie brzmiało to jak radosne biesiadowanie. Roan do późna w nocy nasłuchiwała dobiegających stamtąd śpiewów i śmiechu. Zwykła leżeć bezsennie, wyobrażając sobie, jakie to byłoby uczucie tak się śmiać. Nigdy jej tam nie zapraszano. Tressa nie należała do osób, które będą się spoufalać z niewolnicą snycerza, tak jak robili to Moya, Padera, Brin lub Gifford. Roan zawsze zastanawiała się dlaczego – nie dlaczego Tressa ignorowała jej istnienie, ale dlaczego Moya, Padera, Brin i Gifford nie brali z niej przykładu.

Wszyscy nienawidzili Tressy, odkąd jej małżonek – pchany ambicją, by zostać wodzem – zabił Reglana oraz próbował zabić Persefonę. Tressa stanowczo zaprzeczała, jakoby знаła plany męża, ale nikt jej nie wierzył. Moya nią gardziła. Brin też jej nie cierpiała, w związku z czym Roan miała poczucie, że powinna żywić podobne uczucia, ale tak nie było. Roan rozumiała, jak to jest być wyrzutkiem, być tym, kto się nie liczy. W efekcie Roan uśmiechnęła się do Tressy, choć Padera posłała wdowie wrogie spojrzenie.

Tressa się cofnęła.

– A ty czego się szczerzysz?

– Dziękuję, że przyniosłaś wodę.

– Nie przyniosłam jej dla ciebie, tylko dla niej. – Tressa wskazała Suri.

– Odkąd robisz cokolwiek dla kogokolwiek innego niż ty sama? – zapytała Padera.

– A co cię to obchodzi? Potrzebowałam tej wody, zgadza się? Potrzebowałam jej na swoje wiedźmie dekokty, więc proszę, masz.

– W porządku – odrzekła Padera. – A teraz wyjdź.

Tressa zmarszczyła brwi i skierowała się w stronę wyjścia.

– Nie musi stąd iść – powiedziała Roan.

– Ale nie musi też zostawać. – Padera wypłukała w wiadrze złożony kilkakrotnie kawałek płótna.

– To moja kuźnia. – Roan przemówiła z niezwykłą dla siebie stanowczością.

Jej reakcja sprawiła, że Padera rzuciła jej spojrzenie z ukosa, mrużąc oczy, Tressa zaś popatrzyła z niedowierzaniem.

– To nie jest twoja kuźnia – oznajmiła. – Wszystko tutaj należy do Fhrejów.

– A obecnie do Persefony. – Padera położyła mokre płótno na czole Suri. – Pamiętasz Persefonę, prawda, Tresso? To ta, którą ty i twój mąż...

– Nie obchodzi mnie, czyja to kuźnia – oznajmiła Roan, podnosząc głos. – Ona! Może! Zostać!

Padera, Tressa, a nawet trzy karły – wszyscy obejrzeni się na nią w zdumieniu.

Staruszka już bez słowa wróciła do ocierania twarzy Suri. Tressa gapiła się na Roan jeszcze przez moment. Przesunęła językiem po zębach, po czym cmoknęła, jakby coś jej utkwilo pomiędzy nimi. Wreszcie wciągnęła nosem powietrze i nieznacznie skinęła głową.

– Dzięki.

Właśnie wtedy Roan poczuła lekki zawrót głowy. Czasem zdarzało jej się to, kiedy zbyt długo nie jadła lub nie spała, ale kiedy spostrzegła, że na wodzie w wiadrze tworzą się drobne falki, uświadomiła sobie, że przyczyną tego uczucia nie jest jej własny stan. Chwilę później narzędzia zwieszające się z belek sufitu zaczęły pobrzękiwać. Z góry posypał się pył, a pobrzękiwanie przybrało na sile.

Do kuźni wbiegł Malcolm. Popatrzył na Suri, a potem na resztę obecnych.

– Musimy ją obudzić, i to szybko.

* * *

Raithe leżał na swojej pryczy w koszarach, kiedy ziemia zaczęła drzeć. Wcześniej słyszał dźwięk dzwonu, patrzył, jak inni zrywają się pośpiesznie, ale sam nawet nie wychylił się spod koca. Nikt przy nim nie przystanął ani nie zapytał, dlaczego. Raithe był ranny i nie oczekiwano, że będzie walczył, chyba że Fhrejowie sforsują główną bramę. Tyle że nie to było przyczyną. W każdym razie to nie ta rana, o której wiedziano, kazała mu leżeć biernie.

To musiałyby być ktoś taki jak Gath, rozmyślał gorzko. Ktoś sławny, ktoś, kogo wszyscy uważaliby za najdzielniejszego, najsilniejszego wojownika. Ktoś, przed kim wszyscy wodzowie mogliby uklęknąć, nie tracąc szacunku w oczach swoich klanów. To musiałyby być bohater.

Tego chciała Persefona. I wcześniej to Raithe był takim bohaterem – a teraz Nyphron.

Ilekróć zamykał oczy, nadal widział Persefonę – taką, jaka była kiedyś – jak wspina się po drabinie na szczyt wału obronnego w dahlu Rhen, ubrana w swoją czarną suknię. Taką pamiętał ją najlepiej. Wiatr rozwiewał jej włosy tamtej nocy,

kiedy przybyli Fhrejowie, dzień po tym, jak Konniger próbował ją zabić i wszyscy zeskoczyli z wodospadu. Była taka piękna i potrzebowała Raithe'a. Był gotów jej bronić przed Fhrejami i przed Konnigerem. To on był jej bohaterem.

Gdybyż tylko nie poprosił jej, żeby z nim odeszła!

To był błąd, olbrzymi błąd. Na tamtym etapie Raithe bez przerwy rozmyślał o żyznych zielonych ziemiach, które wraz z ojcem znaleźli za dwiema rzekami. Nie mieściło mu się w głowie, że Persefona mogłaby nie zechcieć tam się udać. Jej własny wódz jej nienawidził, a Fhrejowie dokonali inwazji na ziemie ludzi. Na pomysł Raithe'a, żeby poszukać lepszego miejsca i tam się osiedlić, powinna zareagować entuzjastyczną zgodą i wylewnymi podziękowaniami. Cóż, wtedy jeszcze nie pojmował, jak dalece Persefona jest oddana swojemu ludowi.

Leżąc na pryczy, wpatrywał się w sufit. Wyobrażał sobie, jak żyłoby im się razem po drugiej stronie rzeki Urum, na tamtym wzgórzu. Oczami wyobraźni widział piękną chatę z kłód wyposażoną w prawdziwe drzwi, pola pszenicy i żyta, a także zagrodę pełną owiec. Żyliby tam, zdrowi i szczęśliwi, z dala od bębnow, raowów, dzwonów i...

Kamienną ścianę koszar nagle rozdarło pęknięcie. Kilka odłamków ukruszyło się i odpadło, lądując ze stukotem na deskach podłogi. Od strony sufitu doleciały niepokojące dźwięki, a podłoga znienacka zachybotła się tak mocno, że Raithe nie musiał już wstawać z pryczy – prycza zrobiła to za niego.

Wstał i odkrył, że budynek kołysze się coraz bardziej. Było to przerażające uczucie, jakby Raithe znajdował się w łódce miotanej przez fale. Złapał swój pas z mieczem i pognął do drzwi. Zdążył zbiec na dziedziniec akurat w porę, żeby zobaczyć, jak kikut Zmarzłej Wieży wali się w gruzy.

* * *

– Złazcie z murów! Na dół! – krzyknęła Moya, gdy wszyscy gapili się na zagładę północnej wieży.

Ogromne kamienie poleciały prosto w dół, implodując i wzbijając gigantyczną chmurę pyłu, ziemi oraz okruchów skalnych. Pod stopami Moyi na murze zarysowała się pajęczyna pęknięć. Już wkrótce cała przednia ściana Alon Rhist zaczęła się chwiać, a Moya wrzasnęła.

Bez względu na to, czy łucznicy zdążyli usłyszeć jej okrzyk, już biegli ku schodom. Potem wieża runęła. Nie implodowała, tylko przewróciła się jak podcięty słup. Najpierw się przechyliła, a potem zawaliła, padając na wyższy dziedziniec. Lawina gruzu zmiażdżyła koszary i kuchnie, cudem oszczędzając kuźnię.

Ktoś mocno popchnął Moyę od tyłu. Odbiła się od pleców Filsona i straciła równowagę na schodach. Upadłaby, gdyby nie ścisk. Zamiast polecieć w dół, zderzyła się z ludźmi. Potem czyjaś ręka złapała ją za nadgarstek i wyciągnęła z tłumu. Moya przyłgnęła plecami do zewnętrznego muru twierdzy, pozwalając, żeby inni mijali ją biegiem. Nikt się nie obejrzał. Kamienie, o które się opierała, dygotały.

Kamienie nie powinny dygotać, pomyślała.

Dłoń, która ją pochwyciła, należała do Tesha. Chłopak czekał obok Moyi, aż spanikowany tłum się przewali, podczas gdy mur, na którym stali, chybotął się i drżał.

Znajdujemy się bezpośrednio nad główną bramą, dotarło do niej. To jest ich cel!

Potrzebowała czasu, żeby sobie to uzmysłwić, ale w końcu ją olśniło. Fhrejowie próbowali zburzyć przednią ścianę fortecy, by bez przeszkód wkroczyć do środka. Moya usłyszała trzask kruszących się kamieni oraz wrzaski ponad tuzina ludzi, gdy zawaliły się schody.

My będziemy następni, pomyślała.

Zacisnęła zęby, szykując się na upadek. Złapała się starożytnego przedpiersia, chociaż wiedziała, że ono też za moment runie. Schody oraz przypory stabilizujące masywny mur obronny już leżały w gruzach. Ściana nadal chwiała się i chybotwała. Tesh oraz Moya uczepili się każde jednego merlonu, przytrzymując się ich oburącz z całej siły. Ale mur wciąż stał.

Po drugiej stronie przepaści Moya spostrzegła fhrejskie wojsko, które ustawiło się u podnóża mostu. Czekali, aż przednia część fortecy runie. Jednakże mur obronny Alon Rhist jakimś cudem nadal trzymał pion. Na wszystkich twarzach odmalowało się zdumienie, bo kamienne bloki tworzące ten mur podskakiwały niczym stos podrzucanych talerzy. Kiedy Moya spojrzała na dziedziniec, pojęła, co się dzieje.

Wśród gruzów tuż przed wejściem do kuźni spostrzegła drobną postać Suri w towarzystwie Roan, trzech karłów, Malcolma i Padery. Dziewczyna stała ze wzniesionymi wysoko rękami i głową odrzuconą do tyłu, jakby śpiewała niebiosom, poruszając dłońmi.

Nie wiedząc, czy Suri wygrywa, czy przegrywa – a może tylko kupuje im czas – Moya nie miała ochoty przekonać się na własnej skórze, jaka jest odpowiedź. Schodów od południa już nie było. Jedyne dostępne zejście pozostawały schody po przeciwnej stronie.

– Ryzykujemy i biegniemy? – Moya zwróciła się do Tesha, wskazując głową długi odcinek targanego wstrząsami krenelaża, który wił się jak wąż.

– Zawsze. – Tesh odwrócił się i ukląkł, jakby szykował się do wyścigu. – Gotowy.

– Ty pierwszy. Leć! – krzyknęła.

Chłopak zerwał się i zdołał przebiec kilka kroków, nim kolejny wstrząs cisnął nim o przedpiersie. Tesh zatoczył się i upadł, ale wstał i pobiegł dalej. Gdy był już trzy merlony dalej, Moya pognąła za nim. Równie dobrze mogłaby biec po podskakującej kłodzie niesionej przez wartką rzekę. Mur obronny przestał wykazywać jakąkolwiek stabilność. Gwałtowne szarpnięcie omal nie wyrzuciło Moyi przez jeden z prześwitów pomiędzy merlonami.

Nie, to nie kłoda, pomyślała. Biegnę po sznurze w trakcie zawodów w przeciąganiu go!

Ściana nadal trzymała pion, ale była w coraz gorszym stanie. Kolejne kamienne bloki wypadły na skutek wstrząsów, by roztrzaskać się w dole. Brakowało całych merlonów, a mur nie tworzył już linii prostej. Jego kształt zmieniał się z minuty na minutę, zyskując coraz większe esowate wygięcie. Gdy Moya znajdowała się dokładnie w połowie długości muru, raptem usłyszała przerażające *klang*. W panice wciągnęła powietrze, obawiając się, że zaraz runie razem z blankami, ale ściana nadal stała.

Wrota! – dotarło do Moyi. Ogromne wrota z brązu są bezpośrednio pod mną! Musiały zsunąć się z zawiasów.

Tesh dotarł już do schodów, ale znów przystanął. Odwrócił się i pomachał rozpaczliwie, ponagłając Moyę. Czekał na nią.

Miał doprawdy więcej odwagi niż rozumu.

Ścianą ponownie chybnęło, a Moya odbiła się od jednego merlonu i wpadła na drugi. Uderzyła się w ramię na tyle boleśnie, że z jej gardła wyrwał się krzyk. Potem wylądowała na przeciwległym przedpiersiu i walnęła się w klatkę piersiową tak mocno, że straciła oddech.

Na cycek Jędzy Tetlin!

Zmusiła się, żeby biec dalej. Nie była pewna, skąd czerpie energię – może to Suri pomogła jej utrzymać się na nogach, może Mari dodawała jej siłę, a może stał za tym po prostu stary dobry strach – ale w końcu dotarła do schodów. Ona i Tesh zbiegli nimi na dziedziniec.

Znajdowali się jakieś pięćdziesiąt stóp dalej, kiedy ściana w końcu runęła.

* * *

Suri dawniej próbowała łapać ryby gołymi rękami. Widziała, jak robią to niedźwiedzie, więc uznała, że warto spróbować. Tura próbowała jej wytłumaczyć, że brak pazurów stanowi przeszkodę nie do pokonania. Suri i tak

spróbowała. Stała po kolana w potoku, gdzie na płyciźnie przemykały ryby – w tym samym miejscu, gdzie polowały niedźwiedzie – i wyciągnęła z wody ładnego łososia. Jego łuski były śliskie niczym oliwa, a w dodatku ryba szamotała się rozpaczliwie. Suri czuła, jak w tym wijącym się ciele gwałtownie prężą się mięśnie. Przycisnęła rybę do klatki piersiowej, ale łosoś był zbyt śliski, zbyt ciężki, zbyt silny. Po tytanicznych zmaganiach wyleciał z rąk Suri, lądując z powrotem w rzece i pozostawiając dziewczynę w głębokim rozczarowaniu, bo dotarło do niej, że nie jest w stanie zrobić wszystkiego, co by chciała. Poczowała się tak samo, kiedy mur obronny został w końcu wydarty z jej uścisku i przemieniony w stertę gruzów.

„Po prostu nie masz pazurów”.

Ziemia nadal dygotała. Nie widniały na niej runy, które mogłyby temu zapobiec. Ściany fortecy były chronione znakami Orinfar, co znacznie utrudniało ich podtrzymywanie. Suri nie mogła bezpośrednio uchwycić murów Sztuką, więc musiała wykorzystywać otaczające je powietrze oraz wszystko inne, co nie było pokryte runami. Ledwie udawało jej się powstrzymać jedną basztę od zawalenia, kolejna zaczynała się chwiać. Suri próbowała uspokoić ziemię, ale nie była w stanie.

Skąd pochodziła cała ta moc?

Suri tylko starała się utrzymać Alon Rhist w całości, a i tak czuła się wyczerpana. Walka o przednią ścianę wydrenowała ją z energii, bo runy stawiały opór jej wysiłkom, a nieustające hamowanie wstrząsów, które poruszały resztą fortecy, stanowiło maraton wykraczający poza jej siły.

Może dlatego, że mierzyła się z większą liczbą przeciwników? Ale Suri wyczuwała tylko jednego. To był młody Fhrej. Prawie mogła go zobaczyć, a w tym mentalnym połączeniu było coś znajomego. Znała tę osobę. Był w dahlu Rhen. To on...

– Most – powiedział ktoś tuż nad jej uchem. – Zapomnij o murach. Zniszcz Wielki Most.

Gdyby te słowa zostały wyrzeszczane, Suri może puściłaby je mimo uszu, ale spokojna pewność, z jaką je wypowiedziano, była czymś, czego człowiek odruchowo poszukuje w czasie kataklizmu.

Most!

Suri wyczuła tych, którzy po nim przechodzili. Śpieszyli się, pełni strachu, że ona ich zauważy, i przerażeni możliwością, że trzęsienie ziemi nie wystarczy, by odwrócić jej uwagę. Niepokoiли się, że mogłaby...

Suri zwolniła uścisk, pozwalając wieży runać. Potem zebrała wszystkie siły, jakie jej pozostały, i sięgnęła umysłem ku delikatnej konstrukcji mostu – cienkiemu kamiennemu językowi, który spajał oba brzegi bardzo, bardzo

głębokiej przepaści. Most był chroniony runami, podobnie jak mury obronne, ale Suri nie potrzebowała go dotykać, podobnie jak elfy nie potrzebowały dotykać ścian Alon Rhist, żeby je zburzyć. Niszczenie było nieporównanie łatwiejsze od tworzenia. Suri musiała tylko przesunąć klify.

Odsunęła wschodnie urwisko zaledwie odrobinę na południe, a zachodnie odrobinę na północ. Niczym rozplątany sznurek albo rozwiązywany supeł, oba końce mostu odczepiły się od skał i całość runęła w dół. Suri nie widziała tego, ale wyczuła – poczuła, jak ciężka konstrukcja nagle się zarywa, i usłyszała wrzaski, gdy setki Fhrejów poleciały w przepaść, by znaleźć tam śmierć.

Suri odwróciła się gwałtownie i sięgnęła umysłem w przestrzeń, szukając kolejnej szykującej się katastrofy. Niczego takiego nie znalazła. Ziemia przestała dygotać. Suri niczego nie wyczuwała. Na świecie znów zapadła cisza.

Suri otworzyła oczy i ujrzała zdewastowane pozostałości fortecy. Cała przednia część Alon Rhist zamieniła się w ruinę, wszędzie piętrzyły się sterty gruzów i potrzaskanych belek. Malcolm położył dłonie na ramionach mistyczki i ścisnął łagodnie, żeby dodać jej otuchy. Obok stała też Roan, a także stara Padera, i Tressa, i Moya, i Tesh, i Raithe. Towarzyszyli Suri, podobnie jak tuziny ludzi i Fhrejów, których nie знаła. Na wszystkich twarzach malowała się ulga.

Wszyscy tam byli... Z wyjątkiem Arion.

Rozdział dwudziesty szósty

Motyl i obietnica

Głosy umarłych mają to do siebie, że wywierają na nas wpływ, o jakim głosy żywych mogą tylko pomarzyć. Z umarłymi nie sposób się sprzeczać.

Księga Brin

Twarz Lothiana wyglądała przerażająco. Nie wyrażała strachu, nienawiści, rozczarowania czy nawet frustracji, lecz okropną mieszankę tych wszystkich uczuć – z solidną dawką wściekłości. Zaczerwieniły mu się policzki i uszy, oczy wylazły na wierzch, a żyły na szyi i czole nabrzmiały.

– Ci Fhrejowie... – Fane zatchnął się, stracił głos i tylko wskazał palcem pustkę, gdzie do niedawna wznosił się most. – Wszyscy ci dzielni Fhrejowie... – Zgrzytnął zębami i zmusił się, by przełknąć ślinę. – Wszyscy są martwi.

Mawyndulë nic nie odrzekł. Wiedział z doświadczenia, że nic, co mówił, kiedy ojciec był wytrącony z równowagi, nigdy nie pomagało. A nigdy jeszcze nie widział ojca w takim stanie.

– Jak mogliście do tego dopuścić?

Niezupełnie można powiedzieć, żeśmy do tego dopuścili, odrzekł Jerydd ze swojego bezpiecznego schronienia w głowie księcia.

– To był wypadek – powiedział Mawyndulë.

– Wypadek! – krzyknął ojciec. – Oni wszyscy nie żyją!

Proszę bardzo, tak właśnie wygląda wojna. Cieszycie się, żeście ją wypowiedzieli? Czyżbyście sądzili, że to będzie bułka z masłem? Poza tym zabiliśmy ich trzykrotnie więcej, kiedy tamten walący się mur zmiażdżył ludzi na

dziedzińcu. Czekaj! Nie powtarzaj tego! Nadal będzie uważał, że to my ponieśliśmy większe straty. Twój ojciec nie wyznaje poglądu, że jeden Rhun jest równy jednemu Fhrejowi, i ma rację.

Mawyndulë nie mógł uwierzyć, że Jerydd sądzi, że księżę mógłby powtórzyć którąkolwiek część tej wypowiedzi, ale cóż – kel był teraz bezpieczny, od gniewu władcy dzieliło go wiele mil.

– Ta dziewczyna jest niewiarygodnie silna.

– Dysponowałaś mocą Avemparthy! A w każdym razie tak twierdziłeś.

Dysponujemy nią.

– Dysponuję nią.

Ale ta rhuńska suka wysysa moc jak wir wodny podczas huraganu i ma refleks dziesięciolatki. Poza tym jest szybka, naprawdę szybka. Szybka jak Synne. I nie mogliśmy jej dosięgnąć.

– Na tym murze, który oddzielał ją od nas, widniały runy, więc nie mogliśmy jej zaatakować bezpośrednio. Mimo to w końcu wygraliśmy, a mur runął.

– Podobnie jak most z setkami moich żołnierzy – wycedził fane przez zaciśnięte zęby.

– No tak, ale to nie była nasza wina. Wszystko działo się tak szybko. Jestem w szoku, że ona w ogóle była w stanie myśleć, biorąc pod uwagę to, czym w nią miotaliśmy.

Fane nadal kipiał wściekłością, łapiąc szybkie oddechy i piorunując syna wzrokiem. Potem odwrócił się do Taraneha i Haderasa.

– Wciąż jeszcze mamy pięciu Miralyithów, czy tak?

– Czterech, mój panie – odrzekł Taraneh. – Lym zmarł zeszłej nocy z powodu ran...

– W porządku, czterech. Czyli łącznie siódemkę, jeśli wliczyć Synne, Mawyndulëgo i mnie. Sami się tym zajmiemy. Powiniennem być mądrzejszy i nie polegać na Jeryddzie. Zawiódł mnie po raz drugi. Nie docenia przeciwników. Ale żaden Artysta nie stawia czoła siódemce. Zapomnijcie o tym całym przesyłaniu mocy. Będziemy działać niezależnie. Dzisiejszej nocy każde z nas stworzy most, a następnie będzie go podtrzymywać. Potem po tych mostach przejdą Shahdi. Zewnętrzny mur runął, nie ma już wrót. Shahdi otrzymają rozkaz, żeby zabić wszystkich po tamtej stronie rzeki.

– Masz na myśli wszystkich Rhunów, panie.

– Mam na myśli wszystkich.

– Ależ, mój panie, w Alon Rhist przebywają setki Fhrejów – zaprotestował zszokowany Taraneh. – Nie wszyscy są żołnierzami, a ci, którzy nimi nie są, nie brali udziału w walce. W każdym razie nic nam o tym nie wiadomo.

– Wszystkich! – rozkazał Lothian. – Wszyscy, którzy chcieli opuścić twierdzę, już to zrobili. Nikt nie jest tam przetrzymywany wbrew woli. Wybrali tamtą stronę rzeki. Świadomie postanowili sprzeciwić się mojej woli. Zabij ich wszystkich, Taraneh. Co do jednego.

Taraneh gapił się z niedowierzaniem tylko przez sekundę, a potem się skłonił.

– Jak sobie życzysz, panie.

Twój ojciec wydaje się wytrącony z równowagi.

* * *

Raithe stał pośrodku tego, co do niedawna było niższym dziedzińcem. Niegdysiejsza wspaniała forteca o wysokich ścianach i majestatycznych wieżach została niemalże zrównana z ziemią. Skaliste zbocze wzgórza zaścieniały sterty gruzu oraz ciała zabitych. Setki nieszczęśników zostały zmiażdżone podczas katastrofy. Jedni znaleźli się w pułapce, gdy waliły się budynki, inni przebywali zbyt blisko rozpadających się murów obronnych. Kiedy stało się jasne, że Fhrejowie już nie zaatakują tego dnia, pozostali mieszkańcy Alon Rhist przystąpili do smutnej i wyczerpującej pracy, jaką było wykopywanie zwłok. Ponieważ Raithe miał tylko jedną rękę sprawną, był bezużyteczny. Stał pośrodku gruzowiska i patrzył, jak ludzie, których znał, są wyciągani z powrotem na światło słońca.

Tu znajoma twarz, tam imię – ludzie z dahlu Rhen, z Tirre, Melenu, Warric i Menahanu, których znał zaledwie od roku. Jeśli się nad tym zastanowić, tak naprawdę nikogo z nich nie poznał bliżej. Trzymał się na uboczu, nie uzewnętrzniał się z emocjami, unikał przyjaźni i powiązań. Uważał, że tak będzie lepiej. Nie było sensu tworzyć więzi, które mogą się okazać trudne do zerwania. Jednak teraz, patrząc na zakrwawione twarze trupów, dokonał strasznego odkrycia: nie udało mu się zachować takiego dystansu, jak sądził.

Tope Wyżynn timer został złożony obok swoich dwóch młodszych synów, Colina i Krisa. Obaj byli wspaniałymi tancerzami i śpiewakami, i nieraz demonstrowali swoje talenty wieczorami po ostatnim posiłku. Ich matka była w trakcie aranżowania im małżeństw z dziewczętami z Menahanu, ale żadnemu nie śpieszyło się, żeby poznać narzeczoną, którą dla niego wybrała. Trzeci syn Tope'a, Kurt, który był rówieśnikiem Tesha, zginął poprzedniego dnia. Filson Lampka leżał rozciągnięty niedaleko rodziny Tope'a, w miejscu, gdzie spod gruzów wciąż jeszcze było widać trochę trawy. Za życia był milczącym człowiekiem, niegdyś jedynym rzemieślnikiem wytwarzającym kaganki w dahlu Rhen. Teraz mało kto już nazywał go „Lampką”. Filson stał się żołnierzem, jednym z łuczników Moyi. Zaprzyjaźnił się z bezpańskim psem, który włóczył

się po Rhiście. Dokarmiał to kościste zwierzę resztkami swoich posiłków, przez co kundel łąził za nim krok w krok. Raithe parę razy przyłapał Filsona na oddawaniu psu nawet połowy swoich żołnierskich racji. Ten dureń nie dojadł, bo wolał karmić sparszywiąłego zwierzaka. Obok leżeli Gilroy i jego żona Arlina. Jej głowa uległa zmiżdżeniu. Raithe rozpoznał Arlinę po sukni. Miała tylko tę jedną.

Raptem uzmysłowił sobie, że płacze. Zostałem w dahlu Rhen tylko ze względu na Persefonę, pomyślał. Ona była wszystkim, czego pragnąłem. Zależało mi tylko na niej. Wszyscy ci ludzie nie mieli znaczenia. Więc czemu, na Tetlin, czuję się tak strasznie?

– Raithe?

Odwrócił się i zobaczył Malcolma stojącego w pobliżu kuźni Roan. Był to jeden z nielicznych budynków, które ocalały. Chudzielec pozbył się już opancerzenia i znów miał na sobie stare wełniane odzienie, które uszyła dla niego Brin, matka Sarah. Ubranie, które przed rokiem było czyste i schludne, stało się już równie poplamione i obszarpane jak dawna szata Malcolma. Ten człowiek zupełnie nie potrafił dbać o odzież. Skinął na Raithe'a, po czym zniknął w warsztacie.

Raithe powoli przeszedł przez dziedziniec i wszedł do kuźni w ślad za Malcolmem. Wnętrze przypominało jaskinię. Było tam ciemno, nie licząc niepokojącej czerwonej poświaty od paleniska oraz plamy słonecznego blasku, który wpadał przez otwarte drzwi. W środku, jak należało się spodziewać, znajdowały się karły i Roan, ale w półmroku stała również Tressa. Suri klęczała na podłodze obok Arion, która leżała na pryczy Roan. Martwą Fhrejke przykryto aż po szyję kocem, przez co wyglądała, jakby spała. Raithe przystanął na moment, żeby się jej przyjrzeć. Pozostali przypuszczalnie sądzili, że chce okazać szacunek zmarłej lub że przytłoczył go smutek. On jednak nie myślał ani o jednym, ani o drugim. Martwa Fhrejka wciąż jeszcze stanowiła dlań frapujący widok. Arion zawsze była blada, ale teraz, leżąc na pryczy w świetle wpadającym przez uchylone drzwi, wyglądała niemalże jak duch. Patrząc na nią, Raithe uzmysłowił sobie z niejakim ociąganiem, że zawsze lubił Arion. Lubił ją szczerze, mimo że nie przypominał sobie, żeby choć raz zdarzyło im się zamienić słowo.

Oczy Suri były zapuchnięte i czerwone, na jej policzkach lśniły smugi łez. Raithe wiedział, jak zżyte były z Arion. Suri często mówiła o Fhrejce tak, jakby to była jej starsza siostra albo wręcz przybrana matka. Dziwne, że jakikolwiek człowiek mógł żywić takie uczucia do Fhreja, ale Suri nie była zwyczajną dziewczyną. Raithe to właśnie najbardziej w niej lubił. Potrafiła dostrzec osobę za ozdobami, zobaczyć prawdę wyzierającą zza kłamstw, i przejmowała się

losem tych, którymi nie przejmował się nikt inny. Nie obchodziło jej, że Raithe jest Dureyaninem, a nawet gdyby nie wiedział nic o Fhrejce zwanej Cenzlyor, przeżyłby jej śmierć tylko dlatego, że Suri ją kochała. Chciałby móc zaferować jakieś wsparcie, ale wiedział z doświadczenia, że istnieją kwestie, w których nikt nie jest w stanie pomóc.

Mróz, Powódź i Deszcz krzatali się wokół paleniska, dokładając drewna i poprawiając węgle pogrzebaczami. Od czasu do czasu zerkali na resztę obecnych. Roan siedziała na swoim stołku przy stole roboczym, obserwując wszystko. Miała na sobie skórzany fartuch zawiązany przy szyi i sięgający poniżej kolan. Jej ciemne włosy były związane tak, żeby nie przeszkadzać w pracy. Pojedynczy kosmyk opadał na czoło.

Malcolm czekał. Stał niemal dokładnie pośrodku kuźni, pomiędzy stołem a stosem drewnianych wiader. Kiedy Raithe odsunął się od Arion, Malcolm z namaszczeniem splótł dłonie. Widać było, że zamierza przemówić z całą szczerością, na jaką go stać.

– To, co zamierzam ci teraz powiedzieć, jest niewiarygodnie ważne. Ważniejsze niż cokolwiek, co komukolwiek mówiłem od bardzo dawna. Może zdarzy mi się zająknąć tu i ówdzie, gdyż nie są to łatwe sprawy. Proszę cię zatem o cierpliwość.

Raithe jeszcze nigdy nie słyszał, by towarzysz mówił z taką powagą. Przez moment zupełnie nie brzmiał jak Malcolm. Nie jak ten człowiek, którego Raithe spotkał przy rozwidleniu utworzonym przez dwie rzeki – ten, który podążał za nim ślepo przez cały rok, i który nie wiedział, jakie zwierzęta można głaskać, a jakie mogą zaatakować. To był ktoś inny.

– Czy chcesz, żebyśmy wyszli? – zapytała Roan.

Była tak pewna odpowiedzi, że od razu wstała.

– Nie – odrzekł Malcolm. – To, co zamierzam powiedzieć, jest ważne dla wszystkich tu obecnych.

Roan znieruchomiała. W jej oczach było widać dezorientację. Ostrożnie usadowiła się z powrotem na stołku, karły zaś odłożyły pogrzebacze i znieruchomiały, nasłuchując z uwagą.

– Mamy problem – zaczął Malcolm. – I to bardzo poważny. Fhrejowie przewyższają nas liczebnością trzy do jednego. Nasze pokryte runami mury legły w gruzach, zniknęła więc jedyna rzecz, która dawała nam ochronę, a większość naszych najlepszych żołnierzy jest martwa. – Wskazał Raithe'a. – Lub ranna.

– Po co nam mury? – zapytał Raithe. – Nie ma już mostu.

Malcolm pokręcił głową.

– Brak mostu ich nie powstrzyma. Nadal mają Miralyithów. Użyją Sztuki, żeby wydłużyć skały tworzące urwisko. Kazałem Suri zniszczyć most tylko po

to, żebyśmy zyskali na czasie.

– To byłś ty? – zapytała Suri.

Malcolm skinął głową, po czym odwrócił się do mistyczki i obdarzył ją współczującym uśmiechem.

– Nie dasz rady ich powstrzymać, prawda?

Suri pokręciła głową.

– Nie jestem wystarczająco silna. – Dotknęła dłoni Arion. – Może ona by była, ale ja nie.

– Arion też by ich nie powstrzymała – oznajmił Malcolm. – Dzisiejszego wieczoru Miralyithowie fane'a utworzą nowe mosty, a jego armia przeprawi się po nich przez rzekę Bern. Będą mieli rozkazy, żeby pozabijać wszystkich. Może uda ci się uszkodzić jeden lub dwa mosty, Suri, ale nie zdołasz zniszczyć wszystkich siedmiu.

– Siedmiu? Czekażcie no... – odezwał się Mróz, gładząc brodę, jak to miał w zwyczaju, kiedy się nad czymś głowił. – Skąd wiesz, że będzie ich siedem? Skąd w ogóle wiesz to wszystko?

Malcolm pokręcił głową.

– Chwilowo nie jest to istotne. Po prostu potraktujcie moje słowa jak domysł, który przypuszczalnie okaże się trafny. Musimy przedyskutować to, jak ich powstrzymamy.

Suri obejrzała się na Arion i pokręciła głową.

– Nie powstrzymamy ich.

– Jesteś pewna? – zapytał Malcolm.

– Raczej... – Urwała i znów zalała się łzami.

– Czy to nie jest problem, który powinni rozwiązywać Nyphron z Persefoną? – zapytał Powódź.

Jego głos brzmiał dziwnie, jeszcze bardziej szorstko niż zwykle. Raithe nie pojmował tej zmiany. Karzeł sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi, a jego złość rosła, ilekroć spoglądał na twarz Arion. To nie miało sensu. Karły zawsze nienawidziły Arion. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Oni go nie rozwiążą – oznajmił Malcolm. – Ale obecne tu osoby są w stanie to zrobić.

Jego słowa sprawiły, że wszyscy popatrzyli na siebie z zafrapowanymi minami, pytając niemo, czy ktokolwiek coś z tego rozumie. Nikt nie rozumiał.

– Co możemy zdziałać przeciwko armii Fhrejów, czego nie są w stanie zdziałać Nyphron ani keenig Persefona? – zapytał Mróz.

– On ma na myśli mnie – powiedziała Suri, kręcąc głową. – Ale ja nie mogę...

– Prawdę mówiąc, mam na myśli was wszystkich – sprostował Malcolm. – Każda z osób znajdujących się w tej izbie musi zrobić to, co do niej należy.

To sprowokowało Tressę do zagapienia się nań z niedowierzaniem. Jej mina mówiła, że Malcolm bredzi głupoty, ale wbrew swojej naturze kobieta się nie odezwała.

– Nic nie mogę zrobić! – Suri nadal kręciła głową. – Jeśli rąbną we mnie tą samą mocą co wcześniej, nie zdołam...

– Owszem, rąbną w ciebie, i to jeszcze większą mocą niż poprzednio – zapewnił ją Malcolm. – Dziś walczył z tobą tylko jeden Miralyith, ale kiedy już mosty będą gotowe i armia przeprawi się po nich na drugi brzeg, cała siódemka Artystów skupi się na tobie. Kiedy zginiesz, my nie będziemy mieli żadnych szans. Fhrejska armia wymorduje tu wszystkich, a Miralyithowie unicestwią to, co zostało z miasta.

– Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to nasz „problem” określiłbym raczej jako „brak nadziei” – powiedział Raithe.

– Może Gifford wróci – odezwała się Roan, sprawiając, że wszyscy spojrzeli w jej stronę. Znalazłszy się nagle w centrum uwagi, skuliła się, podciągając kolana pod brodę i obejmując je rękami. Mimo to zdołała dodać głosem pełnym zaskakującej dumy: – Odjechał stąd na koniu, żeby sprowadzić lud Gula.

Tessa kręciła głową, ale Malcolm uśmiechnął się do Roan. Był to ciepły, krzepiący uśmiech, a towarzyszyło mu energiczne potaknięcie.

– Tak, jestem szczerze przekonany, że wróci, ale to nie wystarczy. I ta pomoc nie nadejdzie na czas. Poza tym Gula nie dysponują pancierzami, a więc i ochroną, którą dają runy Orinfar. Gdyby teraz tu byli, zostaliby unicestwieni przez Miralyithów fane’a.

Roan miała taką minę, jakby dręczyły ją wyrzuty sumienia.

– To nie twoja wina. Ty i twoja armia kowali wykonaliście niesamowitą pracę. Nikt nie zdołałby zrobić więcej. Po prostu nie było czasu.

– W takim razie naprawdę już po nas – powiedział Raithe. – Nic nie możemy zrobić.

– Nie – odrzekł Malcolm i ponownie popatrzył na Suri. – Ona zna sposób.

Tatuaże mistyczki ściągnęły się na jej czole, gdy zdeorientowana zmarszczyła brwi.

– Dopiero co powiedziałaś, że nie jestem wystarczająco silna, żeby stawić im wszystkim czoło.

– Ale wiesz coś, czego oni nie wiedzą. Potrafisz stworzyć coś, przeciwko czemu magia Miralyithów byłaby bezsilna.

Suri pokręciła głową z jeszcze bardziej zafrapowaną miną.

– Nie wiem, co... – Raptem zamarła. Tatuaze wokół jej oczu rozdzieliły się, a brwi podjechały do góry. Rozwarła usta w zgrozie, gdy dotarło do niej, co miało na myśli. Zaczęła gwałtownie kręcić głową. – Nie... Nie to.

– Możesz to zrobić – powiedział cicho Malcolm. – Już raz to zrobiłaś.

– Nie... Nie mogę. – Suri cofnęła się, by stanąć dalej od niego. Dalej od nich wszystkich. Przerażona powiodła wzrokiem po twarzach obecnych, jakby sądziła, że wspólnie spiskują, by pozbawić ją życia.

– Tylko to może nas ocalić.

Roan przyciskała dłonie do ust, a w jej oczach malowała się ta sama zgroza, co na twarzy Suri. Mróz upuścił trzymane w rękach cęgi, Deszcz zaś zaczął kręcić głową, tak jak mistyczka.

– Co się dzieje? – zapytał Raithe. – O czym ty mówisz?

Malcolm w odpowiedzi tylko popatrzył na Suri, która uparcie milczała. Nikt inny nie wyrzekł ani słowa.

– Wszyscy wiedzą, o co chodzi, z wyjątkiem mnie – powiedział Raithe. Skupił wzrok na Roan. – O czym on mówi?

Roan opuściła dłonie i zerknąwszy na Suri, odrzekła:

– On chce, żeby Suri zrobiła kolejnego Gilarabrywna.

Na dźwięk tego słowa Malcolm odwrócił się z dziwną miną.

– Gilarabrywna?

Roan kiwnęła głową.

– To było jej imię.

Malcolm zastanawiał się przez moment, po czym skinął głową.

– Ach... Rozumiem. Tak, oczywiście.

– Nie mogę tego zrobić. – Suri spuściła głowę, nerwowo przeczesując palcami krótkie włosy. Szarpnęła je tak mocno, że aż się skrzywiła.

– Gilarabrywn byłby niewrażliwy na ich magię – powiedział Malcolm. – Mógłby zakończyć tę bitwę. Może nawet zakończyć wojnę.

– Ale ja nie mogę! – prawie krzyknęła Suri.

– Nie rozumiem. Dlaczego nie możesz tego zrobić, skoro to nas uratuje? – zapytał Raithe.

Suri ponownie nie odpowiedziała. Podkuliła ręce i nogi, zwijając się zrezygnowana w kłębek. Popatrzyła na nich.

– Nie proście mnie o to. Nie po raz drugi.

Raithe popatrzył na pozostałych. W końcu ponownie wbił spojrzenie w Roan.

– Żeby zrobić Gilarabrywna, ona musi zabić zwierzę – wyjaśniła wynalazczyni.

– Ależ to żaden problem – powiedziała Tressa. – Jest przecież pies, ten śmierdzący kundel, którego karmił Filson, i...

– Nie! – wykrzyknęła z gniewem Suri. – Nie zwierzę. Nie chodzi o to, że muszę zabić jakieś zwierzę. Muszę... Muszę zabić... To musi być ofiara.

– Jak jagnię? – zapytał Raithe.

Jagnięta były zwierzętami, ale zawsze składano je w ofierze w Dureyi.

– Nie! Nie jak jagnię... Nie chodzi o samo zabicie... To musi być prawdziwa ofiara. Tu nie chodzi o zarżnięcie jakiegoś niewinnego stworzenia, o zniszczenie czegoś, co mogłoby być smacznym posiłkiem. To musi być prawdziwe, a nie symboliczne. I musi być moje. Muszę zniszczyć... Muszę odebrać życie, które jest dla mnie ważne. Nie rozumiecie? Muszę zabić kogoś, kogo kocham.

Sądząc po zaskoczeniu, jakie odmalowało się na twarzach obecnych, była to dla nich wszystkich nowość. Dla wszystkich poza Malcolmem, który uspokajająco położył mistyczce dłoń na ramieniu.

– Żeby ocalić życie wszystkich, którzy wyruszyli do Neithu – powiedział, zwracając się do Raithe'a – Suri poświęciła Minnę.

Raithe wiedział, że wilczycy już nie ma, i słyszał, że została zabita podczas wyprawy, ale nie miał pojęcia, że...

– Ty kochałaś Minnę.

Łzy jak groch spłynęły po policzkach Suri, gdy potaknęła.

– Suri – powiedział Malcolm. – Musisz stworzyć kolejnego Gilarabrywna, inaczej wszyscy zginą. Nie tylko my, ale i Gula-Rhunowie. A jeśli Fhrejowie odniosą tutaj zwycięstwo, fane rozkaże swojej armii wkroczyć do Rhulynu, gdzie puszcza z dymem pola, spalą wioski i dalej oraz będą polować na ludzi tak długo, aż wszystkich wytępią. I jakkolwiek strasznie to brzmi, na tym się nie skończy. Fane postradał rozum, oszalał. – Malcolm popatrzył na trzy karły stojące przy kowadle. – Wie, że Belgriklungrejanie wam pomogli. Wie o broni z żelaza i o Orinfarze.

– Nie ofiarowaliśmy ani jednego, ani drugiego – zaprotestował Mróz. – Orinfar został odkryty w starym rolu, a co do żelaza... – Wskazał Roan. – Nie daliśmy tego przepisu. Ona go ukradła.

Roan wstała.

– A wy ukradliście ten sam sekret Prastaremu.

– Nie ukradliśmy. Moi przodkowie zawarli umowę.

– Której warunków nie dotrzymani, co oznacza, że dokonaliście kradzieży.

Mróz nie odpowiedział.

– Poza tym to nie jest żelazo. – Roan przesunęła dłonią po płacie metalu, który leżał za nią na blacie stołu. – Ma w sobie żelazo, ale zmieniłam proces. To inny metal: twardszy, lżejszy i nie będzie pokrywał się śniecią ani rdzą. Ale macie rację. Owszem, ukradłam ten pomysł, w każdym razie w większości. Poprawiłam koncept, ale wiele detali uzyskałam z kopii tabliczek. – Nadal

dotykając błyszczącego metalu, dodała: – Nie powinnam tego ukrywać. Wszyscy powinni znać prawdę. – Skinęła głową, przytakując własnym myślom. – A ten metal będzie nam odtąd stale towarzyszył, więc nazwę go „stal”. – Jej dolna warga zadrżała, gdy Roan potaknęła raz jeszcze. – Tak, to dobra nazwa. Nie ma w niej „r”.

– To bez znaczenia. – Malcolm współczująco zniżył głos. – Liczy się tylko to, że w przekonaniu fane’a Belgringrejanie złamali umowę z Erivanem. Lothian spróbuje uczynić to, czego postanowiła nie robić Feneliusa. Pomaszeruje na Belgreig, wyrznie sobie drogę na południe i zniszczy Drumindor równie łatwo jak tę fortecę. – Malcolm wbił wzrok w trzy karły. – Wasz lud zostanie zniszczony razem z ludźmi. Drzewo życia straci dwa potężne konary, a to będzie dlań zbyt wielki szok, by mogło przetrwać. Bez zewnętrznych wrogów społeczeństwo Fhrejów się zdegeneruje. Niektórzy już złamali swoje przymierze z Ferrolem, zignorowali prawo rogu i zaczęli zabijać się nawzajem. Z czasem coraz większa część fhrejskiego społeczeństwa będzie chciała się pozbyć Miralyithów, bądź też Miralyithowie spróbują dokonać czystki, eliminując pozostałe szczepy. Ich cywilizacja reprodukuje się tak powoli, że nie przetrwa wojny domowej. Gobliny ujrzą swoją szansę i zaatakują. Potem Grenmorianie wypowiedzą wojnę goblinom i cywilizacja zniknie, zmieciona z powierzchni ziemi, nie zyskawszy szansy, by prawdziwie rozkwitnąć.

Suri spiorunowała Malcolma wzrokiem.

– Czyli muszę to zrobić, inaczej nastąpi koniec świata? To próbujesz powiedzieć? Chcesz może dodać coś jeszcze? Co będzie ze słońcem? Czy zgaśnie? Czy księżyc spadnie z nieba? Czy wyschną wszystkie jeziora, rzeki i strumienie?

– Prawdę mówiąc, jest jeszcze jedna rzecz – powiedział Malcolm, po czym popatrzył w dół, na Arion. – To część tego, czego ona od ciebie oczekiwała. Właśnie dlatego musiałaś przetrwać i stać się motylem.

Na dźwięk tego ostatniego słowa Suri gwałtownie wciągnęła powietrze. Objęła się ciasniej ramionami, a jej oddech się spłycił. Nadal gapiała się na Malcolma z wściekłością.

– Dzięki swej Sztuce, dzięki swej więzi ze światem Arion słyszała, jak świat szepcze jej to do ucha – wyjaśnił Malcolm. – Na tym polegał jej dar; ten, który dostrzegła Feneliusa, ale żadna z nich w pełni nie rozumiała jego istoty. Wszystko, co zrobiła Arion od swojego przybycia do dahlu Rhen, doprowadziło cię do tego punktu. Ciężko pracowała nad tym, żeby wyposażyć cię w moc zdolną ocalić jej lud i twój. Skarbem, który przywiozłyście z Neithu, nie były żelazo ani stal. Była nim wiedza, którą zyskałaś dzięki poświęceniu Minny. Suri, twoja siostra nie umarła po to, żeby uratować waszą dziewiątkę. Poświęciła się,

żeby ocalić świat. – Malcolm posłał jej porozumiewawczy uśmiech. – Naprawdę była najmądrzejszą ze wszystkich wilków.

Tatuże ponownie połączyły się na czole Suri, gdy otrząsnęła się po ciosie, który zadał jej Malcolm. Spojrzenie miała gniewne.

Śmierć Minny była tematem, którego Suri unikała. Raithe wiedział dość, by starannie omijać w rozmowach śmierć wilczycy. Malcolm tańczył na krawędzi bardzo wysokiego klifu.

– Skąd wiesz? – zapytała ostro Suri. – Skąd wiedziałeś o motyłu? – Wskazała Arion. – Czy to ona ci powiedziała?

– Nie – odrzekł Malcolm. – Ale to nieważne.

– Jest ważne! – Suri podniosła się na klęczki, żeby skonfrontować się z Malcolmem.

– Nie, nie jest. Istotne jest tylko jedno: powiedziałem ci prawdę. Jeśli nie, po prostu powiedz.

Suri gapiła się na Malcolma dzikim wzrokiem, który przeraził Raithe'a.

Mistyczka oddychała ciężko, zaciskając zęby, jakby próbowała zdecydować, czy rozerwać Malcolma na strzępy, czy jednak nie. Stopniowo jej oddech się uspokoił, a mięśnie twarzy się rozluźniły.

– To bez znaczenia – odrzekła, spoglądając na Arion. – Skończyli mi się przyjaciele, których mogłabym zabić.

W kuźni zapadła cisza. Z zewnątrz dobiegały odgłosy kopania w gruzowisku. Suri odrzuciła głowę do tyłu i otarła oczy. Roan wpatrywała się w blat stołu roboczego, a karły przeprowadzały inspekcję wizualną swoich butów.

– Naprawdę? – zapytał Malcolm.

– Ja ewidentnie odpadam w przedbiegach – oznajmiła Tressa. – Jak się okazuje, czasem dobrze jest być powszechnie znienawidzoną osobą.

– Naprawdę, Raithe? – Malcolm popatrzył na Dureyanina.

– Naprawdę co? – zapytał Raithe.

Malcolm czekał.

– Nie patrz na niego – powiedziała Suri. – Czemu na niego patrzysz?

Malcolm dalej wpatrywał się w Raithe'a. Człowiek, który nie umiał posługiwać się włócznią i nigdy w życiu nie widział dahlu, zniknął – już nie przypominał roztargnionego eksniewolnika, którego Raithe ocalił od śmierci na pustkowiu. W jego oczach nie było pytań ani strachu. Raithe ujrzał tylko smutek, współczucie i cierpliwość, gdy Malcolm czekał na odpowiedź.

– Chcesz powiedzieć... – zaczął Raithe i urwał.

Czy on mówi to, co mi się wydaje?

Malcolm potaknął.

– Chciałeś zostać bohaterem.

Te słowa ugodziły Raithe'a niczym cios pięścią w brzuch. Teraz to on wyglądał na zdruzgotanego.

– Możesz sprawić, by twoje życie zyskało wielką wagę.

– Chcesz powiedzieć, że mogę sprawić, by moja śmierć zyskała wielką wagę.

– Czekaście, co? – zapytała Roan.

– On sugeruje, żeby Suri zabiła Raithe'a i stworzyła Gilarabrywna – oznajmił Deszcz.

Suri gapiała się na nich ze zgrozą.

Malcolm nadal wpatrywał się w Raithe'a.

– Oddawała ci całą żywność. Odejmowała od ust sobie oraz Kaylin i dawała wszystko tobie. Robiła to, żebyś przeżył. Tak jak Arion wyczuła, jak ważna będzie Suri, tak i twoja matka przeczuwała, że pewnego dnia okażesz się potrzebny. Nie była mistyczką ani Miralyithem, ale nie potrzebowała tego. Elan przemówiła do niej, tak jak do Arion, tylko że dla twojej matki była to intuicja, wiara. Poświęciła siebie oraz twoją siostrę, żebyś ty pewnego dnia mógł znaleźć się tutaj... i żebyś miał odwagę dokonać podobnego wyboru. Jej poświęcenie nie służyło temu, żeby ocalić jedyne go syna, jaki jej pozostał. Chodziło o to, żeby ocalić synów i córki całego ludu Rhunów.

Za ścianami kuźni wyciągano zwłoki z ruin Alon Rhist. Wewnątrz budynku Raithe płakał.

* * *

Uwięziona w Sanktuarium, w komnacie bez okna, Persefona gorzko żałowała, że nie mogła zobaczyć zachodu słońca. Miał być jej ostatnim, a pragnęła pożegnać słońce. Wszystko posypało się tak szybko – z jej winy. Powinna była mieć lepszy plan na to, jak rozpalić ognisko sygnałowe. To był głupi błąd. Powinna była zatrzymać większą część wojska w fortecy. Powinna była dopilnować, by runy Orinfar wypisano na wszystkich, nie tylko na zewnętrznych murach. Powinna była nakazać, żeby wytatuowano je na ciałach wszystkich mieszkańców twierdzy. Patrząc wstecz, stwierdziła, że wszystkie jej błędy wprost rzucają się w oczy i są tym tragiczniejsze, że pierwszy dzień bitwy wydawał się obiecujący. Wszyscy sądzili, że wygrali.

Właśnie doniesiono, że Miralyithowie fane'a budują mosty ponad przepaścią.

– Będziemy się bronić tu, na górze – oznajmił Nyphron, zwracając się do Galantian, którzy zebrali się wokół łoża Persefony wraz z Moya, Paderą i Brin.

– Ale wy nie możecie z nimi walczyć – powiedziała Moya.

– Jeśli tu się wedrą, mogę i zamierzam – odrzekł Tekchin.

– Nie, nie możesz. – Jej ton był stanowczy. – Nie możesz zabić innego Fhreja.

– Owszem, mogę – warknął Tekchin. Wskazał na nią czubkiem miecza. – Jeśli spróbują cię zabić... wierz mi, mogę.

– Nie chcę, żebyś to robił.

– Ona ma rację – powiedziała Persefona. – Nie warto. Już i tak poświęciliście dla nas zbyt wiele. Jeśli tak czy inaczej czeka nas zguba, czemu macie jeszcze w dodatku fundować swoim duszom wieczne potępienie? Może jeśli się poddadacie, fane daruje wam życie.

– Ona ma rację – potwierdził Nyphron. – Gniew fane'a skrupi się na mnie. Nie możecie złamać Prawa Ferrola.

– Nie zamierzam po prostu stać bezczynnie i patrzeć, jak one giną – zadeklarował Tekchin.

– To idź – powiedziała Moya. Jej głos brzmiał zimno. – Wszyscy powinniście po prostu wynieść się stąd. Jestem pewna, że znacie jakieś tajne wyjście. Jakąś tylną furtkę czy inną szczyrzą norę. Idźcie sobie i zostawcie nas.

– Moya! – skarciła ją Persefona. – Nie bądź taka okrutna.

– Nie jest – powiedział Tekchin. – Jest dzielna. Zachowuje się dokładnie tak, jak zachowywałyby się na jej miejscu każdy z nas. Zachowuje się jak Galantianka.

– Bo jest Galantianką, czyż nie? – Grygor uśmiechnął się szeroko do Moyi. – Udowodniła, co potrafi, w walce z ogromnym potworem, w pojedynku z wodzem oraz w bitwie.

– I strzela z tego swojego łuku najlepiej na świecie – dodał Eres.

Wszyscy zmierz yli Moyę krytycznym wzrokiem. Nikt nie prychnął, nikt się nie roześmiał.

– Rhunka? – zapytał Nyphron, uśmiechając się ironicznie. – I w dodatku kobieta?

Tekchin skinął głową.

– Spójrz na mnie – skwitował Grygor. – Nie jestem ładniutkim Fhrejem.

– Nie jestem pewien, czy to argument na jej korzyść – powiedział Nyphron do olbrzyma, ale Eres nadal kiwał głową.

– Czemu sądzicie, że w ogóle chciałabym się znaleźć w waszym wszawym bractwie? – zapytała Moya, ale w jej głosie nie było tej zjadliwości co zazwyczaj.

– Nie rozumiesz – powiedział Tekchin. – Galantianie to nie jest grupa ani organizacja. To tylko słowo. Fhrejskie słowo.

– Moya – odezwała się Persefona. – „Galantianin” to znaczy „bohater”.

– Zasadniczo znaczy po prostu „najlepszy” – powiedział Nyphron. – W tradycji Instarya Galantianinem jest ten, kto ucieleśnia najważniejsze wartości tego szczepu: honor, biegłość w walce oraz odwagę. – Popatrzył na Voratha i Anwira. Obaj pokiwali głowami, podobnie jak Eres. – Zatem siódemka ponownie stała się ósemką.

Moya powiodła wzrokiem po ich twarzach. Wszyscy uśmiechali się do niej.

– Bardzo to miłe z waszej strony i dzięki za wotum ufności, ale naprawdę musicie stąd iść.

– Ucieczka nie byłaby zbyt heroiczna, czyż nie? – zapytał retorycznie Eres.

Anwir potaknął.

– Zdaje się, że znaleźliśmy się w pułapce naszych własnych ideałów.

Moya westchnęła i wskazała na wschód.

– Siedem mostów, kochani. Właśnie je budują. Wejdźcie sobie na to, co zostało ze Spyroku, i przekonajcie się sami. A my już nie mamy murów obronnych. Gdy nastanie świt, pozabiją nas wszystkich. Ponieważ zostając tu, niczego nie zmienicie, powinniście się wynieść.

– Wyniosę się, jeśli ty zrobisz to samo. – Tekchin uśmiechnął się do niej szeroko.

– Wiesz, że nie mogę.

– Możesz – powiedziała Persefona. Rany na brzuchu nadal straszliwie bolały, ale miała już nieco większą swobodę ruchów niż wcześniej. Mogła usiąść, i uczyniła to, lecz siedzenie w łóżu nie przydawało jej autorytetu. – Jako keenig jestem jedyną osobą, która ma obowiązek tu zostać. To mój bałagan i tylko ja za niego odpowiadam, nikt inny.

– Ja owszem – powiedziała Moya.

– Wiem, wiem, jesteś moją Tarczą, i to świetną, ale to nie znaczy, że musisz zginąć razem ze mną.

– Nie zostawię cię.

Persefona westchnęła.

– Głupio robisz. Jak wy wszyscy.

Moya potaknęła.

– Może. Ale jeśli tak, to w Alon Rhist jest w tej chwili mnóstwo głupich ludzi, bo nikt się nigdzie nie wybiera. Idąc tutaj, widziałam ich po drodze. Odbudowują mury kamień po kamieniu. Piekarze, tkacze i dawni rolnicy są tam na zewnątrz i ustawiają barykady z gruzu. Zapytałam Bergina, czemu zadaje sobie ten trud. Spodziewałam się, że odpowie, że chce móc się za czymś schować albo coś w tym guście. Ale wiesz, co odrzekł? – Przerwała, żeby przełknąć ślinę, co przyszło jej z jakimś trudem. – Odrzekł: „Żeby chronić

panią keenig”. Powiedziała mu, że to mój obowiązek, a on na to: „Nie, to wspólny obowiązek nas wszystkich”.

– Nieprawda. To keenig ma obowiązek was chronić – odrzekła Persefona.

– Może przez większość czasu tak, ale nie dzisiaj.

Moya podniosła zawiniątko, które wcześniej położyła obok drzwi, i umieściła je na łożu. Rozwinęła tkaninę i wyjęła dwa długie sztylety z lśniącego metalu.

– Prezent od Roan. – Wręczyła jeden sztylet Brin, a drugi Persefonie.

– Mamy ich użyć przeciwko wrogom czy na sobie? – zapytała Persefona.

– Przypuszczam, że to zależy tylko od was. – Moya ruszyła do drzwi. – Muszę sprawdzić to i owo. Ty też, Tekchinie, nieprawdaż?

Fhrej w pierwszej chwili miał zdezorientowaną minę.

– Sprawdzić... Ach, jasne. – Uśmiechnął się szeroko. – Zaraz wracam – oznajmił, zwracając się do pozostałych. – Muszę sprawdzić to i owo.

Moya pomachała Persefonie.

– Pewnie zajmie mu to trochę dłużej. Ja wrócę za godzinkę czy dwie.

– Schodzicie na dziedziniec? – zapytała Brin.

– To znaczy... Przejdziemy tamtędy. A co?

– Pomyślałam, że przeszłabym się z wami.

– Brin, my... – Moya urwała. – Chcesz zobaczyć się z Teshem, prawda?

Brin oblała się rumieńcem.

– Może.

– Tym, którzy planują tu zostać, proponuję, żebyśmy wszyscy z powrotem zajęli się barykadowaniem drzwi – odezwał się Nyphron. – Te mosty zostaną wybudowane szybciej, niżbyśmy chcieli.

– To znaczy, że będzie mi wskazywał rzeczy, które mam przenieść w inne miejsce. – Grygor mrugnął do Persefony, ruszając do wyjścia razem z towarzyszami.

– Nyphronie? – odezwała się Persefona.

Fhrejski lord przystanął przed drzwiami, oglądając się na nią, podczas gdy pozostali wychodzili na korytarz.

Stał wyprostowany, z dumnie uniesionym podbródkiem, a jego zbroja lśniła w świetle lamp. Był urzekający, to słowo pasowało doń idealnie. Jasne włosy spływały mu na ramiona, wypolerowany jak lustro pancerz z brązu podkreślał muskulaturę ramion i klatki piersiowej. Tak, urzekający.

– Rozmyślałam o tym, co powiedziała Arion. – Persefona ponownie spróbowała usiąść prosto. Rozmawiając z Nyphronem, zawsze czuła się taka mała. – O tym, że trzeba posłać gołębia do fane’a i poinformować go o Suri.

– Nie da się.

– Dlaczego... Ach... – Persefona urwała zmartwiona. – Czy gołąbnik uległ zniszczeniu? – Tyle stracili w tym ostatnim ataku.

– Nie, Alon Rhist nadal dysponuje kompletem gołębi pocztowych, ale już przerabialiśmy ten temat. Widziałas, co Miralyithowie zrobili z Arion. Suri przypuszczalnie przeżyła tylko dlatego, że tamci o niej nie wiedzieli. Poza tym mam wrażenie, że nie orientujesz się, na jakiej zasadzie funkcjonuje przenoszenie wiadomości przez gołębie. Te ptaki są tak wytresowane, żeby wracać do domu, co w tym przypadku oznacza gołąbnik w Estramnadonie. Armia fane’a znajduje się po drugiej stronie przepaści. Zgodnie z posiadanymi przez nas informacjami przebywa tam również sam fane. Wiadomość przesłana za pośrednictwem gołębia nie dotrze do niego.

– Ale Arion nalegała, żeby to zrobić. Była przekonana, że to może pomóc ocalić oba nasze ludy.

– Nie znoszę źle mówić o zmarłych, ale Arion była Miralyithem. Nigdy im nie ufałem. A teraz, jeśli to już wszystko, muszę iść. To moja forteca, a w każdym razie to, co z niej zostało. Powiniennem zadbać o zabezpieczenie jej, na ile się da. Nie chcę rozczarować fane’a. Na pewno spodziewa się, że Instarya będą mężnie bronić się do ostatka.

– Czy mogę ci zadać pytanie, zanim wyjdiesz?

– Jesteś keenigiem – odrzekł z uśmiechem fhrejski lord. – Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Persefona skrzywiła usta w ironicznym uśmieszku.

– Przemyślałam twoje oświadczenia.

Nyphron zaśmiał się ubawiony.

– Raczej nie ma już sensu nad tym rozmyślać.

– Prawdę mówiąc, sądzę, że teraz jest idealny moment na rozważanie tej propozycji. Już nie ma żadnej presji.

Nyphron wyglądał na zbitego z tropu tym stwierdzeniem, ale tylko wzruszył ramionami i zapytał:

– Co chciałaś wiedzieć?

– Zastanawiałam się... Gdyby fane i armia po prostu zniknęli o wschodzie słońca... Czy sądzisz, że kiedykolwiek mógłbyś mnie pokochać?

– Pokochać cię? – Te słowa go zafrapowały. – Nawet nie jestem pewien, czym jest miłość. Wiesz, to rhuńskie słowo nie ma dobrego odpowiednika w naszym języku. Ponadto, na ile się orientuję, w rhuńskiej kulturze definicja miłości też nie jest wcale jednoznaczna. Tak więc pozwolę sobie zapytać: a ty?

– A ja co? Czy wiem, czym jest miłość, czy też, czy sądzę, że mogłabym cię pokochać?

– Sama wybierz.

- Myślę, że można pokochać każdego.
- No dobrze, zatem masz odpowiedź.
- To moja odpowiedź. Chcę znać twoją.

Nyphron zapatrzył się na nią i oblizał wargi.

- Chcesz usłyszeć uczciwą odpowiedź, prawda?
- Tak. Owszem, chcę.

Skinął głową.

– Szczerze, jak już powiedziałem: nie wiem, czy w ogóle rozumiem, czym jest miłość, a tym bardziej czym może być twoim zdaniem. Myślę, że jesteś przyzwoitą osobą, o inteligencji wyższej niż przeciętna, jesteś praktyczna, zazwyczaj myślisz logicznie i nie irytujesz mnie zanadto, chyba że zaczynasz mówić o miłości. Ale jeśli to ma pomóc, pozwól, że wyjaśnię swoje stanowisko. Jeśli stanie się cud i przetrwamy jutrzejszy dzień, będę chciał cię poślubić ze względów politycznych: żeby zjednoczyć nasze ludy i skonsolidować naszą władzę. Nie będę ci wierny; powinnaś być tego świadoma. Zarazem, bez względu na to, jak niesprawiedliwa może się wydawać jednostronność tego układu, będę nalegał, żebyś ty zachowywała wierność. Nie dlatego, że rozniewałoby mnie, gdybyś zabawiała się z innym mężczyzną, Fhrejem, Dhergiem, czy nawet Grenmorianinem, ale dlatego, że twoje dzieci obejmą władzę nad światem, który stworzymy, a moje bękarty nie będą miały prawa do tronu, co czyni moją niewierność nieistotną. Nie miej żadnych złudzeń: nasz związek byłby wyłącznie transakcją, i to taką, która przyniosłaby mi więcej korzyści niż tobie. Jednakże w ogólnym rozrachunku nasz mariaż przyniósłby najwięcej korzyści zarówno ludowi Rhunów, jak i szczepowi Instarya. Mimo wszystko miałem nadzieję, że byłby oparty na wzajemnym szacunku i uczciwości.

– Rozumiem. – To było wszystko, co zdołała powiedzieć. Co innego mogłaby odrzec? – Przypuszczam, że to już bez znaczenia.

– Zaiste, nie wydaje mi się, by zmieniało cokolwiek w obecnej sytuacji. Coś jeszcze?

Pokręciła głową, a urzekający Fhrej w lśniącej zbroi zniknął za drzwiami.

Patrząc za nim, Persefona przypomniała sobie słowa Raithe'a. „Kochałem cię od samego początku. Może już od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem cię w lesie, a już na pewno po tym, jak przemówiłaś do mnie jak do człowieka, chociaż wiedziałaś, że jestem Dureyaninem. Nieważne, że nie potrafisz mnie pokochać; czy to dlatego, że nadal miłujesz wspomnienie Reglana, czy dlatego, że chcesz poślubić Nyphrona. Nic z tego nie ma znaczenia, bo... Bo nawet teraz... Nawet teraz...”.

Przypomniała sobie, jak głos mu drżał i się łamał, jak Raithe zaciskał pięści. Pasję malującą się na jego twarzy.

Potem pomyślała o Nyphronie. „Jesteś praktyczna, zazwyczaj myślisz logicznie”.

Zazwyczaj, pomyślała Persefona.

Przekręciła się w łóżu i chciała opuścić nogi na podłogę, ale jej ciało znów przeszył nieznośny ból.

Dobrze już, dobrze! – jęknęła w duchu.

Poczeka na powrót Brin albo Moyi i wtedy pośle po Raithe'a. Chciała się z nim zobaczyć przed atakiem. Potrzebowała powiedzieć mu prawdę.

Mam czas, pomyślała. Godzina czy dwie nie zrobią już żadnej różnicy.

Rozdział dwudziesty siódmy

Malcolm

Nazywaliśmy go Malcolmem, lecz teraz już wiem, że nie było to jego jedyne imię.

Księga Brin

– Potrzebny jest miecz, żeby umieścić na nim imię – oznajmiła zmartwiona Roan.

W kuźni panowała cisza, którą mąciło jedynie stłumione huczenie pieca. Płonący bez ustanku ogień podgrzewał obszerne pomieszczenie, sprawiając, że powietrze w nim drgało, przez co wydawało się, że ściany też drżą. W poświacie płomieni wszyscy obserwowali Raithe'a. Wszyscy z wyjątkiem Suri, która wpatrywała się w posadzkę.

Oczy Roan wyrażały panikę, której Raithe nie rozumiał aż do chwili, gdy dotarło do niego, że cała sporządzona w tej kuźni broń została rozdana. Na stojakach nie było ani jednej tarczy bądź włóczni, ani jednego hełmu czy miecza. Jednakże zostało dużo metalu, część w formie sterty kawałów rudy leżących obok stosów węgla drzewnego oraz drewna na opał.

Raithe pomacał rękojeść miecza, który miał przy boku.

– Czy to może być jakikolwiek miecz?

– To nawet nie musi być miecz – odrzekł Mróz. – Wystarczy coś na tyle solidnego, żeby dało się na tym wyryć imię. Ale miecz sprawdziłby się najlepiej.

– Jakie imię?

– Twoje – wyjaśnił Deszcz. – Twoje prawdziwe imię.

– Moje prawdziwe imię brzmi Raithe.

Suri pokręciła głową.

– Nie to, którym nazwali cię rodzice. Imię, które nadała ci Elan.

Raithe nie wiedział, co to znaczy, ale nie sądził, by było ważne. Odpiął pas z mieczem. Roan wstała i wyciągnęła rękę, ale Suri pokręciła głową.

– Ten miecz już ma imię.

Raithe westchnął.

– Trwa wojna i nikt z tu obecnych nie ma miecza?

– A miecz twojego ojca? – zapytał Malcolm.

– Jest złamany.

– Znajdujemy się w kuźni i towarzyszą nam najlepsi płatnerze tego świata. Myślę, że będą potrafili temu zaradzić. Gdzie jest ten miecz?

– Zostawiłem go w koszarach.

Malcolm wybiegł z kuźni.

– Będziecie potrafili go naprawić? – zapytał Raithe.

– Tamta klinga to prawie czysta miedź – odrzekł Mróz. – To byłby podły miecz do tak szlachetnego zadania.

– Mamy cynę – zauważyła Roan, po czym popatrzyła na karły. – Moglibyśmy wykuć miecz z brązu. To by trwało znacznie krócej niż w przypadku żelaza.

– To prawda – potwierdził Powódź. – Miedź z cyną szybko się topią, nie trzeba ich intensywnie rozgrzewać, więc zajmie to mniej czasu.

Deszcz kręcił głową.

– Myślę, że stać nas na coś lepszego. Możemy zrobić czarny brąz.

– Do tego trzeba by mieć złoto i srebro, chłopcze – odrzekł Mróz.

Deszcz podniósł rękę i zdjął z szyi złoty torkwes. Wyciągnął dłoń.

– Użyjcie tego.

Mróz i Powódź popatrzyli na niego zaskoczeni. Deszcz spojrział na torkwes, marszcząc brwi.

– To tylko trofeum. Co komu po nim, jeśli Erivan napadnie na Belgreig? Nasz lud musi mieć swój wkład w to, co się tutaj wydarzy. Jeżeli poświęcenie ma ocalić nas wszystkich, to wszyscy powinniśmy też coś poświęcić, a zważywszy na to, jak wygląda wkład Raithe'a, ten torkwes to zaiste drobna ofiara z mojej strony.

– Nadal potrzebujemy srebra – zauważył Mróz.

Właśnie wtedy Tressa wystąpiła naprzód. Chociaż wymagało to wysiłku, zdołała ściągnąć z palca przyciasny pierścień.

– Powinam była go oddać, kiedy zwróciłam pierścień wodza, ale... – Spuściła wzrok. – Straciłam męża i uważałam, że zasługuję na to, żeby coś zatrzymać. A ten pierścień wyglądał lepiej na mojej dłoni niż ten, który Konniger

mi ofiarował, kiedy braliśmy ślub. Potraktujcie to jak dar od Persefony i ode mnie. – Wyciągnęła pierścień. – Bierzcie.

Mróz ujął srebrną ozdobę i ją obejrzał.

Wrócił Malcolm, niosąc złamaną klingę. Przystanął i popatrzył na Tressę.

– Dziwne, nieprawdaż? W stosownych okolicznościach nawet postępek motywowany próżnością i samolubstwem, jak zatrzymanie pierścienia, na który się nie zasługiwało, może stać się impulsem do szlachetnego czynu... a zagubiona dusza może, chyba nieświadomie, zrobić pierwszy krok ku odkupieniu.

Tressa zagapiła się na niego, wytrzeszczając oczy. Uniosła dłoń i przycisnęła ją do ust, mamrocząc przez palce:

– Każda z osób znajdujących się w tej izbie musi zrobić to, co do niej należy.

Malcolm skinął głową, po czym złożył klingę na stole. Miecz Herkimera wyglądał tak jak zawsze, ale w blasku ognia wydawał się czerwiejszy. Raithe widział pokrywające klingę zadrapania, dołki i wgniecenia. Ostrze było poszczerbione, niezamierzenie zębate wskutek uszkodzeń, jakich doznało w niezliczonych bitwach.

– Mój ojciec zginął za ten miecz – powiedział Raithe. – Ale tak naprawdę wcale nie. Człowiek nie ginie za kawałek miedzi.

Roan popatrzyła na niego z zafrapowaną miną.

– Chodzi o dumę. O fałszywą chwałę skąpaną we krwi niewinnych, która stanowi jej cenę. – Popatrzył na Roan z nadzieją. – Chciałbym, żebyś go przekuła w coś lepszego, jeśli zdołasz.

Roan skinieniem głowy dała znak Mrozowi, który dołożył do ognia.

Umieściła złamany miedziany miecz w tyglu. Powódź ujął miech, dmąc na rozżarzone węgle, aż rozżarzyły się oślepiającym blaskiem. Mróz podniósł złoty torques. Odmierzył fragment, rozrąbał naszyjnik na dwie nierówne części i wrzucił większą do tygla. Następnie dołożył tam również pierścień Tressy. Buzujący pod tygłem ogień oświetlał twarze zebranych, gdy Powódź tłoczył miechem powietrze, a metale topiły się i mieszały. Czując bijące od paleniska gorąco, Raithe odwrócił się i odkrył, że Malcolm siedzi w ciemnym kącie warsztatu naprzeciwko miejsca, gdzie usadowiła się Suri. Każde z nich potrzebowało chwili odosobnienia, a ich wzrok mówił, że siedząc tak, widzą demony.

– Hej – powiedział Raithe, sadowiąc się na odwróconym do góry dnem wiadrze.

Malcolm, który opierał się plecami o ścianę, podciągnąwszy kolana do klatki piersiowej, zerknął w górę i posłał mu smutny uśmiech.

– Liczyłeś na mnie, czyż nie?

Malcolm z pełną skruchy miną podniósł dwa palce, jakby pokazując coś bardzo małego.

– Czy wiedziałeś, że tak będzie? Kiedy walnąłeś Shegona kamieniem, wiedziałeś już o tym? – Raithe wskazał Roan i karły.

– A która odpowiedź pozwoliłaby ci poczuć się lepiej?

– No cóż, z jednej strony, jeśli wiedziałeś, to tak jakby jesteś kłamliwym draniem, który zwodził mnie przez rok.

Malcolm skinął głową.

– Z drugiej strony, gdybyś nie walnął Shegona, postradałbym życie rok temu. Zginąłbym samotnie na kamienistym kawałku gruntu pomiędzy dwiema rzekami i nikt by o mnie nie pamiętał.

Malcolm znów potaknął.

– Przypuszczam, że teraz to już bez znaczenia.

Malcolm pokręcił głową.

– Czym ty w zasadzie jesteś? Jakimś mistykiem jak Suri? – Raithe zerknął na dziewczynę, która siedziała, obejmując rękami kolana, i kołysała się jakby z bólu.

– Nie jestem mistykiem.

– To czym? I nie mów mi, że jesteś tylko niewolnikiem. Już tego nie kupuję.

– Byłem niewolnikiem... Tak jakby. Tylko...

– Tylko co?

– No cóż, nie jestem pewien, czy naprawdę można to nazwać niewolą, jeśli sam ją zaproponowałem. Trzy dni zajęło mi przekonywanie Zephyrona, żeby zapiął mi obrozę na szyi. Zephyron był mądrym, szczodrym i honorowym Fhrejem. Był pierwszą osobą, którą typowałem.

– Do czego?

– Na cesarza.

– Czym jest cesarz?

– Kimś takim jak keenig, tylko na większą skalę. Zamiast rządzić wszystkimi klanami, cesarz rządziłby światem. Pojedynczy władca mógłby położyć kres waśniom pomiędzy ludami, upowszechnić wiedzę oraz przynieść wszystkim rasom trwały pokój, jednocząc na powrót to, co zostało popsute. Jednakże ojciec Nyphrona nie chciał mnie słuchać. Przypuszczam, że gdyby posłuchał, nie byłby odpowiednią osobą do tej roli. Teraz to Nyphron zostanie pierwszym cesarzem.

– Nyphron, a nie Persefona?

Malcolm tylko się uśmiechnął.

– Ona ma go poślubić, czyż nie?

Malcolm westchnął.

– Niektóre rzeczy muszą się ułożyć tak, a nie inaczej. Nie zawsze jest to miłe i rzadko kiedy sprawiedliwe, ale tak musi być, żeby dało się naprawić to, co zostało popsute.

– A co zostało popsute?

Tym razem nie było uśmiechu. Malcolm popatrzył z powagą na Raithe'a i odrzekł:

– Świat.

Raithe się zaśmiał, ale urwał, widząc, że Malcolm nie żartuje.

– W porządku... A jakim sposobem go popsuto? Nie wiesz?

– Och, wiem. Wierz mi, wiem. To ja go popsulem.

Malcolm pozostawał zagadką, odkąd się spotkali: drobiazgowy, pełen finezji mężczyzna, który wiedział zarazem tak mało i tak wiele. Raithe wiedział, że Malcolm go okłamał, a w każdym razie nie wyjawiał całej prawdy. Jednakże Dureyanin z zaskoczeniem uświadomił sobie, że go to nie obchodzi. Może kluczowy był brak samozadowolenia. Raithe nie dostrzegał u Malcolma ani śladu złośliwości, chciwości czy mściwości. Nie miał pojęcia, jakie korzyści mógł zyskać jego przyjaciel dzięki temu oszustwu. Nie dostrzegał żadnych. Ponadto nie ulegało wątpliwości, że Malcolm jest przepełniony smutkiem i współczuciem. Ewidentnie dręczyły go wyrzuty sumienia, do tego stopnia, że Raithe'owi zrobiło się go żal.

– Malcolmie? Kim ty jesteś?

Słyszając to, niegdysiejszy służący, który Raithe'owi początkowo kojarzył się z łasicą lub lisem – i, jak się okazało, miał pewne cechy obu tych zwierząt – zmarszczył brwi.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Wiesz, raczej już tego nikomu nie powtórzę.

Malcolm westchnął.

– Nie myl „nie mogę” z „nie chcę”. Nie da się odpowiedzieć na to pytanie w taki sposób, żebyś cokolwiek zrozumiał. Może nikt nie zdołałby pojąć odpowiedzi, nie teraz. Może pewnego dnia pojawi się ktoś, kto będzie potrafił ją zrozumieć. Może pewnego dnia pojawi się ktoś, kto nie będzie musiał pytać.

– Czyli nie wiesz wszystkiego?

Znów ten uśmiech.

– Tak i nie.

Raithe skrzywił się z ironią.

– Poważnie?

Malcolm popatrzył mu w oczy.

– Mówię szczerze, a nie masz pojęcia, jak rzadko to się zdarza. – Znów się uśmiechnął. – To nie moja wina, że nie jesteś w stanie zrozumieć moich słów.

– Mógłbyś się postarać i być trochę miłszy dla człowieka, który niedługo ma umrzeć.

Malcolm pokiwał głową.

– Przepraszam. Przypuszczam, że mógłbym to wyjaśnić trochę lepiej. – Podniósł kamyk z podłogi. – Jeśli go upuszczę, wiem, że spadnie. Wiem też, że spadnie mniej więcej tutaj. – Wskazał punkt poniżej jego ręki. – Obaj to wiemy, prawda? Obaj jesteśmy tego absolutnie pewni, ale... – Puścił kamyk, a zanim ten spadł na podłogę, Malcolm machnął stopą, odtrącając go w bok. – Rzeczy mogą się zmieniać w ciągu chwili. Przez większość czasu mam rację, ale bywa, że znikąd pojawi się czyjaś stopa. Czy to ma sens?

– A czym to się różni od tego, co robi każdy człowiek? Wszyscy przewidujemy rzeczy, które nie zawsze...

– Ja nie przewiduję. Ja wiem. Zawsze wiem, co się wydarzy... chyba że tok wydarzeń zostanie zmieniony. Zdaję sobie sprawę, że różnica wydaje się niewielka, ale tak nie jest.

– Chcesz powiedzieć, że jesteś taką wyrocznią jak Megda?

– W pewnym sensie, ale chociaż powiedziałbym, że wiem znacznie więcej niż jakiegokolwiek drzewo, jestem też znacznie mniej mądry.

Raithe omiótł Malcolma wzrokiem od stóp do głów.

– Zgaduję, że nie jesteś człowiekiem. Czy jesteś Fhrejem? Czy to dlatego nie znależ naszych zwyczajów?

– Powiedziałem ci kiedyś, że Fhrejowie, Dhergowie i Rhunowie są spokrewnieni ze sobą nawzajem. W istocie tak jest. Różnice pojawiły się później. Fhrejowie mieli najłatwiejszą egzystencję i w rezultacie żyli najdłużej. Dhergowie znaleźli schronienie w jaskiniach, co zahamowało ich wzrost, i to w więcej niż jednym znaczeniu, choć sami nie chcą tego przyznać. Ludzie mieli najgorzej ze wszystkich ras. Zbyt późno do nich dotarłem. Ale ty wszystko zmienisz. Przykro mi, że tak się to ułożyło. Gdyby było można... – Westchnął. – Nieważne.

– Czy możesz mi powiedzieć jedną rzecz?

– Ale nie chodzi o Persefonę?

Raithe pokręcił głową.

– O moją siostrę i matkę.

– Ach, tak. – Malcolm pokiwał głową. – Chcesz wiedzieć, czy znów je zobaczysz?

– Rozmyślałam o tym. Często zadaję sobie to pytanie. Nie miałem możliwości się z nimi pożegnać. Nie miałem możliwości podziękować. Nie wiem, jak wygląda życie po śmierci. Nie wiem, czy trafię do Alysину, Relu czy Nifrelu. I nie wiem, gdzie przebywają moja matka i siostra.

Malcolm namyślał się przez chwilę.

– Oddały życie, żeby cię ocalić. Ty oddasz życie, żeby ocalić całą ludzkość. Podejrzewam, że zaświaty podejną do tego wszystkiego zyczliwie.

– Nie wiesz? Czy też nie możesz mi powiedzieć?

Malcolm tylko się uśmiechnął.

– Już wkrótce sam się przekonasz, ale sądzę, że nie masz się czym martwić.

– Czy możesz przynajmniej wyjawić, jak brzmi twoje prawdziwe imię? Bo w rzeczywistości nie nazywasz się Malcolm, czyż nie?

– Teraz już tak. Jestem Malcolmem od dobrych kilkuset lat.

Kilkuset?!

– Imiona są tymczasowe, tak jak ubrania. Sprawiają, że prezentujemy się w określony sposób, ale tak naprawdę są drugorzędne i można je zmieniać. To tak, jakbyś mnie pytał, jaka jest moja prawdziwa koszula.

– W takim razie jaka była twoja pierwsza koszula?

– To było bardzo dawno temu – odrzekł Malcolm, ale Raithe nie był usatysfakcjonowany tą odpowiedzią i wpatrywał się weń dopóty, dopóki Malcolm nie westchnął. – Turin – oznajmił w końcu. – Turin. Tak brzmiało imię bardzo młodej, bardzo niewinnej i bardzo niemądrej osoby.

Raithe popatrzył w stronę paleniska. Roan właśnie wyciągnęła z ognia rozżarzony metal i zaczęła kuć.

– I jesteś pewien, że tylko w ten sposób możemy naprawić świat, Turinie?

– Chyba że czyjaś stopa wejdzie nam w paradę. A skoro mowa o stopach... – Malcolm wstał. – Muszę porozmawiać z Nyphronem i dopilnować, żeby stał twardo na ziemi, bez żadnych głupich pomysłów.

– Zgaduję, że to trudne zadanie.

– Dotyczy to większości ludzi. – Malcolm zrobił dwa kroki, zawahał się i obejrzał na Raithe'a, żeby dodać: – W tym mnie.

* * *

Kiedy Malcolm odnalazł Nyphrona, fhrejski lord przebywał samotnie na balkonie, który okalał od zewnątrz kopułę Verenthenonu na wysokości trzeciego piętra.

– To by było tyle, jeśli chodzi o twoje plany – poinformował swego eksniewolnika. – Myślę, że nie całkiem udało ci się przepowiednia, że zostanę władcą całego świata.

– Postaraj się nie myśleć za dużo. Nie masz do tego talentu.

Brwi Nyphrona podjechały do góry. Jeszcze nie przyzwyczyił się do tego nowego Malcolma: niegdysiejszego niewolnika, który teraz zachowywał się jak

równy mu statusem. Nie, poprawił się w myślach Nyphron, zachowuje się jak ktoś wyżej postawiony niż ja. Jak mój ojciec.

Nyphron spędzał tyle czasu na wyprawach za granicę z Galantianami między innymi dlatego, że nigdy nie przepadał za autorytetem, który ojciec z łatwością mu narzucał. A jeszcze mniej lubił Malcolma. Gdyby któregoś z nich dwóch czekała jeszcze przyszłość dłuższa niż dzień, być może wyraziłby na głos swoje obiekcje, zrobiłby z tym porządek, ale w obecnej sytuacji nie widział w tym sensu.

– Właśnie tworzą mosty. – Wskazał widoczne w dole siedem języków, z których każdy miał nieco inną długość, ale wszystkie wyciągały się ku temu brzegowi rzeki Bern, gdzie wznosiło się Alon Rhist. – Rankiem...

– Nie rankiem – poprawił go Malcolm. – Zaatakują dzisiejszej nocy. – Podniósł wzrok na gwiazdy. – Za dwie, może trzy godziny.

Nyphron poczuł przypływ paniki, która równie szybko przycichła. Jaką różnicę mogło zrobić kilka godzin? Efekt będzie taki sam.

– Tym lepiej, jak sądzę. Nie ma sensu tego przeciągać.

Malcolm zagapił się na niego ze zdziwieniem.

– Naprawdę sądzisz, że zginiesz?

– Po tym, co wydarzyło się do tej pory, fane mnie nie ułaskawi.

– Nie. Chodziło mi o to, czy jesteś absolutnie pewien, że fane nas pokona?

Nyphron popatrzył w dal, na ogniska w obozie Fhrejów, a potem na gruzy w dole.

– Dziś straciliśmy prawie połowę naszego wojska, a fane nawet nie przysłał tu swojej piechoty. Owszem, wszyscy zginiemy. Może ty nie. Czy w ogóle możesz umrzeć?

Malcolm uśmiechnął się do niego.

– Ile byłoby warte wygranie tej bitwy?

Nie było sensu odpowiadać, więc Nyphron po prostu czekał. Nie miał pojęcia, kim albo czym jest Malcolm – może Miralythem? Ale Nyphron nigdy nie widział, żeby Malcolm rzucał czary. Lordem kimbali? Istniały legendy mówiące, że kimbale czasem opuszczają Nog i odwiedzają Elan. Posiadały wielką moc i nie rządziły się tymi samymi prawami co Rhunowie, Fhrejowie oraz Dhergowie. Ale znowu – problemem był brak magii. Kimbale słynęły z tego, że praktycznie tarzają się w niej. Może Malcolm był duchem lub demonem. Krążyły opowieści o takich istotach, które wędrują po Elan i nastęrczają śmiertelnikom kłopotów. Czymkolwiek był Malcolm, Nyphron zdecydowanie nie ufał temu uśmiechowi.

– Będziesz mi winien przysługę – oznajmił Malcolm. – Poproszę cię o zrobienie czegoś, a ty będziesz musiał to zrobić. Bez względu na to, co się

wydarzy.

- Strach składać takie przyrzeczenie.
- Owszem.
- Nie zabiję się.
- Nie, nie będzie chodziło o to.
- I zostanę władcą całego cywilizowanego świata?

Malcolm namyślał się przez chwilę.

– No, nie licząc Belgreigu. Belgriklungrejanie lada moment przeżyją coś w rodzaju renesansu, ale będziecie sojusznikami.

– W porządku – odrzekł Nyphron. – Ostatecznie powiedziałem: „cywilizowanego świata”. – Zagapił się na stojącego przed nim chudego mężczyznę, którego twarz nie budziła zaufania i który z całą pewnością nie był człowiekiem. – Dlaczego mam przeczucie, że wykrzywisz to przyrzeczenie w coś strasznego?

– Słusznie wykazujesz się ostrożnością. Mogę ci już teraz powiedzieć, że nie spodoba ci się to, o co cię poproszę. Na pewno nie wtedy, kiedy o to poproszę. Ta umowa nie miałaby większego sensu, gdyby chodziło o coś, na co chętnie zgodziłbyś się z własnej woli. Ale nie będzie to nic przesadnie strasznego, a z czasem przyznasz, że miałem rację.

Stali, patrząc na rozświetloną pochodniami i gwiazdami noc, obserwując rosnące mosty – siedem palców śmierci.

– To co, mamy umowę?

– Jeśli jakimś cudem rzeczywiście jutro zwyciężymy... albo dzisiaj... skąd mam wiedzieć, że faktycznie ty to sprawiłeś?

– Jeśli zgodzisz się spełnić moje żądanie, dzisiejszej nocy ujrzysz, jak z gruzów Alon Rhist wzlatuje smok. Ten... – Malcolm na moment zawiesił głos i pozwolił sobie na nieznaczny uśmiezek – ...Gilarabrywn odeprze atak głównych sił fane’a.

– Głównych? A co z resztą?

Malcolm wskazał niebo na wschodzie.

– Gula-Rhunowie.

Nyphron pokręcił głową.

– To niemożliwe. Nie zapalono ognisk.

Malcolm gwałtownie uniósł brwi.

– Serio? Właśnie ci powiedziałem, że z gruzów wzleci smok i wygra dla ciebie bitwę, ale to w przybycie hordy Gula-Rhunów nie wierzysz?

– No dobrze, w żadną z tych rzeczy nie sposób uwierzyć.

– Zatem kiedy to się wydarzy i wszystko będzie tak, jak opisałem, zorientujesz się, że to moje dzieło, i poczujesz się związany umową, którą

zawieramy dzisiejszego wieczoru, czy tak?

Nyphron nie musiał długo się zastanawiać. Mosty wydłużały się w niepokojącym tempie. Malcolm miał rację przynajmniej w tej jednej kwestii. Atak nie nastąpi rankiem.

– Zgoda. Chciałbym tylko, żebyś mówił prawdę.

* * *

Padera i Malcolm weszli do sypialni jako pierwsi po tym, jak Nyphron wyszedł.

– Ten Fhrej piętro niżej jest okropnym pacjentem – stwierdziła z niezadowoleniem Padera.

– Sebek?

– Tak ma na imię? Jest straszny, po prostu straszny. Nie chce leżeć. Nie słucha. – Wskazała Malcolma. – Nawet kiedy on tłumaczy, nic to nie daje. Sebek się sforsował i zaczął krwawić. Uparty dureń. – Uśmiechnęła się do Persefony, podchodząc do niej kolebiącym się, kaczym krokiem. – To jak się dziś czujemy?

– Czuję się dobrze, ale potrzebuję paru przysług.

Padera spiorunowała ją jednym okiem.

– Właśnie wyświadczam ci przysługę. Sprawdzam twoje bandaże – oznajmiła, szarpnięciem ściągając przykrycie. – Czekaj no, do którego z nas mówisz?

Persefona przytrzymała koc.

– Do was obojga. Malcolmie, czy wiesz o gołębiach pocztowych?

Eksniewolnik kiwnął głową.

– Chcę, żebyś wysłał wiadomość.

Zawahała się, próbując sobie przypomnieć, co powiedziała jej Arion przed miesiącami, kiedy stała w Karoli i błagała Persefonę o przesłanie listu. Arion ujęła to w bardzo dziwny sposób. Mówiła o ograniczeniach systemu, którego Fhrejowie używali do przesyłania meldunków. Do dyspozycji był nieduży zasób symboli o precyzyjnym znaczeniu. Nie było jak zapisać słów „piękny”, „trzymiel”, „szczęście”, „orzeł” i wielu innych; ten system uwzględniał jedynie pojęcia potrzebne wojsku do składania raportów i wydawania rozkazów. Liczby, zaopatrzenie, śmierć, narodziny, pory roku i tym podobne, wszystko w skróconej formie, żeby wiadomość mógł następnie przenieść nieduży ptak.

– Już nie pamiętam, jak ujęła to Arion, ale musisz przekazać następującą treść: „Rhunowie nie są zwierzętami. Jesteśmy zdolni do władania Sztuką. Pragniemy jedynie żyć w pokoju. Czy jesteście gotowi poszukać sposobu, żeby zakończyć tę wojnę?”. Taką wiadomość chciała wysłać Arion. Dopiero teraz

dostrzegam w tym mądrość. Fane nie otrzyma tej wiadomości na czas, ale może dostanie ją, kiedy wróci do ojczyzny. Gdy już odzyska swoją fortecę, a my nie będziemy stanowili zagrożenia, być może ją przeczyta. Mam nadzieję, że tak się stanie i że zmięknie ona jego serce, powstrzymując go od wymordowania pozostałości naszego ludu.

– Prawdę mówiąc, mam trochę doświadczenia w korzystaniu z gołębi pocztowych – oznajmił Malcolm. – Mogę się tym zająć sam.

– Dobrze, tak będzie najlepiej. Bałam się powierzyć to zadanie Instarya, bo nie wiadomo, czy sformułowałby treść listu, jak należy. To jest ważne, Malcolmie. Dziękuję. Zawsze byłeś gotów pośpieszyć mi z pomocą, czyż nie?

– I zawsze będę, aż do samego końca.

Persefona się uśmiechnęła. Czasem Malcolm mówił doprawdy przedziwne rzeczy. Nie, poprawiła się w myślach; nie chodzi o to, co mówi, tylko jak. Zupełnie jakby wiedział coś, czego ja nie wiem.

– Pozwól mi rzucić okiem na te szwy – powiedziała Padera.

– Nie. Potrzebuję, żebyś znalazła Raithe'a. Powiedz mu, że chcę się z nim pilnie zobaczyć.

– Jasne, oczywiście. Czemu nie? – Staruszka gniewnie podniosła dłonie. – To tylko wojna, a forteca zmieniała się w tor przeszkód z gruzów. Może mam ją jeszcze odbudować przy okazji?

Padera i Malcolm wyszli, a Persefona z powrotem złożyła głowę na poduszce. Zrobiła wszystko, co mogła, by uratować swój lud. Ta część jej życia dobiegła końca. Pozostało do zrobienia tylko jedno, nim będzie mogła umrzeć w spokoju. Musiała coś wyznać człowiekowi, którego okłamała.

Rozdział dwudziesty ósmy

Wrogowie u bram

Mogę uczciwie powiedzieć, że nigdy w życiu tak się nie bałam. Nie dlatego, że sądziłam, że mogę umrzeć – wiedziałam, że tak się stanie. Byłam tego tak samo pewna jak tego, że jestem zakochana – a miałam zaledwie szesnaście lat.

Księga Brin

Trąby zagrały po północy.

Tesh w końcu przyzwyczał się do tego, że dźwięk dzwonu zapowiada kolejne ataki, ale teraz dzwon spoczywał w gruzowisku. Trąby stały się nowym zwiastunem katastrofy. Wyrwały go z koszmarnego snu, w którym Brin konała uwięziona w Kypie, a on nie mógł do niej dotrzeć. Bez względu na to, ilu Fhrejów zabijał, wciąż zjawiali się nowi.

Nie planował zasypiać, nawet nie sądził, że to możliwe. Zakładał, że zamknie oczy tylko na moment, ale po szesnastu godzinach przerzucania kamieni, żeby zbudować prowizoryczny mur, został zdradzony przez własne ciało.

Teraz Tesh biegł przez to, co ocalało z dziedzińca. Wskoczywszy na pozostałości dawnej Zmarzłej Wieży, popatrzył w dół i zobaczył siedem mostów, których nie było, kiedy się kładł. Siedem kolumn żołnierzy przechodziło nimi nad przepaścią. Wszędzie wokoło mężczyźni biegali jak szaleni, próbując poodnajdywać się nawzajem, zlokalizować swoich dowódców i ustalić, co powinni robić.

– Czy ktoś widział Raithe’a?! – krzyknął Tesh.

Nikt nie odpowiedział. Nikt nie wiedział. Nikogo to nie obchodziło. Wszyscy mieli własne problemy.

Mógł dołączyć do żołnierzy ustawiających się w szyku na niższym dziedzińcu. Widział ich z wysoka – nierówne szeregi gromadziły się powoli. Zarówno Harkon, jak i Tegan tam byli i wykrzykiwali komendy. Tym razem Raithe nie mógł go zatrzymać. Teraz nikt już nie miał wyboru. Tesh obejrzał się przez ramię na kopułę i Kyp. Mając świeżo w pamięci swój koszmar, musiał powstrzymać odruch, żeby biec na poszukiwanie Brin.

Był Tarczą Raithe'a.

– Raithe! Raithe! – zawołał, wspinając się na palce, żeby lepiej widzieć.

– Tu jesteś! – Tesh usłyszał okrzyk kobiety dźwigającej wiadro wody. Nazywała się Tressa. Wiedział o niej tylko to, że gdy przechodziła obok, większość ludzi spluwała na ziemię. – Raithe jest w kuźni. Chce z tobą mówić.

– Czy to tam idziesz? – zapytał Tesh.

Kobieta skinęła głową.

– W takim razie pozwól, że pomogę.

Zdumiona Tressa zagapiła się na niego, kiedy wyjął wiadro z jej rąk.

Dziedziniec przypominał tor przeszkód usiany bryłami gruzu i pełen biegających ludzi. Uchylając się co chwila, Tesh w końcu dotarł do kuźni. W palenisku płonął ogień, przez szparę pod drzwiami było widać poświatę. Okazało się, że Roan i karły pracują przy stole do polerowania, a Suri i Raithe siedzą w dwóch przeciwległych kątach warsztatu. Malcolm stał w pobliżu drzwi.

– Atakują – obwieścił Tesh.

Wszyscy unieśli głowy, ale nikt się nie poruszył.

– Raithe? – odezwał się Tesh.

– Wiem – odrzekł Raithe.

– Nasi ustawiają się w szyku na niższym dziedzińcu. Co mam robić?

Raithe wstał i podszedł do niego. Poruszał się tak przeraźliwie wolno, że Tesh miał ochotę krzyczeć z frustracji. Wrogowie byli tuż, tuż, liczyły się sekundy, a jego wódz w ślimaczym tempie wymijał sterty węgla drzewnego i rudy żelaza.

– Musimy porozmawiać – oznajmił Raithe.

– Co? Teraz? Trwa atak! Tamci mają mosty. Właśnie tu zmierzają. Siedem kolumn!

– Tak, wiem.

– Wiesz? – Tesh nie pojmował, jakim cudem Raithe miałby się orientować w sytuacji, skoro siedział w kuźni.

– To nie zajmie długo.

– Co nie zajmie?

Raithe podniósł zdrową rękę i położył Teshowi dłoń na ramieniu.

– Chcę, żebyś wiedział, że jestem z ciebie dumny i że byłeś dla mnie namiastką syna. Gdybym miał rodzzonego syna, chciałbym, żeby był taki jak ty.

– Sądzisz, że przegramy. – Tesh widział w oczach Raithe'a smutną rezygnację. Jego wódz już dał za wygraną.

– Nie. – Raithe pokręcił głową. – Wszystko będzie dobrze. Myślę, że może nawet wygramy tę wojnę.

Tesh zmarszczył twarz.

– Mówiłeś, że to przegrana sprawa.

– Zmieniłem zdanie.

– Dziwne, że akurat teraz.

Ktoś na zewnątrz krzyknął, żeby do Verenthenonu przyniesiono więcej strzał. Tesh wyjrzał i zobaczył biegnących żołnierzy. W myślach błagał Raithe'a, żeby ten się streszczał.

– Zwycięstwo będzie miało swoją cenę.

Na zewnątrz znów zagrały trąby. Tesh odgadł, że Fhrejowie wdarli się na niższy dziedziniec i że trwa tam walka.

– Nie możemy odłożyć tej rozmowy na później?

– Nie, nie możemy. Tesh, kiedy... Jeśli cokolwiek miałyby mi się stać, ty będziesz ostatnim Dureyaninem. Powinieneś zadbać o to, żeby nasz lud nie wymarł razem z tobą. Lubisz Brin, prawda?

– Myślę, że to naprawdę nie pora... Słuchaj, muszę pędzić na...

– Teraz jest idealna pora, bo nie będziesz się pchał tam, gdzie walczą.

– Co? Nie mówisz serio! Powstrzymałeś mnie poprzednio... A mogę się przydać!

– Bardziej się przydasz, jeśli przeżyjesz tę noc.

– Co twoim zdaniem powinienem zrobić? Schować się w jakiejś dziurze?! – wybuchnął Tesh. – Jesteś głupi. Mogę...

– Chcę, żebyś udał się do Kypu i chronił Brin.

Tesh przypomniał sobie swój sen i jego gniew nieco przygasł.

– A kiedy ta wojna dobiegnie końca, chcę, żebyś założył rodzinę – podjął Raithe. – Wychował dzieci i wiódł dobre, szczęśliwe życie gdzieś, gdzie jest bezpiecznie i zielono, na przykład na wysokim brzegu rzeki Urum. Chcę, żebyś zrobił to, co mnie nie było dane.

Dlaczego on mówi mi to wszystko właśnie teraz?

Tesh spostrzegł, że pozostali ich obserwują, zwłaszcza Suri i Malcolm. Policzki wytatuowanej dziewczyny lśniły od łez.

– Dlaczego...

– Masz talenty i nauczyłeś się z nich korzystać, ale nie pozwól, żeby twoje życie ograniczało się tylko do tego. Dureyane zawsze słynęli z tego, że są wojownikami, ale musisz to zmienić. Obiecaj mi, że zrobisz w życiu coś dobrego, że nie będzie sprowadzało się tylko do zabijania wrogów.

– O co tu chodzi?

– Obiecaj mi.

– Ale nie rozumiem, czemu...

– Obiecaj mi!

Tesh popatrzył na Raithe'a. W jego oczach dostrzegł desperację.

Jest przekonany, że umrze dzisiejszej nocy, pomyślał. Może mistyczka przepowiedziała jego śmierć. Tesh słyszał, że dziewczyna włada magiczną mocą, a nienaturalny spokój Raithe'a przyprawiał go o dreszcze.

– W porządku, obiecuję.

Raithe się uśmiechnął.

– Świetnie. A teraz biegnij do Brin. Zaopiekuj się nią. Bądź dobrym człowiekiem i dobrym ojcem.

Tesh, któremu dopiero co śpieszyło się, żeby wybiec, zawahał się. Coś mu umykało. W kuźni panowała dziwna cisza. Wyczuwał wiszące w powietrzu napięcie.

– Co tu się dzieje?

– Dowiesz się w swoim czasie – odrzekł Raithe. – Na razie twój wódz wydał ci rozkaz. Ruszaj.

Tesh zagapił się na niego, bezskutecznie próbując cokolwiek pojąć. W końcu wspomnienie koszmaru wypchnęło go na zewnątrz.

* * *

Brin nie mogła znaleźć Tesha. Minuty dłużyły jej się niczym godziny, a godziny przemieniały się w wieczność. Z każdą upływającą sekundą jej desperacja tylko rosła. Kiedy zagrały trąby, pojęła, że czas się skończył.

Słyszając ten dźwięk, wszyscy mężczyźni porzucili to, czym aktualnie się zajmowali, i pobiegli na dół, na niższy dziedziniec, by tam sformować szyk. On tam pójdzie, uświadomiła sobie. Chce walczyć w pierwszym szeregu! Niższy dziedziniec nie był teraz odpowiednim miejscem dla Strażniczki Praw, ale desperacko pragnęła zobaczyć się z Teshem jeszcze jeden, ostatni raz.

– Brin! – krzyknął wódz Harkon. – Uciekaj stąd, dziewczyno! Wróg nadchodzi. Biegnij z powrotem do Kypu, ale już!

Ignorując zdrowy rozsądek, Brin wmieszała się pomiędzy mężczyzn zbiegających po schodach. Zaszokował ją widok zniszczeń poniżej górnego

dziedzińca. Pozostałości zawałonych budynków i wież blokowały ulice miasta, ale z samych schodów uprzątnięto gruz, oczyszczono też ścieżkę pozwalającą dotrzeć na niższy dziedziniec. Zejście tam, gdzie do niedawna znajdowała się główna brama, jawiło się niczym wypłynięcie na głębinę; Brin już teraz znajdowała się zbyt daleko od brzegu, fale zalewały jej głowę. Kiedy dotarła na dół, gdzie żołnierze formowali szeregi, by zastąpić kamienny mur murem z żywych ciał i tarcz, nadal nie mogła nigdzie wypatrzeć Tesha. Odgłos maszerowania kazał jej spojrzeć na wschód. Siedem mostów już ukończono i elfia armia przechodziła po nich na drugi brzeg.

Ponieważ nie zostało już żadne miejsce, gdzie mogłaby poszukać Tesha, Brin zawróciła, ale każdy krok przyprawiał ją o niemal fizyczny ból. Chciała tylko raz jeszcze zobaczyć się z ukochanym. Potrzebowała się z nim pożegnać, pocałować go po raz ostatni. Nie uważała, żeby to była wygórowana prośba. Nie przypuszczała, że przeżywanie tych uczuć okaże się tak trudne. Biegąc z powrotem na górny dziedziniec, poczuła, że serce jej pęka – chęć pożegnania się z Teshem była niczym trudny do opanowania głód. Brin musiała się z nim raz jeszcze zobaczyć przed... przed końcem świata.

To było takie niesprawiedliwe!

Inni mieli dla siebie całe lata. Paderze łaskawy los zesłał dekady. A co dostali Brin i Tesh? Zaledwie kilka dni, żeby się w sobie zakochać, żeby walczyć, trzymać się w objęciach i płakać. Brin niczego nie pragnęła tak bardzo, jak tego, żeby zestarzeć się wraz z ukochanym, żyjąc tak jak jej matka. Chciała spędzać jeden nudny dzień po drugim w maleńkiej chacie i cierpieć nocami, słuchając jego chrapania. Gdyby zdarzyło mu się zachorować, karmiłaby go zupą. W dniu urodzin zaskoczyłaby go prezentem: nową parą wełnianych rękawic, które miesiącami robiłaby dla niego na drutach. Brin chciała spędzać przy jego boku długie zimy – sypialiby na jednym posłaniu zwinięci w kłębek niczym dwa susły w norce. Pragnęła urodzić mu dzieci, patrzeć, jak dorastają, zawierają małżeństwa i same dochowują się dzieci. Jak Tesh wyglądałby z siwymi włosami? Jak by to było siedzieć wspólnie na przyzbie i popijać ziółka, patrząc na bawiące się przed chatą wnuki? Nie będzie jej dane się tego dowiedzieć.

Dostała jeden pocałunek, tylko jeden marny pocałunek!

– Brin!

Okręciła się na pięcie i ujrzała nadbiegającego Tesha.

Rozpostarła ramiona i porwała go w objęcia. Przytuliła go najmocniej, jak potrafiła, i ucałowała. Raz, potem drugi i trzeci. Z ustami nadal przy jego ustach, kurczowo wczepiając się dłońmi w jego włosy i koszulę, oznajmiła:

– Chciałam się pożegnać.

– Pożegnać?

Zbliżyła policzek do jego policzka i wyszeptała mu do ucha:

– Pójdiesz walczyć razem z resztą żołnierzy, a jutro rano wszyscy będziemy martwi. Musiałam się z tobą zobaczyć. Musiałam się pożegnać. Musiałam... Muszę ci powiedzieć... Kocham cię.

Nie planowała tego mówić. Nawet nie przeszło jej przez myśl, że mogłaby. Te słowa po prostu wymknęły jej się mimo woli, ale gdy tylko wybrzmiały, Brin wiedziała, że są prawdą. To dlatego tak desperacko pragnęła go odszukać.

– Ja też cię kocham – odrzekł Tesh.

Kocha mnie! Pocałowała go raz jeszcze.

Rozległ się dźwięk trąb. Słyszała okrzyki oraz szczęk metalu. Zignorowała to wszystko. Świat mógł się rozpaść, nie robiło jej to żadnej różnicy.

– Brin! Na Tet, co ty tu robisz?!

Biegła ku nim Moya wraz z grupą tarczowników i łuczników. Miała zawziętą minę, a w ręku trzymała łuk z nałożoną cięciwą.

– Wróg zajął niższy dziedziniec. Już wspinają się po schodach. Biegnij do Kypu! Szybko!

* * *

Padera właśnie schodziła po schodach, kiedy tłum żołnierzy zaczął po nich wbiegać. Zmierzała na poszukiwanie Raithe'a, a wedle jej wiedzy należało go szukać w koszarach. Te znajdowały się po przeciwległej stronie mostu wspornikowego, za Verenthenonem. Należało minąć kopułę i zejść po długich, wąskich schodach na wyższy dziedziniec. Zdołała dotrzeć tylko do mostu.

– Nie idź tam – powiedział Grygor.

Stał na straży obok wrót z brązu, które chwilowo były otwarte, żeby mógł przez nie wyglądać.

– Persefona chce, żebym zaniósła wiadomość do Raithe'a.

Grygor pokręcił głową.

– Już za późno. Armia fane'a przeprawiła się przez przepaść.

Staruszka stanęła obok olbrzyma w drzwiach Kypu, spoglądając na koniec świata. Niebo znów zapowiadało rychłą burzę. Ciemne, nienaturalne chmury zakryły gwiazdy, kłębiąc się i przewalając złowróźnie. Wśród skłębionych odcieni szarości zamigotały oślepiające zygzaki błyskawic przy akompaniamencie trzeszczenia i huków.

– Chciałbym, żeby spadł deszcz – oznajmił Grygor.

Padera spojrzała na niego. Bez względu na to, jak przekrzywiła głowę i jak mocno mrużyła jedyne oko, nie była w stanie przybrać dostatecznie niedowierzającej miny.

– Czyś ty właśnie powiedział, że chciałbyś, żeby spadł deszcz? Czemu, u licha...

– Bo wtedy byłyby to tylko burza, nieprawdaż? Tylko wiosenna ulewa. Moglibyśmy pozamykać okiennice, zaryglować drzwi i nawałnica minęłaby jak wszystkie inne, nie czyniąc większych szkód. Ale to nie jest zwykła burza, czyż nie?

Za kopułą Padera dostrzegła smugi czerwonego światła wykwitające z przeciwległej strony przepaści. Jeden z tych rozbłysków trafił ocalałą przednią wieżę twierdzy, niszcząc jej czubek.

– Nie – przyznała staruszka. – Nie, nie jest.

Wiatr przyniósł wrzaski. Okrzyki bólu i zgrozy napłynęły z osiedli miejskich oraz niższego dziedzińca. Były wystarczająco stłumione przez odległość, żeby przypominać zawodzenie duchów.

– Przybyli moi krewni. – Grygor wskazał siedem mostów, po których właśnie przelazło kilku ogromnych Grenmorian dzierżących potężne maczugi. Każdy ich cios roztrzaskiwał ocalałe fragmenty murów.

– Czemu nie jesteś teraz z nimi?

Grygor popatrzył w dół na staruszkę.

– Nie dogaduję się z moją rodziną.

– Nikt nie dogaduje się z własną rodziną – odrzekła Padera.

– Próbowali mnie zabić, i to dwa razy. Za pierwszym ocalił mnie ślepy traf. Za drugim Nyphron. Później już nie próbowałem wracać.

Świat zadygotał w posadach. Zarówno Grygor, jak i Padera zatoczyli się i przytrzymali framugi, żeby nie upaść.

– Znów to robią – stwierdziła staruszka. – Traktują tę fortecę tak, jak pies złapanego królika.

Kolejny wstrząs – i kopuła Verenthenonu pękła jak jajko. Z początku było to zaledwie pęknięcie, cienkie jak pajęcza nić, ale złowrogi zygzak tej rysy prorokował katastrofę. Po chwili spod kopuły wysypał się tłum ludzi. Uciekinierzy gnali jeden za drugim przez most wspornikowy, zmierzając w stronę Grygora i Padery. W większości byli to żołnierze, w tym wodzowie Tegan i Harkon, ale na czele grupy pędzili Moya, Brin, Tekchin i Tesh.

Proroctwo się wypełniło, gdy kopuła runęła. Z brzucha Verenthenonu wzbila się potężna chmura pyłu, przesłaniając most na całej długości. Padera na długą, okropną chwilę straciła z oczu wszystkich biegnących. Potem z kłębow pyłu wyłoniła się mokra od potu Moya. Biegła, pracując rękami jak podczas wyścigu, dzierżąc łuk wysoko w jednej dłoni.

Grygor i Padera usunęli się w bok, gdy pokryci pyłem żołnierze zaczęli się tłoczyć w przedsionku Kypu.

– Zaryglujcie drzwi! – krzyknął Tegan, kiedy ostatni z ocalałych wpadł do środka.

Grygor wydawał się nad wyraz zadowolony, że może zatrzasnąć odlane z brązu wrota i zasunąć metalowe rygle.

– Wszystko po drugiej stronie tych drzwi jest dla nas stracone. – Harkon otarł z twarzy pył i brud.

– Zmiażdżyli nas przy głównej bramie – dorzucił Bergin, dysząc ciężko. – Nie mamy jak ich powstrzymać.

Tegan położył dłoń na zamkniętych odrzwiach, jakby chciał siłą woli sprawić, żeby wytrzymały.

– Jest ich zbyt wielu.

– A potem rozpoczął się pokaz światła – mruknął Harkon.

– A teraz wysłali olbrzymy – dodała Moya, zerkając na Grygora. – Idę na górę do Persefony. Umrę razem z nią.

Pozostali nic nie odrzekli, ale wielu pokiwało głowami.

– Ja tu zostanę i będę bronił tych wrót – oznajmił Tegan. – Nienawidzę schodów.

– Ja też. – Harkon dobył miecza i zważył go w rękach. – Bogowie stworzyli schody, żeby pokarać ludzi.

– Ja tu zostanę – powiedział Tesh, zwracając się do Brin, która cofnęła się o krok, jakby ją odepchnął. – To najlepsze, co mogę zrobić, żeby cię chronić.

– Czemu jesteś tu, na dole? – zapytała Moya Paderę.

– Wysłano mnie, żebym odnalazła Raithe’a.

Moya pokręciła głową i wskazała wrota swoim łukiem.

– Po drugiej stronie tych drzwi nie ma już nic, tylko ciała.

* * *

Zebrani w kuźni podnieśli gwałtownie głowy na dźwięk kolejnej eksplozji, ale Malcolm nie wydawał się zmartwiony. Tressa i karły gapili się rozszerzonymi oczami na drzwi, zza których dobiegały wrzaski. Raithe wiedział, że jeśli jakimś cudem uda im się dożyć świtu, te odgłosy będą do nich wracały w koszmarach przez resztę życia. Rozlegały się też inne dźwięki: donośny huk, metaliczny łoskot oraz wycie wściekłego wichru.

Coś rąbnęło w niepozorne drewniane drzwi kuźni – osiem pionowych klonowych desek spojonych zygzakowatym kawałkiem metalu – zamknięte na rygiel z brązu.

Roan pracowała przy urządzeniu napędzanym pedałem jak kołowrotek do przędzenia, ale wyposażonym w ramię obite miękką tkaniną. Skończywszy,

wyciągnęła szmatę zatkniętą za swój skórzany fartuch i wytarła miecz, który trzymała. Odwróciła się, obejrzała broń w blasku ognia i skinęła głową. Potem, nadal wycierając klingę, przeszła przez całą szerokość warsztatu, żeby wręczyć Raithe'owi swoje dzieło. Trzymała miecz oburącz, przez szmatę, żeby nie zostawić śladów palców na lśniącym metalu.

– Wykonałam go najlepiej, jak potrafiłam – oznajmiła.

Długi, połyskliwy miecz o głębokiej czarnej barwie był czystą perfekcją. Roan nieprawdopodobnie rozwinęła swoje umiejętności płatnerskie. Przedmiot, który złożyła w ręce Raithe'a, w zasadzie nie był mieczem – nie był bronią, tylko dziełem sztuki.

Wszyscy obecni zagapili się na niego, gdy oglądał klingę.

To nie jest miecz, którym dane mi będzie walczyć, pomyślał. Patrzę na... trzymam... moją własną śmierć.

– Ja... – Głos Roan się załamał; zamilkła. Przygryzła wargę i się rozplakała.

– Jest piękny – zapewnił ją Raithe. – To najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Dziękuję.

Roan zaczęła szlochać, po czym jawnie się załamała. Podbiegła z powrotem do stołu roboczego, ale odsunęła stołek i usiadła na ziemi, podciągając kolana pod brodę. Dopiero wtedy Raithe uzmysłowił sobie coś oczywistego. Miecz, który teraz trzymał w rękach, był jej podporą, podobnie jak wszystkie pozostałe miecze, a także tarcze i pancerze. To były filary, których Roan się uczepliła, żeby móc się utrzymać na nogach. Praca odwracała jej uwagę, stanowiła mały bezpieczny świat, jej ostoję, ale ta klinga była ostatnim dziełem jej rąk, a teraz wojna w końcu zapukała do drzwi.

Raithe zważył miecz w dłoniach: ciężki, dobrze wyważony, wspaniały. Odwrócił go. Odbijający się w kładzie blask ognia oświetlił jego twarz.

Zza drzwi dobiegły kolejne wrzaski. Usłyszał krzyk mężczyzny:

– Pomocy! Pomocy!

„Obiecuj mi, Raithe”. Usłyszał w głowie głos swojej matki, drżący z zimna. Jej oddech tworzył obłoki w mroźnym powietrzu. „Obiecuj mi, że zrobisz w życiu coś dobrego. Spraw, żeby to życie było coś warte”.

Podszedł do Suri. Mistyczka siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, tak samo jak zwykła siadywać w dahlu Rhen, tylko teraz jej włosy oraz skóra były czyste i miała na sobie elegancką asykę, jaką nosili wysoko postawieni Fhrejowie. Podniosła na niego wzrok, kiedy wyciągnął miecz.

– Przypuszczam, że to znaczy, że już nie nauczę się żonglować. – Chciał zażartować, żeby przełamać napięcie.

Suri zaczęła płakać.

– Przepraszam – powiedział i westchnął. – To jak to działa? Czy będę pamiętał, kim jestem? Kim byłem? Zachowam wspomnienia?

– Nie wiem – odrzekła Suri, pociągając nosem. – Minna... – Pokręciła głową... – Tak naprawdę to wcale nie była Minna... A jednak czułam, że w tej istocie pozostała cząstka Minny.

– I ten miecz. – Raithe znów popatrzył na klingę. – Zostanie użyty, żeby mnie zabić po tym, jak już skończę walczyć z Fhrejami?

– Zostaniesz zabity, gdy będę tworzyć bestię. Szczerze, nie mam pojęcia, ile z ciebie ma szansę w niej przetrwać. Może nic. Może tylko to, jak splotłam czar, sprawiło, że tamta bestia przypominała Minnę. Miecz rozerwie splot. Jeśli jakakolwiek część ciebie pozostanie uwieczniona w splocie, miecz ją uwolni.

– To co mam teraz zrobić?

Suri wyciągnęła rękę i ujęła miecz.

– Po prostu się połóż – powiedziała.

Raithe usłuchał, a ona złożyła wspaniały miecz na jego piersi.

– Czy nie powinno na nim widnieć moje imię?

– Tak, ale to... – Suri zacisnęła usta, aż zbielały jej wargi, i przymrużyła oczy, jakby przeszył ją straszny ból. Zaczerpnęła tchu. – Kiedy Minna skoła, nie miałam miecza ani niczego podobnego, więc jej ulatujący duch zapisał swoje imię w moim umyśle. Kiedy twój duch opuści ciało, przeniknie miecz i pozostawi na nim swoje imię. Ty sam je zapiszesz w języku stworzenia.

Raithe pokiwał głową.

Coś ponownie rąbnęło w drzwi kuźni, coś ciężkiego. Zawiasy jęknęły.

– Kończy nam się czas. Za moment się tu wedrą! – wykrzyknął Powódź głosem o oktawę wyższym niż normalnie.

– Nie – odrzekła spokojnie i cicho Suri. – Te drzwi się nie otworzą, dopóki im nie pozwolę. – Popatrzyła na Raithe'a. – A kiedy to nastąpi... tamci pożałują. – Przesunęła palcami wzdłuż klingi miecza. – To taki piękny przedmiot, a został stworzony w tak strasznym celu. – Wzdrygnęła się i uniosła dłoń do twarzy.

– Nie wiem, kogo to bardziej zaboli – powiedział Raithe. – Mnie czy ciebie.

Suri podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Po jej policzkach spływały łzy.

– Mnie – odrzekła bez śladu humoru. – Ty... Ty nie poczujesz zupełnie nic. Ale ja tak. – Pojedyncza łza spadła z jej podbródka na błyszczącą klingę. – Będę czuła ból każdego dnia. Każdego. Dnia. Przez resztę życia. Będę widziała twoje oczy, tak jak widzę je teraz, tak jak nadal widzę oczy Minny. Miała błękitne oczy, jasnobłękitne. Tak bardzo, bardzo jasne.

– Może będzie ci lżej ze świadomością, że nie miałem nic do stracenia – powiedział Raithe. – Pod wieloma względami wyświadczasz mi przysługę, jeżeli coś to ułatwi.

Suri położyła dłoń na czarnym, lśniącym brzeszczocie.

– Nie ułatwi.

* * *

Persefona usiadła w łozu. Oparta o poduszkę i rzeźbione wezglowie wsłuchiwała się w odgłosy bitwy. Murami wstrząsały tak silne eksplozje, że baldachim nad jej głową drżał. W prawej dłoni trzymała sztylet wykuty przez Roan, w lewej zaś skraj koca. Zaciskała obie dłonie aż do bólu.

Bała się. Już wkrótce będzie po wszystkim, powtarzała sobie. Wkrótce będzie po wszystkim.

Lada moment jakiś Fhrej wedrze się do komnaty, ktoś wyglądający z grubsza jak Nyphron. Tak mówił jej rozsądek. Emocje podsuwały wizje potworów: kły, świecące ślepia, szpony. Monstra w typie raowa, tylko większe – dużo większe.

Wołania, krzyki, dudnienie kroków, a potem nastąpiło to, na co czekała. Drzwi do przedsionka jej apartamentu otwarły się gwałtownie. Persefona wzdrygnęła się – omal nie krzyknęła.

– Przedarli się przez most wspornikowy – oznajmiła zadyszana Moya, wkraczając do sypialni.

Jej twarz i ręce lśniły od potu. W lewej dłoni dzierżyła łuk, a na prawym ramieniu niosła kołczan ze strzałami. Za nią zjawiły się Brin i Padera. Staruszka minęła łukowate wejście i słupki podtrzymujące baldachim łoża, powłócząc nogami i mrużąc oczy z tą samą skwaszoną miną co zwykle. W odróżnieniu od Padery Brin była przerażona. Wpadła do sypialni cała we łzach.

– Chodźcie na łóżko! – krzyknęła Persefona, machając do nich.

Brin natychmiast wskoczyła na łożo i uściskała ją mocno. Dziewczyna trzęsła się jak liść.

Padera usiadła po drugiej stronie łoża, ściągnęła sandał i zaczęła masować stopę.

Moya stanęła przed drzwiami z łukiem w pogotowiu i strzałą na cięciwie. W dłoni napinającej cięciwę miała pomiędzy palcami kolejne cztery strzały, a pięć dzierżyła w drugiej wraz z łączyskiem.

– Co się dzieje? – zapytała Persefona.

– Ukończono budowę mostów i elfia armia przeszła nad przepaścią – wyjaśniła Brin.

– Nadciągnęli bez ostrzeżenia – powiedziała Moya. – Setki żołnierzy. Wyglądają pięknie i strasznie, cali w lśniącym złocie i migotliwym błękicie. Razem z nimi nadciągnęły trąby powietrzne i olbrzymy. Nic ich nie powstrzyma. Nadchodzą.

Buuum!

– Już tu są – oznajmiła Moya, zaglądając przez łukowate drzwi do saloniku, jakby pozwalało jej to zobaczyć nadchodzących wrogów. – Walą taranem we wrota z brązu na dole. Tegan i Harkon próbują ich bronić wraz z garścią ludzi. – Popatrzyła na Persefonę. – Są z nimi Gavin Killian i Bergin.

Persefona nie wiedziała, czemu Moya powiedziała jej o Gavinie i Berginie. Może sądziła, że ta informacja będzie w jakiś sposób pocieszająca. Słyszając imiona mężczyzn z dahlu Rhen, Persefona przypomniała sobie swój dawny i odległy dom: świat z innego czasu, od którego oddzielał ją przecież zaledwie rok. Ujrzała stojący u podnóża schodków do strażnicy kamienny stół z posągami Mari oraz misami wypełnionymi żarem. Przypomniała sobie letnie jarmarki, podczas których Bergin serwował miód, piwo z jęczmienia oraz wino poziomkowe, a także mroczne zimowe noce, kiedy Gavin snuł opowieści o duchach, a przerażony nimi Habet dokładał do ognia więcej drewna, niż było potrzeba. Cała tamta egzystencja przepadła. Nawet wspomnienia o niej były teraz wymazywane jedno po drugim.

„Przyszedł powiadzić wodzowi, że umrzemy”. Powrócił do niej głos Suri, którego niewinne brzmienie kontrastowało z wypowiedzianymi słowami, a oderwany od rzeczywistości ton tak skonfundował Persefonę.

„Kto umrze?”.

„My wszyscy”.

„Jacy wszyscy? Ty i ja?”.

„Tak. Ty, ja, ten śmieszny człowiek z rogiem przy bramie, wszyscy”.

Wówczas Persefona sądziła, że dziewczyna po prostu liczy na poczęstunek. Uważała też, że Suri kłamie. Myliła się. Jedyłą kwestią, w jakiej Suri skłamała, była nadzieja, że usłuchanie rady udzielonej przez drzewa może pomóc. Persefona zrobiła wszystko, o czym mówiła Megda, i nie uratowało ich to.

Suri miała rację. Wszyscy umrzemy, pomyślała Persefona. Ty, ja, ta stara kobieta. Ta młoda dziewczyna. Ludzie na zewnątrz. Wszyscy.

Raithe miał rację. Nie było szans, żeby zdołali wygrać, ale zarazem się mylił. Nawet wiedząc, jak to wszystko się zakończy, Persefona i tak postanowiłaby zostać.

Nie ma ucieczki przed śmiercią. Wszyscy spędzają życie na ściganiu nieosiągalnych marzeń. Ona zaryzykowała i poświęciła swoje, żeby walczyć o nadzieję – nie dla siebie, ale dla wszystkich, którzy byli gotowi pójść za nią.

Kyp się zakołysał, gdy coś potężnego rąbnęło w jego fundamenty. Z belek sufitu posypał się pył, a w salonie złoty kielich spadł z miejsca, gdzie stał na kamiennym gzymsie, i z brzękiem wylądował na posadzce.

– Tak strasznie się boję. – Brin mocno objęła Persefonę, przytulając głowę do jej boku. – Myślisz, że to będzie bardzo bolało?

– Nie, dziecko – odrzekła natychmiast Padera. – Fhrejowie nie są miłośnikami zabaw.

– To prawda – zapewniła dziewczynę Persefona, chociaż nie miała pojęcia, czy to prawda, i wiedziała, że Padera też nie wie. – Pójdzie szybko, a później wszyscy będziemy znowu razem. My, twoja matka i ojciec, Mahn, Reglan...

– Melvin i moi chłopcy – dodała Padera. – Już zbyt długo ich nie widziałam.

– Maeve? – podsunęła z nadzieją Brin.

Persefona potaknęła, odgarniając dziewczynie włosy z oczu.

– Rolnik Wedon, Holliman, Killianowie... – Moya wymieniała kolejne imiona, jakby chciała się upewnić, że nie zapomni zaprosić wszystkich na pozagrobową ucztę.

– I Aria. – Persefona zerknęła na Paderę, której wiecznie skwaszone usta jednak zdołały się uśmiechnąć. I Raithe, pomyślała Persefona. Czy naprawdę wszyscy tam będą?

Drzwi apartamentu się otwarły, a Moya napięła łuk.

– To Nyphron! – krzyknęła ostrzegawczo Brin, powstrzymując ją.

Wszedł przywódca Galantian, a za nim pół tuzina ludzi oraz Vorath, Eres, Grygor i Tekchin.

Persefona usłyszała okrzyk Nyphrona:

– Zablokujcie drzwi!

Tegan i Tekchin wnieśli do sypialni Harkona. Wódz klanu Melen krwawił z kilku ran. Najpoważniej wyglądała ta na czaszce; ciekący z niej strumień czerwieni zalewał rannemu oczy. Wszyscy trzej byli pokryci krwią. Nawet Tekchin.

– Czy ty...? – zapytała Moya.

Tekchin objął ramieniem jej szyję, przyciągnął Moyę do siebie i złożył na jej ustach długi pocałunek.

– Nie – odrzekł z wyraźnym rozczarowaniem, niemalże obrzydzeniem do samego siebie.

– No cóż, z całą pewnością pomogli. – Tegan prędko stanął w obronie Galantianina, odcinając mieczem pas płótna od prześcieradła Persefony. – Proszę wybaczyć, pani keenig.

– Weźcie całe, jeśli go potrzebujecie.

Serce Persefony łomotało. Widok krwi uzmysłowił jej, że ten koszmar dzieje się naprawdę.

– Mamy bandażę na tamtym stole – powiedziała Padera. – A także igłę i nici.

Tegan popatrzył we wskazanym kierunku.

– Daj mi to! – krzyknął Harkon. Wyrwał Teganowi pas płótna i zaczął wycierać twarz.

– Później będziesz się martwić o to, żeby widzieć – warknął Tegan. Odebrał mu płótno i przycisnął je do rany. – Trzeba zatamować tę cholerną rzekę krwi.

Przez uchylone drzwi do sypialni zajrzał Grygor.

– Udało ci się – powiedziała Padera.

Olbrzym posłał jej łobuzerski uśmiech.

– Co się stało z Teshem? – Brin zostawiła Persefonę, wzięła ze stołu bandażę i wręczyła je Teganowi.

– Nie wiem – odrzekł Tegan. – Był z nami. Ale kiedy tamci wdarli się przez wrota, wszyscy rzuciliśmy się do ucieczki. Byłem zbyt skupiony na martwieniu się o siebie, żeby patrzeć, co robią inni.

– To Fhrejowie nas uratowali – powiedział Harkon, pomagając przycisnąć nowy kawał płótna do swojej rany, podczas gdy Tegan i Brin usiłowali obwiązać mu głowę bandażem. – Zastąpili im drogę. Zablockowali ich ataki. Dali nam czas na...

– Nadchodzą! – krzyknął z salonu Eres.

Tekchin wyskoczył z sypialni, żeby do niego dołączyć, a Moya podbiegła do łukowatego wejścia łączącego obie komnaty. Grygor stanął na lewo od niej.

Persefona usłyszała głuchy łoskot, potem huk, a w końcu trzask łamanego drewna, gdy drzwi wiodące na korytarz się otwały. Moya wystrzeliła pierwszą strzałę i natychmiast sięgnęła po kolejną. W salonie rozległy się okrzyki i wrzaski.

– Pomóżcie mi wstać! Pomóżcie mi wstać! – zażądał Harkon.

Tegan postawił go na nogi i wetknął mu miecz z powrotem do ręki.

– Nic nie widzę! – Harkon się zawahał. – Mam w oczach pełno krwi!

– Spokojnie. Powiem ci, kiedy machać – odrzekł Tegan.

Patrząc ponad ramieniem swojej Tarczy, Persefona ujrzała, jak Fhrejowie wdzierają się do saloniku. Wyglądali tak, jak opisała ich Moya – zarazem piękni i straszni, odziani w lśniące złoto i migotliwy błękit. W okamgnieniu zabili garbarza Rigglesa. Trzech innych mężczyzn zarąbano, gdy do komnaty wdarło się więcej żołnierzy fane'a. Moya strzelała raz za razem. Wiele strzał trafiło w cel: posadzkę zaścielały już ciała w złoto-błękitnych mundurach.

– Dorwijcie tę, która miota małe oszczepy! – krzyknął ktoś po fhrejsku.

Wtedy na wrogów zaszarżował Tekchin, a w każdym razie próbował. Grygor odrzucił go na bok i sam ruszył naprzód.

– Ty masz przed sobą perspektywę życia pozagrobowego. Grenmorianie po prostu obracają się w proch.

Olbrzym puścił w ruch swój ogromny miecz, walcząc z zaskakującą szybkością i nie tak zaskakującą siłą. Pancerze z brązu chroniły Fhrejów przed rozsiekaniem na pół, ale ciosy Grygora z pewnością łamały im kości. Trafieni upadali i już nie wstawali.

Persefonie przez moment zdawało się, że jest nadzieja. Gdyby Galantianie zdołali powstrzymać napór tamtych, a Moya mogła strzelać... Ale wtedy ściana korytarza eksplodowała i do saloniku wlał się tłum Fhrejów. Grygor otrzymał pchnięcie włócznią w ramię i kolejne w bok. Zatoczył się. Vorath skoczył mu na pomoc i poległ jako pierwszy, gdy trzy ostrza ugodziły go w plecy. Persefona nie widziała, jak upada, ale usłyszała, jak Eres wykrzykuje jego imię.

Patrząc przez drzwi oddzielające sypialnię od saloniku, Persefona zobaczyła, jak Grygor zostaje zepchnięty do tyłu. Olbrzym mężnie zaszarżował na napastników, dezorganizując ich atak i czyniąc przestrzeń, ale w miejsce powalonych wrogów natychmiast zjawiali się nowi. Walczył dzielnie, lecz napór był zbyt wielki.

Czy zostaliśmy już tylko my? – głowiła się Persefona. Czy wszyscy inni, którzy bronili fortecy, zginęli?

Grygor poleciał do tyłu, a Persefona ujrzała, jak do saloniku wchodzi Fhrej w asyce.

Miralyith.

Moya też go spostrzegła i posłała następną strzałę prosto w jego pierś. Ta wyparowała w locie.

Miralyith zmierzył łuczniczkę straszliwym wzrokiem i wyrzucił naprzód rękę.

– Moya! – krzyknęła Persefona, gdy Tarcza keeniga została zmieciona z nóg podobnie jak chwilę wcześniej olbrzym.

* * *

Tesh zdziwił się, gdy odkrył, że Sebek jest sam. Nikt nie pilnował izdebki na przedostatnim piętrze Kypu, gdzie ranny Fhrej dochodził do zdrowia. Obowiązkiem Sebeka było strzec Nyphrona, ale przywódca Galantian najwyraźniej nie czuł się zobowiązany do wzajemności. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Żaden z nich nie przeżyje kolejnych paru godzin. Mimo wszystko Tesh oczekiwałby, że Nyphron uda się do swojej Tarczy, ale może Galantianie mieli odmienne zwyczaje.

Sebek siedział w łóżku, nagi do pasa. Jego tors spowijały białe bandaże. Błyskawica i Grzmot leżały na posłaniu niczym dwa stróżujące psy. Każdy, kto

znał tego Fhreja, zawahałby się na ich widok. Nawet tak ciężko ranny Sebek wciąż był niebezpieczny.

Armia fane'a osiągnęła swój cel: zagonili Nyphrona po schodach do komnaty, gdzie leżała keenig, do Sanktuarium. Nikt nie wpadł na to, żeby otworzyć po drodze te niepozorne drzwi. Nikt poza Teshem. Chłopak żałował, że nie jest teraz przy Brin, ale niewiele mógł zrobić dla niej czy dla kogokolwiek innego. Nie było można wygrać tej bitwy. A jedno zwycięstwo nadal pozostawało w zasięgu Tesha.

Sebek wyglądał na zaskoczonego.

– Co ty tu robisz?

– Nie możesz oczekiwać, że wrogowie wyświadczą ci tę uprzejmość, żeby atakować tylko wtedy, gdy jesteś przygotowany. Czasem zaskakują cię w takich miejscach, z których nie ma jak się wycofać – odrzekł Tesh.

– Co ty wygadujesz?

– Nie pamiętasz, jak mi to powiedziałeś na moście, tuż przed tym, zanim spróbowałeś mnie zabić?

Tesh zamknął drzwi, podczas gdy Sebek śledził każdy jego ruch.

– I mało brakowało, czyż nie?

Tesh zasunął rygiel.

– No, broniłem się przez jakiś czas. Myślę, że cię zaskoczyłem. – Tesh posłał Sebekowi uśmiech, po czym wzruszył ramionami. – Nadal nie jestem tak dobry jak ty. Mam słabsze nadgarstki, poza tym jesteś szybszy. Pokonałbyś mnie i zabił, gdyby Brin się nie wtrąciła. Ale tak ogólnie to zaskoczyłem cię, prawda? Taki Rhun jak ja, jeszcze prawie dziecko, walczący z Sebekiem niemal jak równy z równym. – Tesh kiwnął głową. – Dużo się nauczyłem. Nie dość, żeby cię pokonać; nie dość, żeby na serio rzucić wyzwanie któremuś z Galantian, a co dopiero najlepszemu z nich. Ale prędzej czy później... No cóż, teraz już się nie dowiemy.

Sebek nie poruszył się, milczał, ale nadal obserwował każdy ruch Tesha.

– Wiesz, kiedy poznałem Raithe'a, nauczył mnie, że jeśli chcemy rozpracować, w jaki sposób najlepiej będzie zabić jakiegoś wroga, trzeba dowiedzieć się jak najwięcej o tym, jak ten wróg walczy. „Ustal, jakie są jego silne i słabe strony, odkryj jego sekrety i nigdy nie pozwól, żeby poznał twoje”. Tak mi powiedział. Od tamtej pory co wieczór kładłem się spać, słysząc w głowie te słowa. Raithe mówił prawdę, ale myślałem, że będę miał więcej czasu, wiesz?

– Widziałeś nas – powiedział Sebek, a jego dłonie zacisnęły się na rękojeściach mieczy.

– Kiedy ty i reszta Galantian przybyliście do naszej wioski? – Tesh znowu kiwnął głową. – Moja matka była mądrą i inteligentną kobietą. Gdy tylko dowiedziała się, że nadchodzicie, ukryła mnie w piwniczce. Byliśmy biedni, jak wszyscy mieszkańcy wioski, więc zamiast komory mieliśmy tylko dziurę w ziemi obudowaną ceglami. Brakowało nawet drewna, żeby zrobić drzwi. Mój ojciec wyszedł na zewnątrz, żeby kupić matce czas. Zaprowadziła mnie na dół, zakryła dziurę derką, a potem przesunęła łóżko, by zasłonić to miejsce. Następnie wyszła na zewnątrz, dołączając do ojca. Z zewnątrz piwniczka była niewidoczna. Wyjąłem jedną cegłę i przez ten mały otwór patrzyłem, jak zabijasz mojego ojca. Kiedy matka płakała nad jego ciałem, uciąłeś jej głowę. – Tesh wskazał miecz spoczywający po lewej. – Grzmotem, jak mi się zdaje. Była kobietą, niewartą ciosu Błyskawicy, czyż nie? A jednak w pewnym sensie zdołała cię pokonać. Nie znaleźliście tego, co ukryła.

Sebek usiłował przybrać bardziej wyprostowaną pozycję, ale tylko skrzywił się z bólu.

– Wy, Galantianie, jesteście prawdziwymi bohaterami. Od razu rzuciło mi się to w oczy, gdy patrzyłem, jak mordujecie wszystkich. Nieuzbrojonych mężczyzn, kobiety trzymające niemowlęta, i oczywiście dzieci. Zaiste, nie ma bardziej bohaterskiego czynu niż zarżnięcie niewinnego dziecka. Długo sądziłem, że spaliliście wszystkie chaty tylko dlatego, że tak wam kazała staranność, albo dlatego, że wasz fane wydał taki rozkaz. Ale on nawet nie wie, prawda? Nigdy nie zarządził tamtego ataku ani żadnego innego. Wojna z Fhrejami nie istniała, dopóki wyście jej nie rozpoczęli. Wymordowaliście wszystkich mieszkańców Dureyi i Nadaku, żeby przerazić pozostałe klany. Chcieliście, żebyśmy myśleli, że fane jest naszym wrogiem i że nie mamy innego wyboru, jak tylko się bronić. Ta wojna to pomysł Nyphrona, prawda?

Sebek nic nie odrzekł, wytrzeszczał tylko oczy. Tesh uznał to za potwierdzenie.

– Nyphron chce zostać fane'em, ale Fhrej, który chciałby rządzić w imieniu waszego boga, nie może złamać ustanowionego przezeń prawa, zgadza się? Ferrol zabrania Fhrejom zabijać Fhrejów. Dlatego Nyphron potrzebował armii Rhunów. Żeby zrobiła to, czego on nie może.

Sebek w końcu przemówił.

– Przeszedłeś tu, żeby mnie zabić.

Tesh poczuł satysfakcję. Chciał, żeby Sebek wszystko rozumiał. Długo czekał na tę chwilę, więc uważał, że zasłużył przynajmniej na tyle.

– Zabiłbym was wszystkich, gdybym miał czas.

– To dlaczego ocaliłeś Nyphrona przed raowem?

Tesh uśmiechnął się i powoli dobył mieczy.

– To ja mam być tym, który pozabija was wszystkich. – Westchnął. – Nyphron przypuszczalnie już nie żyje, więc niepotrzebnie go ratowałem. Ale mając wybór, z was dwóch wolę zabić ciebie. Nyphron tylko wydał rozkaz, a to ty zabiłeś moją rodzinę. Codziennie przez ponad rok z trudem powstrzymywałem wymioty, udając, że jestem twoim oddanym uczniem. Czekałem, aż nabędę wystarczających umiejętności.

– I myślisz, że ponieważ jestem ranny, zdołasz mnie pokonać?

– Tak.

Sebek zgrzytnął zębami, złapał swoje miecze i opuścił stopy na posadzkę.

Tesh pozwolił mu wstać.

Wykonał fintę lewą ręką. Sebek sparował. Szczęk zderzających się ostrzy wyjaśnił wszystko. Sebek postawił słabą zasłonę i nie nastąpił po niej atak.

Wyświadczam mu przysługę, pomyślał Tesh. Chce, żebym go zabił.

Dla wojownika nie ma lepszej śmierci niż ta w walce. Ale Tesh nie przyszedł po to, żeby po prostu zabić Sebeka. Chciał zadać temu Fhrejowi ból, pozwolić mu zasmakować straty. Żelazna klinga Roan okazała się zdolna do tego, co obiecywała. Z całej siły rąbnął nią w Błyskawicę i w nagrodę ujrzał, jak ostrze przecina brązowy miecz zaraz za rękojeścią.

To za mojego ojca, pomyślał.

Mógłby teraz zabić Sebeka, ale nie zamierzał wyświadczać Fhrejowi żadnych przysług. Jego kolejne ciosy nie były wymierzone w ciało przeciwnika, lecz w Grzmot. Dwa silne okrężne ciosy sprawiły, że miecz Tesha zadziałał niczym ogromne nożyce, i ocalała klinga Sebeka też złamała się z trzaskiem.

To za moją matkę.

Sebek zatoczył się do tyłu. Nie patrzył na Tesha. Skupił wzrok na kikutach mieczy, tak jakby odcięto mu dłonie. Tesh znieruchomiał, pozwalając, by pokonany wróg w pełni odczuł ból. Po policzkach Sebeka spłynęły łzy.

– Teraz już wiesz – powiedział Tesh. – Teraz rozumiesz.

Pozwolił Sebekowi płakać. Fhrej osunął się na kolana, szlochając nad złamanymi mieczami. Tesh odczekał pełną minutę, zanim uciął mu głowę.

* * *

Ku zaskoczeniu i uldze Persefony ani Moya, ani Grygor nie byli martwi. Oboje dźwignęli się z powrotem na nogi, jedynie powaleni silnym podmuchem wiatru. Szok ustąpił miejsca dezorientacji.

Dlaczego oni wciąż żyli?

Odpowiedź była dosłownie wypisana na Moyi. Po pierwszej bitwie Tarcza keeniga wymalowała runy na całym posiadanym ekwipunku. Jednakże Grygora

nie chroniły znaki Orinfaru, nie nosił też zbroi. Miralyith powinien był zabić przynajmniej olbrzyma. Ale ponieważ Artyści nie potrafili poznać, kto nosi runy Orinfar, a kto nie, przypuszczalnie zawsze najpierw atakowali powietrzem.

Grygor był już z powrotem na nogach. Widząc, kto stanowi największe zagrożenie, zrezygnował z atakowania innych i rzucił się na łysą postać.

Miralyith albo spostrzegł, że Grygor nie ma zbroi, albo strach przed szarżującym olbrzymem kazał Artyście zadziałać odruchowo. W każdym razie czarem, którego użył w samoobronie, tym razem nie był podmuch wiatru.

Pocisk jaskrawego białego światła ugodził olbrzyma.

– Grygor! – wrzasnęła Padera.

Persefona nie przypuszczała, że staruszka jest w stanie tak głośno krzyczeć.

Olbrzym zginął na miejscu.

Miralyith skończył pół sekundy później, gdy Moya, która zdołała dźwignąć się na klęczki, napięta trzymany bokiem łuk i wypuściła dwie strzały, nim Grygor padł na posadzkę. Pierwsza przebiła gardło Miralyitha, druga trafiła go w oko.

– W imię fane’a Lothiana! – Persefona usłyszała, jak ktoś krzyczy w drugiej komnacie. – Oto twoja kara, Nyphronie, synu Zephyrona!

Nyphron przepchnął Bergina przez próg, a potem on i Tekchin wciągnęli krwawiącego Eresa do sypialni Persefony. To miał być ich ostatni bastion.

Moya wskoczyła na łożo i znów zaczęła strzelać z łuku, ale Persefona spostrzegła, że jej Tarczy już prawie zabrakło strzał. Tegan, Bergin oraz zalany krwią Harkon zajęli pozycje wokół łoża, na którym Persefona i Brin ścisnęły w dłoniach sztylety, a Padera modliła się do Mari, gładząc palcami małą, wypolerowaną kamienną figurkę ich bogini.

Eres dźwignął się z powrotem na nogi i zrobił doskonały użytek z włóczni, która dawała mu dłuższy zasięg niż miecz. Przez jakiś czas zmuszał żołnierzy fane’a do trzymania się na dystans, dzięki czemu byli łatwymi celami dla łuku Moyi. Zabiła czterech, ale zostały jej już tylko trzy strzały.

Może do napastników w końcu dotarło, że Galantianie nie kwapią się zabijać swoich krajanów, bo sześciu żołnierzy fane’a rzuciło się naprzód, wdzierając się do sypialni. Harkon ruszył na nich, wywijając bronią. Miecz z brązu wbił się w jego pierś i wódz padł. Bergin zabił Fhreja, którego Tekchin chwilę wcześniej zranił w twarz. Moya zabiła kolejnego. Potem Bergin upadł; Persefona nawet nie zobaczyła ciosu, który go powalił.

Pomiędzy Fhrejami fane’a a łożem stali już tylko Nyphron, Tekchin, Eres i Tegan, a pozostali Fhrejowie najwyraźniej wiedzieli, że Galantianie nie stanowią realnego zagrożenia.

Włócznia wbiła się z impetem w rzeźbione wezłowie pięć cali od głowy Persefony. Ta wrzasnęła. Padera i Brin wspólnymi siłami wyszarpnęły włócznię,

po czym staruszka ujęła ją gotowa bronić łoża.

Czterech kolejnych Fhrejów wdarło się do komnaty i Tekchin został ranny mieczem w pierś. Cios wszedł pod napierśnik. Galantianin krzyknął, a Moya zawyła jeszcze głośniej.

– Nie! – Przyklękając na nogach Persefony, wystrzeliła dwie ostatnie strzały w piersi nadchodzących.

Obaj trafieni upadli, ale natychmiast zastąpili ich kolejni.

Brin pociągnęła Moyę na materac, gdy świsnęła ku nim kolejna włócznia. Przeleciała tuż nad łuczniczką i odbiła się od muru, krzesząc iskry.

– Bądź przeklęty, Lothianie! – zakrzyknął Nyphron. – Bądź przeklęty wraz z całym swoim rodem, synu Tetlin!

Brin uniosła sztylet, gdy do sypialni wbiegło jeszcze więcej Fhrejów. Persefona zacisnęła zęby i też wzniosła ostrze, ignorując ból. Wymamrotała modlitwę do Mari.

I właśnie wtedy Kyp stracił dach.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Jaśniejąca zbroja

Żałuję, że nie widziałam sceny, którą opisała mi Roan. Wschodzące słońce, most, bicie jej serca – chciałabym, aby wszyscy mogli to ujrzeć. To była scena jak z baśni.

Księga Brin

Roan obserwowała przez łyżę cały przebieg rytuału, mimo że nie chciała widzieć wszystkiego. Planowała, że zamknie oczy, zanim Suri zabije Raithe'a. Obserwowanie tego wydawało się niestosowne. Jednak wszystko wydarzyło się tak szybko.

Suri poprosiła Raithe'a, żeby się położył. Podniosła miecz, a Roan spodziewała się, że mistyczka utnie Dureyaninowi głowę lub wzniesie ostrze i dźgnie go w pierś, lub może poderżnie mu gardło. Zamiast tego złożyła miecz na jego piersi. Potem pogładziła go po głowie, wyszeptała coś, nachyliła się i pocałowała go w czoło.

I było po wszystkim. Raithe nie żył.

Roan nie zorientowała się w pierwszej chwili. Jediną wskazówką było to, że Suri krzyknęła z bólu, jakby ktoś ją dźgnął. Zaczęła szlochać, zawodzić z rozpaczą, a po jej twarzy pociekły łzy. I jakimś cudem w tym straszliwym cierpieniu Suri zdołała zaśpiewać. Nie była to ładna pieśń – tak naprawdę wcale nie pieśń. Słowa się nie rymowały, a melodia była nieprzyjemna. Potem tylna ściana kuźni runęła, dach częściowo się rozpadł i pojawiła się bestia. Warsztat był po prostu za mały, żeby pomieścić Gilarabrywna zrodzonego z takiej rozpacz. Nawet Verenthenon by nie wystarczył. Tak jak Arion czerpała moc od

nich wszystkich, gdy przebywali w Agawie, Suri wykorzystwała cierpienie wszystkich obecnych, a to, co się z niego zrodziło, wykraczało poza ramy rozumu.

W następnej chwili Gilarabrywn wzbił się w nocne niebo. Pokryte łuskami cielsko, masywne szpony, grzebień rogowych wyrostków wzdłuż grzbietu, zakończony hakiem ogon oraz paszcza z mnóstwem zębów – a wszystko to niosły pozbawione piór skrzydła.

Jest większy, pomyślała trzeźwo Roan, ocierając łzy. Znacznie większy niż ostatnim razem.

Gilarabrywn wzbił się wyżej, zakołował wokół Rhistu, a potem zanurkował w stronę Kypu, wyciągając szpony. Roan widywała drapieżne ptaki, które tak nurkowały nad wielkim jeziorem albo nad Rzeką Białego Dębu. Zazwyczaj wzlatywały potem ze złowioną rybą. Gilarabrywn wzbił się, dźwigając zdarty z Kypu dach.

Zdecydowanie jest większy, powtórzyła w myślach Roan.

Suri siedziała obok ciał Raithe'a i Arion. Wciąż jeszcze się kołysała i płakała.

Malcolm, Tressa, karły, nawet Deszcz – wszyscy płakali. Zaskoczyło to Roan. Nie wiedziała, co im się stało. Nie pasowało to do karłów. Dotąd nie mieli w zwyczaju śmiać się ani płakać. Dość często zdarzało im się wrzeszczeć – w każdym razie czynili tak Mróz i Powódź. Zazwyczaj wrzeszczeli na siebie, a czasem na trzymany w ręku młot.

Potem czas się zatrzymał. Budynek kuźni w większości zniknął z powierzchni ziemi i Roan patrzyła teraz na dziedziniec, na którym stały dziesiątki Fhrejów. Elfy – zakrwawione, dzierżące miecze, włócznie i tarcze – też znieruchomiały w szoku pod wpływem tego, co ujrzały. Jednakże gdy Gilarabrywn odleciał, czas wznowił bieg.

Za mikroświatem zburzonej kuźni Roan ujrzała pole bitwy, które jeszcze niedawno było spokojnym dziedzińcem. Fhrejscy wojownicy odziani w złoto i błękit walczyli z ludźmi w lśniących srebrzyście pancerzach. Miecze zderzały się z brzękiem. Ciosy dzwoniły o tarcze. Krew i ogień wypełniały pustą przestrzeń. Malcolm mężnie ruszył naprzód, dzierżąc swoją włóczę. Mali ludzie zgarnęli młoty ze stojaka, i nawet Tressa wyszukała sobie broń – żelazny pogrzebacz leżący obok paleniska.

Roan się nie poruszyła. Zamiast tego policzyła nadchodzących wrogów. Było ich pięciu: trzech po lewej i dwóch po prawej. Kolejny popatrzył w ich stronę, ale chyba nie mógł się zdecydować. Roan oceniła, że ona i jej towarzysze – w każdym razie ci, którzy znajdowali się w ruinach kuźni – nie mają żadnych szans, żeby przeżyć dłużej niż pięć minut. Kiedy Malcolm nieoczekiwanie

przebił pierwszego Fhreja swoją włócznią, zmodyfikowała tę prognozę do „prawie żadnych szans”.

Wlokąc za sobą miecz, który chwilę wcześniej złożyła na piersi Raithe'a, Suri zaczęła pełznąć. Ruszyła w stronę zrujnowanych koszarów, ale zawahała się i skręciła w stronę sterty drewna. Roan była przekonana, że mistyczka nie ma pojęcia, dokąd zmierza. Pamiętając, w jakim stanie była Suri po zabiciu Minny, należało przypuszczać, że jest oszołomiona, wyczerpana i porusza się tylko po to, żeby nie tkwić w bezruchu.

Potem Roan usłyszała jakiś hałas po lewej i zorientowała się, że jeden z Fhrejów patrzy na nią – na nieszczęsną dziewczynę w skórzanym fartuchu wciśniętą między kowadło a stół roboczy. Z jakiegoś powodu miał niezakryte ręce i gołą głowę. Miał też ranę ciętą biegnącą przez nos i policzek. Część jego twarzy pokrywały oparzenia, a włosy po lewej stronie głowy były spalone aż do skóry. Był też pokryty krwią – nie tylko odzież, ale całe ciało, jakby wykapał się w balii. Radośnie szczyrzył zęby w wariackim uśmiechu. Tak zwykł uśmiechać się Iver. Roan wiedziała, co się szykuje. Patrzyła, jak Iver zrobił to jej matce.

Zakrwawiony Fhrej ruszył ku niej, zręcznie wymijając Malcolma oraz małych ludzi, którzy mieli własne problemy. Tressa zamachnęła się na nadchodzącego, ale pogrzebacz odbił się z brzękiem od jego pancerza. Pojawił się kolejny Fhrej i teraz Tressa musiała skupić uwagę na przeciwniku, który się nią zainteresował.

Zatem było ich tylko dwoje: okrwawiony sobowtór Ivera i Roan.

Śliskie ręce wyciągnęły się, by pochwycić ją za gardło, i Fhrej powiedział coś, czego nie zrozumiała. Nie musiała. Już kiedyś słyszała te słowa. Czuła też te palce. Wróciły wspomnienia. Roan już nie znajdowała się w zrujnowanej kuźni pośrodku elfiej fortecy, tylko w małej okrągłej chacie w dahlu Rhen. Jednakże ten Iver miał na sobie pancerz: powyginany, zakrwawiony napierśnik z brązu.

Roan wynalazła kieszeń, bo nienawidziła nie mieć różnych rzeczy w zasięgu ręki, kiedy ich potrzebowała. Torba z wyposażeniem na awaryjne sytuacje była kolejnym etapem ewolucji tego pomysłu, ale ani jedno, ani drugie nie zaspokoilo w pełni potrzeb głównej kowalki Alon Rhist. Roan z konieczności uszyła sobie pas na narzędzia, który nosiła pod fartuchem. Zwieszały się z niego małe szczypce, kawałki cyny, jej rękawice, młot oraz trzy metalowe przebijaki. Każdy służył do innego celu. Ten, którego Roan używała do opracowywania detali, miał długość jej małego palca. Drugi był mniej więcej rozmiarów dłoni. Trzeci, który służył do przebijania otworów w arkuszach żelaznej blachy, był długi na stopę i miał koniec ostry jak igła. Używała tych narzędzi codziennie przez prawie rok. Każde z nich stało się praktycznie przedłużeniem jej ciała, a ilekroć trzeba było wykonać jakąś pracę, ręce Roan same sięgały po właściwe przybory. Gdy

krawędzie jej pola widzenia zaczął przesłaniać mrok, umieściła ostry koniec przebijaka w niedużym, dogodnie położonym wgłębieniu w napierśniku Fhreja. Jeden cios Łomotnikiem Ciężkim wystarczył, by narzędzie przebiło pancerz.

Po pierwszym uderzeniu nacisk na jej gardło zelżał.

Po drugim zniknął.

* * *

Suri ujrzała, jak jeden z Fhrejów łapie Roan i zaczyna ją dusić, tylko po to, żeby sekundę później upaść i leć bez ruchu. Wszędzie wokół niej walczyli ludzie; otaczały ją zamazane plamy ruchu i niewyraźne dźwięki. Mróz trafił jakiegoś Fhreja młotem, łamiąc mu nogę. Powódź został celnie ugodzony i upadł obok paleniska. Deszcz przebił kilofem plecy Fhreja, który zaatakował Tressę. Dziedziniec zaścielały zwłoki ludzi i Fhrejów: miękkie, powykęcane kształty, wyglądające z daleka jak porzucone łachmany wśród gruzu i połamanego drewna. Trochę dalej płonęło miasto. Czarny, ciężki od sadzy dym kłębił się gnany podmuchami wiatru, wznosząc się w blade niebo. Świt nadpełził niezapowiedziany, kryjąc się za ciemnymi chmurami.

Ogromna kopuła runęła. Most wspornikowy nadal stał, ale dach Kypu zniknął. Gilarabrywn grzebał w budynku niczym niedźwiedź kradnący miód z ula. Na oczach Suri wyrzucał stamtąd małe postacie, ale te pszczoły nie miały skrzydeł, więc ich ciała spadały bezwładnie. Mistyczka znajdowała się zbyt daleko, żeby widzieć, czy Gilarabrywn zachowuje ostrożność. Nie miała pojęcia, czy ten deszcz nieszczęśników to ludzie, fhrejscy sojusznicy czy wrogie elfy.

Wydała swojemu dziełu tylko jeden rozkaz: żeby walczyło w obronie fortecy. Wierzyła, że – podobnie jak tamten pierwszy, zrodzony z Minny – ten nowy Gilarabrywn dysponuje zdolnością rozumienia sytuacji oraz solidną dozą samoświadomości. Fakt, że pofrunął prosto w stronę Kypu i Persefony, sugerował, że posiada jedno i drugie – jak również, być może, coś więcej.

Przez wrota u podnóża Kypu wylał się tłum Fhrejów. Uciekali przez uszkodzony most wspornikowy. Gilarabrywn zanurkował z miejsca, gdzie przysiadł na rogu zrujnowanego dachu Kypu, i wypuścił z paszczy strumień ognia. Ta struga płomieni stworzyła żywe pochodnie, z których część rzuciła się z mostu w przepaść, zakreślając w powietrzu jaskrawe świetlne łuki.

Jak świetliki, pomyślała Suri.

Wciąż jeszcze gapiła się w szoku, kiedy Tressa złapała ją za ramię i szarpnięciem dźwignęła na nogi.

– Wstawaj z tej cholernej podłogi i zrób coś!

Suri nie musiała nic robić. Widząc, że Fhrejowie zacieśniają pierścień, instynktownie szarpnęła niewidzialną smycz. Aż do tej chwili nie była świadoma, że pomiędzy nią a Gilarabrywnem istnieje statyczne połączenie. Teraz uzmysłowiła sobie, że wykonała podobne szarpnięcie w Neithu, kiedy pochwycił ją raow. Niewidzialny łańcuch spajał ją z istotami, które tworzyła. Jej potrzeba stała się dla Gilarabrywna źródłem niepokoju.

Stwór rozpostarł ogromne skrzydła, wzbijając się do lotu. Machnął nimi raz i zanurkował.

Suri zamknęła oczy, powtarzając w myślach: „Nie zabij nas wszystkich!”.

* * *

– Co to jest, na Ferrola? – zapytał fane.

Siedział na wielkim krześle przywiezionym z Estramnadonu. Jego przenośny tron ze złota i aksamitu stał na drewnianym postumencie, który wbito w ziemię za pomocą zaostrzonych kołków, żeby mieć pewność, że ważący kilkaset funtów mebel się nie przechyli.

– Czy to... Czy to jest smok? – Fane skierował to pytanie do Pająków.

Trójka Artystów zdążyła już powrócić do wspólnego tkania czarów, nucąc cicho i kołysząc się w zsynchronizowanym rytmie. Słyszając pytanie władcy, odwrócili się akurat wtedy, kiedy stwór zionął ogniem.

– To niemożliwe – powiedziała Onya.

W każdym razie Mawyndulë sądził, że tak brzmi jej imię. W trakcie podróży była dla niego tylko jednym z wielu Miralyithów, ale po katastrofie, która nastąpiła pierwszego dnia, zyskała wyższy status.

Aż do tego momentu wszystko szło dobrze. Mosty zostały ukończone bez żadnego incydentu, a fane posłał na drugi brzeg jednego z ocalałych Pająków wraz z Rigarusem, Haderasem i połową tych Shahdich, którzy mu zostali. Ojciec z synem pozostali na wzgórzu, przed wielkim namiotem, a towarzyszyli im Sile i Synne, trzy Pajaki oraz Taraneh z dwunastoma bogato odzianymi gwardzistami z Lwiego Korpusu. Mawyndulë był przekonany, że większość członków tego oddziału trafiła tam dzięki sympatiom politycznym, a nie biegłości w walce. Wątpił, czy Lwy nadają się do czegoś więcej niżli rozbijanie namiotów.

Po katastrofie, jaka nastąpiła poprzedniego dnia, wszyscy obserwowali teraz natarcie na fortecę, wstrzymując oddech. Ojciec Mawyndulëgo nawet nie patrzył, tylko wstał i chodził tam i z powrotem. Sile i Synne nie odstępowali go na krok. Fane dwukrotnie odchodził w ciemność za namiotem tylko po to, żeby finalnie wrócić i usiąść z powrotem.

Mosty wytrzymały.

Shahdi przeszli na drugą stronę, a wówczas trzy ocalałe Pająki – zwolnione z obowiązku pilnowania mostów – rozpoczęły serię ataków mających ułatwić zadanie nacierającej armii. Ta posuwała się naprzód wolniej, niż liczył ojciec Mawyndulëgo. W kolejnych godzinach bez przerwy wyrażał niezadowolenie z tego powodu.

Wcześniej, gdy służący późną nocą zaserwowali posiłek złożony z zimnego mięsa oraz lekko sczerstwiającego chleba, księżę i jego ojciec słuchali, jak Taraneh wyjaśnia, że Alon Rhist zostało specjalnie tak zaprojektowane, żeby utrudnić atak na fortecę. Wąskie przejścia ułatwiały obrońcom zadanie, podobnie jak liczne mostki i schody. Z miejsca, gdzie stali, Mawyndulë obserwował, jak Shahdi czyszczą większą część miasta, nim wspięli się na schody prowadzące do fortecy. Chociaż towarzyszył im wysłany przez fane'a Pająk, dotarcie tylko na wysokość górnego dziedzińca zajęło im kilka godzin.

Mawyndulëmu pozwolono wnieść pewien nieduży wkład w bitwę. Wykorzystując przesłaną przez Jerydda moc i słuchając poleceń ojca, użył Avemparthy, żeby zatrząść ziemią po drugiej stronie przepaści. Jego własny udział w tym splocie był minimalny; Lothian wykorzystał syna jedynie jako kanał do przekazywania mocy. Mimo to ojciec i syn solidarnie – co rzadko się zdarzało – przeżyli moment radości, kiedy kopuła wreszcie runęła.

– Wreszcie coś poszło, jak należy – oznajmił fane, siadając wygodnie na swoim krześle.

Gdy nastał świt i niebo się rozjaśniło, ojciec Mawyndulëgo rozkazał, by przyniesiono wino.

– Myślę, że ten problem jest już rozwiązany.

A potem pojawił się smok.

Początkowo był tylko czarnym cieniem na tle jaskrawych pożarów i Mawyndulë nie miał pewności, co widzi. Zmieniło się to, kiedy tajemniczy kształt zionął ogniem.

– Co to jest w takim razie? – zapytał fane.

Odpowiedziała mu cisza trwająca kilka uderzeń serca. Nie było to niczym niezwykłym w przypadku Pająków. Zapytani o coś zawsze reagowali z opóźnieniem.

– Nie wiemy – odrzekła w końcu Onya.

– Jak to nie wiesz? Po to tu jesteś, żeby wiedzieć. Po to trzymacie się za ręce i skandujecie formuły. W teorii pilnujecie swojej sieci. Powinniście móc mi odpowiedzieć na każde pytanie.

– To nie jest istota z krwi i kości. To światło.

– Światło?

– Jawi nam się jako straszliwie jaskrawy blask. Coś, czego żadne z nas nigdy nie widziało.

– I co to światło robi?

– Zabija naszych żołnierzy.

Fane się nachmurzył.

– Zatem zniszczcie je.

– Tak jest, mój panie – odrzekła Onya, po czym maleńki krąg Pająków zaczął skandować głośnie.

Na niebie zakotłowały się chmury. Co do zasady większość Miralyithów, którzy osiągnęli pewien poziom umiejętności, preferowała Sztukę zaklania burz. W odróżnieniu od nich Mawyndulë miał sentyment do ognia, choć prawie cały jego szczerp uważał zabawy tym żywiołem za banalne czy wręcz dziecinne. Książę cenił sobie poczucie mocy, łatwość jej czerpania i uwalniania. Burze były bardziej skomplikowane, ich wezwanie zajmowało znacznie więcej czasu, nigdy też nie odnosił wrażenia, żeby rezultaty okazywały się naprawdę imponujące.

– Mój panie. – Taraneh wskazał na północ, gdzie przez równinę gnał samotny jeździec.

Był to jeden ze zwiadowców Wilczego Legionu. Nie miał na sobie pancerza, jedynie hełm w kształcie głowy wilka oraz niebieską pelerynę. Lothian odstawił kielich z winem i wstał.

Dotarłszy do obozu, jeździec osadził wierzchowca, zeskoczył z siodła i podbiegł do fane'a, by uklęknąć u jego stóp.

– Co się dzieje? – zapytał Lothian.

– Mój panie, z południowego wschodu nadciąga liczna armia.

– Jak to... armia? – zapytał fane z ogłupiałym wyrazem twarzy, spoglądając na swoich towarzyszy w poszukiwaniu odpowiedzi.

– Gula-Rhunowie, mój panie.

– Ilu? – zapytał Taraneh.

– Wiele tysięcy, lordzie.

– Tam! – rzuciła Synne, wskazując kierunek zwinną dłonią.

Światło wczesnego poranka ukazało ogromną liczbę rhuńskich wojowników, którzy właśnie dotarli na grzbiet odległego wzgórza. Na oczach Fhrejów rhuńska armia rozdzieliła się na dwie połowy, z których jedna ruszyła na Alon Rhist, a druga skręciła w stronę wzgórza. Nawet po tym podziale sił liczba nadciągających Rhunów była przytłaczająca: nie tysiące, a dziesiątki tysięcy. I ci wrogowie nie maszerowali w szeregach, tylko tworzyli jedną zwartą, chaotyczną masę przypominającą stado jeleni. Nawet z tej odległości Mawyndulë słyszał ich okrzyki – straszliwy, niemilknący ryk – gdy radośnie zbiegali ze zbocza.

– Nie widzieliście ich? – zapytał Lothian, zwracając się do Pająków.

- Skupiliśmy się na bitwie o fortecę, mój panie.
- Ślepi głupcy!
- Czy nadal pragniesz, byśmy...
- Zapomnijcie o smoku, zniszczcie armię!

* * *

Wszyscy, którzy mogli się rzucić do ucieczki, uczynili tak. Roan też. Gilarabrywn w teorii był po ich stronie, ale ufność nigdy nie zaliczała się do przymiotów Roan, która spędziła całe życie na wynajdywaniu sobie coraz lepszych kryjówek. Latająca bestia była wysoka na trzy piętra, rozpiętość jej skrzydeł wynosiła jakieś szesnaście sążni, każdy ząb miał długość stopy, a ponadto – jak się właśnie okazało – potrafiła ziać ogniem. Roan nie potrzebowała dodatkowej zachęty. Kiedy Gilarabrywn wylądował na dziedzińcu, wszyscy się rozbiegli. Nie widziała tylko uciekającej Suri, ale ostatecznie ten stwór był dziełem mistyczki.

Głupcy ruszyli, żeby zaatakować bestię.

Nie, nie głupcy, poprawiła się w myślach Roan. Są dzielni. Po prostu nie wiedzą, co robią.

Gdy już oddaliła się wystarczająco, żeby poczuć się nieco bezpieczniej, Roan się odwróciła. Jeszcze nigdy nie widziała Gilarabrywna w dziennym świetle. Łuski, które zapamiętała jako czarne, okazały się raczej ciemnozielone. Lśniły niczym metal i miały podobne właściwości. Miecze i włócznie nie wyrządziły stworzeniu żadnej krzywdy, a fhrejscy żołnierze ginęli zmiażdżeni lub pożarci. Niektórzy ludzie – nieświadomi sytuacji i przerażeni – też atakowali potwora. Bestia ignorowała ich tak, jak wielki pies mógłby ignorować dokuczliwe maleńkie dziecko. Mimo to nadal istniało niebezpieczeństwo. Gilarabrywn był wielki i potężny. Każdy jego ruch powodował chaos. Jedno machnięcie ogonem burzyło ściany, miażdżąc tych, którzy znajdowali się w pobliżu. Łopoczące skrzydła wzbijały kłęby pyłu, który oślepiał i dusił.

Z dziedzińca można było się wydostać tylko na dwa sposoby – zasypanymi gruzem schodami wiodącymi w dół, do miasta, lub schodami w górę, w stronę wielkiego budynku z kopułą, za którym wznosił się Kyp. Roan pobiegła w tamtą stronę, wierząc, że w Kypie będzie bezpieczna. Liczyła, że dołączy do Persefony, Brin i Moyi. Jednakże po zawaleniu się ogromnej kopuły przejście przez rotundę było niemożliwe. Teraz można było dotrzeć na górę tylko wąskimi schodami prowadzącymi naokoło. Blokowali je ludzie, więc nie było możliwości wspiąć się tamtędy szybko. Ci, którzy utknęli u podnóża, byli mordowani.

Musi istnieć lepszy sposób, pomyślała.

Mogłabym się ukryć.

Gdy rozglądała się w poszukiwaniu szczeliny, w którą mogłaby wpełznąć, kolejny fhrejski żołnierz spostrzegł ją stojącą samotnie na otwartej przestrzeni. Zobaczyła, jak błysnął zębami w uśmiechu – takim samym, jaki widywała dawniej na twarzy Ivera. Fhrej nadal miał na głowie hełm w kształcie niedźwiedziego łba i był obficie zbryzgany krwią, tworzącą karminowe zacieki na zbroi o barwie miedzi. Czerwone krople spływały po pancerzu niczym łzy.

Szedł ku Roan.

Ruszyła w przeciwną stronę, z nadzieją, że tak naprawdę to nie nią się zainteresował.

Przyśpieszył do truchtu.

Zaczęła biec.

Schody wiodące w górę były śmiertelną pułapką, a znalezienie kryjówki już nie wchodziło w grę, więc Roan ruszyła w stronę bestii, licząc, że ta ją rozpozna. Jednakże właśnie wtedy Gilarabrywn wzbił się do lotu. To pozostawiało tylko jedną opcję – schody wiodące w dół, do miasta. Były puste, co budziło niepokój.

To nie jest dobry pomysł. To nie jest dobry pomysł. To nie jest dobry pomysł.

– Zamknij się, próbuję myśleć! – krzyknęła do samej siebie. – Nie widzisz, że zbiegam po schodach?!

Dotarłszy na dół, odkryła, że ulice miasta są zablokowane zwałami gruzu. Nie miała innego wyboru, jak tylko zejść ścieżką na niższy dziedziniec, który – podobnie jak ten górny – został obrócony w perzynę. Zdołała znacznie oddalić się od goniącego ją Fhreja. Kiedy rozpoczęli wyścig, Roan dzieliła odeń połowa szerokości dziedzińca, a ponadto spowalniały go zbroja, miecz i tarcza.

Może już dał za wygraną i ruszył polować na łatwiejszą do schwytania zdobycz?

Nie oglądała się, ale nie musiała. Usłyszała za sobą pobrzękiwanie naramienników.

Dobiegłszy na niższy dziedziniec, Roan wykorzystwała otwartą przestrzeń i ruszyła sprintem. Jej jedyną nadzieją było oddalenie się od ścigającego. Króliki przeżywały dzięki temu, że drapieźniki męczyły się, ścigając je, i dawały za wygraną. Roan zamierzała być wyjątkowo trudnym do schwytania króliczkiem. Po raz pierwszy pożałowała, że ma na sobie pas z narzędziami. Kołysząc się i majtając, spowalniały ją.

Zewsząd otaczały ją trupy. Ludzie i Fhrejowie leżeli pokotem, jedni przy drugich. Próbowwała nie patrzeć na ich twarze, w obawie, że rozpozna kogoś, kogo znała.

Przebiegła obok Skały Przemówień, podążając jedyną sensowną drogą ucieczki, jaką widziała – w stronę głównej bramy, a w każdym razie tego, co

z niej zostało. Gdzieś w głębi swojej zdesperowanej duszy postrzegła tę bramę jak zbawienie, linię mety, punkt końcowy, chociaż przecież nie było tam żadnych drzwi, które mogłaby zamknąć, żadnego oszczepu, którym mogłaby rzucić, żadnej ściany, za którą mogłaby się skryć, a po drugiej stronie przepaści znajdował się obóz wrogiej armii. Tak naprawdę Roan miała przed sobą jedynie dwa leżące na ziemi ogromne odrzwia z brązu obok pozostałości kamiennego muru. Jednakże cel był celem.

„Opuszczenie fortecy to bardzo, bardzo, bardzo zły pomysł”, szepnął głosik w jej głowie.

– Zamknij się!

Fhrej za jej plecami stęknął. Nadal ją ścigał i był bliżej niż kiedykolwiek.

Roan czuła już, że ma zmęczone nogi. Co gorsza, oddychało jej się ciężko. Po prostu nie była w stanie wciągać do płuc wystarczająco dużo powietrza.

Umrę, pomyślała.

Minęła zerwane z zawiasów odrzwia oraz rozwalone mury obronne. Ogromne kamienne bloki leżały luzem na ziemi. Przed sobą miała już tylko przepaść, której obie strony spajało siedem magicznie sporządzonych mostów z kamienia. Roan biegła w stronę tego środkowego, jakkolwiek słowo „biegła” było zdecydowanie zbyt optymistycznym określeniem. Już od jakiegoś czasu zwalniała kroku, a gdy dotarła na brzeg przepaści, poruszała się w zasadzie ociężałym truchtem. Choć nad jej głową przewalały się ciemne chmury, na horyzoncie widać było pas czystego nieba, gdzie świeciło jasnożółte słońce. Ponieważ Roan biegła prosto na wschód, ten blask oślepiał ją tak, że nie widziała prawie niczego przed sobą. A potem ujrzała nadciągającą armię oraz sylwetkę konnego wojownika przejeżdżającego przez środkowy most.

Dotarło do niej, że znalazła się w pułapce.

Wyścig dobiegł końca. Jakby dla podkreślenia tego faktu zaczęło błyskać. Pioruny trafiały w ziemię po drugiej stronie przepaści. Szalejąca na niebie czarodziejska burza, krzyki i wrzaski mężczyzn, trzaski i huk – wszystko to składało się na jeden komunikat.

Nie było już sensu biec.

Czując palenie w płucach, Roan przystanęła, oddychając z trudem i czekając na śmierć. Właśnie wtedy rozpoczął się kolejny wyścig.

Kto dotrze do mnie pierwszy? – zastanawiała się. Jeździec z mostu czy ten Fhrej, który mnie goni? Zdołała uśmiechnąć się z bólem. Tyle starań, żeby dopaść córkę niewolnicy!

Nie obchodziło jej, kto wygra, ale spoglądając umęczonymi oczami na rozciągające się przed nią urwisko, wpadła na nowy pomysł.

Zawsze mogła skoczyć.

Wizja, że pozbawi obu prześladowców przyjemności zadania jej śmierci, niosła niejaką satysfakcję. A jeśli wcale nie chcieli jej zabić?

Zamiast podążać dalej w kierunku mostu, Roan skręciła, zmierzając w stronę urwiska.

„Zasługujesz na wszystko, co cię spotyka”. Usłyszała w głowie znajome słowa, ale tym razem wypowiadający je głos nie brzmiał jak głos Ivera. Iver był martwy. Roan miała już w tej kwestii absolutną pewność, bo zabiła go dwukrotnie – najpierw trucizną, a potem metalowym przebijakiem, wspomagając się Łomotnikiem Ciężkim.

Wyczerpana, niezdolna do dalszego biegu zaczęła płakać, gdy dotarło do niej, że nie zdoła dotrzeć na skraj przepaści i się zabić. Jeździec mknął ku niej zbyt szybko. Ujrzała, jak dobywa miecza. Był pozbawioną twarzy sylwetką na tle jaskrawego porannego słońca, ale usłyszała szcęk wysuwanej klingi. Tylko że...

Tego dźwięku nie dało się pomylić z żadnym innym. Nie brząz – to była stal.

Gdy jeździec się przybliżył, ujrzała błysk srebra. Pod hełmem widniała piękna, niesymetryczna twarz.

– Giffordzie! – krzyknęła Roan, poświęcając resztki powietrza z płuc.

Garncarz najechał na jej prześladowcę i zamachnął się mieczem. Chybił, ale to nie miało znaczenia. Jego koń stratował Fhreja, trudno powiedzieć, czy intencjonalnie, czy przypadkowo.

Przejechawszy obok Roan, Gifford zawrócił, a wtedy wschodzące słońce oświetliło jego zbroję i białego konia. Gifford zabłysł olśniewająco jak gwiazda poranna, jak cud zesłany z niebios. Promieniał.

– Łoan, nie mogę zsiąść. – Nachylił się i wyciągnął dłoń. – Proszę, musisz złapać mnie za rękę.

Nie zastanawiała się, nie zawahała. Wyciągnęła dłoń, chwyciła jego rękę i pozwoliła, żeby Gifford wciągnął ją na koński grzbiet. Potem objęła go w pasie.

– Ty żyjesz! Żyjesz! Żyjesz! – krzyczała, przytulając go z całej siły.

– Łoan? – zdziwił się Gifford. – Wiesz, że mnie obejmujesz? Dotykasz mnie, Łoan.

– Wiem.

Kiedy szarżujący Gula-Rhunowie gnali przez most i wlewali się szeroką falą do fortecy Alon Rhist, Roan oparła głowę o plecy Gifforda.

Znów usłyszała te słowa: „Zasługujesz na wszystko, co cię spotyka”. I wypowiadający je głos nie był głosem Ivera. Należał do jej matki.

Rozdział trzydziesty

Smok

W pierwszej chwili pomyślałam, że to smok, zaciekły i krwiożerczy. Chciałabym, żeby tak było. Smoki tylko zabijają; Gilarabrywn złamie ci serce.

Księga Brin

Persefona gapiła się z niedowierzaniem.

Nad nimi rozciągało się niebo.

Dach Kypu został zerwany. Składał się głównie z drewna, ale zawierał też kamienne elementy, a smok zdarł go z łatwością, jakby zrywał woskową pieczęć z dzbana.

Potem zaczął zabijać.

Persefona w pierwszej chwili pomyślała, że to kolejna broń fane'a. Miał do dyspozycji olbrzymy, czarodziei, magiczne burze. Dlaczego nie smoka?

Zamknęła oczy, czekając na śmierć. Skuliła się, pewna, że zmiążdżą ją szpony lub pochwycą kły.

Nic się nie stało. Nawet wrzaski umierających ucichły. Usłyszała jedynie odgłos smoczego oddechu, a potem głos Brin:

– Mari, matko nas wszystkich, chroń nas. Mari, matko nas wszystkich, chroń nas.

Wypuszczając sztylet z palców, Persefona wyciągnęła rękę i odszukała dziewczynę. Chwyciła Brin za ramię, po czym odnalazła jej dłoń.

– Mari, matko nas wszystkich, chroń nas. – Zawtórowała dziewczynie.

Padera też dołączyła do modlitwy. Chwilę później to samo uczyniła Moya. Persefona ponownie wyciągnęła rękę, odszukała stopę swojej Tarczy i chwyciła ją mocno. Oczekiwanie na śmiercionośny cios dłużyło się nieznośnie, ale nadal

wczepiała się kurczowo w Brin i Moyę. W końcu odważyła się rozejrzeć. Fhrejowie, którzy ledwie chwilę wcześniej chcieli ją zabić, zniknęli – tylko Nyphron, Eres i Tegan wciąż żyli. Smok też nadal tam był. Przysiadł na rogu Kypu niczym drapieżne ptaszysko, wczepiając się masywnymi szponami w mur. Persefona poczuła jego gorący oddech i zadarła mocniej głowę, żeby popatrzeć wprost na jego pysk. Uzmysłowała sobie ze zgrozą, że ogromne smocze ślepią o pionowych źrenicach nie patrzą po prostu na nich. Patrzyły na nią.

Teraz mnie zabije, pomyślała. Rozdziawi paszczę i połknie mnie w całości.

Tak się nie stało.

Smok nadal tylko patrzył.

W końcu rozdziawił paszczę, ale zamiast pożreć Persefonę, przemówił. Głosem potężniejszym niż grzmot, bardziej głuchym niżli zgrzyt skały oznajmił:

– Nawet teraz.

Odczekał jeszcze chwilę, po czym rozpostarł skrzydła i odleciał, spychając z muru kamienny blok wielkości łośia.

– Rozepnijcie sprzączki i ściągnijcie mu pancerz! – krzyknęła Padera. – Zdejmijcie wszystko!

Staruszka klęczała na posadzce w nogach łóżka, próbując ratować Tekchina, który leżał na wznak w kałuży krwi. Moya, która już odzyskała zdolność ruchu, podbiegła i zaczęła szarpać rzemienie mocujące jego napierśnik.

– Nieźle go załatwili – oznajmiła Padera. – Krwawi jak przesyty włócznie odyniec. Brin, podaj mi bandaże ze stołu. I tamten pasek.

Nikt więcej się nie odezwał.

Gdzieś niedaleko rozległ się ryk, ale nadal nie spotkało ich nic złego. Spotkało innych. Odległe wrzaski zagłuszył łopot skrzydeł. Potem zapadła cisza.

– Na Tet, jak ściągnąć tę culową zbroję?! – krzyknęła Moya, nadal szarpiąc rzemienie mocujące pancerz Tekchina. Z rany klutej tuż pod jego żebrami ciekła krew.

– Po prostu je przetnij – rozkazała Padera. – Persefono, daj mi twój sztylet. Persefono?

– Proszę! – Brin rzuciła staruszce bandaże, a potem jeden ze sztyletów Roan.

Na korytarzu rozległy się szybkie kroki, coraz głośniejsze. Nyphron podniósł miecz, ale zaraz go opuścił, kiedy do komnaty wpadł Anwir.

– Co się stało?

– Właśnie miałem cię zapytać o to samo – odrzekł Nyphron. – Skąd się wziął ten smok i gdzie teraz jest?

– Smok? – powtórzył zdezorientowany Anwir. Podniósł wzrok. – Gdzie się podział dach?

– Zapomnijcie o tym wszystkim! – wrzasnęła do nich Padera. Wskazała Tekchina. Moya desperacko usiłowała przepiłować sztyletem Brin rzemienie mocujące jego pancerz, ale były schowane pod naramiennikami, więc miała problem z ich osiągnięciem. – Wasz przyjaciel umiera.

– Nic mu nie będzie. – W głosie Nyphrona pobrzmiwała irytacja. – Obrywał już gorzej i żyje.

– Wykrwawia się. Czy któryś z was wie, jak ściągnąć tę zbroję?

Anwir, który miał rękę do rzemieni i wiązania supłów, nachylił się i pomógł Moyi.

– Brin, igła i nici – zażądała Padera. – Leżą koło miednicy. Nawlecz igłę. A ty uciśnij ranę – rozkazała Moyi. Napierśnik został już ściągnięty, a Moya z Anwirem rozcięli Tekchinowi również koszulę i ją zdarli. – Nie bój się, uciskaj mocno. – Brin podeszła z igłą. – Teraz ty, Brin, chodź tu i przytrzymaj krawędzie rany, o tak.

Padera zabrała się do zakładania szwów. Gdy skończyła, wyprostowała się i otarła pot z czoła.

– Dobra, zabandażujcie go – poleciła Moyi i Brin. – Jak najciaśniej. Nie bójcie się.

– Co z nim, przeżyje? – zapytał Eres.

Padera wstała. Ręce miała ciemne od krwi. Sięgnęła po ręcznik i wytarła je, pozostawiając smugi jaskrawej czerwieni na jasnej tkaninie.

– Zależy, czy jego bóg go lubi, czy nie bardzo. Ma rozwalone żebro i uszkodzoną opłucną. Równie dobrze może się utopić we własnej krwi.

Moya siedziała pochylona nad Tekchinem i płakała.

– Nie waż się umierać, ty synu dziwki Tetlin!

Padera odwróciła się w stronę łoża.

– Persefono? Wszystko dobrze? Nie jesteś ranna?

Tesh przeszedł przez to, co zostało z drzwi.

– Tesh! – Brin w dwóch skokach pokonała dzielący ich dystans i rzuciła się chłopakowi na szyję, omal nie zwałając go z nóg. – Żyjesz!

– Gdzie byłeś? – zapytał Tegan, po czym popatrzył na krew plamiącą miecze Tesha. – Wreszcie udało ci się zabić kilka elfów, co?

Tesh w pierwszym odruchu spiorunował go wzrokiem, ale potem się uśmiechnął.

– Tak jest.

Odgłosy bitwy zdążyły ucichnąć. Było słychać tylko wiatr wiejący ponad Kypem oraz łopotanie jakiejś niewidocznej tkaniny.

– To o co chodzi z tym smokiem? – zapytał ponownie Anwir.

Po policzku Persefony spłynęła łza. Keenig odrzekła cichym, rozdygotanym głosem:

– To nie jest smok.

* * *

Co tam się dzieje? Co widzisz? – krzyczał Jerydd w jego głowie.

Mawyndulë patrzył z uciechą, jak błyskawice trafiają wojowników Gula, zabijając ich na miejscu. Błysk, trzask, trup. Błysk, trzask, płomienie. Burza raz po raz zadawała śmierć jaskrawymi zygzakami piorunów, które zostawiały kolorowe powidoki w jego polu widzenia. Ci Rhunowie nie mieli na sobie pancerzy z runami, więc błyskawice zabijały ich po kolei. Jednakże choć z góry sypały się dziesiątki piorunów, na Fhrejów szarżowały tysiące wojowników Gula: potężnych, włochatych brutali uzbrojonych we włócznie i prymitywne drewniane tarcze. Było jasne, że Fhrejowie mogą z łatwością pozabijać kilkuset, ale reszta chwilę później urządzi im rzeźnię.

Jak może ich być tak wielu? – zastanawiał się. Są niczym szczury!

Jego ojciec też dostrzegł niebezpieczeństwo.

– Onya, postaw ścianę ognia.

Ścianę ognia? Po co? – zapytał Jerydd.

Chwilę później barbarzyńcy rzucili się z wyciem do ucieczki, gdy między nimi a ostatnią kohortą Shahdich wyrosła ściana płomieni wysoka na dziesięć stóp. Ten ognisty mur wykwił najpierw pośrodku pola bitwy, a potem szybko zaczął się rozszerzać w obie strony.

Mawyndulë nie pojmował, czemu Pajaki po prostu nie zaleją dzikusów strumieniami ognia. Ich strategia stała się jasna, gdy ściana płomieni zaczęła się przesuwać. Zakrzywiła się, gnając lud Gula na zachód, ku rzece Bern. W stronę urwiska.

– Spalcie mosty – rozkazał fane.

W ciągu kilku sekund ogień pojawił się na wszystkich siedmiu.

Ogłuchłeś czy po prostu zgłupiałeś? – zapytał Jerydd. W jego tonie znać było narastającą frustrację. *Odpowiedz mi! Co widzisz?*

Zadawał to pytanie co kilka minut, odkąd rozpoczęła się bitwa. Mawyndulë początkowo odpowiadał cierpliwie, opisując szeptem, co się dzieje, ale szybko się zmęczył. Uważał to zajęcie za irytujące i poniżające. Tego ranka nie zapraszał Jerydda do swojej głowy i nie czuł się zobligowany do przekazywania mu informacji niczym jakiś kurier.

– Zepchnijcie ich z urwiska – polecił fane. – Nie za szybko. Niech ogień zbliża się powoli. Chcę, żeby mieli możliwość zastanowić się nad swoim losem.

Dajcie im czas, żeby mogli przemyśleć, czy wolą skoczyć w przepaść, czy spłonąć żywcem. – Ponownie podniósł kielich z winem i usiadł. Zakręcił kielichem. – Tak robiła moja matka. Pokazywała wrogom, co to znaczy wypowiedzieć wojnę Miralyithom – podjął, wpatrując się w tysiące wojowników uciekających przed ścianą ognia, która nieubłagane sunęła naprzód. – Oto ich nagroda. – Dał znak służącej, żeby napełniła drugi kielich. – Poczęstuj się winem, Mawyndulë. Nie lubię pić samotnie.

Ojciec był w mrocznym, lecz szczodrym nastroju, w każdym razie w stosunku do niego.

Mawyndulë nic nie odrzekł. Widok oraz antycypacja były fascynujące. Bezlitosna ściana ognia popychała ku przepaści taki tłum, jakiego księżę jeszcze nigdy nie widział. Kilku Rhunów spróbowało przebiec przez inferno. Widział, jak stają w płomieniach i upadają. Kiedy ogień przesunął się dalej, Mawyndulë ujrzał ich spalone zwłoki – kształty na dymiącej czarnej ziemi. W miarę jak ogień naciskał na nich, złapani w pułapkę ludzie tłoczyli się coraz ciasniej, a ci z tyłu – szereg za szeregiem – zaczęli spadać z urwiska.

– Nadlatuje – oznajmiła Synne.

– Co takiego? – zapytał fane.

– Światło – odrzekła, wskazując niebo.

Mawyndulë popatrzył w stronę fortecy i ujrzał zmierzający ku nim ciemny skrzydlaty kształt. Smok, który wcześniej ział ogniem, rósł w oczach, a Mawyndulë już i tak uważał, że jest całkiem spory.

– Synne – powiedział jego ojciec. – Użyj błyskawic. Zabij go.

Zatrzeszczało wyładowanie i zygzakowata smuga błękitnobiałego światła ugodziła bestię. Potwór nie spadł, pocisk nawet nie odrzucił go w bok. Zaledwie nieznacznie zmienił tor lotu. Synne miotła w niego kolejne pioruny, lecz bestia była coraz bliżej.

Niech cię szlag, Mawyndulë! Co widzisz?

– Sztuka... – Synne sprawiała wrażenie skonfundowanej. – Sztuka w ogóle na niego nie działa.

Nie działa? – powiedział Jerydd w głowie księcia. To niepojęte. Jak wygląda to coś? Zajrzyj pod podszewkę. Jakie odczucia w tobie budzi? Przyjrzyj mu się oczami Sztuki.

– Jest jaskrawym światłem. Wygląda i ma aurę jak... moc – powiedział cicho Mawyndulë.

Moc?

– Jak Sztuka.

Sztuka nie działa na Sztukę, Mawyndulë. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, oni próbują spalić ogień, zalać powodzią ocean. To nie zadziała.

– Jerydd mówi, że ten smok jest Sztuką, a Sztuka nie potrafi uszkodzić sama siebie – powiedział Mawyndulë, zwracając się do ojca.

Fane zerknął na syna, wyraźnie tracąc pewność siebie. Ponownie odstawił puchar z winem i wstał.

Bestia właśnie przelatowała nad przepaścią, bijąc skrzydłami w jednostajnym rytmie, z wyprostowanym ogonem. Rosła w oczach.

Jak wielka jest? – zastanawiał się Mawyndulë. Jak to może być Sztuka?

Fane postąpił krok do przodu, zrzucił płaszcz z ramion i, nucąc niskim głosem, machnięciem ręki cisnął ognisty pocisk, który przeciął niebo i trafił potwora w pierś. Płomienie nie wyrządziły bestii żadnej szkody; zdawało się, że przepłynęła przez nie jak przez wodę. Potem, jakby zainspirowany tym atakiem, smok rozdziawił paszczę i odpłacił pięknym za nadobne. Ogień buchnął z jego pyska prosto na wzgórze.

Fala płomieni sunąca w stronę wojowników Gula zniknęła, gdy Miralyithowie skupili się na chronieniu siebie. Czar tarczy był jedną z pierwszych rzeczy, jakich uczyli się Artyści. Skrzyżowane ramiona i bzycający dźwięk stawały się takim samym refleksem jak odruchowe podparcie się rękami w reakcji na upadek. Mawyndulë postawił tarczę, podobnie jak jego ojciec, a Synne otoczyła fane'a dodatkową osłoną, natomiast Artyści z Pajęczego Korpusu dzięki swemu wyszkoleniu zareagowali inaczej. Połączyli siły, by stworzyć małą kopułę ochronną, która objęła cały wierzchołek wzgórza. Uratowali życie tym nielicznym służącym i gwardzistom, którzy mieli szczęście znajdować się w pobliżu, jak Treya, Taraneh i jego dwunastu Lwów. Wszystko, co znajdowało się poza zasięgiem ich czaru, uległo zwęgleniu, w tym tuzin namiotów, beczka wina, bagaże, obrusy, stoły, stojaki na pochodnie, pięciu żołnierzy oraz dwa tuziny służących, którzy nie zdążyli nawet wrzasnąć.

Kiedy ogień zgasł, Mawyndulë podniósł wzrok i zobaczył, że smok jest ogromny, wielkości budynku. Dużego budynku.

– Strąćcie go z nieba! – rozkazał fane. – Zdmuchnijcie go! Użyjcie wiatru. Tylko wiatru!

Onya skinęła głową i Pająki wznowiły tkanie.

– Skanalizujcie naturalny ruch powietrza, jak wtedy, gdy walczyacie przeciwko runom Orinfar – tłumaczył dalej fane.

Lekki wietrzyk owiewający szczyt wzgórza przycichł. Dym, który chwilę wcześniej ulatywał w drugą stronę, zaczął się gromadzić w nieruchomym powietrzu wokół władcy i jego ludzi, bo otaczająca ich trawa wciąż się tliła. W górze monstrum tak wielkie, że przesłaniało większą część nieba, złożyło skrzydła, wyciągnęło szpony długości mieczy i zanurkowało.

– Teraz! – krzyknął fane.

Zewsząd dobiegł ogłuszający ryk, gdy niewiarygodnie silny wicher porwał bestię i uniósł ją w powietrznym wirze. Smok stał się liściem porwanym przez huragan.

Czy to zadziało?

Mawyndulë był zbyt przestraszony, żeby nadal opierać się poleceniom, czuł zbyt wielką ulgę, by mściwie okazać nieposłuszeństwo.

– Tak, wicher go odrzucił.

W ciągu tej krótkiej przerwy – chwili na swobodne zaczerpnięcie tchu – Mawyndulë usłyszał ogłuszający bitewny zgiełk. Wszyscy zapomnieli o wojownikach Gula. Teraz, gdy ściana ognia zniknęła, horda ruszyła na Shahdich z nową furją. Wrzeszczeli tak głośno, że chór ich głosów zlewał się w ryk równie donośny, jak wycie wichru ujarzmionego przez Pająki. Szarżując przez spalone, dymiące pole, dzicy Gula rzucili się na to, co pozostało z armii fane’a. Niebiesko-złoci wojownicy natychmiast zostali otoczeni przez morze Rhunów. Nie było możliwości wznieść kolejnej ściany ognia, nie zabijając własnych żołnierzy. To jednak nie stanowiło wielkiego problemu, bo głównym zagrożeniem był smok. Gdy pierwsze uderzenie wichru się wyczerpało, Pająki potrzebowały przerwy na zaczerpnięcie tchu, bestia zaś nie marnowała czasu, tylko zawróciła ku nim.

– Tym razem zepchnijcie go w dół – polecił fane. – Trzaśnijcie smokiem o ziemię. Zmiażdżcie go.

Bestia była tak szybka, że zaledwie kilkaset jardów dzieliło ją od wzgórza, kiedy Pająki zaatakowały ją ponownie, tym razem z góry. Smok rąbnął o ziemię z taką siłą, że odbił się od niej i zostawił na polu długą wyrwę. Jednakże upadek nie zabił go ani nie oszołomił. Chwilę później potwór zerwał się i tym razem ruszył biegiem w ich stronę.

– Odepchnijcie go! Odepchnijcie! – krzyknął fane.

Bestia była zbyt blisko. Pająkom brakowało czasu, by spleść kolejny czar.

Mawyndulë poczuł nagły przypływ mocy.

Pomóż mu! Pająkom zabrakło sił! Pomóż ojcu!

Mawyndulë miał niewiele doświadczenia w pracy z wiatrem, ale nie było to zbyt trudne, zwłaszcza gdy dysponował całą mocą Avemparthy. Mógłby działać na oślep, tworząc najbardziej niewydajny splot na świecie – nie wątpił, że tak właśnie było – ale sama siła, którą wlał w niego Jerydd, wystarczyła, by ponownie posłać bestię w tył.

Ten i ów odwrócił się, żeby spojrzeć na księcia, ale nikt nie marnował czasu na rzucenie komentarza.

Zamiast tego Onya zwróciła się do fane’a, kręcąc głową:

– Mój panie, nie zdołamy go zabić.

Taraneh, który dotąd zachowywał milczenie, też odwrócił się do Lothiana.

– Mój panie, bitwa jest przegrana. Musisz uciekać. – Dowódca gwardii dał znak stajennemu, by ten przyprowadził konie.

Ojciec Mawyndulëgo wybuchnął:

– Nie! Nie tym razem! Nie teraz, gdy jesteśmy tak blisko.

– Mój panie – odezwała się Synne, a Mawyndulë uświadomił sobie, że chyba słyszy ją po raz pierwszy. – Rhunowie właśnie pokonują Shahdich, a tej bestii nie da się powstrzymać. Ty i twój syn musicie uciekać.

– To cała moja armia! – krzyknął fane.

– I zginą, byście wy mogli żyć.

Mawyndulë mimo woli spostrzegł, że smok wraca. Bestia ponownie wzbiła się do lotu.

– Mawyndulë. – Synne zwróciła się bezpośrednio do niego. – Czy możesz powalić go na ziemię?

Powiedz, że tak.

– Tak.

– Dobrze, więc zrób to. – Synne odwróciła się do fane'a. – Mam pomysł, który może kupi nam... kupi wam, panie... nieco czasu.

Chciała, by ojciec księcia mógł uciec. Mawyndulë liczył w duchu, że sam też został uwzględniony w słowie „wam”.

Bestia tym razem nadlatywała jeszcze szybciej, bardziej zdeterminowana niż kiedykolwiek.

– Zrób, co ci kazała – polecił Mawyndulëmu ojciec.

Synne spojrzała na Mawyndulëgo i w tejże sekundzie jej oczy wypowiedziały tysiące słów, a wszystkie sprowadzały się do jednej prostej myśli: „Nie zawieź”.

Znów wypełniła go moc. Mawyndulë poczuł się tak, jakby niosła go potężna fala. Był wodospadem Parthaloren. Był wartkim prądem, wielką rzeką spadającą z wysoka. Był samą siłą. Przy drugiej próbie zacieśnił splot swego czaru ujarzmiającego wicher, uczynił go czystszy, mniej koślawym, i smagnął ostro z góry.

Smok ponownie rąbnął z hukiem o ziemię na polu bitwy, pechowo akurat w miejscu, gdzie toczyła się intensywna walka. Uderzenie zabiło mniej więcej dwudziestu Fhrejów i tyluż Rhunów, ale ponownie nie zrobiło żadnego wrażenia na bestii. Jednakże w chwili, gdy potwór został strącony z nieba, trawa ożyła. Długie, ciągnące się głęboko korzenie oraz milion łodyg wyciągnęły się drapieźnie, by uwięzić skrzydła, łapy oraz ogon bestii, owijając się niczym pętle i zacieśniając chwyt.

– Złowiłaś go w pułapkę! – zakrzyknął radośnie fane. – Synne! Jesteś genialna.

– Te więzy zaraz puszcza – powiedziała Onya. – Pajaki! Wzmocnijcie splot!

– To tylko trawa – wyjaśniła Synne. Na jej czole sperlił się pot. – Stwórz wkrótce się uwolni. Otwórzcie ziemię!

Chwilę później kamienista równina rozpękała się, a bestia spadła w głąb rozpadliny. Onya klasnęła w dłonie i ziemia zamknęła się na powrót, pochłaniając monstrum.

– Pogrzebała go! – oznajmił Mawyndulë.

To go nie powstrzyma – powiedział Jerydd w jego głowie. *Musicie stamtąd uciekać.*

Mawyndulë zobaczył, że u stóp wzgórza walczy w ich obronie znacznie mniejsza liczba fhrejskich żołnierzy niż ledwie kilka minut wcześniej.

– Mój panie – przemówił głośno Taraneh, wskazując dwa konie, które właśnie doprowadzono. – Musicie jechać.

Lothian popatrzył w dół zbocza, na swoich ginących Shahdich, a potem na bliźnię na powierzchni ziemi w miejscu, gdzie przed momentem pogrzebano smoka. W następnej chwili wszyscy poczuli, jak ziemia pod ich stopami zaczyna drżeć. Coś dużego próbowało się wykopać.

Taraneh odwrócił się do przybocznego.

– Poinformuj Lwi Korpus. Odjeżdżamy! Odjeżdżamy w tej chwili!

– Ty też jedź, Synne – powiedziała Onya. – Chronić fane’a.

– Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby przegrać tę bitwę – powiedział cicho fane, już pokonany.

– To zaledwie jedno starcie, mój panie – odrzekł Taraneh. – Lepiej przeżyć, żeby móc stanąć do walki innego dnia. Dopóki mamy ciebie, kampania trwa.

Mawyndulë ujrzał w oczach Lothiana rezygnację. Jego ojciec tak wiele stracił w tej bitwie. Nie tylko życie tylu Fhrejów, ale też swoje przeświadczenie, że Fhrejowie są niezwyciężeni. Mawyndulë obawiał się, że to spojrzenie będzie teraz doń powracało raz po raz w koszmarach oraz na jawie, na wielu innych twarzach.

Jego ojciec – jego fane – nie był niezwyciężony.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Pożegnanie

Bitwa przy Wielkim Moście była nie tylko punktem zwrotnym tej wojny, ale też momentem przełomowym dla całej ludzkości. Te trzy dni pozwoliły nam wyjść z ciemności i wkroczyć w blask nowego świtu. Piękno i potęga, sztuka i nauka, pokój i dworne obyczaje – wszystko to wyrosło z nasion podlanych krwią przelaną na owej straszliwej ziemi. Alon Rhist po dziś dzień pozostaje ruiną, stertą błękitnawych głazów wyrastającą z zapomnianego wzgórza, lecz było początkiem wszystkiego innego.

Księga Brin

Zwycięstwo.

Po bitwie przy Wielkim Moście często powtarzano to słowo, ale nigdy z entuzjazmem czy radością, jakie powinny się kojarzyć z tym zwrotem. Dla Persefony było to puste słowo, bo w sercu nosiła liczne rany: po jednej za każde utracone życie, a największą pozostawiła śmierć człowieka, który spoczywał teraz w grobie u jej stóp.

Najświeższe rachunki mówiły, że przez te trzy dni po stronie rhuńskiej poległo dwa tysiące osiemset trzydzieścioro troje wojowników. Spodziewano się, że liczba ofiar śmiertelnych będzie wzrastać w miarę przekopywania gruzów. Tysiąc osiemset sześćcioro zabitych było ludźmi. W tej liczbie znalazł się Meryl, który – jak dowiedziała się Persefona – był niewolnikiem pracującym w Kypie. Postanowił zamordować przywódców strony, którą uważał za wrogą. Meryl uniknął uwięzienia, ukrywając się w labiryncie pod Verenthenonem – tylko po

to, żeby finalnie zabili go ci Fhrejowie, którym usiłował pomóc, zginął bowiem, gdy zawaliła się wielka kopuła.

Dwie trzecie obrońców Alon Rhist poniosły śmierć. Persefona знаła liczbę poległych, ponieważ zażądała, by Brin prowadziła dokładny spis, odnotowując każde znalezione ciało. Dziewczynie przypuszczalnie nigdy się nie śniło, że kiedyś zostanie obarczona takim obowiązkiem.

Ze wszystkich relacji wynikało, że atakujący Fhrejowie ponieśli relatywnie zbliżone straty, zatem wynik bitwy można byłoby określić jako remis. Tym, co robiło różnicę, były oczekiwania. Nikt w Alon Rhist nie przypuszczał, że mają jakieś szanse. Tak więc świat uznał Persefonę za zwyciężczynię tylko dlatego, że wciąż jeszcze oddychała.

Oddychanie było w zasadzie jedyną rzeczą, do jakiej Persefona pozostawała zdolna. Teraz, stojąc pomiędzy dwoma grobami, miała kłopot nawet z tym.

Rany nadal uniemożliwiały jej normalne funkcjonowanie. Brzuch miała ciasno zabandażowany i zniesiono ją z Kypu w lektyce. Tu, na dole, uparła się, że chce stać o własnych siłach. Przybyli, by pożegnać się z Raithe'em i Arion. Nie siedzi się w obecności bohaterów.

Każdy oddech przyprawiał ją o cierpienie. A ból ran nie pomagał.

Rozczarował ją widok tłumu – mniejszego, niż oczekiwała.

Powinny się tu zebrać tysiące żałobników, pomyślała, zważywszy na to, ile zawdzięczamy Raithe'owi i Arion.

Ale zbyt wielu spośród tych, którzy mieli świadomość skali owego długu, również poniosło śmierć i spoczywali pochowani na tej straszliwej równinie. Raithe od początku nienawidził tego miejsca. Teraz znienawidziła je i Persefona. Ktoś, może Brin, określił je mianem Pola Bohaterów. To brzmiało jak coś, co Brin mogłaby zapisać w swojej księdze. A chociaż polegli faktycznie byli bohaterami, Persefona nie mogła się opędzić od myśli, że są to również ofiary – jej ofiary. Odpowiadała za ich śmierć w większym stopniu niż ktokolwiek inny. To było jej zwycięstwo.

Tesh wykopał grób Raithe'a oraz umieścił w dłoni zmarłego kamyk umożliwiający wstęp do Phyre, bo był to obowiązek najbliższego krewnego. Persefona nie wiedziała, kto wykopał grób Arion, ale to Suri włożyła Fhrejce kamyk do ręki. Suri stała teraz w pewnej odległości od pozostałych, wpatrując się w dwie bliźniacze sterty kamieni, tak jakby nie potrafiła zrozumieć, co się wydarzyło.

Suri ocaliła ich wszystkich.

Zabiła też Raithe'a.

Nikt nie powiedział tego Persefonie. Nikt nie musiał. Gdy tylko smok przemówił, już wiedziała. Wiedziała więcej, niż chciała, i właśnie to sprawiło,

że tak straszliwie trudno było jej stać tutaj, na suchym wietrze, próbując oddychać.

Gifford spróbował pocieszyć Suri, kładąc jej rękę na ramieniu. Mistyczka odsunęła jego dłoń.

– Nie rób tego – powiedziała. – Nie bądź miły. Ludzie, którzy mnie pokochają, źle kończą.

Brin jak zwykle stanęła obok Persefony. Musiała opisać to wydarzenie w swojej kronice, ale raczej nie zobaczyła zbyt wiele, bo bez przerwy płakała. Moya, Tekchin, Padera, Malcolm, Mróz, Powódź, Deszcz, Roan, Gifford, Habet – oni wszyscy zjawili się tu, żeby pożegnać zmarłego. Zaskoczeniem była obecność Tressy. Wdowa po Konnigerze zazwyczaj unikała tłumów.

– Wykopałem naprawdę głęboki grób – powiedział Tesh, kierując te słowa do wszystkich obecnych. Lub może do nikogo. – Potem zniosłem tu największe i najcięższe kamienie, jakie znalazłem. Nie chcę, żeby jakieś zwierzęta wykopały ciało. – Wytarł nos i oczy.

Brin podeszła do niego, ujęła jego dłoń i ścisnęła mocno.

– Powinniśmy coś powiedzieć – zasugerowała Moya.

Ku jej zaskoczeniu Tressa, która trzymała w dłoni kamień, wystąpiła naprzód, żeby położyć go na mogile.

– Nie ty – warknęła Moya.

– Daj spokój – odrzekła Tressa. – Jesteśmy świeżo po bitwie. Nie masz dosyć?

– Ciebie i owszem.

Tressa westchnęła i pokręciła głową.

– Nie przyszłam tu, żeby się kłócić.

– A po co przyszłaś?

Wdowa po Konnigerze wskazała grób Raithe'a.

– Chciałam mu coś powiedzieć. Pogrzeby służą między innymi do tego, tak w każdym razie słyszałam. Nie macie nic przeciwko?

– Owszem – powiedziała Moya. – Prawdę mówiąc, całkiem sporo.

– To dobrze. – Tressa uśmiechnęła się złośliwie.

Tarcza pośpiesznie postąpiła krok w jej stronę.

– Moya – powiedziała Persefona. – Pozwól jej przemówić.

Głos keeniga był cichy i słaby, ale wywarł uderzający efekt. Moya zatrzymała się w pół kroku, lecz nadal piorunowała Tressę wzrokiem.

Ta ją zignorowała.

– Nie znałam cię zbyt dobrze – powiedziała, zwracając się do grobu. – Byłeś Dureyaninem, źródłem kłopotów. Wiedziałam to od chwili, gdy przybyłeś do Rhenu. Dureyanie to kłamcy, pijacy, mordercy i złodzieje. Wszyscy to wiedzą.

Teraz cały ogół zebranych spiorunował wzrokiem Tressę, a Moya zaczęła się kołysać na palcach stóp, zerkając na Persefonę w nadziei, że smycz zostanie zdjęta.

– Rzecz w tym, że większość ludzi Tet wie – podjęła Tressa. – Tylko im się wydaje, że coś wiedzą. Ludzie zawsze sądzą, że wiedzą o danym człowieku wszystko. – Posłała Moyi gniewne spojrzenie, po czym znów wbiła wzrok w stertę kamieni u ich stóp. – Byłeś Dureyaninem, więc musiałeś przyciągać kłopoty, i może tak było, ale ja tego nigdy nie zobaczyłam. Kiedy wszyscy bali się pójść do lasu, ty ścinałeś dla nas drzewa, żeby nam nie zabrakło drewna. Stawiłeś czoło Fhrejmom, kiedy nikt inny nie miał odwagi. Odrzuciłeś szansę zostania keenigiem, choć mogłeś objąć rządy nad wszystkimi klanami. Nigdy nie widziałam, żeby mężczyzna tak lekką ręką odrzucał władzę. Konniger by tego nie zrobił. Konniger poniósł śmierć, próbując zdobyć jedną dziesiątą tego, co ludzie usiłowali ci wepchnąć siłą. A potem... – otarła oczy i pociągnęła nosem – potem zrobiłeś to. Cholerny wszawy Dureyanin. Podły gałgan. Chciałabym tylko... Chciałabym, żebyśmy mieli więcej takich mężczyzn jak ty, albo żebym miała szansę lepiej cię poznać. Bo ludzie... No cóż, myślę, że ludzie po prostu Tet wiedzą. – Tressa podniosła wzrok, żeby spojrzeć na resztę zebranych. – W porządku. To wszystko, co miałam do powiedzenia. – Położyła swój kamień na mogile Raithe'a i odeszła.

Na długą chwilę zapanowała cisza.

Z Moyi opadło napięcie. Przygarbiła ramiona, a jej ręce opadły luźno wzdłuż ciała. W końcu zapytała:

– Tesh? Czy chcesz...?

Chłopak pokręcił głową.

– Już powiedziałem to, co chciałem, kiedy znosiłem kamienie.

Moya spojrzała na Persefonę, która czym prędzej pokręciła głową.

– Suri?

Suri patrzyła na Gilarabrywna. Olbrzymi stwór spoczywał zwinięty na wzgórzu znanym jako Wilcza Głowa, obojętnie obserwując ceremonię.

Moya odchrząknęła i ponownie zawołała do dziewczyny.

– Suri, czy chciałabyś coś powiedzieć?!

Mistyczka pokręciła głową.

Moya popatrzyła na karły, ale one też zaprzeczyły.

– Malcolmie?

Wysoki chudzielec przyrodziany w strój, który uszyła dla niego matka Brin, stanął na baczność przed stertą kamieni.

– Ten wieczór skłania mnie do tego, by przystanąć i myśleć. – Malcolm zadarł głowę, żeby popatrzeć na ciemniejące powoli niebo. – Myślę, że po

odejściu Raithe'a i Arion na niebie pojawią się dzisiaj co najmniej dwie nowe gwiazdy. – Popatrzył na grób Arion. – Myślę też, że odtąd imię Arion powinno być synonimem słowa mądrość. Choć bowiem Arion była miłosierna, inteligentna i szczodra, przede wszystkim cechowała się mądrością. Można by podejrzewać, że to efekt tak długiego życia, ale myślę, że nie. Arion wiedziała, że z arogancji wynika apatia, z apatii wynika ignorancja, z ignorancji wynika nienawiść, a z nienawiści, no cóż... Nic dobrego nigdy nie wynikło z nienawiści. – Zrobił pauzę, żeby popatrzeć na splamioną krwią równinę. – Próbowała to powstrzymać, ale myślę, że mądrość rzadko kiedy wystarczy, by skutecznie walczyć z nienawiścią. W tej walce czasem konieczne są ofiary.

Zwrócił się ku drugiej mogile.

– Myślę, że Tesh ułożył te kamienie tak, jak trzeba. Duże na dole, małe na górze. Włożył ci też kamyk w dłoń, Raithe, żebyś mógł wkroczyć do Phyre. Pochwaliłbyś go. Przykro mi, że musiałem cię wprowadzić w błąd, ale cóż, jest mi przykro z powodu wielu rzeczy. Koniecznie powiedz siostrze i matce, że nie byłeś taki, jak twój ojciec i bracia. Zrobiłeś w życiu coś dobrego... Coś bardzo dobrego. I myślę, że twoje życie zmieniło świat na lepsze. Nie, to nieprawda. – Malcolm znów popatrzył w niebo. – Ta noc zesłała mi wiele myśli, ale tamto wiem na pewno. Śpij dobrze, przyjacielu. Zasłużyłeś.

Potem Malcolm uniósł głowę i zaśpiewał zdumiewająco pięknym głosem:

*Daję ci moją miłość,
W głąb Elan cię odsyłam,
O przebaczenie błagam,
Proszę, odnajdź spokój.
Niech wszystko, co dobre na świecie,
strzeże cię w tej podróży.*

Wyciągnął odlany z brązu medal Herkimera – ten, który Raithe nosił, odkąd się poznali – i położył na mogile. Przycisnął go kamieniem, po czym się cofnął.

Teraz pozostali zaczęli kolejno podchodzić, by złożyć kamienie na obu grobach. Krzywiąc się z bólu, Persefona złożyła swój na mogile Arion, a potem się cofnęła. Nie podeszła do grobu Raithe'a. Zauważyła to Moya i natychmiast obwieściła, że ceremonia dobiegła końca, oraz poprosiła zebranych, by się rozeszli.

Sama podeszła do Persefony.

- Pora zabrać cię z powrotem do...
- Nie, zostanę tu jeszcze.
- Ledwo trzymasz się na nogach.

– Potrzebuję zostać przez chwilę sama.

Moya przetrawiła to, po czym skinęła głową.

– W porządku, ale będę czekać tam niedaleko, obok lektyki. Pomachaj, gdybyś mnie potrzebowała.

Odeszła, odganiając przy okazji Brin, która zapytała, dlaczego Persefona nie idzie z nimi.

– Suri? – Persefona zatrzymała mistyczkę, gdy ta miała właśnie odejść.

Dziewczyna się odwróciła. Twarz miała zmizerniałą, oczy zmęczone.

– Chcę zapytać...

Dlaczego Raithe? Ze wszystkich ludzi, dlaczego złożyłaś w ofierze właśnie jego? Czy to przeze mnie?

Te słowa utknęły jej w gardle i nie chciały się wydostać.

– Nieważne – powiedziała. – Przepraszam.

Wiem, dlaczego, i wolałabym tego nie usłyszeć, pomyślała. Jeśli mi to powiesz, nie będę już miała za czym się skryć.

– To nie bolało – powiedziała Suri. – Jego nie bolało.

Persefona skinęła głową.

– Będę tam niedaleko – powtórzyła z naciskiem Moya.

Odeszła wraz z Suri, pozostawiając Persefonę samą w blasku zachodzącego słońca, na łasce paskudnego wiatru.

Persefona postąpiła tylko krok do przodu. To wystarczyło. Upadła. Wylądowała na czworakach. Ból przeszył jej tułów, sprawiając, że krzyknęła. Moya zawróciła, lecz Persefona gestem dała jej znać, że nie trzeba.

Potem keenig Dziesięciu Klanów zaczęła płakać. Była zdumiona, że udało jej się wytrzymać tak długo. Klęcząc samotnie w tym okropnym miejscu, przed dwiema stertami kamieni, pozwoliła się ponieść rozpacz.

Kiedy w końcu przestała płakać, słońce skryło się już za ruinami Rhistu, a na wschodzie zaczynały pojawiać się gwiazdy. Persefona zsunęła z szyi łańcuszek, na którym nosiła pierścień wodza – ten, który upuściła na podłogę tamtej nocy, kiedy symbolicznie pożegnała się z Reglanem. Ten, który znalazła Brin. Persefona zacisnęła go w dłoni, czując, jak metal wbija jej się w skórę.

– Musiałam zrobić to, co będzie najlepsze dla mojego ludu – powiedziała do sterty kamieni. – Musiałam... Musiałam... Nadal muszę. I wiem, że cię zraniłam, ale niech to szlag, Raithe, ty też mnie zraniłeś, a to... To było po prostu okrutne.

Otarła twarz nadgarstkiem.

– Na Mari, szczerze żałuję, że Suri nie zapytała mnie, zanim poprosiła ciebie. Gdybym wiedziała, że szuka kogoś, kogo mogłaby złożyć w ofierze, stałabym w kolejce przez całą noc, żeby móc się zgłosić na ochotnika. Wówczas to ja

zostałabym bohaterką, a ty tonąłbyś później w poczuciu winy i nienawiści do siebie. Wierz mi, bezbolesna śmierć z rąk Suri wydaje mi się teraz nadzwyczaj kusząca. Ale nie będę miała tego przywileju, żeby umrzeć bohatersko jak ty. Kobietom nigdy nie jest to dane. Po prostu się starzejemy, a później zapomina się o nas.

Pociągnęła nosem i pokręciła głową.

– Raithe, chciałabym powiedzieć, że mi przykro, ale nie potrafię. Po prostu nie potrafię, bo... bo to za bardzo boli. Odebrałeś mi szansę, ukradłeś jedyną nadzieję na to, że mogłabym wszystko naprawić, i szczerze, w tej chwili... nienawidzę cię. Tak bardzo cię nienawidzę... Prawie tak samo mocno, jak nienawidzę siebie. Zatem weź go. – Podeszła do sterty kamieni, podniosła jeden z nich i położyła pod nim pierścień. – Nyphron dostanie wszystko inne, ale nie to. Pierścień jest twój. Myślę, że zawsze był.

– Sefo?! – zawołała Moya.

Ściemniało się, więc Tarcza już prawie nie widziała swojej keenig.

– Muszę iść. Muszę zaopiekować się moim ludem. To moje zadanie. – Persefona pomachała, a Moya ruszyła w jej stronę. – Poświęciłeś siebie, żeby nas ocalić; brawo, ale ty musiałeś to zrobić tylko raz.

Rozdział trzydziesty drugi

Wiadomość

Oczami wyobraźni widzę, jak ów nieduży ptak przelatuje pomiędzy strzałami, błyskawicami wyczarowanymi przez Miralyithów oraz smokiem, który ziejże płomieniami. Cóż za niedoceniony bohater.

Księga Brin

Imaly siedziała bokiem na złotym krześle pośrodku pustego Airenthenonu, przerzuciwszy nogi przez podłokietnik. Jej poza urągała godności sprawowanego urzędu oraz kalala świętość tego miejsca, ale zarazem była czymś wspaniałym. Podeszły wiek Imaly oznaczał, że ilekroć spędzała zbyt dużo czasu na nogach, puchły jej stopy, a dopiero co musiała się męczyć na stojąco przez kilka godzin. Zakończyło się cotygodniowe zebranie Aquili, w czasie którego atmosfera była wprost potworna. Imaly nie winiła pozostałych oficjeli; sama była równie zaniepokojona jak oni. Upłynęły tygodnie, odkąd fane wyruszył z wojskiem, i nie było odeń żadnych wieści. Wszyscy żądali odpowiedzi. Imaly ich nie miała, ale to nie hamowało pytań.

Jako Kuratorka Aquili była formalnie namiestniczką fane'a pod jego nieobecność. Ta pozycja nie wiązała się z realną władzą. Przywilej wymierzania sprawiedliwości, który fane otrzymywał bezpośrednio od Ferrola, nie mógł być przeniesiony na inne osoby. Namiestniczka nie mogła też podejmować decyzji politycznych. Jedyne, co mogła, to nadzorować wybór nowego fane'a, gdyby dotychczasowy zmarł, oraz – jak niedawno – ponieść spektakularną porażkę, gdy żądano, żeby odpowiadała na pytania dotyczące wojennych osiągnięć Lothiana.

Niektóre z nich – jak to, które zadała minister Metis – wynikały z uzasadnionej troski o zdrowie i bezpieczeństwo fane’a. Jednak większość – jak indagacja Volhorika – była motywowana politycznie. Jak wielu wysoko postawionych Fhrejów, Volhorik ujrzał kuszącą sposobność. Zarówno fane, jak i jego dziedzic wyruszyli na wojnę. Wojna była niebezpieczna. Gdyby coś złego spotkało ich obu, stwarzałoby to szeroką gamę opcji. Aquila – ze szczególnym uwzględnieniem samej Imaly – miałyby moc zadecydowania o przyszłości Erivanu. Gdyby dali dostęp do Rogu Gylyndory wyłącznie nie-Miralyithom, Fhrejowie znaleźliby się pod władzą nowego szczepu, który zyskałby prerogatywy pozwalające błyskawicznie ukrócić ambicje władających magią. Gdyby fane i jego syn zginęli, mogłoby to trwale odmienić bieg historii. Volhorik badał grunt, sprawdzając, jakie są intencje Imaly. Oczywiście pragnęły wesprzeć kandydaturę kogoś ze szczepu Umalyn. Dał to do zrozumienia między wierszami, kiedy powiedział, że Fhrejowie potrzebują silnego przywódcy religijnego, by powrócić pod skrzydła Ferroła.

Jakkolwiek miło byłoby utemperować ambicje Miralyithów, którzy zaiste popadli w nadmierną pychę, wiązało się z tym oczywiście niebezpieczeństwo. Zeszłoroczny bunt pokazał, że Miralyithowie raczej nie dadzą się pokornie zepchnąć na poślednią pozycję. Jeśli ta kwestia nie zostanie umiejętnie rozegrana – nie, w zasadzie nawet jeśli zostanie – w Erivanie może wybuchnąć wojna domowa. Imaly rozważała udanie się do Ogrodu, żeby pomyśleć w spokoju, ale już od jakiegoś czasu unikała ławki naprzeciwko Drzwi. Dokładniej – od spotkania z tamtym niechlujnym nieznanym, który oznajmił, że zamierza ją obserwować. Na ile potrafiła się zorientować, nie spełnił tej obietnicy. Imaly zasięgnęła języka, ale niczego nie zdołała się dowiedzieć. Posunęła się nawet do tego, że wysyłała służących, żeby przespacerowali się obok tamtej ławki i sprawdzili, czy nieznanomy nadal tam przesiaduje. Przesiadywał. Uznała to za wiadomość w równym stopniu niepokojącą jak uspokajającą. Tak, nieznanomy nadal kręcił się po Ogrodzie, ale na pewno jej nie śledził. Jej pierwsza myśl, że ten Fhrej może stanowić zagrożenie, przycichła z czasem. Teraz Imaly zastanawiała się, czy nie powinna była wrócić. Typ z ławki stanowił enigmę, która ją prześladowała, ale był też potencjalnym źródłem informacji. Sprawiał wrażenie kogoś, kto wie więcej, niż powinien.

Imaly spędziła na nogach znacznie więcej czasu niż zwyczajowe dwie godziny i jej stopy rozpaczliwie teraz protestowały. Trzymanie ich w górze pomagało zmniejszyć opuchliznę. Po powrocie do domu planowała je wymoczyć w nadziei, że zdążą wydobrzeć przed posiedzeniem rady zaplanowanym na kolejny tydzień.

Usłyszała stukot kroków na marmurowej posadzce i z niezadowolonym stęknieniem pośpiesznie zdjęła nogi z podłokietnika. Jeszcze tego brakowało, żeby Volhorik albo Kabbayn zobaczyli ją siedzącą w takiej pozie na świętym krześle. Tego typu drobiazgi mogły nagle nabrać niechcianej wagi, kiedy ktoś o nich opowiedział we właściwy sposób niewłaściwym osobom. Tylko że, jak się okazało, nadchodzącym nie był Volhorik ani Kabbayn, ani żaden inny doradca. Była to absolutnie ostatnia osoba, jaką Imaly spodziewała się zobaczyć, a na widok tej znajomej twarzy ogarnęły ją szok i przerażenie.

Ze splecionymi na podołku dłońmi do Airenthenonu wkroczyła Makareta. Ta Artystka, która umiejętnie zmanipulowała księcia Mawyndulëgo, żeby nieświadomie wsparł rebelię przeciwko własnemu ojcu. Nadchodziła, stąpając po marmurowej posadzce.

Oto jak dochodzi do takich rzeczy, pomyślała Imaly. W pustych świętych komnatach, kiedy nikt nie patrzy. Ciekawe, czy ona jest w zмовie z tym typkiem z ławki. Oboje długo czekali przyczajeni. Oboje są wyjątkowo cierpliwi.

Imaly przypomniała sobie, jak Makareta cisnęła nią za pomocą magii przez całą salę, fundując jej złamaną nogę oraz zwichniętą rękę. Te obrażenia nadal jej doskwierały – w deszczowe dni odczuwała tępy ból. Mimo to Imaly nie zamierzała okazywać strachu. Nie da temu dziecku satysfakcji.

Usiadła prosto, wygładziła asykę i przywołała na twarz uśmiech.

– Co cię skłoniło, żeby wyjść z ukrycia? – zapytała najbardziej nonszalanckim i miłym tonem, na jaki było ją stać.

– Potrzebuję pomocy – odrzekła dziewczyna.

Imaly dopiero teraz spostrzegła, jak niemożliwie brudna jest asyka Makarety. Poplamiona, dziurawa tu i ówdzie, bardziej przypominała szmatę. Ponadto dziewczyna miała włosy. Nie odrobinę meszku, efekt krótkotrwałego zaniedbania spowodowanego lenistwem, tylko pukle zakrywające uszy i kark.

Przebywała w ukryciu. Chyba dosłownie w jakiejś dziurze, sądząc z tego, jak wyglądała.

– Przypuszczam, że faktycznie potrzebujesz, ale czemu przychodzisz z tym do mnie?

– Jesteś jedyną osobą, która być może mnie wysłucha.

– Czemu miałabym ci pomóc? Nie mogę powiedzieć, bym dobrze wspominała czas, który wspólnie spędziłyśmy.

– Ponieważ jesteś mądra i zdolna do współczucia.

Imaly roześmiała się pomimo – a może wręcz z powodu – swojego strachu. Przerażenie zawsze sprawiało, że reagowała zbyt emocjonalnie. Stojąca przed nią Artystka nie tylko władała nieprawdopodobną mocą, ale też, ponieważ miała

już na rękach krew Fhrejów, nie wiązało jej Prawo Ferrola. Była poszukiwaną przestępczynią, zdesperowaną, gotową na wszystko, i w jej oczach Imaly ujrzała własną śmierć. Ujawniwszy się, Makareta nie mogła pozwolić, żeby Imaly nadal żyła po tym, jak ich rozmowa – bez względu na jej treść – dobiegnie końca.

– Mylisz mnie z księciem Mawyndulë. Pochlebstwa nic nie dadzą.

Dziewczyna uśmiechnęła się cierpko.

– Nie schlebiam ci. To nie są komplementy, tylko fakty. Latami obserwowałam cię pod tą kopułą. Słuchasz. Słyszysz. Jesteś sprawiedliwa i leży ci na sercu dobro innych Fhrejów. Jesteś jedynym nie-Miralyithem, jakiego szanuję.

Imaly chwyciła się za wyleczoną rękę.

– Czy to szacunek kazał ci cisnąć mną przez całą długość tej sali?

– Tak – odrzekła Makareta.

Wskazała marmurowy posąg przedstawiający fane Ghikę. Gdy pstryknęła palcami, statua obróciła się w proch.

Imaly nienawidziła siebie za to, ale wzdrygnęła się, słysząc donośny trzask, dodatkowo nagłośniony przez echo pod wielką kopułą. Morał był jasny. Patrząc na kurz i odłamki, które jeszcze przed chwilą były nadzwyczaj udaną podobizną Ghiki, Imaly postanowiła zaryzykować życie i oznajmiła:

– Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc. Nie mam takiej władzy, a nawet gdybym miała, też bym tego nie zrobiła. To, co zrobiłaś, i to, co próbowaliście zrobić, jest niewybaczalne i niepojęte. Ledwo zdołaliśmy naprawić szkody, do których doszło za waszą sprawą w tym budynku oraz na placu przed nim. Całe nasze społeczeństwo funkcjonuje w oparciu o zasadę, że Fhrejowie nie zabijają Fhrejów, a co jeszcze ważniejsze, że czcimy naszego fane'a.

– Czy uważasz, że Lothian jest dobrym władcą?

– Dobry czy zły, jest władcą. Nikt nie może z tym nic zrobić. Poza tym ty preferowałabyś świat, w którym Miralyithowie byłiby bogami, a tacy jak ja waszymi niewolnikami. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że doprowadzenie do takiej zmiany nie leżałoby w moim interesie.

– Aktualnie ucieszyłby mnie fane wywodzący się z innego szczepu niż Miralyithowie, pod warunkiem, że nie chciałby widzieć mnie martwej. – Makareta popatrzyła na swoje stopy. – Airen, Rinald, Inga, Flynn, Orlene, Tandur... Wszyscy zginęli lub zostali straceni bez nadziei na odrodzenie w zaświatach. Flynną podtrzymywano przy życiu za pomocą Sztuki, smażąc mu skórę na całym ciele.

Imaly pokiwała głową. Fane zarządził, by wszyscy Fhrejowie mieszkający w stolicy byli świadkami egzekucji zdrajców. Ona sama nie zastosowała się do tego edyktu, wymawiając się chorobą. Wystarczyło jej, że widziała śmierć

Zephyrona ze szczepu Instarya podczas pojedynku na arenie. Mimo wszystko wiedziała z grubsza, jak wyglądały te egzekucje – słyszała opowieści. Dziesiątki widzów się pochorowały, a kilka osób cierpiało później tygodniami z powodu nocnych koszmarów.

– Jesteś Kuratorką Aquili. Masz wpływy.

Z oczu Makarety wycierał strach. Istota, która stała przed Imaly, nie była wściekłym psem, tylko przestraszonym dzieckiem, sierotą żebrzącą o pomoc. Makareta była blada i miała podkrążone oczy. Poza tym wyraźnie straciła na wadze. Może i potrafiła sprawić, by marmurowy posąg eksplodował, ale była wymęczona i wyniszczona.

Ciekawe, gdzie się ukrywałaś? – pomyślała Imaly. Jakie życie wiodłaś przez ostatni rok, skoro finalnie poczułaś, że musisz przyjść właśnie do mnie?

– Zrobię wszystko, czego chcesz. Wszystko, o co poprosisz. Prawdę mówiąc, jestem bardzo kompetentnym Miralyithem. – Makareta popatrzyła na stertę odłamków, które pozostały ze zniszczonego posągu. Wyszepiała kilka słów i ruchem palców sprawiła, że odłamki oraz pył zespoliły się z powrotem w podobiznę Ghiki, tak jakby nic się nie stało. – Miralyithem bez szczepu, bez przyjaciół. Pomyślałam, że mogę się przydać Kuratorce Aquili ze szczepu Nilyndd. Poza tym tak jakby zawdzięczasz mi życie.

– A czego dokładnie ode mnie chcesz?

– W tej chwili? – Makareta oblizwała spierzchnięte wargi. – Pożywienia i bezpiecznego miejsca, gdzie mogłabym się wyspać. A później może zdołałabyś wstawić się za mną, żeby złagodzą mi karę? Ewentualnie przekonać fane'a, żeby przestał mnie szukać i pozwolił mi udać się w jakieś odległe strony, gdzie mogłabym spróbować się osiedlić. Tak trudno jest bez przerwy blokować czary tropiące. Nawet nie mam możliwości golić głowy. To obrzydliwe. – Po policzku dziewczyny spłynęła łza. – Ja... Mam tylko sto szesnaście lat. Jestem... – Gwałtownie zaczerpnęła tchu i zacisnęła usta, po czym otarła oczy. – Nie chcę, żeby moje życie dobiegło końca, choć nie zdążyłam jeszcze niczego dokonać. Popełniłam błąd. Wiem o tym i jest mi przykro. Wszyscy daliśmy się ponieść; to było tak... Przepraszam. Przepraszam.

Zaczęła szlochać.

Imaly pozwoliła jej płakać. Ta dziewczyna była rasową manipulatorką, ale Imaly miała prawie trzy tysiące lat wprawy w radzeniu sobie ze znacznie zręczniejszymi manipulatorami niż Makareta. Wstała, podeszła do dziewczyny, objęła ją i przytuliła, podczas gdy młoda Artystka szlochała w jej szatę.

– Tak strasznie się boję.

– I słusznie – skwitowała Imaly.

Z zewnątrz dobiegł odgłos kroków. Makareta podniosła na Kuratorkę błagalne spojrzenie.

– Skryj się za filarem.

Dziewczyna pobiegła, znikając z widoku.

Co ja wyprawiam? – pomyślała Imaly. Daję schronienie uciekinierce – zdrajczyń, na którą fane wydał wyrok!

Wciąż jeszcze kręciła głową, kiedy w jej polu widzenia pojawił się Fhrej, którego kroki usłyszała chwilę wcześniej. Imaly znała go jedynie z widzenia. Nie mogła przypomnieć sobie imienia, ale mundur powiedział jej wszystko, co potrzebowała wiedzieć. Był posłańcem z pałacu Talwara. W dłoni trzymał zapieczetowaną woskiem drewnianą rurkę.

– Wiadomość – poinformował, skłaniając głowę zgodnie z etykietą.

– Wiadomość? Skąd?

– Przyleciał ptak z Alon Rhist. W normalnych warunkach poczekalibyśmy na powrót fane’a, ale istnieje możliwość, że to fane przysłał list, a w takim wypadku wiadomość byłaby przeznaczona dla twoich oczu, pani.

Imaly wzięła rurkę i złamała woskową pieczęć.

Sługa z pałacu czekał.

– Możesz iść – poinformowała go.

Ewidentnie chciał wiedzieć, co znajduje się w liście, więc posłał jej rozczarowane spojrzenie, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Nasłuchując, jak jego kroki cichną, Imaly wyciągnęła z rurki arkusik pergaminu i go rozwinęła. Przeczytała wiadomość trzykrotnie, zanim Makareta wyłoniła się z cienia za filarem i podeszła.

– Co tam napisano? – zapytała dziewczyna z nadzieją w głosie.

– Nie napisano, że fane nie żyje – odrzekła Imaly. – Prawdę mówiąc, ta wiadomość w ogóle nie pochodzi od naszych sił. Wygląda na to, że wysłał ją wróg, który zajął Alon Rhist.

Makareta sprawiała wrażenie rozczarowanej.

– Ale co tam jest napisane? – powtórzyła.

Imaly zmięła karteczkę w dłoni i uśmiechnęła się do dziewczyny.

– Jest napisane, że mogą mi się przydać usługi wyjętej spod prawa Artystki ze szczepu Miralyithów, która zgodzi się robić, co jej każę.

Posłowie

I proszę: tak oto kończy się kolejny tom cyklu. Mam nadzieję, że podobała Wam się ta opowieść. Nazywam się Robin i jestem żoną Michaela. Zapytałam go, czy mogłabym napisać posłowie do tej książki, a on się zgodził, więc oto jestem! Michael twierdzi, że przeważnie uznaję tę powieść, którą właśnie skończyłam czytać, za moją ulubioną. Przypuszczalnie ma rację. Pamiętam, że kiedy kończyliśmy prace redakcyjne nad *Epoką wojny*, kilka razy użyłam słowa „ulubiona”.

Nie zrozumcie mnie źle. Uwielbiam *Epokę mieczy* (którą wcześniej uznałam za swój ulubiony tom w tym cyklu), między innymi dlatego, że mogliśmy tam lepiej poznać Roan, Moyę i Gifforda. Płakałam, kiedy Suri musiała się wykazać łamiącym serce poświęceniem, i wiwatowałam, kiedy Persefona wyruszyła w drogę, by dokonać niemożliwego, podczas gdy mężczyźni sprawujący władzę siedzieli beczynnie, próbując tylko zaspokoić własne ambicje. Uśmiecham się teraz na samo wspomnienie.

No dobrze, a teraz porozmawiajmy o *tej* książce. Co mi się w niej tak spodobało? Powiedziałabym, że w pierwszej kolejności to, jak targała mnie za serce. Płakałam, kiedy Suri znowu musiała w imię większego dobra zabić kogoś, kogo kochała. Gdyby tego nie zrobiła, jestem pewna, że Rhunowie z Alon Rhist nie mieliby szans na przeżycie. Uwielbiałam Suri już na początku *Epoki mitu*, ale jej przemiana z gąsienicy w motyla jest zdumiewająca. Mimo woli dostrzegam wiele podobieństw między nią a Myronem z książek o Riyrii: uwielbiałam go w pierwszym tomie *Odkryć Riyrii*, a stał się jeszcze bardziej fantastyczną postacią w trzecim. Ale znowu zboczyłam z tematu.

Co jeszcze... Ach tak, Gifford. Odkąd po raz pierwszy go poznaliśmy, był jedną z moich ulubionych postaci. Michael lubi pisać o bohaterach, którzy nie zapowiadali się na herosów, a nikt nie jest tutaj lepszym przykładem niż ten niewiarygodnie utalentowany kaleka. Strasznie mi się podobało, że to, jak źle traktowała go Padera, finalnie się opłaciło, i nie posiadałam się z radości, że spełniła się przepowiednia Tury. Ale jeszcze lepszy od tamtych wydarzeń był

moment, kiedy Gifford w końcu zostaje uściskany przez Roan. Czyż mogło go spotkać coś wspanialszego?

Jednakże największym emocjonalnym wstrząsem w tej książce było dla mnie to, co się wydarzyło pomiędzy Persefoną a Raithe'em. Ponieważ czytałam *Odkrycia Riyrii*, wiedziałam, że Novron poślubił Persefonę. Jednakże wiedziałam też, że w historycznych zapiskach były błędy, i miałam nadzieję, że może kronikarze błędnie podają tożsamość jej małżonka. Kiedy po raz pierwszy czytałam *Epokę wojny*, błagałam Michaela, żeby Persefona i Raithe dostali jeszcze jedną, ostatnią wspólną scenę. Chciałam, żeby Persefona mogła wyznać, że tak, kocha go. Serce mi pękało, że on musi umrzeć, nie znając prawdy, a ona przez resztę życia będzie się zmagać z wyrzutami sumienia. Mój mąż odrzucił sugestię, by pozwolić im się pojednać. Niech cię szlag, Michael! Zamiast tego dodał jeszcze scenę przy grobie, deptając serce, które wcześniej wyrwał mi z piersi. Czasem potrafi być naprawdę wyjątkowo okrutny. Jestem pewna, że też posądzacie go o ukryte skłonności sadystyczne. Wspominanie tego fragmentu książki nadal sprawia mi trudność. Potrzebuję chwili, żeby ochłonąć. Zaraz wracam.

W porządku, już mi lepiej. Może opowiem teraz o innych rzeczach, które mi się podobały. Na przykład wyjawiane informacje! Od początku wiedziałam, że Nyphron wykorzystuje Rhunów, żeby wykonali za niego brudną robotę, ale ani przez chwilę nie podejrzewałam, że to on wywołał wojnę, atakując bez rozkazu Dureyę i Nadak! Co za podstępny drań. I był jeszcze Malcolm! Od zakończenia *Epoki mitu* wiedzieliśmy, że ta postać jest kimś więcej, niż się wydaje, ale nie potrafiłam ocenić, czy zalicza się do „dobrych”, czy do „złych”. W obecnym punkcie serii nadal tego nie wiemy, ale wspaniale było zobaczyć, jak ujawnia swoją prawdziwą naturę (w pewnym stopniu), i świetnie się bawiłam, kiedy rugał Nyphrona, fundując mu małą lekcję pokory.

To były moje ulubione momenty w *Epoce wojny*. Liczę, że też macie swoje. Jak Michael podkreślił w swoim wstępie zatytułowanym „Od Autora”, naprawdę uwielbia otrzymywać maile od czytelników, więc jeśli macie ochotę napisać do niego kilka słów o tym, co najbardziej lubicie w jego książkach (bądź o rzeczach, które Wam się nie podobały), śmiało wyślijcie wiadomość na adres michael@michaelsullivan-author.com. Zawsze będziemy też bardzo wdzięczni, jeśli zostawicie kilka komentarzy w takich serwisach jak Amazon, Goodreads i Audible.com. Takie opinie czytelnicze pomagają zachęcić innych do sięgnięcia po te książki.

Podsumowując, chciałabym podkreślić, że Michael i ja jesteśmy nieustająco wdzięczni za Wasze wsparcie dla jego twórczości. Czy zdawaliście sobie sprawę, że zbliża się dziesiąta rocznica jego debiutu? Tak jest, powieść *The Crown*

Conspiracy po raz pierwszy została wydana przez Aspirations Media Incorporated w październiku 2008 r. W tamtym momencie nie zakładaliśmy, że te książki kiedykolwiek zarobią jakieś „prawdziwe pieniądze”, ale radość, jaką Michael czerpał z ich pisania, stanowiła dla nas więcej niż wystarczającą rekompensatę. Tym niemniej zadziałał marketing szeptany, oba cykle o Riyrii zyskały niesamowitą popularność i czytelników przybywa z każdym dniem. To Wasze nieustające wsparcie umożliwiło mi rezygnację z pracy etatowej, dzięki czemu mogę pomagać Michaelowi w tworzeniu i publikowaniu kolejnych opowieści. Niewielu ludzi ma możliwość zarabiać na życie, robiąc to, co kochają najbardziej, ale Michael zalicza się do tych szczęśliwców właśnie dzięki Wam. Oboje dziękujemy Wam z całego serca.

Słowniczek pojęć i imion

Agawa: Więzienie Prastarego, które leży głęboko w sercu Elan. Karły odkryły je, drążąc tunele w Neithu. Agawa została powtórnie odkryta w czasie wyprawy Persefony, mającej na celu odszukanie i zniszczenie Balgargaratha.

Aiden (Fhrej, szczep Miralyith): Jeden z przywódców Szarych Płaszczy, tajnego bractwa Miralyithów, które próbowało obalić fane'a i wynieść Miralyithów ponad inne fhrejskie szczepy.

Airenthenon: Budynek z kopułą wspartą na kolumnach, w którym obraduje Aquila. Chociaż Leśny Tron i Drzwi są starsze, Airenthenon to najstarszy gmach w Estramnadonie. Omal nie uległ zniszczeniu podczas Buntu Szarych Płaszczy; tylko szybka reakcja księcia Mawyndulęgo uratowała go przed zawaleniem.

Akademia Estramnadońska: Znana również jako Akademia Sztuki. Szkoła, gdzie Miralyithowie są uczeni posługiwania się magią. Aby zostać do niej przyjętym, trzeba zdać test zdolności znany jako Sharhasa.

Alon Rhist: Główna twierdza na granicy między Rhulynem a Avrlynem, obsadzona przez członków szczepu Instarya. Ma powstrzymywać Rhunów przed przybywaniem do ojczyzny Fhrejów. Nazwano ją na cześć czwartego fane'a Fhrejów, który zginął w czasie wojny z Dhergami. Po śmierci Zephyrona komendę nad garnizonem Rhistu powierzono Petragarowi.

Alward (Rhun, klan Nadak): Nowy wódz Nadaku, jednego z dwóch klanów, które zniszczyli Fhrejowie.

Alysin: Jedno z trzech królestw w zaświatach. Raj, do którego wędrują dusze dzielnych wojowników.

Amfora: Smukłe gliniane naczynie zwężające się u podstawy, mające u góry dwa uchwyty. Służą do przechowywania różnych rzeczy.

Anwir (Fhrej, szczep Asendwayr): Milczący i pełen rezerwy, jest jedynym Fhrejem należącym do Galantian, który nie wywodzi się ze szczepu Instarya. Darzy upodobaniem węzły i chętnie używa procy jako broni.

Anyval (Fhrej, szczep Umalyn): Uzdrowiciel z Alon Rhist.

Aquila: Ta nazwa dosłownie znaczy „miejsce wyboru”. Aquila pierwotnie miała na celu formalizację działalności grupy Fhrejów, którzy asystowali Gylindorze Fane od ponad wieku, i zaskarwienie dla nich publicznego uznania. Przywódcy każdego ze szczepów służą jako doradcy, wyrażając sugestie i asystując w administrowaniu cesarstwem. Starsi członkowie rady są wybierani przez swoje szczepy. Młodszych członków rady wybierają starsi. Sama Aquila nie bierze bezpośredniego udziału w rządzeniu państwem, gdyż władza fane’a jest równie absolutna jak sam Ferrol. Jednakże Aquila ma olbrzymi wpływ na to, kto obejmie tron. Kurator i Konserwator decydują o tym, kto zyska dostęp do Rogu Gylindory.

Arena Carfreign: Rozległe pole na wolnym powietrzu w Estramnadonie, gdzie odbywają się zawody i spektakle. To tam Lothian pokonał Zephyrona w czasie szczególnie upiornego Uli Vermar.

Aria (Rhunka, klan Rhen): Matka Gifforda, która zmarła, wydając na świat swego kalekiego syna.

Aripysk: Rzadki, krwiożerczy stwór.

Arion (Fhrejka, szczep Miralyith): Niegdyś osobista nauczycielka księcia Mawyndulëgo, dawna uczennica Feneliusy nosząca przydomek Cenzlyor. Arion została wysłana do Rhulynu, żeby schwycić i sprowadzić z powrotem renegata Nyphrona. Została ranna, gdy Rhun imieniem Malcolm uderzył ją kamieniem w głowę. Po częściowym powrocie do zdrowia stoczyła pojedynek z Gryndalem, drugim Miralyithem, grożącym, że zniszczy dahl Rhen i wymorduje mieszkańców. Obecnie zamieszkuje wśród Rhunów i ma nadzieję doprowadzić do pokojowego zakończenia konfliktu między Rhunami a Fhrejami. Towarzyszyła Persefonie w wyprawie do Neithu, odniosła tam ciężkie obrażenia i powróciła do Tirre w stanie śpiączki, bliska śmierci.

Artysta: Ktoś praktykujący Sztukę.

Arwal: Miejsce jednej z najważniejszych bitew stoczonych przez Galantian. Tekchin został tam ciężko ranny.

Asendwayrowie: Szczep Fhrejów, którego członkowie specjalizują się w myślistwie. Pewna ich liczba stacjonuje na granicy, żeby zaopatrywać Instaryą w mięso.

Asyka: Noszony przez Fhrejów długi ubiór przypominający szatę. Można się nią owijać i zawiązywać materiał na różne sposoby.

Audrey: Łuk Moyi, nazwany imieniem jej nieżyjącej matki.

Avempartha: Fhrejska wieża wzniesiona przez Feneliusę nad wielkim wodospadem na rzece Nidwalden. Jest w stanie chłonać siłę rwącego nurtu, żeby zwiększać moc Artystów.

Avrlyn: „Kraina Zieleni”, pogranicze imperium Fhrejów. Od północy graniczy z Hentlynem, a od południa z Belgreigiem. Od Rhulynu oddzielają Avrlyn wschodnia i południowa odnoga rzeki Bern.

Bakrakar: Bóstwo opiekuńcze klanu Nadak. Ogromny jelen, który zapewnia myśliwym szczęśliwe łowy.

Balgargarath: Stwór stworzony przez Prastarego w odwecie za to, jak źle potraktowały go elfy. Uczynił Neith, ojczyznę karłów, miejscem niezdatnym do zamieszkania. Stworzony za pomocą niezwykle potężnego splotu był czystą Sztuką w cielesnej postaci, przez co nie dawało się go zranić magią. Zniszczyła go drużyna Persefony: rozpleciono zaklęcie, dzięki któremu istniał, przesywając go bronią, na której było wypisane jego imię.

Belgreig: Kontynent na dalekim południu Elan, gdzie zamieszkuje lud Dhergów.

Belgriklungrejanie: Dhergowie tak nazywają swój naród, odkąd zasiedlili Belgreig.

Bern: Rzeka płynąca z północy na południe i wyznaczająca granicę między Rhulynem a Avrlynem. Rhunom nie wolno przeprowiać się na zachodni brzeg tej rzeki.

Bitwa pod górą Mador: W czasie wojny belgrickiej między Fhrejami a Dhergami to w tej bitwie Feneliusa po raz pierwszy użyła Sztuki, miażdżąc Dziesiąty i Dwunasty Legion Dhergów zwałami skał, z których następnie ukształtowała górę Mador. Ta bitwa zmieniła bieg wojny, powstrzymując natarcie Dhergów.

Bitwa przy Wielkim Moście: Pierwsza bitwa w wojnie między Rhunami a Fhrejami.

Breckon mor: Kobieca wersja płaszcza leigh mor. Płachta wzorzystego materiału o wszechstronnym zastosowaniu, wiązana na rozmaite sposoby.

Brin (Rhunka, klan Rhen): Strażniczka Praw w dahlu Rhen, autorka słynnej *Księgi Brin*. Jej rodzice, Sara i Delwin, zginęli podczas ataku olbrzymów na dahl Rhen.

Cenzlyor: W języku Fhrejów to słowo znaczy „bystry umysł”. Fane Feneliusa nadała ten przydomek Artystce Arion, by podkreślić jej biegłość w Sztuce.

Clempton: Mała wioska w Dureyi, w której wychował się Raithe (Zabójca Bogów).

Czarny brąz: Stop złota, srebra i miedzi, z którego odlewa się przede wszystkim posągi. Jego recepturę znają tylko Dhergowie.

Dahl (wzgórze lub kopiec): Osada Rhunów będąca głównym grodem danego klanu, zwykle usytuowana na szczycie usypanego przez ludzi wzgórza. Dahle zazwyczaj są otoczone wałem lub ufortyfikowane w inny sposób. Pośrodku zawsze stoi strażnica, gdzie mieszka wódz klanu, wokół niej zaś znajduje się pewna liczba okrągłych chat należących do innych mieszkańców osady. Pierwotnie w Rhulynie istniało siedem rhuńskich dahl, ale dwa (Nadak i Dureya) zostały zniszczone przez Fhrejów, a jeden (Rhen) zniszczyły olbrzymy.

Delwin (Rhun, klan Rhen): Pasterz owiec, mąż Sary, ojciec Brin. Zginął podczas ataku olbrzymów, które zniszczyły dahl Rhen.

Deszcz (Dherg): Być może najlepszy górnik wśród swojego ludu. Jeden z trzech Dhergów, którzy przypadkowo uwolnili Balgargaratha ze skomplikowanego systemu pułapek generujących dźwięki. Aby ocalić go przed egzekucją, Persefona zabrała trzech Dhergów z powrotem do Tirre po tym, jak Gronbach złamał złożone jej obietnice. Deszcz wygrał główną nagrodę podczas zawodów w drążeniu tuneli w Linden Lott.

Dhergowie: Jedna z pięciu humanoidalnych ras zamieszkujących Elan. Są niezwykle zdolnymi rzemieślnikami, lecz nie wolno im przebywać prawie nigdzie poza Belgreigiem. Są wspaniałymi budowniczymi i płatnerzami. Nazwa „Dhergowie” pochodzi od pejoratywnego fhrejskiego słowa, które znaczy „wstrętny kret”. Sami określają siebie mianem Belgriklungrejan.

Didan (Rhun, klan Dureya): Jeden z braci Raithe’a.

Dolina Wzniesionej Włóczni: Trawiasta równina położona na południu za jedną z odnóg rzeki Bern. Ojczyzna trzech klanów Gula-Rhunów.

Dom Beznadziei: Domostwo w Alon Rhist, w którym rezydują Gifford, Habet, Mathias i Gelston. Tressa nie mieszka razem z nimi, ponieważ jest kobietą, ale spędza większość czasu pod ich dachem na prawach honorowej mieszkanki.

Drome: Bóg Dhergów.

Drumindor: Forteca wybudowana przez Dhergów na aktywnym wulkanie u wejścia do dużej, strategicznie położonej zatoki Morza Błękitnego. Dwie potężne wieże chronią przed próbami inwazji drogą morską.

Dunn: Jeden z trzech klanów Gula-Rhunów. Dwa pozostałe to Erling i Strom.

Dureya: Jałowa wyżyna na północy Rhulynu, zamieszкана przez klan Rhunów znanych jako Dureyanie. Cały ten obszar został spustoszony przez fhrejski szczep Instarya. Przed unicestwieniem był to najpotężniejszy wojowniczy klan Rhunów z Rhulynu. Zagładę przeżyło tylko dwóch Dureyan: Raithe i Tesh.

Duryngon: Loch pod Verenthenonem w Alon Rhist, gdzie przetrzymywano więźniów oraz egzotyczne zwierzęta, które badano, żeby ustalić, jak można najskuteczniej z nimi walczyć.

Dziesięć Klanów: Całość narodu Rhunów obejmująca siedem klanów rhulyńskich i trzy klany ludu Gula.

Drzwi: Portal w Ogrodzie Estramnadońskim, który zgodnie z legendą prowadzi do miejsca, gdzie rośnie Pierwsze Drzewo.

Eilywin: Fhrejscy architekci i rzemieślnicy, projektujący i wznoszący budynki.

Elan: Wielka Matka Wszechrzeczy. Bogini ziemi.

Elf: Zniekształcone fhrejskie słowo oznaczające „koszmar”. Obelga, której lud Dhergów używa w stosunku do Fhrejów.

Elysan (Fhrej, szczep Instarya): Bliski przyjaciel i doradca Zephyrona.

Erdo (Rhun, klan Erling): Wódz klanu Erling, który objął ten urząd po tym, jak jego poprzednik Udgar zginął w pojedynku z Moyą.

Erebus: Ojciec wszystkich bogów, którego imię Brin odczytała z Tabliczek z Agawy.

Eres (Fhrej, szczep Instarya): Członek oddziału znanego jako Galantianie. Szczególnie wprawiony w walce włóczyniami i oszczepami.

Erivan: Ojczyzna Fhrejów.

Erling: Jeden z klanów Gula-Rhunów. Dwa pozostałe to Dunn i Strom.

Ervanon: Najdalej wysunięta na północ spośród czterech fhrejskich twierdz strzegących pogranicza, obsadzonych przez wojowników ze szczepu Instarya.

Estramnadon: Stolica Fhrejów usytuowana w puszczech Erivanu.

Fane: Władca Fhrejów, który rządzi aż do śmierci lub przez trzy tysiące lat od koronacji, zależnie od tego, co nastąpi szybciej.

Feneliusa (Fhrejka, szczep Miralyith): Piąta fane Fhrejów, pierwsza ze szczepu Miralyithów. Ocalała Fhrejów od zguby podczas wojny belgrickiej.

Ferrol: Bóg Fhrejów.

Fhrejowie: Jedna z pięciu głównych ras rozumnych w świecie Elan. Fhrejowie są długowieczni, zaawansowani technologicznie i podzieleni na szczepy w zależności od wykonywanego zawodu.

Fhreyhyndia (zabójca Fhrejów): Fhrejskie słowo, którego Nyphron czasem używa w odniesieniu do Raithe'a. Jest to też imię, które pragnął przyjąć Tesh z Dureyi, ale Raithe się temu sprzeciwił.

Furgenrok (Grenmorianin): Przywódca Grenmorian, ludu olbrzymów w świecie Elan. Fhrejowie zaangażowali go, by olbrzymy przeprowadziły atak na dahl Rhen. Chociaż zginęło wielu mieszkańców, a dahl uległ zniszczeniu, nie został osiągnięty główny cel ataku: Raithe, Arion i Nyphron przeżyli.

Galantianie: Oddział Instarya dowodzony przez Nyphrona. Słyną z męstwa i odwagi w boju. Zostali wygnani z Alon Rhist, ponieważ odmówili niszczenia rhuńskich wiosek. Połączyli siły z Rhunami, a ich celem jest obalenie fane'a.

Gath (Rhun): Pierwszy keenig, który zjednoczył wszystkie klany ludzi podczas Wielkiej Powodzi.

Gavin Killian (Rhun, klan Rhen): Nowy wódz klanu Rhen, który objął ten urząd po tym, jak Persefona została obwołana keenigiem.

Gelston (Rhun, klan Rhen): Pasterz, który został porażony piorunem w czasie ataku Grenmorian na dahl Rhen. Wuj Brin.

Gifford (Rhun, klan Rhen): Niewiarygodnie utalentowany garncarz z dahlu Rhen. Jego matka zmarła przy porodzie. Ponieważ chłopiec był poważnie zdeformowany, nie wierzono, że pożyje dłużej niż kilka lat.

Gilarabrywn: Istota podobna do smoka stworzona przez Suri, która poświęciła w tym celu swoją najlepszą przyjaciółkę, Minnę. Suri użyła tego samego zaklęcia, dzięki któremu powstał Balgargarath, toteż jej dzieło było czystą Sztuką obleczoną w cielesny kształt. Istota ta umożliwiła drużynie Persefony bezpieczny powrót z głębin Neithu, ale finalnie została zniszczona przez Suri, kiedy okazało się, że nie może opuścić podziemnego miasta.

Głogowa Dolinka: Miejsce zamieszkania Suri i Tury.

Gobliny: Groteskowa rasa, której obawiają się i unikają wszyscy inni mieszkańcy świata Elan. Słyną z zawziętości w boju. Najbardziej niebezpiecznymi przedstawicielami tej rasy są tak zwani oberdaza, którzy potrafią za pomocą magii ujarzmić moc żywiołów. W języku Dhergów noszą następujące miana:

Ba Ran Ghazel (Zapomniani z Morza)

Fen Ran Ghazel (Zapomniani z Bagien)

Fir Ran Ghazel (Zapomniani z Puszczy)

Durat Ran Ghazel (Zapomniani z Gór).

Góra Mador: Góra wyczarowana przez fane Feneliusę podczas wojny belgryckiej, w której trakcie zginęły dziesiątki tysięcy Dhergów.

Grenmorianie: Zamieszkująca świat Elan rasa olbrzymów. Żyją w Hentlynie, w północnej części Elan.

Gronbach (Dherg): Burmistrz miasta Karik i Mistrz Rzemieślników z tego miasta. Podstępem skłonił Persefonę, żeby uwolniła miasto Neith od Balgargaratha, po czym złamał swoją obietnicę, że dostarczy Rhunom broń do walki z Fhrejami. Jego zdrada doprowadziła do zniszczenia miasta Neith przez Suri. Wściekłość Brin na tego karła sprawiła, że w słynnej *Księdze Brin* został przedstawiony jako główny czarny charakter.

Grygor (Grenmorianin): Członek słynnych Galantian, oddziału Nyphrona. Jedyny olbrzym w tym oddziale. Znany z tego, że uwielbia gotować i chętnie używa przypraw. To jego zamiłowanie do sztuki kulinarnej sprawiło, że zaprzyjaźnił się z Paderą, najstarszą mieszkanką dahlu Rhen.

Gryna Brunatna: Straszliwa niedźwiedzica, która zabiła wielu mieszkańców dahlu Rhen, w tym Mahna (syna Persefony i Reglana), wodza Konnigera oraz Maeve, rheńską Strażniczkę Praw. Bestia finalnie zginęła z rąk Persefony.

Gryndal (Fhrej, szczep Miralyith): Niegdyś Pierwszy Minister fane'a Lothiana. Szanowany jako jeden z najbłęgiejszych w posługiwaniu się Sztuką. Gryndal zginął w dahlu Rhen z rąk Raithe'a, kiedy Miralyithowie usiłowali się zemścić za to, że mieszkańcy tego dahlu dali schronienie Nyphronowi oraz za atak Malcolma na Arion.

Gula-Rhunowie: Sojusz trzech klanów Rhunów z północy (klany Dunn, Strom i Erling), które od dawna wojują z siedmioma klanami Rhunów z południa. Fhrejowie zapoczątkowali ten konflikt i od wieków podsycają wzajemną wrogość obu stron. Jednakże gdy nasilił się konflikt pomiędzy Rhunami a Fhrejami, Gula weszli w sojusz z Rhunami z Rhulynu, jednocząc się pod rządami keeniga Persefony.

Gwydry: Jeden z siedmiu szczepów Fhrejów. Skupia rolników, którzy odpowiadają za uprawę ziemi i hodowlę zwierząt.

Gylindora Fane (Fhrejka, szczep Nilyndd): Pierwsza władczyni Fhrejów. Jej nazwisko stało się synonimem słowa „władca”.

Habet (Rhun, klan Rhen): Opiekun płomienia w dahlu Rhen. Odpowiadał za to, by ogień w strażnicy i w kamiennych misach przed posągami Mari nigdy nie wygasł.

Haderas (Fhrej, szczep Asendwayr): Dowódca Niedźwiedziego Legionu, oddziału, w którym służą żołnierze ze szczepów Asendwayr i Gwydry. Otrzymali oni rozkaz wymordowania Rhunów.

Harkon (Rhun, klan Melen): Wódz klanu Melen.

Hentlyn („kraina gór”): Obszar na północ od Avrlynu zamieszany głównie przez Grenmorian.

Herkimer (Rhun, klan Dureya): Ojciec Raithe'a, sławny wojownik obdarzony przydomkiem Miedziany Miecz. Zginął z rąk Shegona.

Imaly (Fhrejka, szczep Nilyndd): Potomkini Gylindory Fane, przywódczyni szczepu Nilyndd i Kuratorka Aquili.

Instarya: Jeden z siedmiu szczepów Fhrejów. Instarya to wojownicy stacjonujący w twierdzach rozmieszczonych wzdłuż granicy Avrlynu od czasu wojny belgrickiej.

Iver (Rhun, klan Rhen): Snycerz, brutalny dawny właściciel dwóch niewolnic: Roan i jej matki Reanny.

Jerydd (Fhrej, szczep Miralyith): Kel wieży Avempartha. Dowodził atakiem na dahl Rhen, którego skutkiem było zniszczenie osady, ale Arion, Nyphron i Raithe przeżyli.

Jędza Tetlin: Powszechnie znienawidzona nieśmiertelna istota uznawana za źródło wszystkich chorób, zaraz i wszelkiego zła na świecie.

Język stworzenia: Pierwotny język bogów oraz wszystkich żywych istot Elan. Trącanie strun podczas tworzenia splotów Sztuki jest równoznaczne z posługiwaniem się językiem stworzenia, żeby zmieniać konstrukcję świata.

Kabbayn (Fhrej, szczep Eilywin): Obecny Pierwszy Minister, który objął to stanowisko po śmierci Gryndala.

Karły: Persefona ochrzciła tak mieszkańców Belgreigu, bo ta nazwa jest łatwiejsza do wymówienia aniżeli „Belgriklungrejanie” i mniej obraźliwa dla nich niż „Dhergowie”.

Karola: Sala w Kypie, w której władca Alon Rhist wysłuchuje skarg oraz osądza oskarżonych o popełnienie przestępstw.

Kasimer (Fhrej, szczep Miralyith): Dowódca świeżo zreformowanego Pajęczego Korpusu. Jest to grupa Artystów, którzy potrafią łączyć swoją moc, aby przeprowadzać skoordynowane ataki.

Keenig: Pojedyncza osoba, która rządzi zjednoczonymi klanami Rhunów, kiedy zagraża im wielkie niebezpieczeństwo. Keeniga nie wybierano od czasów Gatha, który ocalił ludzkość przed Wielką Powodzią, aż do chwili, gdy wybrano Persefonę w obliczu wojny fhrejsko-ludzkiej.

Kel: Administrator prestiżowej instytucji, jak na przykład Jerydd, kel wieży Avempartha.

Konniger (Rhun, klan Rhen): Tarcza wodza Reglana z dahlu Rhen, mąż Tressy. Zamordowawszy zdradziecko Reglana, Konniger rządził dahllem przez krótki czas, zanim rządy objęła Persefona. Próbował zabić też Persefonę, ale zginął rozszarpany przez Grynę Brunatną.

Konserwator Aquili: Strażnik Rogu Gylindory, pospołu z Kuratorem nadzoruje proces sukcesji władzy. Do Konserwatora należy również wybór nowego Kuratora, gdy zachodzi taka konieczność. Obecnie Konserwatorem jest Volhorik, najwyższy kapłan szczepu Umalyn.

Kopuła: Skalista góra wznosząca się nad miastem Neith. Suri roztrzaskała ją Sztuką, grzebiąc wejście do starożytnej ojczyzny karłów.

Krimbal: Czarodziejskie stworzenie zamieszkujące krainę Nog. Krimbale podróżują do świata Elan przez wrota w pniach drzew. Słyną z tego, że porywają dzieci.

Krugen (Rhun, klan Menahan): Wódz klanu Menahan, najbogatszego spośród siedmiu rhuńskich klanów.

Księga Brin: Pierwsza znana kronika opisująca historię ludu Rhunów. Powstała w czasie pierwszej wojny między Rhunami a Fhrejami.

Księżycowa Puszcza: Rozległa puszcza rozciągająca się w kształcie półksiężyca wokół dahlu Rhen.

Kurator Aquili: Zastępca fane'a. Jeden z sześciu członków Aquili, wybierany na drodze głosowania przez starszych doradców. Przewodzi posiedzeniom Aquili pod nieobecność fane'a oraz przewodniczy Radzie Wyzwania, która decyduje, kto będzie miał prawo zadać w Róg Gylindory. Konserwator i Kurator wspólnie kierują procesem sukcesji władzy i nadzorują przebieg pojedynku Uli Vermar. Obecnie Kuratorką jest Imaly.

Kyp: Najbardziej warowna budowla w Alon Rhist. Mieszkają tam Persefona, Nyphron, Suri i Arion.

Leigh mor: Wierzchnie okrycie. Noszony przez rhuńskich mężczyzn płat tkaniny o uniwersalnym zastosowaniu. Można go wkładać na różne sposoby, zwykle przewijając pasem. Leigh mor może też służyć jako płachta do noszenia przedmiotów lub jako koc. Zwykle tkane są we wzór typowy dla danego klanu. Wersja kobieca, znana jako breckon mor, jest dłuższa i cięta ukośnie.

Leśny Tron: Tron, na którym zasiada fane. Znajduje się w Pałacu Talwara w stolicy, czyli Estramnadonie. Stworzył go Karatakus, splatając sześć drzew, które miały symbolizować poszczególne szczepy Fhrejów. W owym czasie szczepów było tylko sześć.

Linden Lott: Główne miasto Dhergów po upadku Neithu. Odbywają się tam coroczne zawody w różnych dziedzinach cenionych przez lud Dhergów, takich jak budownictwo, wykuwanie broni i górnictwo.

Lipit (Rhun, klan Tirre): Wódz dahlu Tirre.

Lothian, fane (Fhrej, szczep Miralyith): Władca wszystkich Fhrejów, ojciec Mawyndulëgo, syn Feneliusy. Objął rządy po wyjątkowo makabrycznym pojedynku, w którym pokonał Zephyrona, przywódcę szczepu Instarya, i zademonstrował swoją moc, upokarzając oraz torturując przeciwnika.

Lwia Gwardia: Osobista gwardia fane'a.

Maeve (Rhunka, klan Rhen): Dawna Strażniczka Praw w dahlu Rhen, matka Suri. Została zabita przez Grynę Brunatną.

Mahn (Rhun, klan Rhen): Syn Persefony i Reglana. Zabiła go krwiożercza niedźwiedzica znana jako Brunatna.

Makareta (Fhrejka, szczep Miralyith): Członkini Szarych Płaszcy, obiekt pierwszego młodzieńczego zakochania księcia Mawyndulëgo. Po buncie przepadła bez wieści, nie znaleziono też jej ciała.

Malcolm (Rhun bez przynależności klanowej): Dawny niewolnik Zephyrona, niegdyś zamieszkujący w Alon Rhist, najlepszy przyjaciel Raithe'a. Zaatakował kamieniami dwoje Fhrejów: Shegona i Arion.

Mari: Bóstwo opiekuńcze dahlu Rhen.

Mawyndulë (Fhrej, szczep Miralyith): Książę w państwie Fhrejów. Syn Lothiana, wnuk Feneliusy, dawny uczeń Arion i Gryndala. Był obecny w dahlu Rhen, kiedy Raithe zabił Gryndala. Przez krótki czas reprezentował Miralyithów w Aquili jako młodszy, a następnie starszy doradca. Został podstępem nakłoniony przez członków bractwa Szarych Płaszcy, by im dopomóc, ale nie brał aktywnego udziału w buncie. Działając instynktownie, żeby ocalić własne życie, uratował też Imaly i kilkoro innych Fhrejów, powstrzymując kopułę Airenthenonu od zawalenia.

Medak: Galantianin zabity przez Gryndala podczas ataku tego ostatniego na Alon Rhist. Młodszy brat Eresa.

Melen: Klan Rhunów z Rhulynu słynący ze swoich poetów i muzyków. Rządzi nim wódz Harkon.

Menahan: Najbogatszy spośród siedmiu rhuńskich klanów z Rhulynu. Słynie z ogromnych stad owiec i handlu wełną. Rządzi nim wódz Krugen.

Merredydd: Najdalej wysunięta na południe spośród czterech fhrejskich twierdz strzegących pogranicza, obsadzonych przez wojowników ze szczepu Instarya.

Meryl (Rhun): Dawny niewolnik Shegona, który mieszkał z Malcolmem na jednej kwaterze.

Metis, minister (Fhrej, szczep Nilyndd): Najwyższa rangą członkini szczepu Nilyndd, sprawująca nadzór nad produkcją broni i pancerzy.

Minna: Wilczyca i najlepsza przyjaciółka Suri, nazywającej Minnę najmądrzejszą wilczycą na świecie. Minna została złożona przez Suri w ofierze i przemieniona w Gilarabrywna, który stoczył walkę z Balgargarathem.

Miralyithowie: Fhrejski szczep „Artystów” – osób, które posługują się Sztuką, żeby czynić magię z wykorzystaniem sił przyrody. Ten szczep sprawuje aktualnie władzę nad ludem Fhrejów, a zważywszy na możliwości, jakie daje im Sztuka, raczej nie zmieni się to w dającej się przewidzieć przyszłości. Wielu członków tego szczepu zaczęło uważać się za bogów, a w każdym razie za istoty wyższego rzędu na tle reszty fhrejskiego społeczeństwa, czego wyrazem był niedawny bunt Szarych Płaszcy.

Mirrelyn: Budynek, w którym Fhrejowie spotykają się towarzysko, żeby pić napoje alkoholowe, śpiewać i snuć opowieści. Słowo to tłumaczy się na rhuński jako „Kraina Wesołości”.

Mistrz Sekretów: Doradca fane’a odpowiedzialny za bezpieczeństwo w Pałacu Talwara. Obecnie stanowisko to piastuje Vasek.

Mistycy: Osoby potrafiące czerpać z sił przyrody i odczytywać wolę bóstw oraz duchów. Tura i Suri to mistyczki z Głogowej Dolinki.

Moya (Rhunka, klan Rhen): Tarcza keenig Persefony. Zabiła Udgara (Gula-Rhun, wódz klanu Erling). Jako pierwsza osoba w dziejach nauczyła się posługiwać łukiem i strzałami. To ona wystrzeliła strzałę, która zniszczyła Balgargaratha. Moya jest ukochaną Tekchina, jednego z Galantian.

Mróz (Dherg): Budowniczy, brat bliźniak Powodzi. Jeden z trzech Dhergów, którzy przypadkowo uwolnili Balgargaratha ze skomplikowanego systemu pułapek generujących dźwięki. Aby ocalić go przed egzekucją, Persefona zabrała trzech Dhergów z powrotem do Tirre po tym, jak Gronbach złamał złożone jej obietnice.

Muriel: Córka Erebusa. Jej istnienie odkryła Brin, odcyfrowując Tabliczki z Agawy.

Mynogany: Trzy bóstwa wojny czczone przez Dureyan i inne wojownicze plemiona. Uosabiają Bitwę, Honor i Śmierć.

Nadak: Region na północy Rhulynu zamieszkały przez klan Rhunów o tej samej nazwie. Został spustoszony przez fhrejski szczep Instarya, a większość mieszkańców wymordowano.

Narada w Tirre: Obrady koalicji wodzów wszystkich rhulyńskich klanów. Celem miało być wybranie keeniga, który obejmie rządy nad całym ludem Rhunów i poprowadzi ich do walki przeciwko Fhrejom.

Naraspur: Klacz, na której Arion przyjechała z Estramnadonu do Alon Rhist, a następnie zostawiła wierzchowca w fortecy, po upadku, który przytrafił jej się w czasie jazdy.

Narsirabad: Wielka włócznia ze strażnicy dahlu Rhen, której używa Malcolm. Jej nazwa znaczy po fhrejsku „spiczasty czubek”.

Neith: Pierwsza siedziba Dhergów w krainie Belgreig. Neith było ogromnym podziemnym miastem i najbardziej czczonym miejscem w kulturze Dhergów. Przez tysiąclecia Dhergowie nie mogli w nim przebywać, ponieważ Prastary w akcie zemsty stworzył i wypuścił tam Balgargaratha: monstrum mające zabijać wszystkich, którzy wkroczyli do Neithu. Finalnie miasto Neith zostało zniszczone i pogrzebane pod zwałami skał przez rozgniewaną Suri.

Nidwalden: Potężna rzeka, rozdzielająca Erivan (krainę Fhrejów) i Rhulyn (krainę Rhunów).

Nifrel: Kraina leżąca pod Relem. Najbardziej ponura i nieprzyjemna spośród trzech części zaświatów.

Nilyndd: Fhrejski szczep rzemieślników.

Nyphron (Fhrej, szczep Instarya): Syn Zephyrona, dowódca słynnych Galantian. Wyjęty spod prawa po tym, jak zaatakował nowego dowódcę twierdzy Alon Rhist. On i Galantianie znaleźli schronienie w rhuńskiej osadzie znanej jako dahl Rhen. Dążył do tego, by wybrano go na keeniga Rhunów, ale poniósł fiasko, gdyż tylko Rhun może sprawować ten urząd.

Ogród: Jedno z najświętszych miejsc dla społeczeństwa Fhrejów. Służy do medytacji i snucia refleksji. Znajduje się w centrum Estramnadonu i otacza Drzwi, najświętszą relikwię Fhrejów.

Orinfar: Starożytne dhergijskie runy, które uniemożliwiają korzystanie ze Sztuki.

Padera (Rhunka, klan Rhen): Wdowa po rolniku, najstarsza mieszkanka dahlu Rhen. Słynie z doskonałych umiejętności kulinarnych i z bycia najlepszą uzdrowicielką w całym dahlu.

Pajęczy Korpus: Grupa Miralyithów wyćwiczonych w przeprowadzaniu skoordynowanych ataków, podczas których jeden Artysta kanalizuje połączoną moc pozostałych członków grupy.

Persefona (Rhunka, klan Rhen): Wódz dahlu Rhen, wdowa po Reglanie. Zabiła Grynę Brunatną oraz wyprawiła się z drużyną do Neithu, żeby zabić Balgargaratha. Kiedy Gronbach odmówił jej dostarczenia przyobiecanej żelaznej broni, podstępem wymusiła na nim ujawnienie Roan procesu wykuwania żelaza, a Roan zabrała tę wiedzę z powrotem i przekazała ją ludowi Rhunów.

Pesanye: Fhrejskie słowo oznaczające prosty system znaków używanych do pisania krótkich listów przynoszonych przez ptaki na duże odległości. Pesanye służy też do sporządzania wykazów.

Petragar (Fhrej, klan Instarya): Dowódca twierdzy Alon Rhist, mianowany na to stanowisko przez fane'a Lothiana po śmierci Zephyrona.

Phyre: Zaświaty. Dzielą się na trzy krainy znane jako Nifrel, Rel i Alysin.

Pierwsze Krzesło i Drugie Krzesło: Honorowe tytuły wodza dahlu i jego małżonki, pochodzące od krzesel, na których zasiadają na podwyższeniu w strażnicy.

Pierwsze Drzewo: Owoce tego drzewa mają obdarzać nieśmiertelnością. Powiada się, że rośnie ono za Drzwiami w Estramnadonie. Wojna belgricka wybuchła w dużej mierze z powodu przeświadczenia karłów, że Fhrejowie odmawiają im dostępu do tego skarbu.

Pięć głównych ras Elan: Rhunowie, Fhrejowie, Dhergowie, Ghazele i Grenmorianie.

Plac Florella: Obszerny plac z ozdobną fontanną usytuowany przed Airenthenonem w Estramnadonie.

Plymerath (Fhrej, klan Instarya): Strażnik, który sprawował wartę przy głównej bramie fortecy, kiedy armia fane'a nadciągnęła nocą w pobliże Alon Rhist.

Porik (Fhrej, klan Instarya): Główny odźwierny w Kypie.

Powódź (Dherg): Budowniczy, brat bliźniak Mroza. Jeden z trzech Dhergów, którzy przypadkowo uwolnili Balgargaratha ze skomplikowanego systemu

pułapek generujących dźwięki. Aby ocalić go przed egzekucją, Persefona zabrała trzech Dhergów z powrotem do Tirre po tym, jak Gronbach złamał złożone jej obietnice.

Prastary: Znany również jako „Trzy”. Istota, która – jak twierdzą Dhergowie – jest jeszcze starsza niż bogowie Elan. Przebywał uwięziony głęboko w Agawie, gdzie na tabliczkach zapisał historię własnego życia oraz opowieść o początkach Elan.

Prawo Ferrola: Nieprzekraczalny zakaz głoszący, że Fhrejom nie wolno zabijać Fhrejów. Jedynym wyjątkiem może być w ekstremalnych sytuacjach fane (lub osoba, którą fane wyznaczy). Złamanie Prawa Ferrola pociąga za sobą wykluczenie winowajcy ze społeczeństwa Fhrejów oraz oznacza, że osoba ta nie dostąpi życia wiecznego. Ponieważ to bóg Fhrejów wymierza sprawiedliwość, nikt nie może ująć przed Prawem Ferrola, popełniając morderstwo potajemnie lub bez świadków.

Pyridian (Fhrej, klan Miralyith): Nieżyjący pierwszy syn Lothiana, starszy brat Mawyndulëgo i twórca Estramnadońskiej Akademii Sztuki.

Rada keeniga: Zespół doradców Persefony złożony z dziesięciu wodzów rhuńskich klanów.

Raithe (Rhun, klan Dureya): Syn Herkimera, znany też jako Zabójca Bogów. Zabił Shegona (Fhrej, szczep Asendwayr), by pomścić śmierć swojego ojca, oraz Gryndala (Fhrej, szczep Miralyith) w obronie mieszkańców dahlu Rhen. Odmówił zostania keenigiem, ponieważ sądził, że wojna z Fhrejami oznaczałaby zagładę Rhunów. Jest zakochany w Persefonie, która nie odwzajemnia jego uczuć. Był pierwszą osobą, która uczyła Tesha walczyć.

Raow: Budzący przerażenie drapieżnik, który pożera swoje ofiary, zaczynając od twarzy. Raowy śpią na legowisku z kości, a przed snem muszą zawsze dodać kolejny szkielet do sterty. Pojedynczy raow może spustoszyć całą okolicę.

Rapnagar (Grenmorianin): Przywódca bandy olbrzymów, której Fhrejowie rozkazali zniszczyć dahl Rhen i zabić Arion, Nyphrona oraz Raithe’a.

Reanna (Rhunka, klan Erling): Nieżyjąca matka Roan, niewolnica Ivera.

Reglan (Rhun, klan Rhen): Niegdysiejszy wódz dahlu Rhen, mąż Persefony. Zamordowany przez Konnigera, który pragnął przejąć jego stanowisko.

Rel: Jedna z trzech krain w zaświatach. Trafia tam większość ludzi: wszyscy, którzy nie byli ani bohaterami, ani złoczyńcami.

Rhen: Lesisty region w zachodniej części Rhulynu zamieszkały przez klan o tej samej nazwie. W przeszłości władał nim Reglan, później (przez krótki czas) Konniger, a potem Persefona, żona Reglana. Dahl Rhen został zniszczony przez bandę Grenmorian, których nasłał fane Lothian, aby ukarać mieszkańców za to, że dali schronienie Nyphronowi ze szczepu Instarya i zabili Pierwszego Ministra Gryndala.

Rhist: Skrócona nazwa fhrejskiej twierdzy Alon Rhist.

Rhulyn: „Kraina Rhunów”, granicząca od wschodu z Erivanem – ojczyzną Fhrejów, a od zachodu z fhrejskimi twierdzami w Avrlynie.

Rhulyn-Rhunowie, Rhunowie z Rhulynu: Siedem klanów Rhunów z południa – Nadak, Dureya, Rhen, Warric, Tirre, Melen i Menahan. Rhunowie z Rhulynu pozostają w nieustającym konflikcie z mieszkającymi na północy Gula-Rhunami.

Rhunowie: Jedna z pięciu rozumnych ras zamieszkujących Elan, rasa ludzi. To słowo pochodzi z języka Fhrejów i znaczy „prymitywny”, a niektórzy uważają je za wzgardliwe. Rasa Rhunów jest zacofana technologicznie, przesądna i wyznaje politeizm. Żyją w skupiskach małych wiosek, a każdym klanem rządzi wódz. Istnieją dwie główne grupy Rhunów: Gula-Rhunowie z północy oraz Rhulyn-Rhunowie z południa. Ci pierwsi od stuleci wojują z tymi drugimi.

Rhuński: Język, którym mówią Rhunowie zamieszkujący Rhulyn.

Rigarus (Fhrej, szczep Asendwayr): Dowódca Wilczego Legionu, oddziału, w którym służą żołnierze ze szczepów Asendwayr i Gwydry. Ich głównym zadaniem jest zwiad.

Roan (Rhunka, klan Rhen): Dawna niewolnica snycerza Ivera. Niewiarygodnie uzdolniona, lecz traumatyzowana emocjonalnie wynalazczyni. Z pomocą Dhergów udoskonała wynalezione przez siebie koła i wózki. Zaadaptowała oszczep oraz przyrząd używany do rozniecania ognia, uzyskując łuk do miotania strzał. Dzięki Persefonie mogła zaobserwować procedurę wykuwania żelaznych mieczy przez Dhergów.

Rol: Mały ufortyfikowany schron wzniesiony przez Dhergów. Role budowano wzdłuż granicy, by służyły jako schronienie w czasie wojny belgickiej. Większość miała ukryte drzwi otwierane za pomocą skomplikowanego mechanizmu złożonego z kół zębatach i przekładni. W ich wnętrzu zazwyczaj umieszczano runy Orinfar, by chronić przebywające tam osoby przed magicznym atakiem.

Rozwidlenie: Miejsce, gdzie zbiegają się dwie odnogi rzeki Bern. Tu znajduje się grób Herkimera, ojca Raithe'a.

Róg Gylindory: Ceremonialny róg przechowywany przez Konserwatora Aquili, ofiarowany niegdyś Gylindorze Fane przez legendarnego Karatakusa. Róg ten wykorzystuje się, by rzucić wyzwanie drugiemu pretendentowi do władzy nad ludem Fhrejów. Można w niego zadać tylko w czasie Uli Vermar (po śmierci rządzącego fane'a lub co trzy tysiące lat). Dmąc w niego po śmierci fane'a, rzuca się wyzwanie dziedzicowi. Jeśli fane nie ma dziedzica lub upłynęły trzy tysiące lat rządów aktualnego władcy, w róg można zadać dwukrotnie, żeby do pojedynku stanęły dwie osoby.

Sanktuarium: Prywatne komnaty fane'a Alona Rhista, gdzie rezydował w czasie swojego pobytu w twierdzy, którą nazwano jego imieniem. Po jego śmierci nikt już tam nie mieszkał, a wystrój zachowano w niezmiennym stanie, by upamiętnić zmarłego.

Sara (Rhunka, klan Rhen): Matka Brin, żona Delwina, najlepsza przyjaciółka Persefony, szeroko znana jako najlepsza tkaczka w dahlu Rhen. Zginęła podczas ataku olbrzymów, które zniszczyły dahl Rhen.

Sebek (Fhrej, szczep Instarya): Najlepszy wojownik spośród Galantian. Walczy dwoma kliwami (krótkie, proste miecze), które zwą się Grzmot i Błyskawica.

Shahdi: Formacja militarna złożona z żołnierzy, którzy nie wywodzą się ze szczepu Instarya, odpowiedzialna za utrzymywanie porządku w Większym Erivanie.

Shegon (Fhrej, szczep Asendwayr): Myśliwy z Alon Rhist, zaopatrujący szczep wojowników w świeże mięso. Zginął z ręki Raithe'a po tym, jak sam zabił Herkimera (ojca Raithe'a).

Siegel (Rhun, klan Dunn): Wódz klanu Dunn.

Sikar (Fhrej, szczep Instarya): Oficer i dowódca patroli ze szczepu Instarya stacjonujący w Alon Rhist. Przyjaźnił się z Nyphronem, zanim ten ostatni zdezerterował.

Sile (Fhrej, szczep Asendwayr): Jeden z dwojga przybocznych, których fane Lothian zatrudnił po buncie Szarych Płaszcy i którzy stale mu odtąd towarzyszą. Jego wzrost i waga sugerują, że może mieć domieszkę krwi Grenmorian.

Skala Przemówień: Duży głaz na niższym dziedzińcu Alon Rhist, zazwyczaj wykorzystywany przez dowódców do tego, żeby wydać żołnierzom rozkazy, nim ruszą w bój.

Skala Udręki: Duża skalna kolumna wznosząca się ponad płaskowyżem Dureyi. Można wspiąć się na nią wąską ścieżyną. Ze szczytu roztacza się doskonały widok na Wielki Most oraz wrota Alon Rhist.

Spyrok: Najwyższa wieża w Alon Rhist, położona za Kypem i połączona z nim mostem.

Strażnik (lub Strażniczka) Praw: Osoba, która uczy się zwyczajów oraz tradycji funkcjonujących w danej wspólnotce, a także relacji z minionych wydarzeń, i stanowi autorytet w tej dziedzinie. Wiedza Strażników jest przekazywana przez kolejne pokolenia w drodze tradycji ustnej. Najbardziej znaną Strażniczką jest Brin z dahlu Rhen, która spisała słynną *Księgę Brin*.

Strom: Jeden z trzech klanów Gula-Rhunów. Dwa pozostałe to Dunn i Erling.

Suri (Rhunka, klan Rhen): Nieślubne dziecko Reglana, który miał romans z Maeve (Strażniczka Praw w dahlu Rhen). Pozostawiono ją, by zmarła w lesie, ale została uratowana i wychowana przez mistyczkę Turę. Może być jedyną osobą rhuńskiego pochodzenia potrafiącą władać Sztuką. Jej najlepsza przyjaciółka, biała wilczyca imieniem Minna, została przemieniona w Gilarabrywna w Agawie w Neithu. Później Suri w przypiływie niekontrolowanych emocji zniszczyła wejście do Neithu. Arion wierzy, że to Suri jest kluczem do zawarcia pokoju pomiędzy Fhrejami a Rhunami.

Synne (Fhrejka, szczep Miralyith): Jedna z dwojga przybocznych, których fane Lothian zatrudnił po buncie Szarych Płaszczy i którzy stale mu odtąd towarzyszą. Słynie z błyskawicznego refleksu.

Szare Płaszcze: Tajne bractwo Miralyithów. Jego członkowie próbowali obalić fane'a Lothiana, bo nie podejmował wystarczających kroków, żeby wywyżżyć Miralyithów ponad inne szczepy społeczeństwa Fhrejów. Przywódcą bractwa był Aiden, a należała do niego między innymi Makareta, która manipulowała księciem Mawyndulë, by jej towarzyszący łatwiej odkryć słabe punkty fane'a.

Sztuka: Magia, która pozwala użytkownikowi kontrolować siły przyrody. W społeczeństwie Fhrejów praktykują ją członkowie szczepu Miralyithów. Gobliny posługujące się tą mocą są znane jako oberdaza. Jedyną osobą rhuńskiego pochodzenia, która potrafi używać Sztuki, jest mistyczka Suri.

Tabliczki z Agawy: Te zapisane przez Prastarego tabliczki opisują stworzenie świata, sekrety metalurgii (w tym wytop brązu i żelaza) oraz sploty (zaklęcia) pozwalające użyć Sztuki, żeby tworzyć nieśmiertelne istoty, które będą wykonywać rozkazy swojego twórcy.

Talwara: Oficjalna nazwa pałacu, gdzie rezyduje i sprawuje rządy fane Fhrejów.

Tarcza: Strażnik przyboczny wodza, znany też jako „Tarcza wodza”. Najczęściej jest najlepszym wojownikiem w całym klanie.

Tegan (Rhun, klan Warric): Wódz klanu Warric.

Tekchin (Fhrej, szczep Instarya): Jeden z członków oddziału Galantian, wyjętych spod prawa towarzyszy Nyphrona. Tekchin to nieokrzesany, pyskawy wojownik, którego ulubioną bronią jest długi miecz o cienkiej klindze. Darzy uczuciem Moyę, Tarczę Persefony.

Tesh: Osierocony chłopiec, jedna z dwóch osób (drugą jest Raithe), które przeżyły zagładę klanu Dureya. Nienawiść do Fhrejów motywuje go do morderczego treningu walki.

Tet: Przekleństwo pochodzące od słów „Jędza Tetlin”.

Tirre: Najdalej wysunięty na południe rhuński dahl, położony nad brzegiem Morza Błękitnego, znany z produkcji soli oraz handlowania z Dhergami. Jego wodzem jest Lipit.

Tirreńczycy: Mieszkańcy Tirre.

Torkwes: Okrągły naszyjnik wykuty z jednego kawałka metalu, otwarty z przodu. W społeczeństwie Rhunów jest oznaką władzy. Dhergowie często ofiarowują torkwesę w nagrodę za wielkie osiągnięcia.

Tressa (Rhunka, klan Rhen): Żona byłego wodza Konnigera z dahlu Rhen. Ci, którzy ją znają, w większości nią gardzą i omijają ją z daleka.

Treya (Fhrejka, szczep Gwydry): Pokojówka księcia Mawyndulęgo.

Trilos (Fhrej, nieznany szczep): Zagadkowy osobnik mający obsesję na punkcie Drzwi w Ogrodzie.

Tura (Rhunka bez afiliacji klanowej): Sędziwa mistyczka, która mieszkała w Głogowej Dolince niedaleko dahlu Rhen. Mentorka Suri. Słynęła z tego, że potrafiła przepowiadać przyszłość.

Uberlin: Mityczne źródło wszelkiego zła w świecie Elan. Uważa się go za ojca Jędzy Tetlin.

Udgar (Rhun, klan Erling): Gula-Rhun, wódz klanu Erling. Rzucił wyzwanie Persefonie, chcąc zostać keenigiem, i zginął podczas pojedynku, zabity przez Moyę.

Uli Vermar: Wydarzenie odbywające się trzy tysiące lat po koronacji fane'a lub po jego śmierci, kiedy inni Fhrejowie mogą rzucić wyzwanie i walczyć o władzę. Dokonuje się tego, kierując petycją do Aquili, by otrzymać Róg Gylindory.

Umalyn: Fhrejski szczep kapłanów i kapłanek, którzy zajmują się sprawami duchowymi i oddawaniem czci Ferrolowi.

Urum: Rzeka w Avrlynie, płynąca z północy na południe na zachód od rzeki Bern. Raithe chciałby osiedlić się nad nią, żeby zacząć wszystko od nowa.

Vasek (Fhrej, szczep Asendwayr): Mistrz Sekretów.

Verenthenon: Ogromna sala spotkań pod kopułą, połączona z Kypem mostem wspornikowym. Służy jako miejsce oficjalnych zebrań oraz wydawania rozkazów przez dowódcę twierdzy Alon Rhist.

Vertumus (Fhrej, szczep Instarya): Przyboczny Petragara.

Vidar (Fhrej, szczep Miralyith): Starszy doradca w Aquili reprezentujący szczep Miralyith. Mianował księcia Mawyndulëgo młodszym doradcą. W wyniku działań Szarych Płaszczy został fałszywie oskarżony o zdradę i fane Lothian pozbawił go urzędu.

Volhorik (Fhrej, szczep Umalyn): Starszy doradca w Aquili reprezentujący szczep Umalyn. Piastuje też urząd Konserwatora Aquili.

Vorath (Fhrej, szczep Instarya): Jeden z Galantian Nyphrona. Zapuścił brodę na wzór Rhunów. Jego ulubioną bronią są dwa kiścienie o nabitych kolcami bijakach.

Warric: Jeden z siedmiu klanów Rhunów w Rhulynie. Rządzi nim wódz Tegan.

Welin: Cienki pergamin, którego Dhergowie używają do sporządzania map. Wyrabia się go ze skóry młodych zwierząt.

Węzły: Blokują naturalny przepływ Sztuki, często powodując trudności w komunikacji i uniemożliwiając osiągnięcie konsensusu. Rozsupłując węzeł, rozwiązuje się również waśnie, umożliwiając dojście do porozumienia. Węzeł

umożliwiający istnienie bytu splecionego z czystej Sztuki (jak Balgargarath czy Gilarabrywn) rozplata się, przebijając tę istotę ostrzem z jej prawdziwym imieniem.

Wielka Matka Wszechrzeczy: Inne imię bogini Elan (utożsamianej ze światem).

Wielka Wojna: Pierwsza wojna między ludem Fhrejów a Rhunami.

Wielki Most: Kamienny most nad wąskim wąwozem, którym płynie rzeka Bern oddzielająca Dureyę od fhrejskiej fortecy Alon Rhist.

Wilczy Legion: Formacja fhrejskiego wojska złożona z oddziałów lekkiej piechoty i lekkiej jazdy.

Wodospad Parthaloren: Potężny wodospad, nad którym wznosi się wielka fhrejska wieża Avempartha. Masy spadającej wody stanowią gigantyczne źródło mocy, którą można wykorzystać do czynienia Sztuki.

Wojna belgricka: Wojna między Fhrejami a Dhergami. Znana również jako *wojna dhergijska* oraz *elfi najazd*.

Wortman (Rhun, klan Strom): Wódz klanu Strom.

Wódz: Przywódca danego klanu Rhunów. Odkąd wybrano keeniga, zakres władzy poszczególnych wodzów uległ ograniczeniu, gdyż keenig rządzi wszystkimi plemionami Rhunów.

Wschodnie Grzęzawisko: Część obozowiska klanu Rhen pod murami Tirre, gdzie mieszkali mniej zamożni.

Wzgórze Huhana: Znane również jako „Mały Rhen”. Dzielnica Alon Rhist zamieszkała głównie przez niegdysiejszych mieszkańców dahlu Rhen. Tamtejsze domy zostały w większości opuszczone przez Fhrejów, kiedy Rhunowie przejęli fortecę.

Wzgórze Yolanda: Szczególnie malownicza dzielnica Alon Rhist, gdzie zamieszkują przedstawiciele pomocniczych fhrejskich szczepów, na przykład Asendwayrowie, którzy zaopatrują Instaryę w upolowaną zwierzynę. Znajduje się tam dom, w którym dawniej mieszkał Malcolm, a obecnie rezyduje w nim Meryl.

Zabójca Bogów: Przydomek, jakim obdarzono Raithe'a z Dureyi, pierwszego Rhuna w historii, który zabił Fhreja (Shegona ze szczepu Asendwayr). Podczas

pobytu w dahlu Rhen Raithe zabił drugiego Fhreja (Gryndala ze szczepu Miralyith).

Zdrajczyni: Przewisko, którym Mawyndulë obdarzył Arion w związku z rolą, jaką odegrała w zabiciu Gryndala, pomagając Rhunom z dahlu Rhen.

Zephyron (Fhrej, szczep Instarya): Ojciec Nyphrona, zabity przez Lothiana podczas pojedynku o władzę po śmierci fane Feneliusy. Lothian zabił Zephyrona w niezwykle makabryczny sposób, by pokazać, jak potężni są Miralyithowie i jaką głupotą jest kwestionowanie ich prawa do władzy.

Zmarzła Wieża: Jedna z dwóch wież w przedniej części Alon Rhist. Nazwę zawdzięcza położeniu bardziej od północy, jest bowiem wystawiona zimą na mroźne wiatry. Nie ma tam też kominka, który zapewniałby ogrzewanie.

Podziękowania

Mam wrażenie, że moje podziękowania zaczynają brzmieć jak zdarta płyta, ale czemu miałbym zmieniać współpracowników, skoro wspiera mnie tak wspaniały zespół? W *Epoce mieczy* umieściłem dedykację dla Tima Gerarda Reynoldsa (narrator audiobooków wszystkich moich powieści z cyklu o Riyrii oraz cyklu *Legendy...*). Tym razem oddaję hołd Marcowi Simonettiemu, wyjątkowemu artyście. Jego ilustracje znalazły się na wielu okładkach moich książek, w tym na francuskich wydaniach *Królewskiej krwi*, *Wieży elfów* i *Nowego imperium*. Zaprojektował też okładki do amerykańskich wydań *Epoki mitu*, *Epoki mieczy*, *Epoki wojny*, *Śmierci Dulgath* i *Zniknięcia córki Wintera*. Pisząc niniejsze podziękowania, już widziałem nową okładkę do *Epoki legend* i oczywiście jest równie znakomita jak pozostałe. Marc jest mistrzem w swoim fachu. Ma w dorobku okładki do książek praktycznie wszystkich najważniejszych autorów fantasy, w tym do dzieł George'a R.R. Martina, Terry'ego Pratchetta, Brandona Sandersona, Patricka Rothfussa i wielu innych. Nie ma słów, którymi byłbym w stanie wyrazić wdzięczność za jego niesamowitą pracę.

Skoro mowa o ludziach, z którymi współpracuję już od dawna, Linda Branam znów wspomogła mnie przy tej książce swoim talentem redaktorskim. Już powoli tracę rachubę, w ilu moich książkach przeprowadzała redakcję językową, ale było ich co najmniej sześć, jeśli nie siedem. Jej wspaniałą zaletą jest to, że Linda wie, jaki jest mój tok myślenia, a co ważniejsze – wie też, jakie błędy najczęściej popełniam. Jak zawsze oszczędziła mi palącego wstydu, za co jestem jej niewymownie wdzięczny.

Ponownie wsparła mnie wspaniała grupa beta readerów, zarówno dawnych, jak i nowych. Na podziękowania zasłużyli Michael Jay Brunt, Jeffrey Carr, Beverly Collie, Buffy Curtis, Louise Faering, Cathy Fox, Sheri L. Gestring, Chris Haught, Craig T. Jackson, Toby Johnson, Marty Kagan, Evelyn Keeley, Nathaniel i Sarah Kidd, Amy Lesniak Briggs, Richard Martin, Jamie McCullough, Elizabeth Ocskay, Christina Pilkington, Beth Rosser, Melanie Sanderson, Jeff Schwarz, Sarah Webb i Dick Wilking. Jestem stuprocentowo

przekonany, że dysponuję NAJLEPSZĄ drużyną beta readerów na tej planecie. Dzięki Waszej ciężkiej pracy ta książka stała się znacznie lepsza, niż gdybym pracował nad nią sam.

Tym razem dodaliśmy też coś nowego: gamma readerów! To osoby o sokolim wzroku, które przejrzały książkę już po korekcie, ale zanim poszła do druku. Ich zadaniem było wyłapanie ostatnich literówek bądź błędów, które prześliznęły się przez sito. Po tylu latach w branży wydawniczej jestem przekonany, że żadna książka nie ukazuje się bez błędów, ale gamma readerzy pomogli niniejszej powieści osiągnąć stan bliski ideału. Dziękuję im za poświęcenie i ciężką pracę. W szczególności następujące osoby zasłużyły na wymienienie z imienia i nazwiska w podzięce za wyjątkowy wkład: Audrey Hammer, Chris McGrath, Christopher Griffin, Alex Makar, Michael DePalatis, Sarah Webb, Julian Portillo, Jennifer Strohschein, Steve Kafkas, Beverly Collie, Mark Larsen i Brittany Hay. Audrey, Chris i Christopher okazali się szczególnie pomocni. Mam nadzieję, że o nikim nie zapomniałem, a jeżeli tak, najmocniej przepraszam.

Oczywiście żadne podziękowania nie mogłyby się obyć bez wzmianki o Robin, której niez mordowanym wysiłkom ta powieść zawdzięcza więcej niż komukolwiek innemu. Nawet kiedy wspólnie szczytywaliśmy wersję po redakcji, ona sugerowała drobne poprawki, których wprowadzenie znacząco ulepszyłoby książkę, w związku z czym zacisnąłem zęby i posłuchałem jej sugestii. Nadzwyczaj żywiłowo dyskutowaliśmy (oczywiście nie nazwę tych dyskusji „kłótniami”) nad planem Alon Rhist i dzięki tym rozmowom udało się poprawić wiele pomyłek, ponieważ miasto mutowało w trakcie pisania powieści, a Robin wyłapywała rozbieżności, kiedy nie byłem konsekwentny we wprowadzaniu tych zmian. Nawiasem mówiąc, zbudowałem całą cytadelę Alon Rhist w Minecrafcie (co było chyba najbardziej geekowskim osiągnięciem w mojej karierze). Jeśli nie wiecie, czym jest Minecraft, można porównać tę grę do budowania z klocków lego, ale na komputerze. Co najlepsze, ma się do dyspozycji nieograniczoną liczbę klocków. Jeśli ktokolwiek chciałby zobaczyć model Alon Rhist, napiszcie do mnie maila, a udostępnię wam filmik pokazujący moje małe dzieło. Wracając do Robin: nie tylko oferowała mnóstwo feedbacku na etapie pisania, a później zrekrutowała beta readerów i streszczała mi ich uwagi, ale też niestrudzenie pomagała na etapie redakcji. Powinna otrzymać nagrodę za najważniejszą poprawkę w cytacie z *Księgi Brin*. To ona jest autorką wersu: „Smoki tylko zabijają; Gilarabrywn złamie ci serce”. Może zorganizuję jej w prezencie na urodziny grawerowaną plakietkę z tym cytatem.

Wreszcie, tak jak poprzednio, pragnę podziękować ekipie wydawnictwa za pomoc, dzięki której ta książka wygląda tak profesjonalnie. W szczególności

dziękuję mojej redaktorze prowadzącej Tricii Narwani; Sarah Peed, która również zapewniała wsparcie w kwestiach redakcyjnych; Scottowi Shannonowi, wiceprezydentowi i wydawcy w wydawnictwie Del Rey; Ryanowi Kearney, asystentowi Tricii; oraz Nancy Delii, redaktorze produkcji. Jeśli chodzi o audiobooki, chciałbym podziękować Troyowi Juliarowi, który zakupił prawa do tych książek; Andy'emu Parisowi, który zorganizował produkcję audiobooków (i który skontaktował mnie z Timem Gerardem Reynoldsem); Brianowi Sweeny, który zawsze pomaga w logistyce; oraz Howardowi Bernsteinowi, który wspaniale się spisał jako inżynier dźwięku. Oczywiście jestem też nieustająco wdzięczny Timowi Gerardowi Reynoldsowi, który został głosem Elan. Nie tylko wykonuje nieprawdopodobnie świetną robotę jako narrator audiobooków, jest też szczerym miłośnikiem tych książek i myślę, że znajduje to odbicie w jego pracy. Dziękuję ci, Tim; twój entuzjazm pozwala mi poczuć, że napisałem coś, co porusza ludzkie serca. Jestem wdzięczny za ten dodatkowy zastrzyk motywacji.

Na koniec zostawiłem jeszcze podziękowania dla jednej, ostatniej osoby, a jesteś nią Ty, drogi Czytelniku. Dziękuję Ci za kupowanie moich książek, za polecanie ich bliskim oraz pisanie recenzji, od których robi mi się ciepło na sercu. Pragnę podziękować nawet tym z Was, którzy piszą negatywne komentarze, ponieważ wiele się nauczyłem, czytając je (przypuszczalnie nawet więcej niż dzięki czytaniu pochwał). Nie piszę książek dlatego, że kocham pieniądze lub sławę. Piszę po to, żeby snuć opowieści, które są bliskie memu sercu, i chociaż stanowi to nagrodę samo w sobie, dzielenie się tymi opowieściami ze światem daje jeszcze większą satysfakcję. Dziękuję, że czynicie coś dobrego jeszcze lepszym.